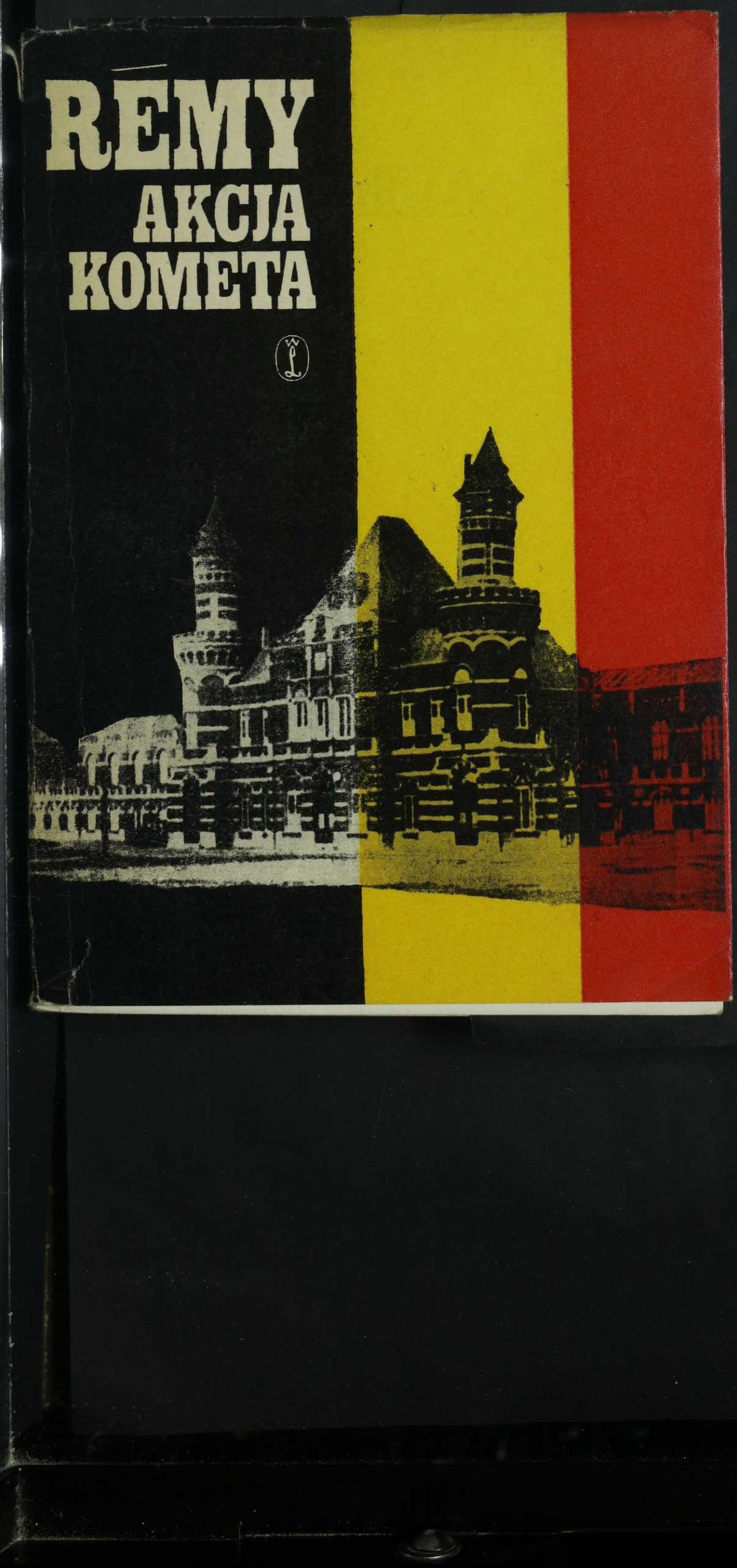
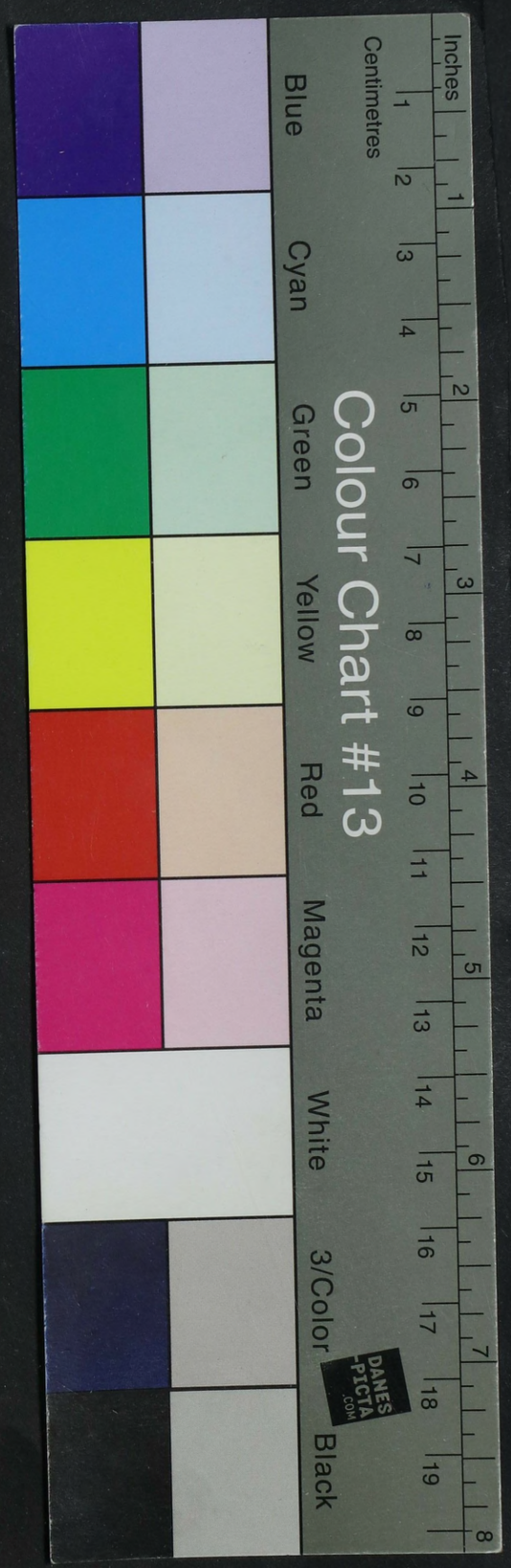

R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA .COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19


RÉMY
AKCJA
KOMETA


Inches
Centimetres
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
DANES-PICTA .COM

RÉMY

AKCJA KOMETA



Rémy

AKCJA KOMETA

Akcja Kometa, książka o belgijskim Ruchu Oporu, oparta jest na autentycznych wydarzeniach, jakie rozgrywały się w Belgii, Francji i Hiszpanii podczas II wojny światowej.

Autor, zasłużony pułkownik Gilbert Renault (pseudonim okupacyjny Rémy), był w okresie opisywanych wydarzeń asem wywiadu alianckiego, nazywanym Tajnym Agentem generała de Gaulle'a, Wodza Francji Walczącej, przebywającego w Londynie.

„W sierpniu 1940 roku generał de Gaulle — pisze Rémy w *Przedmowie* — powierzył mi szczególne zadanie: zorganizować wywiad na terenie Francji okupowanej przez wroga... Udało mi się dobrze spełnić tę misję, lecz pociągnęła ona za sobą mnóstwo poświęcenia, nieustannych wyrzeczeń, uciążliwy haracz cudzych łez i krwi... Podczas swej pracy zetknąłem się z inną formą odwagi, nie mającej sobie równej: odwagi, jaką zademonstrowali Belgowie, którzy przy współudziale Francuzów wykuli łańcuch przerzutów Kometa. Tajna Siatka, misternie zadzierzgnięta w trzy główne węzły w Brukseli, w Paryżu i w Pirenejach, przyczyniła się do ocalenia ponad trzystu alianckich lotników zestrzelonych nad Belgią i Holandią..."

Członkowie Siatki, wśród nieustannych niebezpieczeństw, udzielali pomocy zestrzelonym lotnikom alianckim chroniąc ich przed okupantem, konwojując przez Belgię, Francję, „strefę okupowaną" i „strefę zakazaną", poprzez Pireneje aż do Hiszpanii. Stamtąd ocaleni lotnicy udawali się do Gibraltaru i z powrotem do Anglii, aby zasilić R.A.F.

Projekt obwoluty
Andrzej Darowski

AKCJA KOMETA

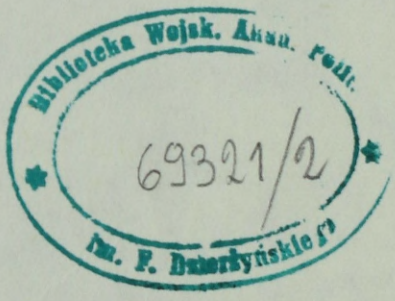
Rémy
AKCJA KOMETA

AUTORYZOWANY PRZEKŁAD
MARII ZIĘBINY

WYDAWNICTWO LITERACKIE KRAKÓW

355.112:9(44)

Tytuł oryginału
Réseau Comète
© Librairie Académique Perrin, Paris 1966—1971



OD AUTORA

W sierpniu 1940 roku generał de Gaulle powierzył mi szczególne zadanie: zorganizować wywiad na terenie Francji okupowanej przez wroga. Podjąłem się tej misji utrzymując osobiście łączność między Francją a Londynem. Przemycałem się na morze ukryty wśród zwałów lin na statkach rybackich, lądowałem w Normandii lub Bretanii na pokładzie małego samolotu „Lysander". Udało mi się dobrze spełnić tę misję, lecz pociągnęła ona za sobą mnóstwo poświęcenia, nieustannych wyrzeczeń, uciążliwy haracz cudzych łez i krwi. Francuzi i Belgowie, którzy weszli do mojej siatki, padali ofiarą losu na morzu i w powietrzu, a niekiedy przez ludzką zdradę umierali w więzieniach, w obozach niemieckich, na szubienicy czy nawet pod toporem kata. Setki innych konało podczas deportacji. Dobrze wiem, co znaczy wysiłek, lęk i cierpienie.

Podczas swej pracy zetknąłem się z inną formą odwagi, nie mającej sobie równej: odwagi jaką zademonstrowali Belgowie, którzy przy współudziale Francuzów wykuli łańcuch przerzutów Kometa. Tajna siatka misternie zadzierzgnięta w trzy główne węzły w Brukseli, w Paryżu i w Pirenejach przyczyniła się do ocalenia ponad trzystu alianckich lotników zestrzelonych nad Belgią i Holandią.

W dwadzieścia lat po wojnie postanowiłem ocalić od zapomnienia historię Siatki Kometa. Przeprowadziłem szereg rozmów z jej członkami, którzy przetrwali. Wywiady utrwaliłem na taśmie magnetofonowej i wiernie odtworzyłem w tej książce. Mam nadzieję, że Czytelnik dostrzeże, jak ze słów uczestników tej akcji wyłania się duch przyjaźni, głębokiego braterstwa wszystkich klas społecznych zjednoczonych w walce z okupantem. W prawdziwym, pełnym znaczeniu tego wyrazu Siatka Kometa była wspólnotą dążącą nieustraszenie do celu mimo aresztowań, deportacji i wyroków śmierci. Na miejsce skazanych wchodzili nowi ochotnicy, młodzi i starsi, pełni wiary w ostateczne zwycięstwo.

Jeden z najaktywniejszych członków Komety uśmiechnął się z politowaniem, kiedy usłyszał, że podejmuję się opisać historię

tej wielkiej sieci przerzutowej. „Najlepiej by Pan zrobił, gdyby natychmiast z tego zrezygnował! — powiedział. — Historia Komety jest tak skomplikowana, że nikt nie doszedłby z tym do końca." Omal mu nie odparowałem, że historia siatki wywiadowczej, którą stworzyłem pod nazwą Bractwa Notre-Dame, też nie była prosta, gdyż ciągnęła się od czerwca 1940 aż do wyzwolenia Paryża, ale zachowałem dla siebie tę refleksję. Przeżyłem tę historię w sposób tak intensywny, że mnóstwo wspomnień wyryło się niezatarcie w mojej pamięci, gdy tymczasem Kometa była organizacją, którą znałem tylko ze słyszenia, prawie przez przypadek.

Trzeba było odnaleźć jej uczestników, rozsianych od Belgii aż do granicy francusko-hiszpańskiej lub nawet niekiedy przebywających w dalekich krajach, jak na przykład Andrée de Jongh, o której wiadomo, że pielęgnuje trędowatych w Kamerunie, lub Jean-François Nothomb, misjonarz franciszkanin w lasach Wenezueli. Tysiące kilometrów oddzielały mnie od człowieka, któremu nadałem pseudonim „Timothy", nie mogąc ujawnić jego osoby, a Arnold Deppé, który pojawia się obok Andrée de Jongh już na pierwszych stronach mojej opowieści, przechodził zmienne koleje losu w związku z tym, że dawne Kongo Belgijskie uzyskało niepodległość. Niektórzy świadkowie już nie żyją, inni wzdrygają się przed rozgrzebywaniem popiołów, które pokryły dopiero co przygasłe cierpienia i udręki. Co więcej, Kometa przybrała nowe oblicze w związku ze spustoszeniem dokonanym w jej szeregach przez Niemców. Wzrastająca intensywność bombardowań alianckich, która poprzedziła lądowanie w Normandii w dniu szóstego czerwca 1944 roku, uniemożliwiła prawie całkowicie dalsze wędrówki lotników z Belgii do granicy hiszpańskiej. Wtedy rozpoczęła się Akcja Maraton. [1]

---

[1] Na ten temat autor napisał książkę pt. *Mission Marathon* i wydał ją w 1974 roku (przypisy nie sygnowane pochodzą od tłumaczki).

CZĘŚĆ PIERWSZA

Czerwiec 1940—15 stycznia 1943

MAŁY DOMEK W CIBOURE

Postanowiłem rozpocząć zbieranie wiadomości o Siatce Kometa od jej cichych bohaterów, Basków z pogranicza Francji i Hiszpanii. Dowiedziałem się bowiem, że w górskiej wiosce Ciboure żyje dwoje starszych ludzi, którzy swoim poświęceniem przyczynili się do ocalenia kilku setek alianckich lotników.

Towarzyszą mi Yvonne i Robert Lapeyre, dawni znajomi z okresu wojny, stali mieszkańcy tych okolic. Teraz prowadzą mnie do góralki Katalin Aguirre. U niej mam się spotkać z przewodnikiem Siatki, imieniem Florentino.

Ulica wspina się do góry, wąska i kamienista. Na dole pozostała droga wiodąca wzdłuż morza do Hendaye i Dom Infantki tonący w czerwonawym blasku słońca, które zachodzi po drugiej stronie portu Saint-Jean-de-Luz. Uliczka zatrzymuje się na chwilę na przyciasnym parkingu w Ciboure i znowu biegnie w górę, w stronę Urrugne w Pirenejach. Zaraz na prawo widać schody. Dziesięć stopni prowadzi na taras, gdzie bananowiec tworzy zieloną plamę na tle białej fasady. Jesteśmy u celu: przed domem Katalin Aguirre.

— Katalin znaczy to samo co Katarzyna, a zdrobniale mówi się Katialin — wyjaśnia gospodyni.

Czystej krwi Baskijka, Katalin Aguirre ma żywe, czarne oczy. Patrzy na nas bystro spod hebanowego hełmu włosów ściągniętych do tyłu, odsłaniających uparte, wypukłe czoło.

Domyślając się, o czym mówi jego stara przyjaciółka, Florentino Goicoechea słucha i uśmiecha się. On także jest Baskiem, lecz urodził się na hiszpańskim stoku Pirenejów. Podczas wojny domowej bił się po stronie „Rojos" [1]. Tak stronnicy generała Franco nazywali republikanów walczących o niezawisłość swojego regionu. Florentino nie umie mówić po francusku i zaledwie trochę zna hiszpański.

— Powiedz, Florentino — pyta Katalin w ich rodzimym języku — kiedy się urodziłeś?

[1] *Rojos* (hiszp.) — Czerwoni

Florentino patrzy na mnie bardzo niebieskimi oczami i odpowiada ochrypłym głosem.

— Ma sześćdziesiąt siedem lat — tłumaczy Katalin. — Urodził się w 1898 roku. Stara się o obywatelstwo francuskie i czułby się bardzo nieszczęśliwy, gdyby nie zechciano mu go przyznać po tym wszystkim, co zdziałał ten prawy człowiek.

Katialin — przerywa Yvonne Lapeyre — czy nie uważa pani, że lepiej by było zacząć od samego początku?

— Ależ tak, moja ślicznotko! Ma pani rację. Florentino był przewodnikiem. Znał Emila Meyran, który podczas wojny pracował w wywiadzie. Pewnej nocy obudziło mnie pukanie do drzwi. O trzeciej nad ranem! Był to Florentino z panem Meyran.

„Proszę mnie wysłuchać — powiedział. — Pani mnie nie zna, ale wiem od znajomych, że lubi pani kawę. A więc przyniosłem ją z Hiszpanii."

Dałam się wciągnąć w robotę przeciw okupantom. Florentino przekraczał granicę tylko w nocy, gdyż nie było to bezpieczne. Po obu stronach stały warty. Niedaleko wieży Bordagain trzeba było strzec się Niemców, którzy mieli tam posterunek. Lotnicy nie umieli po francusku, więc moja czternastoletnia córka Fifine i sąsiadka Gracy Ladouce odprowadzały ich w nocy do tunelu kolejowego. Każda z nich brała pilota pod rękę i marsz w góry! Potem siadali w trawie i czekali aż nadejdzie Florentino. Trasa marszu wynosiła trzydzieści pięć kilometrów przez Pireneje. Florentino prowadził mężczyzn do fermy Jatzu Baita w pobliżu Urrugne. Tam pili duszkiem świeżo wydojone mleko i szli w góry. Kiedy szalała burza i Bidassoa była zbyt wezbrana, spali wszyscy na tej fermie. Pewnego razu było tam aż szesnastu mężczyzn różnej narodowości: Anglicy, Amerykanie, Belgowie, Francuzi.

Budząc się z zadumy Florentino pracowicie wymawia kilka słów po francusku zachrypniętym głosem:

— Oni mówili „Jak się nazywasz?" Ja mówiłem „Antonio". Wtedy oni mówili „Gdzie ty mieszkasz?" ja...

— Poczekaj, wszystko mieszasz! — wykrzykuje zniecierpliwiona Katalin — To było wtedy, kiedy Niemcy ciebie zatrzymali i umieścili w szpitalu w Bayonne! Nie przerywaj!

Wspinać się, wspinać — mruczy Florentino. — Potem ja wyjmuję koniak. Skończone.

Katalin parska śmiechem:

— Chytry jak lis, mówię panu! Nie wie pan? W dziupli starego drzewa chował swoją skórzaną manierkę z wódką. Dodawał trunkiem odwagi ludziom, których prowadził. Ale czasami było z nimi trudno. Pewnej nocy jakiś Holender, wysoki, gruby, ledwie

się wlókł ze zmęczenia. Zemdlał, zanim zaczęli iść w górę. Florentino wziął na plecy tego grubasa i przeniósł przez rzekę, choć Bidassoa była bardzo wezbrana... Zasłużył dobrze na mały łyk z chahakoa, słowo daję!

— Chahakoa, to manierka, do której Florentino wlewał wino — wyjaśnia pani Lapeyre.

Następnie Katalin opowiada kilka epizodów ze swojego życia.

— Przez całą wojnę pracowałam w hotelu „Eskualduna" w Saint-Jean-de-Luz. Pewnego razu wracając wieczorem do domu spotkałam na drodze jakąś panienkę.

„Dzień dobry pani!" — mówi do mnie grzecznie.

„Dzień dobry — odpowiadam. — Wyszła pani na spacer?"

„Oj, nie, proszę pani. Jestem bardzo zmartwiona."

„A co się stało?"

„Mam troje «dzieci» i nie mogę dla nich znaleźć noclegu."

„Co? — pytam zdziwiona — Troje dzieci?"

Wtedy wyjaśniła, że jej dzieci to lotnicy zestrzeleni przez Niemców. Chce im dopomóc przejść do Hiszpanii, ale nie wie, gdzie umieścić na noc. „Proszę przyjść do mnie" — powiedziałam. — I przyprowadziłam ją tutaj.

Kiedy zobaczyła w domu kuchnię i mały pokoik, była tak zadowolona, że zaczęła się śmiać z radości. „Bardzo mi się u pani podoba!" Od tego czasu lotnicy z Komety często u mnie nocowali.

Jednego dnia pozostał u mnie w domu pan Emile Meyran z ważnymi dokumentami, które otrzymał z Paryża. Następnej nocy miał je przekazać do Hiszpanii za pośrednictwem Florentina. Tymczasem do hotelu, w którym pracowałam, przyjechało gestapo: „*Papiere!*" Pokazałam dowód osobisty, był w porządku. Ale oni rozkazali: „Naprzód! Do domu!"

Myślę sobie: w mojej kuchni siedzi pan Emile... A więc krzyczę: „Aj!" i łapię się za brzuch. Niemiec mi mówi: „Dobrze, proszę iść!" Idę gdzie trzeba, ale po drodze wołam pokojówkę: „Maggy, szybko, szybko, bierz rower i jedź uprzedzić pana Emile, niech umyka z dokumentami". Szłam z Niemcami powoli do domu, byłam już niedaleko, kiedy spostrzegłam, że pan Emile dopiero co wyszedł z domu. Udawał, że mnie nie zna. A tymczasem wszyscy ludzie z Ciboure zbiegli się, żeby się gapić, jak mnie prowadzą dwaj niemieccy żandarmi. Moja Fifine, zamiast się ukryć, pozostała w domu.

Niemcy weszli, szukali wszędzie, w skrzyniach, szafach, na strychu. Jeden zadawał pytania małej i zapisywał wszystko, a drugi tymczasem grzebał w rzeczach.

Fifine wiedziała, co ma mówić w przypadku, gdyby Niemcy

przyszli do domu. Że zajmuję się trochę przemytem, bo mało zarabiam w hotelu, że ludzie, którzy w nocy pukają do mnie, to przemytnicy przynoszący różne towary. No i właśnie panowie Niemcy znaleźli u mnie trzy sery, przeznaczone na wyżywienie lotników i czekoladę, podarunek od Florentina. Zabrali więc moją czekoladę razem z serami. Ale nie znaleźli dokumentów! Potem dowiedziałam się, że pan Emile wyniósł je schowane pod wiatrówką.

Innym razem jakiś obcy mnie pyta: „Czy to pani zna przewodnika?" Był w towarzystwie osiemnastolatka, który nie miał ani grosza.

„Nie — mówię. — Nie znam nikogo takiego."

„Ależ tak! Synowie mojego kuzyna przechodzili tędy, byli u pani."

„No... proszę posłuchać... Znam pewnego mężczyznę, ale nie wiem, kiedy się z nim zobaczę."

Przy okazji powiadomiłam Florentina o tym biednym chłopaku, który czeka dwa tygodnie na przejście granicy.

„Chcesz go przeprowadzić?"

„Tak. Zabiorę go na drugą stronę."

Kiedy nadszedł wieczór, poszłam do fermy na górze razem z chłopcem. Florentino dał mu sandały i prócz tego trzysta franków z własnej kieszeni. Przeszli do Hiszpanii, Florentino powrócił, ale młody dał się złapać i zaczął sypać. Aresztowano tego, który go do mnie przyprowadził. Do fermerki, gdzie chłopak pił mleko, zgłosiło się gestapo udając Anglików. Poczułam się mocno zagrożona. Razem z córką wyjechałam do Paryża. Po upływie miesiąca wróciłyśmy. Sprawa przycichła. W dalszym ciągu przyjmowałam u siebie lotników.

Katalin przyglądała się z uśmiechem swojemu wiernemu druhowi.

— Przypominam sobie, jak po wojnie pojechaliśmy oboje statkiem do Anglii. Florentino właśnie się ożenił, ale zostawił żonę i śmiał się, bo była trochę zazdrosna, że on jedzie razem ze mną... Anglicy bardzo dobrze nas przyjmowali. Wtedy Florentino zaczął jeść za pomocą kciuka i noża, w berecie na głowie. Przy nim siedział jakiś pułkownik angielski, a obok mnie jakaś pani. Nawet nie wiedziałam, kto to jest. Ona mi szepcze do ucha:

„Ależ proszę mu powiedzieć, temu mężczyźnie, aby jadł widelcem!"

A pułkownik mnie pyta: „Co powiedziała ta dama?"

Odpowiadam: „Aby jadł widelcem".

„Niech je tak, jak jest przyzwyczajony i niech zostanie w berecie na głowie!" — powiedział pułkownik.

Przez Ostendę pojechaliśmy dalej do Brukseli, zwiedziliśmy Belgię, a potem powróciliśmy w Pireneje.

Przed czterema laty po uroczystości w ratuszu paryskim pojechałam na dwór angielski, tym razem samolotem. Powiedziano mi, że muszę ubrać się w mantylę, by wystąpić na dworze. Widziałam królową i jej matkę, która wszystkim podała rękę, i księcia Filipa, który także wszystkim podał rękę — chociaż z taką miną, jakby miał tego dość. A potem — szampan, whisky, ciastka, lody, wszystko, co kto chciał.

A więc jeżeli pan z tego zrobi książkę, proszę nie zapomnieć w niej wspomnieć o doktorze Spéraber, który leczył za darmo rannych. Zapomniałam powiedzieć, że byli i tacy wśród lotników! No i także musi być nazwisko Elvire Morelle, wysokiej, silnej i odważnej! W San Sebastián leczono jej złamaną nogę. O tak, można śmiało powiedzieć, że panna Elvire miała *mitcha*!

Znowu Yvonne pełni rolę tłumacza:

— W języku Basków *mitcha* znaczy, że ma się dużo energii, silnej woli!

— O tak, to prawda! — potwierdza Katalin. — Silnej woli to Elvire Morelle miała prawie tyle co Dédée.

Imię Dédée sprawia, że oczy Florentina ze wzruszenia stają się zamglone i łagodne.

— Pewnie było panu trudno zorientować się — mówi pani Lapeyre — Katalin opowiadała naraz o wszystkim, w miarę jak wspomnienia przychodziły jej do głowy. Aby się dowiedzieć, jak działała tutaj Siatka Kometa, powinien pan spotkać się z Ciotką Go, która mieszka w Brukseli.

WIZYTA U CIOTKI GO

W Brukseli, przy końcu ciągnącej się w nieskończoność avenue de la Couronne, stoi wąski wysoki dom numer 424. Słysząc dzwonek Pani Elvire de Greef schodzi otworzyć drzwi i prowadzi mnie na pierwsze piętro.

Pani de Greef ma głos o czystym brzmieniu, wyraźny, głos kobiety przyzwyczajonej bez najmniejszej wątpliwości iść prosto do celu, nie zbaczając z drogi. Łatwo się domyślić, że to urodzona organizatorka.

— Przed wojną byłam sekretarką w redakcji dziennika „Indépendance belge", którego naczelnym redaktorem był pan Hislaire, przyjaciel pana Van Zeeland. A potem nadszedł maj 1940 roku.

Mój dyrektor zdecydował się opuścić Belgię, po to, aby głos naszego kraju dawał się słyszeć poza terytorium podlegającym kontroli nieprzyjaciela. Mój mąż, Fernand, zasiadł za kierownicą samochodu na czele prawdziwej karawany, w której brałam udział wraz z dwojgiem naszych dzieci: Frédérikiem, zwanym „Freddy", który miał osiemnasty rok, i piętnastoletnią Janine. Moja matka, z pochodzenia Francuzka, zwana przez nas „Bobonne", także była z nami.

Mój mąż, który kierował likwidacją pewnych spraw brytyjskich, znał Anglika nazwiskiem Albert Johnson. Dla nas wszystkich był on „B" wymawianym z angielska, to znaczy „Bi". Od kilku lat „B" towarzyszył hrabiemu Baillet-Latour, przewodniczącemu Olimpiady. Znajdował się w Brukseli w czasie inwazji na Belgię.

A więc wyjechaliśmy. Dotarliśmy do wybrzeża, które było bez przerwy bombardowane i udaliśmy się do Normandii. Ale ona też okazała się wkrótce zagrożona, więc posunęliśmy się na południowy zachód i w końcu przybyliśmy do Biarritz. Stamtąd — aż do Tuluzy w daremnej nadziei, że tam odnajdziemy rząd belgijski. Tuluza tak była zapchana uciekinierami, że nie można było liczyć na znalezienie tam mieszkania. Skręciliśmy w kierunku Bayonne. Stamtąd pan Hislaire zdecydował się wyjechać do Stanów Zjednoczonych z kilku ważniejszymi pracownikami dziennika.

Mój mąż i ja nie zgodziliśmy się na ekspatriację. Przy pomocy pana Domain, mera Anglet, znaleźliśmy dom całkowicie pusty, przy końcu leśnej drogi, niedaleko od merostwa, skąd rozciągał się wspaniały widok na wierzchołki pierwszych gór i ząbkowany szczyt Trois Couronnes.

W tym czasie mój mąż zajął się zamaskowaniem nazwiska Alberta Johnsona, zanadto rzucającego się w oczy, które mogło szczególnie na siebie ściągnąć uwagę, odkąd przystąpiono do sporządzania kartek żywnościowych. Dzięki „obsłudze cudzoziemców" merostwa w Anglet, „B" zamienił się w Alberta Jonion. Ale był to tylko wybieg prowizoryczny i trzeba było znaleźć coś lepszego, aby ustrzec „B" od kontroli Niemców, którzy nadzorowali ludność nadbrzeżnej strefy. Postarałam się u Niemców o passierschein, czyli przepustkę wymaganą do przekraczania granicy, aby, jak im powiedziałam, załatwić różne rodzinne sprawy w Belgii. Ten dokument przyznano mi na okres od 12 marca do 12 kwietnia 1941 roku; na życzenie pana Domain mój mąż, który doskonale mówił po niemiecku, reprezentował merostwo Anglet wobec władz okupacyjnych, co ułatwiało sprawę i uzasadniało naszą obecność na baskijskim wybrzeżu. Trzeba nadmienić, że mój mąż w miarę możli-

wości wykorzystywał swoje funkcje dla ochrony mienia francuskiego przed surowością rekwizycji niemieckich.

Przyjechałam więc do Brukseli, zaopatrzona w jedną fotografię „B". Miała figurować, opatrzona urzędową pieczęcią, na dowodzie osobistym wystawionym dla Jeana de Greef, siostrzeńca mojego męża, o którym Niemcy nie mieli potrzeby wiedzieć, że znajduje się w Kongo.

Moja bratowa zaraz na to się zgodziła i scenariusz tej akcji szybko się zakończył. Poszłyśmy razem do biura ewidencji ludności w gminie Ixelles oświadczając, że mój bratanek Jean, mieszkający w Kongo, prosi o dowód osobisty, aby mieć możność powrotu do Belgii. Bratowa przedłożyła fotografię „B" na żądanie; miałyśmy jako świadka siostrzenicę i pana Tiberghien, jednego z kolegów, który wspólnie z nami działał czynnie w Ruchu Oporu, był tam znany pod imieniem John. Wszystko poszło jak po maśle i kompetentny urzędnik wydał bratowej dowód idealnie autentyczny, tylko tyle, że z fotografią „B" zamiast zdjęcia Jeana de Greef.

Za radą Johna odwiedziłam pana Appert, oficera rezerwy, który miał chyba stopień majora i był związany z kierownictwem *Société Générale de Belgique*. Pan Appert zwierzył mi się, że pozostaje w kontakcie z panem Kamilem Guttem, ministrem finansów rządu belgijskiego, który się ulokował w Londynie.

„Czy zgodzi się pani pracować dla wywiadu?" — zapytał.

„Nie, proszę pana. Bardzo żałuję, ale tam gdzie mieszkam obecnie, to nie jest możliwe. Nie nadaję się do przekazywania informacji. Ale może mogłabym być użyteczna udzielając schronienia osobom, które by pan do mnie kierował, zanim przejdą do Hiszpanii... Zacznijmy od czegoś zwykłego, okażmy się roztropni zakładając stałą bazę."

„Dobrze — odpowiedział pan Appert — znam właśnie chłopca szukającego sposobu, jak przemycać do Hiszpanii mężczyzn, którzy pragnęliby walczyć. Czy chce pani, bym go do pani przysłał?"

„Zgoda."

„W jaki sposób nabierze pani pewności, że to właśnie o niego chodzi. Trzeba by jakiegoś hasła."

Pomyślałam o uroczym małym piesku, którego bardzo lubiłam:

„Otóż tak będzie, panie Appert. Osoba, którą pan do mnie przyśle powinna powiedzieć: «Czy to prawda, że Gogo nie żyje?»"

„Kto to jest «Gogo»?"

„Imię pieska, którego straciłam."

„Bardzo dobrze. Niech tak będzie."

Nieświadomie wybrałam sobie przyszły pseudonim w Siatce,

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.

która pewnego dnia została nazwana Kometą. Dla wszystkich stałam się potem Ciotką Go.

Powróciłam do Anglet zaopatrzona w cenny dowód osobisty przeznaczony dla „B". W maju 1941 roku przyszedł do mnie wysoki chłopiec, który miał wyraz twarzy pełen wiary i entuzjazmu, obraz optymizmu odpornego na wszystko. Powiedział: — „Biedny Gogo! Czy to prawda, że nie żyje?"

Mój gość nazywał się Arnold Deppé. Na odjezdnym oświadczył: — „Teraz jestem już całkiem spokojny. Będziemy przeprowadzać do Hiszpanii tych, którymi się opiekujemy".

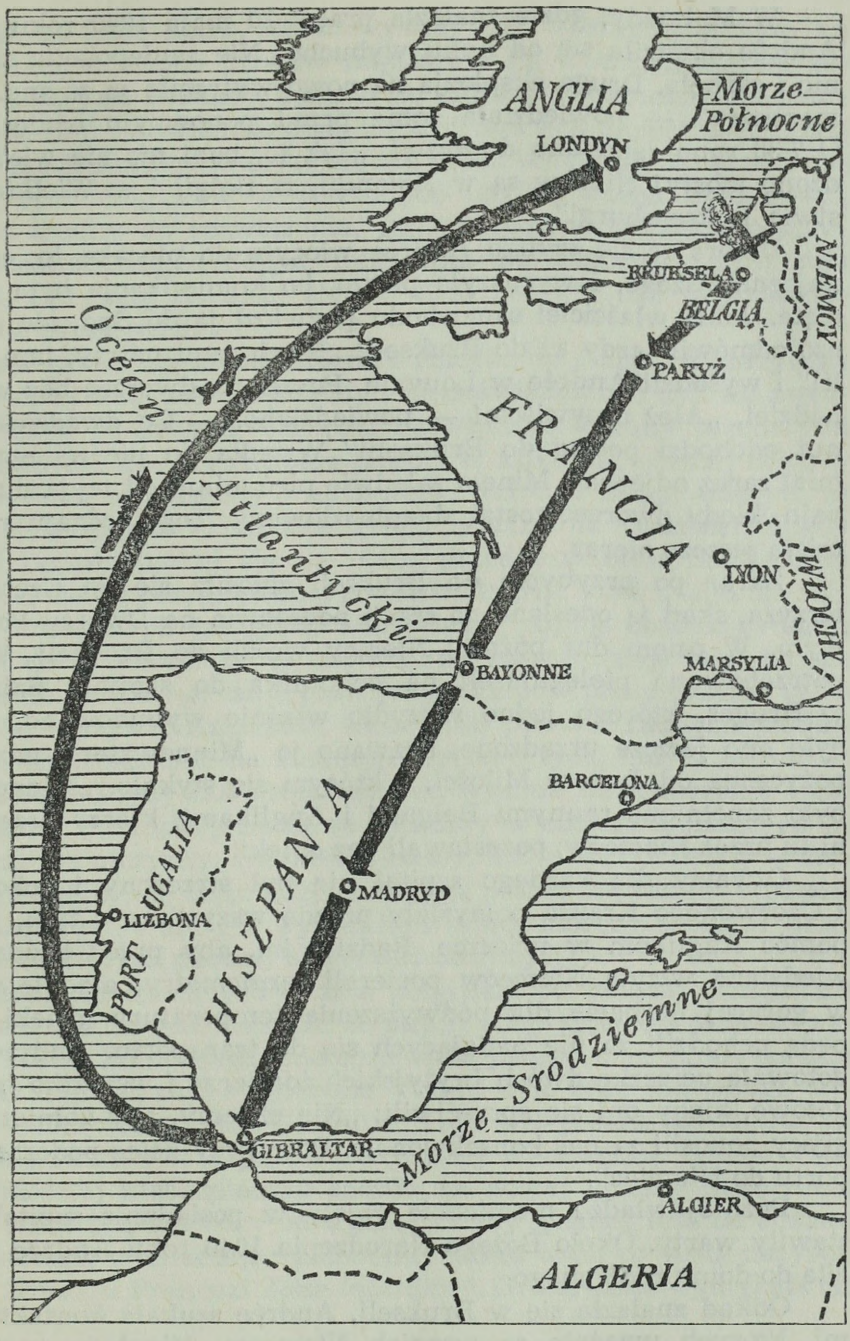
Pragnęłam w to wierzyć. W kilka tygodni później, przy końcu czerwca, zobaczyłam, że Arnold Deppé powrócił w towarzystwie młodej dziewczyny, śmiejącej się blondynki. Tej, którą wszyscy będziemy nazywali Dédée.

DÉDÉE I JEJ NAJBLIŻSI

Urodzona w czasie pierwszej wojny światowej pod pierwszą okupacją niemiecką na terytorium Belgii, Andrée de Jongh była młodszą córką kierownika szkoły podstawowej z placu Gaucheret w Schaerbeek, wielkiej przemysłowej gminie północno-wschodniego przedmieścia Brukseli.

Szesnastoletnia Andrée odeszła z liceum nie kończąc ostatniego roku nauki. Jak mówiła, cierpiała na „niestrawność matematyki" i oświadczyła rodzinie, że pragnie zostać pielęgniarką. Ten pomysł nie bardzo się podobał rodzicom. Ale Frédéric de Jongh miał pełne zaufanie do Małego Cyklonu, jak nazywał swoją drugą z kolei córkę, do której powiedział w obecności żony: „Masz niezależny charakter, twój projekt zupełnie nam się nie podoba, ale nie zabronimy ci robić tego, na co masz ochotę. W każdym razie, jeżeli to nie wyjdzie ci na dobre, nie będziesz miała powodu się żalić! Powinnaś mieć odwagę ponosić konsekwencje swojego kroku. Wolelibyśmy, abyś wybrała inny kierunek: sztukę dekoracyjną, bo masz zdolności do rysunków. Jednak, jeżeli pragniesz koniecznie być pielęgniarką, pracuj konsekwentnie w tym zawodzie".

Andrée wybrała rozwiązanie pośrednie: zapisała się do Szkoły Sztuk Zdobniczych, ale wieczorami uczęszczała przez dwa lata na kurs pielęgniarek. Już wisiała groźba wojny nad światem, a więc po ukończeniu kursu zgłosiła się jako ochotniczka i podpisała zobowiązanie podjęcia służby w razie mobilizacji.


ANGLIA
Morze Północne
LONDYN
NIEMCY
BRUKSELA
BELGIA
PARYŻ
FRANCJA
Ocean Atlantycki
LYON
WŁOCHY
BAYONNE
MARSYLIA
BARCELONA
PORTUGALIA
LIZBONA
MADRYT
HISZPANIA
Morze Śródziemne
GIBRALTAR
ALGIER
ALGERIA

W Malmédy, gdzie znalazła pracę, 10 maja 1940 roku w nocy Andrée obudziła się od huku wybuchu. Nie zaniepokoiła się zbytnio i zasnęła. Druga eksplozja na nowo wytrąciła ją ze snu. „To są manewry" — powiedziała sobie przed ponownym uśnięciem. — O 7.30 rano zapukano do drzwi: „Jak to, pani nic nie wie? Wysadzono mosty! Niemcy są w Holandii, w Belgii i w Wielkim Księstwie Luksemburg!"

Ubierając się szybko Andrée włożyła do plecaka to, co miała najcenniejszego, i wyruszyła pieszo, bo komunikacja była już odcięta. Jakiś właściciel samochodu podwiózł ją do Spa, ale stanowczo odmówił jazdy aż do Brukseli: „Niech pani patrzy, tam się pali!" i wysadził Andrée w Louvain. Poszła na dworzec bez większej nadziei. „Ależ oczywiście! — powiedziano. — Co dwadzieścia minut odchodzi pociąg do Brukseli!" Wsiadła do pierwszego, który miał zaraz odjechać. Minęło zaledwie pięć minut od wyjazdu z Louvain, kiedy dworzec został zbombardowany. Tego rodzaju szczęście miała jeszcze nieraz.

Zaraz po przybyciu do Brukseli zgłosiła się do Czerwonego Krzyża, skąd ją odesłano do stacji pogotowia na Dworcu Południowym. W osiem dni później Niemcy weszli do Brukseli. Wkrótce potrzebowano pielęgniarek na ochotnika do szpitala Saint-Jean w Bruges, którego jedno skrzydło właśnie wybudowano, ale nie było ono jeszcze urządzone, nazwano je „Minnewater", nazwa zapożyczona od Jeziora Miłości, z którym się stykało. „Minnewater" było zapełnione rannymi Belgami i Anglikami, którzy przewiezieni tu przez Niemców, pozostawali bez opieki.

Otwarty dla każdego szpital nie był strzeżony i ochotniczki z Czerwonego Krzyża pomyślały przede wszystkim o tym, jak dopomóc Anglikom w ucieczce. Radziły im, aby przed każdą zapowiedzianą wizytą Niemców pocierali termometry; albo je maczali w gorącej herbacie dla podwyższenia temperatury, dzięki czemu będą uchodzili za nie nadających się do transportu. Andrée przygotowała ucieczkę dwóch brytyjskich żołnierzy i wszystko było już gotowe, kiedy oni się sprzeciwili: „Nie chcemy, aby żołnierze belgijscy ponosili za nas konsekwencje. Potrafimy uciec podczas transportu do Niemiec".

Później władze niemieckie objęły w posiadanie szpital i postawiły warty. Około Bożego Narodzenia 1940 roku Andrée powróciła do domu rodzinnego.

Odkąd znalazła się w Brukseli, Andrée szukała kontaktu z tymi, których uważała za wrogich Niemcom. Nie było to trudne, zdaje się, że cała Bruksela konspirowała: zarówno na ulicy, jak w kawiarni jeden drugiemu podawał tajemnicze kartki, nikt nie

wiedział, do kogo dotrą, ale to wywoływało wrażenie, że było się użytecznym w walce przeciw najeźdźcy. Po trochu nastąpiła selekcja. Lepiej się poznano, budziło się zaufanie, wysłuchiwano poufnych zwierzeń i dowiedziano się, że tu i tam żyli ukryci w przyjaznych domach Anglicy, którym się nie udało wsiąść na okręt w Dunkierce. Tych Anglików w pierwszym rzędzie trzeba było żywić, problem trudny do rozwiązania, gdyż zaopatrzenie poddano surowym obostrzeniom, a Belgia, zamknięta dla importu, przymierała głodem. Dla całej ludności zima z 1940 na 1941 rok była bardzo ciężka do przetrwania.

Mała grupa, do której należała Andrée de Jongh, wykazywała wiele dobrej woli, ale wszyscy byli niedoświadczeni i dali się aresztować jeden po drugim. Chłopiec nazwiskiem Blicquy przedstawił Dédée swojego kuzyna Arnolda Deppé. W kilka dni później Blicquy został z kolei zatrzymany i niebawem Andrée i Deppé odkryli, że pozostali jedynymi członkami grupy jeszcze na wolności. Kiedy Arnold Deppé spotkał się na placu przed kościołem Saint-Gilles z Andrée, trochę przygnębioną, powiedział: „Nic sobie z tego nie rób, Dédée! Postępowali jak głąby kapuściane!" Oboje zbadali sytuację i doszli do przekonania, że trwonili na marne swoje siły, bo nie prowadziło do niczego takie rozwijanie skarbów pomysłowości tylko po to, by wyżywić Anglików, którzy nie ponosili żadnych trudów wojennych, a narażali na niebezpieczeństwo tych, którzy im udzielali gościny. Gdyby zaś zużyć ten sam wysiłek na stworzenie trasy przerzutów, ci Anglicy na nowo weszliby w szeregi walczących po powrocie do ojczyzny. Natomiast osoby, które im udzielały schronienia, mogłyby się zająć pożyteczniejszą pracą. „Świetnie — powiedziała Andrée — ale nie wyobrażam sobie, którędy mogliby przechodzić ci, których chcemy skierować do Anglii?"

Przestrzeń dzieląca wybrzeże belgijskie od brzegów Anglii nie jest duża, ale ścisłość kontroli ze strony nieprzyjaciela wzdłuż wybrzeża Morza Północnego uniemożliwiała jakąkolwiek próbę wejścia na okręt. Było to zbyt ryzykowne. Trzeba było brać pod uwagę wyłącznie długą trasę przez Gibraltar. Lecz ileż przeszkód! Można się zetknąć z Niemcami najpierw na granicy francuskiej, potem w jeszcze bardziej niebezpieczny sposób na nowej granicy stworzonej z woli Hitlera: począwszy od ujścia Sommy granica szła do Jeziora Lemańskiego, wyznaczając zachodnią rubież tego, co wróg nazywał *Grüne Zone* [1], a Francuzi *Zone Interdite* [2]. *Grüne Zone* wymykała się

---

[1] *Grüne Zone* (niem). — strefa policyjna, wojskowa

[2] *Zone interdite* (fr.) — dosłownie strefa zakazana, po której nie wolno się poruszać bez specjalnych przepustek.

już spod władzy generała von Stülpnagel, gubernatora wojskowego we Francji, i była podporządkowana generałowi von Falkenhausen, który miał rezydencję w Brukseli.

Przypuśćmy, że się udało przekroczyć tę zazdrośnie strzeżoną granicę, ale trzeba było jechać aż do granicy francusko-hiszpańskiej po uniknięciu tysiąca zasadzek, po pokonaniu tysiąca przejść. Pozostawało jeszcze wymigać się od nadzoru niemieckiego, który był bardzo czynny w strefie ciasno zakreślonej między Saint-Jean-Pied-de-Port a Oceanem Atlantyckim, a także wymknąć się strażnikom hiszpańskim. Dalej — było nieznane.

„Och! — powiedział Deppé — przez dziesięć lat pracowałem w Bayonne i znam tam kupę przemytników! Nie myślę, żeby przejście do Hiszpanii było zbyt trudne... Zresztą, Dédée, kiedy raz się wyjdzie ze strefy wojskowej, nie zmieniamy strefy, gdyż pozostajemy przez cały czas w strefie okupowanej!"

Przestrzeń do pokonania od Brukseli do Hendaye via Paryż przekracza tysiąc kilometrów. Nie mówiąc już o ryzyku rozmaitych kontroli, których nie brakowało w pociągach, zakładało to z góry konieczność zakupienia kosztownych biletów kolejowych. Skąd wziąć pieniądze?

Nie bez przyczyny Frédéric de Jongh mówił o swej młodszej córce, że była Małym Cyklonem: bynajmniej nie zrażona perspektywą trudności, które mogły skłonić do wycofania się najsilniejszy nawet charakter, Andrée czuła się nimi pobudzona do działania i pokrzepiona. Zaczęła od sprzedania własnej biżuterii, z czego nie uzyskała więcej niż 500 franków belgijskich. W tym samym czasie Arnold Deppé poprosił o roczny urlop i wypłatę z góry poborów swój zakład pracy: firmę produkującą radioodbiorniki. W końcu postanowili, że dla zmniejszenia kosztów Arnold pojedzie sam w pierwszą podróż na rekonesans.

Andrée odprowadziła Deppégo aż do wejścia do *Société Générale de Belgique* i czekała w parku znajdującym się naprzeciwko na wynik spotkania, które miał mieć z panem Appert. Powrócił z niego z lekka speszony, ale jego wystąpienie tylko niewiele poprzedziło odwiedziny pani de Greef u przyjaciela Kamila Gutta i wiemy już, jaki był dalszy ciąg. Przysłany do pani de Greef z właściwym hasłem, Deppé powrócił zachwycony swoją podróżą do Anglet.

Powiedział do Andrée:

„Teraz mamy tam mocny punkt oparcia. Najtrudniejsza sprawa to przekroczenie granicy strefy wojskowej. Nie mamy żadnej szansy przejść przez Amiens, gdzie kontrola jest bardzo rygorystyczna. Ale na lewym brzegu Sommy, naprzeciwko Corbie, zawarłem znajomość

z Nénette, dzielną wieśniaczką, która się zgadza nam dopomóc. Jej ferma leży tuż nad wodą, w sąsiedztwie wioski Hamelet, tam czeka na nas łódka, ukryta w szuwarach na prawym brzegu".

Zebrało się jedenastu kandydatów na wyjazd do Hiszpanii, sami Belgowie. Wsiedli do pociągu w Lille, gdzie Deppé miał znajomości sprzed wojny. Na granicy wszyscy pasażerowie musieli wysiąść z pociągu i zgłosić się we francuskiej komorze celnej. Andrée zauważyła, że celnicy, pod nadzorem żandarmów niemieckich, zadawali mnóstwo podstępnych pytań, na które każdy z Anglików, nawet gdyby umiał się posługiwać francuskim językiem, z trudnością by odpowiadał. W Lille Deppé pokazał jej różne kawiarnie, w których go znano, a które w razie potrzeby mogły służyć jako punkty spotkań. Potem pojechali do Corbie, a z nadejściem nocy poszli na prawy brzeg Sommy. Ale obiecanej przez Nénette łodzi tam nie było.

„Kto umie pływać?" — zapytała Andrée.

Tylko cztery ręce podniosły się z całej grupy, do której należeli także: młoda dziewczyna, starsza pani ze służby dyplomatycznej „miss Richards" i piętnastoletni chłopak.

Patrząc na czarną wodę płynącą powoli wzdłuż zamulonego brzegu Andrée zastanawiała się. Naprzeciwko szereg drzew znaczących zarys drugiego brzegu odcinał się na nocnym niebie. „Gdybym miała linę dostatecznie długą, która by dosięgła przeciwnego brzegu i z powrotem, przeciągnęłabym ją poza jednym z tych drzew. Zrobiłabym środek lokomocji, gdybym tylko miała do dyspozycji coś w rodzaju koła ratunkowego. Wystarczyłaby dętka." Podzieliła się swoją myślą z Deppé, a on wyruszył na poszukiwanie potrzebnych materiałów, po ulokowaniu wszystkich w zaroślach; Nénette ostrzegła go, że patrole często jeżdżą drogą biegnącą nad Sommą.

Nagle pojawiło się tańczące niebieskie światełko: wydobywało się z wąskiej szpary latarki rowerowej. Usłyszeli zgrzyt kół na żwirze, był to Niemiec w hełmie z karabinem na ramieniu. Andrée dała znak swym towarzyszom. Zamarli w bezruchu, a czas płynął bez końca, aż czerwone światełko znikło na zakręcie.

Wreszcie powrócił Arnold, niosąc długą linę i dętkę samochodową, napompowaną na twardo. Zdobył ją w jakiejś fermie. Ale znowu ujrzeli przyćmione błyskanie latarki i trzeba było zaczekać, aż zniknie tylne czerwone światło roweru. Na fosforyzującej tarczy zegarka Andrée odczytała drugą godzinę rano.

Po rozebraniu się cicho ześliznęła się do wody i zaczęła płynąć ciągnąc linę. Na drugim brzegu opasała nią pień drzewa i wlokła ją za sobą płynąc z powrotem. Na końcu liny umocowali dętkę, jeden z Belgów założył ją sobie pod pachy, a Deppé ciągnął za drugi koniec sznura. Andrée znowu weszła do wody, płynęła wyko-

nując ruchy jedną ręką, a drugą podtrzymywała głowę swego towarzysza. Kiedy znalazł się na drugiej stronie, powróciła z dętką na prawy brzeg i zabrała następnego. I tak tej nocy przepłynęła dwanaście razy tam i z powrotem, pochłonięta jedną obsesyjną myślą: „A jeżeli nas nakryją, to jak potrafimy zachować godny wygląd w takim stroju?"

PIERWSZY CIOS

Pełna wiary w całkowite powodzenie akcji, Andrée de Jongh powróciła do Brukseli, zachwycona pierwszym zetknięciem się z Ciotką Go, w której od pierwszej chwili uderzyła ją niepohamowana energia w połączeniu ze zdrowym rozsądkiem i wyjątkowym talentem organizacyjnym. Willa Anglet położona w pobliżu Bayonne nie opodal granicy hiszpańskiej, stanowiła ogniwo potrzebne do utworzenia długiej trasy ucieczki, od Belgii przez Gibraltar do Anglii.

Zaraz po powrocie do domu dziewczyna postanowiła akcję powtórzyć. Tym razem oprócz konwojowania ośmiu Belgów chodziło o repatriację trzech żołnierzy brytyjskich. Andrée oświadczyła, że nie zgadza się na przejazd Anglików przez Lille.

— Ależ dlaczego? — zdziwił się Arnold Deppé

— Dlaczego? Czyż nie widziałeś ostatnim razem, jak to było? Jak mają odpowiadać na pytania celników? Nie umieją ani słowa po francusku.

Deppé wzruszył ramionami.

— Ech tam, celnicy...

— O nie — powiedziała Andrée. — Nie chcę przedsiębrać niepotrzebnego ryzyka. Przechodzenie z Anglikami przez komorę celną, gdzie wiadomo, że trzeba odpowiadać na pytania, byłoby kuszeniem diabła.

— A więc co zrobisz?

— No cóż, wsiądę w pociąg do Quiévrain przez Mons. Pieszo przekroczę granicę, potem pojadę tramwajem do Valenciennes, a stamtąd pociągiem do Corbie.

— Stracisz szalenie dużo czasu, Dédée!

— Stracę czas, ale zyskam bezpieczeństwo.

Dyskusja toczyła się w kawiarni, jedynym schronieniu, jakim dysponowała Andrée, bo jeszcze nie przyznała się swoim najbliż-

szym do tajnej działalności. Przy jej spotkaniach z Arnoldem był zawsze obecny jego przyjaciel. Był już po czterdziestce, pracował w podziemiu *La Libre Belgique* [1], która zapisała się chlubnie w dziejach pierwszej wojny światowej, pod niemiecką okupacją. Tego dnia przyjaciel nie przyszedł.

— Skoro nie jesteśmy tego samego zdania, jedź przez Lille, a ja pojadę przez Quiévrain, spotkamy się w Corbie. Nie umiesz po angielsku?

— Ani słowa. A ty?

— Tylko tyle, ile można nauczyć się w szkole, ale to wystarczy, żebym sobie poradziła. Zabiorę więc trzech Anglików, a ty bierz resztę.

W przededniu odjazdu dwóch Anglików zostało zaaresztowanych w domach, gdzie się ukrywali. Pozostał tylko jeden żołnierz, Szkot, zwano go Jimem, a prawdziwe jego nazwisko brzmiało w cywilu Colin Cromar. Ustalono, że Andrée w miejsce tamtych przewiezie dwóch belgijskich oficerów. Trzeba było pożyczyć pieniędzy na opłacenie biletów.

Arnold wsiadł razem z pozostałymi sześcioma Belgami do pociągu stojącego po jednej stronie peronu, Andrée już wcześniej ulokowała swoich trzech towarzyszy w pociągu po drugiej stronie tego samego peronu, który miał odjechać o siódmej trzydzieści, w kwadrans później. Andrée pozostawiła Jima pod opieką belgijskich oficerów, a sama poszła do pociągu po przeciwnej stronie — powiedzieć kilka słów do Arnolda.

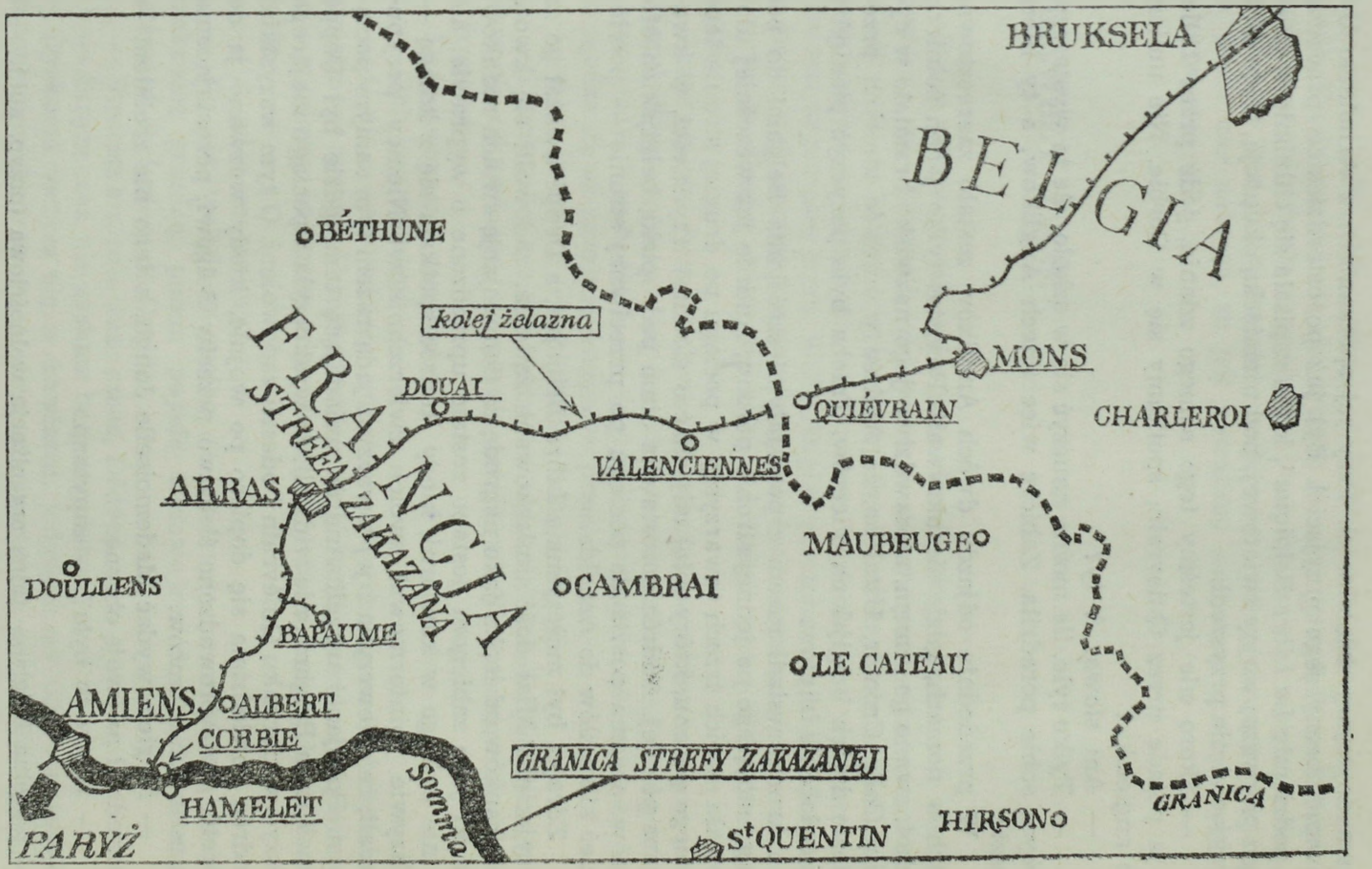
Zdrajcą był mężczyzna z *Libre Belgique*, a Deppé uważał go za przyjaciela. Miał dość umiarkowane żądania, zadowolił się kwotą 200 franków od łepka jako nagrodę za denuncjację swoich rodaków. Dzięki jego zabiegom gestapo zostało uprzedzone o wyprawie, ale że nie było go w kawiarni, kiedy Andrée spotkała się z kolegą — fałszywie poinformował swoich zwierzchników: Niemcy przypuszczali, że dziewczyna i jej towarzysz jadą razem tym samym pociągiem. Policjanci ujrzeli Andrée wsiadającą tam, gdzie był Deppé z sześcioma Belgami, nie widzieli, że wyskoczyła z pociągu mającego ruszyć w kierunku Quiévrain i odeszli zadowoleni. O tym wszystkim Andrée dowiedziała się dopiero po wojnie, kiedy wezwano ją do Sûreté, gdzie prowadzono śledztwo przeciw Belgowi, pozostającemu na usługach Niemców.

— Mogłem wydać Mademoiselle Jongh, a tego nie zrobiłem — powiedział na swoją obronę.

— Kiedy to było? — zapytano.

---

[1] Wolna Belgia — tajna organizacja wolnościowa (przyp. aut.).


BRUKSELA
BELGIA
BÉTHUNE
kolej żelazna
FRANCJA
STREFA ZAKAZANA
DOUAI
MONS
QUIÉVRAIN
CHARLEROI
VALENCIENNES
ARRAS
MAUBEUGE
DOULLENS
CAMBRAI
BAPAUME
LE CATEAU
AMIENS
ALBERT
CORBIE
GRANICA STREFY ZAKAZANEJ
Somma
HAMELET
GRANICA
PARYŻ
St QUENTIN
HIRSON

— W dniu, kiedy konwojowała do Francji swojego pierwszego Anglika. Byłem na dworcu, widziałem jak wysiadła z pociągu odjeżdżającego do Lille, gestapo zawróciło się na pięcie i wcześniej odeszło, tylko ja wiedziałem, że odjechała do Quiévrain... Mógłbym ją zadenuncjować — lecz tego nie zrobiłem.

Andrée dojechała bez przeszkód do Quiévrain wraz z Jimem Cromarem i dwoma belgijskimi oficerami. Wszyscy czworo przekroczyli granicę, zgodnie z planem wsiedli do tramwaju w kierunku Valenciennes i pociągiem dojechali do Corbie. Tam przez kilka godzin na próżno czekali na Arnolda Deppé.

Zrezygnowana Andrée przeprawiła przez Sommę swoich trzech towarzyszy, powierzyła ich opiece dzielnej Nénette, przepłynęła z powrotem rzekę i wsiadła do pociągu jadącego do Lille, mówiąc sobie: „Przede wszystkim trzeba zasięgnąć informacji wśród kolejarzy. Jeżeli znajdę konduktora pociągu z Brukseli, on mi powie". Kiedy go odnalazła, opowiedziała historyjkę o rodzicach, na których czekała na próżno. „Może przewozili tytoń — mówiła. — Czy nic się nie zdarzyło wczoraj przy rewizji celnej?"

Kolejarz był wzruszony zmartwieniem tej młodej dziewczyny. Zapewnił, że w tym pociągu wszystko poszło gładko.

Teraz już Andrée wiedziała, że nieszczęście spotkało Arnolda i jego towarzyszy, musiało to się stać w Lille lub w pociągu z Lille do Corbie. Obeszła po kolei kawiarnie, w których bywał Arnold. Nigdzie o nim ani słychu.

Dopiero później dowiedziała się, że jeszcze raz miała szczęście. Zapomniała o jednej kawiarni. Tam właśnie nakryto jej kolegę z sześcioma Belgami. Niemcy nie mogli się doliczyć jeszcze dwojga — Jima i Andrée. Gestapo czyhało na nich na peronie w Lille stosownie do informacji, jakie otrzymali z Brukseli. Myśląc, że dziewczyna i jej trzej towarzysze im się wymknęli, policjanci czekali w kawiarni zamienionej w kocioł.

Do udręki spowodowanej utratą odważnego kolegi dołączyła się jeszcze jedna poważna troska: aby wywinąć się bezpiecznie z kontroli celnej, Deppé ukrył francuskie pieniądze przeznaczone na podróż w pudełku po sardynkach, starannie oczyszczonym i na nowo zalutowanym za pomocą małej kolby, którą się posługiwał przy produkcji radioodbiorników. Włożył pudełko z powrotem w papierowe opakowanie i starannie skleił. Pudełko leżało obok innego prowiantu na drogę. Później Andrée dowiedziała się, że gestapo samowolnie rozporządziło się żywnością, ofiarowując ją właścicielowi bistro, a więźniów zabrało z sobą.

Przez chwilę bezradna, przypomniała sobie, że pewien Francuz, oficer spahisów, który uciekł z Niemiec i ukrywał się w Brukseli

w zaprzyjaźnionym domu, powiedział jej przed odjazdem do Francji: „Jeżeli pani będzie miała jakieś kłopoty, proszę mnie odwiedzić w Valenciennes". Spotkała u niego Charles'a Morelle i przedstawiła trudną sytuację. Należało odwieźć jak najszybciej Jima i dwóch belgijskich oficerów do granicy hiszpańskiej, ale nie mniej konieczne było wiedzieć, co się stało z Deppém i sześciu konwojowanymi przez niego Belgami. Czy Charles Morelle zgodzi się zasięgnąć informacji w jej domu w Schaerbeek, który pewnie był nadzorowany w przypadku, jeżeli Deppé i jego towarzysze wpadli w ręce Niemców?

Morelle bez wahania podjął się misji, która mogła się skończyć łatwo utratą wolności dopiero co odzyskanej z takim trudem i umówił się, że spotka się z nią w willi Anglet. Podała mu hasło na wszelki wypadek, gdyby jej tam nie było.

Następnie Andrée powróciła do Corbie okrężną drogą przez Douai, Bapaume i Albert. Zabrała trzech mężczyzn od Nénette i razem z nimi pojechała pociągiem do Paryża. Deppé przedstawił ją wcześniej pewnej Angielce mieszkającej w stolicy. Była to osoba tak stara, że Niemcy jej już nie internowali. Zgodziła się w zasadzie służyć jako „skrzynka listowa" i udzielać gościny przyprowadzanym ludziom. Jednak przerażona wiadomością o zniknięciu Arnolda, dama ta nie chciała słyszeć o przyjęciu Jima i dwóch Belgów. „Niech pani wyjeżdża, niech pani jedzie jak najszybciej!" — powiedziała do Andrée, wręczając jej list otrzymany z Bayonne, a przeznaczony dla Deppégo:

„Drodzy kuzyni — pisała Pani de Greef — jeżeli trwacie przy zamiarze spędzenia wakacji na baskijskim wybrzeżu, uprzedzam was, że trzeba prosić o zezwolenie na wysiadkę na dworcu w Bayonne, bo pobyt w naszej strefie został od niedawna uznany za niedozwolony dla przybyszy nie mieszkających tutaj stale. Postarajcie się przed odjazdem, aby wasze dokumenty były w porządku, abyście nie mieli trudności podczas kontroli, które się odbywają podczas postoju pociągu na stacjach".

Fałszywe dokumenty zaginęły razem z Deppém i Andrée nie miała sposobu na zaopatrzenie się w nowe. Pozostawała także kwestia pieniędzy. Obliczyła swoje zasoby: wystarczy na cztery bilety do Bayonne.

Rzucając losowi wyzwanie, wsiadła do pociągu z trzema towarzyszami i tym razem szczęście do niej się uśmiechnęło.

Pani de Greef ostrzegła ją, że pierwsze przejście przez granicę może się nie udać. Czy Andrée pomyślała o dwunastu przeprawach tam i z powrotem przez czarne wody Sommy, o pieniądzach wyrzuconych w błoto na przewodnika? Nie wiem, ale jeżeli nawet myśl taka przemknęła jej przez głowę, decyzja pozostała niezachwiana.

— Gdzie Deppé? — zapytała Ciotka Go.

— Obawiam się, ciociu, że będziemy miały twardy orzech do zgryzienia.

Andrée, opowiedziawszy pani de Greef, co się wydarzyło od chwili jej wyjazdu z Brukseli, zakończyła:

— Powiedz, co myślisz, ciociu Go... Deppé zna twój adres.

— Jeżeli wpadł, będzie umiał milczeć, jestem tego pewna — oświadczyła pani de Greef. — Możemy prowadzić dalej swoją robotę.

Instynkt nie zawiódł Ciotki Go. Dowiedziała się po wojnie, że Arnold Deppé po bohatersku znosił tortury stosowane przez gestapo, które wściekało się, że nie może złapać jego wspólniczki. Znali jej nazwisko z ust zdrajcy. Andrée uśmiechnęła się:

— Droga ciociu, cieszę się, że mu ufasz tak samo jak ja. Muszę ci powiedzieć, że gdyby nawet było inaczej, mimo wszystko działałabym, aby osiągnąć cel.

— Och — odrzekła Ciotka Go — wiem, jaka jesteś niezależna!

Ta uwaga rozśmieszyła młodą dziewczynę. Pewnie przypomniała sobie, że jej ojciec użył kilka lat wcześniej tego samego słowa, kiedy postanowiła zdobyć zawód pielęgniarki. Tamten cel osiągnęła.

Pani de Greef mówiła dalej:

— Ale czy zastanowiłaś się, że Hiszpanie mogą złapać po drugiej stronie granicy tych mężczyzn, których przywiozłaś i odesłać tutaj w ręce Niemców, podobnie jak to się zdarzyło niedawno?

— Nie złapią ich — spokojnie oświadczyła Andrée.

— Patrzcie no! A to dlaczego?

— Ponieważ pójdę razem z nimi do Hiszpanii.

— Ty?

— Gdyby ci, którym pomagamy się przedostać, mieli być odesłani z powrotem do Niemców albo internowani w obozie w Miranda, lepiej by było zaprzestać. A ja chcę prowadzić robotę dalej.

— Powiedz mi, proszę, co masz zamiar zrobić, kiedy się znajdziesz w Hiszpanii?

— Powiedzieć angielskiemu konsulowi, że powinien nam pomagać. W końcu przecież pracujemy dla naszych aliantów!

Gwałtowność tego stwierdzenia wywołała uśmiech na twarzy Ciotki Go.

— Pozwól sobie zwrócić uwagę, moja mała Dédée, że nie jest wcale pewne, czy przewodnik zgodzi się zabrać cię ze sobą...

— A to dlaczego?

— Bo jesteś bardzo młodą kobietą.

— I cóż z tego?

Ciotka Go uśmiechnęła się na nowo. Hardy ton odpowiedzi Andrée jej się spodobał potwierdzając, że od pierwszej chwili intuicja jej nie zawiodła: dziewczyna posiadała w najwyższym stopniu zalety wymagane do roli, której się podjęła: wytrwałość i odwagę.

Przewodnika Tomasa, mówiącego tylko po baskijsku i hiszpańsku, trudniej było przekonać. Zaczął od podkreślania, że przejście wymaga długich godzin uciążliwego marszu po niebezpiecznych perciach i że trzeba także przebrnąć przez rzekę Bidassoa.

— Przebrnę — powiedziała Dédée.

— I jeszcze będzie z osiem godzin marszu, zanim się dojdzie do Harnani.

— I to wszystko? Dobrze, zrobi się tych osiem godzin!

Tomas wzruszył ramionami godząc się z losem. W kraju Basków tak samo jak i gdzie indziej każdy wie dobrze, że „czego chce baba..." [1]

Ustąpił i Andrée wyruszyła pod jego przewodnictwem razem z Jimem i dwoma Belgami; każdy z nich niósł mały pakunek.

Szli coraz to wyżej i wyżej. Z samego szczytu pierwszej góry roztoczył się oszałamiający widok: snop białego światła z przylądka Fuenterrabía obraca się niestrudzenie, a po tej stronie granicy Hendaye pogrążone w ciemności — w tej czerni, która owijała jakby całunem całą Belgię, całą Holandię, cały Luksemburg i większą część Francji, nie mówiąc już o reszcie podbitych terytoriów pozostających pod przemocą wroga upojonego zwycięstwami. Zdawało się wtedy, że w krótkim czasie zmiażdży Czerwoną Armię, która na nowo podjęła walkę!

Przewodnik na próżno czekał na najmniejszą choćby prośbę ze strony dziewczyny o zatrzymanie się, o chwilę wypoczynku. Dziewczyna szła tuż za nim, za nią Jim, potem dwaj Belgowie, jeden z nich zamykał pochód.

Z odwagą i łatwością, której wielu mężczyzn w sile wieku mogłoby jej pozazdrościć, młoda dziewczyna wspinała się po stromych zboczach kozimi perciami, schodziła ku dolinom wąską ścieżką, gdzie każdy krok mógł być zgubny, znowu się wspinała i znowu schodziła w dół. Rzekę Bidassoa przebyli bez trudności i zaczęli na nowo podchodzić w górę w tak rzęsistym deszczu, że Tomas zabłądził, stracili sporo czasu i trzeba było zatrzymać się w zrujnowanej fermie, spędzić tam dzień czekając, aż noc nadejdzie. Pierwszy etap trwał dwanaście godzin.

---

[1] Przysłowie francuskie: *Ce que femme veut, Dieu le veut* — Czego chce kobieta, tego chce Bóg.

Z powodu ograniczeń w przydziałach chleba Ciotka Go dała im na drogę tyle, ile mogła najwięcej, ale było tego zaledwie po dwie kromki na osobę. Szybko je zjedli, a potem drzemali. Dzień wlókł się okropnie powoli. Kiedy już było dostatecznie ciemno, ruszyli w dalszą drogę i maszerowali osiem godzin: w górę, w dół, w górę i znowu w dół. Wreszcie Tomas zatrzymał się przed nędzną fermą w Harnani, w samym środku Guipúzcoa [1]. Chociaż się nie chcieli do tego przyznać i Andrée, i jej towarzysze czuli się wyczerpani.

Weszli do jednoizbowego domku, gdzie ludzie i zwierzęta mieszkali razem. Na środku stała kopka siana wydzielająca słodkawy zapach fermentacji. Tyle było tam pcheł, że Andrée i jej towarzysze odczuli gwałtownie na skórze ich atak. Tomas pożegnał się z dziewczyną.

— Jak to? — zawołała Andrée — opuszczacie nas tutaj? Przecież zapłaciliśmy wam za doprowadzenie do San Sebastián!

Sprzeczka była długa i mozolna, gdyż Andrée nie umiała jeszcze po hiszpańsku. W końcu Tomas dał do zrozumienia, że umówi się z kimś, kto przyjdzie z San Sebastián zaopiekować się czworgiem podróżnych, po czym zniknął w mroku nocy. Usprawiedliwiał się, że szuka go policja.

Andrée i jej towarzyszy, na wpół żywych ze zmęczenia, zaprowadzono na strych, gdzie panowała całkowita ciemność. Gospodarze rozpostarli na podłodze kołdrę tak samo zapchloną, jak kopa siana. Wędrowcy wyciągnęli się na niej w pozycji „na waleta". Pełen delikatnych względów Jim podłożył czystą chusteczkę pod kark dziewczyny. Zapadli w głęboki sen, z którego ich przebudzono, aby podać coś w rodzaju papki, co im bardzo smakowało. Obudzono ich po raz drugi, by się napili po filiżance mleka, potem trzeci raz — żeby im przekazać list napisany po francusku:

„Ja sam szukałem schronienia we Francji podczas wojny domowej i bardzo lubię Francuzów. A więc zatrzymacie się u mnie, to znaczy w San Sebastián, a później zaprowadzę was, dokąd zechcecie. Bądźcie gotowi na godzinę pierwszą trzydzieści".

Andrée wyraziła chęć umycia się, inni chórem także. Wieśniaczka podała każdemu po małym garnuszku wody, tyle tylko, ile mogło wystarczyć dla odświeżenia twarzy. Straszliwie pokąsani przez pchły, byli wszyscy czworo dalej brudni i zabłoceni. Wreszcie ten człowiek, który napisał kartkę, zjawił się o oznaczonej godzinie.

Podobnie jak wielu Basków, bił się swego czasu [2] po stronie

---

[1] Guipúzcoa — prowincja baskijska; główne miasto — San Sebastián nad Zatoką Gaskońską w Hiszpanii.

[2] w 1936 r.

republikanów, o czym już była mowa przy okazji rozmowy o Florentinie, bił się po to, by wywalczyć autonomię dla swojej małej ojczyzny. Miał więcej szczęścia od innych, udało mu się powrócić do San Sebastián, ale musiał zachowywać wielką ostrożność, by nie popaść w podejrzenie u policji. Moi przyjaciele z Komety prosili, bym nie podawał jego nazwiska, ani nawet imienia jego żony. A więc będziemy ich nazywali: ją — Dolores, a jego — Santiago.

— Każdy niech weźmie swoje rzeczy — powiedział po francusku. Wsiądziemy do tramwaju. Jeżeli ktoś zapyta po hiszpańsku, co jest w paczce, odpowiadajcie tylko: *Nada.*

— *Nada* — pewnie znaczy nic — powiedziała Andrée.

— Oczywiście.

— Ale przecież nie robi się paczki, jeżeli się nic nie kładzie do środka?

— Niech pani się nie martwi. W ten sposób odpowiada się strażom obywatelskim.

Pożegnaliśmy biednych wieśniaków, którzy okazali się tacy gościnni, i śladem Santiago wsiedliśmy do tramwaju, pamiętając o poleceniu, aby się rozdzielić, jakbyśmy się nie znali nawzajem. Przejazd odbył się bez żadnej wpadki. Całkiem zabłoceni i obsypani pchłami Andrée i jej towarzysze byli bardzo zdziwieni, że w San Sebastián wchodzą do domu z windą; zawiozła ich do mieszkania utrzymanego w skrupulatnej czystości. Ogromny stół był zastawiony wiktuałami, a na talerzu przeznaczonym dla Andrée Dolores położyła kwiatek. Podróżni byli tak zgłodniali, że posiłek przeciągnął się do piątej po południu, po czym myli się do woli od stóp do głowy przed położeniem się do łóżka. Santiago i Dolores umieścili pięcioro dzieci w swoim pokoju, aby pozostawić jeden dla Andrée, a drugi dla trzech mężczyzn. Kiedy obudzili się nazajutrz rano, oczekiwała ich niespodzianka: odzież i bielizna czysta i wyprasowana. Spędziwszy część nocy przy praniu, Dolores wysuszyła wszystko przy piecu u znajomego piekarza.

Andrée była gotowa pójść natychmiast do konsula angielskiego. Ale Santiago ją powiadomił, że w San Sebastián jest tylko wicekonsul.

— Aby widzieć się z konsulem, musi pani pojechać do Bilbao. No i dzisiaj jest niedziela.

Andrée zaniepokoiła się:

— Bilbao? Ależ to daleko. Trzeba będzie jechać pociągiem...

— Oczywiście — odpowiedział Santiago.

— Mogą być kontrole ze strony policji.

— Nie, jeżeli pani pojedzie wcześnie rano pociągiem badylarzy, który się zatrzymuje na wszystkich stacjach. Będzie pani ra-

zem z chłopami, którzy jadą do Bilbao sprzedawać jarzyny, gęsi, kury, będzie to długo trwało, ale nie zobaczy pani nikogo ze straży obywatelskiej.

Santiago zaproponował, że pokaże Andrée miasto, a dziewczyna nie ośmieliła się odmówić, chociaż miała nogi bardzo obolałe. Przez cały dzień chodziła po San Sebastián obok swojego gospodarza, dumnego, że spaceruje z taką ładną dziewczyną. Wypoczęta dzięki dobrze spędzonej nocy, wstała w poniedziałek rano o świcie, żeby odjechać w towarzystwie Santiago, Jima i dwóch belgijskich oficerów. Straż obywatelska nawet się nie pokazała w pociągu, który dotoczył się do Bilbao późnym rankiem, zużywając aż tyle czasu na przebycie około stu kilometrów.

Skoro tylko wyszli z dworca, Santiago zaprowadził Andrée i jej towarzyszy do konsulatu angielskiego. Szli pieszo, obawiając się ciągle, by nie zaczepił ich jakiś policjant. Serce Andrée zabiło mocno, kiedy ujrzała na bramie tabliczkę z godłem Wielkiej Brytanii, a jeszcze mocniej, kiedy ukazał się przed nią sztandar Union Jack [1], a potem wejście w głębi korytarza. Podobno powiedziała: „Wywarł na mnie piorunujące wrażenie, chociaż to nie w moim stylu wylewać łzy przed sztandarem".

Jakiś Anglik o bardzo młodej twarzy i ciemnych włosach, wyglądający dystyngowanie w dobrze skrojonym ubraniu, choć trochę już podniszczonym, kazał wprowadzić przybyszów do poczekalni.

— Czy mówi pan po francusku? — zapytał go po hiszpańsku Santiago.

— Trochę... odpowiedział Anglik, nie narażając się na kompromitację.

— Przybywam z Belgii z tymi trzema panami — oświadczyła Andrée. — Dwaj są Belgami, trzeci Anglikiem.

— O! a kto jest Anglikiem?

Andrée wskazała Colina Cromara, którego młody attaché konsulatu wziął za ramię i zaprowadził do sąsiedniego gabinetu, widocznie, aby go wypytać. Wrócił po chwili i zwrócił się do dziewczyny:

— Czego pani sobie życzy?

— Chciałabym się widzieć z konsulem — powiedziała Andrée.

— Niestety, nie ma go tutaj. W tej chwili jest tylko wicekonsul.

— Dobrze. A czy mógłby mnie przyjąć?

— Chwileczkę, proszę zaczekać.

---

[1] Union Jack — sztandar Zjednoczonego Królestwa, z krzyżem Św. Jerzego — angielskim, krzyżem Św. Andrzeja — szkockim i krzyżem Św. Patryka — irlandzkim

W minutę później Andrée weszła do gabinetu, gdzie ją powitał mężczyzna o twarzy szczupłej, pooranej zmarszczkami, przenikliwym spojrzeniu i smagłej cerze. „Pewnie dawny oficer marynarki" — powiedziała sobie w duchu Andrée — i nie omyliła się. Mężczyzna wydał się jej wyjątkowo sympatyczny. Poprosił ją, by usiadła, sam usiadł, napchał krótką fajkę tytoniem, zapalił i powiedział: „A więc słucham panią".

Andrée opowiedziała mu wszystko ze szczegółami. Wicekonsul trwał bez ruchu, pykając fajeczkę, ale dziewczyna odgadywała po oznakach prawie nieuchwytnych, że nie tracił ani jednego słowa z tego, co mu opowiadała. Miała tego dowód: kiedy umilkła, krótko streścił wszystko najważniejsze, co od niej usłyszał.

— Czego pani sobie życzy? Czy pani przychodzi prosić nas o pieniądze?

Krew uderzyła do policzków Andrée, która poczuła się straszliwie dotknięta.

— Wcale nie! — zaprotestowała. — To nie przyszłoby mi do głowy! Wiem, przychodzę do pana bez niczyjego polecenia i nie znam nikogo w Anglii.

— A więc czego pani sobie życzy?

— Proszę słuchać, wydaje mi się słuszne, żeby mi zwrócono za podróż Anglika. Cenę biletu z Brukseli do Paryża i z Paryża do Bayonne plus część opłaty za przewodnika. Potrzebuję tych pieniędzy, abym mogła wrócić do Francji.

— Aa, powróci pani do Francji?

— Tak, a nawet do Belgii. Mam zamiar zorganizować siatkę przerzutów do Anglii.

Wicekonsul nie okazał niczym ani aprobaty, ani dezaprobaty. W dalszym ciągu uporczywie przenikliwym spojrzeniem wpatrywał się w swojego gościa.

— Jeżeli pan nie zechce nam pomóc, to poszukam innego sposobu — powiedziała Andrée wyzywającym tonem.

— Co pani proponuje?

— Otóż tak: kiedy przyjadę tutaj z mężczyznami...

— Z Anglikami?

— Tak, z Anglikami. Jest ich jeszcze wielu ukrytych w Belgii, a udzielający im schronienia narażają się na uwięzienie.

— Dobrze. Ma pani zamiar przywozić tutaj żołnierzy angielskich, którzy w ukryciu żyją w Belgii...

— Kiedy ich przekażę w pana ręce, czy pan zgodzi się przesłać ich aż do Anglii, a mnie zwrócić koszt ich podróży i zapłacić za moją podróż tam i z powrotem? Dla tego, którego tu przyprowadziłam, obliczyłam wszystko, nawet bilety metra.

Wicekonsul trwał w milczeniu, nie zaprzestając patrzeć na dziewczynę.

— Zaciągnęłam pożyczkę na pierwszą podróż — mówiła dalej Andrée. — Jeżeli pan mi zwróci, będę mogła opłacić drugą i tak dalej. Gdy wojna się skończy, zwrócę należność za pierwszą podróż tej osobie, która mi zaufała, jeżeli będzie ona jeszcze przy życiu i ja także...

Wicekonsul wstał, wytrząsnął popiół z fajki do popielniczki:

— No cóż, zastanowimy się nad tym. Czy może pani ponownie mnie odwiedzić?

— Kiedy? — zapytała Andrée, którą chłód okazywany przez urzędnika bardzo rozczarował.

— Jutro, o tej samej porze?

— Będę. Co mam zrobić z Anglikiem, którego przywiozłam?

— Przypuszczam, że będziemy mogli go zatrzymać — powiedział wicekonsul odprowadzając ją do progu gabinetu.

Jim czekał na dziewczynę. *God bless you!* [1] — wyszeptał, bardzo wzruszony. Andrée odpowiedziała mu z uśmiechem, uścisnęła dłoń i wyszła z konsulatu w towarzystwie Santiago i dwóch belgijskich oficerów.

— Musimy tutaj pozostać — powiedziała do swoich towarzyszy. — Nie wiem, jak to zrobimy, bo już nie mam więcej pieniędzy.

— Niech się pani nie niepokoi — oświadczył Santiago. — Znam hotel, w którym się mieściła nasza główna kwatera podczas wojny. Jestem pewny, że tam zgodzą się przyjąć waszą trójkę.

— Ale w jaki sposób zapłacę rachunek?

— Niech się pani nie martwi — odpowiedział Santiago.

Nazajutrz Andrée powróciła do konsulatu. Santiago pojechał z powrotem do San Sebastián, a ona pozostała w Bilbao z dwoma belgijskimi oficerami. Wicekonsul przyjął ją uprzejmie, zadawał różne pytania i poprosił, by przyszła nazajutrz. Tak samo było w środę, we czwartek i następnych dni. Za każdym razem wicekonsul zadawał te same pytania, jakby chciał złapać dziewczynę na kłamstwie i za każdym razem prosił, by zjawiła się znowu nazajutrz. W końcu Andrée zniecierpliwiła się:

— Nie mam nic przeciwko temu, żeby mi pan kazał tu przychodzić do końca mojego życia, bo jestem z natury uparta, ale nie chcę dłużej mieszkać na koszt Santiago.

— Bardzo mi przykro, panienko — odpowiedział grzecznie wicekonsul — ale decyzja zależy od naszej ambasady w Madrycie. Jednak mogę spowodować, by zapłacono za hotel. Inna sprawa, że

---

[1] *God bless you!* (ang.) — Niech Bóg panią błogosławi!

zawiadomiłem konsula belgijskiego, który zajmie się dwoma oficerami, którzy są z panią. Mogą się tam zgłosić.

Pewnego poranka, gdy Andrée weszła do gabinetu, wicekonsul ją powitał szerokim uśmiechem: „Przyjechał z Madrytu pan, który musi się z panią widzieć". „Pan z Madrytu" wyglądał na mężczyznę po czterdziestce, ale Andrée sobie powiedziała, że nie ma on chyba więcej niż trzydzieści siedem, trzydzieści osiem lat. Bardzo dobrze wychowany, flegmatyczny, ukrywający uczucia pod doskonałą kurtuazją, odmierzał słowa i sprawiał wrażenie człowieka zrównoważonego w sposób doskonały.

Mówił tak samo dobrze po francusku, jak po angielsku, znając wszystkie subtelności tego języka i Andrée dowiedziała się kiedyś potem, że jego matka była Francuzką.

Dowiedziała się także, że choć wystawiano na próbę jej cierpliwość, każąc powracać co rano do konsulatu, wicekonsul od pierwszego dnia obdarzył ją zaufaniem i wpłynął na to, że podzielał je i „pan z Madrytu", którego ochrzcimy na tę okoliczność „Timothym", gdyż w chwili, w której to piszę, zajmuje on stanowisko pierwszej rangi w dyplomacji brytyjskiej.[1] Rozumiejąc doniosłość propozycji przedstawionej przez Andrée, „Timothy" bezzwłocznie porozumiał się z Londynem, który przeciwstawił się jej przyjęciu: „Nie wierzcie jej! To niemożliwe, żeby ta osoba przeszła przez góry w takich okolicznościach, jak mówi! Mamy podstawy przypuszczać, że to jest agent, prowokator w służbie nieprzyjaciela". „Timothy" w końcu wygrał sprawę oświadczając, że całe ryzyko bierze na siebie; mówiąc bez przesady, narażał przez to całą swoją karierę.

Na jego żądanie Andrée powtórzyła wszystko, co poprzednio mówiła wicekonsulowi, którego bezpośredni szef powrócił tymczasem do Bilbao. Współpracownicy nazywali tego Szkota, bardzo otyłego, *Big chief Sitting Bull*.[2]

W końcu „Timothy" powiedział:

— A więc dobrze, bardzo szybko dojdziemy do porozumienia...

Błysk radości zajaśniał w bardzo niebieskich oczach dziewczyny.

— Rozumie się samo przez się, że ta umowa nie zostanie spisana...

— Proszę pana — odpaliła Andrée — nie znam Anglików, ale zawsze słyszałam o nich, że są ludźmi honorowymi. Wystarczy mi pana słowo.

---

[1] Książka wydana w 1966 r.

[2] *Big Chief Sitting Bull* — Wielki Wódz Siedzący Byk; aluzja do wodza plemienia czerwonoskórych, który walczył przeciw pionierom amerykańskim.

— Proszę mi powiedzieć, do czego, mówiąc ściśle, mamy się zobowiązać?

— Jedyne, czego mi potrzeba, to zapewnienia, że będą mi zwrócone koszty poniesione w związku z podróżą wojskowych, których do was przyprowadzę, jak to już mówiłam panu wicekonsulowi.

— W porządku.

— Ale ma się rozumieć, że będziemy całkowicie od was niezależni! — dodała żywo Andrée. My do was przyprowadzimy ludzi, wy nam zwrócicie to, co na nich wydaliśmy i to wszystko. Będziecie płacić tylko za dostarczony towar.

„Timothy" uśmiechnął się.

— Mówię „towar", bo nazywamy naszych ludzi „pakunkami", aby nie zwracać na nich uwagi Niemców.

— Będzie więc pani dla nas *the postman* — oświadczył „Timothy".

— Co to znaczy?

— Poczciarz. — To będzie dobrze do pani pasowało, bo będzie nam pani dostarczała paczki!

Andrée de Jongh dowiedziała się później, że jej angielscy przyjaciele nazywali *The Dédée Line* ten łańcuch ucieczek, który ona wykuła ogniwo po ogniwie.

Kiedy szczęście przestało się do niej uśmiechać, porzucono tę nazwę, zarówno ze względu na ostrożność, jak i na tę, którą wróg schwytał w końcu w swoje łapy. Dopiero po wojnie, po powrocie z obozu w Niemczech, Andrée dowiedziała się, że Linia stała się Kometą.

CHARLIE

Andrée wysiadając z pociągu na dworcu w San Sebastián zdziwiła się, że Santiago czeka na nią na peronie.

— Skąd pan wiedział, że dzisiaj przyjadę?

Bask uśmiechnął się:

— Nie wiedziałem. Ale odkąd rozstaliśmy się, przychodziłem codziennie i czekałem na panią przy każdym pociągu.

Andrée z trudnością ukryła wzruszenie, jakie ją ogarnęło na ten dowód przyjaźni wyrażony z taką prostotą.

— Santiago — powiedziała, kiedy ją prowadził do swojego domu — chciałabym z panem współpracować...

— Ja również, proszę pani.

— Nie chcę jednak, aby to było połączone dla pana z kosztami. Konsulat angielski załatwił sprawę hotelu w Bilbao, ale jeszcze pozostają wydatki, jakie pan poniósł tutaj na przyjęcie nas...

— Nie ma o czym mówić.

— Ależ tak, wprost przeciwnie! Będzie pan miał jeszcze inne koszty. Proszę pozwolić, bym zwróciła tę kwotę, bardzo mi na tym zależy.

Santiago przyjął pieniądze nie bez oporu.

— Teraz jeszcze pozostaje kwestia opłaty za przewodnika. Trzeba by ustalić jakąś przystępną taksę.

— Tomas wyjechał — powiedział Santiago — ale nic pani nie straci na zamianie. Znalazłem dla pani przewodnika, który zna góry znacznie lepiej od niego. Proszę mieć pewność, że ten nie zabłądzi. Kiedy chce pani wyruszyć?

— Jak najprędzej... Dzisiaj wieczorem?

— Dobrze. Uprzedzę przewodnika w ciągu dnia i zawiozę panią tak daleko, jak się da autem bezpiecznie dojechać. Florentino tam będzie czekał.

Kiedy nadszedł wieczór, Santiago zasiadł za kierownicą i ruszył z miejsca w ulewnym deszczu. Noc była czarna jak atrament. Wkrótce zatrzymał się u wylotu ścieżki, gdzie stał nieruchomo człowiek okryty opończą, w spiczastym kapturze, z workiem na plecach. „Ależ to święty Mikołaj" — wyszeptała Andrée wysiadając z auta. — Santiago ujął jej rękę. „Do widzenia" — wyszeptał. — Florentino odwrócił się: „Anda!"

Andrée domyśliła się, że to słowo znaczy „Chodź!" i poszła za przewodnikiem, stąpając krok w krok za Florentino z obawy, by go nie stracić z oczu, taka głęboka była ciemność wśród deszczu, który nie przestawał padać. Bardzo szybko, po zygzakowatym chodzie Baska zorientowała się, że jest pijany. Jego krok poprawił się nieco, kiedy zaczął się wspinać pod górę.

Przyszli w ten sposób na wierzchołek pierwszego wzgórza i rozpoczęło się pierwsze schodzenie w dół. Niebawem Florentino przewrócił się. Ci, którzy przeżyli podobne doświadczenie, wiedzą, że słychać zawsze, kiedy pada ten, który idzie przodem, że robi się wszystko, aby nie pójść w jego ślady, ale się nań pada, gdyż glina przyklejona do sznurkowej podeszwy płóciennego buta ślizga się po podłożu wyżłobionym przez pierwszy upadek. Florentino przewrócił się kilkakrotnie, zanim schodzenie się skończyło, Andrée za każdym razem padała na niego. Wtedy Florentino łapał ją w ra-

miona mówiąc: *Pequeño beso!* [1] Andrée nie potrzebowała znać hiszpańskiego, by zrozumieć o co mu chodziło, i protestowała: „Nie, nie!"

— *Porqué no?* [2] — pytał Florentino.

Andrée nie ustępowała, stawała na nogi, Florentino także, ruszał dalej i rozciągał się jak długi o parę kroków dalej. Powtarzała się ta sama komedia i trwała osiem godzin w ciemności i deszczu.

— To sukces! — oświadczyła Ciotka Go, kiedy Andrée, po powrocie do willi Anglet opowiedziała o swojej wizycie w konsulacie angielskim w Bilbao. — A góry nie były zbyt trudne do przebycia?

— Ależ skąd! — zaśmiała się dziewczyna. — Jestem przyzwyczajona do Ardenów! A zresztą znaleziono dla mnie przewodnika, który byłby doskonały, gdyby trochę mniej pił. To Bask hiszpański, nazywa się Florentino, podczas wojny domowej przez krótki czas „zawarł pakt z diabłem", inaczej mówiąc walczył wspólnie z republikanami, bo jest zwolennikiem autonomii. Jest bardzo umiarkowany w swoich żądaniach zapłaty jako przewodnik, zna każdy kamień w górach, potrafi wywąchać mundur na odległość stu metrów i nie umie powiedzieć dziesięciu słów po francusku. *Espere un poco, Pequeño beso* i „cicho" — to wszystko. Poza tym mówi tylko po baskijsku. Ale bardzo dobrze posługuje się gestykulacją, podobnie jak „B", kiedy nie chce rozmawiać.

Zajęty strzyżeniem trawnika „B" uśmiecha się do obu kobiet. Lubiący przyrodę, wstawał wcześnie, by się oddawać przyjemnościom ogrodnictwa. Czasem goście dziwili się:

— Jaki dziwny akcent ma ten wasz siostrzeniec! Mówicie państwo, że jest Belgiem, tak jak i wy?

— Tak — odpowiadali państwo de Greef. — Ale przez długi czas mieszkał w Południowej Afryce, a jego matka jest Angielką.

— A, to dlatego. Tak sobie myślałem...

Kiedy natręt odszedł, „B" oburzał się:

— Co go to obchodzi? Przecież nie jest z naszego domu. A poza tym, przecież mówiłem po francusku bardzo „czisto", nieprawdaż?

Pequeño beso Florentina intrygował Ciotkę Go. Andrée wyjaśniła, śmiejąc się ze swojej przygody.

— Gdybym chociaż widziała, jak wygląda! — powiedziała. — Było tak ciemno, a on miał twarz zakrytą kapturem. Wie pani, co było nadzwyczajnego w tym wszystkim: kiedy przechodziliśmy nie-

---

[1] *Pequeño beso!* (hiszp.) — Mały pocałunek!

[2] *Porqué no?* (hiszp.) — Dlaczego nie?

daleko Bidassoa, jego pijaństwo zniknęło bez śladu. Można by powiedzieć: prawdziwy pies gończy czujący w pobliżu *carabineros*.

— Elissondo z pewnością go zna — odpowiedziała Ciotka Go. Zapytamy, co o nim myśli.

Obie kobiety odwiedziły nazajutrz Elissonda, handlarza ryb, który był „szefem" przemytników.

— Niech pan posłucha — powiedziała Andrée — chciałabym zatrzymać Florentina jako przewodnika pod warunkiem, że nie będzie się upijał przed każdą wyprawą i nie będzie plótł ciągle o *pequeño beso*.

— Och, proszę pani — odpowiedział Elissondo — tak było, ponieważ nie przypuszczał, że pani będzie przechodzić granicę więcej niż jeden raz i myślał, że to nie jest nic ważnego, ale skoro pani musi chodzić regularnie, powiem, żeby zachowywał się poważnie, i zobaczy pani, że wszystko będzie w porządku.

Elissondo dotrzymał słowa i nigdy już potem Florentino się nie upił, kiedy miał przeprowadzać mężczyzn do Hiszpanii. Ale jeżeli w powrotnej drodze do Francji Andrée zapomniała mu zakazać nadużywania wina — było regułą, że wracał zataczając się.

Nadszedł wieczór. Po zakończonej codziennej pracy w merostwie Fernand de Greef zastał swoją rodzinę w towarzystwie Andrée i „B".

Rozmawiano, kiedy nagle Andrée poderwała się jednym susem: ukazał się Charlie Morelle niosąc małą walizkę.

— Widziałem się z pani rodzicami — powiedział. — U nich wszystko w porządku.

— A Deppé? zapytała Andrée. A reszta?

— Wszystkich aresztowano.

Zapanowało milczenie.

— Dédée — powiedział Charlie — moja żona zgadza się. Nasz dom jest do pani dyspozycji i Elvire nam dopomoże.

— Elvire! to moje imię! — zauważyła Ciotka Go.

— To także imię mojej siostry.

Chociaż Andrée nie wtajemniczyła rodziców, teraz już wiedziała, że zrozumieli, czym się zajmuje: wywożeniem z Belgii Anglików i Belgów, którzy chcieli znaleźć się w Anglii. Ale znając entuzjastyczną, a nawet zapalczywą naturę swego ojca powiedziała sobie: „Jeżeli poproszę ojca o pomoc, nie zaprzestanie udzielać mi jej aż do śmierci". Nie pomyliła się: w ostatnim swym liście pisanym do żony, Frédéric de Jongh oświadczył: Dédée nie powinna sobie robić wyrzutów. Gdybym nie współpracował z nią, robiłbym to z kimś innym".

— Czy zna pani kogoś, kto pracuje w La Libre Belgique? —

zapytał Charlie. — Pani ojciec mówił, że to tamten zdradził. Przyszedł do pani domu zawiadomić o aresztowaniu Deppégo wcześniej, zanim ono nastąpiło. Pani ojciec odpowiedział: „Co mi pan opowiada? W ogóle nie znam żadnego Arnolda Deppé".

„Ale pana córka jest we Francji?" — napierał.

„We Francji? Nic podobnego. Jest w Bruges."

Wtedy ten typ opowiedział całą historię. Pani ojciec mi oświadczył: „Skoro Dédée nie może powrócić do Belgii, ja przejmę wszystkie te kontakty, które utrzymywała".

— Wspaniale — stwierdziła Andrée. — Niech mój ojciec robi to do czasu, aż znajdę kogoś, kto go zastąpi. Ale, Charlie, dlaczego proponuje mi pan gościnę w swoim domu w Valenciennes?

Dawny oficer spahisów ogarnął dziewczynę współczującym spojrzeniem:

— Nie może już pani wracać do Belgii, Dédée. Gestapo było u pani.

TOM I JEGO RODZINA

— Powiedziano mi, że jest pani Bretonką?

— Tak, jestem Bretonką. Mój ojciec nazywał się Plessix, pochodził z Noyal-Muzillac, w pobliżu Morbihan — mówi Maria Dumon.

— Bardzo mi jest miło powitać w pani sąsiadkę: Noyal-Muzillac jest w odległości kilku zaledwie kilometrów od Vannes, gdzie się urodziłem. Przede wszystkim prosiłbym, aby pani mi opowiedziała o swoim mężu. Wiem, że został wywieziony do Niemiec i już nie powrócił.

— Eugène chciał się zaciągnąć do wojska w 1940 roku, lecz mu odmówiono, bo już miał czterdzieści pięć lat. Belgia była pod butem najeźdźcy, więc wszyscy czworo szukaliśmy sposobu walki przeciw Niemcom. Na początku roznosiliśmy ulotki i podziemne pismo „La Libre Belgique". Od lipca 1940 roku mój mąż wszedł w kontakt z przyjaciółmi w celu niesienia pomocy żołnierzom angielskim, którym się nie udało dostać na okręt w Dunkierce i byli ścigani przez Niemców. Trzeba było znaleźć dla nich kwatery i dostarczyć kartki żywnościowe tym, którzy zechcieli ich przyjąć. Należało wystarać się o cywilne ubrania, przerzucać ich od jednej rodziny do drugiej, czekając na okazję wysłania do kraju.

Nasze obie córki pracowały w Komecie pod pseudonimami Michou i Nadine.

We wrześniu lub październiku 1940 roku skomunikowaliśmy się z Emmą de Coene, a przez nią z Marcelem Ley i jego żoną Renée. Emma, którą aresztowano jako agentkę wywiadu podczas wojny 1914—18 roku, szukała sposobu, jak wysyłać żołnierzy do Anglii. Była już w kontakcie z kolegą z wielkiej wojny, Georges'em Leclercq. Korzystając z tej linii przerzutów, Marcel Ley powierzył dziesiątkę żołnierzy Pierre'owi Vanderborgt, on z kolei miał ich przekazać profesorowi Nys, szefowi Linii *ABC*.

— Przepraszam panią, że przerywam. Tutaj, w Belgii nazywaliście „linią" to, co my we Francji nazywamy „siatką"?

— Tak jest. Mówiło się również „służba", kiedy chodziło o wywiad. *ABC* była równocześnie linią konwojencką i służbą wywiadowczą. Dzięki tej organizacji mogliśmy przerzucać Anglików, ale zdarzały się zdrady, i zanim wyruszyli mężczyźni, profesora Nys aresztowano. Na skutek tego dwaj żołnierze — Stanley Cook i Joe Robson — których umieściliśmy u państwa Minet, zostali ujęci razem z Marcelem Minet, jego żoną i matką. Marcel Minet pozostawał w kontakcie z Flore, której kochanek miał ucięty palec. Zbyt często potem musieliśmy się natykać niestety na tę parę.

— Od tego czasu Georges Leclercq stał się jakby szefem naszej małej grupy, która zajmowała się jednocześnie wywiadem i ucieczkami. Przybrał imię Luc, a mój mąż stał się Tomem. Ale szukaliśmy po omacku, nie wiedząc jak nawiązać więź z Anglią. Szukaliśmy na wszystkie strony...

Jej córka Nadine zabiera teraz głos:

— Tata przyprowadził do domu młodego mężczyznę, Rogera Lidion, który był uczniem Szkoły Wojskowej. Szukało go gestapo, a więc oddał im się w ręce, aby uchronić rodziców przed aresztowaniem. Został ścięty w Niemczech... Zanim nas opuścił, podał nazwiska i adresy kilku kolegów ze Szkoły.

Około lipca 1941 pani Jonckheer oświadczyła: „Mogę wysłać dwie osoby". Właśnie mieliśmy dwóch żołnierzy u panny Van Mosuenek, którą nazywaliśmy „Tintin" i która także znalazła się później w Ravensbrück. A więc mama poszła do niej po jednego z tych ludzi i zaprowadziła go do pani Jonckheer, a ta dalej przekazała go do „Coco". Dziwny ten „Coco"!

— O kogo chodzi?

— O pewnego pana, który miał manię notowania nazwisk i adresów wszystkich agentów, z którymi był w kontakcie.

— Już wiem. Zdaje mi się, że pani de Jongh mi o nim mówiła.

— To mnie wcale nie dziwi! Ma powody, by o tym pamiętać. Kiedy ten pan został zatrzymany w maju 1942 roku, nie zniszczył notesu i okazał się bardzo miły dla Niemców. W rezultacie czego gestapo wyłapało 286 osób w przeciągu niecałych czterech miesięcy.

— Co się z nim stało?

— Och! To nie przeszkodziło Niemcom go wywieźć!

— Mieliśmy podobny przypadek w mojej siatce. Kiedy się cytrynę dostatecznie przyciśnie...

— Ten pan powrócił, był sądzony za to, co zrobił, skazano go, ale zwolniono przed upływem terminu kary. Wkrótce zmarł, a jego rodzina przecież za to nie odpowiada. A więc lepiej nie wymieniać jego nazwiska.

— Opowiadała pani o chwili, kiedy pani mama poszła po angielskiego żołnierza i zaprowadziła go do pani Jonckheer...

— Ten odjechał, a także drugi, zaprowadzony do „Coco". To byli dwaj pierwsi mężczyźni, których ewakuowaliśmy do Anglii.

— Pierwszy — uzupełniła pani Dumon — odjechał dzięki Siatce Luc. Pani Jonckheer była siostrzenicą pułkownika Giersé, ze Służby Zero, który zajmował się przede wszystkim wywiadem. Pułkownik Giersé był poszukiwany przez gestapo, więc pani Jonckheer ukryła go w zaprzyjaźnionym domu.

We wrześniu 1941 roku mąż pani Jonckheer został zaaresztowany. Wkrótce potem, w nocy, gestapo zadzwoniło do drzwi, aby ją z kolei zatrzymać. Wyskoczyła z łóżka i w rannych pantoflach, prowadząc swoich dwoje dzieci, sześcioletniego Claude'a i pięcioletnią Laure, uciekła przez ogród, podniosła szlaban, przebiegła przez tory kolejowe i ukryła się u pani Brusselmans, skąd do nas zatelefonowała.

Zrobiliśmy wszystko co było w naszej mocy, by dla niej znaleźć schronienie, ale potrzebny jej był dowód osobisty. Mieliśmy dokument pani Braecksmans, która pozostała w Kongo. Wystarczyło zastąpić zdjęcie pani Braecksmans przez fotografię pani Jonckheer ze zmianą miejsca zamieszkania na Uccle...

W podobny sposób postąpiła pani de Greef dzięki pomocy swojej bratowej, aby dopomóc Anglikowi, któremu udzielała gościny. Wydano jej autentyczny dowód osobisty.

— Słusznie, nasz nie wystarczał do pobierania kartek żywnościowych, bez których nie sposób było żyć. Poszłam do burmistrza Uccle, człowiek bardzo na miejscu, który pięknie się zachowywał podczas okupacji, przedstawiłam mu otwarcie sytuację, a on wydał natychmiast rozkaz urzędnikowi od spraw żywnościowych.

W tym samym czasie mąż pani Jonckheer został ścięty w Niemczech...

— Aby otrzymać pewne informacje, poszłam odwiedzić pułkownika Giersego w domu, gdzie się ukrywał. Powiedziałam mu, że wiemy o jego kontaktach z Siatką, która się zajmuje przerzucaniem Anglików do kraju, i że udało się nam odtworzyć osławiony passierschein pomarańczowy, zezwalający przekraczać granicę, dokonaliśmy tego dzięki matrycom, przekazanym nam przez syna aresztowanego przyjaciela.

— Dobrze — powiedział pan Giersé — pomówię o tym i dam znać. W kilka dni później otrzymałam telefon:

„Dzień dobry pani, jestem de Keyser, dzwonię z polecenia wuja Leona. Czy mogę panią odwiedzić?"

Wuj Leon był to pseudonim pułkownika Giersé.

„Dobrze — mówię — w porządku, oczekuję pana."

Dla większej pewności telefonuję do pana Giersé na wszelki wypadek:

„Czy to pan skierował do mnie pana Lempereur [1]"?

Zrozumiał natychmiast, że przetłumaczyłam nazwisko Keyser.

„Tak — powiedział. — Może pani tam pójść."

I w ten sposób nawiązaliśmy kontakt z panem de Jongh: pan „de Keyser" to był on. Tego samego wieczoru przyszedł do nas. Był w domu mój mąż, rozmawialiśmy, wręczyliśmy mu fałszywe niemieckie dokumenty, które potrafiliśmy podrobić. „Ach — powiedział — to będzie cudowne do przewożenia «dzieci»."

W innych siatkach ewakuacyjnych nazywano „paczkami" ludzi, których należało przerzucić za granicę. Ale pan de Jongh, człowiek już niemłody, mówił o nich „dzieci".

SZKOŁA PRZY PLACU GAUCHERET

Tego dnia, podobnie jak i kiedy indziej, kiedy szkoła była czynna, Frédéric de Jongh uczył do godziny czwartej po południu dzieci z Schaerbeek powierzone jego pieczy. Po ostatniej lekcji, kiedy wszystkie odeszły, zapuścił story w swoim gabinecie i przeszedł przez wielki hall. Ktoś zapukał do drzwi w głębi, którędy prowadziło ukryte przejście. Przez te małe drzwi przechodzili ci, którzy potajemnie go odwiedzali; były one przewidziane do użytku

[1] *L'empereur* — po francusku znaczy to samo, co *Kaiser* po niemiecku: cesarz

w przypadku, gdyby policja niemiecka zjawiła się przy głównym wejściu.

Z inicjatywy Andrée Linia rozwijała się, a Paul, jak zwali Frédérica de Jongh jego współpracownicy, kierował sektorem w Belgii.

Charlie Morelle, który utrzymywał łączność między nim a córką, zawiadomił ją, że dwaj lotnicy angielscy, zestrzeleni podczas rajdu nad Niemcami, ukrywali się w domu przyjaciół.

Andrée uważała, że ci lotnicy powinni skorzystać z pierwszej kolejności i powiedziała o tym „Timothy'emu" podczas swojej następnej podróży do Bilbao.

— Jak to! wykrzyknął „Timothy". — Może pani repatriować lotników?

— Ależ tak, dlaczegoż by nie? Mój ojciec mnie poinformował, że pewna osoba ukrywa dwóch.

— Mogłaby pani odnajdywać zestrzelone załogi *R.A.F.*?

— To da się zrobić. Tatuś i ja będziemy musieli rozpatrzyć tę kwestię.

— Gdyby pani potrafiła tego dokonać, byłoby cudownie!

— A więc zrobi się.

— To będzie ogromna praca, zadanie bardzo niebezpieczne — powiedział „Timothy". Niemcy wiedzą tak samo dobrze, jak i my, że jeden lotnik wart więcej niż samolot. Poza tym, będzie pani potrzebowała pieniędzy.

— Dlaczego? Jeżeli tylko pan zwróci koszty podróży, to już wystarczy.

— Ale...

— Powiedziałam już panu, że nie chcemy nikomu podlegać. Gdybyśmy brali pieniądze, już nie bylibyśmy niezależni.

Ton odpowiedzi Andrée nie pozwalał na dalszą dyskusję i „Timothy" już nie nalegał. Po każdym następnym spotkaniu rósł jego podziw dla dziewczyny i ufał jej całkowicie.

O! To pan, panie Janie? — powiedział radośnie Frédéric de Jongh.

Jean Ingels odpowiedział mu uśmiechem i wszedł. W Siatce był znany pod imieniem Jean de Gand, bo pracował w banku tego starego flamandzkiego miasta. Wyszukał sobie jako pseudonim znakomite imię John of Gaunt, wsławione około sześćset lat wcześniej przez księcia Lancastera, trzeciego syna Edwarda III, króla Anglii.

— Dzień dobry, panie de Jongh — powiedział jak zwykle powoli i poważnie.

Jego jasne spojrzenie, przenikające rozmówcę do głębi duszy, zdawało się odzwierciedlać spokojne wody kanałów ojczystych, a małe usta, jakby zaciśnięte tajemnicą, znamionowały niezłomną wolę. Jean de Gand płonął bezustannie wewnętrznym żarem, który przydawał jego oczom nadzwyczajnego blasku.

— Niech pan siada — zaprosił Paul, wskazując krzesło. — Co nowego?

— Przynoszę odzież dla „dzieci".

— Dziękuję. Nigdy nie jest jej za wiele.

— Obecnie przechowujemy dziesięciu Anglików...

— To dużo.

— Tak. To zaczyna się robić niebezpieczne dla tych, którzy ich u siebie goszczą.

— Zajmiemy się nimi — obiecał Frédéric de Jongh.

Niemcy poszukiwali Andrée i mieli jej rysopis dzięki typowi, który się zdemaskował, kiedy przyszedł zawiadomić o aresztowaniu Arnolda Deppégo, zanim to się stało. Ale można było uważać za pewne, że Arnold niczego nie zdradził, gdyż inaczej gestapo niewątpliwie znowu by się pokazało. Jednak chodziły słuchy, że niemiecka policja nie wahała się przed stosowaniem tortur, by zmusić do zeznań, a więc należało zwiększyć ostrożność.

Istniała także ciągle kłopotliwa kwestia pieniędzy. Trzymając się ściśle ustalonej ugody zawartej z Andrée, konsulat angielski Bilbao zwracał wszystkie koszty poniesione podczas podróży z Brukseli do Hiszpanii. Andrée bardzo zależało na tym, by dysponować własną gotówką i zachować niezależność Siatki. Niestety dwa ostatnie konwoje wyczerpały do dna szczupłe środki, którymi Paul dysponował, był więc zmuszony zaciągnąć pożyczkę dla pokrycia wydatków utrzymania i kosztów podróży. Na szczęście wdał się w tę sprawę Henri Michelli, Belg pochodzenia włoskiego, do którego pan de Jongh miał pełne zaufanie. Uzbrojony w tę pewność, Paul odwiedził pana Michellego, który zapytał:

— Ile panu potrzeba?

— Pięćdziesiąt tysięcy franków — nieśmiało wypowiedział Frédéric de Jongh, przerażony pozornym ogromem tej kwoty, jaka była niezbędna.

Henri Michelli otworzył szufladę, wyjął z niej pięć paczek po dziesięć tysięcy banknotów.

— Oto są — powiedziała do ojca Andrée.

Mało brakowało, by Paul się rozpłakał. Ale wtedy ten, którego w Komecie nazywano Henri, wyjawił mu, że kierował służbą wywiadowczą.

— Skoro pan ma możność przekraczania granicy hiszpańskiej, może mógłbym panu powierzyć swoją pocztę?

— Z przyjemnością — odpowiedział Frédéric de Jongh.

Henri zawahał się przez chwilę.

— My nie mamy absolutnie prawa zajmować się lotnikami ani innymi osobami poszukiwanymi przez wroga — powiedział w końcu. — Ale zdarza się, że spadają często na nasze barki ludzie zestrzeleni z *R.A.F.* i nie wiemy, co z nimi robić. Czy moglibyśmy ich kierować do waszej Siatki?

— Po to tutaj jesteśmy — odpowiedział Paul.

Wyraził zgodę, co znaczyło, że obciąża się dodatkową liczbą „dzieci", którym trzeba zapewnić noclegi, wyżywienie, odzież, zanim się je wyśle do Bayonne. Tyle nowych kłopotów, tyle nowych wydatków! Frédéric przebiegł w pamięci listę noclegów, którymi dysponował: Jeannot, inaczej mówiąc pani Jeanne Monnier; Margoton; pani Roberts, zwana „Blandine", dwaj handlowcy z ulicy Alsemberg i przyjaciele Toma...

Mieszkanie, wyżywienie, ubranie — to jeszcze nie wszystko: potrzebne były fałszywe dokumenty. Dwaj urzędnicy miejscy z Chaerbeek dostarczali druków na dowody osobiste, trzeba było je wypełniać i wklejać zdjęcia. Pan René Pirart, profesor Szkoły Sztuk Stosowanych i Rzemiosł, którego nazywano Grawerem z Hainaut, umiał doskonałe podrabiać pieczęcie, co do których najbardziej podejrzliwi żandarmi niemieccy nie mieli zastrzeżeń. Henri Michelli zdobył dla siebie na parę godzin autentyczną pomarańczową przepustkę — passierschein — to mu wystarczyło, by ją dokładnie odtworzyć. Ciotka Go ze swej strony, kiedy jeszcze raz przyjechała do Belgii, powierzyła swój passierschein Eugeniuszowi Dumon, aby René Pirart mógł skopiować pieczęć komendantury z Bayonne i podpis figurujący obok niej. Powróciła na Południe z dwojgiem nowych „dzieci": Robertem Conville i Alanem Cogan; obaj byli Szkotami. Za niecały miesiąc wyjechali pierwsi lotnicy, sygnalizowani poprzednio Timothy'emu przez Andrée. Było ich nie dwóch, a trzech: i nie Anglicy, jak było zapowiedziane, ale dwaj Polacy, Stefan Tomicki i Michał Kowalski, i jeden Kanadyjczyk John Ives. Wszyscy trzej należący do *Royal Air Force* przybyli cało i zdrowo do Hiszpanii 10 listopada 1941 roku.

KOMORA CELNA W QUIÉVRAIN

W dniu piętnastego października 1941 roku — dychawiczna i jakby zawiedziona, że jeszcze raz musi odbyć trasę Mons-Quiévrain [1], którą robiła od tylu lat każdego ranka w dniu roboczym — lokomotywa ciągnęła bez pośpiechu pociąg robotniczy.

Rzucając ukradkowe spojrzenia Ciotka Go czuwała dyskretnie nad Robertem Conville i Alanem Cogan, dwoma Szkotami, którymi się zaopiekowała, aby ich odwieźć na Południe. Może trochę zbyt ostentacyjnie Robert i Alan okazywali, że nie dostrzegają jej obecności. W ubraniach z szorstkiej podniszczonej tkaniny nie odróżniali się od robotników, którzy siedząc na twardych drewnianych ławkach odjeżdżali, jak co rano, do pracy do Francji.

Na prośbę Andrée de Jongh, która nie zdążyła jeszcze założyć swojego *P C* [2] u Charlie'ego, Ciotka Go wyruszyła do Belgii po dwóch mężczyzn. Eugéne'owi Dumon powierzyła swoją pomarańczową przepustkę (passierschein), z której rytownik zdjął wzór na pieczęć *Feldkommandantur* z Bayonne i na podpis komendanta. Teraz chodziło o to, aby wrócić do Anglet [3] z dwojgiem „dzieci" poprzez Corbie [4].

Alan i Bobby byli obaj wyposażeni w fałszywe dowody osobiste, które nadały im nazwiska flamandzkie. Do nakazu, aby odpowiadali tylko monosylabami na pytania, które by im ewentualnie ktoś zadawał w czasie podróży, Frédéric de Jongh dodał wyraźnie polecenie, by nie mieli w kieszeniach niczego, co mogłoby obudzić podejrzenie we francuskiej komorze celnej.

— Niestety — powiedziała mi Ciotka Go — absolutnie się nie zgodzili, by się rozstać z brytyjskimi dowodami osobistymi, które Alan miał przy sobie. „Dzięki nim — mówili — jeżeli Niemcy nas złapią, nie będą uważali za szpiegów, potraktują nas jako jeńców." Chcąc nie chcąc trzeba było ustąpić; te „dzieci", jak ich nazywaliśmy, zachowywały się istotnie jak rozpieszczone dzieci. Uważając nas za aniołów opiekuńczych, nie troszczyli się o nic, pozwa-

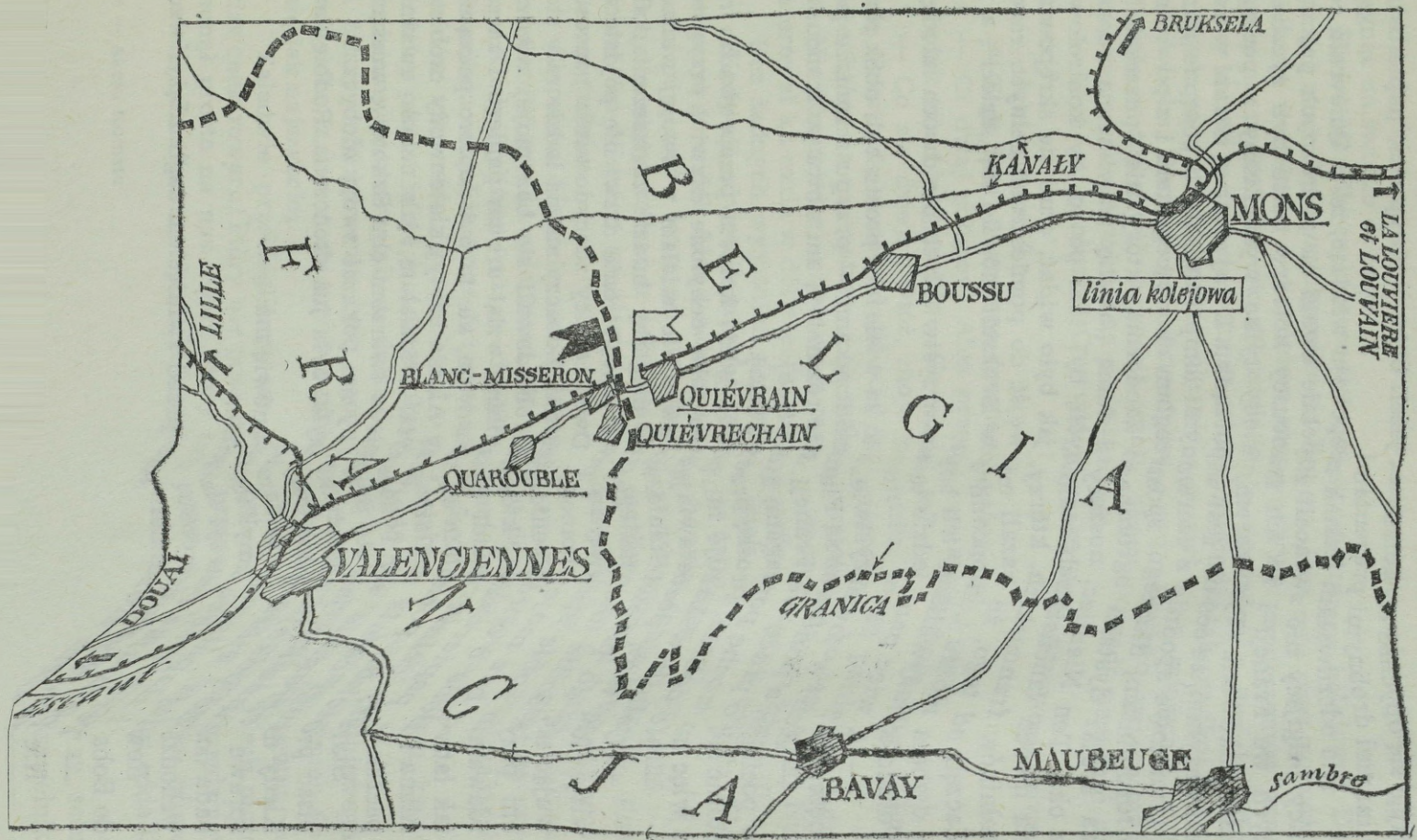
---

[1] Quiévrain — mała miejscowość w Belgii, stacja graniczna z Francją

[2] *PC* — *Poste de Commandement*, punkt dowodzenia, centrala wydawania rozkazów. Tutaj — dowództwo Siatki Kometa

[3] Anglet — miejscowość we Francji, w Niskich Pirenejach; Bayonne — miasto w południowo-zachodniej Francji, w Niskich Pirenejach

[4] Corbie — gmina w Pikardii (Francja)


BRUKSELA
KANAŁY
MONS
LA LOUVIERE et LOUVAIN
BOUSSU
linia kolejowa
LILLE
FRANCJA
BELGIA
BLANC-MISSERON
QUIÉVRAIN
QUIÉVRECHAIN
QUAROUBLE
VALENCIENNES
DOUAI
GRANICA
MAUBEUGE
BAVAY
sambre

lając się opychać czekoladą — jeżeli była — obsypywać papierosami i innymi drobnymi prezentami.

Nie odczuwałam jednak niepokoju wiedząc, że w Quiévrain celnicy belgijscy nie zwracali zupełnie uwagi na podróżnych pracujących we Francji i że ich francuscy koledzy także byli życzliwie ustosunkowani. Tymczasem, kiedy tylko wysiedliśmy z pociągu, zauważyłam, że coś nie jest w porządku. Dwaj celnicy, ubrani w kepi i granatowe spodnie z czerwonymi lampasami, mieli posępne miny. Zrozumiałam, dlaczego: spostrzegłam chodzącego tam i z powrotem na krótki dystans ogromnego żandarma, który nie spuszczał ich z oka. Ten Niemiec, noszący z dumą „blachę" zawieszoną na szyi na dwóch łańcuszkach stalowych, był tam po to, by kontrolować celników francuskich, którzy, jak było widać, czuli się skrępowani. Zaczęli od tego, że kazali mi wejść do pomieszczeń celnych razem z dwoma moimi „chłopcami": w Brukseli mówiło się „dzieci", a na Południu nazywaliśmy ich *boys*.

— A więc pani jedzie w towarzystwie tych oto dwóch młodych mężczyzn?

— Ach! w towarzystwie... to za wiele! Po prostu byli obok mnie w pociągu, a ponieważ są Flamandczykami — przypuszczam, że jadą starać się o pracę we Francji. Nie rozumieją ani słowa po francusku, a więc im trochę pomagam, nic więcej.

— No dobrze. Proszę przejść tutaj.

— Celnik wskazuje mi pokój, gdzie kobieta przeprowadza rewizję. Idę tam, pozostawiając za sobą uchylone drzwi i przygotowując się do przewlekania sprawy. Nie miałam w swojej walizce ani przy sobie nic takiego, co mogłoby budzić zastrzeżenia, ale zdawałam sobie sprawę, że po drugiej stronie drzwi nie pójdzie to tak łatwo bez mojej pomocy. Dwaj celnicy zdecydowanie poprosili Alana i Boba o opróżnienie kieszeni. Zobaczyłam na ladzie cały stos paczek z papierosami, którymi obładowali się bez mojej wiedzy.

Starszy celnik usiadł za stołem, wziął arkusz papieru i zaczął pisać protokół. Poczułam się nieswojo, ale to był dopiero początek. Kiedy drugi celnik znalazł przy Alanie brytyjskie dowody osobiste, sprawa ogromnie się pogorszyła. Widziałam, jak celnik uważnie bada dokumenty, jak się przygląda twarzom obu Szkotów, wreszcie wchodzi do pokoju naczelnika, by mu pokazać swoją zdobycz.

Rewizja, która mnie dotyczyła, była już skończona. Podbiegłam do Boba i złapałam go za ramię.

— Teraz trzeba zmykać! — mówię mu.

Nie pojmując patrzył na mnie.

— Bob, szybko, szybko!

Tym razem zrozumiał. Ale przed zwinięciem żagli zdążył wsu-

nąć do obu kieszeni część papierosów, które poprzednio musiał wyciągnąć na światło dzienne.

Elvire Morelle czekała po drugiej stronie rampy kolejowej. Dałam jej znak, by zaopiekowała się Bobem, lecz mój gest zauważył żandarm w hełmie, z pistoletem maszynowym zawieszonym przez ramię na pasku. Już okazał zdziwienie, że jeden z dwóch ludzi, którzy weszli ze mną do komory celnej, wychodzi tak prędko. Byłam przygotowana na najgorsze, ale nie poruszył się z miejsca i przepuścił Boba. Poszłam po Alana mówiąc mu: „Szybko, uciekajmy!" Właśnie w tej chwili powrócił celnik, który poszedł naradzać się ze swoim szefem. Spojrzał na mnie surowo:

— No i co, paniusiu? Czy wie pani, że pani przewozi dziwne ptaszki?

— Jakie ptaszki?

— Tego tutaj i tamtego drugiego, który był z panią.

— Ci dwaj chłopcy? Ależ przecie oni mają dwie nogi i dwie ręce, tak samo jak pan i ja ... Co się dzieje?

— Co się dzieje? Otóż, moja paniusiu, mogę pani dać jedną radę. Proszę się starać odejść stąd jak najprędzej, bo jest tutaj Niemiec, który na nas patrzy, a ja wolę nie mieć żadnych historii!

Nie rozumiejąc ani słowa z tego, co mówił zacny celnik, Alan skierował ku mnie w dół niewinne spojrzenie.

Bez żadnych wyjaśnień dałam mu znak, by szedł za mną.

Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam, że żandarm się śmieje. Rozśmieszył go widok Alana, zajętego napychaniem sobie kieszeni paczkami papierosów leżącymi na ladzie, jego własnymi i tymi, których Bob nie zdążył zabrać ze sobą. Bardzo możliwe, że ten gest go uratował, bo Niemiec uznał moich dwóch gagatków za zwyczajnych przemytników.

Złapałam Alana za ramię, popychałam go, prowadziłam, każąc mu przejść przed żandarmem, który śmiał się dalej.

Kiedy byliśmy już po drugiej stronie przejazdu kolejowego, mówiłam sobie, że teraz już obaj moi Szkoci nie mają żadnych dowodów tożsamości; jeżeli chodzi o prawdziwe, to byłam pewna, że celnicy postarają się je dobrze ukryć, ale te fałszywe, których może będziemy potrzebowali w dalszej drodze? Co gorzej i prawdziwe, i fałszywe dokumenty były zaopatrzone w ich fotografie. Mimo wszystko, z dowodami czy bez nich, chodziło teraz o to, by oddalić się jak najszybciej.

Zaledwie przebiegliśmy sto metrów — usłyszałam za sobą dzwonek roweru, który nie przestawał brzęczeć. To był nasz celnik, sunął prosto na nas. Alan, który tak samo jak ja go dostrzegł — zzieleniał na twarzy. Już celnik zeskakiwał z roweru.

— Niech pani posłucha, moja paniusiu, kiedy się spaceruje z takimi ptaszkami jak ci dwaj, nie trzeba czekać, aż straż celna opróżni im kieszenie. Robi się to wcześniej!

I ten wspaniały człowiek podaje mi dokumenty, prawdziwe i fałszywe, mówiąc: „Czy nie myśli pani, że będzie im to potrzebne w drodze?"

Potem wsiada z powrotem na rower.

— Nie ma za co dziękować — powiedział przed odjazdem. — Kolega i ja moglibyśmy mieć piękny dzień. Bosze by nam dały z pewnością sześćdziesiąt tysięcy franków za pani dwóch przyjaciół. Zmykajcie, do zobaczenia, no i powodzenia!

Wieczorem byliśmy w Corbie. Nénette przewiozła nas przez Sommę w swojej łodzi i przypominam sobie jeszcze okazały półmisek frytek, którymi nas uraczyła. Ta dzielna dziewczyna, około czterdziestki, taka dobra i odważna, nazywała się Renée Boulanger, jak dowiedzieliśmy się po wojnie. Ludzie z jej okolic dobrze się orientowali, co ona robi dla nas, i chyba także Niemiec, który na to przymykał oczy.

„Kiedy on przyjeżdża na rowerze — mówiła Nénette — robi naumyślnie wiele hałasu, żebym ja go słyszała z daleka. Kiedy już przejechał — wiem, że mogę śmiało tam popłynąć, bo wartownik będzie wracał dopiero za piętnaście minut."

Ta szczera i mężna Nénette wyświadczyła nam wiele przysług aż do dnia, kiedy *boys* i ich konwojenci mogli już dysponować fałszywymi dokumentami niemieckimi, które pozwalały im tak jak wszystkim innym przechodzić na drugą stronę Sommy po moście.

DOM NÉNETTE

Kiedy Andrée po raz trzeci przeszła przez góry i zjawiła się w Bilbao, przyprowadziła do konsulatu Alana Cogana i Roberta Conville'a. Potem z Florentinem powróciła do Francji, spotkała się z Ciotką Go w Anglet i wyruszyła do Valenciennes.

„Przysyłaj mi «dzieci», dużo «dzieci»" — napisała do ojca, kiedy tylko przyjechała. Charlie wybrał się do Brukseli, ale nie zadzwonił do drzwi pod numerem 73 przy alei Emila Verhaerena: Paul zagrożony bezpośrednio obecnością u niego dwóch mężczyzn z gestapo, znalazł schronienie u pań Delattre i Allard, w Uccle. Charlie zwięźle mu wyjaśnił, że Anglicy nalegają, by zachować

absolutny priorytet dla lotników. Paul obiecał, że zrobi to, jak potrafi najlepiej.

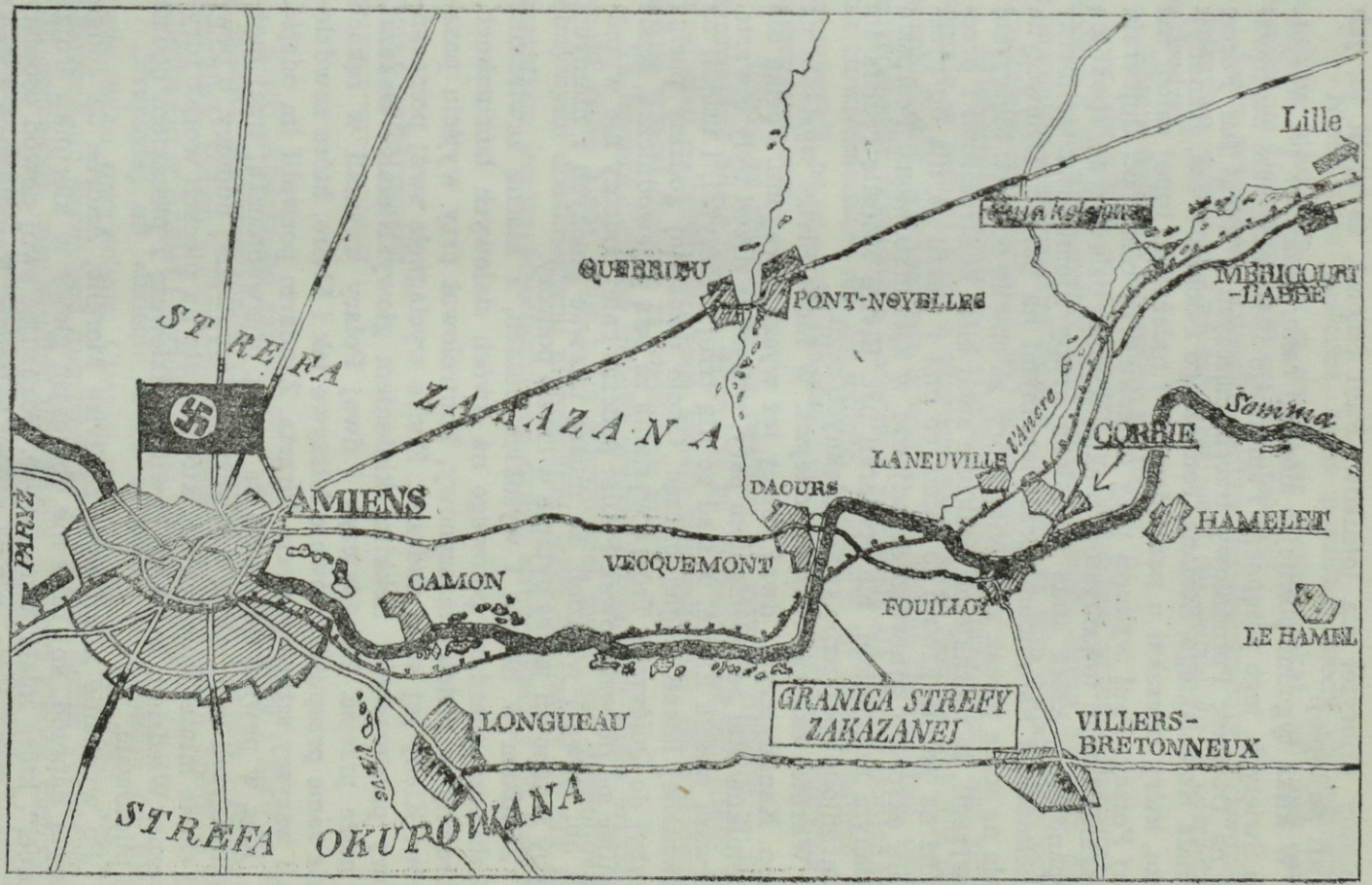
W kilka tygodni później o siódmej rano, nazajutrz po Wszystkich Świętych, tego posępnego i smutnego 1941 roku, sam zaprowadził na Dworzec Południowy trzech mężczyzn z Royal Air Force: Michała Kowalskiego, Stefana Tomickiego i Johna Ivesa, Kanadyjczyka, który mieszkał u pani Monnier i należał do innej załogi niż dwaj Polacy. Paul wykupił przy okienku trzy bilety do Quiévrain i wskazał swoim towarzyszom piękną wysoką dziewczynę, spokojną i opanowaną, która stała niedaleko grupy niemieckich żołnierzy w hełmach, z karabinami przewieszonymi na pasach. Dziewczyna miała na sobie plecak z krowiej skóry, za chwilę odeszła. Mężczyźni spostrzegli, że nieznajoma pokazuje swój bilet kontrolerowi i przechodzi na peron. Zrobili to samo, co ona i weszli za nią do przedziału ekspresu gotowego do odjazdu w kierunku Mons. Posłuszni wydanym zaleceniom, nie otwierali ust. Elvire Morelle rzuciła im roztargnione spojrzenie swych pięknych oczu.

Wkrótce ekspres ruszył z miejsca. W Mons Elvire wysiadła na peron. Kanadyjczyk i dwaj Polacy też wyszli z wagonu. Pociąg dla robotników stał pod ciśnieniem pary, wszystkie drzwi były otwarte. Pierwsza weszła Elvire, w ślad za nią trzej mężczyźni, i usiedli na drewnianej ławce ciągle milcząc. Około dziesiątej godziny pociąg przybył do Quiévrain. Trójka wysiadła za swą przewodniczką, ściśle stosując się do wskazówek Paula: podczas całej podróży nie wymówili ani słowa i wiedzieli, że muszą udawać głuchych i niemych, gdyby zadano im jakieś pytanie w czasie podróży.

Żandarm w hełmie i wysokich butach, z blachą zawieszoną u kołnierza munduru polowego na dwóch stalowych łańcuszkach, uzbrojony w pistolet maszynowy, kontrolował przy wyjściu pasażerów. Kiedy jej kolej nadeszła, Elvire wyciągnęła swój pomarańczowy passierschein. Lekkim skinieniem głowy Niemiec wskazał, że może przejść. Kanadyjczyk i dwaj Polacy trzymali w rękach takie same przepustki, równie fałszywe jak i Elvire, które zawdzięczali wszyscy sztuce grawera Pirarta. Żandarm pozwolił im odejść.

Idąc w pewnej odległości za swoją przewodniczką, trzej mężczyźni ujrzeli inną młodą dziewczynę, drobniejszej budowy, o pewnej siebie minie, śmiejącą się, która niosła na plecach worek turystyczny. Wiedzieli, że od tej chwili to dziewczę z plecakiem będzie ich pilotowało.

Po wymianie kilku słów z Elvire Morelle, Andrée de Jongh ruszyła naprzód, ani razu nie obracając głowy w kierunku trojga „dzieci", które miała konwojować. Pokazując swój dowód osobisty celnikom francuskim, minęła rampę kolejową. Kanadyjczyk i dwaj


Lille
QUERRIEU
PONT-NOYELLES
MÉRICOURT-L'ABBÉ
STREFA ZAKAZANA
Somme
CORBIE
LA NEUVILLE
DAOURS
AMIENS
HAMELET
PARIS
VECQUEMONT
CAMON
FOUILLOY
LE HAMEL
GRANICA STREFY ZAKAZANEJ
LONGUEAU
VILLERS-BRETONNEUX
STREFA OKUPOWANA

Polacy zrobili to samo. Wkrótce weszli, idąc za nią, do pociągu złożonego z brudnych i starych wagonów. Nie zwracając pozornie uwagi na ich obecność, Dédée wyjęła książkę, położyła plecak na półce, usiadła i wydawała się pogrążona w lekturze.

W kilka minut później maszynista dał sygnał gwizdem parowozu, pociąg ruszył z miejsca i trzej mężczyźni zauważyli Elwirę, która stojąc na peronie machnęła im przyjaźnie ręką, w sposób prawie niezauważalny. Od dziada pradziada przyzwyczajeni do ostrożności, jaką należy zachować w reżimie ucisku, dwaj Polacy trwali w bezruchu. Nowicjusz Kanadyjczyk uśmiechnął się do nieznajomej, która go dowiozła do Quiévrain. Potem wierzchem dłoni otarł pot perlący się na czole.

W Lille znowu trzeba było się przesiadać. Kierując się do stojącego pociągu, dziewczyna z plecakiem weszła do wagonu z drewnianymi ławkami, a oni za nią. Niebawem lokomotywa zagwizdała, zgrzytnęły zderzaki wagonów i pociąg odjechał sprzed obojętnych oczu niemieckich żołnierzy, którzy zdawali się czekać na konwój wojskowy.

Pociąg zatrzymywał się na każdej stacji i stał długo na dworcu w Douai. Młoda dziewczyna była ciągle pogrążona w lekturze. Po przeciwnej stronie przedziału dwaj Polacy i Kanadyjczyk obserwowali się wzajemnie bez jednego słowa.

Na nowym postoju dziewczyna wstała, zdjęła plecak z półki, schowała książkę, założyła bagaż na plecy i wysiadła na peron. Dworzec nosił nazwę Corbie. Wzorując się na przewodniczce, pokazali bilety funkcjonariuszowi w czapce kolejowej, który z niedopałkiem w ustach stał przy wyjściu. Puszczając dziewczynę przodem w pewnej odległości przed sobą, spostrzegli, że otwiera drzwi skromnego bistro i weszli tam za nią. Dopiero wtedy uśmiechnęła się do nich. „Jestem Dédée" — powiedziała wyciągając rękę.

Należało jeszcze uścisnąć dłoń właściciela lokalu, szpakowatego mężczyzny, który natychmiast zaczął gotować kawę. Napój był czarny, ale nie miał żadnego podobieństwa do kawy. Mimo wszystko gorący płyn zrobił im dobrze.

Właściciel bistra opowiadał Dédée historie, których lotnicy nie rozumieli, ale dziewczyna wybuchała śmiechem, jej wesołość pokrzepiała ich na duchu. Czasem jednak stawała się jakby nieobecna i jej urocza twarzyczka zasępiała się.

Noc wcześnie zapadła i razem z nią nadszedł chudy, wysoki, czarnowłosy mężczyzna wraz z młodym chłopcem. Lotnicy usłyszeli, że dziewczyna nazywa ich Pol i François. Połknęli po ostatniej filiżance „narodowej kawy" i wyruszyli w drogę.

— Mały — powiedział Pol — już czas!

Oprócz tych słów nie otworzył ust, zdając się oceniać wzrokiem siłę i odporność każdego z mężczyzn, którzy musieli przebrnąć na drugą stronę rzeki. François poszedł przodem, Pol wstał w kilka minut później i oddalił się, dziewczyna cierpliwie czekała, potem i ona wstała, zarzuciła plecak i dała znak trojgu „dzieciom", by szły za nią.

Z Péronne do Amiens Somma płynie wśród bagien. Trzciny, wierzby i topole wyrastają ze stojącej wody, którą przecinają wąskie groble. Pol szedł naprzód, w pewnej odległości za nim dwaj Polacy, z tyłu za nimi Dédée i Kanadyjczyk. Wkrótce ukazał się ich oczom jakiś kanał odprowadzający wodę. Stojąc w czółnie, czekał na nich François.

Po drugiej stronie wznosiła się skarpa, oddzielająca szlak holowniczy od biegu Sommy. Pol gestem nakazał milczenie. Co kwadrans Niemiec przejeżdżał drogą na rowerze. Czekali nieruchomo, z nadstawionym uchem. Wreszcie usłyszeli lekki zgrzyt kół po żwirze, zobaczyli migające światełko latarki rowerowej zamalowanej na niebiesko, a później oddalające się czerwone tylne światło. Pol ramieniem dał znak.

Z pomocą François wyciągnął łódź, rozhuśtał ją na stoku i wciągnął na okrąglaki, które ułatwiły stoczenie jej na brzeg. Potem lekko gwizdnął, odpowiedział mu gwizd z lewego brzegu. Ruchem ręki Pol dał znak lotnikom, by wsiedli do łodzi, do której pierwsza weszła Dédée. Odpychając się jednym wiosłem, François bezszelestnie przepłynął rzekę. Na przeciwnym brzegu oczekiwała ich Nénette. François odpłynął z powrotem, a ona zaprowadziła Dédée i trzech mężczyzn na fermę. Pokrzepili się dobrą zupą, gęstą i gorącą, po czym Nénette rozciągnęła cztery sienniki na czerwonych płytach podłogi. John Ives popatrzył na zegarek. Według niemieckiego czasu, który wyprzedzał o dwie godziny czas w Greenwich, wierny słońcu, było po godzinie jedenastej. Wzorem swych trojga towarzyszy Kanadyjczyk zapadł w kamienny sen.

BUFET NA DWORCU W BAYONNE

Następnego dnia wieczorem na dworcu Austerlitz John, Michał i Stefan weszli w ślad za Dédée do pociągu w kierunku Hendaye. Wszyscy trzej mieli na głowach baskijskie berety. Usiedli w przedziale pierwszej klasy, w którym dziewczyna położyła swój plecak na siatce.

Ciotka Go powiedziała do mnie:

— Może pan myśli, że to było niebezpiecznie podróżować w takiej dużej grupie razem w jednym przedziale? Wprost przeciwnie, to stanowiło ochronę dla naszych *boys*.

Często gestapo przeprowadzało kontrolę przechodząc przez cały pociąg od początku do końca. Nie umiejąc ani słowa po francusku, poza bardzo rzadkimi wyjątkami, nasi lotnicy nie byliby zdolni odpowiedzieć na najmniejsze pytanie inaczej jak monosylabami i tak kazaliśmy im robić, ale taka strategia nie udałaby się na dłuższą metę, gdyby tkwili samotnie wśród innych pasażerów. Konwojentka śpieszyła się, by zabrać głos w ich imieniu i to niejeden raz pozwoliło wybrnąć z kłopotu.

Marzeniem było mieć grupę czterech mężczyzn w towarzystwie dwóch konwojentek, wtedy przedział pierwszej klasy był w całości zapełniony. Zrozumiałe, że nasi *boys* wykazywali wielką nerwowość, a w takiej sytuacji można było ich łatwiej ochronić. Później dla bezpieczeństwa rezerwowaliśmy sześć miejsc z góry na oznaczoną datę. Ale do tego dochodziło się po trochu. Staraliśmy się także, aby dysponować dwiema konwojentkami do samej granicy. *Boys* zatrzymywali się w Valenciennes, spożywali posiłek u Charlie'ego i jechali dalej w towarzystwie Elvire i jednej z dwóch belgijskich konwojentek.

W nocy z 3 na 4 listopada 1941 roku drzwi przedziału, gdzie się znajdowała Dédée z trojgiem „dzieci", odsunęły się kilkakrotnie i sylwetka żandarma zarysowała się w ich obramowaniu, słabo oświetlona przez przyćmione niebieskie światło korytarza. Po stwierdzeniu, że nie ma tam żadnego niemieckiego wojskowego, żandarm zamykał drzwi nie stawiając żadnych pytań.

Zaczęło świtać nad bezkresnymi lasami Land, które ekspres przebiegał bez zatrzymywania się aż do Dax. Dojechał wreszcie do Bayonne, gdzie wysiadła większość pasażerów podróżujących z Bordeaux. Jeszcze pociąg nie stanął, a już Dédée spostrzegła Janine.

Córka Ciotki Go stała przy drzwiach bufetu. Dédée podeszła do niej, z tyłu w pewnej odległości trzymali się Kanadyjczyk i dwaj Polacy. Dziewczyny usiadły razem przy stoliku, gdzie czekał „B".

— Wszystko w porządku? — zapytała Dédée.

— Tak — odpowiedziała Janine. — Ale trzeba ogromnie uważać przy wychodzeniu z dworca.

Trzej lotnicy weszli do bufetu, wahając się i nie śmiejąc przyłączyć się do grupy. Wtedy „B" wstał, zaprosił ich serdecznie po francusku, by usiedli przy stole, tak jakby chodziło o starych znajomych. Janine zamówiła dodatkowe cztery kawy. Przyniesiono nieuniknioną „narodową", której jedyną zaletą było to, że parowała

Lotnicy patrzyli z zaciekawieniem na małą białą pastylkę leżącą na każdej łyżeczce.

— Sacharyna — krótko wyjaśnił Albert Johnson.

Naśladując Dédée, trzej mężczyźni włożyli pastylki do filiżanek. Trochę białej piany wystąpiło na powierzchni czarnego płynu.

— Teraz — powiedział „B" półgłosem — słuchajcie mnie dobrze. — Ja wstanę i jeden z was pójdzie za mną do sutereny, tak jakby szukał toalety.

Palcem wskazał Kanadyjczyka, potem wstał odsuwając krzesło, zrobił kilka kroków i skierował się ku schodom. Za chwilę Yves naśladował jego ruchy.

Drugie schody prowadziły do sutereny, po nich wszedł „B", trzymając wytrych w ręce. Posłużył się nim, żeby otworzyć drzwi wychodzące na plac dworcowy. Jakaś kobieta drobnej budowy, o przenikliwym szarozielonym spojrzeniu, zbliżyła się, wzięła Johna Yvesa pod rękę i poprowadziła. Tymczasem „B" zniknął już znowu za drzwiami.

Janine przeprowadziła w ten sposób jednego z Polaków, a „B" zajął się drugim; w tym samym czasie Andrée pokazywała swój bilet przy wyjściu oficjalnym. Fałszywe dokumenty, o które z takim trudem wystarał się jej ojciec, zostały spalone w piecu u Nénette, a Dédée zastąpiła je francuskimi dowodami osobistymi, noszącymi pieczęcie gminy w Niskich Pirenejach, prócz tego miała zaświadczenia zamieszkania, wystawione w obowiązującej formie, które miały być okazane na żądanie w strefie przygranicznej. Te zaświadczenia były doskonałym dziełem Freddy'ego, syna Ciotki Go, przezywanego teraz przez rodzinę „Fałszerzem". Nieustanny ruch na peronie ułatwił te manewry.

— Nie tylko my, ale i inni ludzie posługiwali się wejściem ukrytym poza drzwiami do toalety, więc w końcu je zablokowano. Musieliśmy potem zbaczać aż do toalet dworca w Saint-Jean-de-Luz, tak samo dobrze strzeżonego, jak stacja w Bayonne. System wymagał umieszczenia *boys* w ostatnim wagonie pociągu, skąd oni szli do małego budynku dość oddalonego z napisami „Panowie" — „Panie". Tam musieli się prześliznąć między ścianą a płotem, za którym jedno z nas na nich czekało.

Początkowo używaliśmy tego sposobu tylko w stosunku do *boys*, którzy nie byli zdolni odpowiedzieć na najmniejsze zadane im pytanie. A najczęściej korzystaliśmy z tajnego przejścia.

Lotnicy przyjeżdżali do nas w stanie takiego zmęczenia i niepokoju, że nie pomagało to w naszych sprawach. Przede wszystkim zostali niedawno zestrzeleni. Następnie w najlepszym przypadku

gościli ich ludzie, których języka nie znali, ale zdarzało się również, że byli ścigani, zanim znaleźli schronienie.

Po tym wszystkim odbywali długą podróż pociągiem z perypetiami przy przekraczaniu granicy francusko-belgijskiej, później granicy strefy wojskowej, nie mówiąc już o kontrolach odbywających się podczas drogi. Oczywiście radziło się im, by udawali śpiących lub okazywali zły humor, kiedy jakiś podróżny do nich się odzywał — trzeba było się nasłuchać wtedy ich pomrukiwania — co niekiedy wystarczało, by zniechęcić natręta, ale częściej wywoływało to niegrzeczne spostrzeżenia. Konwojentka musiała wtedy interweniować, żeby odwrócić uwagę, perswadować współpodróżnym, że biedak jest głuchy... Zrozumiałe, że po przyjeździe do regionu baskijskiego nasi *boys* mieli nerwy krańcowo wyczerpane. A później! Na początku istnienia Akcji Kometa, napotykaliśmy na drobne trudności. Potem sprawy skomplikowały się jeszcze bardziej.

— Jest wielką zasługą naszych konwojentek, że umiały wybrnąć z tych trudnych sytuacji, które zdarzały się poza pociągiem. Pozwoli pan, że opowiem historyjkę, której bohaterką była moja córka: Działo się to na drodze do Urrugne, w górach, kiedy Janine prowadziła dwóch lotników do fermy Franchii Usandizaga, o której będzie jeszcze mowa. Trójka szła pieszo, kiedy wyminął ich cyklista, zjeżdżający po zboczu. Był to młody Bask, który na widok mojej córki dał znak głową: „nie", wskazując gestem niebezpieczeństwo poza sobą. Reakcja Janine była błyskawiczna.

Ciągnąc za sobą dwóch *boys*, puściła się biegiem do parowu, potem wbiegła na inne zbocze, zrobiła zakręt poprzez las, idąc aż na wyniosłość terenu, skąd widać było z daleka drogę, z której zeszła. Zauważyła szlaban niemiecki ustawiony na skrzyżowaniu, przez które szło się do fermy Franchii. Żołnierze byli na rowerach i motocyklach.

W raporcie, który sporządzili lotnicy po swoim powrocie do Londynu, podali, że pewna dziewczyna kazała im robić *cross-country*[1] poprzez góry. Ja szłam za nimi, z innymi *boys*, ale nie było żadnego cyklisty, który by mnie ostrzegł, i byłabym wpadła w sidła zastawione przez żandarmerię polową, gdyby, na szczęście, barykada nie została ustawiona tymczasem na innym skrzyżowaniu.

Pani de Greef umilkła, zatopiona we wspomnieniach.

— Franchia — powiedziała głosem pełnym wzruszenia. — Franchia Usandizaga... Przedtem mieliśmy postój u Tomasza Enea. Wsypa, jak to się zdarza wśród przemytników, zmusiła nas w lip-

---

[1] *cross-country* (ang.) — bieg na przełaj

cu 1942 roku do zmiany schronienia. Odtąd ferma Franchii służyła nam jako azyl.

Franchia młodo owdowiała. Z pomocą parobka Juana Larburu uprawiała własnoręcznie kilka morgów nieurodzajnej ziemi. Troje niedorosłych jej dzieci pomagało matce jak umiało najlepiej, wykazując wielką odwagę.

FLORENTINO

Florentino odwraca się do Dédée, która idzie tuż za nim:

— *Espere un poco* [1] — mówi szeptem.

Jeszcze raz wyruszyli do Hiszpanii. Tym razem wiedli ze sobą trzech lotników — Kanadyjczyka i dwóch Polaków. Od pierwszego spojrzenia Florentino ocenił wytrzymałość fizyczną tych mężczyzn. Możliwości Andrée znał dobrze, bo już wcześniej wystawiał je na próbę. Od pierwszego dnia instynktownie wyczuł, że smukłe ciało dziewczyny, wydające się jeszcze szczuplejsze w swetrze i spodniach z grubego granatowego płótna, w które się ubierała na wyprawę w góry, podtrzymuje silna wola, której nic nie potrafi ugiąć.

Florentino był piękny prymitywną i niejako lwią urodą. Przystojny, wysoki i silnie zbudowany, o twarzy spokojnej, z guzowatym i pożłobionym czołem, które otaczało gęste runo czarnych włosów przykryte płaskim beretem. Szerokie i wielkie uszy, prawdziwe muszle mięsiste, chwytały najmniejszy trzask, najlżejsze zgrzytnięcie, najbardziej stłumiony szmer, a jego niebieskie spojrzenie zdawało się dostrzegać to, czego inni nie widzą lub lekceważą. Wargi były zaciśnięte nad silnie rozwiniętym, znamionującym wolę podbródkiem. Z całej postaci emanowała niezłomna odwaga i absolutna lojalność. Potężne, szerokie dłonie, które ma zwyczaj trzymać złożone płasko na kolanach, posiadają godność, jaką nadaje ciężka praca. Gdybym miał go przedstawić obrazowo, powiedziałbym, że Florentino był dębem wyrosłym ze skały.

— *Espere un poco* — powiedział znowu po cichu. — Milcz.

Dédée jeszcze się nie spostrzegła, że mówił do niej „ty". W ustach takiego człowieka tykanie świadczy o niezachwianej przyjaźni.

Za nimi była Francja okryta czarnym całunem okupacji, pod którym mrowiły się niezliczone ukryte niebezpieczeństwa. Ponad ich głowami błyszczały gwiazdy, a na tle nieba odcinał się grzbiet

[1] *Espere un poco* (hiszp.) — Zaczekaj trochę.

wysokiej góry, wznoszącej się w Hiszpanii. Na prawo, w regularnych odstępach, migotało inne światło, przerywane, ale silniejsze: to latarnia morska przylądka Figuier, po drugiej stronie Hendaye, poza ujściem Bidassoa, którą za chwilę trzeba przejść po raz trzeci, nie, po raz piąty, bo trzeba liczyć i powroty. Andrée dokona szesnastu takich wędrówek tam i z powrotem, przechodząc trzydzieści dwa razy rzekę Bidassoa, za każdym razem w obu kierunkach.

Tej nocy Florentino dał do zrozumienia, że przejście przez rzekę nie będzie trudne, ale zdarza się po wielkich ulewach, że trzeba wydłużyć marsz o dobre pięć godzin, a po przekroczeniu granicy posłużyć się mostkiem zawieszonym ponad wodospadem, oświetlanym elektrycznymi lampami

Teraz jednym swym szerokim uchem przylgnięty do ziemi, Florentino nadsłuchuje, szpieguje dźwięki gór. Na jego plecach ogromny wór, mieszczący w sobie bagaż trzech lotników, tworzy olbrzymi garb. Andrée rozciągnięta na brzuchu, z plecakiem na ramionach, czeka na znak, że można iść dalej. W tyle jeden za drugim leżą trzej lotnicy.

Bask tkwi przyczajony jak zwierzę bez najmniejszego drgnienia. Andrée wie, że zna on każdy krzak, każdą skałę i prawie każdy kamień. Teraz natknęli się na gęstą płachtę mgły, w której tonęło wszystko: Florentino jak niecierpliwy muł uderzał w grunt sznurkową podeszwą i wytężał słuch czekając na echo tylko dla niego zrozumiałe, a potem bez wahania ruszył dalej. Trochę później kamień oderwał się spod stopy Andrée, tocząc się po skałach. Florentino odwrócił się z zaledwie słyszalnym szeptem:

— Ciszej!

Florentino nosi na pasku swoją *chahakoa*, bukłak z koźlej skóry, który napełnił przed wyruszeniem w drogę gęstym winem barwy granatu i którego dotąd nie tknął. Andrée widzi, że zatrzymuje się przy uschniętym drzewie. Z dziupli drzewa wyciąga butelki:

— Koniak — mówi w formie wyjaśnienia — i dziewczyna domyśla się, że jest on przeznaczony na przemyt. Florentino zdejmuje bukłak z ramienia, odkorkowuje i podaje Andrée, która pije łyk cierpkiego, drapiącego w gardło wina. Następnie podaje bukłak lotnikom i śmieje się widząc, jak Polacy nim nie gardzą. Kiedy na Florentina przyszła kolej, przechyla głowę do tyłu i pije cienki strumień bez zaczerpnięcia tchu. Prostuje się, zatyka bukłak korkiem, bierze go na ramię i wskazuje ogromny, czarny masyw górski:

— Wspinać się, wspinać, wspinać! — mówi.

Idą za nim, dochodzą do szczytu i niebawem ukazuje się w od-

dali wieniec świateł z Irun, z silnym snopem po prawej stronie, z latarni morskiej w Figuier, hen za Fuenterrabía, za którą z tyłu miga w znacznym oddaleniu, na prawo, latarnia morska w Bilbao, wyznaczająca końcowy punkt, gdzie dalszej opieki nad trzema lotnikami podejmie się konsulat. Ci są pierwsi, a lista ich będzie długa, Andrée uśmiecha się w duchu na myśl o radości, jakiej dozna jej przyjaciel „Timothy". Teraz trzeba już schodzić w dół, co jest chyba jeszcze bardziej męczące.

Kanadyjczyk dziwi się:

— Czy w Hiszpanii pracują w nocy?

— A u was nie? — odpowiada Andrée.

John Yves wyjaśnia: od czasu kiedy Anglia pogrążyła się w *black-out*[1] nie widział świateł w nocy. Za chwilę rzuca przekleństwo: pomimo laski, która ma wspierać jego marsz, pośliznął się i upadł. Florentino odwraca się, gromiąc go szeptem:

Ciszej!

John staje na nogi, szuka po omacku swojej laski, znajduje, idą dalej. W miarę schodzenia gromadki znikają światła Irun, potem ginie świetlny snop z Figuier. Końcem laski Andrée ostrożnie dotyka gruntu, który umyka spod jej sandałów.

— *Espere un poco!* — mówi Florentino.

Wskazuje palcem długą białą wstęgę wijącą się w głębi doliny nieregularną krzywą linią.

— *España!*

Jakby dla potwierdzenia jego słów dwie wielkie jarzące się kule pojawiają się tam na dole, oświetlając wstęgę drogi, tocząc się po jej meandrach. To jakieś auto, wydaje się nam bardzo dziwne, że jego reflektory nie są pomalowane na niebiesko z wąziutką szparką, przepuszczającą światło, jak wymagają Niemcy. Wkrótce samochód hiszpański staje się małym czerwonym punkcikiem.

Wytężając słuch można usłyszeć Bidassoa toczącą wartko swoje wody ku bliskiemu morzu. Zatrzymując się jeszcze raz, Florentino odwraca się, kładąc gruby palec na wargach:

— Wielka cisza! — rozkazuje.

Wciąż schodzą w dół. Nagle ukazuje się ich oczom rzeka, która stanowi tutaj granicę, rwący prąd ujarzmiony między dwoma brzegami. Florentino zdejmuje spodnie, zawiązuje nogawki wokoło szyi i zachęca mężczyzn gestem, by naśladowali go. Andrée już to zrobiła, ale nie chce iść pierwsza:

— Najpierw tamci — mówi.

Aprobując to skinieniem głowy, Bask bierze za rękę Kanadyj-

---

[1] *Black-out* (ang.) — zaciemnienie.

czyka i ciągnie ku sobie. Woda kipi i pieni się. Dając znak dwom Polakom, Andrée rusza śmiało przez bród, którego nie widać, i już jest przy Florentinie na drugim brzegu.

Naśladując gest człowieka mierzącego z karabinu, Florentino nakazuje postój. Każdy zrozumiał, że istnieje ryzyko natknięcia się na patrol *carabineros* gotowych do strzału. Bask czołga się aż na krawędź urwistego zbocza, unosi się na szerokich dłoniach, nadsłuchuje, staje na nogi, daje sygnał, że można iść za nim. Przechodzi ostrożnie przez łąkę nadrzeczną, w głębi której widnieje nasyp kolejowy, przekracza go, oni za nim. Teraz wskazuje krzaki:

— *Espere un poco!* — szepce.

Andrée i lotnicy chowają się, a przewodnik oddala się sam, rozsuwając gałęzie bezszelestnie. Wysuwa połowę tułowia, patrzy na prawo, na lewo i daje nagły ruch ramieniem. W ślad za nim przebiegają pustą jezdnię, wspinają się po kamienistej ścieżce, zatrzymują się pod osłoną skały, by złapać oddech. Najwyższy czas! Warkot motoru rozdziera nocną ciszę, staje się coraz głośniejszy, dwa duże reflektory oświetlają okolicę, auto przejeżdża, oddala się.

— *Dos cien metros!* — mówi Florentino, pokazując czarny masyw, wznoszący się ku niebu.

Dwieście metrów — to dziecięca zabawka. Maszerują, ale wkrótce mówią sobie, że odległość tych dwustu metrów jest bardzo długa...

Siły, osłabione przymusowym kilkutygodniowym zamknięciem, nie pozwalają lotnikom na szybki chód, zwalniają tempo, chociaż Andrée ich zachęca i jak umie służy pomocą. Wreszcie nie mogąc iść dalej, trzej mężczyźni zatrzymują się. Florentino jest niezadowolony, odwraca się i wyciąga palec ku szczytowi wzniesienia:

— *Dos cien metros!*

Zawsze tych dwieście metrów, które nie mogą się skończyć. A może Florentino nie umiał wyrazić większej liczby po hiszpańsku?

Za cenę najwyższego przezwyciężenia samych siebie trzej lotnicy podejmują trudną wspinaczkę. Po pewnym czasie przewodnik zdaje sobie sprawę, że nie zajdą daleko i korzystając z depresji terenu zarządza postój.

— *May I smoke a cigarette*[1]? — pyta John Yves nie mając nadziei, że przewodnik pozwoli.

Ku jego wielkiemu zdziwieniu i ogromnej satysfakcji Florentino pozwala. Kanadyjczyk z rozkoszą wypuszcza pierwszy kłąb

---

[1] *May I smoke a cigarette?* (ang.) — Czy mogę zapalić?

dymu, Polacy idą za jego przykładem. Florentino wyciąga koźli bukłak z pnia starego drzewa:

— Koniak!

Tym razem jest to naprawdę koniak lub coś o podobnym smaku. Koniak hiszpański, lekko słodzony i rozgrzewający, ma niektóre właściwości zbliżone do naszego. Każdy z lotników połyka duży łyk, a tymczasem Dédée wyciąga z plecaka przekąskę przygotowaną rękami Ciotki Go. Florentino dostaje swoją porcję, popija nie kończącym się strumieniem czerwonogranatowe wino, które nosi w *chahakoa* zawieszonej na pasku.

Wspinać się, wspinać, wspinać, wspinać! — mówi po przeżuciu ostatniego kęsa.

Ruszają naprzód i to podejście trwa cztery godziny. Lotnicy wloką się noga za nogą. Jak statek nadmiernie obciążony żłobi bruzdę w morzu, tak Florentino posuwa się naprzód równym krokiem, z ogromnym worem na plecach.

W końcu docierają do szczytu, którędy przechodzi droga. W dole, w kierunku na wschód, wrzyna się w bledniejące niebo szczyt jeszcze wyższy, groźny, ząbkowany.

— *Peña de Aya* — mówi Florentino.

Tę górę Francuzi nazywają Trois Couronnes, okala ją droga schodząca ku dolinie. Przenikliwe brzęczenie dzwoneczków sygnalizuje niewidoczną obecność stada owiec, które wyrwane ze snu uciekają w nieładzie z góry na dół.

Jakby to było miło dla zmęczonych nóg maszerować tą drogą! Ale Florentino jest nieugięty: trzeba ją przeciąć i dojść na przełaj przez pola usiane kamieniami do wioski, którą widać w dole, gdzie słabo oświetlony dworzec i tory kolejowe. Na szczęście zbocze nie jest zbyt strome.

Przy końcu wioski znajduje się ferma na uboczu. Florentino podnosi kamyk i rzuca nim w okiennice. Drewniane jej skrzydła pozostają zamknięte, ale po minucie zgrzyta zasuwa i uchylają się ciężkie drzwi. Gęsiego za Florentinem wchodzą do jedynej izby. Drzwi są znowu zamknięte na zasuwę, gospodarz zapala światło. Jego żona, bosa, w luźnym kaftaniku i czerwonej spódnicy w czarne pasy, rozpala ogień w palenisku, rzuca tłuszcz na dużą patelnię, rozbija jaja, ubija je, wrzuca do środka kawałki słoniny i przygotowuje pulchną *tortillę*. Przybysze połykają żarłocznie posiłek.

— A teraz pójdziecie spać — mówi Dédée do swoich trojga „dzieci".

Niczego innego nie pragną, ale Kanadyjczyk zaniepokoił się:

— A pani?

— Nie jestem zmęczona — zapewnia dziewczyna. Przebiorę się

i zaraz pójdę do Renteria. To jest całkiem blisko, prawda, Florentino?

— A co dalej? — nalega John, którego zachwyca odwaga i wytrzymałość Andrée.

— Później pojadę tramwajem do San Sebastián i powrócę po was razem z Santiagiem.

Jeżeli chodzi o Florentina, to on nie może się narażać na przebywanie poza fermą przyjaciół, gdyż od lat *carabineros* starają się go złapać. Po przebraniu się Andrée idzie pieszo do Renteria, to jeszcze pięć kilometrów. Wsiada do żółtego zgrzytającego tramwaju, który odbywa swoją trasę wzdłuż portu Pasajes, zanim dojedzie do San Sebastián. Santiago wyprowadza swój stary wóz gazolinowy i jadą zabrać „dzieci". Po krótkim odpoczynku udadzą się do Bilbao rannym pociągiem handlarzy jarzyn.

SEKCJA *MI9*

— Trzech mężczyzn z *Royal Air Force!* — wykrzyknął „Timothy". Wspaniale, Dédée!

„Timothy" czuł pełną satysfakcję, że będzie mógł odegrać się na tych w Londynie, którzy nie wierzyli w powodzenie przedsięwzięcia, chociaż on za nie ręczył. Poinformował już sekcję *MI9* (*Military Intelligence nr 9*) [1], komórkę słynnego tajemniczego Intelligence Service, wyspecjalizowanego w odzyskiwaniu lotników zestrzelonych ponad okupowanymi przez wroga terytoriami, że Andrée de Jongh doprowadzi dwóch chłopców z *R.A.F.* do Bilbao. No i teraz prezentuje mu trzech, o wiele więcej wartych w złocie niż ich waga!

Herman Goering, Reichsmarschall, naczelny wódz Luftwaffe [2] jest tego samego zdania. Wie, że łatwiej zastąpić bombowiec, niż wyćwiczoną załogę, a więc jego rozkazy są wyraźne: ktokolwiek przejmie zestrzelonego lotnika, lub dopomoże mu w ucieczce do Anglii, zostanie bezlitośnie ukarany. Sekcja abwehry [3] w *Luftwaffe* ma za zadanie ścigać bezwzględnie zarówno udzielających gościny,

---

[1] *Military Inteligence* (ang.) — Wojskowy Wywiad

[2] *Luftwaffe* (niem.) — Lotnicze Siły Zbrojne

[3] *Abwehr* (niem.) — niemiecka służba szpiegowska i kontrwywiadu, kierowana przez admirała Canarisa (przyp. autora)

jak i konwojentów i nie ustanie w akcji, świadoma, że gra toczy się o najwyższą stawkę.

— Nie miała pani zbyt wielkich trudności? — pyta „Timothy".

— Tak, w Belgii — odpowiada Andrée.

— Czy policja niemiecka coś podejrzewa?

— Powiedzmy, że stara się jak może. Szczególnie trudno było przekonać osoby, które ukrywały lotników, że mogą ich nam spokojnie powierzyć. Obawiano się, że nie potrafimy ich uchronić przed złapaniem.

„Timothy" zastanawia się.

— Czy słucha pani *BBC*?

— Oczywiście!

— Czy zauważyła pani, że nadajemy po francusku „wiadomości osobiste"?

— Tak, i to intryguje mnie, kiedy słyszę na przykład, że króliczek gra bardzo dobrze na skrzypcach...

— Rozumie pani, z pewnością, że chodzi o umówione formułki. Przeznaczone są dla tych, którzy nam pomagają na terenach okupowanych, dla siatek wywiadu, grup sabotażowych. Ustalimy razem listę haseł tego rodzaju, które będą zarezerwowane wyłącznie dla pani. Może je pani z góry przekazać osobom, z którymi utrzymuje pani kontakt, aby w ten sposób ich przekonać, że jest pani w bezpośredniej łączności z Londynem.

— Świetnie! — wykrzyknęła Andrée.

— Trzeba jednak zachować środki ostrożności, gdyż taki dowód stanowiłby dla pani śmiertelne ryzyko, gdyby wpadł w ręce Hunów [1]. A poza tym, są jeszcze gaduły, które chcą się chełpić, że Londyn bezpośrednio z nimi się komunikuje. A więc zrobimy tak: zdania, które zredagujemy będą obowiązywały tylko przez czas ograniczony, co najwyżej przez dwa miesiące; *B.B.C.* je będzie nadawała dla pani raz w tygodniu, na przykład w poniedziałek. Tym, którzy nie będą pani wierzyli na słowo, powie pani: „Proszę przyjść w następny poniedziałek tam i tam" i kiedy tam będą, uprzedzi ich pani, że usłyszą takie a takie hasło. Podejrzliwsi mogą pani powiedzieć: „Ależ takie hasło już usłyszeliśmy ubiegłego tygodnia, pani mogła się spodziewać, że będzie powtórzone!" W takim przypadku powie pani: „No więc dobrze, przyjdźcie za tydzień, zapowiem wam nowy sygnał wywoławczy".

Andrée i „Timothy" zabrali się do pracy i dobrze się ubawili, układając zdania pocieszniejsze jedne od drugich.

---

[1] Tym terminem oznaczano najeźdźców w Wielkiej Brytanii (przyp. autora).

— Spłatamy dobrego figla Niemcom — powiedział „Timothy". — Nadamy wiadomość, że Napoleon będzie oczekiwał Henryka IV w Paryżu, na Pont-Neuf, o pewnej godzinie. Przewidując tajne spotkanie agenci gestapo spędzą złą noc ukrywając się w okolicy mostu.

Przybrał poważny wyraz twarzy:

— Jeszcze inna sprawa, Dédée. Powinna pani być nieufna wobec prowokatorów pozostających na żołdzie niemieckim, którzy zechcą uchodzić za lotników i których wykryć będzie tym trudniej, że *R.A.F* zabrania załogom samolotów w przypadku zestrzelenia udzielać informacji o aparatach i celu rajdu. Dam pani wykaz pytań, które będzie pani mogła im zadawać. Na przykład: „Co pan jadł przed odlotem?" Jeżeli nie powie pani, że dano mu surową marchew, która zawiera dużo witaminy A i zwiększa ostrość widzenia w nocy, to znaczy, że nie jest z *R.A.F.* Są także na lotniskach rozmaite czasopisma... Trzeba zadawać pytania prawie żartem, paplając, udając, że się nie przywiązuje do nich wagi, gdyż prowokatorzy będą się mieli na baczności. Ale z drugiej strony Niemcy pani dopomogą. Zauważyliśmy, że w trosce o propagandę ogłaszają w swoim radio po francusku prawdziwą lub fałszywą liczbę zestrzelonych samolotów, podając szczegółowo rejon, to bardzo ładnie z ich strony. Do pewnego stopnia ułatwi to pani poszukiwania i identyfikację lotników.

Andrée słuchała z uwagą. „Timothy" uśmiechnął się do niej: wyobrażam sobie, że oprócz podziwu odczuwał ukrywany niepokój o losy dziewczyny. Zadanie, którego podjęła się dobrowolnie, było jednym z najbardziej niebezpiecznych w walce podziemnej, równie ryzykowne, jak praca radiooperatorów.

— Proszę być nieufną. Niech pani będzie ostrożna. Nie należy utożsamiać służb abwehry z gestapo. Oficerowie admirała Canarisa są ludźmi inteligentnymi i cierpliwymi. Chętnie zgodziliby się na repatriację kilku autentycznych lotników, aby tylko odkryć trasę przerzutów, oni umieją szkolić agentów prowokatorów. Niektórzy z nich już spowodowali katastrofę. Mówiła mi pani, że azyl, którym pani dysponuje w pobliżu Bayonne, udziela schronienia Anglikowi ukrywającemu się pod przybranym nazwiskiem?

— Tak. My go nazywamy „B".

— Czy jest pani jego pewna?

— Całkowicie. Ciotka Go zna od dawna tego pana.

— To dobrze. Mógłby uzupełniać pracę nad identyfikacją, już dokonaną w Belgii, przez rozmowy z lotnikami, zanim przejdą do Hiszpanii. Gdyby miał jakieś wątpliwości, niech nas zawiadomi.

„Timothy" rzuca Andrée krótkie spojrzenie:

— Oczywiście zakładając, że żaden prowokator nie zamknie pani wcześniej!

Spodziewał się, że dziewczyna wybuchnie śmiechem na ten jego żart. Nie omylił się. „Timothy" był już całkowicie zdobyty: w Anglii rzadko się zdarza, by odwaga nie szła w parze z poczuciem humoru.

Zapytałem Ciotki Go:

— Czy „B" wykrył jakąś podejrzaną osobę zgodnie z obawami „Timothy'ego?

— Tak, zdarzyło się to jeden raz. Mężczyzna był w krótkich spodenkach i włosy miał ostrzyżone na sposób niemiecki...

Rozmawiając z nim „B" odkrył mnóstwo błędnych wypowiedzi i oświadczył mi: — Nie należy zadawać sobie trudu z przerzucaniem go dalej.

Zrozumiałam, co chciał przez to powiedzieć, ale wydawało mi się, że zamiast gubić po drodze ludzi tego rodzaju, będzie o wiele bardziej interesujące odesłać go do Anglii, aby tam wyciągnięto z niego wszystko, co mogłoby się przydać. Dla zachowania ostrożności osobno konwojowaliśmy przypuszczalnego szpiega. Kiedy przyjechałam do Londynu po wyzwoleniu, przebywał on ciągle jeszcze w *Patriotic School*[1]. Co się stało później z tym typem — nie wiem. To nas nie obchodzi.

— Dziwię się, że pani spotkała się tylko z jednym przypadkiem tego rodzaju!

— Przypuszczalnie pomyślną okolicznością było to, że gestapo nienawidziło abwehry i było samo bardzo rozbite. Gestapo z Poitiers nie chciało mieć nic wspólnego z gestapem z Bayonne i tak dalej. Ci panowie gonili za osobistym sukcesem i chcieli się zasługiwać indywidualnie przez sensacyjne łapanki. Równie jak „Timothy" nie sądzę, aby Niemcy byli głupi. Ale ich wewnętrzna rywalizacja szła nam na rękę.

Od chwili, kiedy Anglicy zwracali koszty, było ważne, by skrupulatnie prowadzić sprawę. Dédée notowała wszystko, nawet bilety metra, a ja w małym notesie zapisywałam nazwiska lotników, których przyjmowaliśmy, z zaznaczeniem dni pobytu. Na tytułowej stronie figurowały koszty transportu od chwili wyjazdu aż do przybycia do Hiszpanii. Było to dla nas kwestią dumy narodowej:

---

[1] Londyńska szkoła, zarekwirowana przez *Intelligence Service* dla pomieszczenia ludzi przybywających z ziem okupowanych. Zdemaskowano tam wielu szpiegów (przyp. aut.).

strzegliśmy niezależności. Liczba lotników, których przerzuciliśmy, zapełniła sporo notesów. Rozumie się, że każdy z nich stanowił materiał wybuchowy, więc byliśmy bardzo ostrożni.

Willa Voisin był to duży czworokątny blok z trzema bramami, z których jedna od strony wewnętrznych schodów prowadziła na małą uliczkę wciśniętą między garaż a budynek mieszkalny. Było to wyjście zapasowe, przewidziane na wypadek nagłej ucieczki.

Schody wiodące na piętro były drewniane i nie obudowane, to znaczy, że był prześwit pod schodami. Mój mąż polecił zaufanemu stolarzowi, aby sporządził trzy dodatkowe stopnie, trochę krótsze niż reszta, przykleiliśmy je pod prawdziwymi schodkami. To nam zapewniło wewnętrzną kryjówkę, gdzie chowałam nasze małe notesy i kompromitujące dokumenty, podrobione dowody osobiste oraz materiały, których używał nasz własny fałszerz, czyli Freddy. Dla większej pewności pieczęcie były powierzone pieczy naszej znajomej, Léontine Danglade.

Można było przewidzieć, że Niemcy pewnego dnia nas odwiedzą, a zatem ułożyliśmy butelki pod schodami, starając się wybierać najbardziej zakurzone i pozwalając pająkom zrobić resztę. Za każdym razem, kiedy chcieliśmy się dostać do fałszywych stopni, wyciągaliśmy flaszki ostrożnie, w rękawiczkach, ujmując je od spodu. Kiedy Niemcy istotnie przyszli, nie tknęli butelek — były one puste — i nasz schowek pozostał do końca bezpieczny.

W GÓRACH

Czwarty konwój do Hiszpanii stanowili trzej lotnicy *R.A.F.* i jeden Belg, było to w grudniu 1941 roku.

„Jack" Newton i „Larry" Brik ochrzcili Howarda Carolla imieniem Chuck [1], bo przy uśmiechu tworzyły mu się w policzkach dwa dołeczki. Nie powstrzymała ich sarkazmu wyniosła mina Chucka i jego zapewnienia, że jest oficerem. Biedny Chuck zabił się przez przypadek w jakiś czas po swoim powrocie do Wielkiej Brytanii, mówił jednak prawdę, był oficerem.

John Newton, młody żonkoś zaledwie od czterech miesięcy, cieszył się bez przerwy szczęściem, które go czeka w Anglii. Kie-

[1] *Chuck* (ang.) — Śmieszek

dy w czasie pierwszej próby przejścia trzeba było nadłożyć drogi, gdyż Bidassoa wezbrała od deszczów, jego towarzysze słyszeli jak szepce strapiony: *Bye, bye, Mary* [1]. Co wieczór raczył ich niezwykłym widokiem: twierdząc, że jest mahometaninem, ubrany w czerwony fez obracał się jako wierny wyznawca ku Mekce i odprawiał modły bijąc czołem o parkiet.

Australijczyk Lawrence Birk był synem pastora. Frédéric de Jongh idąc z nim na spotkanie wiedział, że znajdzie go przystrojonego w sutannę. Paul podszedł do duchownego od tyłu i powiedział: „Moje gratulacje! Świetnie panu w tym stroju!" Zdziwił się, kiedy zobaczył, jak się odwraca ku niemu siwy kapłan, który odparował: „Nic dziwnego! chodzę w tej szacie od dwudziestu lat!"

Śmiejąc się serdecznie z zakłopotania Frédérica, duchowny dodał:

— „Dziecko" dobrze się miewa i jest do pana dyspozycji. Koniec końców, aby trudniej go było rozpoznać, ubrałem go po świecku.

Bezgranicznie usłużny „Larry" nie pozwalał Ciotce Go zmywać naczyń, codziennie podejmował się tej roboty i ani razu niczego nie stłukł.

Czwarty kandydat do podróży nazywał się Gérard Waucquez Był siostrzeńcem ministra Pierlota, szefa rządu belgijskiego, ewakuowanego do Londynu. 10 grudnia Dédée przeprowadziła czterech mężczyzn do Hiszpanii.

Po powrocie do Francji spędza noc Bożego Narodzenia u Ciotki Go z nową ekipą czterech lotników. Są to: Kanadyjczyk Albert Daye i trzej Anglicy: Thomas Cox, Leonard Wartburton i John Hutton. „Wuj", powołany przez obowiązki związane z jego stanowiskiem, musiał pojechać do kwater niemieckich. Powrócił w chwili, kiedy „dzieci" zachęcone przez Dédée zaczęły śpiewać chórem kolędy nadawane przez *B.B.C.* Kiedy minęła północ, pan de Greef zrobił uwagę, która wprawiła w zadumę wszystkich obecnych:

— U Niemców słyszałem te same kolędy, które i w Londynie, i tutaj czczą przyjście Zbawiciela. Dlaczego jutro staniemy się znowu nieprzejednanymi wrogami?

Następnie rozwinął się pojedynek krasomówczy między murarzem z zawodu Johnem Huttonem a Leonardem Wartburtonem, dystyngowanym profesorem uniwersytetu, na temat różnicy między wychowaniem a wykształceniem. Murarz był górą. Podniesiony na duchu swym zwycięstwem, postanawia nazajutrz w dalszym ciągu

---

[1] *Bye, bye, Mary* (ang.) — Żegnaj, żegnaj, Mary!

wprawiać w podziw swoich towarzyszy: w tramwaju zajmuje bardzo ciasne wolne miejsce między dwoma niemieckimi żołnierzami. Ściąga na siebie słuszną reprymendę ze strony Dédée, gdyż nakazała unikać wszelkiego niepotrzebnego ryzyka.

Przypominając ten nakaz, dziewczyna dodaje kilka innych w czasie, kiedy czterej mężczyźni na postoju w fermie piją wielkie kubki mleka, a Florentino chowa starannie do worka ich szczupły bagaż. Trzeba będzie iść gęsiego według ustalonej z góry kolejności i nikomu nie wolno zboczyć pod żadnym pretekstem. Gdyby się komuś zdarzył jakiś wypadek, natychmiast musi to zasygnalizować temu, kto go poprzedza, by w ten sposób Florentino idący na czele został zaalarmowany. Nie rozmawiać, nie palić, nie kaszleć, padać plackiem natychmiast na ziemię, jeżeli będzie taki rozkaz.

Czterej lotnicy, przyzwyczajeni do bardzo ścisłych, zwięzłych rozkazów, poprzedzających rajdy nad Niemcy, uważnie słuchali, jak pilni uczniowie, poleceń szczupłej dziewczyny. Wydawało się im nieprawdopodobne, by potrafiła znosić na równi z nimi zmęczenie i niebezpieczeństwa czyhające na nich w tę noc zimową. Jej gruby wełniany sweter i spodnie ze zwyczajnego granatowego płótna były podobne do odzieży, jaką widzieli na rybakach z Saint-Jean-de-Luz.

— Macie szczęście — powiedziała im Andrée. — W zimie nieraz jesteśmy zmuszeni robić wielkie półkole i wtedy trasa wymaga szesnastu godzin. Tej nocy będziemy mogli przejść przez Bidassoa, chociaż wody przybyło, najwyżej trochę się zamoczymy.

Aby dodać otuchy mężczyznom, uśmiechnęła się do nich przed nałożeniem plecaka. Ich zdziwienie było bez granic: to małe kobieciątko miało iść z obciążeniem, a oni nic nie będą nieśli?

Florentino kazał lotnikom przymierzyć sandały, potem każdemu wręczył kij. Godzina wyprawy nadeszła.

Skoro tylko wyszli, gwałtowne podmuchy zimnego wiatru smagały im twarze, lecz lotnicy przypomnieli sobie, że dziewczyna błogosławiła wiatr, bo dzięki niemu noc będzie piękna. Z plecakiem na ramionach, z kijem w ręce szła tuż za przewodnikiem. Na niebie błyszczały gwiazdy.

Od razu zaczęli iść w górę. Kiedy znaleźli się na szczycie, z którego było widać snop światła z latarni w Figuier, nastąpiła gwałtowna zmiana pogody. Ponad sąsiednim zboczem niebo stało się czarne, a zamieć śnieżna utrudniała wchodzenie. Każdy kierował się według pleców poprzednika; lotnicy ześlizgiwali się, chwytając się szorstkich skał, gałęzi drzew, zdzierając sobie skórę z rąk. Ale żaden się nie potknął. W końcu wiatr zmiótł ostatnie płatki śnie-

gu, gwiazdy rozbłysły i w głębi doliny zarysowała się wstęga drogi, po której z rzadka kursowały auta, oświetlając jej zakręty. Przesunął się pociąg z długim pióropuszem białego dymu; widocznie palacz załadował na nowo palenisko lokomotywy, gdyż przez chwilę padał z niej czerwonawy blask.

Wkrótce usłyszeli głuchy szum: wody rzeki Bidassoa, wezbrane niedawnym śniegiem, szukały ujścia kłębiąc się, przetaczając gwałtownie między zbyt wąskimi brzegami, zanim rzuciły się w morze.

— Cicho, cicho — powiedział Florentino odwracając się ku Dédée.

Rozkaz zatrzymania się przechodził z ust do ucha aż do ostatniego w rzędzie. Poprzez gałęzie krzaka, za którym krył się przewodnik, można było dostrzec silne światło wydobywające się przez prostokąt drzwi jednego z posterunków granicznych, rozmieszczonych wzdłuż drogi wijącej się za rzeką. Rosła sylwetka żołnierza w płaszczu i z karabinem pojawiła się w odrzwiach. Wyszedł na drogę, zamknął budynek i z powrotem nastał mrok.

Florentino zdjął spodnie i zawiązał je wokoło szyi. Andrée zrobiła to samo i kazała mężczyźnie, który szedł za nią, naśladować siebie, wyjaśniając, że nogawki spodni będą służyły do utrzymania się w wodzie tego, kto idzie z tyłu i do zachowania ściśle tej samej trasy, którą się posuwa przewodnik. Polecenie zostało przekazane aż do ostatniej osoby w rzędzie.

Nogami do przodu Florentino ześliznął się do rzeki. Spieniona woda sięgała mu do pasa. Podeszwą namacał skałę pod stopą i gestem głowy dał do zrozumienia, że może przeprowadzić pierwszego z czterech mężczyzn. Ten uchwycił nogawki spodni Baska. Za nim brnął drugi, a dalej trzeci. Andrée szła przedostatnia.

Florentino posuwał się powoli naprzód, upewniając się za każdym krokiem, że znajduje się na skale. W końcu dotarł do przeciwnego brzegu, na który wdrapywali się wszyscy z trudem, później, ociekający wodą, z zachowaniem wielkiej ostrożności, przesuwali się przez łąkę. W ślad za przewodnikiem wspięli się na nasyp kolejowy i Andrée dała znak, by się zatrzymali w kolczastych zaroślach. Rozsuwając gałęzie, Florentino nieruchomy jak głaz długo obserwował drogę wiodącą przy posterunku granicznym. Podjąwszy nagłą decyzję skoczył na jezdnię, przebiegł ją i zaczął się wdrapywać po stromym zboczu. Przemoczeni, zziębnięci lotnicy poszli w jego ślady. Australijczyk Albert Daye, któremu się zdawało, że widzi żołnierza z karabinem, przeskoczył jakiś murek, za którym znajdował się dół głęboki na sześć metrów i stoczył się

doń. Andrée, która szła ostatnia, zeszła i trzymając go pod pachy z zadziwiającą siłą, pomogła mu wydostać się. Dodając mu otuchy wchodziła razem z nim po spadzistym zboczu.

Stwierdzono, że Albert Daye na skutek upadku zwichnął sobie nogę w kostce, a więc Florentino pozwolił zatrzymać się za dużą skałą. Ale niebawem dał znak, że trzeba ruszać dalej. Słychać było jak szepce: *Dos cientos metros.*

Zlodowaciałymi nogami, obutymi w sandały, lotnicy rozpoczęli trudną wspinaczkę na nie kończącą się wyniosłość, tym uciążliwszą, że biedny Daye cierpiał z powodu kostki. Wkrótce Florentino zatrzymał się w zapadlinie terenu i wyciągnął z pnia drzewa bukłak z koźlej skóry, który puścił obiegiem w koło. Florentino pofolgował sobie dobrze, racząc się niemałą ilością swojego czerwonego wina, i poszli dalej, ciągle pod górę.

Kiedy byli już całkiem wysoko, lotnicy, drżący z zimna, a równocześnie spoceni, czuli się wyczerpani. Spoglądali tęsknie na drogę, lecz dziewczyna nie pozwoliła nią iść. Wreszcie ukazała się samotna ferma na skraju wioski, przewodnik rzucił kamykiem w okiennicę, uchylono drzwi, obróciły się wpuszczając przybyłych, zamknęły cicho, pchnięto zasuwę i zapalono światło, oświetlając izbę. Wieśniaczka w kaftanie i czerwonej spódnicy, bosa, rozpaliła ogień polanami drewna w wysokim kominie i przyrządziła smakowitą jajecznicę...

Gdy zbierali się do spania, piloci spostrzegli, że dziewczyna po przebraniu się odeszła w nadchodzący świt. Powróciła, kiedy następna noc zapadała i zaprosiła „dzieci" do auta starego typu; za kierownicą siedział uśmiechnięty Hiszpan. Nie minął kwadrans, a wehikuł zatrzymał się w szczerym polu.

— *Here we are!*[1] — powiedziała wesoło dziewczyna.

Nie starając się coś z tego zrozumieć, lotnicy wysiedli razem z nią na drogę. Stał tam silny wóz z tabliczką rejestracyjną noszącą urocze inicjały *CD*[2]. Po karoserii można było poznać, że to auto *made in England.*

— Wsiadajcie — powiedziała dziewczyna. — Będziecie się czuli trochę jak w Anglii. Pojedziecie do Madrytu.

— A pani? — zapytano.

— Nie mogę wam towarzyszyć. Muszę natychmiast wracać.

— Nie chce pani chyba powiedzieć, że pani pójdzie tej nocy z powrotem przez góry?

---

[1] *Here we are!* (ang.) — Jesteśmy na miejscu!

[2] *CD (Corps Diplomatique,* fr.) — korpus dyplomatyczny

— Ależ tak! — odrzekła śmiejąc się. Powinnam znaleźć się jak najprędzej we Francji. Wiecie przecież, że trzeba iść po innych!

Nie było mi danym rozmawiać z tymi lotnikami, ale wiem, co bym odczuwał, kiedy Andrée, kiwając wesoło ręką na pożegnanie, wsiadła w stary klekot gazolinowy, prowadzony przez jej przyjaciela Santiago.

ZIMA 1941/42

Pamiętam dobrze, jaka była pogoda we Francji na Boże Narodzenie 1941 roku: zima srożyła się aż do marca 1942. Gruba warstwa śniegu pokrywała większą część kraju; w Belgii opady były jeszcze większe, tramwaje i pociągi stały zablokowane śniegiem.

Wezwany do Londynu po nowe instrukcje, całymi tygodniami czekałem na pogodne niebo, ale śnieg ciągle padał, uniemożliwiając lądowanie przewidziane na połowę grudnia. Kiedy wreszcie w nocy z 27 na 28 lutego 1942 roku mały „Lysander", po opuszczeniu brzegów Anglii wylądował na małej polance leżącej na płaskowyżu ponad Saint-Saëns w Seine-Inférieure, jego koła wyżłobiły dwie głębokie bruzdy w śniegu, który mi sięgał po kolana. Jakby to było, gdybym musiał stawiać czoło Pirenejom podobnie jak Florentino i Andrée de Jongh?

Z końcem stycznia 1942 roku Linia Kometa wiodąca z Brukseli do Bayonne doprowadziła do Hiszpanii czternastu poddanych brytyjskich, w tym dziesięciu lotników. Ostatnim z nich był Anglik Thomas James Sim, który żył ukryty na fermie flamandzkiej od czasu odwrotu z Dunkierki; kiedy „B" zadawał mu pytania, odpowiadał po flamandzku. Na szczęście dwaj lotnicy belgijscy, stanowiący część konwoju, mogli im służyć za tłumaczy. „B" poprosił o możność konwojowania osobiście tej grupy dnia 19 stycznia 1942 roku, gdyż chciał zdać sprawę władzom brytyjskim ze swojej działalności.

Po przybyciu do Bilbao zaznaczył swoją więź z grupą belgijską. Zapewniono go, że jego działalność w Komecie będzie traktowana jako dobrowolna pomoc, a nie jako narzucona misja, uznano w pełni jego dotychczasowe zasługi, ale proszono, by nie narażał się na dodatkowe ryzyko z powodu swojej narodowości.

Ciotka Go powiedziała do mnie:

— Jego wygląd zewnętrzny był typowo anglosaski, niektóre anonimowe donosy wynikały jedynie z powodu jego powierzchowności. Ale Niemcom wydawało się absolutnie nieprawdopodobne, aby Anglik miał tupet mieszkać jawnie na okupowanych terenach francuskich. Trzeba było wielkiej liczby nowych denuncjacji, aby sprowokować gestapo do odwiedzin willi Voisin.

„B" okazywał taką flegmę podczas tych najść, że mogło się to wydawać aż nienormalne. Mój mąż z tego skorzystał i przedstawił swego rzekomego siostrzeńca jako chorego umysłowo, zdolnego co najwyżej zajmować się uprawą ogrodu warzywnego. Wiadomo było, jak „B" uwielbiał to zajęcie...

Dziesięciu zestrzelonych lotników zostało repatriowanych w końcu stycznia 1942 roku za cenę tylu wysiłków... Tylko niewtajemniczeni mogą uważać, że to niewielka liczba. Jeżeli się oceni właściwie trudności przedsięwzięcia, począwszy od Brukseli aż do Bilbao, rezultat okaże się piękny. Ale zmęczenie i ryzyko to jeszcze nie było wszystko: bezustanne kłopoty finansowe nękały Kometę w irytujący sposób.

Frédéric de Jongh odczuł wielką ulgę, kiedy spotkał u Henryka Michellego niejakiego „Brichamarta", który przybył z Londynu, wyposażony we względnie poważne fundusze. „Brichamart" był Gérardem Waucquezem, siostrzeńcem ministra Pierlot, konwojowanym przez Dédée do Hiszpanii 10 grudnia 1941 roku. Kiedy stanął na ziemi brytyjskiej, zgłosił się jako ochotnik na wypełnienie zadania w Belgii

Od czasu aresztowania Deppégo i wizyty dwóch ludzi w cywilu przy alei Emila Verhaerena nr 73, gestapo zdawało się nie pamiętać o istnieniu rodziny de Jongh. Wiedziano, że Arnold Deppé, skazany na śmierć w listopadzie 1941 roku, po zamianie kary na deportację przebywał w obozie gdzieś w Niemczech. Fakt, że jego zatrzymanie nie miało żadnych reperkusji w stosunku do gospodarzy willi Voisin, trzeba zapisać na poczet jego lojalności względem obdarzających go zaufaniem przyjaciół. Co nie przeszkodziło, by sprawy w sektorze Ciotki Go skomplikowały się w szczególny sposób.

Niemcy, zmuszeni do defensywy na froncie zachodnim od czasu niepowodzenia *Blitzkrieg* [1] w Rosji, zdecydowali się zrobić z Europy niezdobytą fortecę, wznosząc betonowe umocnienia na wybrzeżu, począwszy od Hendaye aż do Wysp Fryzyjskich. Ten kolosalny zabieg jest nam znany pod nazwą Wału Atlantyckiego. Wzdłuż całej tej olbrzymiej przestrzeni wzmogły się kontrole dowodów

[1] *Blitzkrieg* (niem.) — błyskawiczna wojna

osobistych, szczególnie w ekspresie Paryż-Hendaye, a na dworcu w Bayonne, zarówno jak i w Saint-Jean-de-Luz, nadzór przedtem już bardzo ścisły, teraz został zaostrzony.

Andrée przewidywała, że może jej coś przeszkodzić w konwojowaniu przez góry, i postanowiła wciągnąć do tej pracy Elvire Morelle. 6 lutego 1942 roku Elvire odbyła po raz pierwszy podróż w jej towarzystwie z Anglikiem nazwiskiem Jackie Hogan, który podobnie jak jego poprzednik Thomas Sim nie był lotnikiem.

Jak można było się spodziewać, Elvire Morelle okazała się dzielna, chociaż nie zdobywała zboczy z taką łatwością jak Dédée.

Po powierzeniu Jackie Hogana w pewne ręce, dwie dziewczyny opuściły gościnną fermę po uraczeniu się tłustą *tortillą* i wyruszyły wraz z Florentino z powrotem do Francji. Wiatr dmący od strony morza kłębił grube płaty śniegu. Zamieć oślepiała ich podczas marszu. Kiedy z trudem posuwali się naprzód, w połowie drogi przez góry, Andrée i Florentino usłyszeli rozdzierający krzyk: Elvire pośliznęła się, leżała na ziemi nie mogąc się podnieść. Andrée w blasku latarki dostrzegła, że jej towarzyszka leży z nogą podgiętą pod siebie: rozpoznała złamanie.

Florentino użył sposobu stosowanego przez pasterzy, kiedy jagnięta łamią nogi: naciął gałązek, obłożył nimi nogę i obwiązał flanelowym paskiem, sporządzając prowizoryczny opatrunek.

Wkrótce miał nastać świt, a razem z nim wyjdą pierwsze patrole. Pozostawiwszy Andrée z koleżanką, Bask poszedł na poszukiwanie muła. Już robił się dzień, kiedy powrócił, trzymając zwierzę za uzdę. Padał deszcz. Z wielkim trudem i za cenę wielkiego bólu Elvire dosiadła muła i pojechała do koliby pastucha otwartej na cztery wiatry, Florentino naciął zeschłych paproci, którymi wymościł legowisko dla Elvire i tak upływały śmiertelnie długie godziny aż do zapadnięcia nocy. Kiedy zrobiło się ciemno, Andrée i Florentino znowu wsadzili Elvire na zwierzę i powrócili na fermę, z której odeszli poprzedniego wieczoru, gdyż nie mogło być mowy o przejściu do Francji w takim orszaku. Schodzenie było bardzo trudne. Florentino nie puszczał szyi muła, Andrée słyszała, jak szeptał do ucha zwierzęcia niezrozumiałe słowa. W końcu znaleźli się na równinie, doszli do fermy i Santiago, zaalarmowany przez Andrée, przyjechał swoim starym autem po chorą i przewiózł ją do swojego mieszkania w San Sebastián. Baskijski znajomy lekarz operował tam Elvire potajemnie. Chociaż złamanie nastąpiło przed czterdziestu ośmiu godzinami, zręczność chirurga ochroniła „Birę" — jak ją nazywali Santiago i Dolores — od złych następstw.

Elvire Morelle oczekiwała cierpliwie wyzdrowienia u swoich

czarujących, szlachetnych gospodarzy, których dzieci patrzyły ze zdziwieniem, pomieszanym ze współczuciem, na *La señorita con una pierna* [1], biedna dziewczyna miała tylko jedną własną nogę, druga była schowana w gipsowej obudowie.

27 marca Charlie Morelle przeszedł do Hiszpanii wraz z lotnikiem Mac Cairnsem, odwiedził siostrę i zabrał ją ze sobą z powrotem do Francji.

GFP

Liczba agentów niemieckich w Hiszpanii ciągle rosła. Wywiad wpadł na ślad Komety i poinformował władze w Berlinie, że organizacja przerzucająca lotników zestrzelonych w rajdach na Reich miała przypuszczalnie punkt wyjścia przerzutów w Belgii, a łańcuch ewakuacji przekraczał Pireneje i ciągnął się aż do Gibraltaru. *Geheime Feldpolizei* czyli tajna policja wojskowa na froncie została wzmocniona specjalną sekcją abwehry.

— Dédée przyjechała do kraju po kryjomu, aby zbadać sytuację — opowiadała mi pani de Jongh. — W dwadzieścia cztery godziny po jej przybyciu odbyło się u nas w domu wieczorem zebranie z panem Donnym i tym, którego nazywano „Coco", wtedy jeszcze mieliśmy do tego człowieka zaufanie. Potem dowiedzieliśmy się, że ukradkiem wszystkich fotografował.

Dzień później mój wnuk Martin, który stał przy oknie, zauważył, że małe auto zatrzymuje się przed domem; wysiedli z niego niemieccy oficerowie w mundurach. Tym razem to nie było gestapo, ale *Geheime Feldpolizei*. Martin zawołał do Dédée:

— Niemcy!

Padał śnieg. Przewidując taką wizytę, Dédée miała wszystkie swoje osobiste rzeczy przygotowane. Zeszła do mieszkania starszej siostry, położonego na parterze, stamtąd do ogrodu, tam nałożyła boty i płaszcz, a ojciec pomógł jej przejść przez mur. Po drugiej stronie był teren nie zabudowany. Dédée poszła do przyjaciółki, która pracowała dla nas jako skrzynka listowa. Tymczasem Frédéric biegał po śniegu we wszystkich kierunkach, aby zatrzeć ślady kroków córki. Już dwaj Niemcy byli w domu.

Martin przyszedł po mnie do piwnicy, gdzie zajmowałam się paleniem w piecu:

---

[1] *La señorita con una pierna* (hiszp.) — dziewczyna o jednej nodze

kazali Paulowi wiadomość od Dédée, która życzyłaby sobie, aby powstał w Paryżu ośrodek noclegowy pod kierownictwem jej ojca.

Z początku Paul był przeciwny tej myśli, by oddalać się od swoich najbliższych, ale w końcu dał się przekonać przyjaciołom. Założenie węzła Siatki w Paryżu pozwoliłoby łatwiej ubierać „dzieci" tak jak należy, aby bez zwracania uwagi strojem mogli poruszać się w pobliżu granicy hiszpańskiej. Paul fabrykowałby tam fałszywe dokumenty, aby nimi zastąpić dowody, z którymi przyjeżdżali z Belgii. W ten sposób ulżyłby sektorowi belgijskiemu w jego trudnych zadaniach.

Paul opuścił Brukselę 30 kwietnia 1942 roku, pocieszony odwiedzinami żony i starszej córki, które przyszły po kryjomu go odwiedzić. Jakaś niefortunna różnica zdań w błahej sprawie pomiędzy nim a Eugène Dumon pozbawiła go współpracy niestrudzonej Nadine, którą zastąpiła jej pomocnica Jeannette Laurent.

6 maja Charlie zgłosił się do Henri Michellego po pocztę, którą miał przewieźć do Hiszpanii razem z dwojgiem „dzieci". Dwaj chłopcy, Marcel Thonus i Joseph Van Hove, zwerbowani przez Brichamarta podczas jego pobytu w Londynie i dopiero co przerzuceni na spadochronach do Belgii, znajdowali się tam w jego towarzystwie. Brichamart odjechał w momencie, kiedy Margot, zaufana sekretarka Henri Michellego przygotowywała kolację dla gości. Kiedy wyszedł na ulicę, Brichamarta zaczepiły dwa typy pytając, skąd idzie.

— Gdyby powiedział nazwisko byle jakiego lokatora, ludzie z *Geheime Feldpolizei* pozwoliliby mu odejść — powiedział Henri Michelli. Ale on, odruchowo, podał moje. Niemcy kazali mu wrócić i zabrali nas wszystkich.

NADINE

Po raz pierwszy pojechałam do Paryża z dwoma żołnierzami angielskimi — opowiada Andrée Dumon, alias Nadine. — Jakiś Niemiec wsiada do wagonu, aby kontrolować dokumenty i pyta mnie o dowód osobisty i pomarańczową przepustkę: passierschein. Kiedy mu je podałam, popatrzył na mnie, nie zwrócił mi ich, zażądał dokumentów od Anglików, popatrzył na nich, ciągle trzymając papiery, i spostrzegłam, że moje „dzieci" zbladły.

Zastanawiałam się, co będzie dalej, kiedy Niemiec oddał Anglikom ich dokumenty, zatrzymując moje. Przyglądał mi się znowu,

zaglądał do moich papierów, w których było zaznaczone *Zeichnerin* — czyli rysowniczka. Przygotowywałam się do pracy jako modelarka i zawsze miałam przy sobie blok ze szkicami. Rzekomo jechałam do Paryża do modniarki, aby kopiować kapelusze, miałam jej adres.

Po dłuższej chwili zwrócił mi dokumenty bez żadnego zapytania i odszedł. Był to incydent bez znaczenia, ale przechodziły mi ciarki po plecach.

Za drugim razem znowu miałam dwoje „dzieci". Podróż minęła bezpiecznie, ale na dworcu w Paryżu francuscy policjanci zatrzymali jednego z moich lotników pytając, co ma w walizce. Zdjęty strachem Anglik zaczął uciekać. Oczywiście, że zaraz go złapano. A więc zebrałam się na odwagę i mówię do policjanta:

— Czego pan chce od niego?

— Dlaczego uciekał?

— Ależ to całkiem normalne! Pan go zahaczył, więc się przestraszył! Czego chcecie od niego?

— Chcę oglądnąć jego walizkę.

Policjant otwiera walizkę. Jedynie mógł się przyczepić do papierosów. Ale było ich zaledwie parę paczek.

— No widzi pan! — mówię.

— No więc dlaczego uciekał?

— Proszę pana, to jest normalna reakcja!

— Tak pani uważa?

— Oczywiście! Kiedy człowiek czuje, że go ktoś łapie, to zaczyna uciekać!

Wtedy policjant zaczął się śmiać. Sama otworzyłam dwie pozostałe walizki, aby mu dowieść, że nie ma nic do gadania. Przez cały czas nie przestawałam mówić, aby nie pozwolić na zadawanie pytań moim lotnikom, którzy nie umieli ani słowa po francusku, no i wreszcie mogliśmy odjechać. Ale było nam gorąco!

Innym razem przyjeżdżam do Paryża z trzema Anglikami, ci — znowu po francusku ani słowa — i natykam się na policjanta, który zaczyna zadawać pytania jednemu z lotników. Naturalnie, że ja odpowiadam za niego, aż policjant się rozzłościł:

— Nie mówię do pani!

— Wiem o tym, ale on jest niemy.

— Ach tak?

Policjant przechodzi do drugiego i jego zapytuje. I znowu ja odpowiadam, wtedy już policjant jest wściekły:

— Przecież ja nie do pani mówię!

— Tak, ale ten drugi jest głuchy.

Policjant patrzy na mnie, patrzy na trzech lotników, którzy byli w typie angielskim, wskazuje na trzeciego głową:

— Przypuszczam, że ten trzeci jest głuchoniemy?

Zaczęłam się śmiać, i tak z tego wybrnęliśmy. Na szczęście policjant był miły!

Droga pani Nadine — zapytuję — jaką narodowość nadawaliście w fałszywych dokumentach tym Anglikom, którzy nie mówili po francusku?

— Najczęściej dawało się im nazwisko flamandzkie, bo języka flamandzkiego nikt nie rozumie we Francji, podobnie jak wielu Flamandów nie rozumie po francusku. To rozwiązywało sprawę, zwalniając naszych lotników od odpowiedzi, ale nie zawsze wystarczało.

Pewnego dnia stałam z trzema lotnikami w korytarzu pociągu zapchanego pasażerami. Przychodzi celnik i pyta pierwszego z moich ludzi, co ma do oclenia. Anglik nie rozumie i nic nie odpowiada, tak było umówione. Ale celnik niecierpliwi się, a Anglik traci głowę. Myśląc, że pytają go o dokumenty, wyciąga dowód osobisty. Wtedy celnik wpada w złość: „Kpi pan sobie ze mnie? Nie o to pytam!" Mój biedny Anglik wpada w panikę. Wyciąga z kieszeni pudełko zapałek i pokazuje celnikowi.

Celnik patrzy na niego i dwóch pozostałych. Widzę, że sprawa bierze zły obrót i zwracam się do celnika: „Proszę pana, ten człowiek jest głuchoniemy. Dlatego ja razem z nim jadę". Celnik patrzy na mnie i pyta następnego Anglika, co ma do oclenia. Anglik nie odpowiada.

„On pana nie rozumie — mówię. — Jest Flamandczykiem i nie umie po francusku."

Celnik przypatrzył mi się po raz drugi i odszedł, o nic nie pytając trzeciego. Kiedy odszedł, jakiś podróżny siedzący obok powiedział tak, by go słyszano: „Ma pani bardzo dziwnych towarzyszy podróży!" Jasne, że przeszliśmy do innego wagonu, kiedy tylko stało się to możliwe. Tej nocy dojechaliśmy do Paryża stojąc.

— Innym razem ... ale ja pana pewnie nudzę tymi historiami...

— Pozwoli pani, że przypomnę: przyjechałem z Paryża, aby je usłyszeć!

— Dobrze, jeżeli pan chce... Tym razem powracałam sama do Brukseli. Otwieram drzwi przedziału, gdzie dwaj Niemcy siedzieli z dwoma skutymi więźniami. „Czy chce pani usiąść"? — pyta jeden z Niemców. — Uśmiechnęłam się do niego, jak mogłam najmilej, i szybko poszłam dalej.

Odjeżdżałam z Brukseli z grubym plikiem poczty, który włożyłam do swojej torby podróżnej. Jak zwykle pociąg był zatłoczo-

ny więc stałam w korytarzu. Otwierają się drzwi przedziału i widzę dwóch bardzo eleganckich oficerów niemieckich:

„Prosimy panią, jest miejsce! Proszę usiąść!"

Nie był to odpowiedni moment, by robić chińskie ceremonie, mówię: „Bardzo panom dziękuję" — kładę swoją torbę na siatkę i siadam. Niemcy rozmawiali między sobą, zrozumiałam, że jadą do Afryki Północnej.

Przechodzi celnik belgijski i o nic nie pyta. Teraz kolej na francuskiego celnika.

„Nic do oclenia?"

Milczę, naturalnie. Ale jeden z oficerów mówi: „Tak, ta panienka ma torbę".

Katastrofa! Wstaję i udając, że nie mogę swobodnie się poruszać w przedziale, wychodzę na korytarz, otwieram torbę opierając się plecami o drzwi. Celnik ją przeszukuje i czuje na dnie paczkę z korespondencją.

„Co tam jest?"

„Papiery."

Mówiłam bardzo cicho. Popatrzył na mnie.

„Jakie papiery?"

Myślę sobie: może jest dobry... Trzeba zaryzykować i mówię: „Papiery na drugą stronę".

Popatrzył znowu na mnie:

„Dobrze, niech pani to schowa".

Zamykam torbę, wracam do przedziału, odkładam torbę na siatkę. Wszystko poszło dobrze aż do Paryża, ale miałam takie przeżycie!

— Było się czym przejmować! Jeżeli dobrze rozumiem, chodziło o pocztę, którą pani przewoziła dla Służby Luc?

— Nie, nie. Poczta Luc-Marc była zawsze w fotokopiach, nie zajmowałam się tym.

Pani de Greef wmieszała się do rozmowy:

— Anglicy prosili nas, abyśmy nie przewozili równocześnie i ludzi, i poczty.

— Tak, potwierdza Nadine. — Ale wie pan, jak toczyły się sprawy... Nie zawsze było łatwo przestrzegać ustanowionych zasad, a kiedy nadarzała się okazja, korzystaliśmy z niej. Co gorsza, ta paczka korespondencji była przeznaczona dla pana de Jongh, a powierzył mi ją pan Nicolas Monami, który prowadził wywiad.

— A więc ten epizod zbiega się w czasie z okresem, kiedy pan de Jongh zamieszkał już w Paryżu?

— Tak jest.

— Jeżeli się nie mylę, na pewien czas przerwała pani służbę w Komecie?

— Tak, ale na bardzo krótki czas i nie wynikło to z mojej winy!

Pani Dumon podaje szczegóły:

— W lutym 1942 roku Nadine została wezwana do pani de Jongh. Poprzednio byli u niej Niemcy i przesłuchiwali Suzanne, Paul wyjechał do Paryża, oczekiwano jego powrotu. Dom był z pewnością pod nadzorem, więc trzeba było go ostrzec, by nie przychodził.

Nadine wyruszyła więc na spotkanie Paula do Feignies i zaprowadziła do pań Allard i Delattre w Uccle. Można powiedzieć, że począwszy od tej chwili, pomimo swojego młodego wieku, stała się prawą ręką Paula w Belgii. Oprócz lotników odwoziła do Paryża spalonych agentów, Mikołaja Monami, Creteura i wielu innych. Była wyczerpana swoimi obowiązkami i wtedy Jeannette dopomogła jej w pracy w Brukseli.

Paul zgodził się zamieszkać w Paryżu na prośbę Dédée. Przed odjazdem chciał, aby Nadine wzięła udział w obiedzie mającym zgromadzić kilku naszych przyjaciół. Mój mąż zbyt porywczo może oświadczył panu de Jongh, że wprawdzie oddał Nadine do jego dyspozycji, jeżeli chodzi o pracę, ale nie po to, by uczestniczyła w bankietach. Po tej wymianie zdań pan de Jongh przestał widywać się z moim mężem.

— Pan de Jongh był bardzo dobry — wyszeptała Nadine — Wywołał burzę, ale sam przez nią ucierpiał...

— Wtedy ja przyjechałam do Brukseli — przypomniała sobie pani de Greef. — Przywiozłam Tomowi passierschein uprawniający do poruszania się po nadbrzeżnej strefie strzeżonej, aby pan Picart mógł ją podrobić razem z podpisem. Pan Dumon zwrócił się do mnie ze słowami: „Pan de Jongh ma nas opuścić, moja córka zaprzestała swojej pracy, w jaki sposób można by pani dopomóc bezpośrednio?" Odpowiedziałam, że nie mogę podjąć decyzji tego rodzaju bez porozumienia się z Dédée, która czekała na mnie na Południu i miała do mnie zaufanie, ale chciałam ją skłonić do widzenia się z ojcem. Już pan wie, o czym rozmawiałam z panem de Jongh. Nadine zaprowadziła mnie do pana Michellego, który przejął odpowiedzialność za Kometę w Brukseli, ponieważ pan de Jongh odjeżdżał do Paryża i w ten sposób zawarłam znajomość z Brichamartem, czyli Gérardem Waucquez, który miał odegrać tylko pośrednią rolę w Komecie. Miał na celu głównie posługiwanie się naszą Siatką w przesyłaniu korespondencji wywiadowczej w Służbie Beaver A.

Ale w kilka dni później aresztowano Michellego wraz z Gerardem Waucquez, Charlie'em i dwoma spadochroniarzami. Mieli-

śmy więc na głowie naszych lotników, odcięci od wszystkiego, nie wiedząc jak ich przerzucić, gdyż poczta Służby Luc została przechwycona w Aulnoye przez komorę celną. Wiadomości, które zawierała, nosiły pieczęć Luc, a więc począwszy od tej chwili służba wywiadowcza zmieniła swoją nazwę na Marc. Było to chyba w maju 1942 roku...

— Tak, potwierdza pani Dumon. — A agenci Marc w dalszym ciągu przywozili do Brukseli lotników... od pani Jonckheer dowiedzieliśmy się, że pani Brusselmans, u której ukryła się z dziećmi, była gotowa udzielać schronienia naszym ludziom. Pani Brusselmans stała się Anną w Siatce. Jej mąż był w więzieniu Saint-Gilles od 29 sierpnia 1941 roku.

— Tam dowiedziałam się — podjęła opowiadanie Nadine — od bardzo miłych ludzi, mieszkających przy bulwarze Magenta w Paryżu...

— Państwo Jolly — podpowiedziała pani de Greef, której pamięć jest niezawodna.

— Właśnie. Oni podali mi, w jaki sposób mogę odszukać pana de Jongh. Odwiedziłam go w mieszkaniu, w sąsiedztwie Ogrodu Luksemburskiego. Uścisnął mnie mocno, ponieważ bardzo mnie lubił, tak samo jak i ja jego lubiłam. Powiedział: „Przywieź mi zaraz ludzi!"

Przyjechałam do Paryża rankiem i zaraz spotkałam się z panem de Jongh. Natychmiast wyjechałam z powrotem do Brukseli i tego samego wieczoru odjeżdżałam do Paryża z trzema lotnikami. Nazajutrz, o piątej po południu, wróciłam do Brukseli tak zmęczona, że spałam dwadzieścia godzin bez przerwy.

Potem... potem robiłam dalej to samo!

— Przypuszczam, że nie brakowało pani przygód?

— Chce pan jeszcze więcej tych historyjek? Wie pan, można by tak bez końca do jutra...

— Proszę mi opowiedzieć jedną z nich.

— Nie pamiętam już zbyt dobrze.

— A o Australijczyku i Amerykaninie? — podsuwa pani Dumon.

— Ach! Australijczyk nie umiał ani słowa po francusku. To oczywiste. Amerykanin mówił nawet dość dobrze. Był to młody, dziewiętnastoletni chłopak, bardzo wysoki, łatwo go było zauważyć. W swoim kraju należał chyba do bardzo bogatych. Przez cały czas narzekał: na brak wygody w pociągu, na brak komfortu tam, gdzie mieszkał, a także na mój wiek, uważał, że jestem za młoda, by służyć za przewodnika. Domyśliłam się, że przypuszczał, jak hojnie

za to mi płacą, to już był szczyt wszystkiego. Ze wszystkich ludzi konwojowanych ten jedyny okazał się niedelikatny.

Pan de Jongh czekał na nas w pokoju hotelowym w pobliżu Luksemburga — naturalnie Amerykaninowi pokój nie przypadł do gustu! — i wyznaczył mi spotkanie na dzień następny przy wejściu do metra.

Idziemy tam, pana de Jongh nie ma. Czekamy, mój Amerykanin zaczyna zrzędzić, kiedy nagle zbliżają się dwaj niemieccy oficerowie z młodą dziewczyną, która podchodzi prosto do moich mężczyzn i prosi ich o drobne na telefon. Śmieszny pomysł, nie uważa pan? Natychmiast wyjmuję pieniądze z torebki i zaczynam mówić, aby moi ludzie uniknęli otwierania ust. Dziewczynie wydaje się dziwne, że to ja jej daję monetę, patrzy na mnie, nic nie mówi i odchodzi ze swoimi Niemcami. My dalej czekamy na pana de Jongh, którego wciąż nie ma.

Czas nam się dłużył, kiedy nagle odniosłam wrażenie, że nas ktoś śledzi. Zobaczyłam młodego mężczyznę obok nas, z włosami wypomadowanymi, z gatunku tych, którzy mi się bardzo nie podobają. Mówię do Amerykanina: „Zdaje się, że ktoś za nami idzie." A ten kpi sobie ze mnie: „Co pani sobie myśli? Nie można żyć jak w powieści kryminalnej!" „Dobrze — odpowiadam — ale zróbmy coś. Spotkanie się nie udało, odejdziemy stąd i zobaczymy, co będzie się działo dalej."

Ruszyliśmy z miejsca. Australijczyk szedł za nami, nic nie rozumiejąc, ale Amerykanin ciągle suszył mi głowę: „Widzi pani — że nie ma nikogo!" Nic nie mówiłam. Przy pierwszej przecznicy spostrzegamy naszego typka z natłuszczonymi włosami, idącego drugą stroną. Przyśpieszyłam trochę kroku, wchodzimy do Ogrodu Luksemburskiego, gdzie było kilku policjantów francuskich, i mówię sobie: „Jeżeli tylko obaj mężczyźni będą musieli okazać swoje dokumenty, to będzie koniec". Ale policjanci nie interesują się nami, przechodzimy dalej i stwierdzam, że typ, który mnie zaniepokoił, właśnie wszedł do ogrodu. Wtedy zaczęliśmy się bawić w chowanego do czasu, aż znalazłam coś w rodzaju okopu pełnego zeschłych liści, były tam i miotły, jakimi się posługują ogrodnicy. Rzucamy się do środka, typ nas mija, rozgląda się wszędzie, powraca, znowu odchodzi, jakby się dziwił, co się z nami stało. Kiedy byliśmy już całkiem pewni, że się oddalił, wyszliśmy ze swojej kryjówki i usiedliśmy na ławce przy balustradzie, by się upewnić, czy stracił nasz ślad. Po upływie pewnego czasu weszliśmy do pobliskiej kawiarni, skąd mogłam obserwować ulicę, i powiedziałam do mężczyzn: „Pojedziemy metrem, pozwalając wszystkim innym wsiąść wcześniej, my

wskoczymy tuż przed odjazdem". Tak zrobiliśmy, więc byłam już pewna, że nikt nas nie śledzi.

Ale pomyślałam, że może tropienie nas zaczęło się począwszy od pokoju hotelowego i że nie należało tam wracać. Miałam adres rezerwowy u Jeanne udzielającej noclegów Komecie. Kiedy tam przyszłam, zostawiłam mężczyzn na ulicy, a sama poszłam zobaczyć, czy wszystko w porządku, by nie rzucać lotników w paszczę lwa. Jeanne otworzyła mi drzwi mówiąc:

„Dobrze zrobiłaś, że nie przyprowadziłaś tutaj chłopców. Niemcy byli o piętro wyżej i piętro niżej i zdaje się, że odbyło się aresztowanie. Do mnie nie przyszli. Czy się pomylili? Na wszelki wypadek lepiej postępować tak, jakby mieli powrócić. Chodź ze mną, mam jeden adres".

Wyszłyśmy, Jeanne zaprowadziła moich ludzi na pewną mansardę. Przyrządzono im po filiżance kakao, to było wszystko, co można było dać. Amerykanin znowu zaczął protestować, ale ja nic nie odpowiadałam, bo miał on złamane żebro, i widziałam, że cierpiał z powodu długiego chodzenia. Zostawiłyśmy tam naszych dwóch lotników i wracałyśmy do Jeanne. W drodze zatrzymali nas miejscy policjanci, ponieważ nadeszła już godzina policyjna. Pożartowałyśmy z nimi, a że to byli porządni Francuzi, zaczęli się śmiać. Spokojnie zaszłyśmy do domu Jeanne.

— Intuicja pani nie zawiodła!

— A niewiele już brakowało! Nieprawdaż? Niech pan czeka, mnego dnia, było to w Brukseli, miałam zaprowadzić do pani Brusselmans polskiego lotnika. Szliśmy ulicą Ixelles i chociaż było wielu ludzi wokoło nas, miałam wrażenie, że jakaś kobieta idzie za nami. Mówię to Polakowi, który umiał kilka słów po francusku, i wie pan, co mi odpowiedział:

„To nic nie szkodzi".

„Przykro mi, wprawdzie panu to nic nie szkodzi, ale mnie bardzo przeszkadza!"

„Znam tę kobietę" — mówi mi.

Sprawa wydała mi się podejrzana, więc zaczęłam się zastanawiać, czy mój Polak nie jest wtyczką. Mówię mu: „Proszę zaczekać tutaj" i prosto podchodzę do tej kobiety:

„Dlaczego pani za nami idzie?"

„Niechże pani sobie z tego nic nie robi!"

„Ależ, proszę panią..."

„Ten człowiek mieszkał u mnie i chcę wiedzieć, dokąd idzie."

„Po co?"

„Dlatego, że nie chcę, aby go powieszono tutaj na latarni!"

„Proszę pani, ja odpowiadam za adres, pod który go prowadzę."

— A więc powinna pani mi go dać.

„Nie, jeżeli pani będzie dalej szła za nami, zwrócę pani tego człowieka i odejdę."

I musiałam tak zrobić, bo kobieta nie chciała go nam zostawić, niech pan sobie wyobrazi! Odeszła ze swoim Polakiem, którego później przemyciła Michou. W jakiś czas później Niemcy uwięzili tę kobietę. Rozumiałam dobrze jej troskliwość, chciała wiedzieć, co się będzie dalej działo z tym Polakiem, który u niej mieszkał, ale obiecałam wcześniej pani Brusselmans, że nie dam jej adresu nikomu.

— Ilu lotników konwojowała pani do Paryża, droga pani Nadine?

— Och, ze dwudziestu zaledwie... Podczas ostatniej podróży, którą odbyłam, Dédée była u ojca, przyjechała z południa. Była bardzo zadowolona, że mnie widzi, a ponieważ wiedziała, że moim marzeniem jest jeździć coraz dalej, a nawet przejść przez Bidassoa, powiedziała: „Wiesz, jestem bardzo zmęczona, a jeszcze wiele konwojów trzeba doprowadzić do Hiszpanii. Następnym razem zabiorę ciebie na Południe".

Na nieszczęście 11 sierpnia 1942 roku, zanim nadszedł termin naszego spotkania, wpadłam w ręce Niemców.

NIEDOSTRZEGALNA WIĘŹ

Tego dnia, kiedy *Geheime Feldpolizei* przerwała brutalnie posiłek u Henri Michellego, Jeannette Laurent spędziła całe popołudnie na placu Saint-Gosse. Trzej lotnicy, gospodyni udzielająca im schronienia i Jeannette czekali na Charlie'ego, który miał przejąć opiekę nad Anglikami. Dziewczyna z trudem opanowywała wzrastający niepokój, łagodząc, jak tylko mogła, coraz większe zniecierpliwienie „dzieci".

Kiedy zapadł zmierzch, z rezygnacją oświadczyła, że spotkanie się nie udało i że lepiej będzie odejść. Pomimo śmiertelnego ryzyka, na które się narażała, gospodyni zgodziła się odprowadzić trzech lotników z powrotem do siebie, pozostawiając dziewczynie swobodę działania. Jeannette pobiegła uprzedzić Suzanne Wittek, która już wielokrotnie nawiązywała łączność między członkami Komety. Ale Suzanne nie wiedziała, jak dotrzeć do swej siostry Andrée lub do ojca. Zresztą uświadamiała sobie, że wróg ją śledzi i ktoś może

pojedzie za nią do Paryża. Zaalarmowała Jeana de Gand i poprosiła o radę.

Jean był zdania, że najlepiej wywiąże się z zadania, nie ściągając na siebie uwagi, owa pani, w której domu przebywał Frédéric de Jongh w Boitsfort, zanim zamieszkał w stolicy Francji. Pani Kamps zgodziła się natychmiast. Uzbrojona w hasło i adres bratowej Charlie'ego wyjechała do Paryża.

Teraz palcem w rękawiczce naciskała dzwonek paryskiego mieszkania przy bulwarze Magenta. Drzwi otworzyła jakaś pani, za nią ukazała się twarz mężczyzny. Oboje mieli wyraz twarzy niespokojny, właściwy ludziom w czasach okupacji.

— Czy jestem u państwa Jolly? — zapytała.

— Tak, proszę panią.

— Pani Kamps powiedziała hasło. Mężczyzna i kobieta wymienili między sobą spojrzenie wyrażające odprężenie.

— Proszę wejść!

Pani Kamps poczekała, aż drzwi za nią się zamknęły, i powiedziała, że przyjeżdża z Brukseli. Ton jej głosu był poważny, pani Jolly nie łudziła się.

— Charlie? zapytała przestraszona.

Pani de Kamps potaknęła głową.

— Jest w Saint-Gilles z kilku naszymi przyjaciółmi. Muszę się widzieć jak najszybciej z Paulem i Dédée.

*

Saint-Gilles ma wygląd malowniczy i względnie przyjemny, a jest to więzienie w Brukseli. Używając jednego z tych słów, za pomocą których genialność germańska chciałaby tworzyć nie kończące się słowa-dziwolągi, Niemcy, kładąc swoje łapy na tym więzieniu, przechrzcili je na: WEHRMACHTUNTERSUCHUNGSGEFAENGNIS, co ma oznaczać coś w rodzaju: „Prewencyjne Więzienie Wojskowe" i zaopatrzyli swój regulamin w mnóstwo *verboten*[1]; zabrania się leżeć na siennikach w ciągu dnia; zabrania się używać koca zamiast poduszki; zabrania się patrzenia przez okienko; zabrania się pukać w ściany i drzwi; zabrania się pukać w okienko i brudzić mury napisami; zabrania się śpiewać; zabrania się gwizdać; zabrania się hałasować; zabrania się nawiązywania porozumienia z innymi więźniami; zabrania się im cokolwiek podawać. Dziwne, że autor regulaminu zapomniał dodać: „zabrania się marzyć" i „zabrania się myśleć". W tych wszystkich *verboten* widać ślady rozbrajającej pomysłowości.

---

[1] *verboten* (niem.) — tu: zakazów

Wbrew wszelkim zakazom około dwu tysięcy więźniów z Saint-Gilles, dowiedziawszy się około szóstej godziny wieczorem dnia 6 czerwca 1944, że alianci wylądowali w Normandii, śpiewało razem na całe gardło *Brabançonne*, hymnn narodowy Belgii, i *Marsyliankę*, śpiewaną u nas w tak różnych okolicznościach, która pozostaje w wielu sercach symbolem dążeń do wolności. Wielu z tych więźniów zapłaciło za tę demonstrację wywiezieniem do Niemiec. Inni dowiedzieli się, że strażnicy umieścili na ich drzwiach cztery litery „SCHW", skrót od *schwer bestraft*, czyli ciężko ukarany, co oznaczało karę ponad pięciu lat przymusowych robót. Dla innych napis był sporządzony nie na czarno, a na czerwono, znaczyło to, że są skazani na karę śmierci.

Wiosna w 1942 roku, chwila wyzwolenia przez aliantów była jeszcze odległa. Nic nie mówiąc pani Kamps czekała na powrót pana Jolly.

W godzinę później przyprowadził Paula i Dédée. Frédéric de Jongh był bardzo blady w przeciwieństwie do córki, którą rozpalał gniew na niesprawiedliwość losu, a zarazem ogarniał głęboki smutek. Słuchali oboje, jak pani Kamps opowiada im szczegółowo wszystko, co dotyczyło Suzanne Wittek.

Wystarczyłoby jedno słowo Charlie'ego, a Niemcy odnaleźliby ślad Frédérica de Jongh. Jeszcze jedno słowo, a gospodarze willi Voisin w Anglet zostaliby ujęci. Gérard Waucquez mógłby też wypowiedzieć to słowo, a także Henri Michelli. Ale ani Paul, ani państwo de Greef nie zamierzali zmieniać adresu. Należy się uznanie zarówno tym, których Niemcy mogli aresztować bezzwłocznie, gdyby jedno słowo wyszło z ust uwięzionych, jak i samym więźniom, którzy milczeli. Im dalej rozwijała się walka podziemna, tym silniejsza stawała się więź osób pozostających jeszcze na wolności z tymi, które już trzymano pod kluczem.

NEMO VEL KAS

Nemo! Jak go opisać, by go nie wydać? Mało go widywałam — w sumie cztery razy. To, co w nim przede wszystkim uderzało, to nie rysy, ale ruchliwa ich ekspresja, twarz była w nieustannym ruchu, subtelna, uduchowiona, wymowna, a jego ręce także odtwarzały wiernie cechy twarzy.

Tylko cztery razy spotkaliśmy się. A jednak znaliśmy się dobrze... Na pierwszy rzut oka może wydać się dziwne, że z tak małej

liczby rozmów może się narodzić tak głęboka harmonia. Ale tak już jest, że w czasie wojny ludzie szybko się poznają. Często wystarczy jedna godzina, aby odkryć bogactwo serca nowego kolegi.

Cztery spotkania... Pierwsze w 1942 roku.

„Geheime Feldpolizei" udało się zarzucić szeroko sieci, pozbawiając Kometę dowódcy sektora belgijskiego i szeregu jej ważnych członków. Cała organizacja była zagrożona. Wtedy ujrzałam Nemo po raz pierwszy.

„Czy chce pani, abym się podjął zreorganizowania wszystkiego w Belgii"? — zapytał.

W odpowiedzi na moją uwagę (zawsze towarzyszyła ona ofertom tego rodzaju): „Czy pan wie, że jest dziewięć szans na dziesięć, że w ciągu sześciu miesięcy zostanie pan zatrzymany?" — Nemo uśmiechnął się, machnął ręką na tę ewentualność i stał się jednym z naszych. Naprawdę nie było trudno zrozumieć, że w ten sposób ofiarował to, co miał w sobie najlepszego, że jego uśmiech z góry był akceptacją, że znaleźliśmy w nim wiernego kompana, który będzie służył Komecie do końca...

Te wzruszające słowa, nacechowane uczuciem i szacunkiem, poświęciła Andrée temu, który był jej bratem w walce w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu. Nazywał się Jean Greindl, był wnukiem ministra. Po swoich przodkach odziedziczył poczucie obowiązku wobec państwa, a po ojcu rycerski charakter, poczucie honoru posunięte do ostatecznych granic i prawdziwego ducha wojskowego.

Ukończył z pierwszą lokatą Instytut Kolonialny w Vilvorde i w wieku dwudziestu lat wyjechał do Konga. Podczas długich miesięcy poznał całkowitą samotność, powiększoną jeszcze przez nieustanne utarczki ze zwierzchnikami, którzy starali się wyzyskiwać jego brak doświadczenia.

Opowiada jego żona, Bernadette Greindl:

— Kiedy przyjechałam do Konga, wkrótce stwierdziłam, jak wielkie miał poważanie wśród tamtejszej ludności. Ileż razy słuchał z nieskończoną cierpliwością, co mu opowiadają robotnicy w swoim języku, rozumiał i mówił ich dialektem, omawiał z nimi trudne sytuacje małżeńskie i inne. Był dla nich dobrym samarytaninem, nie zniechęcał się żadną najbardziej odrażającą okolicznością. Dowiedziałam się, że wyleczył starą Murzynkę porażoną piorunem, która miała plecy całkowicie zwęglone. Przez pół roku pomimo obrzydliwego fetoru wydzielającego się z rany, którą opatrywał, otaczał ją nieustanną opieką. Aby mu za to podziękować, ta biedna

kobieta ofiarowała mu kozę, to, co dla niej przedstawiało wielką wartość.

Ileż razy widziałam, jak rzuca się na pomoc Murzynom, kiedy piorun padał na ich pole! Tam burze są straszliwe, nieustanny grzmot przypomina bombardowanie lotnicze. Na moje wymówki, że się naraża, Jean odpowiadał: „Chyba nie chcesz, abym ich pozostawił samych w takiej sytuacji?"

W lesistej sawannie, wśród rozległych falistości świeżej zieleni poprzerzynanej strumykami i rzekami głęboko wciśniętymi między obszary puszczy, gdzie chroniły się lwy i lamparty, Jean stworzył osadę Kamami. Wpływ, jaki wywierał na tubylców, sprawił, że nazywali go „Bwana Kasongo", co się tam tłumaczy jako: „Pan, Który Jest Wielki". Z tych wyrazów uznania jego przyjaciele europejscy ukuli imię „Kas".

FOTOGRAFIA DÉDÉE

Podczas aresztowania Gerarda Waucqueza *Geheime Feldpolizei* nie położyła swojej łapy na 300 000 franków belgijskich, które przywiózł on z Londynu i dał do schowania żonie. Ale sprawa była w zawieszeniu tylko na jakiś czas.

Wkrótce pieniądze te znalazły się w rękach Niemców jako kaucja za warunkowe wypuszczenie na wolność Gérarda Waucqueza, Henri Michellego i Charles'a Morelle'a z więzienia Saint-Gilles. Nastąpiło to, co było do przewidzenia: policjanci z ulicy Traversière schowali do kieszeni fundusze, a potem przystąpili do aresztowania Suzanne Wittek, co uniemożliwiło transakcję za pośrednictwem adwokata Robertsa Jonesa, o którym Nemo mówił poprzednio Dédée. Dlaczego ten adwokat, który całkiem jawnie interesował się wrogami Trzeciej Rzeszy, nie został sam bezzwłocznie schwytany? Jedyne wytłumaczenie: ludzie z *Geheime Feldpolizei* spodziewali się, kontrolując, gdzie chodzi adwokat, rozszerzyć zasięg swoich połowów. Dla niego to też była czasowa zwłoka, która miała się skończyć tragicznie 20 października 1943 roku w *Tir National*[1] w Brukseli. Natomiast *Geheime Feldpolizei* uważała, że nie należy odwlekać aresztowania Jeannette, pomocnicy Nadine. Razem z Suzanne Wittek znalazła się w Saint-Gilles.

[1] *Tir National* (fr.) — Strzelnica Narodowa; miejsce kaźni w Brukseli podczas okupacji niemieckiej.

— Niemcy powrócili do naszego domu 2 lipca 1942 roku — powiedziała mi pani de Jongh — wszędzie robili rewizję, nic nie znaleźli w mieszkaniu prócz starego radioodbiornika, którego już nie używaliśmy.

Podali jako pretekst, że Suzanne słuchała Anglii, co nie było prawdą i zabrali ją razem z radioodbiornikiem. Wiedzieli, że pośredniczyła w sprawie pana Waucquez i zrobili aluzję do pewnej sumy pieniędzy.

O tej pieniężnej kwestii nie przestawali mówić podczas przesłuchań, ale Suzanne odpowiadała oczywiście, że nie wie, o co chodzi. Trzymali ją w odosobnionym areszcie przez sześć tygodni. Z nas wszystkich Suzanne najdłużej przebywała w rękach Niemców. Upłynęło około trzech lat, zanim ją znowu ujrzałam, w maju 1945 roku.

W jakiś czas potem, o szóstej rano, zadzwoniono do drzwi. Powiedziałam sobie: „To oni!" — gdyż zazwyczaj przychodzili o wczesnej godzinie. Ale nie zastali mnie w łóżku. Służąca poszła otworzyć, weszli jak huragan, pozostawiając na dole wartę i z rewolwerem w ręce pytali o męża.

„Mego męża nie ma w domu."

„Proszę nas oprowadzić po domu!"

Poprowadziłam ich wszędzie, niczego nie znaleźli. Poszli także do naszych lokatorów na pierwszym piętrze. Biedacy jeszcze leżeli. Obudzili się, kiedy Niemcy byli już obok ich łóżka, bo zapominali o zamykaniu drzwi na klucz.

Nasi najeźdźcy — było ich siedmiu: dwóch oficerów i pięciu żołnierzy *Geheime Feldpolizei*, wszyscy w mundurach — weszli aż na strych, a nawet jeszcze wyżej, potem zobaczyłam, że schodzą.

Stół był nakryty do śniadania, zastawiony już od poprzedniego wieczoru, tak jak to zwykle robiłam. Powiedziałam im:

„Słuchajcie, nie mogę już dłużej czekać, muszę napalić w piecu centralnego ogrzewania".

„Dobrze, jeden żołnierz pójdzie razem z panią."

Żołnierz zszedł do piwnicy razem ze mną, naładowałam piec opałem i nie śpiesząc się poszłam na górę. Jeden z oficerów policzył talerze na stole, ale nie zauważył wśród osób w domu, że brakuje mojej szwagierki. Przeszli przed jej pokojem, nie wchodząc do środka, a ja oczywiście nic im nie powiedziałam.

Kiedy nie znaleźli męża, zabrali mnie na ulicę Traversière i wzięli na przesłuchanie. Miałam teraz okazję powiedzieć o szwagierce.

„Co, szwagierka?"

„Tak, siostra mego męża."

„Ależ my jej nie widzieliśmy!"

„Nie, bo nie weszliście do jej pokoju."

„Jak to? do jakiego pokoju?"

„Ominęliście go, i to wszystko."

Byli wściekli! Tym razem przesłuchanie ciągnęło się długo, bo oni sobie wyobrażali, że mój mąż ukrywał się w domu. Byłam bardzo spokojna wiedząc, że jest w Paryżu. Mając w końcu dość, odesłali mnie do domu.

Ale nie zrezygnowali.

Pewnego pięknego dnia zjawia się jakiś pan:

„Przychodzę w sprawie pieniędzy."

„W sprawie pieniędzy? Jakich pieniędzy?"

„Przysłała mnie Suzanne."

„Ależ, proszę pana, moja córka jest w więzieniu!"

„Wiem. Ale ona właśnie mnie przysyła tutaj w sprawie pieniędzy."

„Nie wiem, o czym pan mówi. Nigdy Suzanne nie była wmieszana w żadne sprawy pieniężne."

„Ależ tak, proszę panią."

„Niech pan nie będzie śmieszny. Gdyby pan znał moją córkę, nie mówiłby pan o pieniądzach. Ona jest tak bezinteresowna i tak mało zna się na sprawach finansowych... Gdyby się zajmowała jakimiś sprawami pieniężnymi, na pewno by mi o tym powiedziała, zapewniam."

„No, a pan de Jongh, co on robił?"

„Wszyscy wiedzą, co robił mój mąż. Był dyrektorem szkoły."

„Nie o tym chcę mówić! Nie o to chodzi!"

„Nie rozumiem. Mój mąż był dyrektorem szkoły i nie zajmował się niczym innym."

„Nie miał pieniędzy?"

„Jakich pieniędzy? Dlaczego miałby mieć pieniądze? Otrzymywał swoje pobory i to wszystko."

Tajniak dłużej nie nalegał. Odchodząc zapytał:

„Czy nie potrzeba pani pieniędzy?"

„Nie, niczego mi nie trzeba. Co pan chce przez to powiedzieć?"

„Naprawdę nie chce pani?"

Wyciągnął z kieszeni sakiewkę, jak u handlarza, caluteńką wypchaną banknotami.

„Nie chce pani? Mógłbym pani dopomóc..."

„Nie, proszę pana. Niczego mi nie potrzeba. Mam swoje skromne wynagrodzenie jako nauczycielka i to mi wystarcza."

Wreszcie zdecydował się odejść, a ja pomyślałam: „Jak na szpicla to źle grał swoją rolę!"

Niemcy z *Geheime Feldpolizei* powracali kilkakrotnie w ciągu

dnia, bez uprzedzenia. Pewnej soboty przyszli w południe i znowu mnie zawieźli na ulicę Traversière. W aucie zapytali:

„Czy otrzymała pani fotografię Andrée?"

— Odpowiedziałam: „Co za pomysł! Jakże mogłabym otrzymać fotografię od córki, jeżeli nie wiem, gdzie ona jest!"

„Ależ tak, dostała pani zdjęcie Andrée i pokazywała je pani kilku osobom. Mogę nawet powiedzieć, że te osoby razem z panią pochylały się nad tym zdjęciem."

Wtedy zrozumiałam, że ten, którego nazywaliśmy „Coco", zdradził.

Działo się to tego wieczoru, kiedy przyszedł razem z panem Donnym spotkać się z Dédée.

„Czy pan myśli — powiedziałam do Niemca — że gdybym miała zdjęcie Andrée, to byłabym taka głupia, aby je pokazywać?"

„A więc jedno z dwojga kłamie."

„Prawdopodobnie tak, ale to nie ja."

Przyjeżdżamy na ulicę Traversière i przyjmuje mnie oficer, który mnie już poprzednio przesłuchiwał:

„Przywiozła pani fotografię?"

„Jaką fotografię?"

„Wie pani dobrze! Zdjęcie Dédée!"

„Nie mam go!"

„Ależ tak, ma je pani! Śmieszne, że wszystkim je pani pokazuje, a mnie nie chce pani pokazać!"

„Żałuję, ale niestety nie mam fotografii."

„A więc niech pani wraca do domu i zastanowi się. Jeżeli pani dobrze poszuka, to znajdzie pani to zdjęcie! Wtedy je pani do mnie przyniesie."

„Proszę na to nie liczyć."

„Dlaczego?"

„Bo nie mam fotografii Andrée."

Niemiec wzruszył ramionami i tym razem jeszcze zwolniono mnie do domu.

PRZYJACIELE KASA

Aresztowanie Suzanne Wittek zawęziło zakres śledztwa *Geheime Feldpolizei* i stało się potężnym ciosem zadanym całej organizacji sektora belgijskiego, który Nemo zaczął przejmować w swoje ręce. Ale zdawało się, że każde prześladowanie ze strony wroga wyzwa-

lało nowe rezerwy dobrej woli wśród społeczeństwa okupowanego kraju, co mogłem niejednokrotnie stwierdzić w mojej własnej siatce.

— Po klęsce utworzyło się u nas ugrupowanie pod nazwą *Les Volontaires du Travail* [1], do którego wstąpiłem. Miało ono na celu chronić młodzież przed wykolejeniem — powiedział mi Georges d'Oultremont. Byłem członkiem przez jeden rok, ale stwierdziliśmy, że Niemcy chcą wywierać coraz silniejszy nacisk na tę organizację, tak że przy końcu 1942 roku z niej odszedłem. Miałem wtedy dwadzieścia sześć lat.

Ten moment wybrał Albert Greindl, stary przyjaciel mojego brata Théodore'a, zwanego w rodzinie Teddym, aby mnie odwiedzić i zwerbować do pracy w Ruchu Oporu. Zaprowadził mnie na ulicę Ducale, do Szwedzkiej Kantyny, gdzie kierownikiem był jego brat Jean, zwany Kas lub Nemo. Kas wytłumaczył mi, o co chodzi, i natychmiast doszliśmy do porozumienia. Byłem dumny, że poznałem Jeana Greindla.

Tego dnia, kiedy mnie zwerbował, powiedział:

— Będziesz się nazywał Charles, zastąpisz Charlie'ego. W ten sposób dowiedziałem się o istnieniu Charles'a Morelle, „Charlie'ego", który dostał się do więzienia.

W osiem dni później odbywałem swoją pierwszą podróż z jego siostrą Elvire. Ta wysoka dziewczyna, która od razu wzbudziła moją sympatię, pokazała mi, jak sobie radzić w drodze. Wyjechaliśmy z naszymi dwoma „pakunkami" czy naszymi „dziećmi" — jak pan woli — i przybyliśmy na granicę, we czworo wysiedliśmy z pociągu. Celnicy przechodzili przed walizkami: „Proszę otworzyć tę, proszę otworzyć tamtą!" Jeden z nich zwraca się do naszego Anglika i każe mu otworzyć walizkę zadając mnóstwo pytań. Elvire miesza się do rozmowy i odpowiada zamiast „pakunku":

„Ależ ja mówię nie do pani! — odzywa się celnik. — Zwracam się do tamtego pana!"

„Ten pan jest Flamandczykiem i nie rozumie po francusku. Jedzie pracować we Francji."

Za nami, tu i tam, stali Niemcy, słuchali, ale z rozproszoną uwagą. Celnik dał znak Anglikowi, że może zamknąć walizkę, weszliśmy z powrotem wszyscy czworo do naszego wagonu i wieczorem byliśmy w Paryżu. W tamtych czasach jeszcze nie było wiadomo, gdzie będziemy mieszkać, często zmieniano miejsce pobytu. Potem najczęściej zatrzymywaliśmy się u Aimable'a przy ulicy Oudinot. Był to bardzo zacny chłop.

---

[1] *Les Volontaires du Travail* (fr.) — Ochotnicy Pracy.

Na początku wsiadaliśmy w Brukseli do paryskiego pociągu i wszystko szło dobrze pod warunkiem, że rozmawialiśmy w imieniu „pakunków", twierdząc, że są Flamandczykami. Ale kontrola stała się ściślejsza, czuliśmy, jak narasta nieufność Niemców, i woleliśmy drogę przez Tournai i Lille, przekraczając posterunek graniczny tam, gdzie Niemcy okazywali się o wiele uprzejmiejsi i nie zadawali pytań od momentu, kiedy im się pokazało pomarańczowy passierschein.

W Lille jedliśmy posiłek południowy „Pod Czupurnym Kogutem" [1], pojechaliśmy pociągiem o trzeciej godzinie po południu i wieczorem byliśmy w Paryżu. Nie mieliśmy żadnej wpadki aż do dnia, kiedy konwojowałem trzech Anglików razem z moim kuzynem Edwardem d'Oultremont, który wszedł do Komety pod imieniem Antoine dokładnie w miesiąc po mnie. Byliśmy w tym samym dużym wagonie, podzieleni na dwie grupy. Nie wiem, z jakiego powodu Niemcy okazali się formalistami, wpadając na pomysł zadawania pytań jednemu z naszych trzech „pakunków", Anglikowi, który się nazywał Fuller. Na szczęście twarz miał dość tępą, co mu pozwoliło wspaniale odegrać rolę idioty. Posunął się tak daleko, że zaczął tańczyć jak niedźwiedź, co wywołało u Niemców obrzydzenie.

Ale od tego dnia powiedzieliśmy sobie, że jest coraz niebezpieczniej przejeżdżać przez Tournai i poszukaliśmy innej drogi. Odkryliśmy pociąg Cologne—Paris, zapchany oficerami i żołnierzami niemieckimi, agentami z *Organisation Todt*, a także „szarymi myszkami", jak nazywano niemieckie panienki w mundurach, i zauważyliśmy, że dobra połowa pasażerów wysiadała w Brukseli. Obmyśliliśmy więc, że trzeba jechać z naszymi „pakunkami" na dworzec Louvain i wsiadać w pociąg zarezerwowany dla „panów", licząc na fakt, że żaden *Boche* [2] nie potrafi sobie wyobrazić, jak moglibyśmy sobie pozwolić na taką śmiałość. Kalkulacja była dobra: przyjechaliśmy do Paryża jak świeże kwiaty, nikt nam nie zadał najmniejszego pytania ani nie żądał żadnego dokumentu. Wszystko szło jak najlepiej aż do chwili, kiedy konwojowaliśmy Kanadyjczyka Bruneau Angers, młodego chłopaka, którego serce zaczęło żywo bić dla miłych „szarych myszy", jadących z nami w tym samym przedziale. Zaczął się do nich zwracać po francusku, ale z jakim akcentem! Częstował je bułkami, w które go zaopatrzyliśmy, a kiedy zajechaliśmy już do Paryża, własnoręcznie wyniósł im walizki. Byłem straszliwie wściekły!

---

[1] *Coq Hardi* (fr.).

[2] *Boche* — pogardliwa nazwa Niemca: pludrak.

Po pewnym czasie liczba konwojentów okazała się za mała i Nemo musiał zwerbować nowych przewodników. Wtedy doszedł do nas Victor Michiels, wspaniały dwudziestopięcioletni chłopak, który przyprowadził swojego bliskiego przyjaciela, dwudziestotrzyletniego Jean-François Nothomba, syna dawnego senatora, nie mniej czarującego niż Victor. Obaj mieli ambicję, aby pojechać do Anglii i służyć w mundurze wojskowym, ale Kas im wyperswadował, że będą bardziej pożyteczni tu na miejscu. Ustalono, że Victor będzie się nazywał Louis. Jean-François pojechał do Paryża, żeby się oddać do dyspozycji Dédée. Poprzednio już powiadomiła ona Kasa, że jest potrzebny ktoś zdolny ją zastępować w przeprawie przez Pireneje.

Razem z Jeanem-François konwojowałem dwóch Rosjan, przezwanych Alexis i Petro; przypominam sobie, że jeden z nich był ze Stalingradu. Uciekli z obozu Niemców.

Powracając z Paryża podniosłem z podłogi wywieszkę *Organisation Todt* i z zimną krwią przykleiłem na drzwiach przedziału. Pomimo tłumu ludzi, który się dusił w korytarzach, odbyłem podróż do Brukseli leżąc na ławce. Za każdym razem, kiedy drzwi się odsuwały, wyłem *heraus* i nikt nie ośmielał się wejść, nawet celnicy niemieccy.

Zapomniałem panu wymienić dwóch innych przewodników: Eryka de Menten, czarującego, naprawdę wspaniałego człowieka, który wszedł do Komety w tym samym czasie co mój kuzyn Edward, i Elise, córkę pani Maréchal, Irlandki z pochodzenia, która użyczyła kwatery Charles'owi Morelle, po jego ucieczce od Niemców. Od tego czasu nie ustawała w udzielaniu schronienia wszystkim będącym w potrzebie. Jej córka, mająca niespełna osiemnaście lat, doskonale mówiła po angielsku, i to ona, z miną jakby nigdy nic, wyciągała Anglików na słowa, żeby się upewnić, czy nie mamy do czynienia z prowokatorami. Kazała im zdawać pewnego rodzaju wstępny egzamin.

Georges d'Oultremont opowiada charakterystyczny szczegół, jak go Nemo angażował do pracy:

„Czy umie pan pływać!?" — zaniepokoił się.

„Nie, a dlaczego?"

„A więc nic z tego. Przekroczenie granicy wymaga przepłynięcia przez Sommę."

„A na kiedy jest przewidziana moja pierwsza podróż?"

„Za osiem dni."

„A więc dobrze, od dzisiaj będę się przez cały czas uczył crawla" — oświadczył z wielką pewnością siebie Charles.

WILLA SAINT-MAUR

Napływały „dzieci", przysyłał je Nemo. Pierwszego czerwca Anglików, Roberta Horsleya i Lesie Baveystocka, oraz Kanadyjczyka Harnolda de Mone. Dwudziestego czerwca nastąpił przerzut czterech innych, wszyscy byli z *R.A.F.*: Alan Mils, Stanley King, Ben Taylor i Edward Siadecki. Dwunastu było w lipcu: William Griffiths, Reginald Collins, Benjamin Goldsmith, Wacław Czekalski, Bernard Evans, Bruneau Angers (Kanadyjczyk, który okazał się szarmancki względem „szarych myszy" ku wielkiemu przestrachowi Georges'a d'Oultremont), Marian Zawodny, John Watson, J. T. Pack, P. Wright, William Norfolk, William McFarlane. Ośmiu w sierpniu: Geoffrey Silva, James Whicher, Angus McLean, James Goldie, J. T. Bennett, Ronald Pearce, J. Bruce Black, Bill Orndorff. Dwudziestu we wrześniu: Alfred Beber, J. P. M. Haydon, I. H. Davies, C. C. Fox, A. E. Fay, E. G. Price, T. J. Broom, K. Rowicki, A. Wasiak, J. Cope, Ralph Van den Bok, Edgard Costello, Jack Winterbottom, Robert Brown, Edward Bradshaw, William Randle, Mounts, Frankowski, L. C. Pipkin i najwyższy stopniem z dotąd przerzuconych, L. O. Prevot, *Squadron Leader* [1], z pochodzenia Belg, który był oficerem Royal Air Force. Willa wydzierżawiona od dwóch starych panien de Saint-Maur przez Charlie'ego na krótko przed jego aresztowaniem nie wyludniła się, ku wielkiej radości „Puce" [2], małego, przybłąkanego pieska, którego Andrée znalazła na dworcu w Bayonne, a Siatka go zaadoptowała.

— *Piusss! Sit down!* — rozkazywały „dzieci", znajdujące się pod opieką Elvire Morelle.

Aby usiąść grzecznie na tyle, machając ogonem, Puce musiała usłyszeć: *Sit down!* lubiła zwłaszcza akcent kanadyjski. Dreptała drobnymi kroczkami tylko na rozkaz: *pronto!*, a kiedy wymawiano brutalnym tonem *raus!*, niezawodnie zmykała, ze spuszczonymi uszami, jak to mogły stwierdzić Ciotka Go i Janine, kiedy 13 lipca przyszły do willi Saint-Maur po rzut czworga „dzieci": trzech Anglików — Packa, Wrighta, Norfolka, i Szkota McFarlane'a, którzy przekroczyli Pireneje wraz z Andrée w pięć dni później.

„Dzieci", o których mowa, spędzały dzień zbijając bąki w ogrodzie, boksując się, podkradając śliwki z drzew, wylegując się na

---

[1] *Squadron Leader* (ang.) — dowódca major-lotnik (przyp. autora)

[2] *Puce* — Pchełka

słońcu. Znaleźli w kącie niezgorzej zardzewiałe florety, co im pozwoliło oddać się przyjemnościom szermierki, która toczyła się aż w przedpokoju.

— Przestańcie! — błagała Elvire. — Przestańcie! Uwaga! Witraże!

W pewne piękne rozsłonecznione popołudnie krzyknęła·

— Szybko, szybko, do pokoju!

Dwie stare panny, które powierzyły Charlie'emu klucze, chcąc go zaszczycić odwiedzinami, ukazały się przy furtce. Pięcioro „dzieci", opalających się, w ręcznikach okręconych około bioder pogalopowało ku domowi, a Elvire w tym czasie skierowała się ku wejściu, domyślając się, że właścicielki przyszły sprawdzić stan ohydnych różowych szyb w witrażach. Upewniwszy się, że są w porządku, rozmawiały o deszczu i pogodzie: nie omieszkały zapowiedzieć siostrze Charlie'ego następnej wizyty. Elvire wydała długie westchnienie ulgi, dziękując Bogu, że dał im krótki wzrok... Pięć koszul męskich, przez nią wypranych, suszyło się na świeżym powietrzu.

Kiedy nastały chłody, trzeba było willę zamknąć, bo panowała tam wielka wilgoć. Elvire przeniosła swoje lary i penaty do mieszkania przy ulicy Oudinot, gdzie dalej wykonywała obowiązki pani domu z wielką powagą, nie pozwalając nikomu zajmować się gotowaniem. Młoda kobieta Raymonde Couache, przyprowadzona przez Roberta Aylé, weszła do Siatki: podjęła się załatwiania spraw w Paryżu i ustalania kontaktów. Ciotka Go i Janine za następnym razem, kiedy znowu przyjechały z Anglet, zabrały ze sobą na Południe czworo nowych „dzieci".

Spośród lokatorów pod numerem 10 przy ulicy Oudinot Kometa zwerbowała dodatkowo dwie osoby: masażystę z pobliskiego szpitala, Amable'a Fouquerel, który oddał do dyspozycji „dzieci" swoje mieszkanie na piątym piętrze, z łóżkiem tak szerokim, że mogło pomieścić trzy osoby; zachowywał się tak miło, że zmieniono jego imię na Aimable (co znaczy miły, uprzejmy), odkąd wszedł do Siatki. Pani Laurentie, żona członka Ruchu Oporu, który wyjechał do Afryki, mieszkała na pierwszym piętrze. Nie tylko przyjmowała na mieszkanie „dzieci", kiedy zachodziła potrzeba, ale także dostarczała bielizny pościelowej, której brakowało gdzie indziej, a również dożywiała swoich gości dość często.

W rzucie lotników, niedawno skierowanych na Południe, znajdował się ten młody Amerykanin, którego stałe skargi doprowadzały Nadine do rozpaczy. Przypuszczał, że dostawała wynagrodzenie za niebezpieczne zadanie, które wykonywała tak odważnie, z ta-

kim poświęceniem. Kiedy ją żegnał, publicznie wyraził swoją skruchę: „*This is no excuse for my behaviour, miss Nadine*".[1]

Co by powiedział, gdyby mógł przewidzieć, jaki los spotka wkrótce dziewczynę i jej rodziców?

OSTATNI GRYPS

„*Uccle*, po flamandzku Ukkel, gmina w Belgii (Brabancja, okręg brukselski), południowe przedmieście Brukseli: 72 tysiące mieszkańców. Przemysł metalurgiczny, tekstylny i spożywczy. Ogrodnictwo. Obserwatorium. Park Wolvendaal."

Tyle mówi Duży Larousse. Rodzina Dumon mieszkała w Uccle, przy ulicy Paepenkasteel.

— Zajmowaliśmy dom razem z teściami — mówi pani Dumon. — Był położony w ogrodzie i miał dwa wejścia. Rodzice mojego męża mieli drzwi od ulicy, co tłumaczy, dlaczego 11 sierpnia 1942 roku o siódmej godzinie rano Niemcy weszli tam przedtem.

Od kilku dni zauważyłam jakieś indywiduum, które kręciło się w pobliżu, zatrzymując się przed domem i jakby go szkicując. Czy robiono to dla Niemców, czy starano się nas przestrzec, że grozi niebezpieczeństwo? Zdaje mi się, że po naszym aresztowaniu *Geheime Feldpolizei* znalazła w naszej skrzynce listowej rozdarty papier, którego my nigdy nie oglądaliśmy.

Obudziły mnie odgłosy dzwonka. Biegnę do okna i mówię do męża: „Dwaj mężczyźni w cywilu dzwonią do ojca". Jeden z nich miał teczkę. Potem pędzę do pokoju Nadine: „Przyszło gestapo!" Michou nie było u nas. Ucząc się zawodu pielęgniarki, co jej pozwalało zaopatrywać nas w kartki żywnościowe, mieszkała w szpitalu Saint-Pierre, przy ulicy Haute. Nie brała udziału w Służbie Luc-Marc ani w Komecie, wiedziała jednak dobrze, co robimy i znała naszych najbardziej czynnych przyjaciół.

Zaledwie Nadine zdążyła narzucić sukienkę, zbiegłyśmy po schodach. Wyszła przez nasze drzwi na tyły domu, a ja złapałam za walizkę, którą mój mąż pozostawił poprzedniego wieczoru w kuchni.

Mówiliśmy już o tym młodym oficerze: przed oddaniem się

---

[1] *This is no excuse...* (ang.) — Moje postępowanie wobec pani nie zasługuje na wybaczenie.

w ręce gestapo (aby ochronić przed aresztowaniem swoich rodziców) przekazał nam nazwiska kilku swoich kolegów ze szkoły wojskowej, której komendantem był mój mąż. Jeden z nich, Georges Terlinden, przewoził regularnie z Brukseli do Lyonu korespondencję Luc i zabierał ze sobą Belgów, chcących znaleźć się w Anglii. Zatrzymany w wolnej strefie potrafił uciec z więzienia, a Christiane Rolin, jego narzeczona, przyszła mi powiedzieć:

— Georges ukrył dużo broni pozbieranej na Linii Maginota. Tylko kierowca wie, gdzie jest ten arsenał.

Nadine pojechała z Christiane, kierowca zaprowadził je do garażu, tam napełniły trzy walizki bronią.

— Może pan sobie wyobrazić, jakie były ciężkie! — wykrzykuje Nadine. A przecież w tamtych czasach byłam w pełni sił! Miałam trudność z wciągnięciem dwóch waliz do tramwaju.

Jakiś pan, który stał na platformie i przyglądał się temu, nie wytrzymał i zapytał: No, no, panienko, czym to pani handluje na czarnym rynku?

Umieściłyśmy broń w bezpiecznym miejscu. Część ojciec schował w domu.

— Wiedziałam, że mój mąż opróżnił walizę pozostawioną w kuchni — powraca do swojego opowiadania pani Dumon — ale obawiałam się, aby jej widok nie nasunął Niemcom myśli o dokładnej rewizji, a więc szybko zniosłam ją do piwnicy, w miejsce bardziej odpowiednie. Potem weszłam znowu na górę i schowałam numer tajnej gazetki „La Libre Belgique".

Niemcy byli jeszcze ciągle przed drzwiami teściów, mąż zniknął z pokoju i spodziewałam się, że Nadine zdążyła umknąć. W końcu rozległ się przy naszych drzwiach dźwięk dzwonka, na który czekałam. Poszłam otworzyć i natychmiast padło pytanie:

— Andrée Dumon?

Nie czekając na moją odpowiedź ani pytając o pozwolenie wbiegli po schodach i poszli prosto do pokoju Nadine, jak gdyby znali rozkład pokoi. Nie znaleźli nikogo, zeszli na parter i nie pozwolili mi się ruszać z hallu. Tymczasem inny Niemiec przyprowadził Nadine. Oczywiście ogród był otoczony!

Przychodzi trzeci Niemiec wołając:

„Mężczyzna ukrywa się na dachu!"

To był mój mąż, miał nadzieję, że w ten sposób się uchroni, ale dostrzegli go z daleka i z kolei on do nas się dołączył. Niemcy zaczęli przeszukiwać dom od góry do dołu. Odnaleźli tylko jeden podrobiony dowód osobisty i aparat nadawczy, który mąż starał się doprowadzić do stanu używalności.

Wszystkich nas wyłapano, z wyjątkiem Michou, która z nami

nie mieszkała. Około 9 godziny rano Niemcy zabrali mojego męża i Nadine.

— Kiedy odjeżdżaliśmy autem — opowiada córka — zobaczyłam jednego z naszych sąsiadów stojącego na chodniku z przerażoną miną. Podniosłam kciuk — pan wie, to gest Churchilla — i wybuchnęłam śmiechem, co doprowadziło do wściekłości dwóch mężczyzn z *Geheime Feldpolizei*. Podczas drogi, aż do ulicy Traversière, nie przestawałam się śmiać. Może było to nerwowe. Niemcy nie omieszkali mi powiedzieć:

„*Lachen sie nicht!* — Niech się pani nie śmieje! — Za chwilę pani przestanie się śmiać!"

Po przyjeździe do *Geheime Feldpolizei* natychmiast zostałam oddzielona od ojca. Zaprowadzono mnie do oficera ubranego po cywilnemu. Powiedział, że wszystko wie, niech sobie nie zadaję trudu zaprzeczać, że znam pana de Jongh i wiem, gdzie on jest, że uprawiam szpiegostwo i że przewoziłam lotników angielskich. Istotnie był dobrze poinformowany, ale wyparłam się globalnie wszystkiego.

Ten dzień 11 sierpnia spędziłam stojąc, nie dano mi nic do jedzenia, przesłuchiwano bez przerwy, ale nie bito. Wieczorem zaprowadzono mnie do Saint-Gilles, gdzie umieszczono w separatce, zdaje mi się, że była to cela ciężkiego więzienia. Natychmiast udało mi się skomunikować z sąsiadami za pomocą rur centralnego ogrzewania.

Nazajutrz zaprowadzono mnie z powrotem na ulicę Traversière, ale przedtem przeszłam przez rewizję osobistą, czego się spodziewałam. Znaleziono gryps do mamy, który celowo napisałam: „Jesteś tutaj przeze mnie, chociaż nic nie zrobiłaś itd..." Niemcy byli bardzo zadowoleni, kiedy go znaleźli. Zrozumiałe, że chciałam oczyścić mamę z podejrzeń, ale zdawałam sobie sprawę, że gdybym zwyczajnie starała się list wysłać z więzienia, Niemcy by mi nie uwierzyli, a tak mieli wrażenie, że chciałam go ukryć.

W więzieniu zapomnieli mi dać jeść i byłam bardzo głodna, bo nie miałam nic w ustach przez całą dobę. W godzinach południowych, kiedy wciąż stałam, jakiś oficer *GFP* zapytał:

„Co tu robi ta mała?"

„Nie chce mówić!" — odpowiedział ten osobnik, który mnie przesłuchiwał.

Ten drugi się rozgniewał, prawdopodobnie myślał, że jestem młodsza niż naprawdę, i kazał mi podać ciepły posiłek, który mnie pokrzepił. Lecz zdawałam sobie sprawę, że nie będę mogła tak milczeć w nieskończoność. Wieczorem odprowadzili mnie do Saint-Gilles, a rano znowu przyszli po mnie. Starałam się opowiedzieć

jakąś bajeczkę, która nie wyrządzała szkody nikomu, ale wtedy Niemiec się rozwścieczył. Wstał, wymierzył mi silny policzek i dał rozkaz, aby feldfebel mnie bił. Żołdak tłukł nie ustając, a ja ciągle zaprzeczałam. Wtem wszedł ktoś, kogo dobrze znałam, osławiony „Coco", zapisujący wszystko w notesie.

W związku z aresztowaniami przypuszczałam, że znaleziono ten notes, ale nie myślałam, że „Coco" okazał się taki usłużny wobec Niemców. Jemu zawdzięczałam, że żandarmi poszli wprost do mojego pokoju... Teraz już nie żyje, ale proszę sobie wyobrazić, że mimo wszystkiego, czego się dopuścił, starał się o odznaczenie po powrocie z obozu! Niemcy nazywali go „długim jak ręka" Albertem, a podobno w Saint-Gilles, w męskim skrzydle, krzyczano co wieczór:

„Coco, złupimy z ciebie skórę!"

A więc zobaczyłam go, jak wszedł do urzędu ze słowami:

„Dzień dobry, panie oficerze!"

„Dzień dobry, panie Albercie! Proszę siadać. Może cygaro?"

„Dziękuję, panie oficerze."

„Czy zna pan tę osobę?"

Osoba, czyli ja, udawała, że widzi „Coco" pierwszy raz w życiu.

„Tak jest, panie oficerze! To jest Andrée Dumon, mieszka w Uccle, przy ulicy Paepenkasteel."

„I wie, gdzie się ukrywa pan de Jongh, nieprawdaż?"

„Oczywiście, powiedziała mi, że zaledwie o dwadzieścia minut drogi od jej domu."

Może pan sobie wyobrazić, jak byłam oburzona! Oczywiście, ukrywaliśmy pana de Jongh, a dom pań Dellatre i Allard nie był zbyt daleko od naszego. Ale nie powinien był tego mówić, skoro wiedział, że obecnie pan de Jongh przebywa w Paryżu. Na szczęście nie znał adresu tych pań, biedaczki zostałyby także aresztowane. Co więcej, kłamał, kiedy zwrócił się do mnie mówiąc, że uwięziono już pana de Jongh.

„A zatem widzisz, Nadine, że twoje milczenie jest bezcelowe. Twoim obowiązkiem jest mówić! Powinnaś wyznać całą prawdę."

Nic na to nie odpowiedziałam, wyprowadzono go razem z jego cygarem, a ja dalej zaprzeczałam twierdząc, że nie znam tego pana, itd. Naturalnie, że to się nie podobało oficerowi prowadzącemu przesłuchanie. W końcu oświadczył:

„Dobrze. Powróci pani do więzienia i pozostanie tak długo, aż się namyśli."

Odprowadzono mnie do Saint-Gilles, gdzie umieszczono w bardzo złej celi na parterze, a mama, przyprowadzona tu później od

nas, znajdowała się na drugim piętrze. Udało mi się do niej odezwać przez okno.

Przed naszym aresztowaniem uzgodniłyśmy w domu: wywiad był sprawą ojca, konwojowanie mężczyzn — moją. Mama nic nie wiedziała.

Nadine uśmiecha się do mnie i w tym jej uśmiechu odnajduję dumny wyraz wyzwania, który doprowadzał do wściekłości Niemców.

Pytam:

— Czy pani ojciec także był w Saint-Gilles?

— Tak, w skrzydle, gdzie umieszczono mężczyzn, a więc nie mogłam z nim rozmawiać. Pewnego dnia, kiedy byłam na korytarzu, zobaczyłam, jak go prowadzą na przesłuchanie. Zanim mój strażnik się zorientował, podbiegłam i rzuciłam się ojcu na szyję. Strażnik nas rozdzielił, bardzo krzyczał, ale mnie nie uderzył. Całą następną noc nie mogłam zasnąć...

— Spotkałyśmy obie mojego męża u niemieckiego lekarza — dodaje pani Dumon. Mąż powiedział:

„To moja żona i córka. Czy mogę je ucałować?"

„Proszę to robić szybko" — odrzekł lekarz, który był zacnym człowiekiem. — Zresztą jego także wkrótce potem aresztowano.

— Tak — woła Nadine — zacny chłop, nie taki jak niemiecki dentysta. Miałam wrzód na dziąśle, który mi bardzo dokuczał. Dentysta spojrzał w moją jamę ustną i zaraz powiedział:

„Stan zębów jest taki, że trzeba wszystkie usunąć!"

Odpowiedziałam:

„Bardzo dziękuję, wolę je zachować."

W długi czas później, kiedy powróciłam z Niemiec, trzeba było wyrwać tylko dwa.

— Podczas przypadkowego spotkania u lekarza — nawiązuje pani Dumon — widziałam, że mąż jest bardzo załamany, i on to potwierdził. Powiedziałam po cichu:

„Otrzymujesz paczki i niczego w nich nie znajdujesz?" Wyjaśniłam, jak ma szukać małych karteczek, które nam przesyłała Michou zrolowane w rowkach tektury falistej, służącej jako opakowanie.

— W ten sposób mogliśmy przesyłać na zewnątrz grypsy, które ocaliły wiele osób! — mówi Nadine. — Nie miałam prawa do paczek, ale mogłam odsyłać do prania swoją brudną bieliznę.

Zwracam się do pani Dumon:

— W jaki sposób Michou potrafiła zawiadomić, że przesyła karteczki?

— Spodziewałam się, że napisze, i szukałam. Pewnego dnia kar-

ton był trochę naddarty i zauważyłam, że z rowka tektury wystaje malutki kawałek różowego papieru.

— Czy wyprowadzano panią od czasu do czasu z celi na tak zwany „spacer"?

— Miałam prawo tylko do małego spaceru w ćwiartce tortu.

— Przepraszam, nie rozumiem.

— Tak nazywano trójkąty wokoło rotundy. Miały kratę powyżej i kratę w głębi.

— Czy gryps napisany przez pani córkę w intencji, że zostanie przechwycony, odniósł swój skutek?

Pani Dumon wymienia spojrzenie z Nadine.

— Skazano mnie na sześć miesięcy więzienia za to, że przyjmowałam u siebie szpiega, zwolniono 28 sierpnia 1943 roku.

— O kogo chodziło?

— O słynnego „Coco", którego konfrontowano z Nadine. Zwolniono mnie nazajutrz, ponieważ przebywałam w Saint-Gilles ponad rok.

— W jaki sposób ten typ znał tak dobrze rozkład pani domu?

— Przy końcu 1941 roku poszłam do niego po buty dla „dzieci" pani Jonckheer. U pani Becquet mieszkał wtedy lotnik Jack Newton. Zapytałam, czy „Coco" ma możność go wysłać, a on dopytywał się, gdzie go ukryliśmy. Nigdy nie podawaliśmy adresów mieszkań, więc mu powiedziałam:

„Jeżeli zajdzie potrzeba, będzie mógł go pan spotkać u mnie". Przy tej okazji odwiedził nas.

Przypominam sobie, że Michou była wtedy u niego razem ze mną. Trzymaliśmy ją na uboczu, ale mimo wszystko znała wszystkich głównych agentów, aby mogła ich zawiadomić, w razie gdyby nas zatrzymano.

A więc zostałam uwolniona i nie miałam okazji zrobić nic wielkiego...

— Tylko ty tak mówisz! — zaprotestowały równocześnie Michou i Nadine.

Ich matka uśmiecha się:

— Pewnego wieczoru doktor Rouffart, który pozostawał z nami w kontakcie od 1941 roku, zatelefonował prosząc, bym przyszła do niego.

— Sprawa tak się przedstawia — powiedział. — Zgłosił się ktoś, kto się podaje za pułkownika Cassarta i chce stąd wyjechać.

Cassart był oficerem sztabowym w stopniu majora dyplomowanego, Niemcy go zatrzymali w momencie, kiedy wsiadał do samolotu, żeby odlecieć do Anglii. Szukaliśmy sposobu wysłania go, ale na próżno. Tymczasem opowiedział doktorowi, że potrafił uciec

bez niczyjej pomocy z Pałacu Sprawiedliwości w Berlinie, co się nam wydawało nieprawdopodobne. Mało osób go znało. Zobaczyłam go, wypytywałam i doszłam do przekonania, że to on. Wtedy zawiadomiłam o tym Michou, która przebywała u panny Camusel i opiekowała się majorem.

— Powiedziałam już panu, że zostałam uwolniona 28 sierpnia 1943 roku. W tym samym dniu mój mąż i Nadine odjechali razem do Niemiec.

— Byliśmy w tym samym wagonie więziennym, lecz oddzieleni — prostuje Nadine. Tata poprosił strażnika niemieckiego o pozwolenie na widzenie się ze mną.

„Proszę poczekać, aż miniemy granicę, wtedy wysiądą źli Niemcy" — odpowiedział strażnik. — Kiedy przejechaliśmy granicę, wypuścił więźniów zamkniętych w celi wagonu i pozostawił mnie z ojcem razem co najmniej na dwie godziny.

Ojciec zachowywał się wspaniale. Wielokrotnie go bili, ale był bardzo dzielny. W pierwszych swoich słowach ostrzegł mnie przed insektami, z którymi nigdy przedtem nie zetknęłam się, a mogłam je złapać w więzieniu. Później udzielił mi wskazówek:

„Jeżeli będziesz jeszcze przesłuchiwana, podtrzymuj swoje zeznania. Nie przyznawaj się do niczego, nie podawaj żadnych nazwisk".

Nasz pierwszy postój był w Essen. Mężczyzn ustawiono w szeregu, a my kobiety przeszłyśmy przed nimi. I znowu rzuciłam się ojcu na szyję. Spodziewałam się, że razem pojedziemy dalej, ale na nieszczęście tak nie było.

Essen było tylko przejściowym etapem. Zamknięto nas w więzieniu. Stamtąd pojechaliśmy do Kolonii, gdzie zawarłam znajomość z pchłami, spędzając noc w zanieczyszczonym baraku, całkowicie pustym, skąd nie mogłam widzieć obozu ani kontaktować się z innymi więźniami.

Następnie zawieziono nas do Zweibrücken, czyli Dwu Mostów, tuż przy granicy alzackiej. Przedtem spędziłyśmy noc w Trèves, gdzie było szczególnie brudno.

W Zweibrücken pozostawałyśmy przez kilka miesięcy. Było tam możliwie, mogę powiedzieć nawet, że było dobrze w porównaniu z tym, co przeżyłyśmy potem. Umieszczono nas w małym obozie, gdzie było bardzo chłodno i głodno. Stamtąd przewieziono do fortecy na Górnym Śląsku, skąd starałam się uciec, ale mi się nie udało.

Moje towarzyszki, które pracowały w Waschküche, inaczej mówiąc w pralni, powiedziały mi, że istniała możliwość przesyłania grypsów do mężczyzn, którzy byli tam tak samo jak my więźniami.

Na wszelki wypadek przesłałam jeden. Tam był ojciec! Dowiedziałam się, że cierpiał straszliwy głód.

Proszę sobie wyobrazić, że jednego dnia jakiś więzień, prawnik, wsunął mi plik grypsów, które przekazałam osobie zajmującej się tymi sprawami. Zawołała: „Jest coś dla ciebie!"

Była to kartka od ojca, który napisał z okazji moich urodzin. Nie żalił się na nic.

Ten gryps zachowałam mając nadzieję, że potrafię go przewieźć do Belgii w dniu wyzwolenia. Ale kiedy znalazłam się w Ravensbrück, zabrano mi go. Tam spotkałam się z Dédée de Jongh i Suzanne Wittek. Stamtąd wywieziono nas do Mauthausen.

Ojciec zmarł w 1945 roku w obozie Gross-Rosen, na Śląsku. Miał pięćdziesiąt lat.

SEKTOR POŁUDNIE

Dzięki prężności Nemo aktywność sektora belgijskiego ciągle wzrastała, w tym samym czasie Ciotka Go powiększała swoją ekipę. Poza wierną sprawie Léontine Danglade Ciotka Go dysponowała teraz czynną pomocą dwóch córek pana Domain, mera Anglet. Pani Lagneau, która wiedziała od samego początku, kim jest „B", ofiarowała swą gościnę dla Belgów w przejeździe i świadczyła wszelkie usługi, o jakie ją proszono. Naśladowała ją w tym Simone Domain, młodsza siostra, nauczycielka wychowania fizycznego w liceum w Bayonne. Niejednokrotnie przyjmowała u siebie Dédée.

Była także pani Mendiburu, zatrudniona w kantynie Anglet. Miała zawsze dokładne informacje, zawsze była gotowa kogoś przenocować, a także pomagała zaopatrywać w żywność. Była Katalin Aguirre i jej córka Josephine oraz ich sąsiadka i przyjaciółka Gracy Ladouce.

— Często przychodziłam do Katalin spędzać wieczór razem z nią i jej Fifine, ładną dziewczynką zaledwie piętnastoletnią — mówi panna Ladouce — i w taki to sposób wplątałam się w przygodę. Spotykałam w tym domu przewodnika Florentina, który w czasie wolnym od pracy wyjmował kolce ostrych krzewów, powbijane w palce. Ileż to razy widziałam, jak dopiero co po powrocie z wyprawy na nowo prowadził w górę młodych biednych ludzi, których nie było stać na opłacenie przewodnika!

Dzielna i niestrudzona Léontine Danglade jeździła bez prze-

rwy na starym rowerze z 1900 roku, nie zdejmując nawet fartucha, gdyż odgrywała rolę agenta-łącznika, prowadząc w tym samym czasie dobrze rozwijający się sklep spożywczy.

„B" zaliczał się do „zaopatrzeniowców", przynoszących do willi Voisin sery i inne artykuły spożywcze, a nawet worki z tytoniem, i zamiatał przy okazji sklep. Léontine była pewna, że jej telefon nie jest na podsłuchu, a zatem Siatka posługiwała się nim często, nieraz rozmawiano nawet z Hiszpanią.

„O niczym nie wiedziałam — napisała do mnie jej siostra, pani Pawłowa Lamarque — chociaż codziennie tam chodziłam. Nie wyobrażałam sobie, że jej sklep może służyć jako placówka akcji podziemnej. Zdarzył się taki dzień, kiedy była zmuszona udzielić kwatery czternastu Niemcom, a potem na zmianę w nocy następnym czternastu!"

Ciotka Go zaliczała do swoich pomocników Martina Urtado, który czatował przy drodze do Urrugne, Ellisonda, który spełniał rolę agenta łączności, doktora Sperabera, który bezpłatnie otaczał opieką „dzieci" chore lub ranne, a jego żona gościła przy swoim stole agentów Siatki odżywiając ich obficie. Pani Marthe Mendihara, której mąż był jeńcem wojennym, oddawała swoją restaurację w Anglet, w dzielnicy Sutar, do dyspozycji lotników i ich konwojentów, ofiarowując im również noclegi. Freddy doszedł do perfekcji w podrabianiu dokumentów wymaganych w zastrzeżonej strefie przygranicznej. Jego siostra Janine, zaledwie szesnastoletnia, wypełniła w dniu 13 lipca swoje pierwsze zadanie, spotykając się z Elvire Morelle w willi Saint-Maur. We wrześniu przyjechała do Paryża razem z Dédée, zatrzymała się przy ulicy Oudinot i powracała z nią razem, pomagając konwojować czterech lotników: dwóch Anglików i dwóch Australijczyków, z którymi rozstała się dopiero w fermie Urrugne. Dziewiętnastego tego samego miesiąca pojechała sama do Paryża, a powróciła z Dédée, jednym Polakiem i trzema Anglikami. Ósmego października odbyła znowu tę samą drogę, powróciła na Południe z Elvire, Australijczykiem, Anglikiem i dwoma Kanadyjczykami. Kiedy Elvire pojechała do Brukseli w czerwcu, aby doręczyć paczkę Charlie'emu, który niedawno został zatrzymany, znalazła schronienie u pana Berlemont, brata Ciotki Go, przy alei Brugmanna, pod numerem 193. Ten adres służący przedtem tylko jako skrzynka listowa dla nawiązania naglących i bezpośrednich kontaktów, miał służyć odtąd jako adres tajnej kwatery.

Czyż trzeba mówić, że Ciotka Go znajdowała najsilniejsze oparcie w swoim mężu, Wuju, jak go nazywaliśmy, zawsze spokojnym i uprzejmym szafarzu mądrości i cennych rad. Jego funkcja w me-

rostwie Anglet wymagała stałych kontaktów z Niemcami, dzięki czemu był zawsze dobrze poinformowany i potrafił zapobiegać wielu niebezpieczeństwom.

Katalin Aguirre opowiedziała panu swoje wspomnienia w miarę, jak się nasuwały, przez co trudno było panu iść za tokiem jej myśli.

Katalin nawiązała kontakt z Ruchem Oporu na początku 1942 roku za pośrednictwem panny de Grammont, zwanej Margot. Wtedy nie chodziło o brytyjskich lotników, ale o Francuzów, przeważnie oficerów; Margot zwróciła się do Katalin z prośbą o kwatery, wyżywienie i odprowadzenie do granicy.

Kiedy została spalona, Margot przeszła do Hiszpanii, a zastąpiła ją koleżanka Marie-Antoinette, która także później została aresztowana i wywieziona. Katalin działała dalej z mademoiselle Suzanne aż do całkowitego rozpadnięcia się Siatki Margot.

Panna de Grammont skierowała do Kataliny Emila Meyrana, znanego pod imieniem Emil vel „Milito", który miał centralę wywiadu w Pau, do niego agenci dostarczali wiadomości z całej Francji. Katalin nie powiedziała panu, że jeździła do Pau co tydzień, musiała się przemykać przez linię demarkacyjną. Przenosiła dokumenty powierzone jej pieczy przez Emila Meyrana, powracała do Ciboure i przekazywała pocztę Florentinowi, który przerzucał ją do Hiszpanii, niekiedy robił to razem z panem Meyran. W tym czasie Katalin udzielała schronienia agentom innych siatek wywiadowczych, którzy także korzystali dzięki niej z usług Florentina. W tym samym okresie mieszkali u niej lotnicy z Komety. Była bardzo aktywna. Córka Joséphine bardzo jej pomagała mimo młodocianego wieku: w 1940 roku miała zaledwie 12 lat!

Teraz muszę opowiedzieć panu o innej rodzinie. Chodzi o mego szwagra Jeana Dassié'ego, dawnego kombatanta wielkiej wojny, z której powrócił odznaczony Legią Honorową, Medalem Walecznych i Krzyżem Wojennym, ale jako inwalida. Mieszkał w małym domku w pobliżu Saint-Pierre d'Irube, na wzgórzu tuż przy Bayonne, razem z żoną Marthe, córką Lucienne, uczennicą liceum, i synem Jeanem, małym chłopcem. W domu tym mieszkała również jego siostra Henriette, „nieprzystosowana", jak się dzisiaj mówi.

Jean Dassié pełnił obowiązki kontrolera w urzędzie pocztowym w Bayonne. Pozostawał w kontakcie ze swoją kuzynką panną Lajus, która pracowała także na poczcie, ale w Paryżu. Przyjmowała zestrzelonych lotników, zanim zostali skierowani do Hiszpanii. W ten sposób weszła do Siatki Kometa, w ślad za nią wszedł także Jean Dassié z żoną i córką oraz mój mąż, który był naczel-

nikiem biura notarialnego magistra Clérisse w Bayonne, no i ja. Czynności Jeana Dassié'ego pozwalały mu przesyłać i odbierać wiadomości przeznaczone dla Siatki z ominięciem kontroli niemieckiej, która założyła swój posterunek nadzoru w urzędzie pocztowym w Bayonne. Cały personel poczty był bardzo oddany sprawie. Teraz już pan wie, jak się przedstawiał sektor Komety Południe w drugiej połowie 1942 roku. Aż do tego czasu, dzięki Ciotce Go, nie zaszedł żaden godny ubolewania incydent. Ale wkrótce przeżyliśmy gorące godziny, a nawet zbyt gorące jak na nasz gust. Niektórych z nas przygniotło jakież ogromne brzemię cierpienia!

MILITÄRBEFEHLSHABER

„Co robi chłop, który ze swojego pola zebrał lotnika? Jeżeli jest katolikiem — idzie się zwierzyć proboszczowi. Jeżeli jest socjalistą — będzie o tym rozmawiał z nauczycielem. Jeżeli lotnik jest ranny — pójdzie do lekarza. Zatem w każdej wsi trzeba mieć po swojej stronie nauczyciela i proboszcza oraz lekarza z sąsiedztwa lub w każdym razie kogoś, kto zna dobrze jednego i drugiego i ma do nich pełne zaufanie. Ten ktoś będzie naszym miejscowym agentem, zależnym od człowieka na wyższym szczeblu w najbliższym mieście, który z kolei podlega szefowi ośrodka, podporządkowanemu nam bezpośrednio. Już dysponujemy czterema ośrodkami: w Gand — dla Flandrii, a trzema innymi w Namur, Liège i Hasselt — dla Ardenów i Limburga. Taki układ daje ponadto tę korzyść, że zapewnia przegrodę bezpieczeństwa."

W taki oto sposób Nemo [1] objaśniał komendantowi Gastonowi Bidoul strukturę belgijskiego sektora, która w pełni zasługiwała na zakwalifikowanie jako Siatka, jak mówiliśmy we Francji w odniesieniu do wywiadu; Nemo pokrył Belgię prawdziwą siecią pajęczą. Na przykład radio niemieckie przed chwilą podało, że samolot został zestrzelony w pewnej okolicy. Agent Komety dowiedział się o dokładnym miejscu wypadku przez osobę godną zaufania, która zadała to pytanie dziesięciu innym osobom, z których każda zwróciła się do dziesięciu innych rozmówców. W taki sposób szybko otrzymywano wiadomość, gdzie lotnik się ukrywa. Nic nie byłoby możliwe bez tego rodzaju tajnego spiskowania.

[1] Nemo — taki pseudonim miał Jean Greindl.

Nemo mówił dalej:

„Człowieka, któremu się udziela schronienia, z góry trzeba uważać za podejrzanego. Okazując uprzejmość i gościnność, mówić mu jak najmniej i obserwować tak, by się tego nie domyślał. Znamy przypadki, że agent prowokator na dziesięć minut wyszedł z domu, gdzie udzielono mu gościny — taki zwykły fakt sprowadził katastrofę.

Każemy przedłożyć dla dowództwa trzy zdjęcia lotnika, z których dwa posłużą do sporządzenia dwóch fałszywych dowodów osobistych, a trzecie, schowane w bezpiecznym miejscu, może się przydać w razie jeszcze jakiejś potrzeby. Rozumie się samo przez się, że adres osoby udzielającej lotnikowi gościny podaje się szyfrem. Dobrze jest mieć jeszcze jakiś znak rozpoznawczy, gdyż może się zdarzyć, że trzeba będzie przenieść szybko lotnika gdzie indziej. Stosuje się na przykład połówkę banknotu lub pocztówkę, przedartą na pół..."

W tym tutaj przypadku sprawa była bardzo delikatna, bo chodziło o upewnienie się co do rzeczywistej tożsamości człowieka, który się podawał za zestrzelonego podczas lotu. Jak wykryć prowokatora w osobniku pouczonym przez szefów w sposób doskonały jak przybrać się w osobowość lotnika alianckiego, którego trzymają w niewoli?

To jeszcze nie wszystko: prawdziwy lotnik aliancki może uważać, że niektóre z zadawanych mu pytań są niedyskretne, że odpowiedź, której się domagamy, może dostarczyć Niemcom korzystnych dla nich informacji. Lotnik mógł nawet iść dalej — zastanawiać się, czy jego gospodarz nie jest czasem przebranym nieprzyjacielskim agentem. Ale z drugiej strony, jeżeli odmawiał odpowiedzi, to czy nie budził podejrzenia na różnych szczeblach Siatki Kometa, że jako prowokator unika pytań, które mogłyby go zdemaskować? Tak z jednej, jak i z drugiej strony była to straszna gra w chowanego, bardziej przerażająca dla mężczyzn i kobiet z Siatki, gdyż prawdziwy lotnik mógł się obawiać tylko niewoli w obozie jeńców, podczas gdy wmieszanie się prowokatora w Siatkę dzierganą oczko po oczku aż do granicy hiszpańskiej, znaczyło dla każdego z jej członków ryzyko uwięzienia, obozu koncentracyjnego lub wyroku śmierci. Zrozumiałe, że komendant Bidoul prorokował ze spuszczoną głową:

— To się źle skończy!

— Czy przypomina pan sobie, jak się miała sprawa z Geoffem i Jimmym? — powiedział Nemo.

Geoffrey Silva Australijczyk i James Whicher Anglik stanowili część załogi bombowca. Geoff był pilotem, Jimmy radiotelegra-

fistą. Zestrzeleni podczas lotu nad Niemcami — wylądowali na spadochronach jeden po drugim. Wielki Jimmy był ranny w nogę odłamkiem szrapnela. Mały Geoff potrafił władować sobie towarzysza na plecy i po czterech godzinach wyczerpującego marszu zanieść go do jakiejś fermy. Chłop, który ich przyjął, pobiegł zaalarmować wiejskiego lekarza.

— *Doc*[1] — zapewniał Geoff — nigdy w życiu więcej nie zrobiłbym nic takiego dla potomka tej wyspy snobów i nicponi, która zwie się Anglią.

— Niech mi pan powie, *Doc*, — odpowiedział Jimmy, czy słyszał pan kiedy o jaskini bandytów, która nazywa się Australia? Tam są tylko kangury i bękarty zbrodniarzy.

Lekarz opatrywał ranę, a Jimmy nie mógł powstrzymać grymasu bólu.

— Ci Anglicy, co za baby! — burczał Geoff.

— Czy jeździł pan kiedyś na rowerze? — lekarz zapytał Jima.

— Oczywiście. Czy pan nie wie, że tę maszynę wynaleziono w Anglii?

— Ale Anglicy przyjechali zapytać Australijczyków, jak się zabrać do jej używania — odciął się Geoff.

— Widzę, że obaj jesteście mistrzami — stwierdził lekarz.

Wyjął strzykawkę z torby.

— Zrobię panu zastrzyk kokainy, aby nie cierpiał pan zanadto w drodze — powiedział do rannego. — Gospodarz pożyczy nam dwa rowery, ja mam swój, pojedziemy razem.

— *Where?*[2] — zapytali równocześnie Geoff i Jimmy.

— Zawiozę was do kogoś, kto wam pomoże wrócić do Anglii — powiedział lekarz.

Geoff i Jimmy osłupieli. Wymienili między sobą spojrzenia pełne niedowierzania. Ale ten *Doc* nie wyglądał na żartownisia i faktycznie wcale nie żartował. Anglik i Australijczyk, w cywilnych ubraniach, wsiedli nazajutrz rano w pociąg idący do Paryża w ślad za wysokim uśmiechniętym chłopcem, który kazał siebie nazywać Charles. Charles otrzymał od Nemo polecenie, aby znaleźć za wszelką cenę miejsce siedzące dla rannego. Myśląc, że chodzi o Geoffa, którego twarz nosiła lekkie ślady poparzenia, Charles dał mu znak, by usiadł w przedziale. Jak zwykle pociąg z Louvain był przepełniony Niemcami, a Charles znalazł tylko jedno wolne miejsce. Geoff, który mówił tylko po angielsku, nie mając możności wypowiedzieć się, starał się protestować wskazując na Jimmy'ego, ale

---

[1] *Doc* — skrót od *Doctor*

[2] *Where*? (ang.) — dokąd?

Charles nie zwracał na to uwagi i kazał mu usiąść. Po chwili Geoff chciał ustąpić miejsca koledze stojącemu w korytarzu. Wierny otrzymanym instrukcjom, Charles powstrzymał jego ruch. Scena powtórzyła się kilkakrotnie, zanim dojechali do Paryża. Kiedy na peronie Dworca Północnego Geoff mógł wreszcie powiedzieć Charles'owi: — „To Jimmy jest ranny!" — biedny Jimmy, skrajnie wyczerpany, padł zemdlony.

Na szczęście jego rana, choć bardzo bolesna, nie była groźna i lekarz paryski związany z Kometą, w willi pod Paryżem, dokąd Charles zawiózł swoich obu towarzyszy, uporał się w krótkim czasie z odłamkiem szrapnela. Wysoka dziewczyna zwana Elvire przyjęła ich i zapoznała z Anglikiem noszącym imię James, tak samo jak Whicher, oraz z Kanadyjczykiem, który pewnie miał za przodka jakiegoś Szkota, bo zwał się Angus. Geoff i Jimmy zostali przedstawieni mężczyźnie o siwiejących włosach i dobrotliwym spojrzeniu spoza grubych szkieł krótkowidza. Powiedziano im, że to Paul. Przedstawiono ich także małej kobietce o niebieskich oczach, pełnej życia i wesołej, której włosy były świeżo ufarbowane na czarno.

Jestem Dédée — powiedziała, wyciągając do nich rękę. — Zabiorę was do Hiszpanii razem z tymi oto dwoma kolegami.

Tego samego wieczoru wyjechali z Paryża. Nazajutrz rano w domu położonym niedaleko Bayonne zapoznali się z Ciocią Go i jej otoczeniem. Był tam Anglik określany dziwnym imieniem „B", który zadawał im mnóstwo pytań. Kiedy noc nadeszła, poszli w góry w towarzystwie Dédée z milczącym przewodnikiem, Baskiem. Ów mężczyzna podczas drogi podał im bukłak z koźlej skóry, noszony na pasku. Wino było gęste i drapiące, rozgrzało im żołądki, a nazajutrz wieczorem, dokładnie w osiem dni po zestrzeleniu nad Belgią, jedli kolację w gościnnym domu w San Sebastián. Następnego dnia odjechali do Madrytu autem ambasady brytyjskiej.

— To agencja Cooka! — wykrzyknął „Timothy" witając ich.

— Bo co? — spytał Nemo.

— Rekord szybkości! — zauważył komendant Bidoul.

— Każdy robi, co może — powiedział Nemo.

*

Przy ulicy Ducale 9 mieściła się kantyna Czerwonego Krzyża, która rozdzielała między dzieci brukselskie, biedne lub chore, żywność i odzież przesyłaną regularnie ze Sztokholmu dzięki inicjatywie Szwedki, pani Scherling, którą często widywano w stroju ama-

zonki, harcującej na koniu w lesie La Cambre. Dyrektorem kantyny był Jean Greindl.

Kantyna Szwedzka miała nieoczekiwaną wizytę. Wielka czarna limuzyna, ozdobiona proporczykiem ze swastyką, zatrzymała się przy ulicy Ducale pod numerem 9. Żołnierz siedzący obok kierowcy wyskoczył z wozu, by otworzyć tylne drzwiczki. Wysiadł generał wehrmachtu. Wyłogi szarozielonego płaszcza o nieskazitelnym kroju, który podkreślał zgrabność wysokiej i szczupłej sylwetki, były pokryte szkarłatnym jedwabiem. Był to generał von Falkenhausen, Militärbefehlshaber Belgii i północnej Francji. Przyjechał osobiście złożyć wizytę pani Scherling, której był znajomym i popierał dzieło przez nią prowadzone. Towarzyszył mu oficer sztabowy.

Pani Scherling sama przedstawiła barona Jeana Greindla generałowi i Nemo ujrzał wyciągającą się rękę w skórzanej rękawiczce, którą musiał uścisnąć. Oficer służbowy był skłonny naśladować gest swego zwierzchnika, ale mina Nemo była tak chłodna i odpychająca, że z tego zrezygnował.

Szare oczy generała ślizgały się po hallu z miną potępiającą staroświeckie pomieszczenia, aż zatrzymywały się na transparencie rozciągniętym od ściany do ściany z napisem:

TILL MINNE AV DROTTNING ASTRID, HJALP BELGIENS BARN

„Dla uczczenia pamięci królowej Astrid pomagajcie belgijskim dzieciom!" — przetłumaczyła pani Scherling szwedzki tekst.

Podczas inspekcji oprowadzała Falkenhausena po kantynie. Kiedy ją ukończył, Militärbefehlshaber lekko się wyprostował, przyłożył rękę do daszka swej wysokiej czapki i zrobił w tył zwrot, a za nim oficer służbowy. Żołnierz zamknął bezszelestnie drzwiczki za mężczyznami i usiadł przy kierowcy, wielka czarna limuzyna odjechała.

— To się źle skończy, panie baronie — zawyrokował major Bidoul, kiedy się znalazł sam na sam z Nemo.

Ów się uśmiechnął: tego samego ranka, kiedy odbył wizytację gubernator, kantyna przyjęła bardzo dyskretne odwiedziny pewnego kapitana z Royal Air Force, ukrywanego w Brukseli.

— Jakby osłupiał Falkenhausen, gdyby się spotkał nos w nos z tym Anglikiem! — powiedziała do mnie pani Greindl. — Ta historyjka bardzo ubawiła członków Komety, ale od tego czasu żaden lotnik ukrywany w Brukseli nie miał prawa wstąpić do biura dyrektora Kantyny Szwedzkiej.

FRANCO I DÉDÉE

W tajnej korespondencji, adresowanej do Nemo, Andrée de Jongh prosiła, by jej dopomagał „przewodnik młody, wysportowany, wolny od obowiązków rodzinnych, o ile możliwe w typie hiszpańskim, mówiący po hiszpańsku i angielsku, o dobrym charakterze". Odpowiedź Nemo nadeszła natychmiast:

„Mam kogoś w tym rodzaju".

Właśnie Georges d'Oultremont przedstawił mu niedawno Jeana-François Nothomba.

Jean-François był piątym dzieckiem wielodzietnej rodziny, stracił matkę, kiedy był jeszcze mały. U schyłku „kampanii dziewiętnastu dni", która zakończyła się 28 maja 1940 roku kapitulacją armii belgijskiej, został wywieziony do Niemiec wraz z wielką grupą jeńców wojennych i przebywał około roku w obozie pracy. Na skutek wniesionego odwołania, gdyż był podoficerem, na zasadzie konwencji genewskiej przeniesiono go do Stalagu IX-C pod Lipskiem, gdzie spędził sześć miesięcy. Pierwsza próba ucieczki skończyła się niepowodzeniem. Powiodło mu się lepiej przy drugiej i tylko trzy dni wędrował, by złapać pociąg, jadący przez Wielkie Księstwo Luksemburg. Dojechał do domu rodzinnego, położonego przy granicy belgijsko-luksemburskiej.

— Sporządzono mi dokumenty idealnie autentyczne, i co ciekawe, że nie poszukiwali mnie Niemcy — powiedział Franco, który obecnie jest misjonarzem plemienia indiańskiego w Wenezueli. — Król Leopold zorganizował opiekę socjalną dla dzieci jeńców, wysyłano je na miesięczne obozy wakacyjne. Pracowałem jako opiekun na jednym z nich w opactwie Orval, przy granicy francuskiej i tam zawarłem znajomość z Victorem Michielsem, synem właściciela wielkich zakładów produkujących czekoladę. Jego przesyłki były szczególnie cenione w tamtych latach niedostatku. Wkrótce Victor i ja staliśmy się przyjaciółmi i wtedy zwierzyłem się ze swojego projektu wyjazdu do Anglii, aby walczyć w mundurze o wyzwolenie ojczyzny. Zaproponowałem, aby zakosztował przygody razem ze mną i Victor zgodził się. Nasz wyjazd miał nastąpić zaraz po rozwiązaniu obozu i całkiem na ślepo, bo nie mieliśmy pojęcia, w jaki sposób moglibyśmy wyjechać do Hiszpanii.

W krótki czas później Victor zatelefonował:

„Chciałbym się z tobą zobaczyć".

Kiedy rozmawiał wcześniej z jednym ze swoich przyjaciół, tamten mu poradził, żeby weszli do organizacji, która miała na celu wysyłanie do Anglii lotników zestrzelonych nad Belgią. Tym

przyjacielem był Georges d'Oultremont, który przedstawił nas obu Nemo. Kiedy znalazłem się w jego obecności, odniosłem wrażenie, że mam do czynienia z człowiekiem wyjątkowo zrównoważonym, spokojnym i rozsądnym. Spotkałem się z nim tylko dwa razy: tego dnia, kiedy mnie przyjął do Komety i potem, gdy byliśmy w Paryżu z Dédée, Jeanem de Gand i Pierre'em, czyli Erikiem de Menten.

Nemo wydał polecenia. Powiedział Victorowi:

„Zostanie pan w Brukseli, aby pomagać przewodnikom".

A do mnie:

„Zamieszka pan w Paryżu, gdzie będzie pan do dyspozycji Dédée, która potrzebuje pomocy w przeprowadzaniu lotników do Hiszpanii".

W swoim biurze Kantyny Szwedzkiej wypełnił dla mnie pomarańczowy passierschein i wydał rozkazy. Powróciłem do domu, a nazajutrz, wychodząc, wrzuciłem do skrzynki listowej na drzwiach kilka słów: „Nie dziwcie się, że mnie więcej nie ujrzycie, wyjeżdżam do Anglii".

Było to 7 października 1942 roku.

Po raz pierwszy jechałem do Paryża. Podróż przebiegła w najlepszych warunkach, bez żadnej kontroli poza celną na granicy belgijsko-francuskiej. Pani Raymonde Couache czekała na Gare du Nord. Spędziłem noc u Aimable'a, jak wszyscy nazywali Amable'a Fouquerela, i rano zadzwoniłem do mieszkania pana de Jongh. Była tam Dédée, która powróciła z Hiszpanii, spędziła całą noc w pociągu, ale wcale nie wyglądała na zmęczoną.

Poprzedniego wieczoru Elvire zapytała, jak chcę się nazywać w Siatce. Nie wiedziałem.

„Niech pan słucha — powiedziała. — Jedzie pan do Hiszpanii, nazywa się pan Jean-François, nosi pan takie samo imię jak generał Franco, będziemy pana nazywać Franco."

„O, to nasz Franquito" — powiedziała Dédée, kiedy mnie zobaczyła. — Przyjęła mnie bardzo serdecznie i zaraz lepiej się poczułem.

Franco nie powiedział mi tego, ale dowiedziałem się skądinąd, że robił na swoich nowo poznanych towarzyszach wrażenie kandydata, zgłaszającego się na egzamin i pożeranego niepokojem, że nie zda. Był tak nerwowy, że jedząc pierwsze śniadanie przy ulicy Oudinot kilka razy upuścił konfitury obok kromki chleba, co mu zdobyło sympatię Andrée: otwarty wyraz twarzy, znamionujący absolutną prawość, zwrócił uwagę dziewczyny, która powiedziała sobie: „Nemo znalazł dla mnie dokładnie takiego człowieka, jakiego mi potrzeba do pomocy. Co więcej, wygląda na Baska. Cudownie!"

— Czy Nemo wyjaśnił panu, co trzeba robić? — zapytała.

— Wiem tylko tyle, że będę musiał prowadzić lotników do Hiszpanii.

— Sza! — rozkazała Andrée, udając przerażenie. Nie wie pan, kto mieszka obok nas?

Wstała i pociągnęła Franco do okna, wskazując palcem ponure budynki oddzielone podwórzem od ulicy Oudinot.

— Nie wie pan, co to jest?

— Nie.

— To Gwardia Republikańska! — powiedziała Andrée ściszając głos.

— O!

— Proszę sobie wyobrazić, że przychodzi tutaj gestapo. Paul zablokuje drzwi kredensem, a w tym czasie Elvire i ja związemy prześcieradła, aby spuścić się na podwórze.

Franco otworzył szeroko oczy.

— A potem — mówiła Andrée z bardzo poważną miną — przebierzemy się za gwardzistów republikańskich i wyjdziemy na ulicę Babylone, którą widzi pan tam.

Zdumienie malujące się na twarzy młodego kolegi wywołało u niej wybuch śmiechu. Po skończonym śniadaniu Franco otrzymał polecenie wycierania filiżanek i talerzyków, które zmywała Elvire. W tym samym czasie Paul i Andrée przygotowywali dla niego i czterech lotników fałszywe dowody osobiste i fałszywe zaświadczenia o zamieszkaniu w zastrzeżonej strefie nadbrzeżnej. Z nadejściem wieczoru, prowadzony przez Andrée, wsiadł do ekspresu w kierunku Hendaye z dwoma Rosjanami noszącymi przezwiska Alexis i Petro oraz z dwoma angielskimi lotnikami.

— Usiedliśmy w przedziale pierwszej klasy, wszystkie sześć miejsc zarezerwowano dla nas dzięki staraniom Paula — opowiadał mi Franco — i o godzinie dziewiątej trzydzieści pociąg odjechał z dworca Austerlitz. Po raz pierwszy w życiu podróżowałem przez całą noc, gdyż w Belgii odległości są zbyt małe, by jeździć inaczej niż w dzień. W Bayonne zapoznałem się z Ciotką Go, która wsiadła do naszego pociągu i jechała razem z nami do Saint-Jean-de-Luz, gdzie przy wyjściu z dworca pokazałem francuskim policjantom swoje dokumenty. Poszliśmy potem do pobliskiego domu, tam mieliśmy kwatery u San Vincente i Maritchu.

Była to niedziela. Poszedłem na mszę do wspaniałego kościoła Saint-Jean-de-Luz, a później zaprowadzono mnie nad morze. Była to moja pierwsza kąpiel w Atlantyku, tym dla mnie dziwniejsza, że był już październik, a nasze wybrzeże belgijskie jest chłodne jesienią. Wieczorem weszliśmy pod górę małymi grupkami do fer-

my Franchii, gdzie czekał na nas Florentino. Franchia dała każdemu z nas wielki kubek mleka, Florentino w tym czasie dobierał nam do nóg sandały, a potem wyruszyliśmy; Florentino szedł na czele, Dédée za nim, a ja posuwałem się na końcu.

Po ośmiu godzinach marszu bez zatrzymywania się, doszliśmy do zrujnowanej fermy, a o czwartej godzinie rano byliśmy w Oyarzun. Umieraliśmy z głodu. Florentino zatrzymał się przed małą oberżą, nabrał garść żwiru i rzucił w okno, by obudzić właścicielkę. Otworzyła i podała nam doskonałą jajecznicę przyrządzoną na sposób hiszpański — pouczono mnie, że się nazywa *tortilla* — jedliśmy ją z serem owczym, twardym jak kamień.

Po czym Dédée i ja wyciągnęliśmy ze swoich plecaków czyste ubrania, przebraliśmy się i wszyscy wyruszyliśmy w ciemną noc, około piątej rano. Zrobiliśmy nie więcej jak sto metrów, kiedy dostrzegłem stojące auto, nikt go nie zapowiadał. Dédée odezwała się do kierowcy. Tym razem nie był to Santiago, ale inny człowiek z San Sebastián. Aby nie ściągać na niego kłopotów, nazwijmy go Alfonso.

Czwórka naszych „dzieci" wpakowała się do auta, Florentino powrócił do zajazdu, a Dédée i ja szliśmy kilka kilometrów pieszo do Renteria, tam wsiedliśmy do tramwaju. Wolniutko wiózł nas do San Sebastián, przyjechaliśmy około ósmej rano. Poszliśmy wprost do domu Alfonsa, gdzie nam podano wspaniałe śniadanie składające się z jaj, bananów i kawy z mlekiem. Nasz gospodarz był człowiekiem ostrożnym do ostatnich granic: nie pozostawił auta w pobliżu domu, odstawił je do dość odległego garażu. To nie przeszkodziło, że w czasie następnej podróży, jeżeli się nie mylę, zatrzymała go na drodze policja, kiedy wiózł w nocy lotników. Udało mu się przekonać władze cywilne, że odwozi pijaków. Ale począwszy od tego dnia postanowił nie odbywać tej trasy autem o takiej porze.

Lotnicy, których konwojowaliśmy, natychmiast wyruszyli do Madrytu wozem korpusu dyplomatycznego, a ja pozostałem przez trzy lub cztery dni w San Sebastián w towarzystwie Dédée, bo nic nie nagliło do powrotu. Chodziłem nie zauważony w baskijskim berecie.

Nie zapytałem Franco, czy Andrée wykorzystała tę przerwę — pierwszą może od swej początkowej podróży z Arnoldem Deppé — na dzielenie się z nim wspomnieniami.

Może opowiedziałaby mu o Kanadyjczyku, który się zwał Angus Mac Lean i przybył z Holandii.

Spadochron zaniósł go na małą wysepkę u ujścia Mozy, w zasięgu widzenia Niemców, którzy wznosili wszędzie zapory. Zanim

mogli dotrzeć do tego miejsca, Angus już zmienił mundur na odzież, ofiarowaną przez chłopów i znalazł się obok jedynego mostu łączącego wyspę z lądem stałym. Na drugim brzegu żandarmi czekali, aż się opuści zwodzony most, który podniesiono, by mógł przejechać statek.

Angus zauważył młodą kobietę obok wózka z dzieckiem. Zbliżył się, uśmiechnął do niemowlęcia i bawił się z nim. Kiedy most spuszczono, Angus trzymał w swojej dłoni pulchną rączkę. I nie wypuścił jej. Czy młoda matka zrozumiała ten manewr? Nie wiadomo. Kiedy Angus minął już żandarmów, ukłonił się kobiecie i poszedł w kierunku Belgii.

A teraz historia z tą załogą angielską, której samolot został uszkodzony przez *Flak*[1] ponad belgijskim Limburgiem, kiedy powracali znad Niemiec.

Rozumieli, że nie dolecą do wybrzeża angielskiego. Spostrzegli światła wytyczające granice niemieckiego lotniska, które się zapaliły przed powrotem myśliwskich samolotów. Pilot angielski zdobył się na zuchwałość i wylądował bezpiecznie. Stosownie do instrukcji podpalono papiery na pokładzie i to wystarczyło, by spowodować eksplozję bombowca. Opuścili lotnisko jeden po drugim, zanim któryś z Niemców odważył się ruszyć z miejsca.

Idąc w grupie, siedmiu Anglików doszło do drogi i ruszyło nią naprzód. Była szósta rano, kiedy przechodzili przez pierwszą wioskę. Potem była druga wieś, która zaczynała się budzić, potem trzecia i czwarta, gdzie Anglicy spotkali dzieci idące do szkoły. Rozpoznając mundury *R.A.Fu.* dzieci wydawały okrzyki radości: wyrwały one z półotępienia załogę bombowca. Wszystko odbyło się tak nagle i w tak dziwny sposób, że lotnicy zapomnieli o obecności wroga. Szybko się rozproszyli, aby każdy mógł osobno szukać szczęścia.

Następnie Andrée w rozmowie z Franco przeszła do kwestii wydawania zaleceń:

— Oczywiście, że wyjaśniamy „dzieciom", jak się mają zachowywać podczas jazdy pociągiem, ale trzeba się wczuć w ich położenie, rozumieć ich niepokój i zdenerwowanie... W północnej Francji przedstawiamy ich jako Flamandczyków, ale to nic niewarte z chwilą, kiedy wyjeżdżamy z Paryża, a wszyscy nie mogą być głuchoniemi, jak chciałaby Nadine, jedna z moich przyjaciółek, która jest teraz w więzieniu...

Uważaj, aby twoje „dzieci" nie podały kontrolerowi dowodu osobistego zamiast biletu, zdarzyło się to niejeden raz. Na szczęście

---

[1] *Flak* (niem.) — artyleria przeciwlotnicza

konduktorzy kolejowi są bardzo porządnymi ludźmi, lecz bezpieczniej nie kusić złego, bo niedyskretne czyjeś oczy mogą to podpatrzyć. Na dworcu w Bayonne doszło do tego, że jedno z naszych „dzieci" podało swój bilet żandarmowi, a kolejarzowi dowód osobisty, ale zaraz go odebrało pamiętając, że nie wolno się z nim rozstawać pod żadnym pozorem. W tym przypadku także mieliśmy do czynienia z poczciwcami, którzy prawdopodobnie zrozumieli, o co chodzi, i ani drgnęli.

Możesz się spotkać również z podróżnym, który wyciąga papierosa z pudełka, spostrzega, że nie ma zapałek i prosi o ogień jedno z naszych „dzieci". Miej więc zawsze pudełko zapałek, pośpiesz się z wyjęciem go z kieszeni, podaj ogień i zacznij rozmowę, aby nie dopuścić twego „dziecka" do otwarcia ust. W pewnej sprawie trudniejszej jeszcze nasza koleżanka Michou, siostra Nadine, wybrnęła z sytuacji. Anglik, którego konwojowała, odpowiedział *Yes* na postawione mu przez kogoś pytanie, a którego nie zrozumiał. Michou wykrzyknęła:

„Nie bądź idiotą! Jeszcze ktoś cię weźmie za Anglika!"

Inni pasażerowie roześmieli się, a z tonu Michou Anglik zrozumiał, że ma siedzieć cicho.

Andrée nie lubi mówić o sobie, a mogłaby opowiedzieć historię, której była bohaterką w styczniu 1942 roku.

Henri Michelli poprosił ją, żeby przewiozła do Hiszpanii korespondencję Siatki Beaver-A oraz paczkę dość grubą, owiniętą w biały papier, około 25 centymetrów długości.

„To są dwa pociski zrobione ze stopu, którym bardzo się interesuje Londyn — powiedział. — Ukradł je z arsenału pewien robotnik Belg, który tam pracuje. W tej paczce jest metka z miejscem i datą odlewu, dzięki niej można będzie odtworzyć stop według podanych składników.

Kiedy ekspres toczył się do Hendaye, jakiś Francuz przeszedł korytarzem wagonu, w którym jechała Andrée, i powiedział pasażerom:

— Bądźcie ostrożni, Niemcy są w pociągu, rewidują bagaże. Zdaje mi się, że szukają broni.

Andrée wyszeptała do Elvire, która jechała z nią razem i wiedziała, co zawiera teczka leżąca na półce:

— Czy możesz zostać tutaj z papierami? Kiedy każą ci otworzyć teczkę, powiedz, że to są papiery handlowe.

— Ależ tak — powiedziała Elvire. — Wszystko pójdzie dobrze.

Andrée wyjęła pakunek z teczki, wzięła go pod pachę, wiedząc z doświadczenia, że nikt nie podejrzewa tego, co jest na widoku. Szła korytarzem do toalety akurat w momencie, kiedy wkroczył do

wagonu uzbrojony żołnierz jako przednia straż prowadzących rewizję. Niemiec pozwolił jej przejść aż do końca korytarza.

„Jeżeli będę tutaj tkwiła — powiedziała sobie, zamykając drzwi toalety — to się wyda podejrzane. Trzeba zrobić jakoś inaczej."

Powróciwszy na korytarz, zdała sobie sprawę z tego, że rewizja jeszcze się nie zaczęła. Zamiast wejść do swego przedziału, zatrzymała się przy wartowniku, trzymając paczkę pod pachą i przypominając sobie niemiecki, którego uczyła się w liceum, odezwała się do niego:

— *Kalt, nicht war?* [1]

Żołnierz czuł się pochlebiony, że zwraca się do niego młoda i ładna dziewczyna, i dał się wciągnąć w rozmowę. Andrée czuła, jak ciążą na niej piorunujące spojrzenia Francuzów:

— Oto jeszcze jedna, przymilająca się do okupanta!

Żandarmi weszli do wagonu. Przechodząc z przedziału do przedziału kazali pokazywać dokumenty i grzebali w bagażach. Andrée przedłużała rozmowę ze strażnikiem. Kiedy jej przedział został zrewidowany i zdała sobie sprawę, że nikt nie niepokoił Elvire, przybrała najniewinniejszą minkę:

— Może chce pan oglądnąć moje dokumenty? — powiedziała do żołnierza.

Mężczyzna się uśmiechnął:

— *Nein, nein, Fräulein! Das ist gut!* [2]

Andrée już wsunęła rękę do kieszeni płaszcza, jakby chciała wyjąć portfel. Na słowa żołnierza uśmiechnęła się miło i poszła usiąść w swoim przedziale, gdzie spotkała się z potępiającymi spojrzeniami współtowarzyszy podróży.

— Trzeba zawsze podróżować pierwszą klasą — Andrée wyjaśniała Franco. To kosztuje drożej, ale kontrole są na ogół mniej surowe, a przedziały mają tylko sześć miejsc. Widziałeś, jak odjechaliśmy z Paryża? O ile tylko możliwe, staramy się wywieźć naraz czworo „dzieci" z dwoma przewodnikami, co pozwala zarezerwować cały przedział i uniknąć niepożądanych obcych pasażerów. Jeżeli zajdzie taka sytuacja, że miejsc nie można zarezerwować, trzeba przyjść na dworzec Austerlitz bardzo wcześnie, aby znaleźć wolny przedział. Ale uważaj na wywieszki naklejone na drzwiach! One wskazują, że przedział został zarezerwowany dla Niemców i mógłbyś mieć przykre historie.

Trochę wcześniej przed tą pełną emocji podróżą miała inną przygodę. *Carabiñeros* przyłapali ją, kiedy powracała wraz z Flo-

---

[1] *Kalt, nich war?* (niem.) — Zimno, nieprawdaż?

[2] *Nein, nein...* (niem.) — Nie, nie, panienko, w porządku!

rentinem z Hiszpanii. Podczas ucieczki upadła i pokaleczyła sobie nogi. Lekarz, który opatrywał jej rany, uważał, że jest wyczerpana. Czy wiesz, co mi powiedział?

„Potrzebuje pani wypoczynku, powinna pani spędzić jakiś czas w górach!"

Andrée wybuchnęła śmiechem, swoim młodym, zaraźliwym śmiechem.

— Jeszcze coś ci opowiem. To było na samym początku. Pewnego pięknego poranka, wracając z Hiszpanii, schodziłam ku Saint-Jean-de-Luz. Mogło być około piątej — nie później. Wpadam na dwu celników francuskich, którzy zdziwili się oczywiście widząc mnie na urwistej ścieżce o tej godzinie. Musiałam pokazać dokumenty.

„Pochodzi pani z tych okolic?"

„Tak! Widzi pan przecie zaświadczenie o miejscu zamieszkania. Mieszkam u ciotki w Anglet."

„Hm! — powiedział starszy z dwóch mężczyzn. Pani nie wygląda na pochodzącą stąd. Po pierwsze — skąd pani idzie?"

„Słuchajcie panowie, poszłam wczoraj szukać żywności w górach, chodziłam od fermy do fermy. Kiedy byłam w ostatniej, autobus do Saint-Jean-de-Luz już odjechał i musiałam tam zostać na noc."

„Zdobyła pani tę żywność?"

„Nie. Nie mogłam nic dostać."

„Jak się nazywa ta ferma, gdzie pani nocowała?"

„Nie żądajcie ode mnie za wiele, panowie. Jakże bym mogła zapamiętać te baskijskie nazwy? Znalazłam się w tej fermie przypadkiem, i nawet jeżeli byście chcieli, bym was tam zaprowadziła, chyba bym nie trafiła."

„Proszę mi pokazać plecak."

Trzeba było być posłuszną — no i oczywiście — nie ominęło to mnie — znaleźli hiszpańskie pieniądze.

„Wiadomo. Idzie pani z Hiszpanii, a więc zatrzymujemy panią za przemyt dewiz."

Wtedy pomyślałam: jeżeli zaczną grzebać jeszcze dalej, to odkryją, że moje dokumenty są fałszywe i tego nie puszczą płazem. Kiedy im powiem, w jakim celu mam przy sobie hiszpańskie pieniądze — to może mnie puszczą. Nie mając już nic więcej do stracenia, a wiele do wygrania, postawiłam wszystko na jedną kartę.

„Słuchajcie panowie, powiem wam, po co chodziłam do Hiszpanii. Ale przedtem chciałabym wiedzieć jedno: dla kogo pracujecie — dla Niemców czy dla Francuzów?"

Młodszy popatrzył na starszego, starszy na młodszego i powiedział:

„Dla Francuzów, oczywiście".

A młodszy powtórzył z zapałem:

„Ależ tak, dla Francuzów!"

„A więc dobrze. Powiem wam."

Wyjaśniłam im z grubsza co robię, nie wyjawiając, że nie jestem Francuzką i że moje dokumenty są fałszywe. Powiedziałam, że regularnie chodzę do Hiszpanii z zestrzelonymi i ocalonymi lotnikami alianckimi. I tak zakończyłam:

„Nie możecie mnie za to zatrzymać, jeżeli nie jesteście po stronie Niemców".

Popatrzyli na siebie jeszcze raz, a starszy powiedział:

„Jaki dowód na to, że to prawda?"

Przypomniałam sobie, że miałam list z konsulatu belgijskiego w Bilbao, który nie wzmiankował, że jestem Belgijką.

„Macie, czytajcie! Żądają ode mnie, bym zrobiła to samo dla Belgii!"

Przeczytali pismo i znowu mi się przyglądali.

„Puścimy ją, hę?" — w końcu powiedział starszy.

„Tak, tak — odpowiedział drugi. — Ale popatrz na tę biedaczkę! Cała jest podrapana kolcami. Niech pani biegnie prędko, może pani złapie jeszcze autobus do Saint-Jean!"

Wyobraź sobie, że w lipcu ubiegłego roku powracałam do Hiszpanii z czterema lotnikami: Anglikiem, Polakiem i dwoma Kanadyjczykami. Przypominam sobie jednego z nich z powodu imienia: to był Bruno Angers. Szedł też z nami przemytnik, który korzystał z okazji, by uprawiać swój zawód: miał worek na plecach. Szliśmy gęsiego po krętej i urwistej ścieżce nie wiedząc, że dzień wcześniej zatrzymano w tym miejscu ludzi i że celnicy mają tutaj zasadzkę. Jak zwykle, dźwigałam swój plecak.

Celnicy pozwalają przejść Brunowi Angers, potem wyskakują na drogę!

Halte!

W pełni nocy francuskie *Halte!* (Stój!) brzmi podobnie, jak niemieckie *Halt!* Przemytnik i ja uciekamy prosto przed siebie. Drugi Kanadyjczyk, idący za nami, dał się zatrzymać. Polak daje nura w krzaki, za nim Anglik. Powiedział nam później:

„Usłyszałem szelest... i Polak zniknął".

Najdziwniejsze, że wszystko dobrze się skończyło. Odnaleźliśmy Anglika, potem Polaka i przeprawiliśmy ich do Hiszpanii razem z Brunonem Angers. Jeżeli chodzi o drugiego Kanadyjczyka — to oficer celny sam go odstawił na przeciwną stronę granicy. W jakiś

czas później spotykam na dworcu w Bayonne obu celników, którzy mnie wtedy wypuścili:

„No i jak, panienko, jak się powodzi?"

„Dziękuję, dobrze."

Przychodzi mi coś na myśl i pytam:

„Proszę mi powiedzieć, czy nie mieliście służby w górach przed kilku tygodniami? Służby nocnej?"

„Och! To nam się często zdarza!"

„Czy to nie wy przypadkiem ścigaliście nas na krętej ścieżce, chcąc zatrzymać?"

„Wtedy, kiedy zatrzymaliśmy Kanadyjczyka?"

„Tak."

„A więc to pani była razem z przemytnikiem?"

„Tak."

„No dobrze, ale proszę mi powiedzieć... Była pani w spodniach?"

„Chyba nie myślicie, że biegam po górach w spódnicy?"

Celnicy popatrzyli na siebie i zaczęli się śmiać.

„Niech pani posłucha, panienko — powiedział mi starszy. — Następnym razem kiedy pani usłyszy, że ktoś krzyczy: Stój! proszę zawołać, zanim pani ucieknie: «A kuku! to ja!»"

MICHOU DZIAŁA

Michou — jak nazywali dzisiejszą panią Piotrową Ugeux wszyscy jej przyjaciele z Siatki Kometa — zaczęła od prośby, bym obiecał, że nie umieszczę w swojej książce żadnej wzmianki o niej. Gorąco popierany przez panią de Greef, odmówiłem uzasadniając, że jej działalność w Służbie Kometa była zbyt ściśle związana z życiem siostry, by można było to przemilczeć, lecz niełatwo wygrałem sprawę. Michou mówiła wbrew swej woli, głosem tak cichym, że ledwie go chwytał mikrofon mojego magnetofonu. Pod wątłą powierzchownością starszej córki Eugène'a Dumon wyczuwałem osobowość pełną zapału, podobną z charakteru do matki i siostry, wyposażoną w taką samą niepokonaną energię i taką samą odporność na wszelkie ciężkie próby.

— Jedenastego sierpnia 1942 roku o jedenastej rano dziadek przyszedł do szpitala Saint-Pierre zawiadomić mnie, że ojciec, mama i Nadine zostali aresztowani. Dyrektorka szpitala pozwoliła mi wyjść.

Oczywiście, że pierwszą moją troską było przestrzec Służbę

Marc, a również panią Brusselmans, u której byłam kiedyś razem z mamą: wiedziałam, że udziela schronienia lotnikom. Potem zaczęłam szukać rytownika, sporządzającego dla ojca pieczęcie do podrabiania dowodów osobistych i innych dokumentów, potrzebnych dla Służby Marc. Wiedziałam o nim tylko tyle, że mieszka przy ulicy Tournesols i że był profesorem Szkoły Sztuk Zdobniczych. Na szczęście Marthe Minet poinformowała mnie, że państwo Marie, przyjmujący u siebie na noc lotników, mieszkali akurat naprzeciwko tego grawera i dzięki temu mogłam go ostrzec. Dodam jeszcze, że Marthe Minet siedziała przez rok w więzieniu za przenocowanie dwóch żołnierzy angielskich, a jej mąż został deportowany. Do niej przewiozłam broń składowaną przez ojca w domu, tak że jej nie znaleźli podczas rewizji.

— Więc pani wiedziała, że była broń do ukrycia?

— Nie tylko broń, ale i dokumenty. Nikt się u nas w domu nie krył jeden przed drugim, nie mieliśmy tajemnic!

— Pozwolę sobie zauważyć, że idąc do domu rodziców wiele pani ryzykowała...

— Moi rodzice naraziliby się o wiele poważniej, gdyby Niemcy znaleźli to, co ja ukryłam!

— Niewątpliwie, lecz dom mógł być pod obserwacją.

— Tak, lecz byli w nim babka i dziadek i na to liczyłam.

— Czy część domu, w której mieszkali rodzice nie została opieczętowana?

— Nie, nie było pieczęci.

— Mógł ktoś panią śledzić...

— O! byłam ostrożna.

— Ostatnie pytanie: czy *Geheime Feldpolizei* nie starała się pani aresztować?

— Ci ludzie zupełnie nic o mnie nie wiedzieli. Kiedy poszłam na ulicę Traversière po zezwolenie na dostarczanie paczek do więzienia Saint-Gilles, musiałam udowodnić, że byłam naprawdę córką pana Dumon, i przynieść wyciąg metryki urodzenia z gminy Uccle! Proszę sobie wyobrazić!

— A więc ujawniła pani wobec Niemców swoje istnienie, a oni nie dopuścili się aresztowania?

— Nie. Wydali mi pozwolenie, o które prosiłam, zaznaczając, że za każdym razem, kiedy zechcę zanieść paczkę do więzienia, muszę przyjść po nowe.

— Czy ci Niemcy nie podejrzewali, że jest pani w zmowie z rodziną?

— Przesłuchiwali mnie, oczywiście! Jeden z nich zapytał nagle: „Czy to pani ma białą kurtkę?" Szczęśliwie się zdarzyło, że

tego dnia nie miałam jej na sobie. Zrozumiałam, że ktoś mówił o mnie i od tego dnia przestałam w niej chodzić. Ktoś, to był słynny „Coco", który mnie widział razem z mamą, ale mnie nie znał, bo mieszkałam w szpitalu.

— Starała się pani zatem przestrzec przyjaciół ojca...

Tak. Ze Służby Marc potrafiłam natychmiast zawiadomić agentów: Rene'go, Pierre'a i „Simpleta" dzięki Klarze Duyseburgh, zwanej Cousine, która była sekretarką. Aby spotkać się z „Simpletem", a naprawdę zwał się Oscar Simon, musiałam pojechać na mały dworzec w Charleroi, gdzie jego ojciec był zawiadowcą stacji. Ostrzegłam także Constanta Hubeau, inwalidę z lat 1914—18, który służył jako skrzynka listowa. Jego stan wymagał stałej obecności pielęgniarki. Była to Marie-Claire Waterloos, która pełniła służbę podczas wielkiej wojny razem z dyrektorką mojego szpitala, co mi ułatwiało przesyłanie wiadomości w razie potrzeby. Kiedy widziałam się z nią 14 sierpnia 1942 roku, poinformowała mnie, że Jean Ingels, którego zwano Jean de Gand był zaprzyjaźniony z panem tego domu. W następstwie czego postanowiłam zwrócić się do Jeana Ingelsa w miesiąc później, kiedy Służba Marc poprosiła o wysłanie lotników.

Jego fałszywy dowód osobisty opiewał na nazwisko Georges Desmedt. Czy powiedziano panu, że pracował w banku w Gand? W każdą niedzielę przyjeżdżał do Brukseli i spotykałam się z nim często w La Porte de Hal [1]; umawialiśmy się na popołudnie, aby przekazywać chłopaków.

— Chłopaków? Chce pani powiedzieć — lotników?

— Oczywiście.

— Zdawało mi się, że w Komecie nazywano ich „dziećmi"?

— Inni mówili także „pakunki". Ja mówiłam „chłopaki", a Ciotka Go *boys*. Oznaczało to to samo.

A zatem służyłam jako pośredniczka między Jeanem de Gand a agentem Służby Marc: do października był nim Pierre de Praeter, lub „Kuzynka". Od października — najczęściej Jean Van Schuerbeek, który zamiast Pierre'a de Praetera stanął na czele Siatki Marc, zwano go Joseph. Był tam jeszcze „Rodolphe", z którym spotykałam się na moście Germoire, przerzuconym nad torami kolejowymi przy dworcu Eterbeek. Jeżeli chodzi o Kometę, to miałam kontakty również z Louisem de Sadeleer, a także z Eliane, którą była Elise Aubanel, zmarła w Ravensbrück.

---

[1] La Porte de Hal — w Brukseli fortyfikacje z XIV wieku, odrestaurowane i przekształcone w 1869 roku w Muzeum Broni.

W tym samym czasie umieściłam pewnego lotnika u pani Renée Pirart, którą często odwiedzałam ze względu na niezbędne pieczęcie.

W listopadzie 1942 roku Jean de Gand nie przyszedł na spotkanie, na które umówiliśmy się poprzedniej niedzieli. Gestapo przeszło przez dom państwa Maréchal.

ZIELONA KOPERTA

Nemo nie opuszczała myśl, że jakaś parszywa owca weszła do Komety i dała się prowadzić aż do Hiszpanii, aby ujawnić kontrwywiadowi nieprzyjacielskiemu funkcjonowanie całej Siatki. Postanowił, że „dzieci" przywożone do Brukseli przez przewodników z różnych ośrodków będą doprowadzane do kościoła Świętego Józefa, przy skwerze Frère Orban, jako pierwszego etapu wędrówki. Zbierali się przed konfesjonałem ojca Costenoble'a, o którym Georges d'Oultremont tak się wyraził:

— Ten godny szacunku ksiądz był szczególnie szybki, załatwiał sprawę raz dwa, co wyjaśnia, dlaczego penitenci chętnie ustawiali się u niego w ogonku. Można było stanąć w kolejce bez zwracania niczyjej uwagi.

Wysłannik z Kantyny przychodził porozmawiać z „dziećmi", przywiezionymi do Brukseli przez przewodnika z prowincji, by w nieznaczny sposób wybadać je możliwie jak najdokładniej. Potem pod pretekstem, że idzie poszukać kogoś, kto ich zaprowadzi w bezpieczne miejsce, pozostawiał lotników w kościele i powracał do Kantyny uważając, czy nikt go nie śledzi. Po wysłuchaniu raportu Nemo wydawał odpowiednie dyspozycje.

Wybór Nemo padł na Elsie Maréchal, gdyż domyślał się, że dałaby się zabić dla niego. Osiemnastoletnia Elsie wyglądała na niewinną uczennicę, niezdolną do wzbudzenia jakiegokolwiek podejrzenia. Dzięki pochodzeniu matki wyśmienicie znała język angielski i już od dłuższego czasu była na usługach Siatki. Jeżeli przewodnik znał Elsie, sprawa była prosta. Jeżeli nie, kiedy zauważy jakąś młodą dziewczynę dającą znak, ma do niej podejść szepcąc:

„Przepraszam, która godzina?"

Odpowiedź powinna brzmieć:

„Zawsze ta sama".

Roztropny Nemo ustanowił poza tym jeszcze jedną „przegrodę" między listem zapowiadającym przyjazd przewodnika do Brukseli a spotkaniem z Elsie. Jej koleżanka Nelly Deceunynck miała otrzy-

mywać pocztą wiadomość niezrozumiałą dla niewtajemniczonych, która wskaże datę spotkania i liczbę „dzieci" wiezionych do Brukseli. Zostało umówione, że spotkanie u Świętego Józefa będzie się zawsze odbywało o godzinie dziesiątej rano. Przez nadmiar ostrożności Nelly nie poinformowała swoich rodziców o tajnej roli, jakiej się podjęła, nie wiedząc, że w takich okolicznościach to, co się wydawało roztropne, mogło zagrażać bezpieczeństwu. Ale przynajmniej rodzice Nelly uniknęli niepokoju, jaki odczuwali państwo Maréchal, których dom przy alei Voltaire'a, gdzie niedawno ukrywał się Charlie Morelle i tylu innych kandydatów do ucieczki, nie przyjmował już nikogo, odkąd Elsie odgrywała aktywną rolę w Siatce.

Rankiem 19 listopada 1942 roku pani Maréchal znalazła w swojej skrzynce listowej zieloną zaklejoną kopertę bez adresu. Zaintrygowana obracała ją w palcach, później przypuszczając, że to jest tajne pismo, przekazała je córce.

— Co to ma znaczyć, Elsie? — zaniepokoiła się.

— Przypuszczam, że jest to wiadomość dla Paryża. Zaniosę to do Nemo.

Ale ciekawość zwyciężyła: dziewczyna wyjęła z torebki zieloną kopertę i rozdarła. Na papierze były tylko cztery słowa: „Dwa pakunki na czwartek".

— Jaki dzień dzisiaj mamy? — zapytała Elsie — dziewiętnastego? Ależ to czwartek! Dlaczego ta wiadomość przyszła bezpośrednio tutaj, a nie do Nelly, jak zwykle?

— Co zrobisz? — zapytała matka.

Elsie zawahała się. Jej zegarek wskazywał dziesiątą godzinę. W żaden sposób nie zdążyłaby do kościoła Św. Józefa. Powzięła decyzję:

— Zaniosę to do Nemo.

Włożyła płaszcz i wyszła. Dzień był pochmurny i zimny; silny lodowaty wiatr przejął ją dreszczem na zakręcie ulicy. Tramwajem dojechała do ulicy Ducale, ale Nemo nie było. Zdezorientowana postanowiła wrócić do domu.

O dziesiątej godzinie trzech mężczyzn przechodziło skwer Frère Orban, kierując się w stronę kościoła Św. Józefa. Jeden szedł przodem, był to przewodnik Albert Marchal z ośrodka Namur. Miał dwadzieścia sześć lat, dopiero od niedawna należał do Komety, konwojował dwoje „dzieci", powierzonych mu przez szefa ośrodka. Dwaj mężczyźni w roboczych ubraniach nie otworzyli ust od chwili wyjazdu z Namur, co się Marchalowi spodobało. Pominąwszy kwestię bezpieczeństwa, byłby bardzo zakłopotany, gdyby „dzieci" odezwały się do niego, ponieważ nie umiał ani słowa po angielsku.

Było inaczej, niż zapowiadał szef: żadnej dziewczyny nie było

w kościele, na wyznaczonym miejscu. Zaniepokojony, postanowił tam pozostać przez dziesięć minut. Kiedy ten czas upłynął, czekał dalej, ale wybiło pół do jedenastej, a on nie wiedział, jaką powziąć decyzję. Dwaj mężczyźni wyglądali na zdenerwowanych.

Albert w myśli przydzielił dla spóźnialskiej jeszcze jeden kwadrans, potem drugi. Wybiła jedenasta na wieży kościoła. Ter z już opanowała go panika i pomyślał, że będzie najlepiej zaprowadzić lotników do Nelly Deceunynck, której miał adres.

Nelly nie było w domu. Jej rodzice, którzy nic nie wiedzieli o jej pracy w podziemiu, ze zdziwieniem zobaczyli na progu domu nieznajomego, który w zawoalowanych słowach zwierzał się ze swojego kłopotu. Wreszcie powiedział, że zostawił po drugiej stronie ulicy angielskich lotników. Państwo Deceunynck przypomnieli sobie, że matka Elsie, przyjaciółka ich córki, jest Irlandką i pomyśleli, że będzie najlepiej tam odesłać tego chłopca, który czuł się zagubiony w Brukseli, a razem z nim dwóch lotników, i że tak będzie najbezpieczniej. Wytłumaczyli Albertowi, którędy idzie się na aleję Voltaire'a, i śledzili go wzrokiem, kiedy odchodził, a dwaj mężczyźni szli za nim.

Kiedy pani Maréchal usłyszała dzwonek, uchyliła lekko zasłonę okna w salonie. Elsie patrzyła stojąc za nią i wszystko zrozumiała na widok trójki. Zawołała:

— Jak to! Już są tutaj? Kto ich mógł tu przysłać?

Jednak nie można było trzymać dłużej na chodniku przewodnika i „dzieci". Elsie poszła otworzyć.

— Nikogo nie było — tłumaczył się Albert. Czekałem dobrą godzinę, a potem poszedłem do panny Deceunynck. Nie zastałem jej, a jej rodzice dali mi pani adres.

— Proszę wejść — rzekła Elsie.

— Jeżeli to pani nie sprawia różnicy, to zaraz wrócę do Namur.

Odszedł, Elsie zamknęła drzwi i wprowadziła dwóch mężczyzn do salonu. Kiedy przemówił niższy z nich, pani Maréchal powiedziała:

— Ależ pan jest Amerykaninem!

— *Sure!* — odpowiedział. — Mój kolega również. Ale służymy w *R.A.Fie.*

Drugi potwierdził ruchem głowy. Miał bladą twarz, umykający wzrok, nie patrzył w oczy.

— Amerykańscy lotnicy w Belgii! Jeszcze takich dotąd nie widzieliśmy. Zjedzą panowie razem z nami...

Goście pozostali w salonie, pani Maréchal przeszła do kuchni, Elsie nakrywała do stołu. Wyższy z mężczyzn przyszedł za nią do jadalni:

— *May I ask you where is the cabinet?*[1] — zapytał.

Elsie wskazała koniec korytarza. W sekundę później pomyślała nagle, że ten Amerykanin w dziwny sposób zadał pytanie: ani w Stanach Zjednoczonych, ani w Wielkiej Brytanii wyraz *cabinet* nie ma tego znaczenia, jakie mu się nadaje we Francji i Belgii, gdzie go się używa tylko w liczbie mnogiej. Anglicy i Amerykanie mówią *toilets*. Ale może lotnik słyszał słowo *cabinets* w domu, gdzie ostatnio mieszkał?

Bobby, piętnastoleni brat Elsie, powrócił ze szkoły i wszyscy zasiedli do stołu. W przeciwieństwie do lotników, pozostających na utrzymaniu Siatki, ci dwaj byli bez apetytu, aż pani Maréchal okazała zdziwienie.

— Proszę nam wybaczyć — powiedział mniejszy. — Wczoraj byliśmy wieczorem na przyjęciu i wypiliśmy ogromne ilości whisky.

Elsie na nowo odczuła skurcz serca: w obecnych czasach whisky zdarzała się bardzo rzadko w Belgii.

— Nie wyglądacie na Amerykanów! — powiedziała gwałtownie.

Jej matka, zmieszana, oczekiwała odpowiedzi. Zapanowało milczenie wprost nie do wytrzymania.

Wreszcie niższy z mężczyzn zaczął się śmiać:

— A więc, według pani zdania, kim jesteśmy?

Obawiając się, by się nie posunąć za daleko, Elsie wzruszyła ramionami:

— Wyglądacie na Belgów.

Po skończonym posiłku pani Maréchal odprowadziła do salonu gości. Elsie podała im dwie kartki papieru.

— Proszę napisać tutaj imiona i nazwiska, wasze numery w *R.A.F.*, numer waszego samolotu i miejsce, gdzie spadliście.

Zauważyła, że mężczyźni wymieniają spojrzenia.

— Czy pani myśli, że to konieczne? — zapytał mniejszy, z odcieniem gniewu w głosie.

— To jest niezbędne — odpowiedziała Elsie.

Dotychczas nigdy żadne z „dzieci", którymi się zajmowała, nie okazywało zdziwienia, dopełniając tej formalności. Przeczytała dokładnie dane naniesione na kartki.

— Czy wasz samolot to był „Halifax"? — zapytała.

— Tak, dlaczego pani pyta?

— Tak sobie. Ilu was było załogi?

— Czterech. Nie wiemy, gdzie są dwaj pozostali.

Tylko czterech ludzi w tak wielkiej maszynie? To się wydało Elsie trochę mało, ale uwagę zachowała dla siebie.

---

[1] *May I ask...* (ang.) — Czy wolno spytać, gdzie jest ubikacja?

— Dobrze. Teraz oddajcie mi wasze angielskie pieniądze, jeżeli je macie.

Bardzo niechętnie mężczyźni wyciągnęli z kieszeni kilka szylingów. Wyższy nagle wstał:

— Czy możemy wyjść odetchnąć świeżym powietrzem?

— Oczywiście! — zerwała się pani Maréchal. — Chodźcie, zaprowadzę was do ogrodu.

Ta propozycja odbiła się cieniem niechęci na bladej twarzy rozmówcy.

— Wie pani co, wolelibyśmy spokojnie się przespacerować dalej.

— Chcecie wyjść na ulicę? — zawołała pani Maréchal. — A jeżeli zabłądzicie?

I znowu mniejszy zaczął się śmiać:

— Czy słyszała pani kiedykolwiek, by Amerykanin nie umiał odnaleźć powrotnej drogi? Za godzinę będziemy tutaj.

Pani Maréchal i jej córka nie śmiały sprzeciwiać się odejściu gości. Ale kiedy zostały same, Elsie wyszeptała:

— Mamo, nie mam do nich zaufania!

— Dlaczego? — zdziwiła się matka.

— Nie są podobni do lotników z *Royal Air Force*, z którymi się stykałam.

— Wiesz przecież, że Amerykanie — to ludzie kontynentu!

Nie czując się przekonana Elsie postanowiła nie zwlekając pojechać do Nemo. Kiedy wysiadła z tramwaju przy ulicy Ducale przypomniała sobie nagle jeden szczegół: wszystkie „dzieci", którymi się dotychczas zajmowała chodziły w niebieskich koszulach R.A.F., a ci dwaj mieli koszule koloru khaki.

— Może ktoś im dał te koszule? — mówiła sobie, żeby zmniejszyć trawiący ją niepokój. Co pomyśli Nemo, jeżeli się okaże taka małoduszna?

— Wspaniale! — zdobyła się na wysiłek, by tak zawołać, gdy weszła do biura szefa — Dwoje „dzieci" i...

Zmieszana zatrzymała się w pół zdania. Nemo odwrócił się do niej z zatroskaną twarzą, a komendant Bidoul, stojący obok, był jeszcze więcej zasępiony.

— Złe wieści? — wyszeptała dziewczyna.

— Aresztowania w Liège — powiedział Nemo ponurym głosem.

— Jak on zmizerniał! — pomyślała Elsie ale Nemo, opanowując swój niepokój już się do niej uśmiechał:

— Skąd jest tych dwoje „dzieci"?

— Z Namur. Albert ich przywiózł. Dwaj Amerykanie w służbie R.A.F.

— Nie zawiadomiła mnie pani, że dzisiaj rano będzie spotkanie?

— Nie. Proszę: mama to znalazła w skrzynce listowej.

Wyjęła rozpieczętowaną zieloną kopertę i podała szefowi. Zmarszczka zarysowała się na czole Nemo, kiedy zapoznał się z krótkim listem.

— Co to za historia? W jaki sposób to mogło przyjść do pani?

— Nic z tego nie rozumiem — wyjąkała Elsie. Przyszłam tutaj natychmiast to panu pokazać, ale pana nie było.

— I poszła pani do Św. Józefa?

— Nie. Albert czekał na mnie w kościele do godziny jedenastej i potem zaprowadził lotników do Nelly.

— Co? Ależ to głupota! A co później?

— Nelly nie było w domu. Jej rodzice nic nie wiedzieli. Ponieważ Albert im powiedział, że jest w towarzystwie lotników, uważali, że będzie najlepiej odesłać ich do naszego domu.

Nemo, przygnębiony, ujął głowę w obie ręce i masował powoli czoło długimi, szczupłymi palcami. Wystarczała nierozwaga jednego przewodnika, aby obalić system przegródek wypracowany z tak wielką starannością. Podniósł głowę, popatrzył na Elsie i spostrzegł, że dziewczyna jest bliska rozpłakania się.

— Proszę usiąść — powiedział łagodnie. — Proszę mi opowiedzieć wszystko, nie pomijając niczego.

Kiedy Elsie skończyła swój raport, Nemo kazał sobie pokazać te dwie kartki, na których lotnicy zapisali żądane informacje i przyglądał się im z uwagą. I znowu głęboka bruzda przeorała jego czoło.

— Popatrz na to — powiedział.

Tak samo jak on jego pomocnik zauważył, że litera „d" była za każdym razem napisana na sposób niemiecki.

— Co to ma znaczyć? — z trwogą zapytała Elsie.

Jeszcze raz Nemo zmusił się do uśmiechu.

— Zachowam te papiery — powiedział. — Moja mała Elsie, niech pani wraca jak najprędzej do domu. Kiedy wasi Amerykanie przyjdą, postarajcie się, by mówili możliwie jak najwięcej. Proszę uprzedzić mamę, że za żadną cenę nie powinna ich wypuścić z domu. Potem wróci pani tutaj zdać mi sprawę.

Z rozpalonymi policzkami Elsie puściła się biegiem po schodach, wskoczyła w biegu do tramwaju jadącego w stronę alei Voltaire'a modląc się, by zdążyć wrócić przed przyjściem mężczyzn.

Amerykanie powrócili, tak jak zapowiedzieli, za niecałą godzinę. Czekając na powrót Elsie, pani Maréchal rozmawiała z nimi, ale konwersacja szła ciężko, ponieważ mężczyźni odpowiadali tylko monosylabami. Jednakowoż mniejszy oświadczył, że pochodzi z New Jersey, tak samo jak i jego kolega.

Zadzwoniono do drzwi wejściowych. Myśląc, że powraca Elsie, pani Maréchal wstała z zamiarem otworzenia drzwi, ale wyższy ją wyprzedził, odpychając w tył i zakładając brutalnie jej prawą rękę na plecy.

— Koniec zabawy — drwiąco powiedział drugi.

Zanim zrozumiała, co się stało, biedna kobieta została wepchnięta w głąb fotela pod groźbą rewolweru. Stanął przed nią jakiś nieznajomy w nieprzemakalnym płaszczu i kapeluszu na głowie. Utkwił w niej zimne spojrzenie poprzez szkła okularów.

— Dokąd poszła pani córka? — zapytał szorstko.

Nie dając czasu na wymyślenie jakiejś odpowiedzi, dodał takim samym tonem:

— Kto jest waszym szefem? Gdzie się mieści główna kwatera?

Pani Meréchal zachowała milczenie. W straszliwym zamęcie wszystkie jej myśli skierowały się ku Elsie i Bobby, ku mężowi, który miał wieczorem powrócić do Brukseli. Jak ich ostrzec? Jak zapobiec ich wpadnięciu w ręce Niemców? Tak się czuła, jakby świat nagle zawalił się pod jej nogami.

Niższy z mniemanych lotników obmacał dokładnie jej ciało, żeby się upewnić, czy nie ma broni. Dotknięcie jego rąk wywołało w niej nieopisany wstręt.

— Co robić? co robić? — zastanawiała się z rozpaczą, myśląc tylko o najbliższych. Ale już dano jej rozkaz:

— Wstać! Zabrać płaszcz i kapelusz!

Pani Maréchal wstała jak automat i poszła do sypialni. Niższy mężczyzna udał się za nią, celując z pistoletu. Chwycił ją następnie za ramiona, pociągnął do drzwi wejściowych, wepchnął do wozu i wrócił do domu. Auto ruszyło z miejsca.

W kilka minut później, Elsie zdyszana nacisnęła dzwonek. Drzwi otwarły się powoli, pozostały półuchylone. Pchnęła je z niecierpliwością.

— *Well, Elsie!* — krzyknął niższy z mniemanych lotników.

Pewnie był zadowolony ze zdania rzuconego pani Maréchal, bo powtórzył je, trzymając Elsie pod bronią:

— *The game is up!*
i dodał natychmiast:
— *Be quiet!* [1]
Złapał dziewczynę za rękę i wciągnął do jadalni.
Paląc grube cygara i popijając herbatę w filiżankach wyjętych z kredensu ośmiu mężczyzn siedziało wokoło stołu. Jeden z nich wydarł Elsie torebkę i wysypał jej zawartość między filiżankami. Elsie zadrżała, bo rozłożył jej zaświadczenie z podpisem Jean Greindl stwierdzające, że jest zatrudniona w Kantynie Szwedzkiej. Nemo dał jej ten dokument, aby ją uchronić przed Służbą Przymusowej Pracy, która bezlitośnie wyłapywała w restauracjach, kinach i na ulicy młodzież nie mogącą się wykazać zatrudnieniem i wysyłała natychmiast do pracy w Niemczech.
Krzywiąc się, policjant odrzucił dokument i trzymając otwartą torebkę poniżej krawędzi stołu jednym ruchem ręki wrzucił do środka wszystko, co poprzednio wysypał.
— Tak, panno Elsie, grała pani i przegrała! [2]
Zmieniając ton mówił dalej:
— Dam pani dobrą radę. Proszę odpowiadać grzecznie na wszystkie pytania. Niech pani nie postępuje tak jak matka. Nie chciała nic powiedzieć i przykro mi, ale muszę powiedzieć, że coś jej się stało w kuchni.
Oszalała z niepokoju Elsie chciała wybiec z pokoju, ale silny chwyt przytrzymał jej ramię. I ona, podobnie jak matka, została odwieziona na ulicę Traversière.
W Szwedzkiej Kantynie na próżno czekano na jej powrót. Nadszedł wieczór, zrobiło się ciemno. W obecności wiernego Bidoula Nemo nie przestawał chodzić tam i z powrotem po zniszczonym dywanie. Siedząc na poręczy fotela Peggy Van Lier paliła nerwowo papierosa za papierosem. Nagle wstał Victor Michiels:
— Proszę mi pozwolić pójść zobaczyć, co się dzieje u Elsie.
Zatrzymawszy się na chwilę Nemo patrzył w twarz młodego kolegi nic nie mówiąc, potem znowu zaczął chodzić po pokoju. Ale Victor nastawał:
— Zapewniam pana, że będę ostrożny!
Jego głos stawał się błagalny. Nemo zatrzymał się jeszcze raz ważąc za i przeciw. Przeciw: „Louis", jak nazywano Victora Mi-

---

[1] *Be quiet!* (ang.) — Zachować spokój! (przyp. tłum.)

[2] Całe dziesiątki moich kolegów, którzy wpadli w ręce wroga słyszały to samo zdanie wypowiadane z szyderczym śmiechem. Kto wie, czy nie stanowiło ono części podręcznika policji niemieckiej za Hitlera (przyp. autora).

chielsa, narażał się na wpadnięcie w kocioł. Za: gdyby przyniósł wiadomość, można by natychmiast wydać dyspozycje w celu uniknięcia aresztowań. Trzeba było wybierać. Znam konieczność dokonania wyboru tego rodzaju i wiem, ile to kosztuje. Z całą pewnością wolałbym działać osobiście. Ale odpowiedzialność szefa Siatki podlega prawom, których nie wolno przekroczyć.

— Pod jednym warunkiem — w końcu powiedział Nemo. — Obieca mi pan, że pod żadnym pretekstem nie wejdzie pan do domu.

— Obiecuję.

— Jeżeli tylko spostrzeże pan coś podejrzanego, zrobi pan w tył zwrot.

— Przyrzekam.

— Dobrze. Niech pan idzie. Czekam tutaj. Proszę szybko wracać.

Victor zbiegł po schodach do hallu i wyszedł na ulicę Ducale. Było bardzo ciemno. W końcu dostrzegł słabe niebieskie światełko tramwaju. Przez ostrożność wysiadł o jeden przystanek wcześniej przed aleją Voltaire'a.

Był wiatr, aleja miała chodniki zasypane zeschłymi liśćmi i wydawała się pusta. Oparty o pień drzewa „Louis" długo śledził wejście do domu państwa Maréchal, ciągle zamknięte. Budynek był jakby pogrążony we śnie.

Kiedy już jego oczy przywykły do ciemności, „Louis" nabrał przekonania, że dom nie jest pod obserwacją. Zadrżał, kiedy usłyszał zbliżające się kroki, ale to był tylko jakiś niemiecki oficer, trzymający w pół dziewczynę, para przeszła i nawet go nie zauważyła.

„Louis" czekał dalej. Rozmyślał, że pewnie bez potrzeby niepokoili się. Widocznie coś przeszkodziło Elsie przyjść do Kantyny. Jakaż to będzie tam radość, jeżeli przyniesie wiadomość, że wszystko w porządku!

Przybliżył się o kilka kroków, zatrzymał, jeszcze rozglądnął się wokoło domu pogrążonego w ciszy, potem powziąwszy decyzję przeszedł przez jezdnię i oparł palec na guziku dzwonka, czekając, aż ujrzy twarz Elsie we framudze drzwi. Ale drzwi nagle się rozwarły. Snop światła z latarki elektrycznej oślepił Victora, a głos zagrzmiał:

— *Halt! Hände hoch!* [1]

Instynktownie „Louis" zrobił nagły obrót i uciekł w ciemność, biegnąc w koniec alei. Gdyby mu się udało tam dobiec, to rzucił-

[1] *Halt! Hände hoch!* (niem.) — Stój! Ręce do góry!

by się w przecznicę i byłby ocalony. Usłyszał za sobą wycie: *Halt! Halt!* Później tuż przy głowie było coś jak brzęczenie pszczoły, po którym nastąpiła zaraz detonacja. Z łokciami przy sobie nie przestawał biec. Druga kula gwizdnęła mu koło ucha. Teraz już koniec alei był blisko.

Trzecia kula go trafiła. Kiedy trzej niemieccy policjanci pochylili się nad trupem oświetlając go latarką, krew tryskająca z rany zaczęła płynąć ku krawędzi chodnika, mieszając się z wodą ścieku wśród opadłych liści.

W DOMU VICTORA MICHIELSA

Peggy Van Lier budząc się gwałtownie ze snu, w którym się pogrążyła, zapaliła światło i chwyciła zegarek stojący na nocnym stoliku. Była czwarta rano. Dziewczyna przypomniała sobie, że tego ranka, w piątek dwudziestego listopada, Elvire Morelle miała przyjechać na dworzec Bruksela-Południe.

Poprzedniego dnia wieczorem osoby zgromadzone w Kantynie nie mogły dłużej czekać na powrót Victora, gdyż nie byłoby bezpiecznie wpaść na patrole po godzinie policyjnej. Nadzieja mieszała się z głuchym niepokojem, który ciążył na wszystkich coraz bardziej, w miarę jak upływały minuty. Jeżeli „Louis" nie powracał, prawdopodobnie znaczyło to, że u Elsie wszystko jest w porządku.

— Sprawa wyjaśni się jutro rano — powiedział Nemo do młodych kolegów dając znak, że czas rozejść się.

Peggy po powrocie do domu długo siedziała przy telefonie, licząc, że „Louis" zadzwoni. Aparat uparcie milczał, a dziewczyna nie ośmieliła się połączyć z numerem państwa Maréchal. Zmęczenie ulitowało się nad nią i zasnęła.

Była czwarta rano, za godzinę Elvire miała przyjechać do Brukseli, a nie można zapobiec, by nie poszła na aleję Voltaire'a. Godzina policyjna kończyła się dopiero o siódmej.

Gdyby nawet zaryzykowała wcześniejsze wyjście, to nie miałaby sposobu dojechania na czas. Tramwaje zaczynały kursować z ustaniem godziny policyjnej, a małe miasteczko brabanckie Hal, gdzie mieszkała, było bardzo oddalone od południowego dworca. Natomiast Elvire z pewnością wyruszy pierwszym tramwajem do państwa Maréchal, z którymi była umówiona.

Niemożność zapobieżenia nieuniknionej katastrofie podcina ręce i nogi i powoduje odrętwienie pełne rezygnacji — sam tego doświadczyłem. Peggy wyszła z domu dopiero o dziewiątej.

Do dużej torby włożyła szczoteczkę do zębów, koszulę na zmianę, kilka kawałków cukru i trochę pieniędzy. Tramwaj dowiózł ją w okolicę ulicy Ducale. Przeszła przed domem Victora, który się znajdował blisko Kantyny i weszła do biura Nemo.

— Pójdę do Victora zobaczyć, co tam się dzieje — powiedziała stanowczym głosem.

— Ależ, Peggy, może pani wpaść w ręce Niemców!

Peggy potrząsnęła obfitą rudą czupryną.

— Mam pretekst. Jego siostra studiuje w Louvain. Jeżeli coś się stało, powiem, że przyszłam pożyczyć od niej notatki.

Nemo nie odpowiedział. Jak poprzedniego dnia, chodził tam i z powrotem po starym dywanie, który przykrywał parkiet gabinetu.

— To szaleństwo! — wyszeptał. — I co więcej, to nam nic nie da.

— Właśnie, że da! — odrzekła spokojnie Peggy.

— Co pani chce przez to powiedzieć?

— Jeżeli dowiemy się, co się przydarzyło Victorowi, będziemy wiedzieli także, co się dzieje z Elsie.

Po chwili dodała:

— Nie mówiąc już o Elvire. Pamięta pan, że miała być dzisiaj rano u Elsie?

— Tak, pamiętam.

— Jeżeli tam poszła, jak się obawiam...

— A więc jeżeli pani pójdzie do Victora, zdarzy się z panią to samo, co z Elsie i Elvire!

— Nic mi się nie stanie! — zapewniła Peggy. Do prędkiego zobaczenia!

Zeszła powoli po schodach, ale zamiast wyjść na ulicę Ducale przeszła przez ogród na równoległą z nią ulicę, aby uniknąć ewentualnego śledzenia. Po tej zmianie kierunku przyszła przed dom Victora i zadzwoniła.

Wielka brama wejściowa natychmiast została otwarta. Ukazał się jakiś nieznajomy, Peggy zauważyła jego ciemnoniebieskie oczy w bladej twarzy.

— Proszę wejść — powiedział grzecznie.

Peggy zrobiła krok naprzód i drzwi zamknęły się za nią.

— Z kim pani chce się widzieć?

— Z koleżanką, Josée Michiels.

Mężczyzna przyglądał się jej, potem wziął za ramię i zapro-

wadził do salonu. Państwo Michiels tam byli i ich córka Josée wraz z dwoma Niemcami. Jeden z nich wyrwał z rąk Peggy torbę i otworzył. Zobaczył fotografie.

— Kto to jest?

— Moi przyjaciele z Niemiec.

— Zdziwił się:

— Jak to?

— Przyjaciele z Niemiec — powtórzyła Peggy. — Przyjmowali mnie u siebie przed wojną.

— Po co pani tu przyszła?

— Zobaczyć się z Josée Michiels.

— W jakim celu?

— Aby ją poprosić o pożyczenie notatek z filozofii.

Mężczyzna badał ją wzrokiem:

— A może pani przyszła odwiedzić Victora Michielsa?

— Nie. Nie znam go.

— Pani kłamie!

— Nie. Wiem, że Josée ma kilku braci, ale ich nie znam.

— To nieprawda!

— Choćby pan mówił, że to nieprawda, nic się nie zmieni. Nie znam braci Josée.

— Świetnie. Zaprowadzimy panią do pewnego urzędu, gdzie panią zmuszą do mówienia. Proszę usiąść.

Peggy usiadła w fotelu i zwróciła się do Josée tak, jakby żadnego Niemca nie było w pokoju. Nagle przypomniała sobie, że w kieszeni płaszcza ma duży klucz od ogrodu przy Kantynie i skorzystała z chwili nieuwagi Niemców, by go wsunąć między poduszki fotela.

Kiedy nadeszła pora śniadania, służący przyniósł skromny posiłek. Peggy zauważyła, że pan Michiels dużo mówił, ale w niektórych momentach głos jego się załamywał. Dowiedziała się później, jaka była tego przyczyna. Jedyny z całej rodziny wiedział, że jego syn został w nocy zabity, i starał się wprowadzić w błąd żonę pozornym ożywieniem.

W czasie popołudnia auto zabrało Peggy do lokalu abwehry *Luftwaffe* przy ulicy Charles Legrelle. Pod strażą jakiegoś typa w cywilu, siedzącego w kapeluszu nasuniętym na oczy, była przesłuchiwana bez żadnego skutku. Nagle oficer, który wysilał się, by jej opowiadać o rodzinie Maréchal, umilkł i utkwił w niej spojrzenie.

— Powinna pani wiedzieć — powiedział nagle — że byliśmy zmuszeni zabić wczoraj wieczorem młodego Michielsa.

— Co? — zawołała Peggy, zaskoczona i przejęta gwałtowną rozpaczą:

— Nie, to niemożliwe!

Ten okrzyk ją zdradził, lecz oficer zrozumiał go mylnie:

— Jeżeli pani tak powie komuś innemu — zagroził — to źle się skończy dla pani.

Oczami dał znak osobnikowi w kapeluszu, by zabrał dziewczynę. Typ zaprowadził ją do sali, w której było kilkunastu więźniów. Ale nikogo z Komety.

Po godzinie Niemiec wyszedł z gabinetu i wywołał jej nazwisko. Za nim Peggy dostrzegła kobiecą wysoką sylwetkę o blond włosach. Miała taki zamęt w głowie, że chwilę trwało, zanim rozpoznała w niej Elvire Morelle.

KWIT

Dwudziestego listopada, pociągiem paryskim o piątej rano, Elvire przyjechała do Brukseli po „dzieci", tak jak było umówione.

Trzeba było tkwić na dworcu południowym dwie długie godziny, siedząc na ławce i czekając na koniec godziny policyjnej. Potem weszła do tramwaju, który ją zawiózł w pobliże alei Voltaire'a. Gęsta mgła spowijała miasto, ulice były oblodzone.

Oprócz torebki i walizki niosła jeszcze paczkę dla Charlie'ego. Państwo Maréchal mieli ją dostarczyć więźniowi w Saint-Gilles.

Chodniki alei Voltaire'a były zasypane zeschłymi liśćmi. Po trotuarze w odległości stu kroków od domu państwa Maréchal spacerował funkcjonariusz belgijskiej policji. Od czasu do czasu końcem buta odrzucał liście do ścieku. Przez chwilę Elvire zawahała się, czy iść dalej, ale policjant miał tak dobroduszną minę, że to ją uspokoiło. Kiedy zadzwoniła, spostrzegła, że znieruchomiał i z dziwną miną na nią popatrzył. Było już za późno, by się wycofać; gruby Niemiec mierzył do niej z pistoletu.

— A więc mamy jeszcze jedną wizytę — powiedział gardłowym głosem.

Elvire udawała, że się pomyliła co do adresu.

— Przepraszam, pewnie... gdzie indziej...

— Nie ruszać się! — rozkazał Niemiec.

Dwaj inni żandarmi wyrośli za nim. Wciągnęli dziewczynę do salonu i wyrwali jej z rąk to, co niosła. Odrażający, mdlący odór

cygara zanieczyszczał pokój, kotary były zaciągnięte na oknach. Na stole porozstawiane butelki, do połowy opróżnione kieliszki, brudne filiżanki.

Jeden z mężczyzn podniósł słuchawkę. Elvire domyśliła się, że w swoim języku zawiadamiał, że jeszcze jedna osoba wpadła w kocioł. Drugi z jego towarzyszy powrócił do kuchni, gdzie gotował kawę. Ten, który wpuścił dziewczynę, założył jej kajdanki. Po niedługim czasie przed domem zatrzymała się ciężarówka. Wysiedli dwaj Niemcy i zabrali więźniarkę. Paczka przeznaczona dla brata o mało nie została zapomniana. W chwili kiedy auto odjeżdżało, jakaś ręka wrzuciła ją w locie.

Kiedy ciężarówka zatrzymała się przy ulicy Charles Legrelle, mgła zaczęła się rozpraszać. Z kajdankami na rękach Elvire weszła po schodach, wprowadzono ją do pokoju, gdzie siedział oficer w mundurze *Luftwaffe*, który spojrzał na nią chłodnym wzrokiem.

— Proszę siadać — powiedział.

Z ramy wiszącej za nim na ścianie Hitler spoglądał surowo na zatrzymaną. Drugi portret o wielkich wymiarach przedstawiał Marszałka Rzeszy Hermanna Göringa, w białym mundurze wydawał się jeszcze tęższy. Ręką w rękawiczce trzymał laskę wysadzaną drogimi kamieniami.

Jeden z mężczyzn położył na biurku jej torebkę, walizkę i paczkę. Oficer przede wszystkim otworzył pakunek, stwierdził, że są tam tylko puszki konserw i odsunął na bok. Potem skontrolował walizkę, nie znalazł nic, co by było godne uwagi.

Na koniec opróżnił torebkę. Rozłożył na stole banknoty, bilon, grzebień, lusterko i książeczkę do nabożeństwa, której kartki szybko przerzucał. Wypadły z niej obrazki, a razem z nimi papier złożony we czworo i Elvire poczuła jak się jej robi zimno: była to kopia kwitu za najem mieszkania w Paryżu przy ulicy Oudinot numer 10, kwit na jej nazwisko.

Po rozwinięciu kartki oficer przyglądał się dziewczynie, która potrafiła zapanować nad sobą i miała obojętny wyraz twarzy. Kiedy zapoznawał się z treścią kwitu, młoda kobieta w duchu gorąco się modliła. Jeżeli uwaga Niemca skieruje się na adres paryski, „Paul" i Dédée zostaną aresztowani i będzie to już koniec z Siatką.

Oficer powstrzymał ziewnięcie. Elvire zrozumiała, dlaczego pokój, w którym się znajdowała, był przesycony dymem cygara, podobnie jak i salon Maréchalów: człowiek, trzymający w rękach kopię rachunku, pewnie spędził noc przesłuchując jej znajomych.

Zobaczyła, że kładzie kwit na świętych obrazkach, wstaje i obracając się tyłem otwiera metalowy segregator. Szybkim ruchem

chwyciła cienką kartkę papieru, zgniotła ją w ręce, włożyła do ust i z wielkim trudem połknęła.

Oficer wyjął z segregatora to, czego szukał, usiadł, odsunął ręką mszalik i obrazki, otworzył kartonową teczkę i rozpoczął przesłuchanie.

PEGGY JEDZIE ZA GRANICĘ

W piątek wieczorem dwudziestego listopada 1942 roku Peggy, niespodzianie wypuszczona na wolność, nie zrozumiała od razu, że pozwalają jej odejść. Nie wierząc wyjąkała:

— Czy mogę iść?

— Tak — odpowiedział oficer, który ją przesłuchiwał. — Spontanicznym gestem Peggy chwyciła jego rękę i uścisnęła energicznie. Zdziwiony oficer nie oponował.

W dziesięć dni później na urzędowy rozkaz Nemo wyjechała do Paryża razem z Georges'em d'Oultremont i jego kuzynem Edouardem.

Nie myśląc o sobie szef uważał, że wszyscy troje są bezpośrednio zagrożeni. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin ponad sto osób, czynnych członków Komety lub ich rodzin, znalazło się za bramami więzienia. Jako jednego z pierwszych poszukiwano Alberta Marchala. Chwilowo ocalał dzięki ucieczce, ale wróg zemścił się na jego matce i dwóch siostrach, więżąc je zamiast niego. Niech mi będzie wolno wtrącić, że dobrze go rozumiem. Sam przeżyłem podobną próbę, a w takiej sytuacji przychodzi ochota oddać się w ręce nieprzyjaciela.

Ponad stu więźniów! W ciągu listopada 1942 roku ilość lotników konwojowanych do Hiszpanii nie dosięgała trzech czwartych tej liczby. Zapłacono zbyt wysoką cenę!

— Pewien drukarz z ulicy Caroly w Brukseli, Xavier Van Lidth de Jeugd, który produkował na użytek Siatki fałszywe niemieckie dokumenty, doskonale podrobione, wręczył nam paszporty opatrzone wszystkimi, jakie tylko były potrzebne, pieczęciami ze swastyką — opowiadał mi Georges d'Outremont. — A na dodatek podpis generała von Falkenhausen podrobił Nemo w sposób nie do odróżnienia! Dla wyposażonych w takie dokumenty wszystko było łatwe. Peggy, Edouard i ja przyjechaliśmy do Paryża bez przeszkód. Uściskaliśmy serdecznie drogiego Paula, z którym tak często

razem pracowaliśmy, a potem pojechaliśmy na Południe, gdzie nas przyjęła Ciotka Go. Było mi bardzo smutno, że opuściłem Jeana Greindla, którego lubiłem jak starszego brata. Na każdym kroku służył nam godnym podziwu przykładem. Koniec końców w tej Kantynie czuliśmy się jak harcerze pod wodzą Nemo. Ciotkę Go pan już poznał. Okazała się godna siebie, to wyraża wszystko. Stawiliśmy czoło Pirenejom pod kierunkiem Florentina, któremu towarzyszyli „B" i Franco. Oprócz Peggy, Edouarda i mnie był jeszcze jeden domniemany Holender.

Czy próbował pan kiedyś tej czarnej fasoli, którą jada się w krainie Basków, coś w rodzaju wielkiego bobu, co wywiera niezawodny skutek na jelita? Florentino zjadł jej cały półmisek przed wyruszeniem w drogę. Szedł na czele w całkowitych ciemnościach, a my posuwaliśmy się za nim gęsiego. Nagle zatrzymywał się i słyszeliśmy:

„Cicho!"

Z bijącym sercem przypuszczaliśmy, że to nieprzyjacielski patrol. Rozlegał się przerażający huk: Brrrum!, którego echo odbijało się między górami. To nasz przyjaciel Florentino uwalniał się hałaśliwie od gazów nagromadzonych na skutek fasoli trudno trawionej przez jego przewód pokarmowy. Zanim przyszliśmy do siebie po tej niespodziance, odwracał się do nas mówiąc złośliwie:

„Por Franco!"

Jak pan pewnie wie, bił się w szeregach republikanów podczas wojny hiszpańskiej.

Wśród tych wyładowań doszliśmy wreszcie do Irun, gdzie nam użyczył noclegu zacny właściciel garażu. Przemęczeni, wyczerpani fizycznie i psychicznie rzuciliśmy się w pięcioro na jedyne łóżko i natychmiast zapadliśmy w głęboki sen. Nazajutrz pojechaliśmy do Madrytu w towarzystwie Anglika, członka brytyjskiej ambasady. Przebywaliśmy prawie trzy tygodnie w stolicy Hiszpanii. Gościł mnie u siebie Holender Van Panhuys — da się to przetłumaczyć jako „Liżący frytkę", co nie przeszkadza właścicielowi tego nazwiska pełnić dzisiaj, jeśli się nie mylę, funkcję ochmistrza dworu w Hadze. Zachowałem miłe wspomnienie o jego gościnności.

Nadszedł dzień, kiedy wsiedliśmy do autokaru wypełnionego po brzegi chłopcami, którzy przebywali na obozie w Miranda, a teraz jechali prosto do Gibraltaru. Kiedy wjeżdżaliśmy do Jerez de la Frontera, nasz wóz zatrzymał się przed znaną brytyjską firmą, każdemu z nas wręczono po flaszce xeresu, nakazując wypić go przed przybyciem do Roc pod groźbą konfiskaty. Rezultat był taki, że wszyscy wpadliśmy w szaleńczy humor, śpiewając na całe gardło i w takim stanie przyjechaliśmy do punktu przeznaczenia.

Peggy odleciała samolotem wcześniej od nas. Oficer Jej Królewskiej Mości, oczekujący na lotnisku, należał do Wywiadu *MI9* nazywał się kapitan Jimmy Langley. Widocznie była to miłość od pierwszego spojrzenia, gdyż są dzisiaj małżeństwem.

Edouard i ja wsiedliśmy na transportowiec załadowany wojskiem powracającym z Egiptu czy skądinąd, jadącym spędzić dobrze zasłużony urlop na ojczystej ziemi. Ze względu na potrzebę chwili staliśmy się „braćmi Ormond". Kiedy okrężną drogą poprzez Azory dopłynęliśmy do Liverpoolu, jakiś głos wywołał przez megafon po kolei jednostki wojskowe.

„Pułk taki a taki! Pułk taki a taki!"

Chodziło o to, by ludzie schodzili z pokładu w pewnym porządku. Naraz usłyszeliśmy:

„Bracia Ormond!

Byliśmy dumni, że nas imiennie wzywano, chociaż pod fałszywym nazwiskiem .

Jimmy Langley przyjął nas w Londynie bardzo przyjaźnie, zaczął od zaprowadzenia do Prunier, francuskiej restauracji, gdzie dostaliśmy obfite, wspaniałe żarcie. W miarę jak nam więcej dolewał, Jimmy stawał się coraz bardziej zażenowany, co nas aż zaintrygowało. Wreszcie powiedział:

„Wiecie, że w czasie wojny obowiązuje ostrożność. Nie zawsze wiadomo, z kim się ma do czynienia. Tyle ludzi przyjeżdża do Anglii! Ustalono pewien przepis i nie mogę was z niego zwolnić. Bardzo mi przykro, że muszę was zaprowadzić do *Patriotic School*".

Przebywaliśmy tylko czterdzieści osiem godzin w tym szacownym zakładzie, gdzie przede wszystkim zbierano informacje, a także wyłapywano tam szpiegów. Przypominam sobie naszego domniemanego Holendra, ostrzyżonego na niemiecką modłę, któremu na nic się nie przydało, że pozbył się dokumentów w ubikacji. Razem z nami przechodził przez Pireneje, nie przypuszczając, że „B" złożył na niego raport, na jaki zasłużył.

Wyszliśmy z *Patriotic School* ... no i moja historia na tym się kończy.

— Bynajmniej — powiedział Albert Greindl, który wraz z panią de Greef był obecny przy mojej rozmowie z Georges'em d'Oultremont. — Twoja historia dopiero się zaczęła i opowiesz jej dalszy ciąg w odpowiednim czasie i miejscu, tak jak wszyscy.

MUSIMY DZIAŁAĆ DALEJ

Po katastrofie, która zniszczyła belgijski sektor Komety, Frédéric de Jongh posłuchał rozsądnej rady Roberta Aylé i wyprowadził się z mieszkania przy ulicy Oudinot 10 w Paryżu. Zamieszkał w pobliżu, na trzecim piętrze ulicy Vaneau. Z każdym dniem kleszcze abwehry i *Geheime Feldpolizei* zaciskały się coraz bardziej. Od dnia aresztowania Suzanne Paul wiedział, że jego żona w Belgii jest bezpośrednio zagrożona, ale nie miał możności temu przeciwdziałać, gdyż za jego własną głowę wyznaczono nagrodę.

Wzdrygnął się na odgłos dzwonka. Ale odetchnął z ulgą słysząc drugi, tak samo krótki jak poprzedni. To Andrée wróciła z Hiszpanii.

— Czy masz trochę wina? — zapytała. — Jestem skostniała z zimna.

Ojciec podał jej kieliszek, wypiła go małymi łykami.

— Spodziewałem się ciebie — powiedział. — Nemo jest w Paryżu, a także Jean de Gand i Pierre.

Pierre był to pseudonim nadany Ericowi de Menten de Hornes. Był to dwudziestosiedmioletni młodzieniec, odważny i pełen wiary w zwycięstwo.

— Przyjechali, aby spotkać się z tobą — dodał z odcieniem zakłopotania w głosie. — Zastanawiają się, czy warto prowadzić dalej akcję. Tylu naszych w więzieniu...

Dédée wiedziała, co powie swoim trzem kolegom. Wystarczy powtórzyć to, co jej powierzył w zaufaniu „Timothy":

— Lotnicy, którzy powracają do Anglii dzięki pani i jej przyjaciołom, nie ujawniają żadnego nazwiska, żadnego adresu, ale opowiadają, jak im pomagano, kiedy zostali zestrzeleni, jak ich pielęgnowano, żywiono, ubierano, wieziono z Belgii do Paryża, z Paryża do Bayonne, z Bayonne do Hiszpanii. Nie może pani sobie wyobrazić, jakie to wywołuje wspaniałe skutki. Słuchając opowiadań lotników uznanych za zaginionych, koledzy ich nabierają pewności, że w razie zestrzelenia nad okupowanymi ziemiami znajdą tam ludzi zdolnych do ryzyka, którzy im dopomogą wrócić do Anglii. Ta świadomość jest dla nich bardzo ważna!

Miało to być trzecie spotkanie Dédée z Nemo. O ile drugie przebiegało w radosnym nastroju powodzenia i szczęścia, że dobrze służą umiłowanej sprawie — to tym razem sytuacja uległa zmianie. Groźba zawisła nad Kometą, w następstwie aresztowań sektor Nemo uległ rozbiciu. On, jako przywódca, zadawał sobie py-

tanie, czy ma prawo zachęcać dalej młodzież do narażania życia. Czy praca ich jest warta tak wielkiej ofiary?

Dédée przekazała mu wiadomość, że alianci proszą o jeszcze intensywniejszą pracę Siatki, nie tyle dla korzyści materialnych, co dla podnoszenia na duchu pilotów wyruszających do walki.

Nemo ze swej strony doręczył Dédée list do władz angielskich, w którym zwracał uwagę, jak wielką odpowiedzialność moralną bierze na siebie za życie młodzieży.

— Powrócił do Brukseli któregoś styczniowego poranka 1943 roku — powiedziała mi jego żona, pani Greindl. — Czekałam na niego z niepokojem: te podróże do Paryża przejmowały mnie lękiem ze względu na surową kontrolę, jaką Niemcy prowadzili w pociągach. Ujrzałam, jak wychodzi zza zakrętu ulicy i idzie do domu tak żwawym, lekkim krokiem, że pierwsze moje słowa brzmiały:

„A więc wszystko skończone?"

„Nie — odpowiedział. — Wszystko zaczyna się na nowo!" Nie mogłam się powstrzymać od okrzyku:

„Ależ to czyste szaleństwo!"

Podczas całego tego tak trudnego okresu, kiedy stale był zagrożony, nie chciał porzucić steru, zanim się nie upewnił, że jego zastępca potrafi silnie go uchwycić. Był tak pogodny, że i ja w końcu poczułam się uspokojona, ufając jego sprytowi i szczęśliwej gwieździe.

TRYBUNAŁ WOJSKOWY

Następne dwa wywiady przeprowadziłem z panią Monnier i wdową po baronie Donnym. Pani Monnier zdaje relację ze swoich przeżyć w więzieniu i obozach niemieckich:

— Od pewnego czasu odczuwałam niepokój, chociaż nie było już Anglików w naszym domu. Po ulicy Dupont, gdzie mieszkaliśmy, w pobliżu Północnego Dworca, snuły się jakieś podejrzane typy.

Dzwonek o piątej rano. Otwieram, widzę dwóch mężczyzn w cywilu. Zachowują się poprawnie, pokazują mi znaczek ze swastyką wpięty pod klapą marynarki. Wprowadzam ich na górę. Rzucają się na mojego syna, myśląc, że to Anglik. Leżąc jeszcze w łóżku biedny chłopak mówi:

„Ależ ja jestem Jean Depourque, czego ode mnie chcecie?" — Wtedy nazywałam się Depourque.

Niemcy oświetlają kieszonkową latarką fotografię mojego kuzyna, francuskiego lotnika Huberta Guingot.

„To nie ten, którego szukamy!"

Wyrzucają wszystko z szaf, ale na próżno szukają: nie cierpię szpargałów. Po dwóch godzinach mówią:

„Zabieramy panią i to na długo!"

Tymczasem Jean wstał. Posłałam go, aby odniósł klucze do laboratorium kosmetycznego, gdzie pracowałam w zastępstwie znajomych Żydów, którzy uciekli do wolnej strefy francuskiej. Kazałam powiedzieć, że nie mogą już na mnie liczyć. Jeszcze syn nie powrócił, więc położyłam na stole dziesięć banknotów po tysiąc franków, żeby chłopak jakoś sobie radził. Wtedy Niemiec powiedział:

„Nie chcę odpowiadać za te pieniądze. Proszę je przekazać sąsiadowi zaznaczając, że to dla syna, bez żadnych innych wyjaśnień".

Tak zrobiłam i o siódmej trzydzieści zamknięto mnie w celi więzienia Saint-Gilles. W swojej naiwności myślałam:

„To nie jest nic poważnego, przecież nic nie znaleźli". Nigdy nie przypuszczałam, że ktoś nas sprzedał...

— Za dwadzieścia pięć tysięcy franków — dodała pani Donny.

— I to w dodatku chłopak z dobrej rodziny — oburza się pani Monnier. — Niemcy skonfrontowali go z moim synem, a wtedy powiedział:

„Jak to? Nie poznajesz mnie? Czy sobie nie przypominasz, że pewnego wieczora byłem u twojej mamy?"

„Nie możesz zaprzeczyć! Twoja mama się przyznała!" — naciskali inni.

Czy wie pan, co odpowiedział chłopiec, nie mający jeszcze siedemnastu lat?

„Jeżeli mama do czegoś się przyznała, to chyba zwariowała albo zmusiliście ją do tego torturami."

Dobrze powiedział, jak na chłopca w jego wieku. Lecz zdrajca powracał do szturmu:

„Przypomnij sobie, Jean! Przyprowadziłem angielskiego lotnika, którego mi powierzyła mała Maréchal. Twoja mama dała nam po kieliszku".

— Co za świnia! Pracował dla Van de Castelle, typa na żołdzie Boszów.

— Znam jego nazwisko — powiedziałem. — To współzawodnik innego Belga, który kazał się nazywać „Masuy". Podobnie jak tamten spowodował spustoszenie w naszych siatkach. A więc dostała się pani do więzienia. Przypuszczam, że do izolatki?

— Oczywiście, na dobrych sześć miesięcy. Martwiłam się o sy-

na, chociaż wiedziałam, że pani Hendrick, nasza dobra znajoma, nim się opiekowała. Bardzo mi się dłużyło. Wreszcie pewnego pięknego dnia przyszli po mnie i zaprowadzili do oficera z *Luftwaffe*, na stole przy nim leżał rewolwer. Był to porucznik nazwiskiem Donner. Zaczął w ten sposób:

„Mam nadzieję, że dobrze będziemy się rozumieli. Moja matka była Francuzką".

— Co za tupet, jak pan widzi! Odpowiedziałam, że będzie zależało, o co mię zapyta. Na to dwa typy stanęły z tyłu za mną, żeby wspomagać moją pamięć. Jeden z nich wyglądał, jakby wyszedł z zakładu dla umysłowo chorych.

„Pani Depourque — powiedział Donner — pani zrobiła głupstwo."

„Nikt nie potrafi dojść do wieku czterdziestu dwu lat bez ich popełniania. Bardzo bym się dziwiła, gdyby pan nie robił głupstw, tak jak wszyscy."

„Sprawa jest poważna. Chodzi o pani głowę."

„Wcześniej czy później — wszyscy umrzemy."

Czy wie pan, dlaczego udawałam zucha? Tak nudziłam się w tej swojej celi, że byłam zadowolona z możności rozmawiania, choćby nawet z Niemcem.

„Przyjmowała pani u siebie Anglików!"

„Ja? Anglików?"

Zrobiłam wielkie oczy, ale Donner wyłożył mi wszystko, począwszy od roli, jaką odgrywał szpicel, o którym mówiłam przed chwilą. Tego zdrajcy nie widziałam aż do mojego powrotu z obozu w dniu, kiedy nas skonfrontowano przed audytorem wojskowym w kwietniu 1945 roku.

„Będzie pani przykro z nim się spotkać — powiedział nasz oficer."

Było to w miesiąc po moim powrocie z obozu, czułam się niedobrze. Ważyłam trzydzieści sześć kilo, kobieta tak zbudowana jak ja, zdaje pan sobie sprawę? Jean był tam także, w mundurze. Sprowadzono go z Hamburga. Kiedy dowiedział się, o co chodzi, powiedział do porucznika:

„Proszę mi pozwolić stanąć z tyłu za panem, bo inaczej — skoczę mu do gardła."

„Spokojnie, mały — odpowiedział porucznik. — To nic nie da. No, ale proszę stanąć za mną."

I oto wchodzi ten łajdak z obłudną gębą.

„A, to pani z ulicy Dupont!"

„Nie brak panu tupetu! — odpowiedziałam. — Pani z ulicy Dupont jest tutaj, ale przeszło dwustu osób nie ma, zginęły z pań-

skiej winy!" Nie sprawiał wrażenia, że się tym przejmuje. Puszył się jak paw, miał wypomadowane włosy, ten ptaszek...

— Co się stało z tym nędznikiem?

— Został skazany na karę śmierci przez Belgów i Francuzów, ponieważ sądy francuskie również dopominały się o niego. Ale pan wie, jak to jest... Prawdopodobnie wyszedł niedawno z więzienia.

— Znamy te sprawy. Powróćmy teraz do dawnych czasów, droga pani.

— Dobrze. Skoro Donner spostrzegł, że konfrontacja nic nie daje, sprowadził małą Elsie Maréchal. Rozumie się, że mówiła to samo, co ja. Wyjątkowo dzielna ta smarkula! Ale Donner zbyt dobrze był wtajemniczony w naszą sprawę. Powiedział:

„Proszę się zastanowić. Powróci tu pani za dwa, trzy dni".

Odprowadzono mnie do celi. Nie była to daleka droga, gdyż wszystkie przesłuchania odbywały się w Saint-Gilles.

Za następnym razem Jean przyszedł mnie uściskać i przyniósł paczkę. Zabroniono mu ze mną rozmawiać o czymś innym niż o nauce i zdrowiu. Kiedy odszedł, Donner zaczął na nowo wypytywać, podając nazwiska. Odpowiedź moja była prosta:

„Nie znam".

„Ależ, pani Depourque! Niechże pani nie zaprzecza! Mamy dowody, są tu również osoby, które już zeznawały."

„Łatwo tak powiedzieć! Przede wszystkim nie wierzę, a zresztą nie widzę nikogo, kto by mógł panu coś o mnie opowiadać."

I tak w kółko. Po wielu przesłuchaniach zaczynałam trochę się wahać, gdyż Niemiec był bardzo dobrze poinformowany. Na szczęście miałam prawo do spaceru w „ćwiartce tortu", jak nazywano mały trójkąt otoczony wysokimi murami i zakratowany od góry, stanowiący część okrągłego placu. Poprzez pręty w głębi widać było więźniów na ogólnym spacerze, co pozwoliło mi się zorientować, jak wielki był zasięg aresztowań.

Wiedziałam, że baron Donny jest również w Saint-Gilles. Kiedy wspięłam się na krzesło, mogłam z nim rozmawiać przez okno. Niemcy przez przezorność dawali nam krzesła tylko o trzech nogach, ale nie pomyśleli, że krzesło odwrócone w taki sposób, by stało na oparciu, utrzyma się w równowadze. W celu zapobieżenia rozmowom przez wysoko umieszczone okna usunęli wezgłowia łóżek, tak że sienniki leżały na podłodze. Trzeba jednak przyznać, że więzienie było lepiej ogrzane niż nasze domy, bo ludność cywilna nie miała węgla.

Wreszcie w czerwcu 1943 roku kazano mu wsiąść do auta wraz z dwoma niemieckimi podoficerami, którzy zagrozili:

„Niech pani nie próbuje uciekać, bo będziemy strzelać!" Zawieziono mnie do „Hôtel Palace", gdzie Niemiec pełniący obowiązki adwokata zbliżył się do mnie:

„Nie potrafię pani obronić — rzekł. — Zresztą nie podjąłbym się obrony. Postaram się jednak uratować pani syna.

Jean został aresztowany trzy miesiące wcześniej. Pierwszą swoją noc w Saint-Gilles spędził — na skutek okrucieństwa Niemców — we wspólnej celi z człowiekiem skazanym na śmierć, którego nazajutrz miano rozstrzelać. Potem zatrudniono go przy opróżnianiu obrzydliwych kubełków na nieczystości. Pewnego dnia znalazł w jednym z nich rewolwer wyrzucony przez więźnia. Udało mu się niespostrzeżenie zagrzebać go w ziemi.

W „Palace" mogłam chwilę porozmawiać z baronem Donny.

„Sprawa jest bardzo poważna — powiedział. — Razem tam pójdziemy". Dla niego, dawnego oficera, sprawa była jeszcze groźniejsza niż dla mnie.

Wprowadzono nas do bardzo dużej sali, wychodzącej na ulicę Gineste. Za stołem przykrytym zielonym suknem siedzieli oficerowie z *Luftwaffe* błyszczący od złota i medali; specjalnie przyjechali na sąd z Berlina. W pierwszym rzędzie przesłuchiwali mojego syna, postawili mu zarzut, że mnie nie zadenuncjował. Byłam dumna z odpowiedzi małego:

„Nie wiem, czy jest w zwyczaju u Niemców donosić na matkę, bo we Francji i Belgii tego się nie robi".

Adwokat przy obronie kładł nacisk na jego młodość podkreślając, że skończył siedemnaście lat w więzieniu.

Potem przyszła kolej na mnie i obsypano mnie ciężkimi oskarżeniami. Donny wziął na siebie całą odpowiedzialność za sprawę. Po upływie około dwóch godzin kazano nam wyjść, a trybunał wojskowy odbywał naradę. Potem nastąpiło odczytanie wyroku. Jeżeli chodzi o Jeana, to zaliczono mu okres aresztu śledczego jako wystarczającą karę.

Donny i ja zostaliśmy skazani na śmierć. Odwieziono nas do Saint-Gilles dwoma osobnymi autami, ale ze mną razem jechał Jean, który miał wyjść z więzienia dopiero nazajutrz, po załatwieniu formalności związanych z wypuszczeniem na wolność.

W rok po naszym aresztowaniu, 1 grudnia 1943 roku, barona Donny przeniesiono do więzienia Ludwigshafen. 31 grudnia pewna Belgijka, która wyszła za mąż za Niemca, przyszła mnie odwiedzić i w celi Saint-Gilles stawiała mi kabałę. Powiedziała:

„Niech pani patrzy! Karty mówią, że pojedzie pani do Niemiec!"

„Nie — odpowiedziałam. — Ale mimo wszystko dziękuję."

„Kogo mam uprzedzić?"

„Proszę zawiadomić panią Hendrickx, która opiekuje się moim synem. I proszę się postarać, by jej zwrócono pieniądze i biżuterię, które musiałam złożyć w kancelarii sądowej."

Depozyt zwrócono, a pani Hendrickx przyszła z moim synem na Dworzec Północny 1 stycznia 1944 roku; była to data, którą owa dama wyczytała w kartach. Wszystko, co mogli zobaczyć, to podłączenie do pociągu wagonów, podzielonych na cele. Ale mnie tam nie było. Dama pomyliła się o jeden dzień. Drugiego stycznia, kiedy odjeżdżałam naprawdę, nie było nikogo, kto by mnie żegnał. A zresztą, po co by to było? Widziałam, jak mała szesnastoletnia Maréchal biegła wzdłuż pociągu z paczką, której nie potrafiła doręczyć matce — był to rozdzierający widok.

Jednak udało mi się przekazać z wagonu kilka słów dla pani Hendrickx. Ktoś je posłyszał i podał dalej, jak dowiedziałam się później. Nasz pociąg zatrzymał się w Aachen, gdzie nas zaprowadzono do więzienia całkiem zrujnowanego przez bombardowania. W suterenie widziałyśmy niemieckie więźniarki, które lamentowały zamknięte w klatkach dla kur. Aresztowano je za słuchanie radia angielskiego, za uprawianie handlu na czarnym rynku lub za to, że okazały się zbyt łaskawe dla francuskich i angielskich jeńców wojennych. Razem z siostrami Davreux z Namur, ich matką, panią Maréchal i jeszcze trzema lub czterema innymi kobietami znalazłam się w straszliwie zawszonym pokoju. Ale co dla nas było najważniejsze — byłyśmy razem i miałyśmy przy sobie swoje rzeczy. Nikt nami się nie zajmował, mogłyśmy nawet wychodzić na korytarz, gdyż bomby powyrywały drzwi. Była to półwolność! W Aachen odnalazłam „Lison", jak nazywano panią Bachelard z Namur, oraz panią Wernand i pannę Liegeois, które udzieliły schronienia około czterdziestu lotnikom, to znaczy o wiele większej liczbie niż ja.

Po trzech czy czterech dniach ruszyłyśmy w drogę do Düsseldorfu, gdzie więzienie także nosiło ślady bomb. W celi przebywałam razem z małą Maréchal i jej matką oraz Nelly Deceunynck, nie mówiąc o trzech Niemkach, które okazały się tak wrażliwe, że płakały na nasz widok. Jedna z nich musiała ważyć około 125 kilo, uosobienie Germanii, z grubymi czarnymi warkoczami. Proszę sobie wyobrazić widowisko, kiedy siadała na mały kubełek! To nam pozwalało na chwilę zapomnieć o naszych nieszczęściach, ale wstydziłyśmy się z powodu braku ustronnego miejsca.

Stamtąd — w drogę do Kolonii, gdzie nas zamknięto na stadionie, przeprowadzono dezynfekcję dopiero na drugi dzień po przyjeździe, a że więźniarki przyjechały wieczorem okryte robactwem,

więc skutek był żaden. Bombardowanie nie ustawało przez całą noc. Było nas dwadzieścia dwie kobiety. Jako eskorta zjawiło się dwudziestu Niemców z sześciu psami policyjnymi, zaprowadzili nas do schronu, gdzie pozostałyśmy aż do końca alarmu. Była z nami Elvire Morelle.

Po Kolonii — Ziegenhein, więzienie przeznaczone dla skazanych na ciężkie roboty. Cele roiły się od pluskiew. Spowiednik niemiecki z wielką cielęcą głową nad małą białą koloratką zapytał:

„Na co zostałyście skazane?"

Obie z Elvire odpowiedziałyśmy z najbardziej tragicznymi minami:

„Na śmierć, mój ojcze."

Natychmiast jego cielęca głowa oblała się czerwienią.

Jako strażniczkę miałyśmy kobietę jakby wyjętą z filmu: *Dziewczęta w mundurach*, przypomina pan sobie? Kazała nam defilować przed portretem Hitlera, patrząc na nas oczyma pełnymi nienawiści:

„Jesteście bardzo źle notowane! Przywódczynie! Wyrządziłyście wiele złego Niemcom!"

Tego nam było potrzeba, aby rozradować nasze serca.

Którejś niedzieli podczas mszy Elvire Morelle podała mi karteczkę. Ale odkryła to strażniczka i kazała nam się w celi rozebrać do naga. Kartkę połknęłam już wcześniej nie czytając i ubawiło mnie, że Niemki zabrały naszą odzież do przeszukania. Od tego dnia rozdzielono nas.

Po trzech czy czterech miesiącach przewieziono nas do Cottbus, gdzie było prawie dwieście kobiet. Połowa stamtąd nie wyszła... Po sześć w jednej celi, na maleńkiej przestrzeni, pracowałyśmy przy wilgotnych liściach kukurydzy, które wydzielały odór fermentacji, pobudzający do mdłości. Służyły chyba do napychania sienników. Na kwadrans wychodziłyśmy na podwórze po piętnaście osób, dreptałyśmy w jednym miejscu — i to wszystko.

A jednak doczekałyśmy się końca 1944 roku.

„Wstać, jutro o czwartej wyjazd!"

Dygoczące w cienkim ubraniu, załadowano nas na wozy. W braku żandarmów — byli gdzie indziej zatrudnieni — leśni strażnicy czuwali nad nami na dworcu. Gruba warstwa śniegu pokryła wszystko. Aby pokrzepić się na duchu, zaśpiewałyśmy *Brabançonne*, a potem *Marsyliankę*. Jedna z kobiet, rozumiejąca po niemiecku, usłyszała, jak strażnik mówi do kolegi:

„Gdyby wiedziały dokąd jadą, nie śpiewałyby tak!"

Owa więźniarka tak się tym przejęła, że zmarła przed odzy-

skaniem wolności, a jej mąż, także deportowany, również nie dożył tej chwili.

Spędziłyśmy swoją pierwszą noc w Ravensbrück pod namiotem; było tam ze dwa tysiące kobiet, w tym wiele takich, które przyjechały wprost z Węgier ze swoimi tłumokami. Niemcy im powiedzieli, żeby zabrały, co mają najcenniejszego: dobra sztuczka, żeby się obłowić w obozie.

W tym namiocie do załatwiania potrzeb naturalnych służyły dzbanki z chlorowaną wodą. Smród, że można było paść trupem! Co więcej, dwie blokowe, więźniarki jak i my, ale w mundurach, z pałkami w rękach, wrzeszczały i biły, jakby były Niemkami. Przez całą noc chodziłam bez przerwy.

Nazajutrz dezynfekcja i obławianie się naszą odzieżą. Zapas bluzek i pasiastych spódnic wyczerpał się, a więc dalej łapać okazję! Mnie dostał się stary płaszcz gabardynowy bez podszewki. Ale radziłyśmy sobie: Elvire powiedziała, że jest pielęgniarką, ja podałam się za tłumaczkę i to nam pozwalało poruszać się po obozie. Z tupetem zażądałam obuwia mówiąc, że muszę utrzymywać kontakt między blokami. Dostałam dwa buty z lewej nogi, ale było to lepsze niż chodzenie boso po śniegu.

Razem z Elvire Morelle i innymi przydzielono mnie do rozładowywania wagonów wypchanych rzeczami zrabowanymi w Warszawie. Mieszanina wszystkiego: nowa odzież, używana i całkiem w strzępach. Wzięłam dla siebie wspaniały płaszcz *Harris Tweed*, prosto z Londynu, wybrałam drugi dla Elvire, bardzo chorej, jej biedne nogi były bardzo obrzęknięte. W namiocie jedna z współtowarzyszek stała na straży, a my odprułyśmy czerwone trójkąty, świadczące o przynależności państwowej — mój miał literę B, a Elvire F, gdyż była Francuzką — i potrafiłyśmy za pomocą drutu, w braku igły, naszyć trójkąty na naszych luksusowych szmatkach. Niemcy widzieli na nich tylko barwę ognia.

Mam całkiem siwe włosy od trzydziestego piątego roku życia, przyciągały one uwagę Niemców. Przeznaczyli mnie razem z innymi kobietami uznanymi za zbyt stare — do komory gazowej. Chwilę wcześniej — inspekcja. Jakiś oficer mnie bada, ogląda, robi minę, jakbym była jeszcze zdatnym do pracy zwierzęciem i każe mi wyjść z szeregu. To samo powtórzył w ciągu dnia i na dobre wywinęłam się od śmierci. Moje biedne towarzyszki zostały zagazowane...

Innego dnia pielęgniarki przyszły z dużymi strzykawkami. Niektóre kobiety przestraszyły się do takiego stopnia, że wyskakiwały przez okna. Ja sobie powiedziałam:

— Dziej się wola Boża! i pozwoliłam sobie zrobić zastrzyk w łono. Później pielęgniarki powróciły, by zrobić drugi, i uprze-

dziły nas, że będzie jeszcze trzeci zastrzyk. Potem już nic nie mówiły na ten temat. Nigdy się nie dowiem, co było w strzykawce. Ale wiem, że kobiety, które wyskoczyły przez okna, zastrzelono w naszej obecności.

Pewnego pięknego poranka usłyszałyśmy:

— Jesteście wolne.

Znałyśmy tę melodię. To znaczyło, że nastąpi zmiana obozu. Około trzystu kobiet ściśnięto w sześciu bydlęcych wagonach. Siedemdziesiąt dwie kobiety były w moim, a w środku kwadrat o boku długości dwu metrów dla żołnierza i kobiety-żołnierki, którym kazano nas pilnować. Roiło się od robactwa. Z powodu bombardowań pociąg zatrzymywał się co chwila. Przez trzy dni nie mogłyśmy się poruszać. Kobiety rodziły w wagonie.

Podróż trwała osiem dni. Wysiadłyśmy, wtedy śnieg padał. Śnieg pokrywał ziemię w lutym 1945 roku. Dworzec nazywał się Sankt-Margarete.

Ruszyłyśmy w drogę: dwa kilometry szłyśmy brnąc w głębokiej warstwie śniegu. Kobiety, które upadły, już tam pozostały z kulą w karku, wystrzeloną znienacka z pistoletu. Wzdłuż drogi słały się trupy. Przy jej końcu był Mauthausen.

Na początku myślałyśmy, że to miejsce sportów zimowych. Wyglądało tak uroczo. A pobyt tam był nie do zniesienia. Podczas trzech ostatnich tygodni żywiłam się wyłącznie ostami.

Prawdopodobnie zawdzięczamy życie politycznym więźniom hiszpańskim, którzy potrafili skonstruować nadajnik, dzięki czemu zawiadomili świat, że komendant obozu zażądał wielkiego transportu gazu, aby nas wszystkich zlikwidować.

A potem zdarzył się cud. Komendant zjawił się w czarnym nieprzemakalnym płaszczu i białych rękawiczkach. O mało nas nie całował po rękach.

„Czerwony Krzyż nadjedzie dwudziestu dwoma ciężarówkami — ogłosił. — Bądźcie cierpliwe, wszystkie auta będą musiały odjechać razem z powodu wspólnej przepustki. Powiedzcie tym, którzy po was przyjadą, że byłem dla was dobry."

„Gadaj sobie zdrów! Nikt mu nie odpowiedział. Stałyśmy na placu od czwartej godziny rano. O drugiej po południu kazano nam iść do sali natrysków, myślałam, że to już koniec, bo tam odsyłano kobiety przeznaczone do gazu. Jednak przyjechały ciężarówki szwajcarskiego Czerwonego Krzyża. Stłoczyłyśmy się w środku, najmłodsze usiadły na zbiornikach z paliwem.

W obozie pozostało wielu towarzyszy, którzy nigdy nie doczekali wolności.

*

Pani Donny słuchała opowiadania pani Monnier cały czas milcząc. Zwróciłem się do niej:

— Zostawiliśmy pani męża w więzieniu Ludwigshafen, w dniu 1 grudnia 1943 roku.

— Rozstrzelano go ostatniego lutego 1944 roku. 3 marca skończyłby pięćdziesiąt lat. Goering osobiście wydał rozkaz egzekucji. W prasie belgijskiej pojawiło się zawiadomienie, po przejściu przez cenzurę Niemców.

Czytam wycinek z gazety:

„Obywatel belgijski, baron Jacques Donny, został skazany na śmierć przez radę wojenną za działalność na korzyść nieprzyjaciela. Wyrok został wykonany przez rozstrzelanie.

Skazany chronił zestrzelonych lotników przed poszukiwaniami władz niemieckich. Ukrywał ich u znajomych, a poza tym pomagał im w ucieczce".

— Przed śmiercią — mówi pani Donny — mąż napisał ostatni list. Przepraszał mnie i córki za kłopoty, jakie nam sprawił, wyrażał nadzieję, że kiedyś spotkamy się w życiu przyszłym. Polecał mojej opiece swoją matkę...

Ta ostatnia wiadomość skreślona była energicznym pismem na kartce wyrwanej ze szkolnego zeszytu. Do tego świstka był przypięty list, podpisany przez Niemca nazwiskiem Karl Maneval. Nosi datę 24 marca 1952 roku:

„Jacques Donny został rozstrzelany w pobliżu Degerloch, przedmieścia Stuttgartu, dwudziestego dziewiątego lutego 1944 roku. Jako tłumacz z języka francuskiego spędziłem z nim ostatnie godziny jego życia.

Około pół do piątej rano wprowadzono mnie do celi, abym mu powiedział, że Marszałek Rzeszy Goering odrzucił jego prośbę o łaskę. Wysoki, wyprostowany, Donny ukazał się na progu celi. W chwili kiedy zrozumiał, że czeka go rozstrzelanie, zbladł, ale starał się opanować. Po minucie odzyskał spokój, a nawet pogodę ducha.

Ksiądz katolicki przebywał z nim w celi przez pół godziny. Po jej upływie wyraził chęć napicia się kawy i wypalenia papierosa. Spełniono jego prośbę. Potem kazał przynieść papier i atrament, ażeby napisać pożegnanie do rodziny.

Jego wygląd świadczył o pochodzeniu, sposób trzymania głowy i cała jego postawa była arystokratyczna. Miał chyba metr osiemdziesiąt wzrostu, okrągłą głowę, wysokie czoło.

Wyruszyliśmy na miejsce egzekucji przed wschodem słońca. Ten zimowy poranek był dość zimny, ze śladami śniegu na drodze. Zginął bez zakładania opaski na oczy i bez okazywania najmniejszego lęku wobec zbliżającej się śmierci. Patrząc na lufy karabinów

w niego wymierzone, padł z taką samą pogodą, jaką podziwiałem w celi. Śmierć nastąpiła natychmiast.

Oficer kierujący egzekucją nie mógł się powstrzymać, by nie powiedzieć żołnierzom:

«Umarł jak bohater!»

Nikt mi nie podał powodów jego skazania na śmierć.

Po południu tego samego dnia miałem przetłumaczyć na niemiecki jego wzruszający list. Maszynistka, która chyba znała przyczynę skazania, powiedziała do mnie ze łzami w oczach:

«Każdy z nas, gdyby był na jego miejscu, postąpiłby tak samo».''

FERMA URRUGNE

Ekspres Paryż—Hendaye, który odszedł z dworca Austerlitz o godzinie dwudziestej pierwszej trzydzieści dnia 13 stycznia 1943 roku, unosił w tę noc zimową na Południe „dzieci", które miały spróbować przejść granicę Hiszpanii. Było ich troje, a konwojowali je Andrée i Franco w przedziale pierwszej klasy. Szóste miejsce zajmował Frédéric de Jongh.

Dziewczyna zaniepokojona stanem zdrowia ojca i zagrożeniem jego bezpieczeństwa, starała się go przekonać, że nadszedł czas przeniesienia się do Anglii. Paul odrzucał jeden po drugim jej argumenty, a ustąpił dopiero w momencie, kiedy mu oświadczyła, że skoro poszukuje go *Geheime Feldpolizei*, tym samym stanowi to zagrożenie dla Siatki, a natomiast z Londynu mógłby pomagać o wiele skuteczniej.

Szary świt ukazał się nad Landami smaganymi deszczem.

— Co za pogoda! — zawołała Andrée, witając się na dworcu Bayonne z Ciotką Go, która przyszła ich spotkać w towarzystwie Jeana i Lulu Dassié oraz Yvonne Lapeyre.

— Tak — westchnęła Ciotka Go. — Deszcz nie przestaje padać od dziesięciu dni.

Dziesięć dni... to natchnęło Andrée nadzieją. Doświadczenie zdobyte w szesnastu przejściach tam i z powrotem przez góry nauczyło ją, że jeżeli deszcz padał bez przerwy tak długo, to wkrótce ustanie. Ale góry będą okropne tej nocy! Ojciec na pewno nie będzie mógł wyruszyć w drogę.

Wedle zwyczaju Ciotka Go przystąpiła natychmiast do przydzielania noclegów. Jean Dassié z córką zabrali Paula i trzech lotników, a Yvonne Lapeyre zajęła się dwojgiem pozostałych, zapraszając i Ciotkę Go na filiżankę kawy.

— W żaden sposób nie będziecie mogli przejść dzisiaj wieczorem — oświadczyła Ciotka Go.

— Z pewnością będzie to trudne — przyznała Andrée. — Zobaczymy co powie Florentino.

— W każdym razie zostaw tutaj ojca, zanim się zrobi dobra pogoda! Wygląda na bardzo zmęczonego...

— Zgadzam się, jeśli chodzi o ojca. Pomówię z nim o tym.

— Słuchaj — nastawała Ciotka Go — jeżeli koniecznie chcesz wysłać *boys* dziś wieczorem, to Florentino sam się tego podejmie. Dlaczego nie miałabyś zaczekać razem z ojcem, aż warunki będą lepsze.

— Nie — powiedziała Andrée. Jeżeli „dzieci" pójdą dzisiaj, to i ja razem z nimi.

— Dédée poszła odpocząć — opowiadała Ciotka Go — a ja byłam poważnie zaniepokojona. Kiedy nadszedł wieczór, ponowiłam jeszcze jedną próbę:

— A więc Dédée, jesteś już rozsądniejsza?

— Posłuchaj, cioteczko — odpowiedziała — wiesz, jak bardzo cię lubię. Ale wiesz również, że jeżeli raz coś postanowię, to idę do celu aż do końca. Pójdę tego wieczora z „dziećmi" do fermy i jeżeli Florentino powie, że da się przejść, wyruszę z nimi.

Musiałam ustąpić. Paul chciał towarzyszyć córce i nie było łatwo go przekonać, że nie może przedsięwziąć wyprawy w taką pogodę bez narażania na niebezpieczeństwo Dédée i lotników. Dédée obstawała przy swoim:

— Ja tylko przeprowadzę mężczyzn, zaraz powrócę i innego dnia wyruszymy we dwoje.

W końcu Paul zrezygnował. Uparł się jeszcze, że przyjdzie na dworzec w Bayonne na ostatnie do widzenia. Pożegnanie było bardzo krótkie. Pani Lapeyre odprowadziła jednego z *boys* do wagonu, Lulu Dassié — drugiego, a Janine — trzeciego. Dédée i ja pojechałyśmy z nimi do Saint-Jean-de-Luz. San Vicente i Maritchu czekali na nasz przyjazd. U nich zamówiliśmy noclegi.

San Vicente był to przemytnik, wygnaniec z Hiszpanii, gdzie pozostała jego rodzina. Maritchu, hiszpańska Baskijka, mieszkająca w Behobie, świetnie gotowała dla *boys*. San Vicente zaś dostarczał im granatowych ubrań, w których przechodzili przez góry. Obok San Vicente mieszkał François Ellissondo, dysponowaliśmy więc bardzo dobrą trójką, do której miałam pełne zaufanie aż do dnia, kiedy zobaczyłam, że z budynku komendantury w Bayonne wychodzi pewien typ, z którym mnie u siebie zapoznali.

Oczywiście, że ich zapytałam, jak to jest, czy możliwe, że mają przyjaciela tego pokroju. Oni mi wyjaśnili, że ten człowiek pracuje

jako korespondent w Hiszpanii, skąd przychodzi po kryjomu. Jest na usługach Niemców, jeżeli chodzi o kontrabandę, ale dzięki temu posiada informacje cenne dla konwojentów.

Spotkałam się z tym Hiszpanem jeszcze raz u San Vicente i on zaraz powiedział:

„Ależ ja panią znam! Pani jest Dédée!"

Wyprowadziłam go z błędu, nie mówiąc kim jestem, ale przyznałam się, że należę do francuskiego Ruchu Oporu.

„Od kogo pan słyszał o Dédée?"

„Od parobka z fermy, w której ona przebiera się po męsku, zanim wyprowadzi lotników w góry. To jest chłopiec mojej służącej. Pani rozumie, ja myślałem, że pani jest Dédée i chciałem panią ochraniać."

„Jest pan bardzo uprzejmy, ale nie zależy mi na opiece kogoś, kto chodzi do komendantury."

„Ależ właśnie dlatego mogę pani pomóc!"

„Powtarzam, że jest pan bardzo uprzejmy, ale dziękuję, poradzę sobie sama."

Na to Hiszpan odszedł, a ja przedstawiłam sprawę San Vincentemu i Maritchu:

„Pięknie wam dziękuję, że zetknęliście mnie z tym panem, ale wiedzcie, że od tej chwili nie umieszczę już nikogo u was.

„Dlaczego?" — zaprotestowali oboje.

„Ponieważ straciłam zaufanie."

A tak naprawdę, to byłam nawet rada, że mam pretekst, aby nie korzystać więcej z domu San Vicente, gdyż przyjaciółka niemieckiego oficera zajmowała mieszkanie o piętro wyżej, a agent gestapo mieszkał poniżej. Nasi chłopcy znajdowali się tam naprawdę jak w przekładańcu.

Wkrótce potem spotkałam całą trójkę, o której mowa, w cukierni w Biarritz. Elissondo miał pretensję, że na skutek mojej decyzji, którą uważali za nieuzasadnioną, będą pozbawieni zarobków.

— Ofiaruję wam rekompensatę — powiedziałam. — Dam do wymiany pesety, zapłacicie mi według oficjalnego kursu, a różnica pozostanie dla was.

Wszyscy troje bardzo dobrze rozumieli, jaką to przedstawia dla nich korzyść, bo walutowy czarny rynek nie miał dla nich tajemnic. Wszędzie kwitł przemyt, a fala aresztowań przeszła przez niektóre bary w Saint-Jean-de-Luz, gdzie spotykaliśmy się dla omówienia wypraw w góry i regulowania rachunków. W kawiarni położonej przy dworcu, miejscu spotkań z San Vicente, dostrzegłam tegoż rozmawiającego z podejrzanymi ludźmi.

„Słuchajcie — powiedziałam do wszystkich trojga — nie wiem,

czy wasz apetyt rośnie w miarę jedzenia, czy też pieniądze, które wam daję zarabiać, już wam nie wystarczają, ale widzę, że postępujecie nierozsądnie. Dotąd jeszcze uważam was za porządnych ludzi, ale bądźcie ostrożni! Ci, z którymi spotykacie się w tej kawiarni, należą do gestapo i powiem wam, skąd to wiem: stosownie do dnia tygodnia noszą wszyscy taki sam krawat, aby mogli się rozpoznać między sobą. Oni was śledzą, a kiedy nadejdzie stosowna chwila, zamkną was."

Oczywiście, że mi nie uwierzyli. Ale w niecałe dwa tygodnie aresztowano Elissonda.

— Przepraszam — wtrąciłem — skoro pani chciała się obejść bez ich usług, jak to się stało, że San Vicente i Maritchu czekali na panią razem z panną de Jongh i trzema lotnikami na dworcu Saint-Jean-de-Luz wieczorem 14 stycznia 1943 roku?

— Nie korzystałam już więcej z domu San Vicente dla *boys*, ale chcąc mu dać zarobić, zgodziłam się, by nam pomógł prowadzić lotników do Urrugne razem z Maritchu. Potem rozstaliśmy się. Oni wrócili, a my poszliśmy do fermy Franchii. Lotnicy byli zmęczeni i nieodpowiednio ubrani na złą pogodę, a poza tym pan wie, że nie lubią dużo chodzić. Co więcej, jeden z nich źle się czuł z powodu nie wyleczonej rany i powłóczył nogą. Wyprawa nie była przyjemna: przypominam sobie strugi lodowatego deszczu, śnieg sypał topniejąc na naszych ubraniach.

W drodze przyłączył się do nas Florentino.

„Czy będziemy mogli przejść dzisiaj wieczorem?" — zapytała Andrée. Bask spuścił głowę na znak powątpiewania widząc, jak idą lotnicy.

„Czy będzie jutro deszcz?" — chciała wiedzieć Andrée. Florentino zatrzymał się przed małym strumieniem płynącym wzdłuż ścieżki i patrzył, w jaki sposób deszcz spada na wodę.

„*Mañana* — oświadczył — *no mas Iluvia* [1]."

— To dobrze — powiedziała Andrée. Poweźmiemy decyzję, kiedy przekonamy się, w jakim stanie będą mężczyźni po przyjściu do fermy.

Dojście do Urrugne wymagało około dwóch godzin. Szli po rozmokłej glebie, trzeba było zboczyć z drogi, aby uniknąć ryzyka. Widząc jak wyglądają lotnicy, po wejściu do domu Franchii Andrée pomyślała:

— W żaden sposób nie będą zdolni przejść dzisiaj wieczorem. Widać, że są wyczerpani.

Ciotka Go, której Florentino dostarczył rower, pojechała z po-

[1] *Mañana* ... (hiszp.) — Jutro nie będzie deszczu.

wrotem do Saint-Jean-de-Luz. Andrée postanowiła spędzić noc u Franchii z przewodnikiem i trzema lotnikami, ale spotkała się ze sprzeciwem fermerki, która oznajmiła:

„Boję się. Wszędzie wokoło mówią, że udzielam noclegu ludziom idącym do Hiszpanii. Nie chcę, żebyście u mnie spali".

„Ależ dokąd mamy pójść?! — zaprotestowała Andrée. Ukryjemy się, nie będzie nas nikt widział."

„Dobrze — zgodziła się Franchia. — Idźcie do pokoju w głębi i nie ruszajcie się. Nie chcę, żeby was widziano od frontu."

Wprowadziła ich do pokoju, gdzie nie palił się ogień. Franchia miała skrupuły, że zmarzną, więc weszła znowu:

„Przyjdźcie ogrzać się — powiedziała do przemarzniętych mężczyzn. — W taki deszcz nikt nie przyjdzie".

Andrée dała znak lotnikom, by szli za nią i przeszła wraz z Florentinem do wielkiej izby, gdzie duży ogień palił się na kominie.

Wkrótce potem pies zaczął szczekać. Andrée wstała, gotowa wyprowadzić swoich ludzi do pokoju na uboczu. Ale Franchia dała jej znak, że nie ma potrzeby się ruszać i wysłała syna, aby zobaczył, co się dzieje. Chłopczyk powrócił po chwili, powiedział coś do matki po baskijsku, a Franchia wyjaśniła:

— To nic nie jest. Ktoś, kto panią zna. On wie, że przeprowadzamy ludzi.

Andrée spostrzegła, że wchodzi parobek, którego używała jako pomocnika aż do chwili, kiedy się przekonała, że rozmaite rzeczy zniknęły z jej plecaka. Czy ten człowiek popełnił kradzież? Czy jego gospodarz? Andrée nie mogła mu nic powiedzieć, ale niemiło odczuła, że ten mężczyzna spędza wieczór w fermie Franchii.

Nazajutrz rano Florentino zaproponował dziewczynie, by z nim poszła do Saint-Jean-de-Luz, gdzie miał zrobić jakieś zakupy. Andrée uchyliła się od jego propozycji:

„Nie — odmówiła. — Nie mam tam nic do załatwienia i kiedy raz mam okazję odpocząć, wolę zostać tutaj."

Florentino odszedł. W Saint-Jean-de-Luz spotkał u San Vicente Ciotkę Go.

Spędziłam tam noc — opowiadała mi pani de Greef — gdyż było już zbyt późno, aby wracać do Anglet, a poza tym byłam całkiem przemoknięta. Maritchu pożyczyła mi peniuar i suszyła moją odzież, w czasie gdy ja piłam gorący grog. Powiedziała mi, że San Vicente wybiera się jutro pociągiem do Paryża. Byłam niespokojna, przeczuwałam, że Dédée grozi niebezpieczeństwo i pamiętam, jak powiedziałam do Maritchu:

„Mam bardzo niedobre przeczucie. Jutro rano pojadę do Anglet,

a wieczorem powrócę do fermy. Gdyby coś było nie w porządku, wiesz, co masz zrobić: zadzwonisz do centrali telefonicznej w Bayonne, i jeżeli to nie pan Dassié odbierze rozmowę, powiesz zwyczajnie:

«Kuzyneczka jest chora».

Przekażą mu wiadomość, a on będzie wiedział, co to ma znaczyć. Czy dobrze zrozumiałaś?"

Maritchu obiecała tak zrobić.

Rano przyszedł Florentino. Trudno było zrozumieć, co mówi, kiedy nie jest się przyzwyczajoną do jego sposobu wysławiania się, i przypuszczałam, że Dédée kazała prosić, bym powróciła do fermy.

„W biały dzień! — powiedziałam — To byłoby szaleństwo! Czy powiedziałeś, że na pewno przyjdę?"

Florentino zwiesił głowę i zrozumiałam, że chciał wyrazić:

„Nie, nie, może nie".

Poradziłam, by poszedł się położyć i czekał, aż zapadnie wieczór, wtedy pójdziemy. Moja odzież była już sucha i wróciłam do domu, rozmijając się w drodze z „B", którego nie zauważyłam. Jak zwykle szedł on do Franchii, aby odebrać fałszywe dowody osobiste, które pozostawialiśmy lotnikom aż do ostatniej chwili. W Anglet nikt nie wiedział, że przejście przez granicę opóźniło się o dwadzieścia cztery godziny.

Lotnicy rześcy po dobrze przespanej nocy zasiedli do południowego posiłku w tylnym pokoju razem z Andrée, która pomogła Franchii w gotowaniu.

Ferma Franchii Usandizaga nazywała się „Bidegain-Berri", gdy tymczasem sąsiednie gospodarstwo, rodzinny dom panny Gracy Ladouce nazywało się krótko „Bidegain".

Około południa, wśród panującej jak zwykle ciszy rozległ się warkot motorów i nagle umilkł. Wszyscy podnieśli głowy: co się tam dzieje? Ale już rozbrzmiewał tupot przyśpieszonych kroków i Niemcy wtargnęli do kuchni:

— Dowody osobiste!

Natychmiast pokazaliśmy dowody.

— Chcemy zobaczyć, kto jest w domu! — powiedział dowódca Niemiec.

— Wszyscy się stawili, ale oni nie nas szukali. Już zrozumieliśmy, dokąd pojadą."

W kilka chwil później Andrée i trzej lotnicy usłyszeli nadjeżdżające auto. Żartobliwym tonem Andrée powiedziała: „Gestapo!", a jeden z lotników wyjął z kieszeni scyzoryk, wyciągnął ostrze

i skierował je ku drzwiom z komicznie groźną miną. Ale już w dużej izbie rozległ się hałas ciężkich butów i wrzask niemieckich rozkazów. Andrée i lotnicy ujrzeli, że drzwi uchylają się, a między nimi a futryną ukazuje się lufa pistoletu maszynowego.

„*Hände hoch*!" — krzyknął głos, a drzwi otwarto kopnięciem. Trzeba było usłuchać. Mężczyźni odwrócili się ku ścianie, z rękami podniesionymi na wysokość głowy. Andrée zaoszczędzono tego gestu.

„Gdzie jest piąty"? — zapytał dowódca.

To pytanie pozwoliło Andrée zrozumieć, że doniósł parobek, który był poprzedniego wieczoru u Franchii. Bo skądże wiedzieli, że jest ich pięcioro? Tylko Florentina brakowało do kompletu.

„Na pewno zdradził parobek" — wtrąciła Yvonne Lapeyre. — Po wyzwoleniu uciekł do Hiszpanii i nikt go więcej nie widział.

Niemcy długo szukali wszędzie Florentina, nawet kłuli bagnetami siano w stodole.

„Gdzie jest piąty?" — powtórzył oficer.

Nikt mu nie odpowiedział, a on szydził:

„Będziecie mówili, przyjaciele, na pewno powiecie!"

Rzucił gardłowy rozkaz, żeby wszyscy wyszli na podwórze. Andrée w bluzie i spodniach z grubego granatowego płótna ukradkiem spoglądała na Franchię. Blada, z wystraszoną miną, patrzyła na troje dzieci, które cicho płakały.

Dwaj feldżandarmi otwierali pochód, za nimi szli gęsiego więźniowie, otoczeni dziesięcioma uzbrojonymi żołnierzami. Schodzili w dół drogą, którą tyle razy chodziła Andrée. Tak jak przewidział Florentino — deszcz już nie padał.

Pierwszy na czele więźniów szedł Anglik, za nim dwaj Amerykanie, potem Andrée, za nią Franchia. Juan Larburu maszerował ostatni, z rękami wzniesionymi ponad ramiona, podobnie jak trzej lotnicy.

„Jaka idealna pogoda na wyprawę!" — myślała Andrée, nie przestając odwracać głowy ku górom. Ku jej rozbawieniu Niemcy rzucali niespokojne spojrzenia myśląc, że z tamtej strony może nadejść odsiecz.

„Przy przechodzeniu przez most na rzece Nivelle spróbuję skoczyć do wody i popłynąć pod prąd — obiecywała sobie Andrée. — Może będę miała szczęście."

Ale jej szczęście, dotąd tak wierne, odwróciło się: kiedy doszli do mostu, okazało się, że stan wody jest niski.

Na oczach skonsternowanych przechodniów pochód wkroczył do Saint-Jean-de-Luz. Sześcioro więźniów zaprowadzono do więzienia zwanego Villa „Angèle".

CZĘŚĆ DRUGA

15 stycznia — 18 czerwca 1944

CHÂTEAU - NEUF

René Gachy, właściciel lokalu gastronomicznego, opowiada o losie więźniów od chwili przybycia do Bayonne:

— W piątek 15 stycznia 1943 roku, kiedy zapadał wieczór, poprzez firankę sali restauracyjnej spostrzegłem więźniów przechodzących przez plac Saint-André. Zauważyłem Dédée, którą dobrze znałem, ponieważ często przychodziła z pilotami do mnie coś zjeść. Spostrzegłem także jakąś kobietę, mężczyznę i trzech lotników, którzy dzień wcześniej w południe byli u nas. Wszyscy mężczyźni trzymali ręce podniesione do góry, a żandarmi niemieccy w liczbie sześciu kierowali na nich pistolety maszynowe. Obok szli jeszcze dwaj gestapowcy w cywilu.

Byłem zdziwiony, że wszyscy weszli do Château-Neuf, bo to nie było niemieckie więzienie, a kiedy żandarmi i gestapowcy oddalili się, poszliśmy jak zwykle, ja i żona, zanieść jedzenie do więzienia.

— I wtedy najadłam się strachu! — wykrzyknęła pani Gachy. Lotnicy zamknięci w klatkach — można to nazwać klatkami, bo miały pręty — poznali mnie, widać to było po ich minach. Nic dziwnego, byli u nas dnia poprzedniego! Dałam im dyskretny znak, by się nie zdradzili, że nas znają.

René Gachy wzruszył ramionami:

— Wiedziałem, że mogę być spokojny, bo zastępcą naczelnika straży był Séverin Miremont. Gdyby nas wcześniej uprzedzono, wszyscy mieliby szanse ucieczki.

— Muszę panu to wyjaśnić — wtrąca Robert Lapeyre. Dopiero we wtorek rano, 16 stycznia, mój szwagier Dassié dowiedział się z telefonu kolegi z Saint-Jean-de-Luz, że Dédée, Franchia, Juan Larburu i trzej lotnicy zostali aresztowani. A przecież o czwartej wieczorem pani de Greef wyraźnie nakazała Maritchu: „Jeżeli coś się nie powiedzie, proszę natychmiast zawiadomić centralę telefoniczną w Bayonne. Masz tylko powiedzieć: «kuzynka jest chora», a wiadomość przekażą zaraz panu Dassié". Maritchu obiecała tak zrobić, ale kiedy się dowiedziała w piątek po południu o areszto-

waniu Dédée i reszty, pośpieszyła się z wyjazdem do Paryża. Rozumiem, że chciała jak najprędzej opuścić Saint-Jean-de-Luz, lecz mogła zatelefonować z dworca w Bayonne, bo tam pociąg do Paryża stoi piętnaście minut! Tego samego wieczora mój szwagier mógłby coś zdziałać, gdyby wiedział, co się stało. Nazajutrz już mu się nie udało!

René Gachy wrócił do przerwanego opowiadania:

— A więc w sobotę, około trzeciej przyszli do mnie pan Lapeyre i pan de Jongh, którego jeszcze nie znałem. Płakał ten biedny człowiek. Z moich okien widział więzienie Château-Neuf, gdzie przebywała jego córka, tak blisko, za tymi murami, a on nic nie mógł zrobić dla jej ocalenia, to go doprowadzało do szaleństwa.

„Błagam pana — powiedział — oddam życie, byle tylko ją ratować."

Poszedłem więc do Château-Neuf i powróciłem razem z Miremontem.

Pan de Jongh niczego przed nim nie ukrywał.

„Panie Miremont, ta osoba przebrana za chłopca to moja córka — rzekł. — Proszę jej powiedzieć, że ojciec jest tutaj i zrobi wszystko co możliwe, aby ją ocalić."

Zacny Miremont odszedł i zaraz wrócił: „Wypełniłem polecenie, ale panienka powiedziała, że jest sierotą".

Pan de Jongh zrozumiał, że Dédée jest nieufna. Wyrwał kartkę z notesu i napisał na niej: „Tio jest tutaj". Tio po hiszpańsku znaczy wuj. Było to hasło ustalone między nim a córką w przypadku niepowodzenia. Miremont odszedł z karteczką i powrócił z wiadomością, że wszystko się zgadza. René Gachy prosił, by Miremont wypuścił dziewczynę, a pan de Jonhg obiecał mu ofiarować wszystkie swoje oszczędności. Miremont odrzekł: „Nie robię tego dla pieniędzy, ma pan moje słowo i to wystarczy". Wtedy de Jongh uścisnął mu dłoń i obiecał przerzucić do Anglii w razie niebezpieczeństwa.

Miremont obmyślił już wcześniej plan ucieczki: „Aby Niemcy pana nie podejrzewali, otworzę wieczorem drzwi dla wszystkich więźniów. Nie tylko pańska córka i jej towarzysze wyjdą na wolność, ale wszyscy przebywający w więzieniu. Nikt nie powinien tu pozostać".

Wtedy nabraliśmy otuchy. Chodzenie tam i z powrotem między restauracją Gachy a więzieniem zabrało trochę czasu i było już po czwartej, kiedy znaleźliśmy się na chodniku. Mieliśmy się rozejść. Nagle zobaczyliśmy nadjeżdżające dwa szare citroëny: zatrzymały się przed Château-Neuf. Wysiedli gestapowcy i weszli do więzienia. Byliśmy bezsilni widząc, jak wyprowadzili Dédée, Franchię, Larburu i trzech lotników. Wsadzili ich do aut i ruszyli. Po-

jęliśmy, że wiozą ich do Villa „Chagrin", gdzie już nie potrafimy im dopomóc. Popatrzyłem wtedy na zegarek: była godzina czwarta czterdzieści.

*

— W jakich okolicznościach spostrzegłam ojca, będąc w Château-Neuf? Widziałam go stojącego na ulicy, ale nie mogłam z nim rozmawiać. Nie przypuszczałam, że widzę go po raz ostatni.

PRZESŁUCHANIE

Andrée de Jongh powraca we wspomnieniach do pierwszych dni pobytu w więzieniu:

— Z więzienia Château-Neuf odwieziono mnie do Villa „Chagrin", przeszłam całkowicie pod władzę Niemców. Umieszczono mnie w izolatce, a stamtąd wywożono do gestapo na przesłuchanie. Gestapo mieściło się w Bayonne, w budynku strzeżonym przez żołnierzy wehrmachtu. Pięciu niemieckich policjantów w cywilu prowadziło przesłuchanie w obecności oficera, który, jak myślę, należał do *Luftwaffe*. Wtedy sprawa zaczęła przybierać zły obrót. Na podstawie weryfikacji przeprowadzonej w pewnym mieście w północnej Francji, którego pieczęć figurowała w moim dowodzie osobistym, Niemcy stwierdzili, że jest on sfałszowany. Ale w dalszym ciągu nie wiedzieli, kim jestem, a ja nie miałam najmniejszej ochoty im tego ujawnić. Odwieziono mnie do Villa „Chagrin". Po raz drugi wyciągnięto z celi i gra w chowanego zaczęła się na nowo. Wynik żaden. Jednak po trzech czy czterech przesłuchaniach tego rodzaju musiałam się przyznać, że szukałam okazji, by przejść do Hiszpanii.

„Po co?" — pytali Niemcy.

Przypomniałam sobie zalecenia:

„Jeżeli cię złapią, powinnaś kłamać, kłamać bez zająknienia. Trzeba mówić, bo jeżeli nie zechcesz mówić, będą cię torturowali, by cię zmusić do zeznań. A jeżeli będziesz kłamała, sprawdzenie tego, co powiedziałaś będzie wymagało czasu, a może uwierzą częściowo w to, co opowiesz. Wymyśl jakąś historyjkę siedząc w celi, wyobraź sobie, jakie pytania mogą ci stawiać, i mów, trzeba dużo mówić".

A zatem kiedy mnie zapytano, dlaczego chciałam przejść do Hiszpanii, uciekłam się do wymyślonej przez siebie bajeczki i odpowiedziałam:

„Z powodu miłości".

„*Ach, so!* Dlaczego z miłości?"

„Ponieważ kocham pewnego mechanika — Francuza, który uciekł do Anglii. Chciałam go odnaleźć."

„*So!* A jak się nazywa ten mechanik?"

Niedawno przeprowadziłam przez góry autentycznego francuskiego mechanika, który chciał służyć pod generałem de Gaulle; zwierzył mi się, że nie pozostawia we Francji nikogo bliskiego, żadnej rodziny. Jeżeli dobrze pamiętam, jego nazwisko wymawiało się „Moka", a pisało Moquax. Bez żadnego skrępowania podałam je Niemcom.

„Ach, Moka! I mówi pani, że tylko z miłości?"

„Tak, bo nie ufam angielskim kobietom."

„Ma pani rację! Ale w jaki sposób dojechała pani do granicy?"

„Dzięki komuś, kto mi udzielił informacji."

„Kim jest ten ktoś?"

„Nie mam pojęcia. Jakiś pan zaprosił mnie na aperitif w kawiarni przy bulwarze Saint-Michel. Zwierzyłam się, że będę się starała przejść do Hiszpanii. Powiedział, że może mi dopomóc, jeżeli mu zapłacę 50 000 franków."

„Pięćdziesiąt tysięcy franków. Ależ to straszliwa cena!" — wykrzyknęli Niemcy.

„O, powiedziałam — myślicie, że... Zresztą nie miałam tej kwoty, a potem zdecydowałam się poprosić, kiedy już tutaj przyjadę, o ulgową taksę."

„A w jaki sposób mogłaby pani uzyskać ulgową taryfę?"

Pytanie to przewidziałam i teraz musiałam posłużyć się drugim kłamstwem. Skąd dowiedziałam się, że dwaj lotnicy wygadali się? Może było to przy okazji wspólnego przewiezienia z Villa „Chagrin" do gestapo, dość, że wiedziałam. Jeden przyznał się, że konwojowałam ich z Paryża. Skoro wiedziałam, mogłam się tym posłużyć. „Brakowało mi pieniędzy na podróż." Ów pan z kawiarni przy bulwarze Saint-Michel powiedział, że może wziąć na siebie koszty mojego przejazdu, lecz pod warunkiem, że zgodzę się towarzyszyć trzem angielskim lotnikom aż do Saint-Jean-de-Luz.

„*Ach, so!* A mogłaby pani odnaleźć tego pana?"

„Widziałam się z nim tylko jeden raz i nawet nie znam jego nazwiska."

„*Gut*, ale on pani powiedział, gdzie trzeba umieścić lotników w Saint-Jean-de-Luz?"

„Nie. Powiedział tylko tyle, że przewodnik przyjdzie po nich na dworzec w Bayonne."

„A więc znała pani przewodnika?"

„Tamten pan pokazał mi jego fotografię i zapowiedział, że ten człowiek będzie trzymał w ręce gazetę."

„Jak wyglądał przewodnik?"

„Mały brunet w baskijskim berecie."

„Tak. Lotnicy mi powiedzieli, że pani ich zaprowadziła na kwaterę w Bayonne."

„Zgadza się. Oni szli za mną, ale ja szłam w ślad za osobą, która nas prowadziła."

„*So!* Gdzie jest ten dom?"

„Tego nie potrafię powiedzieć. Tak się obawiałam, aby nie zgubić z oczu tego mężczyzny, że nie bawiłam się w notowanie nazw ulic."

„Może pani pomożemy?"

„Jak sobie panowie życzą."

Ta odpowiedź sprawiła, że przewieziono mnie autem po Bayonne, zrobiliśmy turę po starej dzielnicy. Tam nasi przyjaciele Lapeyre mają jeszcze swój dom, pod trzecim numerem przy ulicy Bernadou, za halami targowymi. Może pan sobie wyobrazić, jak wytrzeszczałam oczy udając, że się staram zorientować w tym labiryncie, ale niczego nie umiałam rozpoznać, natomiast agenci gestapo zmarnowali benzynę. I znowu odwieźli mnie do Villa „Chagrin", tak samo głupi, jak przedtem. Jeżeli ktoś, tak jak ja, zaczął na dobre mówić, to zabawa w kotka i myszkę, jaką jest przesłuchanie, staje się trudna dla myszy. Pewnego dnia Niemcy oświadczyli:

„Jeżeli nie chce się pani przyznać, kim jest, umieścimy pani fotografię na wszystkich murach Bayonne, obiecując 100 000 franków nagrody za rozpoznanie".

Sto tysięcy franków w tamtych czasach było znaczną sumą i obawiałam się, żeby ktoś znęcony nagrodą nie wszedł do gestapo ze słowami: „Widziałem, jak ta młoda dziewczyna wchodziła do tego czy tamtego domu".

Mogło to spowodować aresztowanie przyjaciół Lapeyre i Dassié, nie mówiąc już o Ciotce Go i jej mężu, bo Niemcom nie trzeba było wiele, by dotrzeć aż do Villa Anglet. Zdecydowałam się więc przyznać, że jestem Belgijką, co mogło oddalić poszukiwania.

„*Ach, so!* A jak pani się nazywa?"

„Andrée de Jongh."

Starannie zapisali sobie moje nazwisko, potem musiałam podać adres rodzinnego domu w Schaerbeek. Zaalarmowano niemiecką policję w Brukseli, no i oczywiście odpowiedź była taka, jakiej się spodziewałam:

„Znamy ją, szukamy jej półtora roku, kilku jej wspólników aresztowaliśmy".

„No więc?" — zapytali Niemcy.

„Nie rozumiem."

„*So?*"

„Nie wiem, o jakich wspólnikach mowa."

„Dlaczego wyjechała pani z Brukseli?"

„Bałam się, że mnie wsadzą do więzienia..."

„Za co?"

„Z powodu mechanika."

„Jakiego mechanika?"

„Podałam wam jego nazwisko! Tego, którego chciałam odszukać w Anglii! Dlatego ukryłam się w Paryżu."

„*So!* Gdzie pani mieszkała w Paryżu?"

Zaskoczyli mnie. W Paryżu nie ma domu bez dozorcy, więc nie można zmyślić adresu, dozorca zna wszystkich lokatorów nieruchomości. Nie chciałam podać ulicy Vaneau ani Oudinot, gdzie mieszkał przedtem mój ojciec. Oczywiście, że obowiązywała reguła: należy wyprowadzić się zaraz, jeżeli kogoś z naszych aresztowano, lecz nie zawsze było łatwo znaleźć mieszkanie, zwłaszcza kiedy się pochodziło z cudzoziemskiego miasta i jeżeli się miało, tak jak ojciec, bardzo wyraźny obcy akcent. Ci, którzy stykali się z moim ojcem nie znając go, zawsze mówili o nim „Flamandczyk", co bardzo go bolało.

„Niestety nie mogę nic powiedzieć na ten temat."

Wtedy rozgniewali się:

„Jak to? Nie może pani podać swojego adresu w Paryżu? Niemiecka policja nie może przyjąć takiego wytłumaczenia! Proszę odpowiedzieć!"

„Nie. Nie mogę."

„Pani siostra jest w więzieniu w Brukseli, wiemy o tym. Teraz aresztujemy pani matkę i obie zostaną wysłane na ciężkie roboty do Polski! One tam umrą z pani winy! Dalej, proszę podać adres!"

„Nie podam."

„Weźmiemy panią na tortury! Wypluje pani prawdę jak kurek od wodociągu."

„Nigdy w życiu nie byłam torturowana, z tego wniosek, że nie mogę wam powiedzieć, czy stanę się podobna do kurka."

„Odmawia pani podania swojego adresu w Paryżu?"

„Tak."

„*Gut!* Wsadzimy panią do lochu, to się pani namyśli." Za pół godziny poddamy panią torturom.

Wepchnięto mnie do lochu. Muszę się przyznać, że tam spędziłam najgorsze pół godziny swojego życia.

„No więc? Namyśliła się pani? — zapytali po wyprowadzeniu z ciemnicy. Zmieniła pani zdanie, prawda?

„Nie."

„Jak to? Nie chce pani podać paryskiego adresu?"

„Nie mogę."

„Dobrze. A zatem zginie pani śmiercią głodową."

Ta perspektywa nie była przyjemna, ale koniec końców była lepsza niż torturowanie. Zostałam odwieziona do Villa „Chagrin", tam kazano mi zejść do sutereny, gdzie mnie zamknięto w jakiejś czarnej dziurze bez okna. Było tam bardzo zimno. Chciałam chodzić dla rozgrzania się, lecz musiałam z tego zrezygnować, kiedy kilka razy uderzyłam się o mur. Wtedy zdecydowałam się położyć, ale zimno cementu przenikało mnie aż do kości. Wreszcie zdjęłam sweter, zwinęłam go pod głowę i starałam się usnąć.

Po upływie długiego czasu, chyba po czterdziestu ośmiu godzinach, drzwi ciemnicy otworzyły się i strażnik podał mi pół litra wody do picia. Po pewnym czasie przyniósł mi coś w rodzaju zupy, co było niemiłosiernie słone, zdawało mi się, że umrę z pragnienia. Strażnikiem był młody żołnierz, który miał około dwudziestu pięciu lat, wobec niego odegrałam komedię mówiąc: „Odkąd tu jestem nie mogłam się umyć, bardzo bym chciała trochę wody".

Na szczęście żołnierz rozumiał po francusku. Odpowiedział, przyjaźnie mówiąc mi ty: „Dobrze wiesz, że to jest zabronione".

„Ależ — odpowiedziałam — Niemcy przywiązują dużą wagę do higieny! Nie możecie mi zabronić się umyć!"

Na ten argument zawahał się:

„Jeżeli ci dam wody do mycia, to muszę tu zostać przez cały czas."

„Och, to mi nie przeszkadza."

„No to zaczekaj."

Wziął menażkę, w której przyniósł zupę, zamknął za sobą drzwi, a za chwilę znowu je otworzył. Niósł miskę pełną wody i kawałeczek mydła. Umyłam sobie twarz, a potem powiedziałam:

„Gdyby zechciał się pan zachować poprawnie, toby się pan odwrócił!"

Żołnierz znowu się zawahał, potem zmiękł:

„*Gut!* Zrobię to dla ciebie, *Kind*!

Odwrócił się, a ja chwyciłam oburącz miskę pełną mydlanej wody, zabrudzoną myciem twarzy i piłam, piłam, aby ugasić ogień, który palił mi gardło.

Nazajutrz odwieziono mnie do gestapo. Przeszedł obok oficer

Luftwaffe, który był obecny przy pierwszym przesłuchaniu. Popatrzył mi w twarz:

„Co się z panią dzieje?"

Spojrzałam na niego nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

„Dziwnie pani wygląda" — dodał.

„Pewnie dlatego, że jestem brudna" — odpowiedziałam.

„Ależ nie, nie wygląda pani na brudną."

„A więc wyglądam na głodną."

„O, dlaczego głodna?"

Odpowiedziałam, jakiej diecie mnie poddali od kilku dni, a on przybrał gniewną minę. Wyszedł z pokoju i zaraz powrócił niosąc małą paczuszkę: „Proszę to schować!"

Zawiniątko zawierało dwie kanapki, których nie miałam ochoty zaraz zjeść, tak bardzo chciało mi się pić. Nie mogłam nawet pomyśleć o toalecie, bo mogłam tam pójść tylko pod strażą i to pozostawiając otwarte drzwi. Musiałam więc zmusić się i zjeść te dwie kanapki, bez żadnego apetytu, a po nich pragnienie jeszcze się wzmogło.

Po nowym przesłuchaniu, całkiem podobnym do poprzedniego, odprowadzono mnie do lochu. Wyszłam z niego po sześciu dniach tylko dlatego, że odmroziłam sobie stopy. Gestapowcy zdali sobie sprawę, że nie mogę ustać na nogach i że nie będę zdolna do ujawnienia adresu, który chcieli uzyskać za wszelką cenę. Ni stąd, ni zowąd zobaczyłam w środku nocy wchodzących do celi dwóch policjantów.

„No i co, Andrée — zwrócił się do mnie jeden, bo uważali, że lepiej nazywać mnie po imieniu — zmieniła pani zdanie?"

„Nie."

„Dlaczego nie chce pani podać swego adresu? To śmieszne!"

„Nie. Wiem, że szukacie mojego ojca, a obawiam się, że on tam jest."

„*So!* A więc to ze względu na ojca?"

„Tak."

„A nie pomyślała pani o matce?"

„Gdyby matka dowiedziała się, że podałam adres ojca, pierwsza robiłaby mi wyrzuty!"

Mówiłam prawdę, ale oczekiwałam najgorszego. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu dwaj gestapowcy odeszli nic nie mówiąc. Wkrótce potem, jeszcze tej samej nocy, zjawił się osobiście dyrektor więzienia i odwiózł mnie do celi w Villa „Chagrin", gdzie pozostałam aż do momentu, kiedy przewieziono mnie do Fortu Hâ w Bordeaux.

VILLA „CHAGRIN"

Villa „Chagrin" oglądana z daleka stwarza złudzenie, że jest przyjemnym schronieniem. Ładnie wygląda z czerwonym dachem na tle zieleni. A to jest więzienie. Więzienie, o którym nie przestawał myśleć Frédéric de Jongh.

— Litość brała patrząc na niego — powiedziała pani de Greef. — Pogrążony w rozpaczy, był gotów na wszystko, byle tylko wyrwać córkę z rąk gestapo, i musieliśmy tłumaczyć, że najmniejsza nieroztropność, jaką by popełnił, tylko pogorszyłaby sytuację Dédée, nie mówiąc już o konsekwencjach, które czekałyby Siatkę.

Sam był bardzo zagrożony, radziliśmy zatem, by przeszedł do Hiszpanii, a potem pojechał do Anglii. Mógłby tam poprosić, by nasi sojusznicy zaproponowali policji niemieckiej wymianę więźniów. Frédéric odpowiedział, że dopóki jego córka będzie w więzieniu, nie można wysuwać kwestii jego własnego bezpieczeństwa i że zbyt dobrze zna Niemców, by wierzyć bodaj przez chwilę, że zgodziliby się na takie pertraktacje.

Potrafiliśmy się skontaktować z pewną panią z miejscowego Czerwonego Krzyża, która odwiedzała więzienie. Kiedy ją poprosiliśmy, by nam pomogła przesłać wiadomość do więźniarki, owa pani odpowiedziała, że jej obowiązki nie sięgają aż tak daleko, więc musieliśmy używać podstępów, na przykład wsuwając list-wstążkę w obrębek spódnicy lub pisząc na marginesach książek, które dostarczaliśmy Dédée. Dla utrzymania jej w dobrym samopoczuciu psychicznym przekazywaliśmy wiadomości, że ojciec jest bezpieczny i że spodziewamy się namówić go na wyjazd do Hiszpanii.

Pani z Czerwonego Krzyża jednak zechciała nam powiedzieć, że cela Dédée znajdowała się w pobliżu muru opasującego więzienie. Postanowiliśmy pójść rzucić okiem za ten mur, by zdać sobie sprawę, na co można się ważyć. Pewnego wieczoru, kiedy księżyc nie świecił zbyt jasno, zrobiliśmy we czworo naszą pierwszą i jedyną próbę: „B", Franco, Jean Dassié i ja. Przynieśliśmy parę słupołazów z hakami umieszczonymi jeden wyżej, drugi niżej na sznurze, który zarzuciliśmy na koniec tyki i stwierdziliśmy z rozczarowaniem, że sięgał dopiero jednej trzeciej wysokości muru.

Jean Dassié, chociaż był inwalidą z powodu braku ręki i ran odniesionych na wojnie, przyniósł z pobliskiej stodoły wielką drabinę. Była późna godzina, a miejsce wybitnie podejrzane. Jean Das-

sié w szerokim baskijskim berecie okrył czernią swej peleryny dół drabiny ustawionej przy murze. Na niej, wysoko, „B" podtrzymywał Franco, gdyż słupołazy były ciężkie, a chodziło o to, by je zawiesić na samym szczycie muru.

Właśnie ten moment wybrał sobie patrol niemiecki na obchód, równocześnie księżyc ośmielił się wysunąć spoza chmur, oświetlając nas swoim blaskiem. Góra drabiny była częściowo ukryta wśród gałęzi drzew, ale jej dół był widoczny pomimo wysiłków Jeana Dassié, który posługiwał się jak mógł obfitością swej peleryny, Usłyszeliśmy hałas ciężkich butów i powiedziałam sobie, że nadszedł moment działania. Weszłam na pierwszy stopień drabiny, Dassié otoczył mnie swoją peleryną i udawaliśmy zakochanych. Niemcy pewnie myśleli, że to próba z *Carmen*, przeszli bez zatrzymywania się, wstydliwie odwracając głowy. Czekałam z niecierpliwością, aż zakręcą za załom muru Villa „Chagrin", gdyż „B" zaczął słabnąć pod ciężarem Franco, który nie mógł już utrzymać ciężkich słupołazów.

Pan de Jongh z wielkim rozczarowaniem przyjął wiadomość o niepowodzeniu wyprawy. Sprawa nie była prosta, nasze szanse zbyt mizerne, by udało się dosięgnąć celi Dédée i pomóc jej przejść na szczyt muru. Trzeba było szukać innego sposobu.

Niektóre małe bary, w których jadali nasi lotnicy, żyły z handlu na czarnym rynku. Pomiędzy dostawcami znałam osobiście spryciarzy, którym zawód służył tylko do zamaskowania się. W istocie rzeczy ich główne zajęcie stanowił przemyt. Kupowali w Hiszpanii mnóstwo towarów, których brakowało we Francji, a sprzedawali po drugiej stronie granicy wszystko, czego poszukiwano z gotowych wyrobów, bo Hiszpania w tym zakresie była bardzo uboga. Jeden z tych handlarzy wydał się nam godny zaufania. Nazywał się Rémy Larre i był z zawodu ślusarzem.

Kiedy „B" zobaczył Rémy'ego, ochrzcił go „Moon", co znaczy księżyc, z powodu jego twarzy, szerszej niż dłuższej; wtajemniczony w nasze zamiary, ten zacny człowiek obiecał nam dopomóc w miarę możności w oswobodzeniu więźniarki.

Instalator wodno-kanalizacyjny pracujący w Villa „Chagrin" był kuzynem Jeana Dassié. Chcieliśmy go wyeliminować, aby Niemcy nie rozszyfrowali powiązań. Zgodził się uchodzić za chorego, a zastępował go „Moon", rzekomy kolega. Podczas wykonywania prac „Moon" miał za zadanie zbadać wnętrze więzienia, ustalając ściśle, w której celi jest zamknięta Dédée. Wkrótce nam powiedział, że w biurze niemieckiego oficera wisi tablica z nazwiskami więźniów i numerami cel przez nich zajmowanych. Prowadząc dalsze obserwacje nabrał pewności, że było niemożliwe planować ucieczkę Dédée

przez drzwi celi, gdyż strażnik nie spuszczał go z oczu, kiedy pracował. Ale obiecał, że tak wygnie wiatraczek wentylatora w celi, aby Dédée mogła się wydostać na zewnątrz i zejść okolną drogą, którą chodził patrol.

Wie pan, że Dédée przefarbowała sobie włosy na czarno, aby zmienić swój wygląd. Ale z powodu braku farby odrastały jej naturalne blond włosy, a pomieszane z czarnymi wydawały się siwe.

Na skutek odmrożenia, którego się nabawiła w lochu, bardzo cierpiała i leżała na sienniku skrajnie wyczerpana.

Obmyśliliśmy plan po stwierdzeniu, że w ciągu dnia, kiedy następowała zmiana warty, pozostawało w więzieniu tylko trzech niemieckich żołnierzy. Pewnego dnia mój mąż będąc w towarzystwie „B" i Jeana Dassié w restauracji René Gachy'ego, zaprosił na wino dwóch żołnierzy. René obficie ich spoił. Po przeprowadzeniu tego doświadczenia ustalili z restauratorem, że w dniu ustalonym na wykonanie akcji zatrzyma Niemców u siebie, kiedy już będą dobrze podpici.

„Moon" miał za zadanie chwytać się różnych pretekstów, aby pracować w celi Dédée i uprzedzić ją o naszych projektach, śpiewając po hiszpańsku. Powiadomił nas, że zauważył na tablicy wiszącej w biurze oficera służbowego nowe nazwisko, De Tonga. Wyprowadziliśmy stąd wniosek, że chodziło o niewłaściwie napisane nazwisko De Jongh, a zatem Dédée musiała ujawnić, kim jest. Trzeba było szybko działać.

Wymyśliliśmy najprostszy scenariusz. Mój mąż wciągnie do restauracji dwóch żołnierzy, potem przebierze się w mundur niemieckiego oficera, „B" zrobi to samo. Obaj pójdą zadzwonić do bramy więzienia. Mój mąż, mówiący doskonale po niemiecku, zażąda wpuszczenia do środka pod pozorem inspekcji. Wiedząc, że dwaj jego koledzy są nie w porządku, żołnierz się przestraszy. Kiedy będzie się starał wytłumaczyć, „B" pójdzie po Dédée na drogę, którą chodzą wartownicy, ona zejdzie tam przez otwór wentylatora. Zależnie od sytuacji wsiądzie do auta, o które postara się mój mąż, albo przejedzie na drugi brzeg rzeki Adour w łodzi czekającej w pobliżu więzienia. W ten sposób uniknęłaby przejazdu przez most Saint-Esprit, który łączy dworzec z miastem, a jest niebezpieczny: bardzo często Niemcy tarasują tam drogę. Jeżeli nie zniknie żaden klucz z więzienia, ani żadne drzwi nie będą nosiły śladu włamania, to można się spodziewać, że alarm się podniesie dopiero następnego dnia.

W wigilię wyznaczonego terminu „Moon" nucił w celi Dédée piosenkę, w której powtarzało się często słowo *mañana*. Ale następnego

dnia spostrzegł, że materac jest zrolowany na łóżku i stwierdził w biurze, że znikło nazwisko De Tonga z tablicy. Pani z Czerwonego Krzyża, która zaniosła bieliznę na zmianę, dowiedziała się, że więźniarkę przewieziono do Fortu Hâ w Bordeaux. Wie pan, że hiszpańskie *mañana* znaczy „jutro". Zabrakło dwudziestu czterech godzin do wykonania naszego planu.

LIST Z SAINT-GILLES

Nemo zapewnił sobie tajny azyl w nieruchomości przy placu Blyckaerts w Brukseli; oprócz komendanta Bidoula znało ten adres tylko pięć osób: jego brat Albert Greindl, Eric de Menten, Jean Ingels zwany Jean de Gand, Yvette Guillemin, która weszła do Linii w zastępstwie za Peggy Van Lier i Ghislain Neybergh, którego nazywano José.

José miał wuja księdza, któremu Niemcy pozwolili odwiedzać więźniów w Saint-Gilles. Dzięki temu Nemo mógł przesłać krótkie listy do pani Maréchal i jej córki Elsie, a także do Elvire Morelle i Suzanne Wittek, siostry Dédée. Otrzymał odpowiedzi. Dowiedział się, że Elsie, przesłuchiwana bez przerwy przez *Geheime Feldpolizei* często wpadała w omdlenie i w tym stanie odnoszono ją do celi.

Na początku 1943 roku dotarł do niego długi list pisany malutkimi drukowanymi literami. Podpisany literą „S" pochodził od Suzanne Wittek. Oto fragment tego listu:

Zdrajcą jest „Coco", on zadenuncjował mnie i panią Jol. Niesłusznie mnie oskarża, że byłam u niego dnia 30 marca, aby odebrać materiały szpiegowskie dla Kiki[1]*. Zresztą „Coco" wydał przeszło sto dwadzieścia osób i nie jestem jedyną kłamliwie oskarżoną. Będę się broniła przeciw „Coco" jak sam diabeł! Musiałam się przyznać, że poszłam do Mi*[2] *w końcu kwietnia, prosząc, by wysłał do Anglii mojego synka, gdyż miałam tutaj z dzieckiem trudności i wolałam go odesłać do ojca. Musiałam także przyznać się, że podawałam herbatę na zebraniu w dniu 1 lutego, kiedy DD*[3] *powróciła po kryjomu i była w domu od soboty wieczór do poniedziałku wieczór, ale to*

[1] Kiki — tym imieniem nazywa swego ojca Frédérica de Jongh, znanego także pod pseudonimem Paul.

[2] Mi — Henri Michelli.

[3] DD — Dédée.

nic nie jest. Powiedziałam, że nie było ani matki, ani ciotki w domu. Nie mówcie o panu, którego nazwisko zaczyna się na G. Nikt o nim nie wspomina. Jak pan widzi, moja sprawa nie jest poważna. Nie trzeba się o mnie niepokoić.

Bardzo dobrze znoszę pobyt w więzieniu. Jeżeli nawet będę musiała tutaj pozostać jeszcze kilka miesięcy, wszystko będzie dobrze. A obecnie na coś się przydaję, więc nie ma czego żałować. Chcę jednak prosić pana o jedno: żeby nigdy się pan nie sprzeczał z Kiki i DD. Jeżeli pewnego dnia zajdzie jakieś nieporozumienie, zamiast podawać się do dymisji proszę wsiąść w pociąg i pojechać tam, aby rozmówić się osobiście. Pan wie, jaki jest Kiki w głębi serca: szczery, dobry i szlachetny. Proszę także zdobyć się na cierpliwość w stosunku do niego, choćby ze względu na przyjaźń dla dwóch więźniarek. Chcę tutaj pozostać, byle bym wiedziała, że praca przebiega w zgodzie i wzajemnym zrozumieniu oraz że robi się dobrą robotę. To bardzo podtrzymuje na duchu. To już chyba wszystko. Proszę się starać przede wszystkim o to, by nie znaleźć się tutaj razem z nami, jest jeszcze sporo do zrobienia na zewnątrz. Często myślę o was wszystkich. Dziękuję za wszystko, co pan zrobił i proszę działać dalej. Do zobaczenia. Cheerio! [1]

PS 30. 12. Ojciec Elsie przyznał się do przyjaciół, którym udzielił noclegu, ale nic nie powiedział o panu. Jeżeli chodzi o Elvire, to nie jest źle. Mała Elsie dobrze odpowiada. Podsuwamy jej, co mniej więcej powinna mówić.

RECYDYWISTA

— Okupacja niemiecka jest mi od dawna znana: kiedy wybuchła wojna 1914 roku miałem już siedemnaście lat, co mi pozwoliło walczyć z najeźdźcą, jak mogłem najlepiej. Zemścił się skazując mnie na dwadzieścia jeden miesięcy niewoli. Miałem już trening, kiedy ponieśliśmy klęskę w 1940 roku. Tym razem taryfa była surowsza: spędziłem trzydzieści siedem miesięcy w więzieniu i w obozach — mówi Henri Michelli. — Podobne przyczyny powodują podobne skutki. Akcja przeciwko wrogowi w 1940 roku przejawiała się w takiej samej formie, jak podczas wielkiej wojny: pomoc dla alianckich żołnierzy pozostających na naszej ziemi, pomoc dla zbiegów, alianckich jeńców wojennych, wywiad o woj-

[1] *Cheerio!* — Odwagi!

skach okupacyjnych, sabotaże i tajna prasa. Belgowie byli już dotarci, jeśli można tak powiedzieć. Znaczny rozwój sił powietrznych, w których służyłem jako wojskowy, i natężenie walk partyzanckich dopomogły znacznie liniom ewakuującym alianckich lotników zestrzelonych nad Belgią i Holandią, a także tak zwanym *maquis* [1].

Począwszy od września 1940 roku mój przyjaciel Louis Berinx, który przybrał nazwisko Pierre Paepens, współpracował ze mną niosąc pomoc dwudziestu dwom oficerom i żołnierzom brytyjskiego korpusu ekspedycyjnego, którzy ukrywali się w pobliżu Uccle. Potrzeba im było żywności, cywilnych ubrań, a także i pieniędzy dla przygotowania ewakuacji. Ten sam problem pojawił się w jeszcze trudniejszej formie, kiedy chodziło o ciężko rannych Anglików ukrywanych i pielęgnowanych przez mieszkańców rejonu Enghien. Stan tych rannych uniemożliwiał ewakuację, lecz trzeba było im zapewnić wyżywienie i odzież cywilną, a ludzie, u których mieszkali, żyli często w skromnych warunkach i nie mieli z czego utrzymywać gości. Louis Berinx i ja pomagaliśmy im dzięki hojności takich przyjaciół, jak Maertens de Noordhoot, Georges i Paul Henrijean oraz kapitan Meersch. Zarządzanie zebranymi funduszami zostało powierzone burmistrzowi miasteczka Enghien, nazwiskiem Pierre Delannoy. Na nieszczęście ciągłe rewizje dokonywane przez Niemców doprowadziły do rozproszenia się albo aresztowania naszych podopiecznych, tak że nie potrafiliśmy odszukać ich śladów.

Świadczenia pieniężne rodziny Henrijean na tym się nie kończyły. Dzięki pomocy finansowej ich kolegi (Julien Praet) i mojej w miarę możliwości, postaraliśmy się o wydawanie tajnego pisma „La Libre Belgique". Nasz mały syndykat przelewał co miesiąc na ręce Marcela Allaerta pieniężny wkład na cele akcji podziemnej. Z drugiej strony Julien Praet z pomocą mojego syna Jeana przesyłał w zamkniętych kopertach numery naszego dziennika kilku setkom przyjaciół i znajomych, a także ludziom, których adresy znajdowały się w książce telefonicznej. Ja rozprowadzałem gazetę w swoim sektorze. Praet i Allaert brali udział w mojej pracy wywiadowczej. Obu ich aresztowano za pomoc niesioną wydawnictwu „La Libre Belgique" i skazano — jednego na dwa, a drugiego na trzy lata ciężkich robót.

Oczywiście, że rozprzestrzenialiśmy także inne tajne pisma, a zwłaszcza „La Voix des Belges", i przyczynialiśmy się do wydawania ulotek i broszur dementujących kłamstwa propagandy niemieckiej. Ale wróćmy do tematu, który pana szczególnie interesuje.

---

[1] *maquis* — dosłownie zarośla, oznaczano tym mianem partyzantów, chroniących się w lasach.

Wielu belgijskich oficerów pragnęło podjąć na nowo walkę orężną przeciw Niemcom. Spośród wszystkich lotnicy byli najcenniejsi w chwili obecnej wobec wysiłków brytyjskich działań wojennych. W lutym 1941 roku dzięki siatce ewakuacyjnej, z którą nawiązałem kontakt, brałem udział w wyprawie do Montpellier, był to pierwszy etap długiej drogi do Anglii następujących oficerów: podporuczników armii powietrznej Alberta Drossart i Marcela Vandael oraz adiutanta Luciana Claert. Wszyscy trzej chcieli wejść w skład *Royal Air Force*. Kiedy przyjechali do Montpellier, tylko Drossart i Claert ruszyli w dalszą drogę, natomiast Drugi Wydział z Vichy zatrzymał Marcela Vandael, powierzając mu zastępstwo za szefa wywiadu, porucznika Lejeune, którego Niemcy aresztowali i rozstrzelali.

Marcel Vandael powrócił więc do Belgii i zrobił ze mnie swojego pomocnika, przez co musiałem pozostawić na uboczu wszelką inną działalność, a zająć się prawie całkowicie zbieraniem informacji wojskowych. W sierpniu 1941 roku mój szef wywinął się w samą porę od aresztowania i musiał się ukrywać. Znalazł schronienie u rodziców Alberta Drossart.

Opowiedział pan już wcześniej, jak Frédéric de Jongh odwiedził mnie prosząc o pomoc finansową dla Siatki prowadzonej przez godną podziwu jego córkę Andrée, a ja natomiast prosiłem o przewożenie poczty wywiadu. Było to na początku listopada 1941, kiedy musiałem zapewnić przerzut do Anglii mojemu szefowi, po którym przejąłem zastępstwo. Wizyta pana de Jongh okazała się opatrznościowa. Wziął pod swoją opiekę Marcela Vandael z wielką ochotą, by go przekazać Siatce. Ja wtedy wszedłem dodatkowo do grupy wywiadowczej Raymond.

Tymczasem Maertens de Noordhout zaproponował mi spotkanie u siebie z belgijskim oficerem, który przybył z Londynu samolotem i dokonał lądowania, co było bez wątpienia pierwszym tego rodzaju wyczynem w Belgii. Ów oficer miał mi wyjaśnić, w jaki sposób mam się stać użyteczny dla *War Office*, brytyjskiego Ministerstwa Wojny. Poszedłem tam razem z Marcelem Vandael, który wyszedł z ukrycia korzystając z ciemności i ku swojemu zdziwieniu rozpoznał w tym oficerze starego przyjaciela, kapitana Jeana Cassart. Kapitan polecił mi zbadać możliwości wysadzenia w powietrze zakładów *Société Anonyme Belge de Constructions Aëronautiques SABCA*, mieszczących się przy szosie prowadzącej do Louvain. O ile sobie przypominam, zakłady te produkowały tylną część kadłuba do samolotu „Dornier 17". Dzięki pani Claert, żonie lotnika, którego przekazałem do Hiszpanii, a on zasilił swoją osobą *Royal Air Force*, nawiązałem kontakt z Emilem Loppe, dawnym szefem

produkcji *SABCA*, zwolnionym z powodu „niekolaboracji". Pomimo tego że się znalazł w trudnej sytuacji finansowej, ten patriota odmówił współpracy z Niemcami. Znał prawie wszystkich robotników-specjalistów z zakładów, wybrał spośród nich tych, którzy mogli nam pomóc, i mieliśmy już przejść do akcji, kiedy dnia 12 grudnia 1941 roku kapitan Cassart został aresztowany w Brukseli w chwili odlotu do Anglii, co miało miejsce na terenie położonym w pobliżu Neufchâteau. Niewątpliwie ktoś go zdradził.

Tymczasem Marcel Vandael odjechał, uwożąc ze sobą informacje przekazane przez Cassarta. Przeszedł przez Pireneje konwojowany przez Andrée i po krótkim pobycie w Bilbao w tym samym miesiącu, w grudniu 1941, znalazł się w Gibraltarze. W miesiąc później był już w Anglii, walczył wspaniale w mundurze *Royal Air Force* wraz z przyjaciółmi Drossartem i Claertem.

Zanim odjechał, wszyłem pod podszewkę jego marynarki informację przeznaczoną dla *War Office*. Ta wiadomość składała się z jednego zdania oraz trzech wyrazów. Całość byłaby niezrozumiała dla znalazcy w przypadku aresztowania Vandaela, bez dodatkowego ustnego komentarza. Miał przekazać wywiadowi angielskiemu, który chciał zrzucać w Belgii na spadochronach swoich agentów, zdanie: „Miche oczekuje wizyty". Rozgłośnia *B.B.C.* miała mnie uprzedzić o zrzucie tym właśnie zdaniem. Spadochroniarze po wylądowaniu mieli się do mnie zgłosić, i powiedzieć zdanie z trzema słowami: „Michelli-Marcel-Malaga". Na przykład: „Dzień dobry, panie Michelli! Przysyła mnie Marcel, któremu bardzo smakowała malaga".

W grudniu Hector Craps, mój kolega i pomocnik, przyniósł wiadomość, którą trzeba było przesłać do Londynu. Było to zawiadomienie o aresztowaniu Cassarta, z podpisem „Stevens" i jakąś liczbą — prawdopodobnie numerem immatrykulacji. Nie chciałem niczego przedsięwziąć, zanim nie skontaktuję się z owym „Stevensem". Okazało się, że nazywa się Van Vrachten, jest oficerem policji i członkiem oddziału egzekucyjnego utworzonego przez Cassarta celem wyeliminowania zdrajców i siania postrachu w szeregach wehrmachtu. Natychmiast w zastępstwie za aresztowanego szefa przejąłem ten oddział i obiecałem poważne premie za uwolnienie nas od trzech osób pozostających na żołdzie *Geheime Feldpolizei*, które miały na sumieniu śmierć pokaźnej liczby belgijskich patriotów: byli to niejaki Desitter, znany jako „mężczyzna bez palca", jego przyjaciółka Flora Dings, okrutna agentka niemieckiego kontrwywiadu, jedyna kobieta, która zginęła w Belgii podczas egzekucji po wyzwoleniu, i niejaki Demetz. Oddział nie okazał się aktywny, chociaż Van Vrachten dysponował zapasem kurary, gwałtownej tru-

cizny przywiezionej z Anglii przez Cassarta. Desitter okazał się silniejszy od Van Vrachtena, który myślał, że go śledzi, a sam był przez niego śledzony.

Dzięki sędziemu Paulsenowi, którego potem zastrzelili Niemcy, nawiązałem łączność z Wywiadem Luc, w którym jednym z najbardziej aktywnych członków był Eugène Dumon. Leclerq, szef Wywiadu Luc musiał się ukrywać, a jego zastępców także poszukiwała *Geheime Feldpolizei.*

Jeszcze w tym samym grudniu 1941 roku założyłem oddział sabotażowy, zaopatrywany przez Wywiad Luc w środki wybuchowe. Składał się z pięciu wybitnych patriotów. W październiku 1942 roku zostali oni ujęci z bronią w ręku w Weillen, w okręgu Namur. W styczniu 1943 roku Niemcy rozstrzelali ich bez wyroku sądowego, razem z zakładnikami, którzy ponieśli śmierć w wyniku represji. Jeden z sabotażystów, dwudziestoletni Storck, był zamknięty przez kilka godzin w sąsiedniej obok mnie celi w Saint-Gilles. Dał przykład wspaniałej odwagi.

W styczniu 1942 roku starałem się o uwolnienie kapitana Cassarta z więzienia Saint-Gilles. Później sam w nim przebywałem. A potem nawiązałem kontakt ze Szwajcarką, panią Hallet, która znała niemiecką pielęgniarkę, pracującą w więzieniu, a ta z kolei miała dopomóc w przekupieniu kogoś z *Geheime Feldpolizei.* Niestety nie udało się nic załatwić. Co gorsza, *GFP* wpadła na ślad walizki kapitana Cassarta, znalazła w niej setki dokumentów wielkiej wagi, miały być przewiezione do Anglii. Agent *GFP,* który miał uwolnić kapitana za ogromną kwotę pięciuset tysięcy, a może nawet miliona franków, wycofał się ze sprawy. Na próżno czekałem na Cassarta w oznaczonym dniu na placu Rouppe. Moi ludzie z oddziału egzekucyjnego stali na czatach, aby udaremnić próbę zasadzki, ale nikt nie przyszedł.

W lutym 1942 roku zacząłem służyć pomocą Frédéricowi de Jongh. Oprócz tego prowadziłem dalej wywiad. Uzyskane wiadomości przekazywałem podwójną drogą: do Służby Luc i do Grupy Raymond, aby zmniejszyć ryzyko zaginięcia informacji.

Pani Caert, o której mówiłem przy okazji próby sabotażu w zakładach *SABCA,* stała się moją współpracowniczką w werbowaniu belgijskich lotników, pragnących zgłosić się jako ochotnicy do *Royal Air Force.* W lutym 1942 roku odjechało ich dziewięciu przez Hiszpanię.

Także w lutym tego samego roku samoloty angielskie zrzuciły na teren Belgii trzech radiooperatorów. Wszyscy trzej wpadli w ręce Niemców i zgodzili się dla nich pracować. Nadawali na swych aparatach fałszywe wiadomości umówionym szyfrem nie korzystając

z *security check* [1]. Trzej zdrajcy weszli w szeregi organizacji Ruchu Oporu, i jeden z nich, Dupont, zajął się moją osobą.

Jak dowiedzieliśmy się później ze śledztwa prowadzonego przez belgijski Urząd Bezpieczeństwa, Dupont wymieniał komunikaty radiowe z Londynem. W kwietniu otrzymał następującą wiadomość:

NAWIĄZAĆ KONTAKT Z HENRYKIEM MICHELLI Bruksela ulica de LA LOI 53 — POWIEDZ PRZYCHODZISZ PRZYSŁANY PRZEZ MARCELA Z ZAPYTANIEM CZY INTERESUJE SIĘ JESZCZE MALAGĄ I CZY MOŻE EWAKUOWAĆ PRZEZ VICHY DWÓCH ZAGROŻONYCH AGENTÓW.

Dupont, bez porozumienia się ze mną odpowiada na rozkaz Niemców: NAWIĄZAŁEM KONTAKT Z MICHELLIM — ZGADZA SIĘ EWAKUOWAĆ ZAGROŻONYCH AGENTÓW — PROSZĘ O DODATKOWE WSKAZANIA.

Londyn dał się złapać i podał nazwiska dwóch agentów: Guy Stinglambert i dr Lespagne. Obaj zostali aresztowani, skazani i ścięci w Berlinie.

GFP pozornie mną się nie interesowała i pozostawiła na razie w spokoju. Nie wiedząc o niczym — dalej pracowałem.

Nie słuchałem regularnie audycji *B.B.C.*, kiedy zjawił się u mnie mężczyzna, wygłaszając umówioną formułkę o Marcelu i maladze. Był to wysoki rudzielec, który od razu mnie uprzedził, abym się nie dziwił, jeżeli zobaczę go w towarzystwie ludzi, których nie lubię, bo tego wymaga nasza sprawa. Nie potrzeba mu było ani pieniędzy, ani fałszywych dokumentów. Chciał przesłać korespondencję do Francji. Nabrałem do niego zaufania i odesłałem do księdza Grandjean w Willerzie, tuż przy granicy, w okręgu Namur. Hasło brzmiało „Leopold". Proboszcz oprócz swej parafii w Willerzie obsługiwał parafię we Francji, po drugiej stronie granicy, a pocztę przenosił pod sutanną. Biedny ksiądz Grandjean został aresztowany i zmarł w więzieniu.

— Czy był to człowiek podesłany przez Niemców?

— Oczywiście, przyszedł z hasłem znanym w Londynie. Mój błąd polegał na tym, że nie powinienem był mu ufać, skoro nie usłyszałem wcześniej zapowiedzi B.B.C. dla mnie przeznaczonej.

— Czy to był Belg?

— Tak. Został skazany na śmierć po wyzwoleniu. Kiedy mnie

[1] *security check* (ang.) — kontrola zabezpieczająca. Jeżeli radiooperator nadawał depeszę pod dyktando wroga, który przechwycił stosowany szyfr, radiooperator był zobowiązany zawiadomić o tym Londyn, popełniając celowo błąd w tekście.

wtedy odwiedził, był marzec 1942 roku. Dopiero co aresztowano przywódców Grupy Raymond.

Przy końcu kwietnia 1942 roku usłyszałem wezwanie *B.B.C.*: „Miche może oczekiwać wizyty". W kilka dni później zgłosili się dwaj mężczyźni. Jednym z nich był radiooperator Mardaga, a drugi prosił o pomoc w wysłaniu korespondencji do Anglii.

W niedzielę 3 maja 1942 roku spotkałem się Jeanem Greindlem, zwanym później Nemo. Poprosiłem go o pomoc dla Siatki, gdyż Frédéric de Jongh wyjechał do Paryża, a obowiązki prowadzenia belgijskiego sektora za bardzo mnie obciążały. Przyjął propozycję bez najmniejszego wahania. Czułem, że Siatka będzie w dobrych rękach. Intuicja mnie nie zawiodła: w trzy dni później mnie ujęto, a Nemo mnie zastąpił, wykazując odwagę i bystrość nie mające sobie równych oraz wybitny zmysł organizacyjny.

Wie pan, co się stało 6 maja. Brichamart wyszedł, aż tu nagle dzwonek. Idę otworzyć. Niemiec z rewolwerem wciska nogę między drzwi i odpycha mnie gwałtownie w głąb przedpokoju. Zaskoczono mnie, trzech lotników angielskich i Charlie'ego Morelle.

W czasie kiedy znajomi jedli, położyłem w pokoju paczkę owiniętą w brązowy papier, gdzie była poczta Wywiadów: Beaver, Buur, Raymond, Mousquetaires i moja. Charlie miał zabrać paczkę do Anglii. Niemcy przede wszystkim rzucili się na paczkę: wewnątrz było dość, by nas wszystkich rozstrzelać.

Gdyby Brichamart, zaskoczony przez Niemców, nie podał mojego nazwiska, a byle jakie, któregoś z siedmiu lokatorów — może uniknęlibyśmy aresztowania.

Mieliśmy do czynienia z *Geheime Feldpolizei*, której przywódcy byli wszyscy zawodowymi policjantami, a podwładni — zbieraniną. Szefem kierującym akcją był Komisarz Brozan. W pewnym momencie kazał mi zdjąć okulary. Posłuchałem, nie rozumiejąc przyczyny tego rozkazu. Natychmiast wymierzył mi taki silny policzek, jakiego nigdy w życiu od nikogo nie dostałem.

Pozwolono nam zrobić małe zawiniątko z żywności i bielizny i wyruszyliśmy pod eskortą szesnastu czy siedemnastu policjantów. *GFP* nie miała najmniejszej trudności z rozpoznaniem, że Wywiad Beaver-A jest kontynuacją Beaver-M, prowadzonego przez Monami do czasu jego aresztowania. Nadajnik radiowy Marcela Thonusa miał na pokrywie walizki etykietkę „Plan Buur". A więc korespondencja „Buuru" też została rozszyfrowana. Ale Niemcy nie potrafili wykryć Wywiadów Raymond i Mousquetaires, chociaż złowrogi „Coco" starał się im pomagać, jak umiał najlepiej. Oświadczył mianowicie, że na interwencję Frédérica de Jongh z własnych zasobów wypłaciłem sumę pięćdziesięciu tysięcy franków na cele Wywiadu

Beaver-M, że nie chciałem zwierzyć się, jakie to informacje przesyłałem do Anglii, że opowiadałem, w jaki sposób sprawdzałem tożsamość radiooperatora Mardaga i tak dalej. „Coco" jest bezpośrednio odpowiedzialny za aresztowanie dziesiątków naszych kolegów.

Udało mi się osłonić Raymond, Mousquetaires oraz Kometę, zmyślając istnienie tajemniczego Alberta Legrand, głównego szefa, który kierował wszystkim z Montpellier, leżącego w wolnej strefie Francji.

Komisarz Brozan wściekał się:

„Ta historia nie ma sensu! Gdyby ten Albert Legrand istniał, złapalibyśmy go u pana!"

„O, przepraszam! Poszedł do fryzjera, bo przecież miał jechać do Francji."

„I co? Powróciłby zabrać korespondencję?"

„Ma się rozumieć. Ale narobiliście tyle hałasu na ulicy, że zorientował się. Sami jesteście sobie winni, że wam się wymknął."

Ta bajeczka nadała bieg dalszemu śledztwu, za każdym razem, kiedy mnie przesłuchiwano, widziałem na stole Niemca wielką ilość kopert z nazwiskiem Legrand. Nieszczęśni „Legrand", mieszkający w Brukseli, na pewno mieli zakłócenia w otrzymywaniu korespondencji. Oczywiście, że obciążyłem tego Legranda odpowiedzialnością za wszystko, a z siebie robiłem naiwnego, który dał się wciągnąć w aferę, której nie rozumiał.

W tym czasie przebywałem w Saint-Gilles. Cela moja znajdowała się w skrzydle E, sąsiadowałem z niemieckimi żołnierzami uwięzionymi za uchybienie dyscyplinie. Kiedy mnie zamknięto, byłem tak osłupiały po szoku, który spowodowała niesłychana nagłość wydarzeń, że siedziałem przez trzy dni na podłodze, w kącie celi, niezdolny ani pić, ani jeść, ani spać. Potem odbywały się przesłuchania, zawsze w lokalu *Geheime Feldpolizei*.

Po południu dziewiątego maja, kiedy wróciłem z ulicy Traversière, zmieniłem celę. Kazano mi zejść na parter, tam stał już długi szereg więźniów. Zauważyłem Brichamarta, stanąłem za nim. Zamknięto go w celi 492, a mnie w 491. Dzięki temu mogłem z nim nawiązać łączność, uderzając w rury centralnego ogrzewania.

Aż do czerwca 1943 roku (przeszło rok) trwały przesłuchania.

Pewnego ranka przy ulicy Traversière był tylko sekretarz komisarza Brozana.

„Czy pan wie — powiedział — że nie bardzo wierzą w tę sprawę Legranda. To jest historyjka, wybieg. *Eine Aufschneiderei!*"

W południe, jak zwykle, prowadzą mnie do lokalu, w którym strażnicy ustawiają nosem przy ścianie i oddają się ulubionej za-

bawie kopania butami w tyłek. Po godzinie zjawił się feldfebel Mauhr. Kiedy zaprowadzono mnie do jego gabinetu, przystąpiłem od razu do ataku. Wiedziałem, że mogę powiedzieć to, co ujawniło małżeństwo Lizin, bo poinformował mnie o tym Brichamart pukaniem w rury.

„Zdaje mi się, że nie wierzycie w istnienie Legranda?"

„Nie, to był żart."

„Żart? A więc powiem wam coś, co może sprowadzić na mnie karę śmierci. W niedzielę 3 maja pewien pan zaprowadził dwóch angielskich lotników do państwa Lizin przy ulicy Victoire..."

Wyszedł i powrócił z oficerem śledczym Peterzanim.

Nigdy nie wysuwano sprawy lotników w czasie moich przesłuchań. Wiedząc od Brichamarta, co ujawnili Lizin, skierowałem *GFP* na fałszywy ślad.

„Co pan wie o niskim mężczyźnie, który fotografował lotników w ową środę?"

„To byłem ja."

„*Ach, so!* A kim był ten, kto przyprowadził lotników?"

Wiedziałem, że ten ktoś mówił obcym akcentem, a więc oświadczyłem:

„To był właśnie Legrand, ma południowy akcent!"

W *Geheime Feldpolizei* zakładano więźniowi ręce do tyłu, a na nich zamykano kajdanki. Kajdany były złączone łańcuchem. Przyciskali kolanem łańcuch, bijąc po plecach gumowymi pałkami, aby zmusić więźnia do zachowania wyprostowanej postawy. Wtedy miałem wrażenie, że nadgarstki łamią się, a ramiona wyskakują ze stawów. Jeszcze po tygodniu czułem ból.

1 sierpnia 1943 roku wyjechałem do Niemiec, co mi pozwoliło zapoznać się z Andrée de Jongh i Mikołajem Monami w pociągu, który nas uwoził daleko od kraju. Nie byłem sądzony. Zdaniem oficera śledczego sprawa była tak poufna, że żaden adwokat nie otrzymałby upoważnienia na zapoznanie się z aktami, to mi w pewnym stopniu pochlebiało. Te akta znajdowały się w Berlinie, czekając na decyzję kompetentnej władzy. Zawierały trzy wnioski o karę śmierci, a więc o dwa za dużo.

Przeszedłem przez więzienie w Essen, potem w Vechta i wreszcie dotarłem do Dachau, z etykietką NN, *Nacht und Nebel,* noc i mgła, jak mówili esesmani o skazanych na śmierć. Byłem zamknięty wśród pięciu setek towarzyszy, a cały obóz liczył ponad trzy tysiące osób. Dysponowaliśmy deską jednometrowej szerokości, spaliśmy na niej we czterech bez materaca, w pozycji „na waleta", kiedy jeden z czterech odczuwał potrzebę obrócenia się, trzej inni musieli robić to samo. Wreszcie rozchorowałem się poważnie i przenieśli mnie do

izby chorych. Błogosławiłem tę chwilę, bo dzieliłem deskę tylko z jednym więźniem, chorym na tyfus.

Byli tacy, którzy mnie odwiedzali i pytali:

„Jak myślisz, kiedy wojna się skończy?"

„1 maja" — mówiłem.

29 kwietnia 1945 roku wyzwolili nas Amerykanie. Omyliłem się tylko o czterdzieści osiem godzin w swoich przewidywaniach.

SŁOWO „KANTYNA" W GRYPSIE

Tego samego dnia, kiedy rozgrywał się dramat w fermie Urrugne, Nemo przyjmował u siebie dwóch młodych Belgów, poprzednio zapowiedzianych przez rozgłośnię *B.B.C.* Jeden z nich nazywał się Henri Decat, a jego pseudonim brzmiał „Ducastille".

— Londyn podziwia pana działalność — powiedział.

Nemo uśmiechnął się. Dwaj młodzieńcy przyjechali, aby mu doręczyć kwotę 500 000 franków belgijskich i nadajnik radiowy. To najlepiej świadczyło, jak wysoko oceniają wysiłki Siatki alianci po drugiej stronie kanału La Manche.

Trzeba sobie zdawać sprawę, że grypsy wysyłane na los szczęścia z więzienia, jak i docierające do niego, ukryte w paczkach, stanowią poważne ryzyko. W razie ich przejęcia przez wroga mogą spowodować klęskę. Wprawdzie posługiwano się tylko inicjałami i pseudonimami, ale wytrawny aparat śledczy potrafił je rozszyfrować. Tak się zdarzyło przez nieopatrzne słówko „kantyna" umieszczone w grypsie. Cienką kartkę papieru przyłapał strażnik i doręczył agentom *GFP*. Jeden z nich skojarzył je z Kantyną Szwedzką i przesłuchaniami lokatorów z alei Voltaire'a. Zainteresował się tym, że dyrektor Kantyny, Jean Greindl, zmienił miejsce zamieszkania i nie wiadomo, gdzie się znajduje. Zeszło się to w czasie z aresztowaniami przy alei Voltaire'a. Obowiązki Greindla pełnił jego zastępca Bidoul, były major armii belgijskiej.

W piątek 5 lutego 1943 roku ponownie wyciągnięto Elsie z celi i zawieziono na ulicę Charles Grenelle. Przesłuchiwano ją w sprawie Kantyny Szwedzkiej. Dziewczyna, nie chcąc zdradzić Nemo, trwała w zaciętym milczeniu, które zwiększyło jeszcze podejrzenia oficerów *GFP*. Widocznie ich odkrycie miało wielką wagę! Bili dziewczynę tak, że jej plecy stały się jedną raną, ale nie mogli z niej wydusić ani słowa.

„Nie chcesz mówić? — szydzili. — Wszystko jedno i tak wszystko

wiemy. Dyrektor Kantyny Szwedzkiej to ten, którego nazywacie Nemo. Zrobimy ci niespodziankę: zobaczysz go, bo jutro go aresztujemy."

Przez całą następną noc słychać było w więzieniu szlochanie dochodzące z celi, w której przebywała Elsie.

*

— Rano 6 lutego — opowiada ciąg dalszy pani Greindl — Jean przyszedł do nas jak zwykle. Wesoło gwizdał na schodach, zeszłam na dół z córeczką, by powiedzieć mu dzień dobry. Od pewnego czasu chodził do Kantyny, choć na krótko. Przypominam sobie, że mu radziłam, by za każdym razem upewniał się telefonicznie, czy mu nic nie grozi. Jak zwykle komendant Bidoul odpowiedział, że wszystko w porządku.

Idąc na ulicę Ducale spotkał swego znajomego Jeana Nausa. Jean Naus podał, co działo się później: „Nemo zaproponował mi, bym wstąpił razem z nim do Kantyny na pogawędkę. Z ochotą zgodziłem się, nie było to pierwszy raz.

Siedzieliśmy tam około dziesięciu minut, kiedy nagle otwarto drzwi i wtargnęło czterech uzbrojonych ludzi: «Tajna policja niemiecka! Nie ruszać się!»

Ten, który wyglądał na dowódcę, mały, czarny, o wypomadowanych włosach, złym wyrazie niebieskich oczu, okazywał dziką radość. Zawołał: «Mam ciebie, Nemo!»

I zaczęła się rewizja. Greindl miał przy sobie korespondencję przygotowaną dla Paryża. Pisał ją sam, ale drukowanymi literami. Śmiało jej się wyparł: «Nie jestem autorem tego listu».

Zabrano także Bidoula i Neybergha, obaj byli bladzi i przerażeni.

Około drugiej przewieziono nas na ulicę Charles Grenelle. Nastąpiła szczegółowa rewizja osobista i spisano nasze personalia".

*

— Po wyjściu męża — opowiada pani Greindl — byłyśmy we trzy w salonie: matka, ja i moja siostra Marguerite, której narzeczony przebywał w obozie jeńców wojennych. Słuchałyśmy audycji angielskiej.

Ustaliliśmy znak rozpoznawczy w przypadku obecności Niemców w domu: lewa żaluzja przy balkonie pierwszego piętra ma być opuszczona.

Nagle wpadła do pokoju służąca, podbiegła do aparatu radio-

wego i wyłączyła go. Za moment weszli trzej cywile w kapeluszach na głowach. Marguerite wybiegła z salonu. Dwaj mężczyźni pogonili za nią, ale ona była szybsza, wbiegła na pierwsze piętro, opuściła żaluzje i przeszła do sąsiedniego pokoju. Tam ją odnaleźli ścigający, zadyszani i rozwścieczeni: „Co pani tutaj robi?" „Chciałam złapać kota" — powiedziała. Bo mieliśmy syjamskiego kota, który korzystał z każdych otwartych drzwi, aby uciekać. Przytomność umysłu Marguerite wyprowadziła w pole Niemców, nie zwrócili uwagi na opuszczoną żaluzję. Przyprowadzili siostrę z powrotem do salonu.

Pomimo protestów piastunki, że nie powinni zabierać matki niemowlęciu, zawieziono mnie na ulicę Charles Grenelle. Pocieszałam się myślą, że nie dostaną mojego męża w swoje ręce, bo żaluzja jest opuszczona. Zaprowadzono mnie do pokoju, gdzie ktoś stał obrócony twarzą do ściany z rękami skutymi na plecach. Nagle otworzono drzwi do małego pomieszczenia, gdzie było pełno rozgorączkowanych Niemców. Tam był Jean, siedział na krześle niezmiernie blady. Jeden z Niemców mnie wezwał. Twarze jego towarzyszy były twarde, budzące niepokój, czułam się tak, jakbym się znalazła w jaskini zbójców.

Jean wstał, kiedy mnie zobaczył, i ujął za rękę. Ściskając ją mocno w swojej dłoni mrugnął nieznacznie okiem, potem puszczając moją rękę podniósł palec, jakby chciał go położyć na ustach, ale nie zrobił tego ze względu na obecnych. Zrozumiałam, że mam zachować milczenie i uspokoiłam go wzrokiem.

Spisano moje personalia z wieloma szczegółami i odprowadzono do sąsiedniego pokoju, gdzie czekałam dobre pół godziny. Potem w drzwiach ukazał się Jean. Zanim go wyprowadzono, zdążyłam podać mu kilo cukru i koc zabrany z domu.

*

Relację z następnych godzin podaje Jean Naus.

— Jean był przygnębiony, ale opanowany. Tak jak każdy z nas robił w myśli bilans swoich spraw. Około szóstej godziny związano nas po dwóch, mnie z Greindlem, a Neybergha z Bidoulem, i przewieziono do Saint-Gilles. Przez całe popołudnie mogliśmy się porozumiewać najwyżej wzrokiem. Podczas transportu Greindl mi powiedział: „Masz szansę wyjść stąd. Uprzedź Henrijeana i Roberts-Jonesa".

Potem nas rozdzielono i przeżyłem dwie godziny w celi sam w ciemności. Tylko dwie godziny, bo znowu nas wyprowadzono. Kajdanki, auto, groźby i ponownie znaleźliśmy się przy ulicy Charles

Grenelle. Każdego z nas przesłuchiwano osobno. Potem jeszcze raz skuto mnie razem z Greindlem. Chciałem go podtrzymać, ale szedł wyprostowany. Podałem mu chusteczkę do nosa.

Powrót — ale dokąd? Przejechaliśmy przed urzędem gestapo. Ale nie. Wróciliśmy do Saint-Gilles. Była godzina czwarta trzydzieści rano, kiedy nas rozdzielono.

Nazajutrz rano spotkałem się z Greindlem w kancelarii więziennej. Twarz miał spuchniętą i nabrzmiałą. Kiedy sekretarz go zapytał: „O co jest pan oskarżony?" Odpowiedział tonem doskonale obojętnym: „O rozmaite rzeczy".

Bidoul też tam był, całkiem znękany, a Neybergh wyglądał jak osaczone zwierzę. Nikt z nas nie przemówił słowa. Więcej już Nemo nie widziałem.

FORT DU HA I MAISON BLANCHE

— Z Villa „Chagrin" odesłano mnie do Fortu Hâ — opowiada Andrée de Jongh.

Ta nazwa obudziła we mnie ponure wspomnienie. Koledzy z Siatki *Confrérie Notre-Dame* opowiadali o tym więzieniu, jakie było ohydne, woda sączyła się ze ścian, a sienniki roiły się od robactwa. Andrée, zawsze powściągliwa w języku, wybuchnęła:

— Było tam obrzydliwie! Nawet bieżącej wody nie było w ubikacjach! Prawdziwe świństwo! W naszej celi przebywało czterdzieści kobiet zatrzymanych z najrozmaitszych powodów, niektóre z nich były ciężko chore. Znalazłam miejsce do spania tylko na sienniku gruźliczki w ostatnim stadium, której inne unikały. Rano byłam całkiem mokra od jej potu.

Andrée przypuszczała, że przeniesienie do Fortu Hâ w Bordeaux jest pośrednim etapem, zanim ją przewiozą do Paryża. Ale tak nie było.

— Widocznie był bałagan w niemieckich urzędach, gdyż odesłano mnie z powrotem na Południe bez żadnego przesłuchania. Nie wróciłam do Villa „Chagrin", zawarłam znajomość z „Maison Blanche" w Biarritz. Była to duża willa zarekwirowana przez Niemców, zamienili ją w więzienie. Tam życie było trochę znośniejsze, tym bardziej że dostałam pokój tylko dla siebie. Codziennie mogłam wyjść na podwórze na krótki spacer.

— Akurat naprzeciwko nowego miejsca pobytu Andrée mieszkał przyjaciel pana Dassié — powiedziała pani de Greef. — Zaj-

mował mieszkanie na drugim piętrze. Za pomocą lusterka kierowaliśmy promień słońca w jej okno i udało się nam przyciągnąć uwagę Dédée. Zaczęliśmy także przesyłać jej grypsy przez ową damę z Czerwonego Krzyża, o której wcześniej była mowa. Jean Dassié mnożył starania i wysiłki, aby uwolnić Dédée od prześladowania Niemców. Niestety otrzymaliśmy od niej wiadomość: „Dzieci powiedzą wszystko, co wiedzą".

Wtedy Frédéric de Jongh zamiast przejść do Hiszpanii powrócił do Paryża. W merostwie Anglet starano się wyciągnąć z Niemców wieści dotyczące więźniów, wynikało z nich, że gestapo wkrótce przystąpi do nowych aresztowań. Mimo wszystko „B" starał się utrzymać akcję przerzutów. Musiano jedynie zmienić trasę, bo Niemcy na pewno ściśle nadzorowali Saint-Jean-de-Luz.

*

Dalszy ciąg opowieści o Dédée podaje pani Denise Houget. Z pochodzenia Belgijka, przebywała co roku z rodzicami w Biarritz ze względu na zdrowie swojego ojca. Kiedy wybuchła wojna, pozostali już na Południu.

— Cała fala nieszczęśliwych rodaków przepływała przez Biarritz. Ojciec mój zorganizował grupę pomocy dla więźniów cywilnych. Mówił bardzo dobrze po niemiecku, udało mu się otrzymać zezwolenie na odwiedzanie więzień — „Maison Blanche" i Villa „Chagrin" w Bayonne. Utrzymywał dobre stosunki z Niemcami z *Feldkommandantur*. Była to rola niewdzięczna, ale konieczna. Udało mu się uwolnić kilka osób.

W drugiej połowie stycznia 1943 roku wszedł do naszej kuchni młody człowiek, biednie odziany, okazujący wielką nerwowość i pragnął widzieć się z moim ojcem. Miał do niego osobistą pilną sprawę.

„Przychodzę z Hiszpanii — powiedział. — Ambasador Anglii prosi, aby pan natychmiast wszczął starania o uwolnienie młodej Belgijki, którą zatrzymała niemiecka policja podczas konwojowania alianckich pilotów na drugą stronę granicy."

Pierwszą reakcją mojego ojca była nieufność, gdyż Niemcy stale posługiwali się prowokatorami.

„Nie rozumiem o co chodzi — powiedział. — Nie znam nikogo z ambasady Wielkiej Brytanii w Madrycie."

„Nazywam się Jean François Nothomb i mam hasło dla pana."

„Jakie hasło?"

„Psy Pomposy miewają się znacznie lepiej."

Wtedy ojciec podał rękę Franco, bo to był on. „Pomposa" czyli

„wspaniała" to był pseudonim pewnej damy hiszpańskiej, która miała znajomości w angielskiej ambasadzie.

„O kogo chodzi?"

„O Andrée de Jongh. Błagam, proszę jej dopomóc!"

Starania ojca nie dały rezultatu. Andrée znajdowała się w izolatce i miała być przewieziona do Paryża. Tyle tylko, że udało się nam podać jej sporą paczkę żywności na drogę.

RĘKAWICZKI

— Otrzymałem informację, że policja była w Szwedzkiej Kantynie, lecz nie wiedziałem, że brat mój został aresztowany — powiedział Albert Greindl.

Jednak przede wszystkim pobiegłem na plac Blyckaerts do sekretnego mieszkania brata, by stwierdzić, czy wszystko w porządku i zabrać dokumenty, jakie mogły tam się znajdować. Przypomniałem sobie, że niedawno brat otrzymał podziękowanie z Londynu i gratulacje nie szyfrowane, a umieszczone na małej błonie fotograficznej. Pamiętałem, że była ukryta w wydrążonej świecy. — Albert uśmiechnął się, jakby sobie przypominał psikusa zrobionego Niemcom. — Nie znalazłem tej błony. Schodząc z piętra zatrzymałem się na chwilę przy dozorcy: „Kiedy przyjdzie mój brat, proszę mu przekazać, żeby stąd się nie ruszał, bo może mieć przykrości" — powiedziałem.

W tej samej chwili zadźwięczał dzwonek u drzwi wejściowych. Dozorca poszedł otworzyć, a ja spostrzegłem trzech czy czterech cywilów, których wygląd niezbyt mi się podobał. Wyszedłem torując sobie drogę między nimi parasolem i wsiadłem do taksówki, która na mnie czekała przed domem. Kiedy zakręcaliśmy za róg placu, zobaczyłem w lusterku auta, że mężczyźni wypadli z budynku jak bomby i wymachiwali w naszym kierunku. Kierowca dostrzegł to i zapytał, czy ma się zatrzymać. „Nie, nie — zawołałem — proszę jechać!"

— Dopiero wtedy pan zrozumiał, że spotkał się z niemiecką policją?

— Właśnie.

— Myślałem, że od razu, kiedy pan wychodził...

— Bynajmniej. Gęby tych-jakichś-tam nie wydały mi się przyjemne, ale nic poza tym. Zresztą miałem tyle kłopotów na głowie, musiałem uprzedzić tych wszystkich, którym groziła klęska w związ-

ku ze Szwedzką Kantyną. Na nieszczęście nie potrafiłem spotkać się z Erikiem de Menten, zwanym „Pierre". Nazajutrz, 7 lutego, była to niedziela, siedział on przez dłuższy czas w kawiarni naprzeciwko mieszkania Nemo przy placu Blyckaerts. Potem już nie wytrzymał i zadzwonił do bramy. Otworzono mu bardzo chętnie.

*

Policjanci byli wściekli, że wypuścili Alberta Greindla i trochę poturbowali dozorcę. Jeden tajniak pozostał w loży portiera. Nazajutrz zadzwonił telefon. Niemiec kazał dozorcy podnieść słuchawkę, dodając: „Jeżeli to do Greindla, proszę powiedzieć, że można przyjść bez obawy".

Zastraszony dozorca usłuchał. Poznał po głosie tego pana, był to Eric de Menten.

„Halo — pytał «Pierre» — czy wszystko w porządku?"

Niemiec wyjął rewolwer z kieszeni i skierował go na dozorcę.

„Tak proszę pana. Może pan przyjść bez obawy." Wystarczyło tylko przejść przez plac. W kilka chwil później już go ujęto.

*

— Nie na tym koniec — opowiadał dalej Albert Greindl. — Yvette Guillemin, która zastępowała Peggy, też wpadła w ręce Niemców. Przez całe dwa tygodnie była zbroczona krwią, tak ją bili przy przesłuchaniach. Aresztowano także panią Warnon, pseudonim „Constance" i panią Paulissen zwaną „Louise". U nich mieszkało dwudziestu pięciu lotników.

Dowiedzieliśmy się, że teczka personalna mojego brata u Niemców nosiła kryptonim: „Ostatni Mohikanin".

W tę fatalną sobotę 6 lutego 1943 roku pani Studmeyer, pracująca ochotniczo w Szwedzkiej Kantynie przy rozdzielaniu ciepłej odzieży dla dzieci, była świadkiem aresztowania mojego brata. Zanim go wyprowadzono, powiedział półgłosem: „Proszę wziąć moje rękawiczki".

Zwróciła mi rękawiczki ze świńskiej skóry, w których coś znalazłem. Wewnątrz jednego palca był mały kawałek papieru, a na nim nazwiska wypisane mikroskopijnym pismem. Dzięki tej liście wiedziałem, kogo należy ostrzec.

— W jakim pan był wtedy wieku? — zapytałem.

— Miałem dwadzieścia dziewięć lat. Byłem młody, ale już żonaty.

ALBERT GREINDL WŁĄCZA SIĘ W AKCJĘ

24 stycznia Franco przeszedł do Hiszpanii, przeprowadzony przez Florentina. Tam spotkał się z „Timothym". Anglik bardzo się przejął ciosem, który spadł na Siatkę, a szczególnie aresztowaniem Andrée de Jongh, którą darzył podziwem i sympatią.

„Może roztropność każe zrezygnować na razie z usług waszego przewodnika — powiedział do Franco. — Można przypuszczać, że gestapo szuka go energicznie i śledzi punkt graniczny".

Franco po naradzie z Ciotką Go postanowił na jakiś czas zaniechać przejść przez Saint-Jean-de-Luz i Renteria i poszukał innej trasy. Pojechał do Saint-Jean-Pied-de-Port i umówił się z innym przewodnikiem. Droga była długa, wiodła od Bidarry do Elizondo, miasteczka w Nawarze, lecz Franco był zadowolony. Bezzwłocznie powrócił do Paryża po nowe „dzieci". Tam u Paula spotkał Alberta Greindla i dowiedział się o katastrofie, jaka spadła na belgijski sektor Komety. Akurat tego dnia, kiedy prowadził pierwszy konwój z nowym przewodnikiem i nową trasą, aresztowano Nemo i jego współpracowników.

*

W połowie lutego 1943 roku Franco poprowadził nowy konwój składający się z trzech lotników, Alberta Greindla i „B", którego obecność w Anglet zagrażała bezpieczeństwu innych członków Siatki.

— Z dworca Saint-Jean-Pied-de-Port — opowiada Franco — szliśmy w kierunku granicy w całkowitej ciemności; była 11 godzina wieczór. Trzeba było kłaść rękę na ramieniu kolegi idącego przodem, aby nie zboczyć z drogi. Kamienie usuwające się spod naszych stóp toczyły się długo z niepokojącym hałasem, zanim legły na dnie przepaści. Zachowałem bardzo przykre wspomnienie z tej wyczerpującej wyprawy, odbywającej się w absolutnych ciemnościach. W ślad za dwoma przewodnikami szliśmy pod górę, schodziliśmy, pięliśmy się do góry i znowu schodziliśmy po niezliczonych zboczach, dopiero o godzinie szóstej trzydzieści rano znaleźliśmy się w jakiejś fermie, gdzie spędziliśmy cały dzień. O siódmej wieczór z jednym tylko przewodnikiem wyruszyliśmy z zamiarem posuwania się bitą drogą. W pobliżu Elizondo zatrzymaliśmy się w fermie, tam przebrałem się w czyste ubranie i nowy beret baskijski. Greindl i trzej lotnicy pozostali na miejscu, ja wraz z „B" i przewodnikiem

wyruszyliśmy do miasteczka. Nie można było skorzystać z pociągu i dojechać do San Sebastián, gdyż linia kolejowa wiodła częściowo wzdłuż Bidassoa, a nad rzeką częste były kontrole. Udało mi się połączyć telefonicznie z Santiago i dać mu do zrozumienia, że jesteśmy w trudnej sytuacji. Po niedługim czasie Santiago przyjechał taksówką z jakimś kierowcą grubasem. Kiedy wyjaśnialiśmy swoje kłopoty, powiedział: „Taksówka ich zabierze. Idźcie i przyprowadźcie ich z fermy".

Ferma leżała niedaleko od głównej drogi prowadzącej ku granicy. Ale między fermą a drogą znajdował się most, którego często pilnowali karabinierzy. Zostawiłem „B" w pewnej odległości za mostem, żeby miał na oku najbliższą okolicę, a sam poszedłem po Greindla i lotników. Wszyscy czterej byli brudni i w pomiętej odzieży, z warstwą błota na butach. Zanim wyruszyliśmy z fermy, już noc zapadła. Na wszelki wypadek powiedziałem kierowcy: „Gdyby zaszły jakieś trudności, powiem, że spotkałem pana przypadkiem na drodze i poprosiłem o zabranie nas. Proszę mówić to samo we własnym interesie".

Reflektory taksówki oświetliły „B", który mimo baskijskiego beretu miał typowo brytyjskie plecy. Ze względu na to, że taksówka była nadmiernie obciążona, Greindl wysiadł na szosę i poszedł pieszo razem z „B". Umówiliśmy się, że się spotkamy w oberży, gdzie czekał Santiago. Zaledwie przejechaliśmy sto metrów, kiedy zatrzymali nas na moście dwaj karabinierzy [1]. Miałem przy sobie trzy sfałszowane hiszpańskie dowody osobiste...

Zaprowadzono nas na posterunek, kierowcę, lotników i mnie. Tam nas przesłuchiwano, na początku mnie, ponieważ miałem podejrzanie nowe ubranie. Mówiłem dość dobrze po hiszpańsku, ale bardzo źle po angielsku. Podałem się za lotnika z Kanady, zestrzelonego w Belgii. Oczywiście, że kierowca natychmiast stracił grunt pod nogami. Po czym zaprowadzono mnie do oberży, w celu konfrontacji z Santiago, gdyż kierowca na niego zrzucił odpowiedzialność za całą sprawę.

— Kiedy zbliżyliśmy się do oberży — mówił Albert Greindl — zauważyliśmy charakterystyczne sylwetki dwóch żandarmów. Wewnątrz było wiele osób, był tam wielki zgiełk i hałas, to nas naprowadziło na myśl, że naszych przyjaciół spotkało niepowodzenie.

Franco nam poprzednio poradził, że w razie jakiegoś pokrzyżowania planów, powinniśmy pójść do pobliskiego klasztoru, znał

[1] żołnierze przydzieleni policji drogowej, tzw. *Guardia civil*, czyli żandarmeria hiszpańska (przyp. autora)

tam jednego mnicha. Doszliśmy do tego miejsca w ulewnym deszczu. Mnich wpuścił nas ociekających wodą i zaprowadził na strych pokryty sianem. Zapowiedział, że przyjdzie po nas wtedy, kiedy nadejdzie odpowiedni czas. Przyszedł dopiero nazajutrz po południu i przyniósł ciepłe, świeżo wydojone mleko krowie czy kozie. Czuję wstręt do takiego mleka, ale tym razem wypiłem wszystko. Potem zakonnik wskazał nam drogę na dworzec. Wsiedliśmy do wlokącego się powoli pociągu w kierunku Irun i San Sebastián. O dziewiątej trzydzieści wieczorem byliśmy na miejscu. Mieliśmy adres kwatery, przyjęto nas bardzo gościnnie, a nazajutrz odwiedziliśmy wicekonsula Wielkiej Brytanii i pewnego *caballero*, który jakkolwiek Hiszpan z pochodzenia, pełnił obowiązki konsula generalnego Belgii. Przyjęli nas obaj z wielką uprzejmością.

Franco, odprowadzony na posterunek żandarmerii w Elizondo, został poddany szczegółowej rewizji. Dzięki temu, że według zwyczaju Nemo ukrył tajne papiery w palcach rękawiczek, nie znaleziono ich.

— Udało mi się je zjeść — opowiadał Franco. — Bardzo się bałem, by mnie nie odesłano z powrotem do Francji. Poczułem się zatem szczęśliwy, kiedy dowiedziałem się nazajutrz, że umieszczą nas w pobliskim więzieniu w Pamplona. Zawiozła tam nas nasza taksówka. Jeden z lotników dzięki stopniowi porucznika otrzymał osobny pokój w hotelu, tam go zamknięto, a mnie i dwóch pozostałych lotników wciśnięto do pojedynczej celi, w której było już pół tuzina innych więźniów. Więzienie było wypełnione po brzegi: co najmniej pięciuset ludzi tam wtłoczono. Ale muszę przyznać, że traktowano nas dobrze.

Jak wszystkie więzienia hiszpańskie, tak i owo w Pamplona nazywa się *carcel modelo* czyli wzorowe więzienie. Wszyscy jednak, którzy w tych więzieniach przebywali, nie umieją inaczej sobie przypomnieć tego komfortu, jak drapiąc się odruchowo. Więzienie w Pamplona było przeładowane Francuzami; byli wśród nich piloci, pałający chęcią walczenia w Afryce Północnej. Kiedy dowiedzieli się, że przybył kanadyjski lotnik, zamęczali Franco technicznymi pytaniami z zakresu bombardowania i nowych typów samolotów. Niezdolny im podać najmniejszego szczegółu, a równocześnie obawiając się, by żandarmeria hiszpańska nie wykryła jego oszustwa, Franco zaciął się w milczeniu. To z kolei wywołało nieufność towarzyszy. Odzyskał ich szacunek dopiero po kilku dniach, kiedy zaalarmowany przez „B" konsul Wielkiej Brytanii w Bilbao przyjechał osobiście do Franco i zabrał go wraz z towarzyszami autem korpusu dyplomatycznego. Po dwunastu dniach pobytu w więzieniu wyszli z niego ostrzyżeni na podwójne zero.

— Wieczorem byliśmy w Madrycie, Franco i ja, gościliśmy u „Timothy'ego" — opowiadał Albert Greindl. — Czwartego marca opuściłem stolicę Hiszpanii wraz z trzema lotnikami. W naszym przedziale znajdowali się trzej Francuzi: sławnego nazwiska Louis-Eugène Mangin, Roland Pré i Emile Lafon. W La Linea czekał autokar, po godzinie byliśmy w Gibraltarze. Nazajutrz holownik zawiózł nas na pokład wielkiego statku noszącego nazwę „Atlantic Castle". Trzej Francuzi dzielili ze mną kabinę.

Konwój składał się z piętnastu okrętów i potrzebował aż dziewięciu dni na dojazd do Liverpoolu po okrążeniu Irlandii przy bardzo złej pogodzie. W Londynie rozpocząłem ćwiczenia, które były bardzo przyjemne, aż do momentu, kiedy mój trening spadochroniarza zakończył się założeniem gorsetu z gipsu na cały tułów. Nazwano mnie „Busc" czyli „Fiszbin" wśród tłumu prosty byłem jak litera I, a wygląd miałem majestatyczny.

7 lutego 1944 roku wyruszyłem z powrotem do Gibraltaru hydroplanem, wyprzedzając o trzy dni Charles'a de Hepcée, oficera lotnika bardzo wysokiej klasy, który współpracował poprzednio z Williamen Ugeux w Wywiadzie Zero i któremu powierzono zorganizowanie siatki ewakuacyjnej z Belgii do Anglii w celu sprowadzenia do Londynu różnych ważnych osobistości niezbędnych dla administrowania krajem, kiedy zostanie wyzwolony.

Z Gibraltaru przewieziono mnie do Madrytu, gdzie czekałem cały miesiąc na wiadomości od mego szefa i przyjaciela. W końcu spotkałem się z Hepcée w Barcelonie, uważał on, że dysponuje sześcioma różnymi punktami przejść przez Pireneje, tak informowano go w Londynie. Niestety, kiedy to sprawdziliśmy, okazało się, że z żadnego z nich nie można bez obawy skorzystać. „Zaczekaj na mnie — powiedział. — Pójdę jako pierwszy, kiedy znajdę się w Tuluzie, przyślę ci wiadomość, abyś posłużył się tą samą drogą."

Spiesząc się na spotkanie z kolegą, chciałem „lecieć na własnych skrzydłach". Urząd Bezpieczeństwa w Barcelonie oddał mnie w ręce pewnego celnika, a ten przedstawił mi przemytnika, któremu dobrze szły interesy. Przewodnik zaprowadził mnie do kawiarni, usadowił przy stole jasno oświetlonym. Bywalcy kawiarni przypatrywali mi się wszyscy po kolei. Wydało mi się to dziwne, ale zganiłem sam siebie, że widzę niebezpieczeństwo tam, gdzie go nie ma.

Po tej sjeście wyruszyliśmy ku granicy, gdzie ktoś miał po mnie przyjść. Przewodnik poprowadził mnie pod latarnię, gdzie stali jacyś ludzie udający, że patrzą gdzie indziej. Powiedziałem sobie: „Masz stracha, przyznaj się!"

Wreszcie znalazłem się w obecności Francuza, który miał mnie przeprowadzić na drugą stronę. Wyciągnąłem do niego rękę mówiąc: „Jestem pełen podziwu dla pana, ryzykuje pan życie w mojej sprawie". Tamten zawahał się z podaniem mi ręki, więc pomyślałem, że jest to człowiek skromny. Wyruszyliśmy, a po chwili marszu on powiedział: „Proszę tutaj zaczekać. Droga jest kręta, zobaczę, czy jest wolna".

Posłusznie czekałem w tym nieznanym miejscu, a ciemno było jak w piekle. Nagle rozbłysły reflektory, psy zaczęły szczekać i doznałem bardzo niemiłego uczucia, że znalazłem się w pułapce. W końcu wszystko dla mnie dobrze się skończyło, ponieważ siedzę dzisiaj przy panu. Nie było tak z biednym Charles'em de Hepcée. Torturujący go niczego nie zaniedbali, żeby go zmusić do mówienia, ale nie potrafili naruszyć jego milczenia. W dwa dni później został rozstrzelany. W czasie jednej z ostatnich promocji nasza Szkoła Wojskowa uczciła jego nazwisko i zapewniam pana, że słusznie.

GUBERNATOR GIBRALTARU

„Timothy" myślał, że byłoby dobrze wykorzystać pobyt Franco w Hiszpanii na spotkanie z oficerem sekcji MI9, który zajmował się sprawami Siatki. Ponieważ kapitan Airey Neave nie mógł pojechać do Madrytu, Franco spotkał się z nim w Gibraltarze.

Następnego dnia zaprezentowano go gubernatorowi San Roque. Generał dywizji Sir Noel Mason-Mac Farlane przyjął go serdecznie. Podziękował z wylaniem za to, co Siatka już zrobiła dla sprawy aliantów, i za to, co zamierzała jeszcze zdziałać, i wstając zakończył:

— Proszę powiedzieć swoim kolegom, że pracujemy nad ich oswobodzeniem, które już jest niedalekie.

— Może pojechałby pan do Anglii odpocząć na jakiś czas? — podsunął myśl Airey Neave, kiedy wyszli od gubernatora.

— Dziękuję — odpowiedział Franco. — Jest za dużo do zrobienia na naszym terenie.

Airey Neave przez chwilę milczał, a potem powiedział:

— Mamy w Wielkiej Brytanii kogoś, kto bardzo mógłby panu dopomóc. Niestety na skutek trenowania skoków ze spadochronem uległ wypadkowi. Wkrótce będzie już zdrów, mam nadzieję, i „Timothy" nas zawiadomi o jego przybyciu do Hiszpanii.

Twarz Franco zasępiła się. Podobnie jak Andrée i Frédéric de Jongh obstawał mocno za niezależnością Siatki. Przeczuwał, że ten człowiek będzie miał za zadanie kontrolę funkcjonowania Siatki. „Jeżeli tak będzie — pomyślał — to wyślemy go z powrotem do Anglii". W czterdzieści osiem godzin później auto ambasadora przywiozło do Madrytu Jean-François Nothomba. Dzień później wracał potajemnie do Francji.

JACQUES CARTIER

O dalszych losach Komety w Belgii opowiada mi pani Marcelowa Waucquez, znana pod pseudonimem „Walcourt".

— Nie pytając o nasze zdanie, lotnicy spadali nam na głowę. Chcąc nie chcąc trzeba było ich przerzucać i w ten sposób nawiązałam łączność z Jeanem Greindlem. Nasze spotkanie — jeżeli można to tak nazwać, bo przyjmowała nas pani de Giey w dwóch różnych salonach ze względu na bezpieczeństwo — odbyło się tak, że nie widzieliśmy się wzajemnie. Kiedy lotnicy nie przestawali „spadać z nieba", te moje kontakty z Nemo stały się bardziej bezpośrednie.

Po dramacie na alei Voltaire'a, który rozegrał się kosztem życia Victora Michielsa, spotkałam dyrektora Szwedzkiej Kantyny na rogu ulicy Beillard. „Jean — powiedziałam — co pan tutaj robi? Jest pan spalony, należy wyjechać!"

Jeszcze słyszę jak odpowiada mi spokojnym głosem: „Komendant nie opuszcza swojego statku. Proszę znaleźć zastępcę, wtedy wyjadę".

Wkrótce potem odebrałam telefon od pewnego znajomego: „Nie czuję się dobrze, proszę do mnie przyjść zaraz". Zrozumiałam, co znaczy taka prośba. I nie pomyliłam się. Zastałam Alberta Greindla, który mnie powiadomił, że brat jego został aresztowany. W palcu rękawiczki pozostawionej w Kantynie była lista osób. Zrobiliśmy, co tylko można było, by przestrzec wymienionych w tym spisie.

Rano dwunastego lutego 1943 widziałam się po raz ostatni z Albertem Greindlem przed jego wyjazdem do Hiszpanii. Bardzo się martwił, że belgijski sektor Siatki pozostanie bez kierownictwa, ale ja już miałam pewną myśl. Pani d'Oultremont zwierzyła mi się, że marzeniem jej brata Antoniego d'Ursel jest zaciągnięcie się do *Royal Air Force*, lecz jego wiek i rany odniesione w pierw-

szej wojnie światowej sprawiły, że nie uwzględniono jego prośby. Pomyślałam, że zajmowanie się lotnikami da mu złudzenie, że służy w *RAF-ie*, nie wymieniając nazwiska, powiedziałam Albertowi, że znam kogoś, kto pracuje w wywiadzie i może zgodziłby się objąć dziedzictwo po jego bracie. Kiedy uzyskałam na to zgodę d'Ursela, zatelefonowałam do Alberta tuż przed jego odjazdem: „Znalazłam perłę — pokojówkę, dla pańskiej teściowej".

Tego samego dnia Teddy d'Oultremont i Antoine d'Ursel porozumieli się i odtąd Antoine objął kierownictwo Komety pod pseudonimem Jacques Cartier.

KŁOPOTLIWI AMERYKANIE

Dzięki pełnionym funkcjom w merostwie Anglet pan de Greef dowiedział się, że anonimowe doniesienia wpłynęły na niego i jego rodzinę w wyniku aresztowania Andrée de Jongh.

— Musieliśmy teraz działać ze zwiększoną ostrożnością — opowiadała pani de Greef. — Zamiast oczekiwać przyjazdu lotników na dworcu w Bayonne zaczęłam jeździć na ich spotkanie do Bordeaux. Często ze sobą zabierałam Janine.

Dwie konwojentki z Paryża przywoziły lotników, a my zabierałyśmy ich do restauracji uczęszczanych przez Niemców, bo tylko tam można było otrzymać dobry posiłek. Nakazywałyśmy, by byli ostrożni i otwierali usta tylko do jedzenia. Ale trudno było wszystko przewidzieć.

Pewnego dnia byłyśmy z czterema *boys* w restauracji, której właściciel był człowiekiem pewnym, ale nie można było tego powiedzieć o personelu. Konsumenci składali się po większej części z okupantów. Dla każdego z lotników zamówiłam po pięknym befsztyku, co było wtedy wielkim luksusem, i byłam oburzona, kiedy jeden z nich uważając, że mięso jest niedostatecznie wysmażone, wyciągnął swój talerz w kierunku kręcącego się po lokalu psa. Ten oczywiście nie dał się prosić i zżarł mięso. Miałam zamiar powiedzieć Amerykaninowi parę słów po wyjściu z restauracji, kiedy poprzez przegrodę, oddzielającą nas od niemieckich konsumentów, spostrzegłam oficera wehrmachtu, który obserwował tę scenę z zainteresowaniem i sympatią. Nagle zniknął z moich oczu i przeczuwałam, że ma zamiar przyjść porozmawiać z miłośnikiem zwierząt. Skoczyłam na równe nogi, dając nagły rozkaz wyjścia, co spotkało się z dezaprobatą kolegów grymaśnika. Pozostawili je-

dzenie na talerzach okazując zły humor, obawiałam się, że wdadzą się w niepożądaną dyskusję. Dopiero na ulicy, po odejściu na sporą odległość, pozwoliłam im na wymianę zdań z kolegą. Tego dnia pozostaliśmy głodni.

Odjechaliśmy z Bordeaux zwyczajnym pociągiem około trzeciej rano. Tego pociągu Niemcy nie kontrolowali, bo zatrzymywał się nawet na najmniejszych stacjach. Wysiedliśmy w Dax, gdzie w przechowalni czekały rowery. Trzeba było teraz przekonać *boys*, że są doświadczonymi sportowcami, dla których mała pięćdziesięciokilometrowa przejażdżka jest przyjemną rozrywką. Widok Janine, która wsiadała na rower jak chłopak, pobudzała ich miłość własną, ale tylko do pewnych granic, gdyż pozwalali bez żadnego wstydu, by popychała ich rowery na strome zbocza. Musieliśmy się trzymać dokładnie godziny ustalonej z naszymi przyjaciółmi, którzy nadzorowali drogę wjazdową do Bayonne, gdzie często zdarzały się zapory. Trzeba więc było zachęcać naszych lotników, a niekiedy nawet grozić pozostawieniem ich własnemu losowi, kiedy okazywali się za bardzo leniwi. Janine wtedy pełniła zawód trenerki.

Nasi *boys*, jeżeli byli Amerykanami, patrzyli na nas wzrokiem, jakim się obdarza obsługę turystyczną, która pod każdym względem powinna dbać o komfort klienta. Jeden z nich w czasie przerwy w podróży w Dax kategorycznie odmówił jazdy na rowerze oświadczając, że nigdy w życiu nie posługiwał się taką maszyną. W końcu jednak, choć z wyraźnym sprzeciwem, pozwolił się wsadzić na siodełko. Mogliśmy stwierdzić, że mówił prawdę: po dwóch obrotach kół rozciągnął się na nawierzchni drogi.

Po kilkunastu upadkach nauczył się utrzymywać równowagę na rowerze i zaczęliśmy przejazd przez miasto Dax, które wtedy służyło jako letnisko dla urlopowanych członków wehrmachtu. Była może ósma rano, kiedy jechaliśmy parami po jezdni, dość szerokiej, bynajmniej nie stromej. Wtem zobaczyłam dwóch niemieckich oficerów jadących na rowerach z przeciwnej strony. Jakby pod działaniem magnesu nasz początkujący kolarz wpadł na dwa mundury *feldgrau*, przewrócił ich, a sam upadł pośrodku między nimi. Już straciłam wszelką nadzieję, kiedy nagle Franco zeskoczył z roweru biegnąc ku miejscu klęski. Oficerowie podnosili się, rozgniewani, a wtedy Franco wyciągnął ze swojej torby pustą butelkę po winie, wskazując na Amerykanina oszołomionego upadkiem, siedzącego na ziemi. Niemcy wyrozumiale zaczęli się śmiać i jeszcze dopomogli Franco wsadzić winowajcę na siodło, po czym odeszli pchając rowery. Jeden z nich zrobił gest znaczący: „Widzicie, jacy my Niemcy jesteśmy!"

W dalszej drodze mieliśmy wielką trudność w dotrzymaniu

tempa bohaterowi: jakby za dotknięciem magicznej różdżki stał się championem-kolarzem, jechał tak szybko, jakby cały werhmacht deptał mu po piętach.

Do tych wszystkich komplikacji doszła jeszcze jedna: musieliśmy udzielić schronienia Renée Morelle, żonie naszego Charlie'ego, która wyjechała z Valenciennes wraz z dwojgiem dzieci po aresztowaniu męża. Potem wróciła na Północ i tam zginęła podczas bombardowania.

RAZEM Z BOHATEREM WOLNEJ FRANCJI

— Proszę mi opowiedzieć o człowieku, którego nazwałem „Timothy", żeby uszanować jego chęć zachowania anonimowości — poprosiłem Franco.

— To ważna osobistość, dzisiaj zajmuje wybitne stanowisko w brytyjskiej dyplomacji. Przyjął na siebie całą odpowiedzialność, co więcej, zaryzykował całą swoją karierę, skłaniając wywiad londyński do obdarzenia Siatki Kometa pełnym zaufaniem. Szybko połączyła nas głęboka przyjaźń.

Kiedy Albert Greindl i ja byliśmy jego gośćmi po historii w Elizondo, zaraz na początku nam powiedział: „Bądźcie ostrożni. Mam pewność, że moja służąca jest na niemieckim żołdzie i że już zdążyła was sfotografować".

Ale zachowaniem nie dał nic poznać po sobie, że wie, kim jest ta dziewczyna. Bardzo zrównoważony, bardzo brytyjski, francuskiemu pochodzeniu zawdzięczał szczyptę fantazji, która dodawała mu uroku. Stale znajdowaliśmy w nim najpewniejszą podporę i zrozumienie. Czy pan pojmuje, że pomimo okropności wojny, wspominam nieraz tamten okres z tęsknotą? Objawił mi wtedy wszędzie ludzi naprawdę wyjątkowych.

Przypominam sobie, że mieliśmy przeprowadzić do Hiszpanii angielskiego lotnika, który przyjechał do nas z okolic Nancy, gdzie przebywał u księdza. Ten dał mu swoją sutannę, by lepiej mógł się zamaskować. Miałem spotkanie z Paulem w hallu dworca Austerlitz, dokąd miał przyprowadzić tego lotnika i trzech innych. Czekam, czekam i nikogo nie widzę. Już pociąg miał odjechać. Wreszcie spotykam Paula, a on mówi: „Aresztowano lotnika przebranego za księdza".

Nie wiadomo, jakim sposobem gestapo dowiedziało się, że lotnik przebrany za księdza pojedzie wieczornym pociągiem. Wszy-

stkich księży, którzy znajdowali się tego wieczoru na dworcu Austerlitz, Niemcy zabrali co do jednego. Nasz lotnik był między nimi Obaj z Paulem uważaliśmy, że lepiej wstrzymać odjazd trzech pozostałych, gdyż można było przewidzieć, że odbędą się kontrole w tym pociągu, więc odjechałem samotnie, by odwołać Florentina, który miał nas poprowadzić w góry. Czy znał pan Francuza nazwiskiem Schloesing? Tak samo jak i pan był oficerem *Forces Francaises Libres.*

— Nie miałem zaszczytu znać majora Jacques-Henri-Schloesinga, jednego z naszych bohaterów. Pozwolę sobie zacytować fragment *Memoriału o towarzyszach walki o wyzwolenie,* napisany przez mojego przyjaciela, pułkownika Bernarda Dupérier, jednego z szefów *Forces Aériennes Françaises Libres,* a poświęcony Schloesingowi:

Kiedy wszedłem do kasyna w Turnhouse pod Edynburgiem 10 listopada 1941 roku, zastałem tam piętnastu młodych oficerów, którzy wcześniej ode mnie przyjechali. Zgromadzono nas na tym terenie w celu utworzenia pierwszego zgrupowania francuskiego lotnictwa myśliwskiego w Wielkiej Brytanii. To ugrupowanie zwało się Ile de France.

Niektórzy z nich mieli za sobą długie doświadczenie jako myśliwcy, ale większość była świeżo promowana po szkole, w której od przeszło roku gorączkowo przygotowywali się do walki. Między tymi ostatnimi zauważyłem wysokiego podporucznika, którego szczery uśmiech i figlarne spojrzenie w interesujący sposób kontrastowały z powagą zachowania się i postawy.

Jacques-Henri Schloesing pochodził z alzackiej rodziny, jego ojciec był pastorem.

W roku 1939, gdy wybuchła wojna, Jacques-Henri uczęszczał do szkoły kolonialnej. Ponieważ jego klasa nie została zaraz powołana do służby, zgłosił się sam i wyjechał do Szkoły Lotniczej, gdzie zdobył dyplom obserwatora i dowódcy pokładowego. Jeden z jego kolegów z tamtych czasów napisze o nim później: „Chociaż z nas najmłodszy, był instruktorem naszej grupy. Ci, którzy z nim się stykali, odczuwali jego szczerość, prostotę i zapał. Nie będąc surowym umiał stanowić wzór dla kolegów".

Kiedy marszałek Pétain ogłasza zawieszenie broni, Schloesing znajduje się wraz ze swoją formacją w Toulouse-Francazal. Jego decyzja jest natychmiastowa. Razem z kilkoma kolegami leci do Anglii na pokładzie starego „Simouna," w dniu 22 czerwca 1940.

W Anglii musiał poddać się nauce pilotażu, aby otrzymać przydział do eskadry. Podporucznik Schloesing zaimponował swoim dowódcom i kolegom. 10 kwietnia 1942 roku grupa Ile de France

otrzymała chrzest bojowy, a także chrzest krwi, gdyż straciła tego dnia jedną czwartą swoich sił. Następne miesiące były świadkami codziennych morderczych walk z wrogiem, którego sprzęt przewyższał nasze „Spitfire V" przy każdym zetknięciu się. Jeden po drugim starsi ginęli, a Jacques-Henri, mianowany 10 kwietnia zastępcą dowódcy eskadry Versailles, przy końcu sierpnia objął dowództwo. W grudniu 1942 roku przydzielono mu grupę Ile de France.

Kiedy otrzymał samoloty „Spitfire IX," które wreszcie były równie dobre jak sprzęt nieprzyjaciela, Jacques-Henri dokonywał cudów na czele tej wspaniałej jednostki. Uczcił swoją nominację poczwórnym zwycięstwem odniesionym tego samego dnia. Od tej chwili Ile de France odnosiła jedno zwycięstwo po drugim.

W sobotę dnia 13 lutego 1943 roku o 10 rano podczas walki rozgrywającej się na wysokości dwunastu tysięcy metrów ponad Pas-de-Calais cztery „Focke Wulf 190" napadły na jego maszynę i zestrzeliły ją. Spadł w płonącym samolocie. Ogień ogarnął od razu kabinę pilota. Trzeba było skakać, ale przedtem otworzyć dach kokpitu [1], niestety ster bezpieczeństwa nie działał. W płomieniach toczył straszliwą walkę z przekładnią zablokowaną i zniekształconą przez ciśnienie powietrza, ogień wgryzał mu się w ręce i ciało, gdyż tylko głowę miał osłoniętą maską gazową i pilotką. Na wysokości 6000 metrów wreszcie dach puścił. Z ciężko poparzonymi oczami i rękami Jacques-Henri wydobył się z tego pieca. Cudem prawie udało mu się otworzyć spadochron.

Zaledwie znalazł się na ziemi, uwolnił się z olinowania i ukrył się w pobliskich zaroślach. Miał tylko jeden cel przed sobą, jedną myśl: wymknąć się Niemcom, którzy widzieli obniżający się spadochron. Patrole go nie znalazły. Na jakiejś fermie dano mu niebieską bluzę dla okrycia munduru i butelkę jabłecznika dla ugaszenia pragnienia. Był koszmarną istotą o zwęglonym ciele, ale ta istota nie chciała się poddać. Wyruszył samotnie i przez trzydzieści sześć godzin szedł wytrwale na wschód. Prawie oślepły, musiał zwęglonymi palcami rozchylać sobie nabrzmiałe powieki, aby spojrzeć na busolę. Skóra odrywała się z powiek płatami. Skrajnie wycieńczony, zemdlał w jakiejś stodole. Ale takie bohaterstwo zasłużyło na nagrodę Opatrzności: doszedł do ludzi, którzy otoczyli go staranną opieką, a potem konwojowali do Paryża. Tam leczył swoje rany niecierpliwie czekając, kiedy będzie zdolny do walki. Wyruszył wreszcie przez Hiszpanię do Anglii. Ale wcześniej wpisał się do złotej księgi słynnej restauracji paryskiej, obok podpisów

[1] kokpit — wnęka statku, tu: kabina pilota

oficerów wehrmachtu znalazł się podpis „Major Schloesing, dowódca Ile de France fafl".

Tego właśnie bohatera konwojował Franco w dwa tygodnie po zajściu na dworcu Austerlitz.

— Był razem z innym lotnikiem R.A.F., którego także miałem zabrać, miał poparzoną twarz, oczy osłonięte okularami. Pani Aylé bardzo się nim opiekowała. Umieściłem go w sąsiednim przedziale, a sam pozostałem razem z wyjątkowo sympatycznym Anglikiem, który mówił po francusku i siedział naprzeciwko mnie — opowiadał Franco.

„O dziewiątej trzydzieści, godzinie odjazdu, pociąg nie ruszył z miejsca. O dziesiątej trwał nieporuszony i pomyślałem, że dzieje się coś nienormalnego. Zdałem sobie sprawę, że gestapowcy kontrolują systematycznie wagon po wagonie. Czterej inni pasażerowie, którzy znajdowali się w moim przedziale, wiedzieli, że Anglik jest razem ze mną, ponieważ rozmawialiśmy stojąc przy oknie. Gestapowcy wchodzą: *„Papiere, bitte!"*

„Podałem swój dowód osobisty, wykonany bardzo dobrze. Dokładnie go oglądnęli i zwrócili. Mój lotnik zrobił to samo. Ledwie tylko wzięli go w ręce zapytali: „Gdzie jest pana towarzysz podróży?" — Miałem na szczęście rękawiczki — mówi Franco. — Inaczej gestapowcy zauważyliby, jak mi drżą ręce. Tak, drżałem z przerażenia, tym więcej że tego dnia przewoziłem korespondencję doręczoną przez pana de Jongh, a przeznaczoną dla „Timothy'ego", aby ją wysłał do Anglii. Wystarczyłoby jedno słowo Anglika, a byłbym zgubiony. Usłyszałem jego odpowiedź:" „Nie mam żadnego towarzysza".

I wtedy go zabrali.

Uważałem się za ocalonego, ale znowu powrócili, ponownie kontrolując. Opatrzność chciała, że nie dostrzegli istotnego szczegółu: bilet Anglika i mój miały kolejne po sobie numery. Myślałem, że już wszystko przepadło. Podróżni powiedzą, że z nim rozmawiałem. Żaden z czterech nie powiedział ani słowa, raczej odczułem ich życzliwe nastawienie. Mój dowód miał pieczątkę Sorbony, jakobym był studentem zamieszkałym w Bayonne, dzięki czemu pozostawili mnie w spokoju. Ale fałszywy dowód Schloesinga nosił pieczęć merostwa Saint-Jean-de-Luz, podobnie jak zatrzymanego Anglika, więc obawiałem się, że Schloesing nie uniknął aresztowania. Kiedy nareszcie pociąg ruszył, wyszedłem na korytarz i odczułem wielką ulgę widząc, że siedzi na swoim miejscu. 15 kwietnia 1943 roku, przeprowadziłem go do Hiszpanii.

W Anglii osiem kolejnych operacji przywróciło mu wzrok i możność posługiwania się rękami. W maju 1944 roku przystąpił do

walki i 16 sierpnia otrzymał dowództwo Grupy Alsace powstałej w kraju. Dwudziestego piątego sierpnia napisał: „Paryż oswobodzony, to nadzwyczajne!"

Nazajutrz, kiedy generał de Gaulle jechał wzdłuż Champs-Elysées, major Schloesing, zaskoczony przez grupę nieprzyjacielskich myśliwców podczas wykonywania zadania w pobliżu Rouen, znalazł śmierć bohaterską w tej ostatniej bitwie, w atmosferze zwycięstwa.

Jedna myśl uporczywie mnie prześladowała: dlaczego Niemcy zatrzymali mojego lotnika po oglądnięciu dowodu osobistego? Później dopiero sprawa się wyjaśniła. Wystawiając dowody z pieczątką z Saint-Jean-de-Luz, używaliśmy dwóch rodzajów podpisów, pozornie należących do urzędnika stanu cywilnego. Jeden podpis — to była duża parafa, bardzo charakterystyczna, i ją to właśnie zauważyli gestapowcy zarówno u lotnika ubranego w sutannę, jak i u mojego Anglika. Oczywiście, że potem przestaliśmy używać tej nieszczęsnej parafy.

Spośród wszystkich niebezpiecznych sytuacji, w jakich znajdowałem się podczas konwojowania lotników, ta była najgroźniejsza. Gdyby Anglik wskazał mnie jako swojego towarzysza, Niemcy zatrzymaliby mnie i rozstrzelali. Spotkałem się z tym Anglikiem dopiero po wojnie, kiedy wyszedł z obozu jeńców wojennych. Powiedziałem: „Zawdzięczam ci życie, mój stary".

RUCH OPORU W HOLANDII

Po burzliwym okresie, który zniszczył naszą Siatkę, Kometa rozpoczyna nowe życie dzięki odwadze, wytrwałości i nieustannemu poświęceniu pozostałych na wolności członków. Serdeczna solidarność łącząca ich zacieśnia się teraz jeszcze bardziej.

W czasie od lutego 1943 roku, kiedy aresztowano Andrée de Jongh i kiedy rozpadł się sektor belgijski, do końca grudnia tego roku ponad stu pięćdziesięciu alianckich lotników powędrowało z Brukseli za Pireneje. Aby dostatecznie ocenić nadzwyczajną wartość tego osiągnięcia, trzeba znać warunki życia w podziemiu: śmiertelne ryzyko udzielania kwatery, przypadkowość powiązań, niebezpieczeństwo prowokacji, trudność przekroczenia granicy belgijsko-francuskiej, liczne kontrole gestapo w pociągach, ścisły nadzór strefy wybrzeża uznanej za wojskową, zakazanej dla tych, którzy nie mieszkali tam stale, warty niemieckich i hiszpańskich patroli

po obu stronach rzeki Bidassoa, niedostępność gór po obu stronach granicy, nie mówiąc już o niepokoju, trudach, zmęczeniu i owym lęku wewnętrznym zżerającym ciało i ducha jak rak przyczajony pod przykryciem zdrowych tkanek. Wyczyny na szlaku ponad tysiąca kilometrów w asyście lotników nie umiejących po francusku wydają się czymś niemożliwym. Ich realizacja przysporzyła sławy tym wszystkim, którzy stanowili Siatkę Kometa.

Jacques Cartier, kierujący sektorem Belgii, sam zwoził do Brukseli lotników zbieranych dzięki staraniom jego bezpośrednich agentów. Tu ich przekazywał w ręce Fernanda Radelet, zwanego „Yvan", który podjął się pracy w Komecie, odkąd powrócił ze stalagu w Niemczech.

„Yvanowi" pomagała Hélène Pilatte, pielęgniarka ze szpitala Czerwonego Krzyża, która miała pseudonim „Jacqueline". Ona umieszczała lotników u ludzi dobrej woli na kwaterach. Ona także prowadziła skrzynkę listową dla nawiązania dyskretnego porozumienia z przewodnikami z Anvers i Gand, a miejscem skrzynki był sklep pana Mansvelt, „Bon Marché".

Lotnicy spadali nie tylko nad Ardenami i Flandrią, ale także, i najczęściej, nad dwoma Limburgami, belgijskim i holenderskim, nad którymi przelatywali, aby osiągnąć cele bombardowań, wielkie przemysłowe ośrodki Nadrenii i Westfalii. Głównym miastem belgijskiego Limburga jest Hasselt, o trzydziestu tysiącach mieszkańców, nad Demerą, dopływem Dyle, a jego port jest czynny dzięki Kanałowi Alberta. Hasselt dało swą nazwę zbożowej wódce, rozpowszechnionej w Belgii, posiada również monopol tytoniowy. W jednym z domów, okolonym ogródkiem, wychodzącym na szosę prowadzącą do Liège, mieszka jowialny atleta o szerokim serdecznym uśmiechu. Jest to inspektor zakładów produkujących papierosy marki *La Boule Nationale* Lambert Spanoghe, który dużo podróżował, co bardzo dobrze służyło sprawie w tych niespokojnych czasach, kiedy trzeba było mieć uzasadnienie dla zmiany miejsca pobytu. W Siatce znano go pod nazwiskiem „Paul de Hasselt". Zaangażował się w walkę z Niemcami podczas wielkiej wojny, kiedy miał siedemnaście lat i jego zapał patriotyczny nie osłabł do tego czasu.

W 1942 roku młoda rudowłosa dziewczyna o wesołym usposobieniu przyjechała specjalnie do niego. Była to Peggy Van Lier, przysłana przez Nemo. Bardzo szybko doszła do porozumienia z inspektorem *La Boule Nationale*. Paul de Hasselt zorganizował akcję zbierania zestrzelonych lotników na terenie całego belgijskiego Limburga i pracował jako główny agent wraz z holenderską koleżanką przezwaną Trouw, czyli wierność. Lotnicy kierowani do Belgii przez

Trouw przeprawiali się łodzią przez Mozę powyżej miasteczka Maaseik, w którym urodzili się bracia Van Eyck. Tam przyjmował lotników Jean Mobers, dzierżawca trafiki o pseudonimie „Jean de Maaseik". Równolegle z nim działała tajna siatka ewakuacyjna prowadzona przez naczelnika stacji, który pomagał w ucieczce do Liège setkom belgijskich i francuskich zbiegów ze stalagów.

Z pomocą Pierre'a Van Dinter Jean de Maaseik rozdzielał kwatery lotnikom przybyłym z Holandii. Ci, którzy spadli tuż przy granicy Belgii, znajdowali schronienie u Gertrude Moors, młynarki w Dilsen. Łatwo było zauważyć młyn każdemu, kto przechodził z Holandii, a chciał uniknąć dróg zabarykadowanych przez żandarmerię. Lotnicy zasiadali jak w rodzinie przy stole Gertrudy, którą znali pod imieniem Irma, obok jeńców zbiegłych z Niemiec. Tych jeńców Irma czyli „dziewczyna z młyna" przyjęła ponad sześciuset.

Zaprzyjaźnieni z Paulem Hasseltem „Josse i Louise", czyli Lucien i Clémentine Collin, od pierwszej chwili przychodzili mu z pomocą.

— Mój mąż miał trzydzieści jeden lat w 1940 roku — powiedziała mi Clémentine. — Po powrocie z osiemnastodniowej kampanii postanowił natychmiast działać przeciwko Niemcom. Oboje weszliśmy do małej organizacji, która przerodziła się potem w *Armée Secrète*. We wrześniu 1941 roku przyjęliśmy pierwszego lotnika. Przyszedł do nas wieśniak z Kiewit: „Spadł pilot angielski, jest u nas", powiedział.

Mój mąż znał wielu chłopów, bo pracował poprzednio w handlu nasionami, który nie rozwijał się podczas wojny, ale znajomości pozostały. Poszliśmy po lotnika razem z moją znajomą Simone Lefebvre. Jej mąż miał sposobność odesłać go do Anglii, odwieziono go do Brukseli, ale przebywał tam jeszcze siedem miesięcy, zanim mógł odjechać. W tajnej prasie pracował razem z nami Fernand Georges, właściciel garażu. Przez niego mój mąż zawarł znajomość z panem Spanoghe, który nam powiedział: „Jeżeli będziecie mieli jeszcze jednego lotnika, to wiem dokąd go odprowadzić".

W taki sposób zaczęliśmy pracować dla Komety. Nie byliśmy sami, mogę wymienić szereg nazwisk ludzi poświęcających się dla sprawy. Robili zdjęcia do fałszywych dowodów osobistych, dostarczali odzieży, udzielali kwatery. Sprawy niekiedy się komplikowały, na przykład u nas pokoje były zarekwirowane przez Niemców.

W styczniu 1943 roku nasz szef w Brukseli przyjął dwóch spadochroniarzy z Anglii. Przysłał do nas jednego. Ów Henri Ducat miał za zadanie stworzyć siatkę odzysku lotników w Holandii. Poszłam z nim wzdłuż granicy belgijskiej do pana Ruys de Lichter-

velde, który mieszkał po stronie holenderskiej. Ale ten Holender został rozstrzelany jako zakładnik, a Decat zginął w lasach Soignes w kwietniu 1943 roku.

Lotników odwoziliśmy do Brukseli, tam zajmował się nimi Fernando Radelet i odstawiał ich do Paryża. Na dworcu Montparnasse Fernando Radelet powierzał swoje „pakunki" Madeleine Bouteloupt, która ich konwojowała pociągiem do Nantes. Po przyjeździe do tego miasta wystarczało przejść na drugą stronę peronu, aby się przesiąść do Bordeaux, gdzie Franco czekał na „dzieci" zmęczone czternastogodzinną podróżą. Madeleine odjeżdżała następnym pociągiem do Paryża po nowy konwój, a Franco z lotnikami wsiadali do autobusu w kierunku Dax. Najtrudniejsze zadanie było jeszcze przed nimi.

MIESZKANIE PRZY ULICY VANEAU

Po spotkaniu z nowym przywódcą sektora belgijskiego, Jacques'em Cartier, Franco odjechał zadowolony, że przekaże dobrą nowinę Frédéricowi de Jongh. Ojciec Dédée zagłuszał w sobie smutek służąc ciałem i duszą organizacji stworzonej przez córkę. Ale rosły obowiązki zarówno Paula, jak i Franco. „Pakunki" z Belgii znowu dołączą się do lotników zbieranych wszędzie po trochu: na północy Francji, w Normandii, w Bretanii, nawet w Vendée. Przyprowadzał ich głównie ojciec Riquet, do którego zwracały się różne podziemne organizacje ruchu oporu, nie wiedząc co robić z lotnikami coraz obficiej spadającymi z nieba.

Sama ewakuacja do Hiszpanii to jeszcze nie wszystko: gdzie zakwaterować napływające ze wszystkich stron „dzieci"? Pani Laurentie, Amable Fouquerel i ksiądz Beauvais już nie mogli wystarczyć. Każdego ranka panna Coache czyli „Raymonde" biegała do Claesa, hurtownika przy bulwarze Raspail, który służył, jak mógł, pomocą. Mimo to było wiele trudności z wyżywieniem. Zatroskany tymi myślami Franco przyjechał na Gare du Nord.

— Poszedłem prosto do mieszkania przy ulicy Vaneau, od którego miałem klucz — opowiadał Franco. — Nikogo tam nie zastałem. Na biurku Paula leżało jego pióro, pieczęcie i fałszywe dokumenty, tak jakby ktoś go pośpiesznie wywołał z domu. Pomyślałem, że znajdę go u państwa Aylé. Ulica Babylone 37 — to było blisko. Idę tam, dzwonię. Nikt nie otwiera. Zdziwiony powróciłem na ulicę Vaneau. Byłem głodny, postanowiłem coś przegryźć. W ku-

chni garnki stały na zimnym piecu. Podniosłem pokrywkę i zauważyłem warstwę pleśni na powierzchni zupy.

W tym momencie zrozumiałem, że Paul został aresztowany już kilka dni wcześniej i że według wszelkiego prawdopodobieństwa Aylé spotkał ten sam los. Wiedziałem, że Paul chował pieniądze przesyłane z Hiszpanii wewnątrz książki, której kartki były rozcięte. Znalazłem tam sto tysięcy franków, zabrałem je, a także pieczęcie i dokumenty, zbiegłem po schodach i zatrzymałem się u portiera z zapytaniem: „Nie widział pan mojego wuja?" „Nie. Już od kilku dni nie widziałem pana Moreau."

Pamiętamy, że wraz z adresem Frédéric de Jongh zmienił nazwisko na Moreau. Miałem adres znajomego państwa Morelle, Maxa Rogera, który mieszkał w malutkim pokoiku przy ulicy Pierre Picard, obok zejścia do metra Anvers, u stóp wzgórza Montmartre. Poszedłem do niego: „Słuchaj, stary, tamci są aresztowani, czy mogę zostać u ciebie?" Bez najmniejszego wahania odpowiedział:

„Oczywiście. Czuj się jak u siebie w domu".

Pozostawiłem u Maxa to, co zabrałem z ulicy Vaneau, i poszedłem zasięgnąć języka. Zacząłem od ulicy Oudinot, gdzie dozorca i jego żona byli bardzo sympatyczni i chyba dobrze orientowali się, co robimy. Na mój widok pani Lepin przybrała tragiczny wyraz twarzy i wprowadziła mnie do portierni.

„Nie wie pan? — powiedziała. — Panią Laurentie i pana Fouquerel aresztowano w poprzednim tygodniu."

Pojechałem do Asnières [1], do Raymonde Couache. Dozorczyni powiadomiła mnie, że aresztowano ją pięć czy sześć dni wcześniej. Poszedłem do znajomych Raymonde, u których nieraz mieszkali lotnicy. Kiedy tylko wszedłem do sklepu, właścicielka szepnęła: „Niemcy zabrali moją córkę".

Wróciłem do Paryża. Dysponowałem już tylko jedynym punktem kontaktowym, u księdza Beauvais. Był w domu, wiedział o katastrofie.

Przypominam sobie, że udało mi się powiadomić sektor Południe, ale już nie potrafię powiedzieć, w jaki sposób to zrobiłem. Czułem się otępiały i poszedłem spać. Następnego dnia przyszła refleksja: jeżeli nie byli dotąd przy ulicy Vaneau pomimo aresztowań, to może nie znają tego adresu? I poszedłem tam.

Przypomina pan sobie, że wtedy windy zatrzymywały się dopiero na piątym piętrze dla zaoszczędzenia prądu. Pojechałem więc na piąte i zszedłem na czwarte. Drzwi były opieczętowane. Schodziłem na dół bez zatrzymywania się mówiąc sobie, że dzień wcześ-

[1] miasteczko na północ od Paryża

niej niewiele tylko wyprzedziłem przyjście Niemców. Pieczęcie były całkiem świeże, co wskazywało na fakt, że wróg nie znał naszej siedziby przy ulicy Vaneau wtedy, kiedy przeprowadzał aresztowania przy ulicy Oudinot.

Tego samego wieczora popełniłem szaleństwo, powracając na ulicę Vaneau razem z Maxem Rogerem. Opieczętowane paski były bardzo słabo założone, odkleiliśmy je bez trudu. Wchodząc do mieszkania dopuściłem się jeszcze większego szaleństwa, a mianowicie zapaliłem światło. Wypełniliśmy odzieżą cztery duże walizy, do których wepchnęliśmy wszystko, co się dało, pozostawiając z żalem wielką szynkę. Potem nakleiliśmy opieczętowane paski na nowo i odeszliśmy unosząc z trudem ciężkie walizki. Powróciliśmy metrem do Maxa. Ci, którzy nas spotykali, pewnie myśleli, że uprawiamy handel na czarnym rynku.

Chociaż prawie nigdy nie chodziłem w krawacie, miałem jeden bardzo piękny: granatowy w cienkie czerwone paseczki, prezent od starej ciotki, zależało mi na nim. Szukałem wszędzie, chcąc go zabrać, i bardzo się zasmuciłem, że krawat gdzieś się zapodział. Na pociechę rozmyślałem o tym, że gdyby pan de Jongh nie wysłał mnie do Brukseli dla nawiązania nowych nici, prawdopodobnie wzięliby mnie na ulicy Vaneau i to by już był koniec Komety. Tylko ja jeden w tamtym okresie byłem zdolny zapewnić łączność między sektorem w Belgii a Południem. Pani de Greef nie utrzymywała już kontaktu z Brukselą i nie znała księdza Beauvais.

Cóż bym myślał, gdybym znał okoliczności katastrofy, która spadła na Paryż! Na trzy tygodnie przed aresztowaniem pan de Jongh powiedział mi: „Zwerbowaliśmy chłopca, który bardzo by chciał cię poznać".

Ten nowy ochotnik przedstawił się Paulowi pod nazwiskiem Jean Masson i wszystko pozwala przypuszczać, że zanim zarzucił sieci, chciał się doczekać mojego powrotu z Hiszpanii. Ale zabrakło mu cierpliwości i dzięki temu Siatka mogła istnieć dalej. Jak sobie przypominam — powróciłem do Brukseli, aby powiadomić o zaszłych zdarzeniach Jacques'a Cartier, a potem wyruszyłem na Południe.

JUDASZ

15 maja 1943 roku Paul skorzystał po raz pierwszy z usług nowego ochotnika poleconego Robertowi Aylé przez jedną z siatek Ruchu Oporu. Jean Masson nosił grube szkła krótkowidza, był męż-

czyzną średniego wzrostu, o kanciastej twarzy, blond włosach ostrzyżonych na jeża i niebieskich inteligentnych oczach. Powiedział, że pochodzi z Tourcoing.

— Jeżeli dobrze zrozumiałem — rzekł Frédéric — pana system ma opierać się na tym, aby ludzi z Belgii przewozić jako robotników-ochotników do pracy we Francji?

— O to właśnie chodzi, panie Moreau.

Masson odpowiadał spokojnym głosem, pozbawionym fanfaronady, co wzbudzało zaufanie.

— W jaki sposób ma to się odbywać?

— Bardzo zwyczajnie. Robotnicy, o których mowa, nie potrzebują ausweisów. Ich nazwiska figurują w wykazach, których kopie są w komorze celnej. Wystarczy więc wypisać listę podobną do tej z rejestru celnego, przyłożyć pieczęć żandarmerii z Lille i sprawa gotowa. Celnikom wystarcza, kiedy nazwiska z dowodów osobistych pokrywają się z listą.

— Rozumiem. A czy pan postarał się o takie formularze?

Jean Masson lekko uśmiechnął się wyjmując arkusze z kieszeni i pieczątkę.

— Oto druki według oficjalnego wzoru. A pieczęć kazałem podrobić specjaliście.

— Ilu ludzi może pan przewieźć za jednym razem?

— Co najmniej dziesięciu, panie Moreau.

— Kiedy moglibyśmy spróbować?

— Wedle życzenia. Proszę mi wskazać datę, a zrobię, co trzeba.

W sobotę 15 maja, jakby chodziło o najzwyklejszą rzecz pod słońcem, Masson przywiózł z Brukseli lotników, których mu tam powierzono, i zaprowadził na dworzec Montparnasse, gdzie Madeleine Bouteloupt wsiadła z nimi do ekspresu w kierunku Nantes. Drugi konwój, również prowadzony przez Jeana Massona, także przybył szczęśliwie, przynosząc tym wielką ulgę belgijskiemu sektorowi, który był całkiem zatłoczony od czasu wzmożenia kontroli na francuskiej granicy. Masson poinformował, że Bruksela poprosiła go o dokonanie następnego przerzutu lotników w poniedziałek, 7 czerwca.

— To jest poważny przerzut — oświadczył. — Chciałbym zmniejszyć ryzyko i podzielić transport na trzy grupy. Czy zechce pan przysłać do Lille Medeleine i Raymonde? Dla siebie zachowam największą partię. Byłoby dobrze, gdyby i pan był na Gare du Nord, abyśmy ich podzielili między nas czworo.

Załatwiono sprawę. W słoneczny dzień 7 czerwca Madeleine i Raymonde wsiadły rano do pociągu w kierunku Lille. Masson je

spotkał, jak było umówione, ale zdziwiły się, że przydzielił im tylko po jednym lotniku. Przez ostrożność odseparowały się. Madeleine ulokowała się wraz ze swoim „dzieckiem" w paryskim ekspresie, który miał odejść za trzy kwadranse, a Raymonde zaprosiła swojego lotnika na taras kawiarni. Zaledwie usiadła, poczuła twardą rękę na ramieniu: „Niemiecka policja! Proszę za mną!" Już typy w cywilnych ubraniach otaczały stolik. Z rezygnacją lotnik podniósł posłusznie ręce do góry.

Nie wiedząc, co spotkało jej koleżankę, Madeleine uśmiechnęła się do swojego Anglika, kiedy ekspres ruszył z miejsca. Za chwilę drzwi przedziału się odsunęły i ukazał się niemiecki policjant. Przyzwyczajona do pokazywania dokumentów, Madeleine wyciągnęła swój fałszywy dowód osobisty, który mężczyzna poddał szczegółowym oględzinom. „Proszę za mną! Policja niemiecka!"

Jeden z jego towarzyszy stał w drzwiach. Wstając, Anglik rzucił dziewczynie przyjazne spojrzenie i wyszedł bez słowa. Madeleine Houteloupt zaprowadzono do wagonu, gdzie przed rewizją Niemka wymierzyła jej policzek. Ekspres dalej jechał w kierunku Paryża. Uwięziona myślała z niepokojem o kolegach tam czekających. To się zdarzyło po raz pierwszy, że Paul i państwo Aylé wyszli na spotkanie „dzieci" na Gare du Nord.

*

Frédéric de Jongh siedział przy biurku w swoim mieszkaniu przy ulicy Vaneau, przygotowując dokumenty dla „dzieci", które miał spotkać. Popatrzył na zegarek: czwarta po południu. Trzeba iść. Pozostawił papiery i pieczęcie na blacie, zamknął drzwi na klucz i zszedł do metra. Na dworcu zastał już Roberta i Germaine Aylé na peronie, po którym spacerowali w towarzystwie Reine Thomas, która przyjmowała u siebie lotników w pobliskim Asnières.

Kiedy pociąg zatrzymał się, w tłumie podróżnych śpieszących ku wyjściu dostrzegli Jeana Massona, za którym szło kilku młodzieńców łatwych do rozpoznania z powodu stroju i postawy: były to „dzieci".

Na widok Frédérica i jego przyjaciół Masson przywołał na twarz szeroki uśmiech i zbliżył się z wyciągniętą ręką: „Dzień dobry panie Moreau! Mieliśmy dobrą podróż!"

Natychmiast zjawili się dwaj żandarmi z tuzinem policjantów. W jednej chwili założyli kajdanki na napięstki Paula, małżeństwa Aylé i Reine Thomas. Wszystkich czworo wprowadzono do komisariatu policji na dworcu razem z lotnikami, całkiem osłupiałymi ze zdziwienia. Pozostali tam aż do nadejścia jakiegoś indywiduum

w cywilu, który rzucił rozkaz i zaprowadzono ich do aut. Frédéric de Jongh jechał razem z Robertem Aylé, a Germaine Aylé umieszczono w innym aucie z Reine Thomas. Wszyscy się spotkali w urzędzie przy ulicy Saussaies, gdzie czekał na nich Jean Masson. Twarz zdrajcy promieniała niegodziwą radością.

*

— W ten sam poniedziałek 7 czerwca 1943 roku — opowiada pani Laurentie — Amable zszedł do mojego mieszkania, aby razem oczekiwać lotników, których mieliśmy przyjąć na kwatery. Około pół do szóstej po południu zadzwoniono do drzwi i mój syn Sébastien poszedł otworzyć. Nie widząc nikogo, krzyknęłam do niego: „Wprowadźże ich, wprowadź!"

Na to usłyszałam tupot kroków w kierunku kuchni, co mnie zdziwiło. Nagle drzwi do kuchni uchyliły się, pojawiła się w nich ładna głowa Yvesa, mówiąca miłym głosem: „To niemiecka policja!"

Jak później dowiedziałam się, ten Yves, którego prawdziwego imienia i nazwiska nie znam, był osobą z gestapo powołaną do wykrywania siatek ewakuacyjnych. Nazywano go także „studentem z Oksfordu". Bardzo wysoki i szczupły, miał bladoblond włosy, wyjątkowo miłą powierzchowność, wyglądał na trzydzieści lat. Nosił stale zielony pulower pod marynarką. Byli z nim dwaj cywile i, zdaje mi się, że jeden z nich był Francuzem.

„Kim pan jest?" — zapytał Yves.

„Amable Fouquerel" — odpowiedział dobry Aimable ze swą zwykłą prostotą, co miało taki skutek, że natychmiast założono mu kajdanki.

Wcześniej posłałam swojego syna do znajomej z gazetką „Résistance"[1]. W ramach wymiany Sébastien przyniósł kilka numerów „Défense de la France"[2]. Słysząc „policja niemiecka", odruchowo położyłam sweter na kotle do gotowania bielizny, przykrywając tajne gazety. Zapowiedzieli rewizję i wzięli się do pracy szukając wszędzie, nawet wewnątrz pieców, ale nie ruszając kotła stojącego obok pojemnika na śmieci. Zatrzymali się nad zadaniem angielskim, od którego odszedł Sébastien na głos dzwonka:

„Patrzcie, patrzcie!" — szydzili. — Wyjaśniłam, że to szkolne tłumaczenie.

„Gdzie jest Paul?"

---

[1] „Ruch Oporu"

[2] „Obrona Francji"

„Paul? Nie znam."

Ta odpowiedź sprawiła, że ów „przyjemny" Yves wymierzył mi straszliwy policzek. „Zobaczy pani, czy go nie zna!" — powiedział głosem zawsze pełnym słodyczy. Rewizja dobiegła końca, a potem Yves oświadczył tonem szczerze zasmuconym: „Niestety, będziemy zmuszeni panią aresztować".

„Co się stanie z moim synem"? — zapytałam.

Odpowiedział mi beztroskim gestem. Pragnąc trzymać Sébastiena na uboczu od spraw, aby mu nie zarzucano, że pomagał ukrywać lotników, udawałam, że nie mieszka ze mną, i spytałam, czy może wrócić do siebie. Na to uzyskałam zgodę. Przypuszczam, że jeden z tych gestapowców był Francuzem, bo widział, jak podaję Sébastienowi cały duży plik kartek żywnościowych, przeznaczonych na wyżywienie lotników, i nie pisnął ani słowa.

Przez pewien czas mieszkali u nas dwaj Polacy, nie byli to zestrzeleni lotnicy, ale jeńcy wojenni, którzy uciekli z Niemiec. Zanim znaleźliśmy dla nich schronienie, gdyż nie mieliśmy prawa nimi się zajmować, Paul umieścił ich prowizorycznie u Aimable'a, a potem odprowadził do aptekarza przy ulicy Vieux-Colombier.

Zobaczyłam się z nimi powtórnie przed magazynem „Bon Marché", gdzie podałam im z polecenia Paula fałszywe dokumenty i dwa bilety kolejowe do Bayonne, mówiąc: „Niestety. nic więcej dla was nie możemy zrobić, radźcie sobie sami z przejściem hiszpańskiej granicy".

Ci dwaj zacni chłopcy wbili sobie w głowę, że powinni mi się wywdzięczyć, przynosząc tuż przed odjazdem pociągu wiązankę kwiatów i flakon perfum. Weszli z serdecznym uśmiechem na piętro ... no i dali się biedacy przymknąć razem z nami. Widzi pan, dokąd prowadzi nadmierna grzeczność!

Kiedy przyjechaliśmy do gestapo na przesłuchanie, zobaczyliśmy ich, jeden trzymał bukiet, a drugi perfumy. Niemcy zapytali: „To dla tej pani? Ależ proszę jej to dać!"

I w ten sposób spędziłam swą pierwszą noc w więzieniu z flakonem bardzo dobrych perfum i przepięknym bukietem.

Nazajutrz, kiedy mnie prowadzono na piętro, spotkałam się z Germaine Aylé i Madeleine Bouteloupt. Konsternacja! Myślałam, że tylko Aimable i ja pozwoliliśmy się złapać, a tymczasem dowiedziałam się, że Paula i Roberta także uwięziono.

Przez jedenaście miesięcy przebywałam we Freines, stamtąd przenieśli mnie do Romainville, a potem poznałam Ravensbrück, dokąd przyjechałam w końcu kwietnia 1944. 4 czerwca, tuż przed wylądowaniem aliantów w Normandii, przerzucono mnie do Holleschein w Czechosłowacji, niedaleko Pilzna, do małego obozu, w któ-

rym znajdowało się około siedmiuset więźniarek, wśród nich czterysta pięćdziesiąt Francuzek. Amerykanie w ogóle nie wiedzieli o istnieniu tego obozu. Przebywałyśmy wśród sosnowych lasów i to dobre powietrze nas ocaliło.

Fabryka, w której pracowałyśmy, została tak doszczętnie zbombardowana, że odprowadzono nas do obozu i tam trzymano w zamknięciu. Wzdłuż całej drogi widziałyśmy papierowe kokardki biało-czerwone, w polskich barwach narodowych, które były dowodem, że partyzanci o nas nie zapomnieli. Ten mały obóz był całkiem odcięty od świata. A potem 5 maja 1945 roku usłyszałyśmy dziwne dźwięki, jakby przyśpieszone oddechy: to nasi partyzanci wdychali intensywnie powietrze, wdzierając się na szczyt muru otaczającego obóz. Zeskakiwali po drugiej stronie. Wysadzili wejściową bramę, wpadając jak rozszalała horda. Niemcy pośpieszyli się z podnoszeniem rąk do góry; ofiarą padł tylko jeden Niemiec, który nadjechał na motorze. Zabili go Polacy, zanim zorientował się, co się dzieje. W ten sposób zakończyła się moja przygoda.

*

8 czerwca 1943 roku aresztowano w Brukseli Fernanda Radeleta, Hélène Pilatte, pana Mansvelta, który był „skrzynką listową" w „Bon Marché" i szereg innych osób. Tylko Jacques Cartier wymknął się z obławy, ale tak zwany Jean Masson miał dowieść, że jest uparty.

SIOSTRA I ŻONA JACQUES'A CARTIER

— Kiedy mój brat objął kierownictwo nad belgijskim sektorem Komety pod pseudonimem „Jacques Cartier", poprosił mnie, żebym była łączniczką między nim a Fernandem Radeletem — mówi pani d'Oultremont. — Byłam wdową, najstarsze z moich pięciorga dzieci miało zaledwie osiem lat i rozsądek nakazywał nie uprawiać tajnej działalności. Ale pomyślałam, że nie mogę odmówić tej przysługi.

9 czerwca o pół do dziewiątej wieczorem odebrałam telefon od matki Radeleta. W zawoalowany sposób powiadomiła mnie o aresztowaniu syna i prosiła, abym ostrzegła mojego brata. Dodała, że nie może wrócić do swojego domu. Zaprosiłam ją do siebie. Natychmiast zamówiłam rozmowę z Moisnil, gdyż od dziewiątej

wieczór nie można już było otrzymać połączenia zamiejscowego. Czas mijał, nie łączono. Wreszcie, dosłownie za minutę dziewiąta, rozległ się sygnał i miałam już Antoine'a z tamtej strony. Poinformowałam go o aresztowaniu Fernanda sybilińskimi zwrotami i dodałam: „Przyjedź jak najprędzej do mnie. Nie odwiedzaj mamy".

Wyjechał do Brukseli o wpół do siódmej rano. Był na tyle ostrożny, że nie szedł szeroką drogą wjazdową, ale małą ścieżką prowadzącą w głębi doliny, aż do wielkiej skały, gdzie jest przystanek tramwajowy. Wsiadł do tramwaju i dojechał do Namur. Trochę zmienił swój wygląd, ubierając się inaczej niż zwykle.

Dokładnie w dwadzieścia minut po jego wyjściu dom otoczono ze wszystkich stron nie tylko żołnierzami wehrmachtu, ale także belgijską żandarmerią, specjalnie w tym celu sprowadzoną. Szczegóły te podała mi jego żona, pani d'Ursel.

Ku przerażeniu dzieci i służby w mojej nieobecności gestapo wdarło się do domu. Nikt nie przypuszczał, że mój mąż może mieć do czynienia z niemiecką policją.

Dalszy ciąg wydarzeń opowiada jej szwagierka, pani d'Oultremont:

— Zaniósł do matki walizkę, w której był paszport, ponieważ następnego dnia wybierał się do Paryża, i przyszedł do mnie. Pani Radelet, która u mnie nocowała, podała okoliczności, w jakich aresztowano jej syna.

Niejaki Jean Masson zgłosił się do niej, przedstawił jako agent Siatki i chciał się widzieć z jej synem. Kiedy dowiedział się, że Fernanda nie ma w domu, bardzo nalegał, by mu podać jego numer telefonu. Pani Radelet odmówiła i wyszła załatwiać zakupy. Kiedy powróciła sąsiedzi ją ostrzegli, że szukało jej gestapo. Zastanawiała się, czy Jean Masson chciał nas sprzedać. Nic nie wiedzieliśmy o tym osobniku.

Muszę podkreślić wobec pana zimną krew i odwagę telefonistek z międzymiastowej centrali w Namur: kiedy podchwyciły rozmowy wymienione między Niemcami na temat Moisnil, przerwały połączenie, opóźniając w ten sposób akcję. To było główną przyczyną, że gestapo zgłosiło się po mojego brata dopiero dziesiątego czerwca rano.

Zdecydowałam się pójść po walizkę, którą Antoine zostawił u naszej matki przy ulicy Luxembourg, lekceważąc moje ostrzeżenia. Przyszłam do matki o drugiej po południu, wchodząc zauważyłam jakiegoś niewidomego żebrzącego na chodniku naprzeciwko domu. Odczułam niepokój, bo nigdy go przedtem w tym miejscu nie widziałam, a poza tym słyszałam, że Niemcy rozstawiają na ulicach pod przebraniem ludzi, którzy są na ich żołdzie. Bez wzglę-

du na to weszłam, lecz nie znalazłam matki w małym salonie, gdzie najczęściej przebywała, ale usłyszałam gwar głosów w jadalni. Odbywało się tam zebranie pań należących do stowarzyszenia charytatywnego. Nagle — dzwonek. Brat mój prosił, abym uprzedziła pokaźną liczbę osób pracujących z nim w Komecie. Listę miałam przy sobie. Po dzwonku nastąpił szurgot butów. Pierwszą decyzją było wpakować sobie listę w usta, a drugą — starać się uciec z walizką, której jeszcze nie zdążyłam wziąć. Ale już weszła odźwierna z przerażoną miną, a za nią czterech osobników z rewolwerami w garści. Wepchnęli mnie do pokoju, gdzie się odbywało zebranie, a dobre paniusie zostały sterroryzowane:

„Zastrzelimy każdą, która zechce stąd wyjść!"

„Proszę przewodniczącą o kontynuowanie zebrania — powiedziała moja matka z niezmąconym spokojem."

Prezeska powróciła do swojego przemówienia, tylko głos jej trochę drżał.

Dom mojej matki był ogromny: trzy piętra, troje schodów i mieszkało tam sporo osób. Jedna z moich sióstr, zajmująca tam apartament wraz ze swoim mężem, przybiegła przerażona z dwiema znajomymi, które przyszły ją odwiedzić. Niemcy robili rewizję, nagle odźwierna mi mówi:

„Boże mój! przyszedł list do hrabiego Antoniego, jest na dole w portierni!"

Zdjęłam kapelusz, aby inaczej wyglądać i zbiegłam do loży w chwili, kiedy gestapowiec wchodził do niej z drugiej strony. Nie rozpoznał mnie, ja chwyciłam list już wcześniej i na jego rozkaz poszłam po schodach na górę razem z portierką, pokojówką i praczką. Idąc za nami z tyłu, Niemiec kazał nam wejść do jadalni. Było nas tam przeszło czterdzieści osób. Czekaliśmy, czekaliśmy, rewizja trwała bez końca.

Po upływie półtorej godziny gestapo zdecydowało się zabrać moją starszą siostrę jako zakładniczkę, a wyrzuciło wszystkich obecnych. Odeszłam z tą całą falą, ale bez walizki, która oczywiście została otwarta i znaleziono w niej paszport.

Po wyjściu z domu starałam się odczytać listę, którą trzymałam w ustach przez cały czas. Zrobiła się z niej obrzydliwa papka.

Dzięki pomocy jednego z członków Siatki, którego znałam, udało mi się odgadnąć kilka adresów zamazanych na kartce i pójść przestrzec zainteresowanych. Niestety i pana Mansvelta wcześniej już aresztowano, i państwo Detaille nie uniknęli złego losu: Victora Detaille rozstrzelano w Niemczech na wiosnę 1944 roku, a Marie Detaille zmarła w Ravensbrück na początku roku następnego.

— Dobrze wiedziałam, że mnie aresztują kiedy wrócę do Mois-

nil — opowiadała dalej pani d'Ursel — ale pozostały tam dwie pasierbice, bardzo młode, nie chciałam, by poszły do więzienia zamiast mnie. Przyjechałam do Namur, wsiadłam w tramwaj, wysiadłam przy skale i tam zastałam wspaniałego człowieka. Był to komendant żandarmerii z Namur, Namèche, który mi zakomunikował, że w Moisnil jest pełno Niemców.

„Jeżeli ma pani przy sobie jakieś kompromitujące papiery, to proszę mi je powierzyć. Na pani miejscu zaraz uciekałbym, niech pani jedzie, ja nie zdradzę" — ostrzegł mnie.

Był to bardzo odważny czyn ze strony tego młodego człowieka, który był tam służbowo, w mundurze.

Podziękowałam mu mówiąc, że nie mam nic kompromitującego przy sobie i że chcę wrócić do naszej posiadłości. Na tej kanapie, na której pan siedzi, rozparło się czterech Niemców w cywilu. Nie potrzebuję panu mówić, że znajdowałam się w kłopotliwej sytuacji, ale kiedy ujrzałam, że intruzi nie ruszają się z miejsca, kiedy ja wchodzę, to mnie rozgniewało... „Jest taki zwyczaj, że mężczyźni wstają, kiedy dama wchodzi do pokoju!" — powiedziałam.

Myślę, że moje wystąpienie ich zdziwiło, bo wstali wszyscy czterej jak jeden mąż, ale przyznaję się, że potem czułam się o wiele mniej rozgorączkowana. Teraz na mnie przyszła kolej usiąść i przez dwie godziny przesłuchiwano mnie bez przerwy. Te typy były w domu od siódmej rano i chciały wykorzystać moją obecność, aby znaleźć to, w czym dotychczasowe poszukiwania ich zawiodły.

„Będziemy wszędzie szukać — powiedzieli — wszędzie!" Byłam pewna, że niczego nie znajdą, bo tajne papiery mojego męża były schowane w Linterpoort.

„Proszę bardzo — odpowiedziałam — nie krępujcie się. Jest dom, są inspekty, oranżeria, są skały i ruiny! Od czego chcecie zacząć?" Gdyby pan widział ich miny! Oczywiście, że wrócili z pustymi rękami, co ich rozwścieczyło.

„Niech się pani przygotuje — powiedział dowódca. — Jutro o siódmej rano panią zabieramy."

Położyłam się do łóżka, ale wiele nie spałam, Claudine, nasza najmłodsza, miała dopiero trzy i pół lat. Na pociechę powtarzałam sobie, że Antoine im się wymknął, co było najważniejsze. Rano ten sam gestapowiec poradził mi, bym wzięła sobie koc i odjechałam z nim „oplem". Odwieźli mnie na początku do gestapo przy alei Louise. Tam poddali nowemu, nie kończącemu się przesłuchaniu. Zadawano mi mnóstwo pytań dotyczących niejakiego Radeleta, i na próżno odpowiadałam, że nie wiem, o kogo chodzi, co było prawdą, nie chciano mi wierzyć. Odesłano mnie do lochu, abym się

namyśliła, i w chwili, kiedy otwierano drzwi mojej celi, wyprowadzono kogoś z sąsiedniej celi wołając: „Radelet!"

Przypatrzyłam się nieznajomemu, spędziłam noc w piwnicy, wyprowadzono mnie stamtąd nazajutrz i wznowiono przesłuchanie:

„A więc ciągle jeszcze nie zna pani Radeleta?"

„Tak — powiedziałam — znam go."

„A, jednej nocy wystarczyło, aby się namyślić?"

„Bynajmniej. Ale to wy przedstawiliście mi Radeleta."

„Jak to?"

„Zanim zamknęliście mnie wczoraj w lochu, wyprowadziliście go wywołując po nazwisku. Popatrzyłam na niego i teraz już wiem, kto jest Radelet."

Na początku Niemiec zaniemówił, a potem zaczął się śmiać: „*Ach, so....* to niezłe!"

Około ósmej godziny wieczór odwieziono mnie do Saint-Gilles i tam zamknięto w tymczasowej celi. Była tam już jedna więźniarka, pani Spanoghe. To nazwisko nic mi nie mówiło, nie wiedziałam, że to jest żona Paula de Hasselt — jak go nazywano w Komecie.

Nazajutrz pani Spanoghe i ja zostałyśmy przeniesione do innej celi. Zaledwie tam weszłyśmy, przybyła trzecia więźniarka. Od razu pomyślałam, że to jest wtyczka, bo zadawała dużo pytań. Moje odpowiedzi były zawsze te same: „Nie wiem za co mnie aresztowano, nic nie wiem, chyba jestem tutaj jako zakładniczka".

Ta kobieta ciągle mówiła, była bardzo wulgarna i opowiadała nam różne śmieszne historie. Po paru dniach odeszła z celi.

Zanim opuściłam Saint-Gilles, chcę opowiedzieć o spotkaniu na codziennej przechadzce w „ćwiartce tortu". Zamieniłam kilka słów z młodą więźniarką, której powiedziałam, że mój mąż także został uwięziony.

„Czy jest w więzieniu za czyny polityczne?" — zapytała. — Chociaż jej twarz wydała mi się sympatyczna, byłam ostrożna i powiedziałam tylko, że tak przypuszczam. Wtedy nieznajoma przedstawiła się: „Jestem Dédée".

Nic mi to nie mówiło, a ona zapytała: „Czy pani mąż nie zajmował się przypadkiem wielkimi ptakami, które spadają z nieba?"

Wtedy zrozumiałam, że mam do czynienia z kimś, kto podobnie jak Antoine należy do Komety. Dopiero po wyzwoleniu dowiedziałam się, że to była Andrée de Jongh.

LOSY DWÓCH RODZIN

— Właśnie tego dnia, kiedy Niemcy zaatakowali Belgię, 10 maja 1940 roku, mój syn Francis obchodził uroczyście swoją promocję w pułku artylerii. Miał wtedy dwadzieścia pięć lat — mówi pani Charlotte Lamquin. — Lucien, mój mąż, był inżynierem górnictwa i dyrektorem huty Foraky pod Hasselt, w belgijskim Limburgu. Mieszkaliśmy tam z dwojgiem pozostałych dzieci; dwudziestoletnią Simone i najmłodszą Marie-Louise. Podczas odwrotu wojsk Francis znalazł się wraz ze swoją jednostką wojskową na południu Francji. W sierpniu do nas powrócił i zaraz zaczął szukać jakiejś konspiracyjnej pracy przeciw Niemcom. Wszedł do Siatki Benoît, która zajmowała się wywiadem, ale po roku powiedział mi: „Mamo, pragnę walczyć w mundurze, w lotnictwie. Pojadę do Anglii".

Odjechał 13 września 1941 roku, zabierając ze sobą plany lotniska w Saint-Trond... Z Anglii odesłano go do Kanady na przeszkolenie. Powrócił do Wielkiej Brytanii i odbywał rajdy nocne nad Niemcami. W nocy z 27 na 28 stycznia 1944 roku jego samolot wpadł w mgłę i rozbił się o skały w Anglii. Załoga zginęła razem z nim. Ale dowiedzieliśmy się o tym dopiero po wojnie.

Pewnego dnia przyszła do nas pani Gérard, żona dyrektora Departamentu Górnictwa. „Proszę, aby pani nam pomogła. Przysyła mnie *Intelligence Service*" — powiedziała.

Zaraz pomyślałam, że pewnie mój syn życzy sobie mojej współpracy z wywiadem.

„Dobrze — powiedziałam — zrobię, co potrafię."

„Czy zgodzi się pani kwaterować u siebie alianckich lotników? Muszę uprzedzić, że za to grozi kara śmierci."

„Oczywiście, że chcę. Tylko muszę przedtem zapytać męża o zdanie."

Dzieciom nic nie powiedziałam, a rozmawiałam z Lucienem dopiero wieczorem, kiedy powrócił z pracy.

„Nie ma o tym mowy — oświadczył mój mąż. Niemcy dość nam robią przykrości z powodu ucieczki Francisa, a przecie wiesz, że zaopatruję w węgiel całą Belgię! Jestem tutaj potrzebny."

„Ależ, Lucien, przecież powiedzieliśmy Niemcom, że nas opuścił i że nie wiemy, gdzie jest!"

„Nie, to nie jest możliwe."

Bezskutecznie powracałam do ataku. Zaczęłam chodzić nadąsana.

„Co się z tobą dzieje? — pytał mąż. — Czy jesteś chora?"

„Nie jestem chora. Ale chcę mieć tych lotników w domu."

„Już ci powiedziałem, że to niemożliwe."

„Słuchaj, Lucien..."

„Stanowczo mówię nie!"

Prawie nie rozmawiałam, dąsałam się na niego. Czas mijał, a pani Gérard oczekiwała mojej zdecydowanej odpowiedzi do trzech dni. Więc znowu zaczęłam:

„Lucien, bardzo cię proszę..."

„Tak ci na tym zależy?"

„Nie możesz sobie wyobrazić, jakbym chciała mieć ich tutaj."

„Dlaczego?"

„Dlatego, że nasz Francis służy w lotnictwie. Kiedy będę miała w domu jego kolegów, to mnie zbliży do niego."

„Dziej się wola Boża — powiedział mąż."

Był koniec stycznia 1943 roku. Pani Gérard przysłała do nas kolegę naszego syna, który nazywał się Lucien Collin. „Bardzo się cieszę — powiedział. — Pomówimy o zakwaterowaniu lotników."

I szczegółowo mi wyjaśniał sprawę. Simone była przy tym i zadeklarowała się: „Ja także chcę pracować. Nie mogę tkwić bezczynnie".

Wtedy Collin nas poinformował, że trzeba go teraz nazywać Josse, że jest tylko zastępcą szefa, a jego zwierzchnik to pan Spanoghe, inspektor *Boule Nationale*, ale powziął decyzję, że Simone będzie sekretarką grupy. Wychodząc, nie omieszkał powiedzieć, że jest nami zachwycony. Potem przyszedł z lotnikiem imieniem Joe.

— Był ogromnie sympatyczny! — zawołała Simone. — Wyjaśnił nam, że spadł w Holandii, ukrył się w dzwonnicy kościoła, stamtąd go zabrał jakiś wieśniak holenderski.

— Przebywał u nas przez trzy tygodnie — wróciła do opowiadania matka. — Każdego ranka zanosiłam mu pierwsze śniadanie do łóżka, pielęgnowałam go...

— Śniadanie w łóżku? A, to rozumiem, dlaczego pozostał u pani aż trzy tygodnie!

— To dlatego, że miałyśmy wielki kłopot z nim w domu — podaje szczegóły Simone. — Ze względu na bezpieczeństwo mama zwolniła służącą, ale ona chciała dalej u nas pracować i przychodziła co rano od ósmej do południa. Bardzo to Hélène odpowiadało, bo dostawała taką samą pensję jak dawniej. Zresztą była to poczciwa kobieta i pewnie by nic nikomu nie powiedziała, ale Josse nie chciał niepotrzebnego ryzyka. A więc Joe pozostawał przez cały ranek w zamkniętym pokoju. — Ja mu zanosiłam śniadanie o wpół do ósmej, zanim przyjdzie Hélène. Potem starałam się tak

urządzić, by mu podać mały koniak z żółtkiem. W południe jadał w naszym towarzystwie, kiedy Hélène już nie było.

— On miał apetyt! — zawołała Simone. — Uwielbiał razowy chleb z syropem.

— Po południu schodziłam do kuchni, a mój Joe razem ze mną: „O, mówił — *my Belgian mammy* — będziemy mieli świetny tort!"

Skoro mnie nazywał swoją belgijską mamusią, co miałam robić? O czwartej dostawał tort na podwieczorek. Kiedy odjeżdżał, ucałował mnie i powiedział: — *My Belgian mammy, God bless you!* Chciał, żeby Bóg miał mnie w swojej opiece, doprawdy wzruszające pożegnanie...

Pani Lamquin tonie we łzach, a jej córka Simone ociera oczy. W tych dwóch godnych podziwu kobietach odnajduję swoich znajomych przewodników, którzy opróżniali dla mnie szafę z żywności, otwierali najlepsze butelki, dziękując za zaufanie, którym ich obdarzyłem, a przecież moja obecność narażała ich na śmiertelne niebezpieczeństwo.

— A więc zaangażowały się panie w tę akcję. Jak się raz zacznie, to nie można się powstrzymać...

— Tylko tego pragnęłam — wzdycha pani Lamquin. — Kiedy Joe odjechał, przez kilka dni nie miałyśmy lotników i wtedy myślałam: „Mój Boże, co to ma znaczyć, dlaczego ich do mnie nie przysyłają?" Drugi przysporzył nam wiele kłopotu. Był to Szkot, Archibald miał na imię, tak się bał, że na nas ściągnie przykrości, że chciał się sam zgłosić do Niemców. Na szczęście przyszedł Josse i obiecał mu odjazd w następnym dniu. Wtedy uspokoił się.

— Czy żaden z lotników nie sprawił pani większego kłopotu?

— Nie. Byli bardzo mili. Ale my przyjęliśmy ich tylko sześciu, za mało, jak uważam. Lecz Josse chciał też w tym brać udział, a więc część była u nas, a część u niego.

Kiedy Niemcy zjawili się u niego, w czerwcu, miał dwóch Anglików. Pana Spanoghe aresztowano dziesięć dni wcześniej.

Jak doszło do złapania tych lotników, opowiada pani Clémentine Collin, żona Josse'a:

— Dwaj Anglicy zwali się Horace Horton i Edward Nicholson. Mój mąż przyprowadził ich od pana Machielsa. Zestrzelono ich 12 czerwca nad Maaseik, kiedy wracali z Düsseldorfu. Przypominam sobie, że byłam wtedy chora i leżałam w łóżku.

Drzwi nie były zamknięte na klucz, bo posługaczka miała nadejść, tak że gestapowcy tylko przekręcili gałkę u drzwi. Było to 15 czerwca o wpół do ósmej rano. „Niemiecka policja! Rewizja!" — usłyszałam.

Do rewizji byliśmy przyzwyczajeni, gdyż Niemcy niejeden raz już przychodzili, ale z innych powodów, raz aresztowali mego męża, potem wypuścili. W domu było dwoje naszych dzieci, Marèse i Baudouin. Tymczasem nadeszła dochodząca pomoc domowa, a ja chciałam uprzedzić Anglików na piętrze. Pytam Niemców, których było siedmiu, w mundurach i w cywilu:

„Czy mogę ubrać dzieci, by poszły do szkoły?"

„Gdzie chce pani to zrobić?"

„Tutaj, na dole, w kuchni."

„Dobrze, można."

Kiedy już znalazłam się w kuchni, chwyciłam odzież dzieci, wbiegłam na trzecie piętro, mówiąc do Anglików: „Są tu Niemcy, uciekajcie przez dach!"

Potem zeszłam. Przybiega dowódca Niemiec:

„Skąd idzie pani?"

„Pozwolił mi pan ubrać dzieci!"

„Tutaj na dole, a pani schodzi z góry!"

„Musiałam pójść po odzież, przyniosłam ją."

Ubieram dzieci w kuchni, wpycham do tornistra kompromitujące papiery i rewolwer i mówię do posługaczki: „Pójdziesz z dziećmi, ale nie prowadź ich do szkoły, ale do mojej mamy. Powiedz, że w tornistrze małego jest rewolwer i dokumenty".

Przez cały czas byłam w peniuarze, chodząc wszędzie z Niemcami. W pokoju na górze widzą pościel na łóżku:

„Kto tutaj mieszka?"

„Mój mąż."

„Nie śpicie razem?"

„Nie, jestem chora, mąż śpi osobno."

Wchodzą na czwarte piętro, widzą otwarte drzwi, idą na strych i słyszę krzyki: moi dwaj Anglicy stali tam obok komina. Gdybym kazała dziesięcioletniemu dziecku uciekać przez dach, nie czekałoby na miejscu! Ale i tak nie miałoby to wpływu na nasze losy, bo gestapo znało wszystkie dane.

— To prawda — potwierdza Simone Lamquin. — Gestapowiec z Paryża, Jean Masson, wcisnął się do Komety twierdząc, że Londyn stracił zaufanie do Limburga, a więc musi otrzymać listę wszystkich ważniejszych agentów. Kiedy mnie przesłuchiwano, gruby Weber powiedział: „Nie ma co zaprzeczać i opowiadać historyjki! Pokażę pani, jakie dokumenty znaleźliśmy!" I pokazał mi listę, przysłaną przez gestapo z Paryża, listę znalezioną przy panu Spanoghe w chwili jego aresztowania.

Klementyna Collin powraca do swojej relacji:

— Niemiec każe mi się ubierać i pyta o Anglików.

„Nie wiem." — mówię.

„Jak to?"

„Nie znam tych ludzi. Nie wiem, skąd tam się wzięli."

Gestapowiec wybucha śmiechem: „No, Louise, dość już tych komedii!"

Kiedy mnie nazwał konspiracyjnym imieniem, zrozumiałam, że wie wszystko. Musiałam ubrać się przy tych ludziach i zawieźli mnie do więzienia w Hasselt. Po czterech dniach przeniesiono mnie do Saint-Gilles, w tym samym czasie, co Simone Lamquin. Męża trzymali tylko jeden dzień w Hasselt. Potem odsyłano go z więzienia do więzienia: do Forest, do Saint-Gilles, do Antwerpii i z powrotem do Saint-Gilles, skąd wywieziono go do Niemiec 31 grudnia 1943 roku. Dopiero po powrocie z obozu dowiedziałam się, że rozstrzelano go w Ludwigsburgu 30 czerwca 1944 roku, razem z panem Spanoghe. Zanim to nastąpiło, mieli skute ręce i nogi przez sześć miesięcy. Pierre Van Dinter i Jean Mobers także zginęli rozstrzelani.

— U nas — mówi pani Lamquin — działo się to w godzinach popołudniowych, tego samego dnia, 15 czerwca. Mieliśmy zasiąść do stołu razem z małym Luc, który stracił swoją mamę i nie mógł zostać sam. Dzwonek do drzwi, Simone otwiera. Opowiedz, tyś pierwsza zobaczyła Niemca.

— Odbyło się to całkiem prosto. Przede wszystkim powiedział: „Pani jest Yvonne!"

Zaprzeczyłam: „Nie nazywam się Yvonne, ale Simone". — Oczywiście, że to nic nie pomogło. Nasz dom był narożny, z wejściem od Chaussée de Liège i drugim tylnym, od ulicy Avenir. Niemiec wszedł z towarzyszem, ten drugi natychmiast pobiegł zamknąć drugą bramę. A potem zaczęli robić wszędzie rewizję. Tego dnia nie mieliśmy nikogo i niczego nie znaleźli.

— Oprócz mojej biżuterii — jęknęła pani Lamquin. — Piękne klejnoty, które dostałam od męża, ukradli je wszystkie! To był piątek. Zabrali nas do więzienia w Hasselt, a także wzięli aparat radiowy...

— W więzieniu — kontynuowała Simone — spotkałam się z Josse'em i Irmą, „dziewczyną z młyna". Biedaczka, Niemcy pogruchotali jej palce u nóg, stawiając na nich krzesło. Wieczorem wszystkich nas odstawiono do Saint-Gilles, umieszczono w pojedynczych celach. Matka, siostra i ojciec przybyli tutaj w piętnaście dni później.

Pozostałam w więzieniu Hasselt z córeczką Poupette, jak nazywałam małą Marie-Louise, i z panią Collin. Byłyśmy wszystkie trzy razem.

Sąsiadka zatelefonowała do huty: „Panie Lamquin, u pana w do-

mu aresztowania, niech pan będzie przygotowany, że zjawi się gestapo". Mąż zdążył wydać kilka poleceń i kiedy Niemcy przyszli do biura, odjechał z nimi.

Przez piętnaście dni był spokój, zostawiono nas w spokoju, bez przesłuchania, a potem załadowano do sześcioosobowej furgonetki: było nas wewnątrz aż siedemnaście osób. Kiedy przyjechaliśmy do Saint-Gilles, rozdzielono nas do prowizorycznych cel. Poupette rozmawiała ze mną przez rurę centralnego ogrzewania i płakała. Miała zaledwie siedemnaście lat.

„Mamo, co się ze mną stanie bez ciebie!"

„Słuchaj, córeczko, powinnaś być odważna, może umieszczą nas razem w innej celi."

„Mamusiu, nie mogę spać, myślę o tobie, o wszystkich!"

Wtrąca się do rozmowy Simone:

— Chociaż miała tylko siedemnaście lat, już pracowała w podziemiu, należała do grupy zwanej „Titine". Razem z Josse'em pojechała zawieść do Brukseli rewolwery. Trzymali mnie przez sześć tygodni w odosobnieniu, przesłuchiwali dwa razy. Robił to Weber i drugi, którego nazywano „4-E", ale nie znamy jego nazwiska. Nie mogę się skarżyć, że mnie źle traktowali, rozmawiali nawet na temat polityki. W pewnej chwili Weber zadał mi pytanie: „Czy pani wie, Anglicy zapowiedzieli, że jutro wylądują na naszym wybrzeżu?"

„Pan w to wierzy?" — spytałam.

„A pani nie wierzy?"

„Niech pan posłucha — powiedziałam. — Niemcy opowiadają tyle bajek, że i Anglicy mogą to samo robić." Wtedy chciał mnie uderzyć w twarz, tak się rozwścieczył, ale uchyliłam się, nie udało mu się. Ciebie, mamo, przesłuchiwał później?

— Chyba po sześciu tygodniach, byliśmy we czworo w lochu przy avenue Louise: Poupette, ksiądz od Św. Ludwika, mój mąż i ja.

Biedny ksiądz, mówił do nas: „Wiem, że mnie rozstrzelają". Nie wiem, co się z nim stało, więcej go już nie widziałam. Wtedy nas wezwano, męża i mnie. „4-E" przesłuchiwał Luciena. Ja słuchałam i nie otwierałam ust, tak że w końcu „4-E" rozgniewał się: „Pani nic nie mówi?"

„Nie mam nic do powiedzenia. Nigdy nie widziałam lotników, byłam chora, ciągle w łóżku."

Jakaś kobieta z gestapo przesłuchiwała Poupette. Podano herbatę, ciastka, aby ją zachęcić do mówienia. Ale wcześniej, zanim wyszła z lochu, wyszeptałam jej do ucha: „Nic nie mów, nic nie wiesz!" I nikogo nie zdradziła.

Kiedy mnie przesłuchiwał, w pewnym momencie powiedział: „Znam rodzinę pani matki. Była Niemką".

Na to aż podskoczyłam: „Robi mi pan największy afront! Moja matka jest z pochodzenia Szwajcarką, a nie Niemką! To co pan mówi nie jest prawdą!"

„Niech pani się nie gniewa. Pani matka nosiła nazwisko wielkiego niemieckiego muzyka Heinricha Fincka!"

„Możliwe, ale to inna rodzina, zaręczam!"

Było jednak za dużo dowodów przeciwko nam. Kiedy mąż nie mógł już dłużej się wypierać, wtedy powiedział: „Będę z panem mówił jak człowiek do człowieka. Chciałem im ulżyć".

„A więc widział pan lotników?"

„Dwóch. Umierali z głodu, zlitowałem się, chciałem im dać jeść. Ale nie byli u mnie w mieszkaniu i moja żona o nich nie wiedziała."

Kiedy to usłyszałam, nie mogłam już się powstrzymać: „To nie jest prawdą. Mąż tak mówi, żeby mnie ocalić, ale to nieprawda".

„A więc pani przyznaje się, że przyjmowała lotników?"

„Nie, bynajmniej się nie przyznaję, ale mój mąż nie ma z tym nic wspólnego."

I oto zaczęliśmy się oboje kłócić. Był tam tłumacz, którego zresztą mąż nie potrzebował, bo mówił tak samo dobrze po niemiecku, jak po francusku i angielsku. W pewnej chwili tłumacz mi mówi:

„Niech pani milczy! Pani mówi za dużo!"

„Przed chwilą robiliście mi zarzut, że nic nie mówię."

Wtedy wmieszał się „4-E", by mi pozwolił wypowiedzieć się. Ten był bardzo dobrze wychowany Niemiec i widział, że ma do czynienia z kulturalnymi ludźmi.

— Czy mogła pani porozumieć się z córką Simone? — zapytałem.

— Nie. Zupełnie nie widywałyśmy się przed procesem. Dopiero 12 listopada około ósmej rano wszystkich nas przyprowadzono do „Hôtel Palace." Z wyjątkiem Poupette, która pozostała w Saint-Gilles, a później Niemcy ją zwolnili po rozprawie jako niepełnoletnią.

— Było nas siedmioro: pan Mansvelt, państwo Detaille, panna Pilatte i jak w piosence: „Tata, mama i ja" — mówi Simone.

— Mego męża skazano na osiem lat, mnie na pięć, bo dalej twierdziłam, że nikogo nie widziałam — mówi matka Simone. Córka wszystko wzięła na siebie i skazano ją na karę śmierci. Pan Mansvelt dostał dziesięć lat, państwo Detaille i Jacqueline Pilatte skazano na karę śmierci, tak jak i Simone, którą wywieziono do Niemiec 3 stycznia. Strażniczka przyszła mnie uprzedzić, że ją zabierają

i musiano mi podawać digitalis, żebym nie umarła na serce. Potem odesłano mnie do więzienia w Forest, gdzie pozostałam aż do wyzwolenia Brukseli, a mego męża do Niemiec. Nie miałam żadnych wieści o mężu od chwili jego wyjazdu, od piątego lipca 1944 roku.

30 kwietnia 1945 roku ktoś dzwoni do naszego domu w Hasselt. Otwiera nasza poczciwa Hélène i widzi jakiegoś nędzarza. Z trudem rozpoznała w nim Luciena. „Ach, to pan?" „Tak, Heleno. Gdzie pani?"

Była godzina kolacji. Drzwi do jadalni otwarte. Pierwsze jego słowa brzmiały: „To już koniec naszej smutnej przygody".

Przygotowałam mu kąpiel, potem zszedł na dół i spostrzegł portret Francisa udekorowany przeze mnie trójkolorową kokardą.

„Czy masz o nim jakieś wiadomości?"

„Tak" — odpowiedziałam.

„Jak się miewa?"

„Niezbyt dobrze."

„Gdzie jest?"

„W Londynie."

„Pokażesz mi jego listy?"

„Nie, podarłam je, bałam się, że przyjdą Niemcy."

Posłałam Poupette po dwóch naszych dobrych przyjaciół, by mi jakoś pomogli. Przyniosłam krzyż, który Francis zdobył w Anglii, i powiedziałam: „Tylko tyle pozostało z naszego Francisa".

A potem dom napełnił się ludźmi, przyszli sąsiedzi powitać męża. Na drugi dzień odebrałam telefon od przyjaciół należących także do Siatki Kometa. Radio genewskie podało wiadomość, że jest tam Simone, cała i zdrowa, i że wkrótce powróci.

Na zakończenie Simone opowiada, jakie przeszła koleje:

— Przerzucano nas z obozu do obozu. Nie wiem, co się stało, że mnie nie uśmiercono. Prawdopodobnie moje akta personalne zagubiły się. W Ravensbrück wprowadzono do komór gazowych Hélène Pilatte, Gertrudę Moors i wiele innych. Potem nas odesłano do Mauthausen, a stamtąd wyzwolił nas szwajcarski Czerwony Krzyż.

JÉRÔME

Taki pseudonim przybrał sobie Jacques Le Grelle, kiedy wszedł do Siatki Kometa.

Jako porucznik rezerwy brał udział w kampanii na terenie Flandrii w maju 1940 roku. Wzięty do niewoli 28 maja, był inter-

nowany w prowizorycznym obozie w Eeklo, pod Bruges. Stamtąd uciekł i powrócił do Antwerpii. Razem z przyjacielem postanowili przedostać się do Anglii, by walczyć razem. Wyruszyli na ślepo 13 sierpnia 1941 roku. Dopisywało im szczęście, znaleźli się w Tuluzie, potem w Perpignan. Zapoznali się z przewodnikiem, który doprowadził ich do granicy hiszpańskiej i wskazał mniej więcej kierunek marszu. Przyszli na dworzec, wsiedli do pociągu i tam wpadli w ręce policji. Pod eskortą odprowadzono ich do Figueras. Nastąpiło przesłuchanie, konfiskata książek, dolarów i złotych monet. Wtrącono ich do przepełnionego więzienia, rojącego się od robactwa. Było tam niewielu więźniów politycznych, a przewaga pospolitych przestępców. Po ośmiu miesiącach ich zwolniono, a zaledwie wyszli na wolność, na nowo zamknięto, gdyż przebywali w Hiszpanii bez paszportów, bez wiz, bez pieniędzy. Przeszli kolejne etapy pozbawienia wolności w koncentracyjnym obozie w Figueras, potem w więzieniu w Saragossie, wreszcie w obozie Miranda. W końcu Jérôme wyszedł na wolność dzięki brytyjskiej ambasadzie, ponaglanej przez jego przyjaciół z Londynu.

Dopiero w rok od wyjazdu z Antwerpii dotarł do Anglii.

— Byłem mocno wściekły, że dobry kawałek wojny odbył się beze mnie — opowiada. — W Londynie zaproponowano mi trzy możliwości. Pracę na miejscu, w biurze. Albo wyjazd do Konga. Albo wykonywanie zadań na terenach okupowanych. Wybrałem to trzecie. Belgijska Sûreté w Londynie mnie przesłuchała i dała wizę wyjazdową. Zgłosiłem się do Anglików pod jakimś przybranym nazwiskiem, ale oni mi powiedzieli: „Odtąd będzie się pan nazywał Lewis i jest pan porucznikiem *R.A.F.* Chociaż pańska misja jest pilna, musi pan wyćwiczyć się w skokach ze spadochronem, bo za pomocą niego dostanie się pan na miejsce przyszłej pracy".

Wyjechałem więc na trening do ośrodka w okolicach Manchesteru. Był to ośrodek ściśle tajny, spotkałem tam kolegów, którzy nosili maski, aby uniknąć skutków mogącej się zdarzyć niedyskrecji.

Przybrałem kilka kilo na wadze, ale fizyczny stan mojego zdrowia na skutek pobytu w więzieniach hiszpańskich ciągle pozostawiał wiele do życzenia. Wykonałem pierwszy skok: „Bardzo dobrze, brawo!"

Wykonałem drugi — i złamałem kręgosłup, co było bardzo bolesne. Ocknąłem się w szpitalu wojskowym z gipsem założonym od brody do bioder. Po dziewięciu miesiącach uznano mnie za wyleczonego i zetknąłem się ponownie z Anglikami od specjalnych poruczeń: „Panie Lewis, pana zadanie jest naprawdę pilne". Oświadczyłem, że jestem gotów wyjechać, choć w dalszym ciągu nie wie-

działem, o jaką pracę chodzi. Dopiero wtedy powiedziano mi bardzo ogólnikowo o linii ewakuacyjnej dla lotników i w końcu maja 1943 roku odesłano mnie wielkim samolotem „Catalina" [1] do Gibraltaru, gdzie przyjął mnie bardzo miło oficer Jego Królewskiej Mości, zapraszając na whisky.

Przebywałem przez kilka dni w Gibraltarze, zamknięty w anonimowej willi, bo wszystko odbywało się jak najbardziej tajnie ze względu na wielu szpiegów będących na usługach wywiadu niemieckiego, rozsianych na czatach w Hiszpanii. Nawet brytyjski wywiad nie wiedział, że byłem na Roc [2]. Pewnego wieczora przyszli po mnie, wsiadłem do bardzo niepozornej łodzi, wyposażonej jednak w bardzo silny motor. Zobaczyłem na dnie beczki z mazutem i paki pełne tytoniu, nie mówiąc już o oficerach i załodze *Royal Navy*, uzbrojonej po zęby. Odbiliśmy od brzegu przy zgaszonych światłach i w całkowitej ciemności spotkaliśmy się z rybackim statkiem hiszpańskim. Na jego pokład wywindowano beczki z mazutem, tytoń i mnie. Łódź angielska zniknęła w ciemności, a hiszpański statek skierował się na pełne morze. Wskazano mi kuszetkę o wiele dla mnie za krótką w zakamarku, gdzie obrzydliwie śmierdziało zepsutą rybą. Statek kołysał się, wznosił i opadał, wyszarpując ze mnie wnętrzności. W pewnym momencie motor zatrzymał się, marynarze zarzucili sieci, wyciągnęli ryby i zaczęli je smażyć na zjełczałej oliwie. Uraczyli się tym posiłkiem, próbowałem, ale zbyt było to cuchnące, abym mógł przełknąć.

Minęło chyba półtorej doby, bo w ciągu dnia statek znowu zatrzymał się, zrozumiałem, że jesteśmy niedaleko Walencji, gdzie miałem wylądować. Cały mój bagaż mieścił się w kieszeni: grzebień i maszynka do golenia. Dano mi do ręki wędkę i wskazano zbliżającą się małą barkę rybacką. Kiedy wskoczyłem do niej, był tam mężczyzna, który dał mi znak, żebym tak samo jak on, zanurzył wędkę w wodzie. Ciągle udając, że łowimy ryby, weszliśmy do portu Walencja, gdzie płynąc wzdłuż redy dalej moczyliśmy wędki w wodzie. Potem zjawił się jakiś Hiszpan, odebrał mi wędkę i oddał pod opiekę innego Hiszpana, który dał znak, bym szedł chodnikiem, on maszerował drugim, równolegle do mnie, po drugiej stronie jezdni. Zobaczyłem niebawem, że wchodzi do jakiegoś domu, poszedłem za nim, gdzie mnie przyjęli jacyś wyjątkowo serdeczni ludzie, nie zwracali na to uwagi, że byłem brudny,

---

[1] wodnopłatowiec produkcji amerykańskiej, używany szczególnie do ochrony konwojów morskich i ścigania łodzi podwodnych (przyp. autora)

[2] Roc, czyli Skała, tak zwano Gibraltar w skrócie

o odrażającym wyglądzie, cuchnący, całkiem przesiąknięty odorem zepsutej ryby. Kiedy nadszedł wieczór, podali na stół ogromny półmisek z ryżem, szynką, małżami, langustami, porcjami ryby. Teraz to danie jest bardzo modne, i nazywa się chyba *la paella valenciana* lub coś w tym rodzaju. Nie znałem nazwy, ale uznałem potrawę za wspaniałą, zwłaszcza że była obficie zakrapiana winem, które mnie rozgrzało.

Potem mogłem umyć się od stóp do głów, poszedłem do łóżka i pogrążyłem się w sen. W czasie kiedy spałem, zacni gospodarze wyprali moją bieliznę i wyczyścili ubranie. Wspaniali ludzie! Tacy uprzejmi!

Bielizna nie była jeszcze sucha, kiedy przyszedł po mnie jakiś Brytyjczyk. Nie mówiąc słowa zaprowadził mnie do Konsulatu Wielkiej Brytanii, gdzie nie miano zielonego pojęcia, kim jestem. Uznano mnie za Polaka pochodzącego z Francji. Potem nadjechał z Madrytu sekretarz ambasady z żoną. Pojechaliśmy jego wozem w nocy, bez jednego słowa wyjaśnienia. Coraz bardziej czułem się paczką mięsa przerzucaną z miejsca na miejsce. Jeszcze przed wschodem słońca wysiedliśmy z auta. Byliśmy w Madrycie.

Rano odwiedził mnie ten, którego pan nazywa „Timothy". Anglik, z którym doskonale się rozumiałem, gdyż świetnie mówił po francusku i bardzo lubił polowanie. Umieścił mnie w jakimś mieszkaniu na kilka dni.

Pojechaliśmy wozem ku francuskiej granicy. W przejeździe widziałem katedrę w Burgos i wieże obserwacyjne obozu Miranda. W San Sebastián „Timothy" przedstawił mi pod imieniem Franco młodego mężczyznę o twarzy energicznej i bardzo sympatycznej. Sądziłem, że to Hiszpan.

Nigdy nie przypuszczałem, że Franco stanie się później moim najlepszym przyjacielem. Ten młody chłopak zaczął opowiadać „Timothy'emu", że wielu jego współpracowników zostało aresztowanych w Belgii i we Francji, tak że sytuacja stała się przerażająca. Ponieważ „Timothy" mnie przedstawił pod nazwiskiem Lewis, myślał, że ma przed sobą Anglika i wprost powiedział: „Nie chcę Anglika w Komecie. Nie chcę wpływów angielskich".

W końcu musiał mnie zaakceptować, bo nie było nikogo, kto by prowadził sektor w Paryżu. Ale był wściekły.

Mieszkaliśmy w San Sebastián we wspólnym pokoju. Zauważyłem fotografię starszej pani, podpisaną nazwiskiem Nothomb. Zrozumiałem, kim jest. Ale byłem zobowiązany do zachowania w tajemnicy swojej narodowości, przyrzekłem to odbierając od wywiadu angielskiego kod, którym miałem się posługiwać w korespondencji z nimi. Nazajutrz wieczorem nastąpiło uciążliwe przejście przez Pi-

reneje i podróż do Paryża, a potem zaraz wyjazd do Belgii. Kiedy przekroczyliśmy granicę francusko-belgijską idąc lasem, czułem się coraz bardziej wyczerpany, bliski przewrócenia się na drodze, całkowicie już zrezygnowany. Naraz spostrzegliśmy, że zbliża się ciężarówka-wywrotka. Na znak dany przez Franco kierowca zgodził się nas zabrać. Franco usiadł obok niego, a mnie wskazał miejsce z tyłu, na gołej blasze. Wiem, że jeszcze dzisiaj tego żałuje.

To prawda — powiedział Franco. — Pierwsze moje spotkanie z Jérôme było bardzo chłodne. Pan go zna, milczące usposobienie, a z drugiej strony zadanie powierzone mu przez Londyn nie usposabiało do zwierzeń. Odczuwałem względem niego nieufność, prawdopodobnie z tego powodu, że byłem jeszcze bardzo młody i nie chciałem brać sobie na głowę człowieka starszego od siebie. Ale najważniejszym motywem była obawa, jaką odczuwaliśmy wszyscy — żebyśmy nie podlegali nadzorowi Londynu.

Przyznaję, że byłem bardzo twardy dla Jérôme'a. Wiedziałem, że jego przyjazd opóźnił się w następstwie wypadku, jaki go spotkał podczas ćwiczeń ze spadochronem, a jednak, nie dając chwili wytchnienia, narzuciłem mu szalone tempo. Maszerował przez Pireneje całą noc, nie dałem mu odpocząć u Katalin, choć widziałem, jaki był znużony. Wystawiałem go na próbę. Bezzwłocznie wyjechaliśmy do Paryża i dalej do Lille. Następnej nocy przechodziliśmy granicę, a rano pojechaliśmy autostopem. Usiadłem impertynencko w szoferce, a biedny Jérôme musiał jechać na platformie. Nie był zadowolony, ale słuchał. Ani razu nie zaprotestował.

W Liège zetknęli się Antoine'em d'Ursel, zwanym Jacques Cartier. Kiedy nastąpiły masowe aresztowania w Brukseli, udało mu się uciec.

— Rozmawialiśmy o reorganizacji Komety — opowiada Jérôme. — Trzeba było znaleźć kogoś, kto by odpowiadał za Brukselę, ja objąłem sektor paryski, a Franco zachował dla siebie Południe. Powróciłem więc po kryjomu do Paryża i bardzo się bałem.

Podnosząc ku mnie wzrok, Jacques le Grelle nieśmiało się uśmiechnął. Znając jego bohaterstwo, wzruszony byłem tym przyznaniem się do strachu, jeszcze bardziej wzrósł mój podziw dla niego i jego towarzyszy.

O napiętej atmosferze opowiada Franco:

— W Paryżu zatrzymaliśmy się u Maxa Rogera. Tam wpadł w moje ręce brulion wiadomości przeznaczonej dla Londynu, którą Jérôme zredagował, by ją przekazać szyfrem. Składał raport o tym, co zastał w Komecie, i przedstawił mnie jako osobnika zazdrosnego o władzę. Wtedy mu powiedziałem, że albo wejdzie do Siatki i zerwie kontakt z Londynem, albo odwiozę go do Hiszpanii

i na tym koniec. Zgodził się ze mną i atmosfera się oczyściła. Nigdy już między nami nie było zatargów. Troska Londynu, by otrzymywać informacje, była całkiem normalna, ale byłem spadkobiercą idei Dédée, byśmy pozostali niezawiśli. Gdybym postępował inaczej, byłbym się sprzeniewierzył temu założeniu.

W związku z tym pani de Greef ułożyła list do „Timothy'ego," kopię ma do dzisiaj. Nosi datę 24 czerwca 1943 roku.

Drogi Panie,

Zastanawiałam się nad kwestią pieniężną. Uważam, że przyjazd Jérôme'a w niczym nie powinien wpłynąć na zmianę ducha i niezależności Siatki, która zgodnie z wolą Dédée była zawsze samodzielna. Ponieważ Jérôme ma pracować z nami, to jest całkiem oczywiste, że wszelkie koszty z tym związane będą obciążały Kometę. Absolutnie sobie nie życzę, żeby żył na inne konto. —

— „Timothy" to bardzo dobrze zrozumiał — dodała pani de Greef. Jestem zresztą przekonana, że był tego samego zdania, co my.

Siatka nasza zawsze z góry ponosiła koszty i nigdy nie żądała nic więcej, jak zwrotu sum wyłożonych na lotników. To sprawiło, że Anglicy nie mieli prawa wydawać nam rozkazów. Otrzymywaliśmy od nich zalecenia i rady, ale nigdy nie były to rozkazy. Aż do końca Kometa była naszą sprawą i niczyją więcej.

JEAN DELTOUR

Jean Deltour — to był Jules Dricot, zabity przez SS w kwietniu 1945 roku w wieku 31 lat podczas konwojowania zbiegów z Magdeburga do Dessau. Jego przyjaciel Jules Mondry ożenił się z wdową po przyjacielu, by roztoczyć opiekę nad jego czworgiem dzieci. Ją także wywieziono do Niemiec.

Przeprowadziłem wywiad z Francine Mondry, na temat jej pierwszego męża.

— Mój mąż był podporucznikiem w pierwszym pułku strzelców. Ciężko ranny w bitwie nad rzeką Lys w maju 1940 roku, dostał się do wojskowego szpitala w Antwerpii. Po miesiącu zwolniono go. Z zawodu architekt, nie podjął się pracy po to, żeby poświęcić się walce z wrogiem. Pomagałam mu, jak mogłam.

W czerwcu 1940 roku obie z matką znalazłyśmy w skrzynce

listowej tajną ulotkę napisaną na maszynie: było to pierwsze wydanie „La Libre Belgique". Przepisałyśmy ją w dwudziestu egzemplarzach i rozdałyśmy znajomym. Kiedy mąż powrócił do domu w końcu czerwca, pochwalił nas i poszukał członków redakcji „La Libre Belgique". Postarał się o maszynę do powielania. Do czasu, zanim gazetka pojawiła się jako drukowana, produkowaliśmy na powielaczu średnio tysiąc egzemplarzy raz na dwa tygodnie, nie licząc ulotek. W 1941 roku naklejaliśmy na bramach domów i w tramwajach ulotki przedstawiające Hitlera z nogami rozstawionymi w kształcie odwróconej litery V nad Belgią, w śmiesznej postawie. Zamówiliśmy trzy tysiące tych ulotek u naszego drukarza, ale on źle zrozumiał i wydrukował ich trzydzieści tysięcy. Dosłownie w nich tonęliśmy. Przyjaciele pomogli je rozdawać. Gubernator Konga otrzymał także jedną w Leopoldville, Bóg wie jakim cudem!

Nie zawsze wszystko wyglądało różowo. Aresztowano znajomego, który nam dostarczał „La Libre Belgique". Doniesiono okupantom, że jest dystrybutorem gazetki. Skazano go na trzy lata ciężkich robót, ale nie wydał nazwisk redaktorów. W kilka miesięcy później znajoma, która nam przynosiła inną tajną gazetkę, „La Voix des Belges", także uległa aresztowaniu. Z powodu jej podeszłego wieku — miała prawie osiemdziesiąt lat — Niemcy skazali ją tylko na jeden rok więzienia. Ona także milczała, więc mogliśmy dalej pracować.

Od 1940 roku utrzymywałam łączność z Andrée de Jongh, która też rozprowadzała tajną prasę. W sierpniu 1941 roku przybiegła do mnie: „Przygotuj pokój. Przyprowadzę do ciebie wieczorem Francuza, jeńca wojennego, który uciekł, przechodząc granicę. Zatrzymaj go u siebie przez trzy dni".

Wieczorem przyszedł Jean-Pierre i pilnowałam go z wielkim trudem, gdyż chciał wychodzić to po gazety, to po papierosy, co mnie zmusiło do zamykania go na klucz w pokoju, gdy musiałam wychodzić po zakupy, a czuwała nad nim starsza moja córeczka, zaledwie czteroletnia. Wyjechał z dowodem osobistym mojego brata, trochę podretuszowanym. W kilka dni później córeczka otrzymała kartkę z Paryża z ucałowaniami i podpisem Jean-Pierre.

Dzięki kolegom z pierwszego pułku strzelców mąż wszedł w kontakt z Wywiadem Athos, sekcją Wywiadu Zero. Informacje zbierane w całej Belgii przychodziły do nas, mąż je studiował, kompilował, sporządzał raport, Robert Merckiers go fotografował, a negatyw przesyłali do Londynu. Raport zawierał dane o przemieszczeniach wojsk i sztabu generalnego, czasem plany. Plan lotniska niemieckiego w Beauvechain ja narysowałam, a wymierzyłam je krokami

swoich córek, z którymi tam spacerowałam. Jak pan widzi, jeszcze nic poważniejszego się nie działo.

W styczniu 1943 roku mąż otrzymał zadanie od Wywiadu Zero: przerysować na czysto i podać w skali plany dostarczone przez różnych informatorów. Wtedy zabroniono nam wszelkiej pracy na zewnątrz, tak że przestaliśmy rozprowadzać tajną prasę.

W czerwcu 1943 roku objął kierownictwo nad przerzutami lotników, którzy spadli na spadochronach w Belgii i ja z nim razem pracowałam. Przygotowywałam fałszywe dowody osobiste belgijskie i francuskie. Dysponowałam wszystkimi pieczątkami, których Niemcy wymagali, miałam pół tuzina różnych piór dla zmiany charakteru pisma, rozmaite atramenty. Mąż nauczył mnie nadawać stary wygląd dokumentom przez pocieranie ich podeszwą bucika, robiąc tłustą plamę albo wyginając rogi. Trzeba było wyszukiwać takie nazwiska, które by lotnicy mogli bez trudu wymawiać, potem należało ich nauczyć na pamięć danych personalnych, zawartych w dowodzie osobistym, co przychodziło z wielkim trudem. Nigdy nie miałam pewności, czy ta lekcja, przeprowadzona z takim wysiłkiem, nie ulegnie natychmiast zapomnieniu. Sfabrykowałam około stu pięćdziesięciu takich dowodów, muszę przyznać, że nieźle się udały.

Siatka funkcjonowała, ale nie omijały jej ciosy. Mężowi, zwanemu w Siatce Jean Deltour, wydawało się, że w Brukseli grunt mu się pali pod nogami. Wynajął wtedy duży dom w Bierghes, pod Wavre. Tam odwiedzało nas wiele osób. Ukrywała się u nas młoda Żydówka Sofia i nasza koleżanka „Charles", poszukiwana przez gestapo. Mąż był tak zajęty, że widywałam go raz lub dwa na tydzień. Wyszukał nowe punkty przejść granicznych i pomocnika w osobie Jacques'a de Bruyn, którego zwaliśmy Jack.

*

Dowiedziałem się skądinąd o takiej rozmowie. Kiedy Jean Deltour miał skrupuły, że jego podziemna działalność naraża życie Francine i rodziny, ona odpowiedziała: „Nie martw się. Idź tam, gdzie widzisz swój obowiązek".

JACK I JEGO MATKA

Rozmawiam teraz z Jacques'em de Bruyn zwanym w Komecie Jack.

— Jules Dricot — opowiada pan de Bruyn — poprosił nas przede wszystkim o udzielenie azylu. Zacząłem od zwerbowania mojej matki. Lotnicy przybywali o każdej porze dnia i trzeba było ich przyjmować jeszcze przed skierowaniem na kwatery. Nazajutrz kilku przyprowadziła Michou.

Mówi pani de Bruyn:

— Pomyślałam: „cóż to za kobieta tak się szwenda z mężczyznami"? I zrozumiałam, czemu mówiono mi o „pakunkach", była ich większa ilość. Mogłam pomieścić jednego, a co z innymi? Musiałam telefonować i tu, i tam...

— Ten ciągły ruch powodował chyba jakieś komplikacje?

— Nie u nas — mówi Jack — ale czasami w drodze, zanim odprowadziliśmy naszych gości. Oczywiście, że powtarzaliśmy im zwykłe zalecenia: milczeć, nie ruszać się z miejsca, wyjmować dowód osobisty w przypadku kontroli, ale różnili się temperamentem, jedni byli spokojni, a drudzy nerwowi. Jeden nic nie mówi, kiedy mu depczą po palcach, a drugi klnie. Zdarzało się przekleństwo wypowiedziane w takim języku, że zwracało uwagę wszystkich pasażerów w tramwaju. Podobne perypetie zachodziły przy odprowadzaniu lotników na Dworzec Południowy, ale to już robiła moja matka.

— Czy przypominasz sobie jegomościa — przypomina pani de Bruyn — który u nas mieszkał, doskonale mówił po francusku i ciągle cię pytał, czy możesz mu dostarczyć taką lub inną książkę? Puchły nam uszy od jego ciągłego powtarzania: „U nas w Londynie jest tak a tak..." W domu, to jeszcze mogło uchodzić, ale kiedy pojechałam z nim na dworzec przez całą drogę ten sam temat: „U nas w Londynie..." W tramwaju udawałam, że tego nie słyszę, ale on nalegał: „Dlaczego tak jest w Belgii? Bo u nas, w Londynie..." Udawałam, że go nie znam, ludzie przyglądali mi się... — Ten pan nie był lotnikiem. Nie byliśmy całkiem jego pewni, bo twierdził, że spadł ze spadochronem w Holandii dla wypełnienia specjalnej misji i że należy do *Foreign Office* [1].

— Mam ciągle wyrzuty sumienia, że go nie zatłukłam — łagodnym głosem oświadcza Michou, tak łagodnym, że wywołuje ogólny wybuch śmiechu.

---

[1] Brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych

— Nie wiedziałem, że jest pani taka sprawna i szybka w działaniu! — mówię.

Michou spokojnie wyjaśnia:

— Od pierwszej chwili nie miałam zaufania do tego człowieka, nazywano go „Patrick". Zanim go odprowadziłam do Jacka, zapytałam naszego kolegi „Rio", czy można by jakoś usunąć typa, który mi się nie podobał. Postanowiliśmy, że wyprowadzę go na samotny spacer przy końcu alei Brocqueville, tam było całkowite pustkowie, ale powiedziałam o tym Jules'owi Dricot, a on zaproponował, bym go do niego przyprowadziła, weźmie go na spytki. Usłuchałam go, ale po miesiącu dowiedziałam się, że osoba, u której mieszkał w Liège, skąd go przywiozłam do Brukseli, została aresztowana. Była to pani Dewé, bardzo zasłużona, jej brat kierował Wywiadem Clarence. Tylko ja jedna wiedziałam prócz Patricka, że on u niej mieszka. Potem okazało się, że był naprawdę Anglikiem, ale wcale nie zrzucono go do Holandii. Znajdował się tam w momencie wypowiedzenia wojny i ukrywał się po wkroczeniu wojsk niemieckich. Kiedy po raz pierwszy spotkałam „Timothy'ego", powiedziałam mu o nim. „Timothy" twierdził, że Patrick jest ważną osobistością, ale to nie przeszkodziło, że odesłano go na rozmyślania do Tower w Londynie.

— Wiem tylko tyle — wróciła do swojego opowiadania pani de Bruyn — że odetchnęłam z ulgą, kiedy przyjechałam na dworzec i przekazałam go komu innemu. Oprócz niego był jeszcze ranny Kanadyjczyk, miał dwie kule w ramieniu i należało go za wszelką cenę operować. Nie mieszkał u mnie, poszłam po niego i zaprowadziłam do kliniki, do sióstr augustianek, zawsze dla nas życzliwych. — Nie zadawały pytań, a zajmowały się, czym trzeba. Lekarz go zbadał i zatrzymał. Matka przełożona dała mu osobny pokój i opiekowała się nim przez osiem dni. Potem go zabrałam i nie miałam z nim żadnych kłopotów.

— Opowiadała mi pani, że zamawiała pani kwatery dla lotników telefonicznie?

— Oczywiście. To był jedyny sposób, aby sprawę szybko załatwić.

— Ale to było niebezpieczne, przypuszczam, że w Brukseli, podobnie jak w Paryżu, telefony były na podsłuchu?

— O tym wiedzieliśmy. Trzeba było zachować ostrożności. Telefonowałam nie od siebie, ale od mojego lokatora w takiej formie: „Pożyczyła mi pani książkę. Chciałabym zwrócić, ale nie mogę wyjść. Czy mogłaby pani sama przyjść po nią?" Albo: „Czy pani pamięta, że u mnie jest pani kapelusz?" Innym razem to była suknia. Tak umawiałam się.

— Od września 1943 roku byłem konwojentem na trasie Bruksela—granica francuska — mówi Jack. — W Hainaut mieliśmy trzy punkty przejścia, w Rumes, w Hertain i w Sivry. Wyjeżdżaliśmy późnym popołudniem, kiedy robotnicy, pracujący w Brukseli, wracali do domu osobowym pociągiem względnie rzadko kontrolowanym, gdyż zatrzymywał się na wszystkich małych stacjach. Jechaliśmy więc w kierunku Tournai albo Mons, albo Charleroi. Przyjeżdżaliśmy do granicznego zakątka między ósmą a dziesiątą wieczorem. Tam oczekiwał już zmiennik, który zabierał pod swoją opiekę lotników, przeprowadzał przez granicę i przekazywał przewodnikom z Paryża. Konwojentami z Paryża kierował „Jean-Jacques", czyli Albert Mattens. Często na końcowej stacji przygranicznej była obecna żandarmeria, ale przeprowadzaliśmy lotników w tłumie innych podróżnych i nie mieliśmy przykrości. Tak układały się sprawy do stycznia 1944 roku, kiedy sytuacja się popsuła.

MICHOU

Począwszy od 11 sierpnia 1942 roku, dnia aresztowania rodziców i siostry zwanej w Siatce „Nadine", Micheline Dumon ją zastąpiła, stając się „Michou". Pełniła obowiązki łączniczki między Wywiadem Marc, do którego należał jej ojciec, a Szwedzką Kantyną za pośrednictwem Jeana Ingelsa czyli „Jeana de Gand", który stał się jednym z głównych pomocników Jeana Greindla, podobnie jak poprzednio wspierał Frédérica de Jongh.

— Jean de Gand był bardzo załamany przez tragiczne losy rodziny Maréchal i śmierć Victora Michielsa — opowiada mi Michou. Był dobry, myślał o innych, zwłaszcza o młodszych od siebie. Powodowany troską o nich, pojechał do Paryża razem z Nemo i Erikiem de Menten, aby przedyskutować z Dédée sprawę, czy istotnie warto dalej narażać młodzież. Sam był bardzo zagrożony i obiecał mi wyjechać do Anglii. Od niego po raz pierwszy usłyszałam o Franco.

Powiedział mi, że miał umówiony sygnał alarmowy tak w domu, jak i w biurze. Niestety, nie pomogło mu to, dał się aresztować 5 marca 1943 roku. Poszłam do Saint-Gilles zanieść swoim więźniom paczki i zabrać ich brudną bieliznę bardzo wcześnie rano, żeby nie spóźnić się do szpitala. W chwili kiedy przyszłam, brama więzienia była otwarta i zobaczyłam Jeana de Gand między tajniakami.

Był całkiem zmieniony na twarzy. Jestem pewna, że mnie zauważył w momencie, kiedy kazali mu wsiadać do „volkswagena".

Z chwilą jego aresztowania mój kontakt z Kometą urwał się. Nawiązał się na nowo dzięki Walterowi Dewé, kierującemu Siatką Clarence. Dewé, którego nazywaliśmy „Couteau" [1], zapoznał mnie z doktorem René Dumont, a potem z pielęgniarką Hélène Pilatte, z którą zaprzyjaźniłam się.

W maju 1943 roku Hélène przedstawiła mi poetę Fernanda Radeleta, zwanego „Yvan". Prosił mnie o nawiązanie kontaktu z kolegami, którzy przebywali w więzieniu. W niedługi czas później poznałam Jacques'a Cartiera, inaczej mówiąc Antoine'a d'Ursel. 5 czerwca spotkałam Hélène z „Yvanem" i Jeanem Massonem, którego pan de Jongh przysłał z Paryża do Brukseli, aby pomógł przy przekraczaniu granicy. Jacques Cartier powiedział, że naloty na Niemcy stają się coraz bardziej intensywne i lotników spada więcej. Poprosił, abym konwojowała ich od Liège, a równocześnie Hélène z „Yvanem" będzie wiozła do Francji inną grupę. Wyraziłam żal, że niestety nie mogę, bo mam teraz okres egzaminów. Wtedy Jean Masson zapytał: „Co pani studiuje?"

Nie wiem dlaczego ten człowiek nie wzbudzał we mnie zaufania, chociaż wyglądał raczej sympatycznie. Nie odpowiedziałam. Ale Hélène, zawsze żywa jak błyskawica, ujawniła, że robię dyplom pielęgniarki. To mi się nie podobało i wyszłam trzasnąwszy drzwiami.

W trzy dni później, 8 czerwca, Hélène przyszła mnie uprzedzić, że nie ma żadnej wieści od „Yvana", a Jacques Cartier ukrywa się.

Wtedy powiedziałam do niej: „Nie wracaj do domu. Mam pewność, że Jean Masson jest zdrajcą. Wczoraj wieczorem przed pomnikiem Lotników przekazałam «Yvanowi» dwoje «dzieci» i zauważyłam, że w pobliżu kręcą się jakieś dwa podejrzane typy. «Yvan» odszedł z lotnikami. Od tej pory nie daje znaku życia, to znaczy, że aresztowano go. Uwierz mi, że nie powinnaś wracać do siebie!"

Ale Hélène nie posłuchała mnie i zatrzymano ją. Miała w torebce dowody osobiste dwóch „chłopców", które jej dopiero co doręczyłam. Zmarła w Ravensbrück w lutym 1945 roku.

---

[1] Nóż

WZOROWY SZEF

Od chwili aresztowania Paula — opowiada Franco — moje podróże do Brukseli stały się rzadsze. Do tego czasu nawiązywałem kontakt z Jacques'em Cartier raz na miesiąc i także raz w ciągu miesiąca widywałem się z „Timothym" w Hiszpanii. Począwszy od dnia, kiedy Jean Serment objął prowadzenie sektora belgijskiego, to on najczęściej przyjeżdżał do Paryża, aby spotkać się z Jérôme'em, a ja także pojawiałem się tam raz na miesiąc.

Zapowiadałem „Timothy'emu", że auto ma czekać na lotników w San Sebastián na przykład trzeciego, siódmego, jedenastego, piętnastego w przyszłym miesiącu, albo to będzie drugi, szósty, dziesiąty i tak dalej, bo przechodziliśmy przez Pireneje średnio co cztery dni. W pierwszym przypadku mówiłem do Jérôme'a, że ma mi wysłać ludzi z Paryża pierwszego, piątego, dziewiątego itd., zawsze z czterdziestoośmiogodzinnym wyprzedzeniem daty umówionej z „Timothym", w taki sposób, aby skoordynować wyjazd z Paryża z przejściem przez góry. Wytworzyła się taka rytmiczność pracy, jakbym kierował biurem podróży.

Niestety kontrole w pociągach były coraz częstsze. Szczególnie ścisłe począwszy od Bordeaux, na skutek czego postanowiliśmy wysiadać z ekspresu na dworcu Saint-Jean i korzystać z osobowego do Dax. Dalej za Dax kontrola była jeszcze silniejsza. Potem pozostawał już tylko rower. Ciotka Go zapewniła nam raz czy dwa kwaterę w Dax, potem woleliśmy raczej tego samego dnia odbyć drogę na rowerze. Bardzo mi przy tym pomagali Ciotka Go, Janine, Max Roger i Denise Houget. W Saint-Jean-de-Luz mostu na rzece Nivelle w ciągu dnia pilnie strzegli Niemcy, wobec czego starałem się, abyśmy byli na nim przed wschodem słońca. Jechałem bez przedniego światła, ale z tylnym czerwonym, żeby lotnicy nie stracili mnie z oczu. Kiedy już byliśmy w Ciboure, spędzaliśmy cały dzień u Katalin.

Wszystkie te środki ostrożności nie zabezpieczały przed wpadkami. Robert Aylé zapoznał mnie z Jacques'em Tinel, synem paryskiego lekarza. Chłopak skakał z radości na myśl o konwojowaniu lotników. Poszedł ze mną do Hiszpanii, wracaliśmy do Francji do Bordeaux, po następny rzut, składający się z czterech lotników. Między Bayonne a Bordeaux — kontrola. W kieszeni mojego Jacques'a znaleziono paczkę angielskich papierosów, które kupił sobie w San Sebastián. Tłumaczył się, że zaopatrzył się w nie u przemytnika w Bayonne, ale Niemcy zabrali go. Jedno spojrzenie w moją stronę wystarczyłoby, by i mnie aresztowali. Wyszedł z nasze-

go przedziału, jakby mnie nie znał. To było naprawdę wspaniałe jak na chłopca w jego wieku, tak jeszcze niedoświadczonego. Jacques Tinel zginął w obozie koncentracyjnym w Dora z powodu paczki papierosów...

W Bordeaux Marcelle i Rolande przekazały mi czterech lotników i powróciły do Paryża, a ja umieściłem swoich ludzi w „ciuchci" do Dax, gdzie miałem się spotkać z Maxem Roger lub z Ciotką Go, do pomocy w konwojowaniu Anglików na rowerach. Dysponowaliśmy dziesięcioma rowerami, które stale podróżowały tam i z powrotem: po przeglądzie technicznym odsyłaliśmy je pociągiem z Saint-Jean-de-Luz lub z Bayonne do Dax. Kontrolą ich stanu zajmował się nasz znajomy Henri Claverie miał z nimi stale robotę.

Przyjeżdżamy do Dax, idę do przechowalni bagażu i stwierdzam, że mam kwit na odbiór tylko czterech rowerów. Młody kolega, zatrzymany przez Niemców, miał drugi kwit przy sobie. Rozpoznaję jego rower pośród rozmaitych innych, ale co zrobić, by mi go wydano? Koniecznie mi go potrzeba, bo przecież nie pozostawię jednego z lotników...

Zbierając się na odwagę, podchodzę do funkcjonariusza: „Proszę pana, tam jest mój rower, tak, właśnie ten!"

„No więc?"

„Bardzo mi przykro, ale zgubiłem dowód nadania."

„Niestety, żałuję, ale nie mogę go wydać."

Wygląd jego wzbudzał zaufanie, więc postanowiłem zaryzykować. Bez ogródek mu wyznałem, że konwojowałem lotników do Hiszpanii. Mógł mnie w każdej chwili wskazać Niemcom spacerującym po dworcu i byłby koniec. Podrapał się w głowę: „Nie mogę panu wydać roweru. — rzekł. — Jeżeli mnie na tym przyłapią, zwolnią z pracy. Proszę się porozumieć z naczelnikiem stacji. Jeżeli się zgodzi, to dobrze. Może pan z nim rozmawiać bez obawy, to członek Ruchu Oporu".

Poszedłem do naczelnika, opowiedziałem, jak sprawa się przedstwia. Ale widziałem, że mi nie ufa myśląc, że jestem prowokatorem na usługach gestapo.

Nie pamiętam już, czy to była Ciotka Go, czy Max Roger, jedno z nich czekało na mnie w bistro wraz z czterema lotnikami. Tkwili tam dobre trzy godziny. Tyle czasu było trzeba dla przekonania naczelnika stacji. Dając za wygraną, polecił mi wydać rower i wrócił do siebie. Wtedy funkcjonariusz powiedział: „Jeżeli pan chce, mogę się zająć zakupem żywności. Kiedy pan przyjdzie innym razem, wszystko będzie już na miejscu..."

Moje sprawy znacznie się uprościły dzięki niemu. Wiele nam

pomagał. Biedak po wojnie popełnił samobójstwo na tle neurastenii.

— Czy spotykał się pan jeszcze z naczelnikiem stacji?

— Po przyjeździe do Hiszpanii przygotowałem dla niego dużą paczkę różnych smakołyków, których nie można było kupić we Francji. Podczas następnego przejazdu przez Dax nie zastałem go w biurze, więc położyłem tę paczkę na jego stole bez żadnego słowa wyjaśnienia. Potem kilka razy jeszcze rozminęliśmy się na peronie dworca, ale nie patrzyliśmy na siebie.

Proszę sobie wyobrazić, że na tym samym dworcu w Dax zdarzyło mi się ukraść rower samemu sobie. Zgubiłem dowód nadania, a widziałem go pośród innych, wyładowywanych z pociągu. Schwyciłem go i przeniosłem ponad barierą. Ale że musiałem dalej jechać pociągiem do Bordeaux, przeto pchając przed sobą „buchnięty" rower wszedłem znowu na dworzec i pozostawiłem go w przechowalni bagażu.

*

— Dopiero z zapadnięciem nocy przyjeżdżaliśmy — mówiła mi pani de Greef — do Bayonne, podzieleni na dwie grupy. — Dzięki monterowi, którego „B" nazwał „Moon", dysponowaliśmy kluczem do nie znanego lokalu na trzecim piętrze domu w starej dzielnicy. W obawie, aby nie ściągnąć na siebie uwagi lokatorów tej nieruchomości, lotnicy wchodzili tak, jak to robią muzułmanie w meczecie: w pończochach czy skarpetkach, trzymając obuwie w rękach i uważnie stąpając po spróchniałych schodkach, żeby nie trzeszczały, a także wystrzegając się hałasu w zniszczonym mieszkaniu. Konieczność trzymania tam buzi na kłódkę sprawiła, że nazwaliśmy to pomieszczenie „La Casa del Silencio" [1].

Nazajutrz znowu były w użyciu rowery aż do Larressorre, skąd wysłaliśmy je do Dax koleją. Potem rozpoczęło się wolne wchodzenie na Pireneje. Skoro tylko Franco doprowadził chłopców do spokojnego azylu, natychmiast powrócił do Francji i przygotowywał ze mną nowy konwój do Hiszpanii. Nigdy się nie żalił, nigdy nie robił najmniejszej aluzji do nadmiernego zmęczenia, jakie powodowały te nieustanne wędrówki tam i z powrotem. Miał duszę wodza i świecił nam wszystkim przykładem — tak zakończyła swą wypowiedź Ciotka Go.

---

[1] „La Casa del Silencio" (wł.) — „Dom Milczenia"

PORACHUNKI

Kiedy wybuchła wojna, miałem przeszło dwudziestoletnie porachunki do wyrównania z Niemcami — powiedział Elie Miroir, którego koledzy z Siatki nazywali „Rio", a także „Canard". Podczas pierwszej wojny światowej mój ojciec należał do *Mot du Soldat*[1], organizacji przenoszącej do Francji dla naszych żołnierzy wiadomości od ich rodziców, którzy mieszkali w Belgii. Ojciec mój pomagał także w przemycaniu do Francji młodych Belgów, chcących wejść w szeregi naszej armii.

Często jeździłem do Hainaut, przemycając listy do żołnierzy w tornistrze szkolnym, noszonym na plecach, jak wtedy było w zwyczaju. Wsiadałem do tramwaju z lokomotywą przy placu Rouppe i dojeżdżałem do ojca w Soignies[2]. Odbierał grypsy, a dawał mi w zamian żywność, którą zawoziłem do domu.

Pewnego dnia ojca aresztowano i mamę uwięziono w Saint-Gilles, gdzie przebywała około dwóch miesięcy. Miałem wtedy dwanaście lat, a mój młodszy brat Polydore dopiero siedem. Zostaliśmy całkiem sami w domu. Wreszcie mama powróciła do nas, a wkrótce potem przyszli feldżandarmi z wiejskim policjantem z Neuville, z okolic Dinant. Zawiadomił matkę, że ojca mojego rozstrzelano.

W październiku 1939 roku zmobilizowano mnie w stopniu brygadiera, wszedłem do drugiego plutonu samochodów sanitarnych. 11 maja w Saint-Trond Niemcy wzięli do niewoli więcej niż połowę naszej kolumny, ale z pomocą kilku śmiałków następnej nocy udało mi się doprowadzić do Brukseli ludzi i sprzęt. We wtorek, czternastego, porucznik wydał mi rozkaz zorganizowania warty i zasadzek na niemieckich spadochroniarzy. Złapaliśmy osobników ubranych w belgijskie wojskowe mundury, ale mówiących po francusku z podejrzanym akcentem. Przewiozłem ich ambulansem do żandarmerii w Assche, stamtąd kazano mi ich odstawić do Gandawy. Po powrocie na miejsce zakwaterowania nie zastałem już nikogo. Dowiedziałem się, że Tournai uległo silnemu bombardowaniu, pojechałem więc tam ze swoim ambulansem, by pomagać wojskowemu szpitalowi lokującemu się w Passy-Froyennes. Ewakuowaliśmy sporą liczbę rannych, jeżdżąc bez przerwy na sygnale, aby utorować drogę w tłumie uciekinierów. Tak dojechaliśmy do Abbeville. Całkiem ogłuszony wybuchami pocisków i bomb, wpadłem w zasadzkę,

[1] Słowo Żołnierza (fr.)

[2] Soignies — miasteczko na linii Bruksela—Mons, nad rzeką Senne

ale udało mi się przedrzeć i odnaleźć kolegów w Rouen. 10 sierpnia zdemobilizowano mnie w Saint-Maurice-de-Sorgues, w pobliżu Saint-Affrique, i szesnastego byłem już z powrotem w Brukseli, nosząc śmierć w duszy na widok wroga wszędzie rozpanoszonego. Powróciłem do swoich zajęć jako inspektor robót publicznych w gminie Etterbeek.

W nocy z 11 na 12 października 1940 roku angielski samolot zbombardował dawny skład broni armii belgijskiej na bulwarze Saint-Michel, róg szosy Wavre, i bardzo go uszkodził. Okupant zwerbował administrację gminy Etterbeek do naprawy szkód. Wyznaczono mnie do kierowania pracami, co mi dało pierwszą okazję do sabotażu: nie lubię cukru w kostkach, a ciężarowe auta także go nie lubią, jeżeli się go wsypie do benzyny, tak samo jak i cukru pudru. Wyposażony w przepustkę, pod pretekstem nadzorowania robotników spacerowałem między ciężarówkami i dożywiałem ich zbiorniki kostkami cukru z kieszeni. Uradowany tym pierwszym sukcesem, powtórzyłem swój występek w koszarach artylerii. Potem wziąłem pod opiekę pewien skład metali nieżelaznych, aby ochronić mosiądz od zaborczości Niemców. Równocześnie rozdawałem tajne gazetki z pomocą brata Polydora, zwanego „Pol". Rozpowszechnialiśmy „La Voix des Belges", „La Libre Belgique", „l'Insoumis" [1]. Umiałem rysować, więc moje karykatury były drukowane w „Mouvement National Belge" [2]. Mam również zaszczyt pochwalić się, że przyczyniłem się do wydania fałszywego numeru „Soir" z 9 listopada 1943 roku. Furgonetki dziennika uległy sabotażowi, a więc numery sfałszowanego „Soir" dostarczano do kiosków na rowerach i rozprzedawano klientom, którzy zrozumieli sztuczkę dopiero podczas czytania. Jednym z autorów tej farsy, która rozwścieczyła Niemców, był mój przyjaciel Haubinon. Miał w projekcie zrobić to samo z magazynem propagandy niemieckiej „Signal", ale wcześniej aresztowano go.

Muszę panu powiedzieć, że moja żona Catherine w pełni aprobowała tę działalność, starając się mi pomagać ze wszystkich sił. Nieśliśmy także pomoc ludziom, uchylającym się od przymusowej pracy dla Niemców. Dzięki René Pirart dysponowałem fałszywymi drukami zwolnień z *Werbestelle* [3], co ułatwiło sprawę. W nieruchomościach gminy przeznaczonych do wyburzenia i poprzednio opróżnionych z lokatorów ukrywałem także prześladowanych przez Niemców Żydów. Żydom dostarczałem fałszywych dowodów. Taki fał-

---

[1] „Niepodległy"

[2] „Narodowy Ruch Belgijski"

[3] urząd przymusowego zatrudnienia

szywy dokument pozwolił mi wydobyć z Saint-Gilles młodą kobietę jako niesłusznie uwięzioną. Moja różnego rodzaju działalność...

— Mam wrażenie, drogi panie Miroir, że tych wyczynów było mnóstwo i to rozmaitych!

— Musiałem uregulować swoje rachunki z okupantem! Zresztą, kiedy udzielałem się po trochu wszędzie, miałem okazję zbierać informacje o tym, co się działo na dworcach, w lokalach zajętych przez wehrmacht, na lotniskach, w przewozie towarowym kolejowym, przerzutach wojsk, sytuacji sztabów i tak dalej. Podawałem wiadomości do Wywiadu Zero za pośrednictwem François de Neef i do Wywiadu Marc przez panów Maca, de Bilde i Liénarta. Aby pomóc nieodżałowanemu Léopoldowi Prist, odpowiedzialnemu za wywiad *Front de l'Indépendance*, dostarczałem mu planów i dokumentów oprócz informacji. Razem z Romain Fuhrmanem nazywaliśmy go „Arnoldem", Léopold Prist był kilka razy u mnie w sprawie niejakiego Desittera, człowieka bez palca, który kazał się nazywać „de Zutter". Omawialiśmy sposoby, jak położyć koniec jego machinacjom, a także poczynaniom jego kochanki Flore Dings i ich wspólników: Annie Dael, Anciaux i Decocq, którzy byli wszyscy na żołdzie niemieckim. Nieprzyjaciel ułatwił mi zadanie, tworząc „Wielką Brukselę" — gdyż mianowano mnie geometrą czwartego sektora, co mi pozwoliło robić pomiary, wytyczać trasę, ustawiać znaki orientacyjne w miejscu zamieszkania Desittera, przy avenue Slegers.

Léopold Prist opracował plan akcji: domniemany posłaniec z telegramem zadzwoni do Desittera. Kiedy otworzą się drzwi, wyciągnie rewolwer, a jego towarzysze, ukryci na schodach, przyjdą z pomocą. Ale na kilka godzin przed ustalonym terminem akcji Michou przyszła mnie zawiadomić, że Desitter i Flora Dings wyprowadzili się. Straciliśmy ich ślad.

Léopold Prist zginął, zbyt ofiarnie służąc ojczyźnie. Na żądanie swoich przywódców wśliznął się do gestapo, ale partyzanci zabili go w Rouge-Cloître na krótko przed wyzwoleniem, uważając go za nieprzyjacielskiego agenta. To on dopomógł mi stworzyć wywiad śledczy i wywiad ochronny. Partyzanci dali do naszej dyspozycji jednostkę upoważnioną do działań, składającą się z trzydziestu ludzi i auta. Ten zespół miał działać przy avenue Slegers. Miał on za zadanie czuwać na dworcach przed odjazdem lotników, a także nadzorować ich kwatery oraz stanowić ochronę dla Michou i dla mnie w razie ryzykownych spotkań. Michou może potwierdzić, że niejeden raz ta ekipa nam się przydała.

Dla ewakuowania rannych lotników zorganizowałem specjalną obsługę z pomocą gminy Etterbeek, która mi wypożyczyła furgonet-

kę. Skrzynką listową był Bernard Bulteel, a mój brat Pol był łącznikiem z kwaterami, zajmował się fotografiami na poczekaniu i zastępował mnie jako konwojent, kiedy byłem gdzie indziej zajęty. Na zbliżającą się zimę 1943/44 przygotowywałem płaszcze i wełnianą odzież dla lotników.

Byłem stale do dyspozycji Michou, więc miałem przyjemność widywać ją dwa i trzy razy dziennie. Pewnego razu zrobiła mi dobry kawał. Myślałem, że po zakwaterowaniu lotników już skończyłem z pracą w tym dniu, kiedy ona znowu mnie zaangażowała na wyprawę. Powiedziała mi: „Rio, musisz zaraz iść do Fontaine-l'Évêque, jest tam chłopak do zabrania".

Ponieważ nigdy nie umiałem jej odmówić, powiedziałem „Dobrze, zgoda, ale jak to załatwić?"

„Idź do proboszcza, dasz sobie radę."

Jestem u proboszcza, bez żadnego hasła, i pytam o lotnika.

„Proszę chwilę zaczekać — mówi proboszcz — zobaczymy."

Po dobrej chwili przychodzi trzech mężczyzn. „Proszę z nami."

Prowadzą mnie do małej fermy, zamykają drzwi za sobą, każdy z nich wyciąga z kieszeni dużą lufę i otaczają mnie: „Skąd wiesz, że tutaj jest lotnik?"

„Przecież Siatka mnie przysłała."

„Kto potwierdzi, że jesteś z Siatki?"

„Słuchajcie, mogę wam powiedzieć, że w poniedziałek wieczorem nadano z Londynu wiadomość."

„Jaką wiadomość?"

„Nie ma Pirenejów dla wielkich ptaków."

Trzej ludzie zaczynają wypytywać, w jaki sposób odjeżdżają lotnicy. Odpowiedziałem, że jadą do Francji. Więcej nic nie wiem. Dano mi misję, nie pytam a wykonuję, i to wszystko.

Potem toczyły się pertraktacje, wreszcie mi mówią: „Dobrze, zgoda, ale jak go zabierzesz?"

„Dlaczego o to pytacie?"

„Bo jest ranny i nie może chodzić."

„O tym nie wiedziałem."

„Jeżeli nam dostarczysz benzyny, to go odwieziemy do mostu w Hal. Nie można jechać dalej z powodu warty, bo oprócz lotnika będziemy wieźli mięso."

Zrozumiałem, że to są handlarze czarnego rynku. Obiecałem jakoś załatwić. Wróciłem do Brukseli, porozumiałem się z kierownikiem transportu gminy i poprosiłem o furgonetkę. Wyjechaliśmy z kierowcą Lenaertem, zostawiliśmy auto przed wjazdem na most i przeszliśmy obok warty. Trochę szwargotałem po niemiecku, więc powiedziałem: „Widzicie furgonetkę? Jesteśmy z administracji gmi-

ny Etterbeek. Nasza drużyna piłki nożnej grała po drugiej stronie, jest jeden kontuzjowany. Ponieważ nie można tam dojechać, przywieziemy go tutaj". „W porządku" — powiedziała straż.

Odpowiedziałem im pięknym *danke schön* i poszliśmy do kawiarni po drugiej stronie mostu. Trzej faceci z Fontaine-l'Évêque przyjechali swoim autem, Niemiec dał im znak, że mogą przejechać, zatrzymali się przy furgonetce, wartownik przyczynił się własnymi rękami do przeniesienia rannego na noszach do wnętrza naszego auta. Potem dowiedziałem się, że lotnik nazywał się Robert Grimes. Ani przez moment nie pokazał nic po sobie.

Trzej mężczyźni skorzystali, aby odjechać z mięsem, a Lenaerts zapuścił motor furgonetki. Musiałem mu ciągle powtarzać: „Nie jedź tak szybko! Jesteś zbyt nerwowy!"

W końcu dojechaliśmy do panny Camusel w samo południe. Lenaert wziął Roberta na ręce i wszystko poszło dobrze. Odetchnęliśmy z ulgą, kiedy lotnik był już w domu.

Utkwił mu w udzie odłamek szrapnela. Michou zrobiła mu opatrunek, a nazajutrz poszła przedstawić sytuację doktorowi Rouffart. Lekarz zgodził się go zabrać, ale wyznaczył ścisłą godzinę, bo nie mógł się zatrzymać na dłużej niż na dwie minuty. Doktor miał zezwolenie na prowadzenie auta, przyjechał, załadowaliśmy rannego, zawiózł go do swojej kliniki i zrobił rentgen.

Pokazał zdjęcie Michou. „Patrz — powiedział. — Odłamek przebił mięsień i oparł się aż o kość. Wyciągnę to, ale nie może twój przyjaciel tutaj pozostać. Zaleje mu się ranę chlorkiem etylu, żeby za bardzo nie cierpiał, i musisz go zaraz potem zabrać."

Michou wyjaśniła to Robertowi, który zgodził się na operację bez narkozy, prosił tylko, by go uprzedzić, kiedy ten moment nastąpi. Był dzielny, gdyż odłamek miał dobrych dwadzieścia centymetrów długości. Nie wolno mu było się odezwać, bo asystująca siostra nie była wtajemniczona. Siostrunia okazała się milczkiem i nie otwierała na ten temat ust. A więc po wyjęciu odłamka zrobiono opatrunek i założono dren, doktor Rouffart odwiózł lotnika autem do panny Camusel i wysadził na chodnik. Michou i panna Camusel wprowadziły go do sieni, tam usadowiły na krześle i na nim wniosły do mieszkania.

Był to koniec października 1943 roku. Robert Grimes pozostał u panny Camusel do 17 grudnia. Michou usunęła dren, robiła mu opatrunki, uczyła chodzić, a potem przekazała Jules'owi Dricot w tym samym czasie co Jeana Cassart. Była już mowa o tym ostatnim, że został skazany na śmierć w Berlinie, a jednak udało mu się uciec. Nie bardzo mu dowierzano przez jakiś czas, bo wydawało się niemożliwe, żeby mógł stamtąd się wymknąć.

Zanim przejdę do wydarzeń ze stycznia, należy wspomnieć o Robercie Vignoble i Jeanie Vanderelst, naszych dwóch fotografach. Dzięki nim mogłem uruchomić błyskawiczną obsługę. Zdarzało się, że lotnicy przyprowadzeni na kwatery o dwudziestej pierwszej godzinie, odjeżdżali o piątej rano, wyposażeni w obowiązujące dokumenty, co wymagało w tym krótkim czasie zrobienia zdjęć, wywołania, sporządzenia odbitek i przyklejenia. Obaj fotografowie pozostawali do mojej dyspozycji o każdej godzinie dnia i nocy. Nie wiem nawet, czy warto o tym mówić, ale robili wszystko bezpłatnie. Rachunki, jakie mieliśmy do uregulowania z Niemcami, to nie była kwestia pieniędzy.

HOTEL W RUMES

Opowiada Clovis Hanotte:

— Może pan zna Rumes, przy drodze z Tournai do Orchies we Francji? Tam miałem „Hotel Dworcowy", a równocześnie detaliczny handel węglem. Granica przebiegała w odległości dwóch i pół kilometra, na skutek czego był to jakby urząd celny, gdyż mieszkali u mnie celnicy i żandarmi. Najbliższy francuski posterunek znajdował się w Bachy.

Kiedy rozpoczęła się druga wojna, Anglicy objęli straż na granicy i trzeba było mieć specjalne przepustki, aby udać się do Francji. Byliśmy w obawie: z jednej strony rzeka Escaut, z drugiej — granica, a my pośrodku, mogliśmy oberwać lanie, więc wyruszyliśmy z domu. W piątek 10 maja 1940 roku, był to początek prawdziwej wojny, Anglicy przeszli granicę i obsadzili punkty strategiczne, ale nie pozostali tam długo i w czwartek 23 maja nadeszli Niemcy, nie było żadnej bitwy u nas. Wróciliśmy 2 czerwca, a Niemcy zajęli hotel w czasie naszej nieobecności. Wkrótce wprowadzili się dwaj celnicy Bosze, zamieszkali u sąsiada tuż przy granicy. Nie byli oni źli, przymykali na to oko, że Francuzi przychodzili do nas po żywność. Tymczasem Anglicy ukrywali się w lasach. Czy przypominasz sobie, Henriette, tego, który przyszedł jednego wieczoru w sierpniu? Trudno mu było chodzić... — pyta żonę.

— Tak, miał ranę w lędźwiach i szedł z Ypres. Znał nasz dom, gdyż wcześniej trzymał straż na granicy i kiedyś przyszedł do nas na frytki. Spostrzegłam go straszliwie zmęczonego, ubranego byle jak! „Muszę iść do Lille. Czy mogłaby pani mnie przeprowadzić do Francji?" — spytał.

Nic nie powiedziałam mamie, bo umarłaby ze strachu: od kilku dni mieliśmy Boszów w domu, ich konie stały w stajni, ale za zgodą ojca wprowadziłam Anglika tylnymi drzwiami, ponieważ Niemcy byli w restauracji, weszliśmy na górę, daliśmy mu cywilne spodnie i buty belgijskiego żandarma Dejean, który u nas mieszkał w hotelu — myślę, że ich jeszcze szuka, bo nie odważyłam się mu do tego przyznać. Anglik zjadł, wyspał się, na drugi dzień rano wyprowadziłam go do Bachy, wsiedliśmy do autokaru i odwiozłam go na dworzec w Lille. Tam mi podziękował, uściskał, ucałował i powiedział: „Teraz już idź!"

Aż zdrętwiałam, tak mnie nagle przycisnął. Był pijany czy co? I odjechał. Łapię autobus o pierwszej godzinie, wracam do domu i opowiadam ojcu, co się zdarzyło. „Nie mów tylko o tym matce! Wiesz, jak ona boi się Niemców, wolałaby im dać cały dom niż mieć kłopoty."

To była prawda. Za nic nie chciała, żebym chodziła dalej do Bachy. „Jeżeli nie zaprzestaniesz, to rozstrzelają ojca, zabiorą brata, przez ciebie wszystkich nas wykończą!" — ostrzegała.

Minął zaledwie tydzień i już przyszedł drugi Anglik. Nie był ranny, ale chodzenie sprawiało mu wiele trudności. Poprosił mnie przede wszystkim o wodę do wymoczenia nóg. Wprowadziłam go do pokoju na górze, od tyłu domu, oczywiście ze względu na Niemców, i zeszłam po wodę. „Co z nią będziesz robiła?" — zapytała matka.

Musiałam wymyślić byle co. Tego Anglika odwiozłam do Lille, tak samo jak poprzedniego. Podziękował, ale mnie nie ucałował, tak jak tamten. Potem był trzeci, kazał się zaprowadzić do Cysoing, co też zrobiłam.

— Powiedziała pani, że pierwszego z nich przeprowadziła pani przez granicę rano?

— Tak, rano.

— Myślę, że noc lepiej by odpowiadała przekradaniu się po kryjomu...

— Dlaczego? W dzień jest jaśniej.

— Łatwiej może ktoś dostrzec na polach!

— Ależ ja szłam główną drogą!

— Obok niemieckiego posterunku?

— Oczywiście! Celnicy mnie znali i jedynym ryzykiem było to, że myśleli: „dziewczyna z hotelu często zmienia chłopca..." i tyle. Zresztą po tych trzech Anglikach nie widzieli nikogo więcej i trzeba było zaczekać aż do lipca 1943 roku, kiedy przyszedł pan Bricout, francuski celnik z posterunku w Bachy, przyprowadzając jakiegoś pana, którego nie znaliśmy, potem okazało się, że to był Jean-Jacques. Zaczął od tego, że poprosił nas o jakąś małą przysługę, a po-

tem od słowa do słowa powiedział mi, że chodzi o zestrzelonych lotników, których musi ewakuować do Francji. Rozmawiałam na ten temat z ojcem, który rzekł: „Zastanów się. Masz o rok młodszego od siebie brata, masz mnie i matkę. Jeżeli przyjmiesz na siebie odpowiedzialność, to zrób to z pełną świadomością, bo kiedy się zaczyna taką działalność, trzeba wytrwać do końca. Albo złożysz przyrzeczenie, albo nic nie rób".

Złożyłam przysięgę Jean-Jacques'owi, chociaż tego ode mnie nie wymagał, i ukryliśmy mojego brata, który uchylał się od obowiązku pracy dla Niemców. Przybrałam imię Monique. Wkrótce potem Jean-Jacques mnie poprosił, abym była przewodniczką od granicy do Paryża, i w tym czasie lotnicy przybywający z Brukseli u nas mieszkali. Oczywiście, że trzeba było uświadomić mamę o sytuacji.

— Często przyjeżdżali do nas ostatnim pociągiem, około pół do ósmej wieczorem — mówi Clovis Hanotte. — Jeżeli byli goście w kawiarni, przewodnicy przechodzili przez garaż i zapleczem kuchennym. Pewnego wieczora przyszło ich trzech z sześcioma lotnikami. W zakątku liczącym dwa tysiące mieszkańców dziewięciu mężczyzn wysiadających z pociągu trudno nie zauważyć. A przy tym pociąg był już pod nadzorem niemieckich żandarmów od stacji Tournai.

Oczywiście, że tych dziewięciu nie weszło do jednego przedziału, podróżowali trójkami. Przychodzi kontroler: trzy bilety Bruksela—Rumes. W porządku. W drugim wagonie: znowu trzy bilety Bruksela—Rumes. Ciekawe! Trzeci wagon: trzy bilety: Bruksela — Rumes. Kontroler nie omieszkał powiedzieć: „Dzisiaj dużo ludzi jedzie do Rumes!"

Raymond Itterbeek, który był przewodnikiem trzeciej trójki, popatrzył wokoło, żeby się upewnić czy nie było Czarnych, jak nazywano rexistów [1]. Nie trzeba było nic więcej, by zamknąć ich wszystkich i nas razem z nimi, gdyż oczywiście śledzono by ich przy wysiadaniu, i przewodników, i lotników. Powiedziałam do Raymonda: „Następnym razem niech pan bierze bilety z Brukseli do Tournai. Przed

[1] rexiści — Twórcą tej organizacji był Léon Degrelle; zaczął wydawać czasopismo *Rex* i stworzył organizację polityczną o zabarwieniu nacjonalistycznym. W 1935 roku rexizm zaczął wykazywać tendencje faszystowskie, a po wkroczeniu armii niemieckiej do Belgii zgłosił współpracę z Trzecią Rzeszą. Degrelle stworzył legion *Wallonie*, który walczył na rosyjskim froncie. Ranny, otrzymał krzyż żelazny z rąk Hitlera. *Wallonie* stała się dywizją *Waffen* SS. Po upadku nazistowskich Niemiec Degrelle uciekł do Norwegii, a stamtąd samolotem do Hiszpanii, uniknął przez to losu swoich współtowarzyszy, których rozstrzelano. (przyp. autora)

przesiadką do Rumes wykupi pan w Tournai bilety, to nie ściągnie niczyjej uwagi, bo jest stąd blisko. Poza tym trzeba tak się urządzić, żeby bilety nie miały kolejnych numerów. Kto nie stosuje tych małych sztuczek — daje okazję wrogowi by go przychwycił".

— A sztuczek, o których mowa, nie brakowało! — wykrzykuje ta, która w Siatce była znana pod imieniem Moniki. — Pewnego dnia przyprowadzono do nas jednego Anglika, jednego Amerykanina i dwóch Belgów. Powiedziano: „Z tymi dwoma Belgami nie będziesz miała trudności, ponieważ mówią po francusku. Przeprowadzisz ich przez Bachy, wsadzisz do pociągu w kierunku Lille i poradzą sobie sami aż do Gare du Nord."

Przesiadka w Lille, a wtedy Belgowie pytają: „Czy możemy pójść do kiosku dworcowego po gazety?"

Idą. — Nagle oficer niemiecki daje sygnał odjazdu, ich nie ma! Odjechałam do Paryża bez nich. Opowiedziałam o tym Jérôme'owi, który był niezadowolony, tak samo jak i ja, bo nie zdarzyło mi się nikogo zgubić po drodze podczas całego okresu pracy. Gdyby nie ta historia z gazetami, byłabym przywiozła ich, ale panowie zechcieli mieć lekturę podczas podróży! Zapowiedziałam Jérôme'owi, że odbiorę ich z następnego pociągu. O dziesiątej wieczór — godzina policyjna. Tkwiłam przez cały czas na dworcu, czekałam, a pociąg przyjechał dopiero za dwadzieścia jedenasta. Nie było wiele osób, a wie pan, jaki jest ten Gare du Nord, te wszystkie perony, żelazne bariery w przejściu, gdzie się oddaje bilety, nie tylko kolejarze, ale milicjanci i kontrolerzy ze służby gospodarczej kręcili się czyhając na podróżnych z wielkimi walizami. Krótko mówiąc, wszystko tak się złożyło, że moi Belgowie mogli łatwo wpaść.

Stoję przy barierze, wypatruję, nareszcie widzę swoich spóźnialskich. Typy z milicji kazały sobie pokazać dokumenty pierwszym przechodzącym. Katastrofa! Belgowie wpadną! Kiedy się zbliżali, wdrapałam się na coś, co tam stało, aby mnie lepiej było widać i zaczęłam krzyczeć na jednego z nich: „Długo to tak będzie trwało? Czekałam na ciebie już przy wcześniejszym pociągu! Coś robił, że tak późno się przywlokłeś?" Słyszę jak milicjant, obok którego stałam zaczyna się głośno śmiać i mówi do kolegi: „Słyszysz stary, jak mu brzęczą nad uchem! Niełatwa w pożyciu ta kobietka!"

O nic nie pytał moich Belgów, odeszłam z nimi, ciągle wrzeszcząc, i zaprowadziłam ich do małego azylu, jaki mieliśmy tam bliziutko, przy ulicy Rochechouart. Byli już tam Anglik i Amerykanin, których konwojowałam, i dwaj inni Amerykanie, razem sześciu. Gdyby był jeszcze jeden, byłabym królewną Śnieżką z siedmioma krasnoludkami. Wszyscy już poczuliśmy się głodni, a jedyna rzecz, którą tam znalazłam, to mała paczka makaronu. Ugotowałam

go bez soli i trzeba było jeść palcami, bo w tej norze nie było ani jednego widelca, żadnej zastawy stołowej.

Kiedy jechaliśmy do Paryża, prawie za każdym razem odbywała się kontrola w pociągu. Prosiłam pannę Vasselot, żeby wcześniej wyjaśniła lotnikom, co trzeba robić, kiedy władze żądają dokumentów. Pokazać je, nic nie mówić i czekać. Pewnego dnia na dworcu w Arras zobaczyłam dwóch gestapowców otwierających drzwi na końcu korytarza. Złapałam pod ręce obu lotników, wypchnęłam ich na peron, jakby to był nasz cel podróży, potem poprowadziłam ich wzdłuż pociągu w kierunku przeciwnym, niż szli gestapowcy, i wprowadziłam do wagonu obok, który już przedtem miał kontrolę. Lotnicy szeroko otwierali oczy, nie rozumieli mojego manewru, a ja tylko się rozglądałam, czy nie zobaczę znowu typków z gestapo. Wszystko poszło dobrze i tym razem spokojnie wylądowaliśmy na Gare du Nord.

— Zabawne to konwojowanie! — wzdycha Clovis Hanotte. — Przypominasz sobie tych sześciu, których mi naraz przyprowadzono? Dwóch mogło przejść granicę już w ten wieczór, ale czterech innych nie miało jeszcze francuskich papierów i spędziło u nas noc. Nie ma mowy, jak się sytuacja zmieniła w stosunku do początkowej: było wykluczone przechodzić drogą w biały dzień. Trzeba było robić to nocą, na przełaj przez pola, a często pełzając na brzuchu w wodzie, pod drutami kolczastymi.

A więc zatrzymaliśmy czterech lotników do następnej nocy. W centrali telefonicznej na dworcu w Willemeau mieliśmy kumpla, który zawsze dawał nam znać telefonicznie, gdy widział coś podejrzanego na szosie: „Uwaga! Jadą podróżni!"

Wiedzieliśmy, co to ma znaczyć, a Christiane, mała piętnastoletnia służąca, wskakiwała na rower: „Uwaga! Zbliża się gestapo!"

Wystarczyło tyle, aby w wiosce powstał ruch. Młodzi, uchylający się od pracy, zmykali na drugą stronę granicy. Tego dnia uprawiałem swój skrawek ziemi, pracowałem na nim, chyba siałem, aż tu przychodzi sekretarz gminy: „Przyprowadzam twoich dwóch klientów".

Zdziwiłem się, bo nie był wtajemniczony. Wyjaśnił, że moja żona, która była w domu, odebrała telefon z Willemeau i pobiegła do niego jako sąsiada: „Fernand, zapowiadają, że jedzie gestapo, mam dwóch Amerykanów w domu, jestem sama, wiesz przecie, że nasz syn Georges ukrywa się, żeby nie jechać na przymusowe roboty. Czy nie zechciałbyś odprowadzić moich dwóch Amerykanów do Clovisa?"

W porządku. Ale przecie to był jasny dzień. I nie ja jeden pracowałem w polu! Dałem do zrozumienia tym ludziom, że winni iść

za mną w odległości stu metrów. Tak byli ubrani, z mankietami marynarki sięgającymi łokcia, z nogawkami spodni ledwie do kostek, że łatwo wpadali w oko. Wyruszyliśmy, ja przodem na rowerze, zatrzymując się co pięćdziesiąt metrów, niby oglądając łańcuch. Przybyliśmy w końcu na miejsce, do dziewcząt Hoelle. Wciąż byłem nieufny, jedynie w przypadku gdyby na posterunku francuskim był Maurice Bricout lub Albéric Houdart, bylibyśmy bezpieczni, gdyż stamtąd było widać jak na dłoni dom rodzinny Hoelle. Oparłem rower o ścianę, otworzyłem drzwi, wszedłem, a potem dałem znak lotnikom, aby się przybliżyli. Gdy się znaleźli wewnątrz domu, powiedziałem, że są we Francji. Gdyby pan ich widział, jacy się czuli szczęśliwi! Zdawało im się, że już są uratowani. Starałem się wytłumaczyć, że zarówno z tej strony granicy, jak z tamtej — wszędzie jest pełno Boszów i mają jeszcze przed sobą długą drogę do Gibraltaru.

Monique zaczęła się śmiać:

— Kiedy pociąg zbliżał się do Gare du Nord, pokazywałam im bazylikę Sacré-Coeur na Montmartre. Gdyby pan widział, jak się cieszyli! Nie umieli ani słowa po francusku, ale rozumieli, co znaczy Montmartre! Ale, tato, zapomniałeś opowiedzieć, że kiedy mama poszła po Amerykanów, żeby ich wyprowadzić z domu, jeden z nich strzygł włosy drugiemu, rudemu, który uciekał z połową czaszki prawie ogoloną, a drugą kosmatą!

— Zresztą okazało się potem — mówi ojciec Monique — że gestapo przyszło nie po nich, a po twojego brata. Muszę panu powiedzieć, że mimo wszystko Niemcy chyba czegoś się domyślali. Byli u nas dziewięć razy w domu, ani razu nikogo nie znaleźli. Gdyby było inaczej, nie rozmawiałbym dzisiaj z panem.

Miałem brata, który mieszkał w Paryżu, a jego córka przyjechała do nas i pozostała przez półtora roku. Pewnego dnia moja żona pojechała po zakupy, dziewczynka była sama, aż tu naraz cała banda Czarnych zrobiła inwazję na dom. W szufladach biurka miałem po jednej stronie papiery handlowe, a po drugiej dokumenty dawnych kombatantów, gdyż byłem sekretarzem sekcji. Zaczęli wyrzucać wszystko w powietrze, grzebali wszędzie, nic nie znaleźli i odjechali. Innym razem ostrzeżono nas, że jedzie cała dziesiątka gestapowców, lecz jeden pozostał przy wadze kolejowej, na której ważono towary wywożone i przywożone na dworzec. Nasz proboszcz Mole, który jeszcze żyje, złapał małego chłopaka i nakazał: „Biegnij prędko powiedzieć młodym, żeby się schowali, bo w Rumes jest gestapo!"

Chłopak wpadł na pomysł, by powtórzyć to typkowi, który stał przy wadze! Gestapowiec uznał to za tak dziwne, że nawet nie zareagował.

Gdyby ich było czterech, nazwałbym ich Trzema Muszkieterami. Byłby więc René Roovers jako Athos, Alphonse Escrinier jako Aramis, a Charle Hoste jako Portos. Lecz brakowało d'Artagnana.

— Czy znał pan wszystkich trzech sprzed wojny? — zapytałem.

— Bynajmniej — odpowiada Charles Hoste, najmłodszy. — Kiedy wróg zajął Belgię, zaczęliśmy razem pracować, bo nie mogliśmy się pogodzić z tą sytuacją.

Georges Lechein działający w *Service Zéro* pod numerem „086" podjął się stworzenia sekcji wywiadowczej. Polecono mu obmyślić znak rozpoznawczy dla agentów i nazwę dla tej pomocniczej podsekcji. Georges Lechein wyjął z kieszeni mechaniczny ołówek i powiedział: „To bardzo proste. Będziemy Służbą *Portemine* [1]".

Wpisał mnie jako numer UH-18 — opowiada Alphonse Escrinier. — Stworzył kod do przekazywania informacji zarówno cyfrowy, jak literowy z równowartością, że U znaczy to samo co 1, D równa się 2, T równa się 3 i tak dalej, H równa się 8.

— Moje pierwsze zadanie było bardzo proste — powiedział René Roovers. — Pracując w administracji gminy Schaerbeek przy swoim okienku wypłat dla rodzin osób powołanych do służby wojskowej, stykałem się z kurierami, którzy przychodzili do mnie po informacje zebrane przez Lecheina. Byłem więc skrzynką listową Służby *Portemine*.

— Moja pierwsza misja polegała na utworzeniu w dzielnicy komórki złożonej z sąsiadów czy znajomych w celu zbierania informacji.

— A pan, panie Hoste?

— Odszukałem kolegów z wojska i utworzyliśmy małą dwunastoosobową grupę. Wydawaliśmy tajną gazetkę, powielaną oczywiście, gdyż nie stać nas było na drukowanie. Daliśmy jej tytuł „Bon Sens" [2] i rozprowadzaliśmy ją w dzielnicy Schaerbeek. Potem wszedłem do policji, gdzie znalazłem się wśród samych patriotów. Zastępcą komisarza był Witdouck, związany z tajną organizacją oporu i podziemnej prasy „La Libre Belgique" i „Voix des Belges", organem *MNB* (*Mouvement National Belge*), Narodowego Ruchu Belgijskiego. Jeżeli chodzi o moje pierwsze kontakty z wywiadem i akcją, to

[1] *portemine* (fr.) — ołówek z wkładem

[2] „Zdrowy Rozsądek"

może mi to przypomni René Roovers. Zdaje mi się, że otrzymałem pierwszą monetę pięciocentymową, inaczej mówiąc numerowany su.

— Dwa su — poprawia Alphonse Escrinier.

— Masz rację. Dwa su. Otrzymałem tę monetę albo za pośrednictwem Léona Dehassel albo Witdoucka.

— To był drugi znak *Portemine*, gdyż okazało się, że pierwszy sposób rozpoznawania się był niewystarczający lub można go było źle zrozumieć. Manipulować ołówkiem mógł każdy, łatwo było o niebezpieczne qui pro quo. Wybraliśmy więc jako znaczek monetę dziesięciocentymową, z dziurką, co pozwalało zawiesić ją na sznurku czy wstążeczce. Znak agenta był wygrawerowany rylcem na monecie, co pomagało członkom w identyfikacji. Moneta o wartości dwa su nie mogła pociągnąć za sobą złych konsekwencji, jeżeli ją znaleziono w kieszeni, można było zawsze powiedzieć, że się nie wie, skąd się ją dostało.

20 marca 1942 roku Georges Lechein został aresztowany w moim urzędzie gminnym Schaerbeek. Dwóch mężczyzn z *Geheime Feldpolizei* w mundurach weszło do sali: „Gdzie jest pan Lechein?" i jak zazwyczaj, znalazł się ktoś, kto odpowiedział: „To tamten pan".

Niemcy go wywieźli i zobaczyłem go dopiero po powrocie z obozu, na wiosnę 1945 roku. Z niczym się nie zdradził przed Niemcami.

— Zanim go zatrzymano — mówi Escrinier — ułożyliśmy razem listę kolaboracjonistów, których trzeba mieć na oku. Dostarczyliśmy także pewnej liczby informacji wojskowych. Pracując na dworcu kontrolowałem przejeżdżające konwoje. Lechein spodziewał się aresztowania i powiedział kiedyś do mnie: „To już będzie koniec ze mną, ale nie z Siatką, trzeba kontynuować pracę", i podał mi sposób kontaktowania się z panem Rooversem.

— A pan, drogi panie Hoste? Co się z panem działo?

— Moja rola sprowadzała się przede wszystkim do przygotowywania zbrojnego Ruchu Oporu. Zacząłem splatać sieć z odległymi rozgałęzieniami na cały kraj, co nam pozwoliło założyć prawie wszędzie małe komórki zbierające informacje. Nasz *Front de l'Indépendance* zlecał agentom, by wkręcali się do rozmaitych niemieckich zakładów pracujących dla celów wojennych. Dzięki swoim agentom otrzymywaliśmy wartościowe informacje, aż do fotokopii ksiąg pokładowych samolotów *Luftwaffe*, lądujących na lotnisku w Brukseli. Książki te były prowadzone tak, jakby chodziło o loty handlowe w czasie pokoju. Zdobyliśmy te zdjęcia dzięki dwunastoosobowej ekipie, która chętnie przyszła nam z pomocą, pracując w niemieckim biurze rekrutacji rzemieślników.

— W jakich okolicznościach zetknęliście się wszyscy trzej z linią ewakuacyjną, nazwaną później Kometą?

— Pod wpływem i kierownictwem pana Rooversa — powiedział Alphonse Escrinier — Służba *Portemine* znacznie się rozwinęła, wystarczy jako dowód, że założyliśmy jej sekcje w Liège, Antwerpii i Hainaut. W chwili wyzwolenia można było doliczyć się 815 agentów, należących tylko do mojego sektora, zwanego UZH. Agenci przysyłali nam informacje wszelkiego rodzaju, dostarczali dowodów osobistych i pomimo formalnego zakazu z naszej strony nie rezygnowali z przyjemności dokonania od czasu do czasu jakiegoś małego sabotażu. W końcu zawiązki naszej organizacji istniały we wszystkich administracjach komunalnych i nawet w żandarmerii, dysponowaliśmy dowodami osobistymi ze wszystkich okolicznych gmin i otrzymywaliśmy środki żywnościowe z zapasów zarekwirowanych przez wroga. W tamtym okresie miałem okazję zapoznać się z panem Hoste, który przynosił zebrane przez siebie wiadomości, i nawiązała się między nami przyjaźń.

Portemine i brukselskie sekcje *Front de l'Indépendance* były nagabywane ze wszystkich stron, aby kwaterowały, przeprowadzały i repatriowały lotników. Pan Roovers i ja postanowiliśmy stworzyć w łonie *Portemine* specjalną sekcję, która by się zajmowała problemami zakwaterowania i opieki aż do chwili, kiedy Linia zajmie się lotnikami. Sekcji tej nadaliśmy nazwę Eva, jako skrót od słowa „ewakuacja". W tym czasie 17 lipca nasi przyjaciele Witdouck i Hoste, którzy byli agentami *Portemine* i kierowali sekcją *Front de l'Indépendance* w Schaerbeek, przyjmowali angielskiego sierżanta-lotnika Donaldsona. Wtedy zorganizowaliśmy Sekcję Eva. Ustaliliśmy, że udzielenie pierwszego schronienia i dostarczenia ubrania przypadnie panu Spilliaertowi, agentowi pana Hoste, pan Ponty przekaże lotników grupie Dumon, pan Hellemans będzie pełnił obowiązki konwojenta i agenta sprawdzania tożsamości, Blanche Page, obecnie moja żona, będzie łączniczką między poszczególnymi agentami, pan Duchesne będzie robił lotnikom zdjęcia potrzebne do sporządzenia fałszywych dokumentów, dopomoże mu w tym pan Van Elegem, który wyprodukuje fałszywe pieczęcie, panna Preumont, narodowości brytyjskiej, będzie pomagała przy identyfikacji lotników i prowadzeniu archiwum, pani Albertowa Michiels będzie robiła zbiórkę niezbędnych cywilnych ubrań, doktor Zanen, okulista, zapewni ewentualną pomoc lekarską, doktor Schellinck — ogólnomedyczną, doktor Mantinband — chirurgiczną, a doktor Frantzen — dentystyczną. Sekcja *UZH* z Liège dostarczy kartek żywnościowych i formularzy na dowody osobiste na żądanie pana Pirlot, te formularze będzie przechowywał pan Hoebeke, także agent *UZH*. Poza ogólnymi zadaniami nasza trójka powinna działać według następującego planu: pan Roovers będzie miał nadzór nad Sekcją Eva i odda

nam do dyspozycji swoje mieszkanie jako miejsce spotkań, skrzynkę na listy i siedzibę administracyjną nowej organizacji. Charles Hoste będzie się starał o kwatery i zapewniał im bezpieczeństwo. Ja miałem szukać i zbierać lotników, identyfikować ich, odwiedzać kwatery i sporządzać fałszywe dowody osobiste. Między 7 lipca a 19 sierpnia 1943 roku Eva przyjęła czterech lotników, między nimi sierżanta Duffee z *Royal Air Force*, który był pierwszym odebranym na francuskiej granicy przez Pana przyjaciół, Maurice i Rachel Bricout.

— A więc proszę pozwolić, abym wam trzem pogratulował doskonałej organizacji, postawionej na nogi w tak krótkim czasie!

— Nie było to łatwe — wzdycha René Roovers — i nie tylko z powodu Niemców, zawsze czyhających na nas! W krótkim czasie zdaliśmy sobie sprawę, że niektórzy amerykańscy lotnicy byli przekonani, że nie działamy z pobudek patriotycznych, ale dla korzyści, i myśleli, że nas opłaca jakaś specjalna instytucja lotnicza z ich kraju. Irytowali się, że kiedy chcieli papierosów, dawaliśmy im tytoń belgijski, którego nie lubili, oburzali się, że nie dostają kwater dostatecznie komfortowych, a nawet, że nie dostarcza się im młodych kobiet lekkich obyczajów, które by im wypełniały czas. Poza tym, nie zdawali sobie zupełnie sprawy, na jakie niebezpieczeństwo narażają się ludzie, którzy ich ukrywają i kierują do Anglii. W sumie uważali nas za wypchanych dolarami i zarzucali, że robimy zły użytek z tych pieniędzy.

Dla załatwiania spraw socjalnych dysponowaliśmy dwoma ochotnikami, mówiącymi po angielsku, których nazywaliśmy *welfare officers* [1].

Jeden z nich musiał energicznie wystąpić przeciwko Amerykaninowi, który mieszkał u młodej, ponętnej pielęgniarki. Udzielała ona azylu przez czysty patriotyzm. Bardzo przypadła do gustu Amerykaninowi. Nie dość, że musiała się bronić przed Niemcami, to jeszcze opierać się swojemu nadskakującemu gościowi. Nasz *welfare officer* udzielił Amerykaninowi należnego upomnienia, które tamten bardzo źle przyjął i zrzędził, że nikt nie ma prawa mieszać się do jego prywatnych spraw sercowych. Tego już było za wiele naszemu koledze, który przypomniawszy sobie, że jest oficerem armii belgijskiej, a delikwent tylko sierżantem, krzyknął: „Baczność!" co miało natychmiastowy skutek.

— Czy ta pani wybrnęła z sytuacji bez kłopotu?

---

[1] Dosłownie: oficerowie zajmujący się dobrobytem. We Francji powiedziałoby się raczej: inspektorzy opieki społecznej (przyp. autora).

— Tak, tak — powiedział René Roovers. — To była kobieta z głową na karku, umiała się bronić.

— Zażądano od nas utworzenia trzydziestu kryjówek — mówił dalej Escrinier. — Chodziło o to, by przyjąć naraz trzydziestu lotników, co nastręczało sporo trudności. Na szczęście nasz przyjaciel Hoste umiał stawiać czoło najtrudniejszym sytuacjom.

Byliśmy w kontakcie nie tylko z Grupą Dumon, ale także z Siatką Félix.

— Po raz pierwszy słyszę tę nazwę.

— Félix, to był skoczek spadochronowy, nazwiskiem Charles Guelette. Nawiązał kontakt z naszym kolegą nazwiskiem Hellemans, który rozstał się z naszą grupą po to, by zajmować się wyłącznie tą siatką, do której my także przekazywaliśmy lotników. Od czasu utworzenia Grupy Eva zakazano mi oficjalnie mieszania spraw wywiadu do ewakuacji lotników. Wolałem tę nową formę działalności, która była o wiele bardziej aktywna niż otrzymywanie, przenoszenie i przekazywanie dokumentów. Zresztą nawet bez tego zakazu byłbym zmuszony się wyspecjalizować, gdyż przyjmowanie lotników, ich kwaterowanie po sprawdzeniu tożsamości, problemy wyżywienia, dostarczanie odzieży i sporządzanie fałszywych dokumentów, to była pokaźna liczba zajęć. Wystarczało ich do wypełnienia życia.

— Ilu lotników przyjęliście razem?

— Stu czterdziestu — powiedział Escrinier — plus dziesięciu jeńców wojennych, uciekinierów, z czego dziewięciu było Francuzów i jeden Polak oraz jeden tajny agent, Holender, ścigany przez gestapo. A więc w sumie było ich stu pięćdziesięciu jeden na dwustu dwudziestu jeden zapowiedzianych. W tej liczbie nie mieszczą się uciekinierzy z Saint-Gilles, o których już mówiłem, ani działalność dodatkowej sekcji *Service Zéro*, która wyspecjalizowała się w ewakuowaniu francuskich jeńców wojennych, przeprowadziliśmy ich około siedemdziesięciu poza granicę.

Lotnik przychodził często do nas w podartej odzieży, w cuchnących łachmanach. Prowadziliśmy go do pani Pullings, gdzie przymierzał nowy garnitur. Jego własny odkładało się na bok, by go oczyścić i naprawić rozdarcia. Wielką trudność sprawiało nam zaopatrzenie ich w płaszcze, było to tak trudne, że trzeba było prosić Londyn, by je nam zrzucano na spadochronie.

— Ale przypuszczam, że zanim zaprowadziliście go do pani Pullings, wcześniej stwierdzaliście jego tożsamość?

— Naturalnie! Kiedy nas zawiadamiano o lotniku, przedsiębraliśmy jak największe środki ostrożności przy nawiązywaniu z nim kontaktu z obawy, by to nie był nasłany prowokator. Osoba, która

miała przyprowadzić lotnika, miała wokoło szyi okręcony szalik umówionego koloru i musiała powiedzieć hasło. Co najmniej przez godzinę przed spotkaniem, często na dwie godziny wcześniej, roztaczano nadzór nad miejscem wybranym przez naszych dwóch siłaczy, „goryli", jak się dzisiaj mówi, aby sprawdzić, czy nie zastawiono pułapki. Kiedy już byliśmy pewni, że wszystko jest w porządku, nawiązywałem kontakt z osobą w szaliku pod pretekstem zapytania o drogę albo podając hasło, i zapowiadałem lotnikowi, że ma iść za mną, a potem za osobą, której uścisnę rękę przechodząc. Nie mówiłem mu, że przede mną, a potem przed następnym przewodnikiem szedł jeden „goryl", a drugi z tyłu za nami. Jeżeli idący przodem stwierdzał coś podejrzanego, dawał umówiony sygnał przewodnikowi, który zbaczał w inną stronę, drugi ubezpieczający przejmował rolę awangardy, a pierwszy szedł jako ostatni.

Odkąd podałem rękę przewodnikowi, szedłem do centralnej kwatery mieszczącej się u Spilliaerta i tam przychodził lotnik. Wtedy zaczynał się proceder weryfikacji, który nieraz wywoływał żachnięcie się przesłuchiwanego. Zadawaliśmy mu pewną liczbę pytań, których większość była sugerowana przez Londyn, używaliśmy żargonu lotniczego, robiliśmy aluzje do pewnych szczegółów dotyczących życia na angielskich lotniskach albo do osób z załogi samolotów, jeżeli lotnik twierdził, że zestrzelono go pewnej znanej nam daty i w okolicznościach wzmiankowanych w naszym archiwum.

Po sprawdzeniu tożsamości przechodziliśmy do inwentaryzacji wszystkiego, co znaleźliśmy w kieszeniach lotnika. Przed nalotem na Niemcy otrzymywali oni pieniądze w różnej walucie: krajów, nad którymi mieli przelatywać. Jeżeli któryś miał ich dużo, pozostawialiśmy mu tylko niezbędną walutę, resztę ujmując w spisie i składając do kasy, która mogła zasilić innego lotnika, który z takiej lub innej przyczyny mógł być jej pozbawiony. Potem lotnika zaopatrywaliśmy w fałszywy dowód osobisty, zaopatrzony w fotografię zmarłego członka rodziny pana Spilliaert. Dobieraliśmy zdjęcia przypominające wyglądem lotnika. Potem przychodził Hoste i zabierał „pakunek" podając mi kodem miejsce zakwaterowania. Wiedziałem, który *welfare officer* wizytował to schronisko, tak aby w razie aresztowania Hoste'a można było odebrać lotnika.

— Czarująca perspektywa! — robi półgłosem uwagę Charles Hoste.

— Wypytywanie o załogę — opowiada dalej Escrinier — miało na celu także poinformowanie się o istnieniu innych lotników z tego samego samolotu, których trzeba było poszukać i ochronić. Na tym zakończyło się moje zadanie. Teraz oddaję głos Charles'owi Hoste, który panu opowie, jak wykonywał swoje.

— Zanim poszukałem azylu — mówi Hoste — odwiedzałem sześć lub siedem domów, aby wybrać taki, który moim zdaniem w obecnej chwili dawał największą gwarancję bezpieczeństwa. Pomimo wielkiego ryzyka, na jakie się narażali, bardzo wielu Belgów było przygotowanych na przyjęcie lotników, a nawet bardzo pragnących ich ugościć, lecz niekiedy musiałem odrzucać te oferty z powodu warunków nie zapewniających całkowitego bezpieczeństwa. Pomimo tych ostrożności niestety nie uniknęliśmy tragicznych wydarzeń.

Pierwszym środkiem ostrożności było stwierdzenie, czy kwaterujący nie uprawiał żadnej innej podziemnej działalności. To nie było łatwe i wszystkie klęski, które ponieśliśmy, zrodziły się z następstw ciągu chronologicznego aresztowań niezależnych od kwaterowania lotników. Przypominam sobie przypadek, który się wydarzył przy ulicy Waterloo. Kwatera była na szóstym piętrze i zgodziłem się na umieszczenie tam angielskiego lotnika. Gospodarz tego mieszkania był żonaty i miał córkę. Podobnie jak i jej rodzice zapewniła, że nie pełniła żadnej funkcji, która mogłaby ściągnąć na nią uwagę Niemców, i mówiła prawdę. Ale miała narzeczonego partyzanta, którego wrogowie zabili w okolicach Namur. Niemcy znaleźli przy trupie listy od dziewczyny. Pewnego pięknego poranka gestapowcy weszli na szóste piętro, gdzie znajdował się nasz Anglik. Skutek był taki, że straciliśmy lotnika, a dziewczynę i rodziców wywieziono do Niemiec. Tylko młoda pozostała przy życiu i wróciła po wojnie do Belgii.

Mieliśmy kolegę działającego na tym samym polu, Josepha Hoebanckxa, z zawodu drogerzystę. Dzięki Bogu i on, i jego żona przeżyli i doczekali wyzwolenia. Mieszkali u niego francuscy jeńcy wojenni, a także lotnicy, a mianowicie dwaj Amerykanie. W razie alarmu ci dwaj mieli się ukryć pod ladą, poniżej okna wystawowego. Hoebanckx ustawił tam zapasy żywności na wszelki wypadek, gdyby musieli się długo ukrywać. No i wydarzyło się: aresztowano kuriera, którego przesłuchiwano zwykłymi metodami, w końcu się przyznał, że miał dostarczyć wiadomość do Hoebanckxa, sprawa ta nie miała żadnego związku z przerzutem lotników. Przyszło gestapo i aresztowało Hoebanckxa. Jego żona zdążyła uciec przez ogród, a nasi dwaj Amerykanie wpakowali się pod ladę. Moim zadaniem było interweniować w przypadkach, kiedy wydarzyła się katastrofa. Przekazano mi wiadomość, że coś się stało u Hoebanckxów. Poszedłem nie wiedząc nic konkretnego. Sąsiedzi mi powiedzieli, że Niemcy wyprowadzili tylko drogerzystę. Taki przypadek był przewidziany, postanowiłem działać, lotnicy byli uprzedzeni, że ktoś

po nich przyjdzie, pukając dwa czy trzy razy, już dzisiaj nie pamiętam, w fałszywą ladę, mówiąc: „Tutaj Jacques".

— Przypuszczam, że sklep pana przyjaciela Niemcy zamknęli?

— Tak, ale proszę nie zapominać, że pełniłem funkcję policjanta i mogłem znaleźć pomoc wśród kolegów. Pewien inspektor zadzwonił na pierwszym piętrze do mieszkania państwa Hoebanckx, tak jakby chodziło o zwyczajne przepytanie. Nikt nie przyszedł otworzyć, a sąsiedzi powiedzieli, że nie ma nikogo, co nam pozwoliło przypuszczać, że pani Hoebanckx uciekła. Ale trzeba było ją odnaleźć. Pewien człowiek naszej organizacji poinformował mnie, że schroniła się u niego. Poszliśmy po nią i umieściliśmy w bezpiecznym schronieniu, dała nam klucze, co pozwoliło inspektorowi policji wejść do sklepu przez drzwi wiodące z mieszkania i powiedzieć do lotników: „Nie ruszajcie się z tego miejsca, wieczorem po was przyjdziemy".

— Czy Niemcy nie zrobili tam kotła?

— Nie. Kiedy nadszedł wieczór, zupełnie spokojnie wyprowadziliśmy naszych dwóch lotników i zaprowadziliśmy ich do Alsteena, tego, który dał nam znać o niebezpieczeństwie. Na drugi dzień zgodnie z planem nasz kolega Portzenheim przyszedł ich zabrać i zaprowadził na inną kwaterę w Etterbeek.

Jak panu powiedział już kolega Escrinier, dysponowaliśmy całą serią skrzynek listowych i sztafet, czyli łączników, jak pan woli. Jedna ze sztafet przynosi mi wiadomość: „Alarm u pani Gilson". Pani Gilson miała antykwariat w Ixelles. Idę tam pędem, mówią mi że przechowywany tam lotnik, chłopiec pochodzenia niemieckiego, naturalizowany Amerykanin, członek samolotu „Latającej Fortecy", oznajmił, że pójdzie się oddać w ręce wroga, gdyż zgłosił się jako ochotnik na wojnę, ale po to, aby się bić nad Pacyfikiem. „Skierowano mnie na Niemcy, a ja się na to nie godzę!" — powtarzał. „Proszę mnie posłuchać — powiedziałem. — Jeżeli pan pójdzie zgłosić się do Niemców, to nikt o panu więcej nie usłyszy, kiedy tylko znajdzie się pan za progiem."

Groźba jest jedną, a wykonanie inną sprawą. Sam myślałem że najlepiej by było posłać tego narowistego Amerykanina przed sąd wojenny. Byliśmy dostatecznie przeciążeni obowiązkami, zwłaszcza, że mieliśmy kilku oficerów lotników, między nimi pewnego *wing-commander* [1]. Skontaktowałem się z nim, powiedział, że nie może przyjąć na siebie takiej odpowiedzialności, że najlepiej by było, gdyby Londyn rozstrzygnął sprawę. Rozumie się samo przez

[1] *wing-commander* — podpułkownik *Royal Air Force* (przyp. autora)

się, że wcześniej umieściłem w domu antykwariusza bojówkę *Partisans*, z rozkazem zastrzelenia lotnika, gdyby chciał wyjść. Za pośrednictwem *Service Zéro* przedłożyliśmy sprawę Londynowi, który polecił natychmiast ewakuować lotnika. Naturalnie, że zaalarmowaliśmy konwojentów, aby przedsięwzięli wszelkie środki ostrożności, a oni przekazali polecenie kolegom, którzy wzięli go pod opiekę na francuskiej granicy.

— Ale przecież konwojentkami były często młode dziewczyny!

— Tym razem było inaczej. Nasz delikwent przybył do Anglii i wiem, że stanął przed sądem wojennym, ale już nie w naszym kraju.

Innym razem opuściłem ośrodek kwaterunkowy kolegi Spilliaerta w towarzystwie jego i trzech lotników, dwóch Amerykanów i jednego Anglika. Wyruszamy w dwóch kierunkach, jeden z nas do żony Maurice'a Olders, na kwaterę, drugi — do pani Bienfait, która także mieszkała w Schaerbeek, o kilkaset metrów dalej. Lotnicy szli za nami w małej odległości, a kiedy doszliśmy do placu Pavillon, Spilliaert i ja zatrzymaliśmy się, żeby się namyślić, czy iść lewą, czy prawą stroną szosy Helmet. Poszliśmy prawą. Jest tam most biegnący nad ulicą. Kiedy przeszliśmy przez most, wpadliśmy na patrol niemiecki, nie dwóch żołnierzy, jak najczęściej bywało, ale co najmniej dwudziestu z feldfeblem na czele, który do nas krzyknął: *Hände hoch!* i już nas otoczyli, w tym i lotników.

Feldfebel podchodzi do nas, zapalając małą latarkę elektryczną zawieszoną na guziku munduru: *„Papiere!"* — mówi do Spolliaerta. — Dokładnie wyjaśniliśmy lotnikom przed wyjściem, że jeżeli spotkamy patrol kontrolujący dokumenty, to żeby nie wyjmowali fałszywego dowodu wszyscy z tej samej kieszeni. Jeden powinien go mieć w wewnętrznej lewej kieszeni marynarki, drugi w wewnętrznej prawej, trzeci niech udaje, że szuka i znajduje go w bocznej kieszeni. Zrobiliśmy z nimi małą repetycję. Ale kiedy feldfebel oglądał kartę Maurice'a, jak nazywaliśmy Spilliaerta, uświadomiłem sobie wszystkie luki naszych przygotowań. Przede wszystkim dowody nasze były zbyt świeże, były wszystkie trzy z Brukseli centrum, ich numery były kolejne, a fotografie pożyczone z albumu rodzinnego Maurice'a. Powiedziałem sobie, że sprawa źle się skończy, i pozwoliłem sobie na tupet. Podszedłem prosto do feldfebla mówiąc: *„Polizei!"*

Feldfebel drgnął i bardzo zdziwiony zapytał: *„Sind Sie Polizei?"*

„Jawohl!" — odpowiedziałem, z dowodem osobistym w ręce. W tym samym momencie uprzytomniłem sobie, że ten dowód był wydany przez Sabena, to nie był ten z komisariatu! Ale feldfebel go nie oglądał. Wywiązał się dialog:

„Dlaczego pan nie powiedział natychmiast?"

„Nie pomyślałem o tym."

„A czy tamci też są policjantami?"

„Nie. To moi przyjaciele. Idziemy do komisariatu policji."

„Ach, so!"

Feldfebel wydał rozkaz, jego ludzie się rozstąpili i ruszyliśmy dalej. Kiedy doszedłem do pani Olders, nastąpiła reakcja: zimny pot spływał mi po plecach i musiałem wypić spory kieliszek koniaku, żeby wrócić do siebie.

Ale to był dopiero pierwszy akt, powiedziałem do Maurice'a:

„Słuchaj stary, jest jeszcze trzeci «pakunek» do oddania u pani Bienfait!"

Poszliśmy dalej. Zaledwie tylko wyszliśmy, wpadliśmy na drugi patrol. Trąciłem łokciem Spilliaerta: „Nic tylko nie mów!"

I rzuciłem ku żołnierzom piękne pozdrowienie: *„Guten Abend!"*

„Guten Abend!" — odpowiedzieli bardzo grzecznie.

Przypuszczam, że wiedzieli o wielkim patrolu, bez spotkania którego nie można było tutaj dojść. Pewnie myśleli, że nas już skontrolowano. Na wysokości cmentarza, gdzie musieliśmy skręcić na prawo, była toaleta, Maurice mi szepnął: „Muszę tam wstąpić".

Poszedł, czekamy na niego, wreszcie wychodzi, eskortowany przez dwóch wysokich drabów, Niemców w hełmach. Kierują się prosto ku nam. Jeszcze raz powiedziałem: *„Guten Abend!"* i wybrnęliśmy cało.

Zastaliśmy panią Bienfait niezwykle wzburzoną, gdyż wiedziała, że tego wieczora dzielnica była strzeżona i obsadzona przez Niemców. Jeszcze trochę pokrzepiliśmy się przed odejściem, ale ta sprawa spowodowała w konsekwencji wzorowe zachowanie się naszych lotników. Żaden z nich nie prosił o pozwolenie wyjścia na powietrze! Wymienialiśmy ich jako wzór do naśladowania innym, raczej niespokojnym!

— Jeszcze musimy panu opowiedzieć o sprawie Siatki holenderskiej — wmieszał się Alphonse Escrinier.

— Czy przypomina pan sobie angielskiego lotnika Duffee, którego jako pierwszego przyjmowali pańscy przyjaciele, Francuzi Bricout? Przyprowadzono go do nas w następujących okolicznościach:

W sierpniu 1943 roku mój kolega Pierre Pirard, agent wywiadu mojej Sekcji *UZH*, dał mi znać telefonicznie, żebym do niego przyszedł. Zastałem u niego lotnika, z którym nie wiedział, co zrobić, i wyjaśnił mi, że powierzył mu go Jacques de Dixmunde, syn generała, a jemu przekazała go pewna holenderska Siatka. Ale niepokoił się, bo doszło do jego wiadomości, że kilku lotników, któ-

rzy korzystali z pomocy tej Siatki, wpadło w ręce Niemców. Przypuszczano, że jest wśród nich jakiś zdrajca.

Ta Siatka nazywała się Fiat Libertas i miała szefa Jana Vanhee alias Holländsche Jan lub Dykstra. Lotników przywiezionych do Brukseli przyjmowała pani Elise Chabot, holenderskiej narodowości, która zapewniała zakwaterowanie głównie w swoim domu, częściowo także u Jacques'a de Dixmunde i agentów Sekcji Erdry, Organizacji Bravery. Sekcja Erdry i Siatka holenderska komunikowały się z panną Merjay dzięki wspólnej skrzynce listowej, którą utrzymywała pani Vandervelde. Panna Merjay zgodziła się brać udział w akcji zakwaterowań. Zawiadomił ją pan Vanpraag, alias Rolin, że zakonnik, benedyktyn z Louvain, zna od dawna osoby mogące zapewnić ewakuację lotników. Jego własna siostrzenica była sekretarką tej linii przerzutów i korzystała ze skrzynki listowej u Anny Lalle, pielęgniarki estońskiego pochodzenia, z którą się zetknęła panna Merjay. Otóż dowiedziała się od pana Vanpraag, że ta rzekoma Anny Lalle była Florą Giralt, po mężu Dings, kochanką niesławnego Prospera Desitter, „człowieka bez palca", zdrajcy, który w Belgii przeszedł do służby u Niemców, przez niego wiele osób z Ruchu Oporu straciło życie. Panna Madeleine Marjay nas o tym powiadomiła. Naszą pierwszą troską było znaleźć dla niej azyl, gdzie by się ukryła, potem ustaliliśmy miejsce pobytu rzekomej Anny Lalle. Mieszkała przy ulicy Paul Segers 7, w Etterbeek. Powierzono sprawę partyzantom i osoba, o której mowa przeszła z życia do śmierci. Ale chodziło tu o prawdziwą Anny Lalle, z którą Flora Dings się utożsamiała! W każdym razie ta kobieta również pracowała dla Niemców i przygotowywała się do ucieczki ze szwajcarskim paszportem, ale jej przestępstwo nie było tak poważne, jak Flory. Spodziewaliśmy się przez tę Dings złapać Desittera, który już nam kilka razy uciekł. Nic nie stracił przez zwłokę: rozstrzelano go strzałem w plecy jako zdrajcę zaraz po wyzwoleniu. Przedtem trzeba było go przywiązać do słupa egzekucyjnego, bo — jak wielu zdrajców — był tchórzem. Gdybyśmy mogli go zlikwidować wcześniej uniknęlibyśmy wielu klęsk.

MIĘDZY ABWEHRĄ A GESTAPEM

W Saint-Gilles Andrée de Jongh nie umieszczono w izolatce, ale zamknięto w celi, gdzie już znajdowały się dwie inne więźniarki. Tego samego wieczora, dzięki rurom centralnego ogrzewa-

nia, udało się jej nawiązać kontakt z siostrą Suzanne Wittek, przebywającą tam pod panieńskim nazwiskiem.

— Natychmiast dowiedziałam się od niej najistotniejszych rzeczy, które powinnam była wiedzieć, to znaczy nazwisk tych z naszych ludzi, których siostra nie mogła się wyprzeć, że ich nie zna, a także tych innych nazwisk. Matka moja także znajdowała się w Saint-Gilles i ciotka Ninie, aresztowana w sześć tygodni później po matce. Mädy i Martin, najmłodsze dzieci mojego szwagra Wittek pozostały same w domu. Z pewnością pan wie o tym, że najstarszego Frédérica odesłaliśmy do Anglii do ojca.

Wznowiono przesłuchania, prowadzone równocześnie przez gestapo przy avenue Louise, oraz dwóch oficerów *Luftwaffe*, którzy mieli swoje biuro w nieruchomości położonej przy avenue Cinquantenaire. Nie czuli się zbyt mocni, wpadali w złość, kiedy się spostrzegli, że coś przeoczyli lub popełnili pomyłkę. Na przykład pokazali mi zdjęcie jednego z naszych kolegów: „Kto to jest?"

Przypominam sobie, że byłam bardzo zakłopotana, bo Suzanne o nim mi nic nie powiedziała, i nie wiedziałam, czy należy do tych, do których znajomości ona się przyznała. Na wszelki wypadek udawałam, że szukam w pamięci, a kiedy odruchowo odwróciłam fotografię, zobaczyłam jego nazwisko wypisane w całości. Nic nie mówiąc, zwróciłam zdjęcie oficerom.

„Kto to jest?" — spytali.

„Taki a taki" (dzisiaj już nie pamiętam nazwiska).

„A, więc pani się przyznaje, że go zna!"

„Wcale nie znam!"

„Jak to? Powiedziała pani jego nazwisko!"

„Oczywiście, bo jest napisane na odwrocie tej fotografii." — Oniemieli, odwrócili zdjęcie, przekonali się, że mówię prawdę i nagle posypały się przekleństwa, taki wybuch złości, że zapomnieli o zadawaniu mi pytań. Zrozumiałam, że łatwo było im pomieszać szyki, kiedy się wywołało atak wściekłości, i wyciągnęłam z tego korzyść.

Z gestapem była inna sprawa. Ci z avenue Louise mieli głowy, które nie zachęcały do żartów. Ale niebawem zdałam sobie sprawę, że znajdowali się w sytuacji ludzi, którzy dostali splątany kłębek nici i nie wiedzieli, z której strony zacząć go rozplątywać. Pytania, jakie mi stawiali, dowodziły, że posuwają się po omacku, chociaż potrafili odtworzyć plan naszej Siatki, który nie był mimo wszystko źle pomyślany. Postarałam się im dowieść, że ten schemat jest fałszywy, że nic nie zrozumieli, i dodałam im tyle szczegółów, że mąciło im się w głowie. Czy dlatego przesłuchiwali mnie tylko dwa razy, zostawiając w rezerwie na później, kiedy będą wie-

dzieli więcej? Myślę, że nie jestem zbyt daleko od prawdy, ale zaszło pewnie coś innego, co mi pozwoliło uniknąć szczególnych metod badania.

Te dwa przesłuchania wystarczyły, by mi wykazać, że gestapowcy nienawidzili z całego serca oficerów abwehry, a ci ostatni pogardzali gestapem. Jestem przekonana, że pośpieszyli się z wysłaniem mnie do Niemiec, aby gestapo pozostało w impasie, albo żeby mnie uchronić od zeznań wymuszonych torturami, których nie potrafiłabym przetrzymać. Zaklasyfikowana jak *NN* [1] istniałam już tylko jako numer zagubiony wśród innych numerów, również anonimowych, i w razie zmiany miejsca pobytu trudno byłoby gestapo położyć na mnie swoją łapę.

Zanim wywieziono mnie z Brukseli, wezwano jako świadka przed sąd w sprawie Elvire Morelle. Trybunał *Luftwaffe* rezydował w „Hôtel Palace". Znał naszą sprawę, bo postawił zarzut ewakuowania alianckich lotników. Niemcy popełnili błąd, że pozostawili mnie i Elvire na kilka minut razem w kancelarii Saint-Gilles, przed odjazdem do „Palace". Starczyło czasu, by uzgodnić odpowiedzi. Nieprzyjaciel nie wiedział nic prawie o roli Elvire, a ja postanowiłam oświadczyć, że nie była wtajemniczona w naszą zasadniczą działalność, a używaliśmy jej tylko do pomocy w zaprowiantowaniu.

Trybunałowi przewodniczył jakiś pułkownik *Luftwaffe*, oficer o marsowej twarzy, ale dobrze wychowany, o inteligentnym wyrazie twarzy, z błyskiem ironii w oku. Bardzo dobrze rozumiał, że opowiadam mu bajeczki, ale nie udało mu się ani razu złapać mnie na pomyłce. W pewnym momencie kazał mnie zapytać za pomocą tłumacza — gdyż ciągle udawałam, że nic nie rozumiem po niemiecku — ilu lotników konwojowałam. Zadając to pytanie przewracał arkusze wypisane na maszynie. Przypominając sobie, że średnio na stronie mieści się dwadzieścia pięć pozycji, odpowiedziałam: „Siedemdziesięciu pięciu".

Pułkownik podniósł brwi i zwrócił się do tłumacza: „Proszę powiedzieć pannie de Jongh, że dziękuję jej za wielką szczerość".

Tłumacz wiernie przełożył to zdanie, brał przecież za to brzęczącą monetę. Obserwowałam spod oka pułkownika i zrozumiałam, że nie dał się wystrychnąć na dudka. Potem wyjechałam do Niemiec.

---

[1] Znak *NN* — *Nacht und Nebel* czyli Noc i Mgła, zwrot zapożyczony z *Pieśni o Nibelungach*. Tak Niemcy oznaczali skazanych na śmierć. (przyp. autora).

SEKTOR BELGIJSKI

Nowe rozbicie belgijskiego sektora Komety było bezpośrednią konsekwencją niecnej akcji Jeana Masson, której dokonano w Brukseli po zniszczeniu paryskiej centrali. Jeden tylko południowy sektor uszedł cało, ale jego istnienie stawało się bezużyteczne, jeżeli by zaniechano zbierania lotników i ich konwojowania.

Franco osadził w Paryżu Jérôme'a, a Jean Serment z pomocą Jeana Deltour i Michou, która okazała się bezcenna, zabrał się do pracy w Belgii, w dalszym ciągu wykonując zadanie *Service Zéro*. Opowiada on o swych nowo przyjętych obowiązkach:

— Prowadzenie sektora zakładało z góry stały kontakt z rozmaitymi podziemnymi organizacjami w taki sposób, by można było uzyskać informacje niezbędne dla bezpieczeństwa Komety, a także kontakt z instytucjami, mogącymi dostarczyć fałszywych dokumentów, kartek żywnościowych, formularzy, żywności, ubrań itp.

Z drugiej strony, trzeba było utrzymywać łączność z ludźmi goszczącymi lotników, ze skrzynkami listowymi i konwojentami, należało sprawdzać tożsamość lotników, utrzymywać kontakty z Paryżem i Południem, administrować pieniędzmi. O pełnienie roli skarbniczki poprosiłem panią Cécile Deckers, zamieszkałą w Brukseli, 70, Belliard. Franco często do niej zajeżdżał, kiedy musiał być w Belgii. Nazywaliśmy ją Ciotką Ursule, była deponentką różnych tajemnic Komety i oddała nam nieocenione usługi. Po jej aresztowaniu pani d'Oultremont zastąpiła ją pod pseudonimem „Paul-Antoine". Wie pan, że była siostrą Jacques'a Cartier, a wszelka pochwała, jaką mógłbym wygłosić na temat jej aktywności, nie wyraziłaby ani w części tego, co jej zawdzięczamy.

Oczywiście, że potrzebowaliśmy lokalu do przechowywania niezbędnego archiwum, fałszywych dokumentów, fotografii, pieczęci, druków personalnych itd. Centrala — jak to mówicie we Francji — ulokowała się na początku pod 82 przy ulicy Saint-Henri w Woluwe-Saint-Lambert, w drukarni Buchet. Pani Buchet dodatkowo użyczała kwater. Potem centrala przeniosła się do Raoula Thibaut, przy avenue Diamant w Brukseli. Sam panu opowie nadzwyczajną historię, jaka zaszła na początku 1944 roku. Zawdzięczam wolność, a może i życie, jego żonie Marie-Rose, którą deportowano. Zginęła w marcu 1945 roku w pobliżu Rechlin [1]. Miała trzydzieści dwa lata.

[1] Rechlin — w NRD, nad jeziorem Müritz, w Meklemburgii (przyp. autora).

Już pan słyszał, że ojciec Van Oostayen, jezuita, zmarł w kwietniu 1945 w obozie Bergen-Belsen. Wymienię z kolei Georges'a Gassart, przyjaciela Alberta Mattensa, który ułatwił nam rekrutację niejednego przewodnika, panią Vandermeulen, naszą maszynistkę i „listonosza", nazwaliśmy ją „Nelly".

Podaję nazwiska przewodników: Henri Nys, Georges Arnould zwany „Albert le Pâtissier", Emile Roiseaux, zwany „Emile le Plombier", José Grimar, pseudonim „Marc" lub „Student", Marie-Louise Nieubourg, zwana przez nas „Michèle", Raymond Itterbeek, Henri Malfait, zwany „Louis". Odprowadzali lotników do granicy, tam brali ich pod opiekę Jean-Jacques albo Henriette Hanotte, zwana „Monique", Odile de Vasselot, zwana „Jeanne", oraz Amanda Stassart, zwana „Diane", i odwozili do Paryża.

Rola przewodnika wymagała poświęcenia na każdym kroku, wielkiej wytrzymałości na zmęczenie, bezbłędnej czujności, stanowczości i autorytetu, odwagi pełnej opanowania, bystrości zawsze czujnej, aby umieć uniknąć zasadzek rozsianych przez wroga wzdłuż trasy. Zasług przewodników nigdy nie chwali się za wiele.

KOSZARY W ETTERBEEK

Po dziesięciu dniach przebywania w więzieniu Saint-Gilles żona Jeana Greindla powróciła do dzieci. Odkąd złapali jej męża, nie zależało im już na niej. Może i to odegrało pewną rolę, że była matką siedmiotygodniowego chłopczyka. Niemcy poddali ją tylko krótkiemu przesłuchaniu.

— Nie tak było z moim mężem — opowiada wdowa. — Jean był przesłuchiwany bez przerwy, w dzień i w nocy, z brutalnym okrucieństwem. Zachowywano w stosunku do niego jakieś specjalne środki ostrożności, nigdy nie odprowadzano go do tej samej celi. 11 lutego przewieziono go z zawiązanymi oczami do koszar żandarmerii w Etterbeek, których część przeznaczono dla artylerii wehrmachtu. Zamknięto go w celi nad stajniami, z drewnianą okiennicą uchyloną tylko odrobinę, że powstała wąska szpara u samej góry, wpuszczająca odrobinę światła. Tego wszystkiego wtedy nie wiedzieliśmy. Było nam wiadome tylko tyle, że nie przebywa już w Saint-Gilles. Po dwóch miesiącach poszukiwań mogliśmy się tylko domyślać, w jakiej znajduje się dzielnicy. Nie chcieliśmy interweniować, żeby nie przeniesiono go w jeszcze gorsze miejsce. Tam

pozostał przez siedem miesięcy bez żadnych spacerów. Wyprowadzali go z celi tylko na konfrontacje, potem przed trybunał wojenny.

*

Prowincjał zakonu franciszkanów, ojciec Béda Rigaux, współpracował z Kometą. Aresztowany 8 lutego 1943 roku, przebywał w więzieniu Saint-Gilles.

W wywiadzie, który z nim przeprowadziłem, powiedział te słowa:

— „Wielką jest dla mnie pociechą, że mam okazję świadczyć o szlachetnej postawie Jeana Greindla. Wszystkim nam, służącym sprawie u jego boku, uświadamiał wzniosłość i piękno świadczonych usług. Mówił nam, że Belgia nie może trzymać się na uboczu wobec wysiłków aliantów. Przez swoje poświęcenie powinna dowieść, że brała czynny udział w wojnie, i to cała Belgia. Uświadamiał sobie w pełni niebezpieczeństwo, na jakie się narażał. Widziałem jego udrękę, kiedy nastąpiły pierwsze aresztowania, zagrażające całej akcji. Wtedy, kiedy rozsądek nakazywał schronić się na bezpieczniejszym terenie, pozostał na swoim posterunku do końca, aż dosięgła go ręka oprawców. Dzięki jego wysiłkom dziesiątki lotników powróciły do Anglii, dokąd on przekazywał zebrane cenne tajne wiadomości.

Zobaczyłem go w cztery miesiące po aresztowaniu, w czasie rozprawy sądowej. Znać było na nim głębokie ślady więzienia i piekielnych przesłuchań. Ale płomienny entuzjazm nie przestawał ożywiać jego wzroku, a nawet uśmiech pojawiał się na ustach. Skazany na śmierć, podtrzymywał w duszach swoich towarzyszy chęć do dalszej walki i chęć przeżycia, aby dalej prowadzić rozpoczęte dzieło.

Uważam Jeana Greindla za wielkiego bohatera. Odczuwałem zadowolenie, że niosę mu pomoc, jakiej żądał i czuję się dumny, że pracowałem pod jego rozkazami. Jego przykład natchnął wielu ludzi odwagą!"

*

Dwudziestego dziewiątego kwietnia 1943 roku trybunał *Luftwaffe* skazał Jeana Greindla na śmierć. W koszarach Etterbeek czekał na wykonanie wyroku.

Siódmego września 1943 roku wschód słońca zapowiadał wspaniały pogodny dzień. Cała chmara bombowców alianckich przeleciała nad naszą okolicą. Kiedy nadjechał pociąg z Brukseli, jego

pasażerowie opowiadali, że koszary artylerii w Etterbeek uległy zbombardowaniu.

Ósmego września rano policja niemiecka telefonicznie zawiadomiła Paula Greindla, że syn jego Jean zginął na skutek angielskiego nalotu.

Wielu trzeba było starań, by pozwolono w gruzach szukać ciała. Oprócz ojca, w podeszłym już wieku, asystował przy poszukiwaniach szwagier, lekarz i inspektor z trybunału wojskowego. Po trochu, z wielkim wysiłkiem, gdyż musieli odginać sztaby żelazne tkwiące w betonie, żołnierze natrafili na odzież, szczątki listów i przedmiotów należących do Jeana. Wreszcie odsłonięto ciało. Leżał na prawym boku, lekko pochylony do przodu, z rękami wyciągniętymi przed siebie, obie dłonie się stykały. Twarz jego była spokojna, a rysy zupełnie nie zniekształcone, pogodne. Czaszkę z tyłu miał roztrzaskaną. Nogi poważnie uszkodzone i zmiażdżoną klatkę piersiową. Położono go na kocu, zdjęto obrączkę i sygnet, by doręczyć matce. W celach naprzeciwko zginęli równocześnie dwaj inni więźniowie, ale żołnierze zaraz odeszli, nie odkopując ich.

Paul Greindl poprosił o wydanie ciała syna, aby je pochować. Odpowiedziano nam, że powinniśmy się starać o zezwolenie z Berlina. Potem jednak udało się załatwić sprawę na miejscu. Oddano ciało, ale pod warunkiem, że pogrzeb odbędzie się tylko w ścisłym gronie rodzinnym, bez żadnej manifestacji, i że nie wolno kłaść na trumnie żadnego sztandaru. Musieliśmy obiecać, że nie zamieścimy w prasie żadnych nekrologów, a tekst zawiadomienia o śmierci musiał uzyskać zgodę władz niemieckich.

12 września zabraliśmy ciało i odwieźliśmy je do kaplicy wojskowego szpitala pod eskortą żandarmerii z Nivelles, a stamtąd do krypty w Bois-Seigneur.

NA HISZPAŃSKIEJ GRANICY

— Od czasu wizyty, jaką Franco nam złożył w Verviers w nadziei, że mój ojciec potrafi się przyczynić do uwolnienia Andrée de Jongh, przychodził później często do nas na obiad, kiedy byliśmy w Biarritz — opowiada pani Denise Hauzeur-Houget. — Zapytywałam, czy nie mogłabym mu w czymś dopomóc, i wtedy mnie zwerbował jako konwojentkę. Dwa czy trzy razy odbyłam na rowerze drogę z Dax do Bayonne i pojechałam jeden raz do Bordeaux ra-

zem z panią de Greef, przypominam sobie, że spałyśmy w jednym pokoju. To było za czasów Maxa Rogera.

Główna droga z Bayonne do Saint-Jean-de-Luz była bardzo strzeżona. Aby uniknąć niepożądanego spotkania, jechaliśmy boczną, która prowadzi do Saint-Pée-sur-Nivelle, a stamtąd kierowaliśmy się do Saint-Jean. Przypominam sobie, że pewnego dnia Franco pojechał przodem, a ja miałam z tyłu za sobą dwóch lotników, w odległości około stu metrów, jak zwykle. Nie umieli ani słowa po francusku, ale byli zdolni utrzymać się na rowerze, co nie zawsze się zdarzało u Amerykanów.

Wyjeżdżając z małej dróżki, tuż przed Saint-Jean-de-Luz, wpadłam na dwóch francuskich żandarmów. Nie zwracali na mnie żadnej uwagi, ale stanęłam o parę metrów dalej, niespokojna o chłopców — no i widzę, że ich zatrzymali. „Stało się — myślę — zaraz zażądają dokumentów."

Jeden z lotników był na tyle inteligentny, że podniósł palec do swoich uszu i warg i to mu uszło. Ale jego towarzysz zrobił to samo i widziałam, że żandarmi są rozgniewani. Sprawa przybierała zły obrót.

Zbierając się na odwagę, zawróciłam i pojechałam do żandarmów: „Dlaczego zatrzymujecie tych dwóch chłopaków? Czego od nich chcecie?"

„Proszę nam powiedzieć, paniusiu, dlaczego nie chcą mówić? Jeden głuchoniemy może się zdarzyć, ale dwóch?"

„Słuchajcie: jesteście Francuzami?"

„Oczywiście."

„A więc jeżeli jesteście Francuzami, to pracujemy dla tej samej sprawy."

„Tak?"

„Puśćcie tych dwóch mężczyzn. Nic w tej okolicy nie zrobią."

„Oni są z panią?"

„Tak, są razem ze mną i ja za nich ręczę."

„I co pani z nimi chce zrobić?"

„Proszę się tym nie interesować. Patrzcie w inną stronę i pozwólcie nam odjechać."

Obaj żandarmi zachowali się wspaniale. O nic więcej nie pytali i pozwolili mi zwiać razem z lotnikami.

Korzystaliśmy jeszcze z innej trasy, która przechodziła poza Saint-Pée, przez Espelette. Nieźle mi się konwojowało po tamtej drodze. Ale za pierwszym razem miałam przykrą historię.

Wyjechaliśmy z domu, który nazywano „Oberża", własność Marthe Mendihara, która u nas nosiła imię „Sophie". Stoi ten dom

na wielkim skrzyżowaniu między Bassassarry a Anglet. Tego dnia mieliśmy czterech pilotów, którzy przybyli dzień wcześniej, i Franco powiedział do mnie: „Dwóch sam zabieram, jedziemy przedtem w kierunku na Ustaritz, pani pojedzie za nami, spotkamy się przy wyjeździe do Espelette".

W dziesięć minut później odjechałam z dwoma pozostałymi, Elhorga służył jako czujka, zapewniał, że nie ma nic podejrzanego, bezpiecznie dojechaliśmy do Ustaritz, potem do Espelette. Franco ani śladu.

Czekam razem ze swoimi dwoma chłopakami, rozglądam się wkoło, nie ma nikogo. Byłam jak struta, a nawet wściekła, bo nie mam zbyt dobrego charakteru. W końcu powiedziałam do lotników: „Schowajcie się w gęstwinie, nie wychodźcie z niej pod żadnym pozorem, aż do chwili, kiedy usłyszycie, że ktoś gwiżdże *Tipperary*[1]". Stamtąd poszłam do wioski, szukałam wszędzie Franco, nawet u proboszcza, ale nic nie wiedział. Noc zapada, Franco nie ma. Bardzo rozgniewana, odprowadziłam swoich ludzi do Marty, bez świateł przy rowerach. Na drodze rozminęliśmy się z niemieckim patrolem, wtedy poganiałam swoich słowami: *„Schnell, schnell"*.

Wracamy do „Oberży" i kogo tam widzę? Franco, bardzo zaniepokojonego, bardzo rozgniewanego, a ja jeszcze bardziej się rozzłościłam. On stał u góry na schodach, ja na dole, nie chciałam wejść, tylko krzyczałam: „To śmieszne, nie będę dalej pracowała w takich warunkach. Jeżeli nie ma pan do mnie zaufania, proszę to otwarcie powiedzieć i pójdę sobie. Jak można kazać ludziom pędzić tam i z powrotem, nie mówiąc dokładnie, gdzie z panem mają się spotkać. Mam tego dość".

Wtedy mi wyjaśnił, że miał kłopoty z pewnym żandarmem, w końcu załagodził sprawę, ale nagle spostrzegł, że część pieniędzy na przeprowadzenie lotników schowana w jego sandale, znikła. Miał za mało gotówki na czterech, wobec czego oddał przewodnikowi dwóch, a sam powrócił. Zakończył zaproszeniem na obiad mnie i moich dwóch chłopców, którzy już padali ze zmęczenia po pedałowaniu na trasie czterdziestu kilometrów, bo tyle wynosiła droga tam i z powrotem. Byłam na tyle wzburzona, że nie chciałam słuchać jego tłumaczenia się. Bardzo łatwo Niemcy mogli nas złapać, a mój ojciec wcześniej mnie ostrzegał: „Działaj jak chcesz, ale unikaj niepotrzebnego ryzyka". Zostawiłam więc tam Franco i powróciłam do Biarritz.

Znowu na tej samej trasie do Espelette, po przejechaniu przez

---

[1] *It's a long way to Tipperary* (ang.) — piosenka bardzo popularna w armii brytyjskiej podczas pierwszej wojny światowej (przyp. autora).

ładny mały placyk, który zostawiamy na prawo w Larressore, zauważyłam, że dwaj konwojowani przeze mnie lotnicy nie jadą za mną. Zaczepili ich dwaj żandarmi i zaprowadzili do domu w głębi placu. Staję za drzewem i czekam. Mija kwadrans, dwadzieścia minut, pół godziny... Stawałam się coraz bardziej niespokojna, bo nigdy nic nie wiadomo: francuscy żandarmi bywali na ogół dość przyjemni, ale wystarczyło, by jeden Niemiec pokazał się w sąsiedztwie, a wszystko się zmieniało. Zbliżyłam się po cichu do domu, okno było otwarte, zajrzałam i co zobaczyłam? Moi dwaj chłopcy siedzieli przy stole z żandarmami i razem z nimi popijali czerwone wino. Żandarmi mówili po francusku, lotnicy mówili po angielsku, ale śmieli się w jednakowy sposób i komitywa była jak najlepsza. Może pan sobie wyobrazić, jak się krew we mnie wzburzyła, pół godziny spóźnienia, przejście przez góry mogło się nie udać, a co za tym idzie, wszelkie następstwa nieudanej akcji... Dałam znak swoim chwatom, żandarmi mnie ujrzeli, wstali ze szklankami w ręce i wołali: „Niech żyje Francja, Niech żyją alianci".

Byłabym ich pozabijała. Ale zrozumiałam, że ci poczciwi żandarmi nie chcieli puścić samych lotników w drogę, z obawy by ich nie zagarnął jakiś patrol. Kiedy mnie zobaczyli, upewnili się, że są pod opieką, i wypuścili na zewnątrz moich chłopaków. Zmyłam im dobrze głowę po angielsku: „To, co robicie, jest obrzydliwe. Popijacie czerwone wino, kiedy mnie czarna żółć zalewa. Dalej w drogę. I dobrze pedałujcie, żeby nadrobić spóźnienie".

Jak pan widzi, lotnicy byli dużymi dziećmi. Spuścili nosy na kwintę, wsiedli na rowery i pojechaliśmy jak można najszybciej. Przeszli na drugą stronę granicy bez przygód.

ŚRODA DWUDZIESTEGO PAŹDZIERNIKA 1943 ROKU

W belgijskiej prasie w grudniu 1943 roku na rozkaz władz niemieckich opublikowano następujące ostrzeżenie:

SKAZANI NA ŚMIERĆ

Belgijscy obywatele Eric de Menten de Hornes, Jean Ingels, Emile Delbruyère, Albert Marchal, Henri Rasquin, Ghuislain Neybergh, Gaston Bidoul, Robert Roberts-Jones, Georges Maréchal,

a także obywatele francuscy: Edouard Verpraet i Antoine Renaud zostali skazani na śmierć przez sąd wojenny za działalność na korzyść wroga.

Wyrok wykonano przez rozstrzelanie.

Część skazanych działając jako członkowie organizacji założonej w tym celu, inni nie mając z nią związku, ochraniali zestrzelonych lotników nieprzyjacielskich od aresztowania przez władze okupacyjne, zaopatrywali ich w cywilne ubrania, kwaterowali i ułatwiali im ucieczkę na różne sposoby.

W takim stanie rzeczy należy na nowo podkreślić, że trybunały wojskowe będą stosowały w przyszłości bezwzględnie najsroższe kary przewidziane przez prawo w razie udzielania pomocy członkom wrogich armii. Kto nie zawiadomi najbliższego posterunku niemieckiego o obecności członków nieprzyjacielskich armii, powinien sobie zdawać sprawę z konsekwencji tego czynu i nie może liczyć na żadne pobłażanie ze strony sądu.

*

„Zażądałem, by mnie rozstrzelano bez zakładania opaski na oczy" — napisał Jean Ingels do swojego brata. Kto widział jego zdjęcie, może być pewny, że ostatnie spojrzenie „Jeana de Gand" na pluton egzekucyjny było pełne przebaczenia.

*

Wiem, niestety, jak wielki będzie twój ból i cierpienie, kiedy otrzymasz ten list... Umieszczono mnie w celi razem z kolegą. Jedenastu nas ma być poddanych egzekucji jutro rano o siódmej trzydzieści. W „Tir National".

Myślę, że wypełniłem swój obowiązek aż do końca. Chciałem jako żołnierz walczyć dalej za nasz biedny kraj, za ciebie, za nasze dzieci. Miałem wysokie wyobrażenie o mojej roli jako oficera. Jeżeli chodzi o mnie, o moją satysfakcję — umieram szczęśliwy. Umrę podczas pełnej bitwy, u szczytu zwycięstwa...

Nie myśl ani chwili, że jestem zaskoczony takim rozwiązaniem. Przyznam ci się, że spodziewałem się go od dawna, a miałem pewność od miesiąca. Gdybym potrafił ocalić zeszyt, w którym pisałem do ciebie codziennie, znalazłabyś tam tę myśl od pierwszej strony. A zatem nie należy płakać nade mną, mnie najmniej trzeba żałować, lecz wielkie cierpienie sprawia mi myśl o was wszystkich, bo uchylam się od swojej roli ojca rodziny.

Śmierć nie przychodzi do mnie jak złodziej, myślę, że dobrze się do niej przygotowałem.

Płaczę nad twoim życiem, masz dzieci, lecz wiem, że je dobrze wychowasz. Niech moja śmierć będzie dla nich lekcją odwagi i dumy narodowej. To jedyna i ostatnia lekcja, jaką mogę im dać. Powiedz im koniecznie, że umieram wolny od nienawiści.

Jakże długą i trudną drogę masz przed sobą. Ale nie będziesz sama, to ci obiecuję. Bądź odważna, jak to potrafisz, i nie oglądaj się więcej na przeszłość. Spoglądaj wraz z dziećmi ku przyszłości. Wychowuj je w duchu szlachetności. Zrób z nich żołnierzy obowiązku. Mam głęboki podziw dla skautingu i armii jako instytucji społecznych.

Podziękuj także rodzinie i przyjaciołom, przekaż im moje serdeczne myśli. Nie podaję nazwisk, bo mógłbym o kimś zapomnieć. Niech cię to doświadczenie nie uczyni zgorzkniałą. Przyjmij je z prawdziwie chrześcijańską rezygnacją.

W górę serca!

Niech żyje Belgia!

Po przeczytaniu tego, co napisał do swoich najbliższych, Ghislain Neybergh przygotował się na śmierć. Kiedy się popatrzy na jego zdjęcie, na tę piękną twarz, łatwo zrozumieć dlaczego Nemo postanowił zrobić go swoim następcą, szefem belgijskiego sektora. Obaj zginęli w *Tir National*.

*

Jutro odbędę wielką podróż i będziecie dumni ze mnie. Niczego nie żałuję. Umieram za ideę, którą wszyscy wyznawaliśmy — napisał do swojej rodziny Eric de Menten, kończąc list słowami: *„Keep smiling"* [1].

CZASY BYŁY CIĘŻKIE

W tę samą środę, 20 października 1943 roku, nie wiedząc nic o tragedii, jaka rozegrała się rano w *Tir National* w Brukseli i o niedawnej śmierci swojego brata podczas bombardowania koszar w Etterbeek, Albert Greindl fetował wesoło wraz ze swoimi przyjaciół-

[1] *Keep smiling* (ang.) — Uśmiechnij się!

mi z Siatki, znajdującymi się w Wielkiej Brytanii. Chcieli uczcić odjazd do Francji Georges'a d'Oultremont, który tam miał zadanie do wypełnienia.

— Aby przyspieszyć odzyskiwanie lotników, pouczono mnie, w jaki sposób mam przyjmować lądowanie samolotu „Lysander" na przypadkowym terenie albo statku w jakiejś cichej zatoczce — opowiadał Georges d'Oultremont. — Wykonaliśmy skoki ze spadochronami w ciemną noc, ja i mój radiotelegrafista Conrad Lafleur, Kanadyjczyk, którego nazywaliśmy „Charles". Ci, którzy oczekiwali na dole, prosili, żebyśmy nie otwierali ust i zaprowadzili nas na dużą fermę, gdzie z wściekłością ujadał pies. Kiedy weszliśmy, zabłysło światło i spostrzegłem ze zdziwieniem około dwudziestu osób w izbie. Rzucili się do mnie ze słowami: „Słuchaj stary, jesteś ty Francuzem? Dalej, opowiadaj... Co z De Gaulle'em, Bir Hakeimem, generałem Giraud i tak dalej?" Otworzyli moją walizkę, podawali moją whisky z rąk do rąk, oglądali rewolwer i koszule. Kiedy nazajutrz przeszło osiemdziesięcioletnia staruszka odwiozła mnie na dworzec w Compiègne, byłem w wyczyszczonym na wszystkie strony ubraniu. To było urocze i na zawsze zachowam wzruszające wspomnienie z tego nadzwyczajnego wieczoru, który u tych ludzi spędziłem.

Potem pojechałem do Paryża. Belgijską ambasadę reprezentował konsul generalny Hubert Carton de Wiart, o którym wtedy prasa nie pisała pochlebnie. Zgłosiłem się do niego, był tam także mój przyjaciel Alexandre Van der Straten-Waillet. Goszczono mnie przez osiem dni i dzięki staremu Alecowi, który posiadał dokumenty uprawniające go do poruszania się do woli po Paryżu, mogłem nawiązać kontakty z następującymi osobami: panną Mausy de Guitaut, panną Monique de Briey, panną de Chayla, panną Jacqueline Darcy, która potem była moją dzielną pomocnicą, i Jean-Pierre Malletem pochodzącym z rodziny bankierów, który z góry został wyznaczony do odebrania ode mnie trzech milionów; powierzyłem pieniądze jego opiece. Na nieszczęście jestem straszliwie roztargniony i dokumenty, które pokazywałem, były stale nie te, które powinienem był okazać, do tego stopnia to było podejrzane, że jeden z kolegów Malleta powiedział mu: „To jest fałszywy agent, trzeba go zabić". Moja dobra gwiazda sprawiła, że obaj spotkali tego samego wieczora kolegę Mangina przybyłego z Londynu osiem dni wcześniej ode mnie, ten zaprotestował: „Jesteście szaleni. Ten chłopak, to drugi ja, to moja wątroba, moja śledziona, moje wnętrzności". Ten wspaniały zbieg okoliczności zakończył się w dobrej belgijskiej restauracji w Paryżu, która się tam cudem uchowała podczas trzech lat okupacji.

Pierwszą moją troską było znaleźć tereny do lądowania. Ku wielkiemu wstydowi udała mi się tylko jedna operacja „podwójny Lysander", jak mówiono, co znaczy, że w okolicy Coucy-le Château w Aisne przyjąłem dwa samoloty, które zabrały naraz pięciu lotników. Szczęśliwy traf, mogę powiedzieć, gdyż to się już nie powtórzyło. Nie mówmy wcale o łączności z morzem, nie byłem zdolny uskutecznić ani jednej. To przerażające, kiedy pomyślę, ile to trudu kosztowało wykształcić mnie w tej dziedzinie.

Przyjąłem jednak Jeana de Blommaert „le Blom", jak go nazywano, który przy końcu października przywlókł się do Fismes ze spadochronem, z dwugodzinnym opóźnieniem. Żywię dla Jeana serdeczną przyjaźń, ale nigdy jeszcze nie stawił się punktualnie na spotkanie. Przyznaję, że tym razem to nie była jego wyłączna wina. Co więcej, wylądował na kupie nawozu, co trzeba policzyć jako okoliczność łagodzącą.

Było umówione, że podczas tej akcji ja powinienem powiedzieć „Napoléon", a on odpowiedzieć „Marie-Louise" dla rozpoznania się. Przy każdej stercie nawozu krzyczałem „Napoléon" bez żadnego skutku. Nagle usłyszałem z daleka głos wrzeszczący: „Zamknij się, do licha. Tylko ciebie tutaj słychać". To był Blom. Odnaleźliśmy się, uściskali i razem pojechaliśmy do Paryża. Skontaktowałem go z ludźmi, z którymi wcześniej nie miałem czasu spotkać się, szczególnie z rodziną Alberta Lake, o której mi mówiono: „Staraj się z nimi zetknąć, to są osoby bardzo na miejscu". Blom doskonale się z nimi rozumiał.

Jeżeli chodzi o mnie — ciągnie swoje opowiadanie Georges d'Oultremont — sprawy zaczęły przybierać względnie pomyślny obrót, kiedy dom leżący w Reims, skąd Lafleur nadawał tajne wiadomości do Londynu, został namierzony przez radiogoniometry niemieckie. Mój Lafleur był człowiekiem o niesłychanej odwadze. Zabił dwóch czy trzech Niemców strzałami z rewolweru, potem wyskoczył przez okno i udało mu się wykaraskać z tarapatów. Wysłałem go do Anglii, ale Niemcy byli na moim tropie, a bez radiowca nie mogłem nic zdziałać. Mangin sfabrykował mi dokumenty, dzięki którym nawiązałem kontakt z inną linią przerzutową francuską, działającą w Pau. Przeszedłem przez Pireneje od strony Mauléon; potrzeba było czterdziestu ośmiu godzin marszu, by dojść do Hiszpanii. Podczas drogi stoczyłem się w głąb wąwozu i uważałem się za szczęśliwca, kiedy potrafiłem z niego wyleźć.

W Pampelune spotkałem się z Albertem Greindlem, który przyszedł na moje spotkanie razem z „Timothym". Jechał do Francji, więc zamieniliśmy kapelusze. Albert dał mi swój w czystym stylu

„Eden" [1], ja mu dałem swój, kupiony przy boulevard de la Madeleine, w magazynie „Carnaval de Venise", potem rozstaliśmy się. Z Pampelune pojechałem do Anglii. Był marzec 1944 roku.

W dziesięć dni po wylądowaniu w Normandii przybyłem do Bayeux, gdzie miałem za zadanie przekroczyć linie niemieckie i szukać lotników ukrywających się na tym terenie. To zadanie przydzielono mi dlatego, że moja matka urodziła się w Normandii. Były nas cztery grupy: francuska, belgijska, angielska, amerykańska. Czekaliśmy na okazję, która nie chciała nadejść. Wreszcie miałem dość tego próżniactwa, chciałem się bić, więc zgłosiłem dymisję. Odesłano mnie do Anglii i wcielono do *S.A.S.* [2]

W kilka dni później zrzucono mnie w Belgii w pobliżu Dinant, razem z pułkownikiem Blondeelem. Zabawiliśmy się w bandytów, zastawiając na cofających się Niemców szereg małych zasadzek przy pomocy *Armée Secrète*, którą nauczyliśmy manipulować materiałami wybuchowymi. Amerykanie zjawili się dziesiątego czy dwunastego września w tym zakątku, gdzie byliśmy, i położyli koniec tej emocjonującej grze. Odwieziono nas natychmiast do Brukseli, stamtąd wysłano do Anglii.

Cóż mogę więcej panu powiedzieć? Doznałem zwykłego losu skoczków spadochronowych, skakałem razem z Polakami, szamotałem się z typkami von Rundstedta, którzy mnie poczęstowali szrapnelem w głowę, byłem w Holandii i w Niemczech. Straszliwe zapalenie zatok przykuło mnie do łóżka w szpitalu tuż przed kapitulacją nazistów, więc nie mogłem razem z kolegami dojść do Hamburga.

— Przeżył pan piękną przygodę — powiedziałem.

SZNUREK I ZIEMNIAKI

Raymond Itterbeek, student prawa handlowego, miał dopiero osiemnaście lat, kiedy klęska spadła na Belgię. Na wzór swoich kolegów postanowił „robić coś przeciwko Niemcom".

— Nie bardzo wiedzieliśmy, jak się do tego zabrać, i z początku to były tylko dziecinne psoty. Całe miesiące upłynęły do dnia, kie-

[1] Szef *Foreign Office*, Anthony Eden, był znany z elegancji w ubiorze (przyp. autora).

[2] *Special Air Force* — Specjalne Siły Lotnicze. Nie mylić z *Sections Administratives Spécialisées* z Algierii, które miały taki sam skrót (przyp. autora).

dy chłopak z naszej małej grupy odkrył, że jedno z jego rodziców należy do *Armée Secrète*. Postanowiliśmy wszyscy z entuzjazmem do niej wstąpić.

Odbyło się spotkanie w mieście z jakimś panem, który nam nie powiedział, kim jest, i byliśmy już trochę rozczarowani, kiedy poprosił, abyśmy jako pracę dla organizacji przeprowadzili ankiety odnośnie do osób podejrzanych, których nazwiska nam podał. W braku czegoś lepszego zabraliśmy się do tej roboty.

Niedługo potem okupanci narzucili obowiązek pracy w Niemczech. Aby od niej się wywinąć, kilku z nas weszło do Ministerstwa Wyżywienia. W taki sposób zapoznaliśmy się z Jacques'em de Bruyn, który nami się zajął. Aby nas wystawić na próbę, zażądał, żebyśmy mu przynosili informacje wojskowe, i kazał nam dokonać kilku napadów z bronią w ręce.

Eskadra włoskich lotników stacjonowała w Brukseli jako zastępcza w nalotach na Anglię. Zdaje mi się, że odbyli tylko jeden. Ich gestapo, nazywając się *Ovra*, przyjechało za nimi i zainstalowało biuro kontrwywiadu obok teatru „De la Monnaie". Było nas czterech, a Jacques de Bruyn dostarczył nam tylko trzy rewolwery. Zrobiliśmy sobie czarne maski z literą V między oczami w belgijskich barwach narodowych i weszliśmy do biura pewnej pięknej soboty o godzinie dziesiątej rano. Był tam tylko jeden Włoch i jego sekretarka, którzy patrzyli na nas bardzo zdziwieni i natychmiast podnieśli ręce do góry. Powiedzieliśmy, że jesteśmy *Brigade Blanche* i chcemy zabrać dokumenty. „Posłuchajcie mnie — powiedział Włoch. — Nie jestem faszystą. Jestem monarchistą. Możecie zaglądnąć do szuflady mojego biurka, jest tam sztandar z herbem domu sabaudzkiego."

Poprosiliśmy go, aby położył się na podłodze, na plecach, jego sekretarka również, co było błędem, bo dowiedzieliśmy się później, że lepiej jest rozłożyć przeciwnika na brzuchu, potem związaliśmy ich papierowym sznurkiem, bo tylko taki tam znaleźliśmy. Nie był zbyt mocny. Niedoświadczeni, nie przynieśliśmy ze sobą niczego prócz masek i trzech rewolwerów oraz dwóch walizek do zabrania dokumentów. Kiedy je dobrze naładowaliśmy, odeszliśmy. Naturalnie, że Włochowi udało się wyswobodzić z więzów i w momencie, kiedy wychodziliśmy na ulicę, zaczął krzyczeć przez okno. Zaczęliśmy uciekać, zmykając małymi uliczkami dzielnicy. W sąsiedztwie było dużo urzędów niemieckich, co spowodowało, że nas ścigano strzelając ku wielkiemu przerażeniu licznych przechodniów, gdyż była to angielska sobota. Ja i jeden z kolegów nieśliśmy walizki, kolega zabrał strzelbę z biura przed odejściem. Aby nie była widoczna, wpuścił ją do nogawki spodni, co mu przeszkadzało w ucieczce, nie

mógł biec, ale dwaj pozostali tak postępowali, aby Niemcy pobiegli za nimi. Skutek był taki, że ja i mój kolega odeszliśmy każdy w swoją stronę z walizkami i nikt nas o nic nie pytał. Wszyscy czterej odnaleźliśmy się u Jacques'a de Bruyn, w jego ręce złożyliśmy dokumenty i broń.

— Także i strzelbę?

— Tak. Kolega, który ją wziął, to był ten, któremu Jacques nie przydzielił rewolweru.

— Proszę przyjąć ode mnie gratulacje za ten zamach, dokonany w biały dzień w dzielnicy zapełnionej Niemcami. Uważam to za wielki wyczyn.

— Och — powiedział Raymond, zdziwiony moim komplementem — dla nas to była pewnego rodzaju zabawa. Nie zdawaliśmy sobie sprawy...

— Czy ponawialiście takie próby?

— Tak, na flamandzki ośrodek ruchu *thiois*.

— Po raz pierwszy słyszę o tej sprawie. Na czym polegał ten ruch?

— Inicjatorem jego przed wojną był Van Sevsren, który chciał zjednoczyć Flandrię belgijską z Flandrią francuską, aby stworzyć na nowo Lotaryngię.

— Coś podobnego! Hitlerowcy traktowali chyba łaskawie takie przedsięwzięcie! To leżało w koncepcji ich rzekomej *Geopolitik* [1]. Ale dlaczego *thiois*?

— To także pochodzi od Niemców. Myślę, że od słowa *Theotisk*, Ośrodek, o którym mowa, jeżeli dobrze pamiętam, zwał się Verdinaso, ale nie umiem panu objaśnić, co to znaczy. Ludzie z tego ruchu pozostawali na utrzymaniu Niemców i nosili mundury. Jacques de Bruyn życzył sobie położyć rękę na ich dokumentach. Jeszcze raz we czterech podjęliśmy akcję.

To Verdinaso mieściło się przy nie istniejącej dzisiaj ulicy, obok Biblioteki Albertyńskiej w centrum miasta. Według otrzymanych informacji akta personalne były ukryte w kominku. Poszliśmy tam pewnego wieczora. Dwaj pozostali na zewnątrz na czatach, a ja razem z czwartym wszedłem do pomieszczenia. Był tam tylko jeden wysoki brodacz, którego przywiązaliśmy do pieca, starego fajanso-

[1] Geopolityka według Larousse'a jest to „badanie związków zachodzących między państwami, ich polityką, nauką i warunkami naturalnymi, które determinują te pierwsze. Naziści zużytkowali tę wiedzę pozostającą dopiero w zarysie do swoich żądań „przestrzeni życiowej". „Thiois" (z łacińskiego Theotiscus) i z germańskiego Theotisk — mówi się o Niemcach i języku niemieckim (przyp. autora).

wego pieca z Louvain, o bardzo wysoko umieszczonym palenisku. Bronił się z wielką siłą, ale mimo to przywiązaliśmy go, a że to była sobota, pozostał w towarzystwie pieca aż do poniedziałku rano, do otwarcia biura. Tym razem mieliśmy już doświadczenie i sznur był jak należy.

Teczki z dokumentami znajdowały się ukryte w kominku, zabraliśmy je i historia była skończona. Począwszy od tej chwili, Jacques de Bruyn wciągnął mnie do pracy w Siatce Kometa. Zacząłem od szukania kwater, potem przeprowadzałem lotników przez Rumes, gdzie mieszkała Monique Hanotte.

Trzeciego stycznia 1944 roku o drugiej po południu Michou przyprowadziła na spotkanie umówione na placu Rogier dwóch Anglików: oficera i sierżanta *R.A.F.* Na Dworcu Północnym wsiedliśmy do pociągu w kierunku Tournai. Było wielu pasażerów w wagonie, a więc wszyscy trzej pozostaliśmy na platformie. W dwadzieścia minut po odjeździe odbyła się kontrola prowadzona przez gestapowców z Paryża. Niemcy kazali sobie pokazywać dowody osobiste i przepytywali z danych personalnych.

Mój dowód był wystawiony na nazwisko Jacques de Brigaude, francuski adwokat urodzony w 1917 roku w Rolleville, w Seine-Inférieure. Znałem treść dowodu na pamięć i było mi łatwo odpowiadać na pytania. Gorzej było z Anglikami. Obaj otrzymali dowody w chwili odjazdu, ale gdyby nawet mieli je wcześniej, to nic by to im nie pomogło, gdyż nie znali wymowy francuskiej. Po oddaniu mi dowodu gestapowiec zwrócił się do sierżanta *R.A.F.*: „Dokumenty". Nie rozumiejąc, o co chodzi, sierżant podał bilet kolejowy. „*Karte Identität*" — powiedział Niemiec.

Rozłożyłem gazetę, niby czytając, i pokazałem swój dowód Anglikowi, by zorientował się. Ale Niemiec zaczął go wypytywać, a ten biedny sierżant zachował się jak szalony. Zwracając się do mnie, zapytał po angielsku, czego tamten od niego chce. Aby się wywinąć, odpowiedziałem: „Przepraszam, nie rozumiem, co pan do mnie mówi".

Tymczasem oficer *R.A.F.* wyjął swój dowód osobisty i oglądał go. Potrafił wymówić swoje fałszywe nazwisko, ale z takim akcentem, że gestapowcy już nabrali pewności. Moje udawanie na nic się nie przydało i aresztowali nas wszystkich trzech. Zaprowadzili do przedziału, w którym znajdowali się niemieccy oficerowie jadący do Francji. Jeden z wyższych oficerów *Luftwaffe* nawiązał rozmowę z Anglikami na tematy techniczne. Ten Niemiec doskonale mówił po angielsku, sierżant nabrał do niego zaufania i wdał się w dyskusję: gdyby gestapowcy mieli jeszcze jakąś wątpliwość, to teraz rozwiała się do reszty.

Zidentyfikowali mnie jako przewodnika dwóch lotników. W przeddzień aresztowania pożyczyłem swój płaszcz amerykańskiemu lotnikowi, który mieszkał u moich rodziców, aby miał w czym pójść przejść się. Poprzednio przeszukałem kieszenie płaszcza i byłem pewien, że nic podejrzanego tam nie było. Proszę sobie wyobrazić moje zdziwienie, kiedy Niemcy wyciągnęli z mojej kieszeni dokumenty tego Amerykanina. Schował je tam przed wyjściem na spacer w obawie, by w razie aresztowania na ulicy nie wzięto go za szpiega.

Gestapowcy wbili sobie do głowy, że wiozłem swoich lotników do Lille, a tam miałem się spotkać z kimś, kto zaopiekuje się nimi w drodze do Paryża. Zatem odwieźli nas do Lille, wszystkich trzech w kajdankach, ściskając nas tak bardzo, że tworzyliśmy razem z Niemcami grupę ośmiu jakby dobrych przyjaciół podróżujących razem. Obserwowali spod oka wszystkie moje reakcje. Wystarczyło, że machinalnie popatrzyłem na kogoś przechodząc przez dworzec, natychmiast zatrzymywali nieszczęśnika, przedmiot mojej mimowolnej uwagi. To sprawiło, że było nas około trzydziestu, kiedy weszliśmy do komisariatu policji w Lille. Biedni ludzie, przyprowadzeni tam z nami, na wszelkie sposoby przekonywali Niemców, że nie rozumieją, o co chodzi.

*

Od trzech miesięcy Jean-Jacques znalazł nową konwojentkę. Była to dwudziestojednoletnia Odile de Vasselot, która już trzy lata wcześniej rwała się do walki z wrogiem, ale musiała czekać do 1943 roku, aby nawiązać kontakt z organizacją *PCC, Poste Centrale de Courrier,* czyli Centralą Przekazywanych Wiadomości. Tam gromadzono informacje zebrane przez dwie belgijskie siatki, *Zéro France i Sabot*[1]. *Zéro France* była filią *Service Zéro,* która działała na północy Francji.

Stawszy się „Danielle", Odile de Vasselot objęła funkcję agenta-łącznika między Paryżem a Tuluzą, gdzie przekazywała pewnej „Rolande" informacje przewiezione z północy, a polityczni zbiegowie hiszpańscy przewozili je przez granicę w Pirenejach. Danielle wracała do Paryża mając w walizce paczkę powierzoną jej przez Rolande, zawierała ona fundusze przeznaczone na zasilenie skarbca *PCC.*

Trwało to tak przez sześć miesięcy, aż do dnia, kiedy gestapo zatrzymało Rolande. Według jej wyrażenia Odile stała się „bezro-

[1] *Sabot* — skrót od *sabotage* — sabotaż (przyp. tłum.)

botna". Lecz nie na długo: jej przyjaciółka Jacqueline Darcy skontaktowała ją z Jean-Jacques'em, który następnego dnia zabrał ją do Lille, a potem do Bachy, gdzie zapoznała się z Maurice i Rachel Bricout. Tego samego wieczora, prowadzona przez Maurice Bricout, przeszła w nocy potajemnie belgijską granicę w towarzystwie Jean-Jacques'a i przeprowadziła razem z nim czterech lotników. Zamiast podróży Paryż—Tuluza nastąpiły wędrówki Paryż—Lille.

— 3 stycznia 1944 roku — opowiada mi dalej Odile — Monique Hanotte i ja zastałyśmy w Rumes tylko dwóch lotników, którzy przyjechali z Brukseli zamiast spodziewanych czterech, oraz jednego przewodnika zamiast dwóch. Przewodnik nam powiedział, że w Tournai jego kolega nie mógł wejść do pociągu i dał znak, że przyjedzie następnym.

Od pewnego czasu panowała niezdrowa atmosfera. W domu położonym naprzeciwko naszego punktu wymiany przewodników zamieszkali jacyś robotnicy pod pretekstem remontu w domu, ale nasi gospodarze odnosili wrażenie, że przybysze ich szpiegowali. Była tam także rosła dziewczyna zwana Béatrice z Sekcji B naszej Siatki, powołana do konwojowania Belgów poszukiwanych przez gestapo. Postanowiłam odjechać do Paryża sama z dwoma lotnikami nie wiedząc, że dwóch pozostałych i przewodnika aresztowano...

— Chodziło o Raymonda Itterbeek — wtrąciłem.

— W każdym razie Niemcy odkryli nasz system polegający na ewakuowaniu czterech lotników jednocześnie w dwójkowych grupach. Zrozumieli więc, że jedna z grup im się wymknęła w Belgii i że powinni jej szukać na trasie z Lille do Paryża. Ale o tym nie wiedziałam.

Moi dwaj lotnicy byli Anglikami i nie umieli ani słowa po francusku. Powiedziałam do nich: „Jeżeli ktokolwiek was o coś zapyta w pociągu, udawajcie, że nie słyszycie. Od tej chwili jesteście głuchoniemi".

Po spędzeniu nocy u państwa Bricout wsiedliśmy do pociągu w kierunku Cysoing i wszystko przebiegało dobrze aż do Lille, gdzie czekał pociąg do Paryża. Na peronie kłębił się tłum, gdyż był to dzień powrotu do szkoły po feriach świątecznych. Poprzedniego dnia wzięłam trzy bilety drugiej klasy: jeden dla Monique Hanotte, drugi dla mnie, a trzeci dla jeszcze innej konwojentki, która miała powrócić do Paryża razem z nami. Zważywszy, że było nas troje, a kolejki przy kasach biletowych były olbrzymie, popełniłam nieostrożność odstępując od zawsze stosowanej zasady: zamiast kupić bilety dla Anglików dałam im te, w które zaopatrzyłam się wcześniej i które miały kolejne numery po moim. W momencie wsiadania do pociągu zdałam sobie sprawę, że pociąg pęka w szwach i że nie

znajdę najmniejszego kawałka miejsca w drugiej klasie. Biorąc obu Anglików za rękę, pobiegłam ku wagonowi pierwszej klasy, zostawiając Béatrice, by sobie sama radziła z Belgami.

Wagon, do którego udało nam się wślizgnąć, był zapełniony i z trudem wcisnęliśmy się i przylgnęliśmy twarzami do szyby w korytarzu. Pociąg ruszył i wkrótce zjawił się konduktor, zbierał dopłatę za pierwszą klasę, bo nie byliśmy jedynymi z biletami drugiej. Podróżni klęli uważając, że wina leży po stronie kolei, która powinna była doczepić wagony drugiej klasy. Ja martwiłam się tylko o jedno: żeby nie ściągnąć na nas uwagi. Wzięłam więc bilety swoich chłopców, pokazałam je razem ze swoim zgłaszając dopłatę do pierwszej. Kontroler wyjął bloczek, zanotował na nim u góry trzy kolejne numery. Oderwał kwit, wręczył mi, zapłaciłam, ale trzy numery pozostały na kopii kwitariusza.

Tuż przed Arras jakiś głos cudzoziemskim akcentem zapowiedział: „Proszę przygotować dokumenty do niemieckiej kontroli". Rzucam okiem na prawo, widzę trzy typki w jednakowych filcowych kapeluszach, w takich samych szarozielonych nieprzemakalnych płaszczach. Krew uderzyła mi do głowy: to gestapo. Weszli od końca korytarza do pierwszego przedziału za toaletą.

Jeden Anglik stał ode mnie na prawo, drugi na lewo. Powiedziałam do nich po cichu: „Pokażcie wszystkie dokumenty, dowód osobisty, kartę pracy, wyciąg z ewidencji ludności. No i ani słowa, róbcie wszystko to samo, co ja". Niemcy wychodzą z przedziału, kolej na nas. Wyciągam swój dowód, oczywiście fałszywy, według którego urodziłam się w Bretanii, w jakiejś dziurze o nazwie trudnej do zapamiętania. Jednak byłam na tyle przezorna, że zaglądnęłam wcześniej do książki telefonicznej, aby nauczyć się na pamięć nazwisk mera, rzeźnika, piekarza i proboszcza mojej rzekomo rodzinnej wioski... Chodziło o nazwiska typowo bretońskie i dobrze było, że umiałam podać pisownię swojego, które kończyło się na c, potem był apostrof, a na końcu h. Jednej rzeczy byłam pewna, że moje imię brzmiało Françoise.

Gestapowcy oglądnęli dowód, porównali fotografię z moją twarzą, zdjęcie było autentyczne i zwrócili mi go ze słowem: *„Gut"*.

Potem przeszłam na lewo, stając za Anglikiem. Ten wyjął dowód i wzniósł oczy do góry, starając się pójść za mną, ale Niemiec przytrzymał go za rękaw: „Jak się pan nazywa?"

Stosując się dokładnie do moich poleceń, Anglik podniósł palec do ust i ucha potrząsając głową. Byłoby to uszło, ale dwaj inni gestapowcy kazali sobie pokazać dowód Anglikowi, za którym stałam, pytając: „Gdzie pan pracuje?"

Pokazał na migi tak samo i sprawa się popsuła. Szukając nas

w tym pociągu, Niemcy zrozumieli, z kim mają do czynienia, i przeprowadzili rewizję osobistą u moich chłopców. Na widok zapałek, na których wydrapałam napis *made in Belgium*, bo obaj chcieli je zabrać jako pamiątkę, gestapowcy zaczęli się drwiąco śmiać. Przeżyłam straszną chwilę, kiedy podróżni stłoczeni w korytarzu obok nas pytali: „Co się dzieje? O co chodzi?"

Bardzo bym chciała coś zrobić dla moich biednych chłopców, aż źle się poczułam, widząc taką sytuację, ale pamiętałam, co nam stanowczo nakazano: „Najważniejsze, żeby nie dać się złapać. Nie może pani za siebie ręczyć, czy poddana torturom nie zacznie pani sypać, a to może pociągnąć za sobą setki aresztowań. Jeżeli konwojowani przez panią lotnicy zostaną aresztowani, to będzie ze szkodą dla nich, ale nie potrafią ujawnić żadnych szczegółów, narażą się tylko na pobyt w obozie jeńców wojennych".

Czułam się tak nieszczęśliwa, że uchwyciłam się prętu metalowego przy szybie z taką siłą, jakbym miała go złamać na pół. Jak w półśnie odpowiadałam ludziom: „Nie wiem... Nie rozumiem... Ci dwaj są albo chorzy, albo wariaci..."

Anglicy zachowali się nadzwyczajnie, tym bardziej, że z powodu zaniepokojenia, jakie mnie ogarnęło w Rumes, zapomniałam im powiedzieć, jak się mają zachować w takiej okoliczności. Zrozumieli to instynktownie i przechodząc obok mnie ani nie mrugnęli, kiedy pociąg wjeżdżał na dworzec w Arras.

Zobaczyłam, że moi biedni chłopcy wysiedli na peron w obstawie trzech gestapowców w cywilnych ubraniach, potem zniknęli w drzwiach wyjściowych dworca. Serce mi się ściskało, ale zapewniam pana, że po zakończeniu działań wojennych powrócili do Anglii cali i zdrowi.

— To dobra wiadomość, ale czy Niemcy nie wiedzieli, że Anglikom ktoś towarzyszył, czy na tym poprzestali?

— Oczywiście. Zaledwie Anglicy wyszli z dworca, już milicja weszła do wagonu. Kazali wejść do przedziałów wszystkim pasażerom, którzy stali w korytarzu, i stanąć w przejściu między siedzącymi, wszystkie drzwi zamknięto na klucz i trzej gestapowcy powrócili, widocznie już umieścili w bezpiecznym miejscu moich Anglików.

Byłam w pierwszym przedziale, oparta o zewnętrzną szybę. Naraz przyszedł mi na myśl bilet dopłaty, wręczony przez kontrolera. Połknęłam ten papier i udało mi się to zrobić poza plecami Niemców. Osoba siedząca w rogu przy oknie patrzyła na mnie ze zdziwieniem. Smak biletu był obrzydliwy i odebrał mi apetyt na cały dzień. Zresztą gestapowcy o nic mnie nie pytali, gdyż w walizce jednego z podróżnych znaleźli ziemniaki. Wracał z północy do Paryża od

żony, z którą spędził święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok. Wyjaśnił, że to żona zapakowała mu ziemniaki, aby uzupełnić jego pożywienie, gdyż na paryżan nałożono ograniczenia żywnościowe. Ale Niemcy nie chcieli słuchać tych usprawiedliwień. Jeden z nich nie przestawał powtarzać: „Jedzie pan pierwszą klasą z ziemniakami, to podejrzane". I zabrali tego biedaka. Myślę często o nim z wyrzutami sumienia, nie wiem, co się z nim stało. Motywy jego aresztowania były przecież bardzo wątłe, a ja pośrednio z tego skorzystałam.

*

Zwróciłem się znowu do Raymonda Utterbeek:

— A więc wpadł pan w ręce Niemców wraz z dwoma lotnikami, tymi, których „Jeanne" miała odebrać w Rumes...

— Dwaj moi lotnicy zostali uwięzieni podobnie jak i ja w Loos, ale jako jeńcy wojenni, więc ich już więcej nie zobaczyłem. Poddano mnie serii przesłuchań, zawsze w nocy, i przeżyłem trudne chwile, kiedy gestapo z Lille chciało koniecznie wiedzieć, kim jestem. Starałem się zyskać na czasie, żeby moi rodzice zrozumieli, że mnie aresztowano, i zdążyli gdzie indziej umieścić Amerykanina przebywającego w naszym domu. Po upływie trzech tygodni uważałem, że mogę bez ryzyka podać swoją tożsamość. Wtedy przeniesiono mnie do Saint-Gilles.

Przed opuszczeniem więzienia w Loos odebrałem z kancelarii wszystko, co przy mnie znaleziono, łącznie z dokumentami Amerykanina. Zniszczyłem je przed wyjazdem do Brukseli. Fałszywy dowód osobisty figurował w mojej teczce personalnej, dzięki czemu mogę go panu pokazać, gdyż wszystkie archiwa z Saint-Gilles zachowały się, odnaleziono je po wyzwoleniu.

Kiedy przewieziono mnie do Saint-Gilles, tuż przed wizytą lekarską spotkałem naszego kolegę Rogera Buchet, drukarza, który mnie powiadomił, co zaszło w Paryżu po moim aresztowaniu. Naturalnie, że mnie jeszcze przesłuchiwali, ale opowiedziałem historyjkę o bandzie Holendrów, handlarzy na czarnym rynku, bajeczkę całkiem fantastyczną, ale dobrze chwyciła. Gdzieś tam znalazła się wzmianka o dokumentach Amerykanina w mojej kieszeni, trzy różne policje zajmowały się sprawą, co mi na dobre wyszło, i nikt o tym więcej nie mówił.

— A pana rodzice? Wyobrażam sobie, że przyszli do nich, kiedy pan się przyznał, kim jest?

— Tak, ale wcześniej już zrozumieli, że wpadłem w ręce Niemców i tak, jak się spodziewałem, Amerykanin odjechał. Mimo wszystko aresztowano ich w maju 1944. Ojca skazano na śmierć, potem

wywieziono do Niemiec, skąd powrócił, a mama pojechała do Ravensbrück, ale i ona także stamtąd powróciła. Byli sądzeni w sierpniu, a ja figurowałem jako świadek ich procesu, który toczył się podobnie jak i mój na pierwszym piętrze „Hôtel Palace". Zostałem skazany na śmierć w dniu 26 lipca.

Alianci wylądowali w Normandii 6 czerwca i u Niemców panowało już rozprężenie. Zamiast wykonać wyrok od razu wywieźli nas z Brukseli, około czterdziestu skazanych na śmierć, między nimi było sporo kolegów z naszej Siatki. Nie wiem dlaczego mieliśmy prawo do jazdy drugą klasą, wygodnie siedzieliśmy, pilnowani przez żołnierzy, którzy zabraniali nam rozmawiać swobodnie. Była to prawdziwa podróż turystyczna, jechaliśmy wzdłuż Renu, a jeden ze strażników objaśniał wszystko, co oglądaliśmy. Ale mimo wszystko każdy z nas miał kajdanki.

Odwiedziliśmy całą serię *Zuchthaus* [1], w Bonn byliśmy kilka dni, potem w Koblencji, we Frankfurcie, w Norymberdze...

Z *Zuchthaus* w Norymberdze przeniesiono nas do Bayreuth, gdzie pozostaliśmy prawie przez siedem miesięcy, po czterech w celach przeznaczonych dla jednej osoby. Na początku kazano nam pruć niemieckie mundury i przerabiać je, ale kiedy zrobiliśmy sabotaż, ukarano nas odebraniem pracy. Czas bardzo się nam dłużył. Po siedmiu miesiącach przewieziono nas do dużego więzienia w Amberg przy granicy czechosłowackiej. Tam brakowało nam wieści ze świata. Lecz pewnego pięknego dnia jacyś strażnicy zwierzyli się nam, że alianci zbliżają się, i zapowiedzieli: „Jeżeli usłyszycie bicie dzwonów, to będzie znaczyło, że miasto się poddaje".

Pewnego wieczora usłyszeliśmy kanonadę, a zaraz potem dzwony. Było nas około czterdziestu w wielkich celach, gdzie odnalazłem wielu kolegów z Siatki.

Następnego dnia rano zjawili się w więzieniu żołnierze Pattona. Było nas tam razem powyżej dwóch tysięcy, nie tylko więźniowie polityczni, ale także skazani przez sądy cywilne oraz kryminaliści. Utworzyła się rada pozostająca w rękach więźniów rosyjskich i polskich, byliśmy dalej w więzieniu, ale było lepsze wyżywienie i odwiedzali nas jeńcy wojenni belgijscy i francuscy, pracujący w okolicy.

W tydzień później przyjechał Pierre Ugeux. Powiedział, że dysponuje dziesięcioma miejscami w samolocie dla członków Komety...

Mąż Michou, który dotychczas milcząc przysłuchiwał się rozmowie, zabrał głos, aby zaspokoić nalegania kolegów:

---

[1] *Zuchthaus* (niem.) — karne więzienie (przyp. aut.)

— Zacząłem od złożenia wizyty amerykańskiemu majorowi, który mi kazał pić przez całą noc, żeby się upewnić, czy jestem dobrym kompanem. Rano, widocznie przekonany, że moje intencje są czyste, pozwolił mi wejść do więzienia. Powiedziałem mu: „Chciałbym uzyskać środek lokomocji, abym mógł przewieźć swoich kolegów. Jedynie co posiadam, to jeep, który zarekwirowałem w Norymberdze".

„Dobrze, jestem gotów dać ci ciężarówkę pod warunkiem, że dostarczysz mi w zamian niemieckie auto".

Na świstku papieru przyłożyłem pieczątkę, noszoną zawsze w kieszeni, i z której nic nie można było wyczytać, zredagowałem piękny nakaz rekwizycji w imieniu belgijskiej armii, kazałem sobie wydać w pierwszym garażu po drodze niemiecką ciężarówkę, którą dostarczyłem majorowi. W drodze wymiany dał mi *truck* [1] amerykański pilotowany przez Murzyna. Kazałem do niego wsiąść wszystkim członkom Komety, było ich ponad dziesięciu, każąc pospieszyć się, ponieważ wiedziałem, że mój kwit rekwizycyjny niedługo będzie ważny, i zawiozłem ich do Weimaru. Dodatkowo zabrałem kilku innych Belgów, wśród nich Guy de Lhommeux, jednego z szefów *Armée Secrète*, który całkiem oślepł w więzieniu.

Kiedy już byłem w Weimarze, kazałem pojechać na lotnisko. Starałem się pertraktować z amerykańskimi Murzynami, którzy stanowili jego obsadę, ale oni nic nie rozumieli albo nie chcieli zrozumieć, czego od nich żądamy. Żeby z tego jakoś wybrnąć, powiedziałem: — Pierwsza rzecz, jaką trzeba zrobić, to *fly-toxer* [2] tych ludzi, bo było pełno na nich robactwa.

Kiedy powie się do Amerykanina „*fly-tox*", natychmiast wie, o co chodzi. W tym czasie, kiedy Murzyni z rozkoszą oddawali się tej czynności, pryskając z góry, z dołu na wszystkie części ciała moich towarzyszy, wylądował samolot. Zbierając się na odwagę podszedłem do pilota, pokazałem mu cały plik papierów, które nic nie znaczyły, mówiłem przy tym bardzo głośno i zarekwirowałem samolot. Pilot usłuchał, zostawiłem na miejscu jeepa, wsiadłem w maszynę wraz z kolegami i rzuciłem rozkaz: „Kierunek Bruksela".

Po wylądowaniu zatelefonowałem do naszej głównej kwatery, gdzie nie chciano wierzyć, że to ja. „Niemożliwe, żebyś wrócił tak prędko."

Ale w końcu przekonali się naocznie, a moich towarzyszy podróży przewieźli do Uccle, gdzie musieli załatwić mnóstwo formal-

---

[1] *truck* (ang.) — ciężarówka

[2] *fly toxer* (ang., fr.) — przeprowadzić dezynsekcję rozpylaczem zwanym *fly-tox*.

ności. Tego samego dnia wieczorem każdy wrócił do domu. W czterdzieści osiem godzin później wezwano mnie do *S.H.A.E.F.*[1] w Wersalu, gdzie zwymyślano mnie najgorszymi słowami, ponieważ samolot, który bezprawnie zarekwirowałem, wysłano do Ambergu po jakąś grubą rybę, która została na lodzie. Odebrali ode mnie jakiś dokument, którego mi zresztą przedtem nie dali, i w kilka dni później spokojnie wyjechałem raz jeszcze, aby odszukać w niemieckich więzieniach i obozach innych kolegów.

KWESTIONARIUSZ

Dwudziestego sierpnia 1943 roku, kiedy Nadine i jej ojciec odjeżdżali do Niemiec w tym samym wagonie, podzielonym na cele, przed panią Dumon otworzono drzwi więzienia. Oznajmiono, że jest wolna. Wydało jej się najzwyklejszą rzeczą znowu pracować dla Siatki gdzie jej starsza córka Michou zajęła miejsce młodszej.

W listopadzie — powiedziała Michou — Simone Gazet przedstawiła mi Angielkę Jeanne Mackintosh, której współpraca miała się dla nas okazać bardzo cenna przy identyfikacji lotników, co nie było sprawą łatwą, gdyż niektórzy patrzyli z ukosa na nasz kwestionariusz, ułożony według wskazań Londynu. Oto tekst odmowy na piśmie, którą nam przedłożył pewien Amerykanin. Michou wkłada mi do ręki kartkę zapisaną długopisem, oto jej tłumaczenie:

Każdy lotnik U.S.A.A.F. otrzymuje przed wyruszeniem na nalot przepisy postępowania, jak ma uciekać z Niemiec czy z okupowanych terenów w razie przymusowego lądowania. Ma nakazane nie ujawniać nikomu wiadomości wojskowych. Nikt mi nigdy nie powiedział, że będę musiał odpowiadać na pytania kwestionariusza tego rodzaju, jaki mi przedłożyliście. Niektóre z tych pytań są bardzo przydatne dla wroga. Są podobne do tych, jakie nam zadałby niemiecki oficer, gdybyśmy byli jeńcami.

Z tej przyczyny nie odpowiedziałem na te pytania, które są sprzeczne z otrzymanymi instrukcjami. Nie widzę, w czym te pytania mogą być użyteczne dla waszej organizacji, ale sądzę, że

[1] *Supreme Headquartes American Expeditionary Forces* — Sztab Amerykańskich Sił Ekspedycyjnych, na czele którego stał generał Einsenhower (przyp. autora)

wprost przeciwnie, mogłyby służyć nieprzyjacielowi, gdyby kwestionariusz wpadł w jego ręce. Numer grupy czy eskadry zwłaszcza mógłby go pouczyć o liczbie jednostek, które na nowo przybyły lub zostały przerzucone z frontu śródziemnomorskiego czy innego. Nie mogę się zgodzić z tym, bym miał podać specyfikację obiektu, na który był skierowany nalot i który nie został osiągnięty z powodu złych warunków atmosferycznych, a jeszcze nie był bombardowany. Jeżeli się rozgłosi, jaki to obiekt, Niemcy przedsięwezmą środki jego obrony, co spowodowałoby niepowodzenie przyszłego nalotu. W moim samolocie zepsuł się wewnętrzny telefon. Wiem, że moi koledzy, którzy znajdowali się na przedzie, potrafili wyskoczyć, ale nie wiem nic o losie tych z tyłu. Jeżeli macie jakąś najmniejszą wątpliwość co do naszej tożsamości, bardzo bym chciał porozmawiać z osobą waszej organizacji, którą potrafiłbym przekonać. Podałem wam tyle informacji, ile mogłem. Jeżeli chodzi o pytania, które pominąłem, zrobiłem to zgodnie z rozkazami, jakie otrzymałem, na co złożyłem przysięgę.

Mam nadzieję, że nie oskarżycie mnie o upór. Jestem wam wdzięczny za to, co zrobiliście dla mnie, i mam nadzieję, że rozproszyłem wasze podejrzenia. Zwycięstwo i pokój!

— A więc co pan o tym myśli? — zapytała Michou.

— Jeżeli chodzi o mnie, wierzę na sto procent, że to amerykański lotnik, powiedziałem.

— Ale mimo wszystko powinien był odpowiadać na pytania. To był jeden z elementów bezpieczeństwa. Gdyby dwaj mężczyźni, którzy przyszli do państwa Maréchal, musieli wypełnić kwestionariusz, może uniknęłoby się aresztowań.

— Droga pani, proszę pozwolić sobie powiedzieć, że postawa tego lotnika była całkiem słuszna, a ton, jakim pisze, wystarczyłby mi do przekonania się o jego doskonałej szczerości.

— Dobry pan jest!

— To nie przeszkadza, że trzeba założyć z góry konieczność zebrania maksimum szczegółów pozwalających wykryć prowokatora. Ale argumentacja tego lotnika była tak samo uzasadniona, jak i wasza. Naprawdę jedna nie dawała się pogodzić z drugą, a mój podziw dla Siatki jest tym większy. Byliście faktycznie nieskończenie więcej narażeni niż w siatce wywiadowczej takiej jak moja, gdzie rekrutacja była sprawą bardzo delikatną, a jednak przedstawiała o wiele mniej niebezpieczeństw niż nagłe wtargnięcie lotników, między których łatwo mogła się wśliznąć jakaś parszywa owca.

PROWOKATORZY

Przypominam dramat, który rozegrał się dnia dziewiętnastego listopada 1942 roku w domu państwa Maréchal przy avenue Voltaire'a w Brukseli. Dwaj rzekomi lotnicy, przyprowadzeni przez przewodnika Alberta Marchal z Namur, ściągnęli żandarmów *Geheime Feldpolizei*, powodując klęskę, która pociągnęła za sobą śmierć Victora Michielsa, i setki aresztowań.

Brakowało mi jeszcze nici przewodniej wychodzącej z Namur. Pani Isabelle Godenne, zwana „Ciocią Izą" w Siatce ułatwiła mi jej odszukanie. Do informacji od niej otrzymanych dołącza się dokument pierwszej wagi, który odnalazła w swojej teczce personalnej, po wojnie, zachowanej w archiwach więzienia Waldheim. Chodzi tutaj o motywy, na jakich oparł się niemiecki trybunał wojskowy, skazujący ją i jej towarzyszy w dniu 17 kwietnia 1943 roku. W stan oskarżenia postawiono następujące osoby: wymienioną już Isabelle Godenne, księdza Georges'a, siostry Léonie i Jeanne Deroyer, Maurice Guigona i jego żonę Désirée. Mechanizm prowokacji jest tu jasno przedstawiony, a poprzedza go wstęp, który godzi szczególnie w Siatkę Kometa.

W zachodnich okupowanych krajach istnieje od pewnego czasu organizacja, która systematycznie zajmuje się ukrywaniem lub ochranianiem przed władzami niemieckimi osobników z wrogich sił zbrojnych, którzy uciekli z niemieckich więzień, lub nieprzyjacielskich pilotów spadłych na spadochronach, i odsyłaniem ich z powrotem do Anglii, by tam na nowo pełnili służbę. Przez długi czas funkcjonariusze niemieccy nie potrafili przeniknąć do komórek tej organizacji, której praca opiera się na zasadach konspiracji, tak że funkcjonariusze niemieccy, zrekrutowani specjalnie do tej akcji, podszyli się pod amerykańskich lotników, którzy rzekomo wylądowali na spadochronach, co pozwoliło na aresztowanie wielu członków tej organizacji. Ponadto aresztowano także różne osoby, co do których wprawdzie nie ma się dowodów trwałej działalności w łonie tej organizacji, ale które służyły realną lub domniemaną pomocą wrogim osobnikom. Część faktów stwierdzonych w wyniku tej specjalnej akcji była przedmiotem rozprawy w dniu 17 kwietnia 1943 roku, a przesłuchanie przeprowadzone wśród ludzi powołanych przed trybunał dało następujące rezultaty: [...]

Tu podane zostały szczegóły z ankiety personalnej poszczególnych oskarżonych, zakończone uwagą:

Wszyscy oskarżeni są narodowości belgijskiej i mieszkali w Namur do chwili aresztowania. Nigdy nie mieli wyroków skazujących i nie należeli do żadnej partii politycznej.

*

Pewien człowiek, rzekomo nie znany przez oskarżonego Georges'a, niejaki Marchal, ukrywający się pod nazwiskiem Bertrand, dotychczas nie odnaleziony, przyprowadził do niego 17 listopada 1942 roku dwóch amerykańskich pilotów, którzy wylądowali na spadochronach, z zamiarem odesłania ich do Anglii drogą kolejnych przerzutów. Naprawdę byli to dwaj niemieccy funkcjonariusze.

Według słów Georges'a nie rozmawiano na temat pochodzenia i narodowości dwóch Amerykanów, lecz oskarżony przyznał się, że poznał po sposobie mówienia tych dwóch mężczyzn osobników wrogiej potęgi anglosaskiej. Przyjął ich natychmiast u siebie.

Według słów Georges'a, towarzysz rzekomych Amerykanów wolał ich zaprowadzić do adwokata Mélot, jednego z szefów tajnej organizacji, który sobie zadawał trud odsyłania do Anglii zbiegów pochodzących z wrogich krajów. Ale nie wiedząc, gdzie jest dom adwokata Mélot, towarzysz „Amerykanów" zasięgał informacji na dworcu Namur i stamtąd odesłano go do Georges'a, o którym było wiadomo, że pracował razem z Mélotem w organizacjach młodzieżowych.

Georges telefonicznie zawiadomił adwokata. W kilka chwil później Mélot przyszedł i podał wskazówki dotyczące przerzutu „Amerykanów", ale przedtem poddał ich przesłuchaniu w atmosferze nieufności. Jednego z nich zaprowadzono na obiad do oskarżonej Deroyer, a z drugim Mélot poszedł do rodziny Davreux, a stamtąd do oskażonego Guigona.

Obie oskarżone Deroyer prowadzą gospodarstwo domowe razem z osiemdziesięcioczteroletnią matką, która nie jest oskarżona. Kiedy Georges przyszedł do nich ze swoim towarzyszem, stół był przygotowany na pięć osób. Domniemany Amerykanin został przyjęty przez trzy kobiety z otwartymi ramionami i podano królewski obiad. Rozmowa nastręczała trudności, toteż oskarżony Georges zatelefonował do oskarżonej Godenne, która dobrze mówiła po angielsku i którą znał od dawna, a sam bardzo często jadał obiady u oskarżonych Deroyer, które nie znały oskarżonej Godenne.

Przy stole wywiązała się ożywiona rozmowa, Godenne pełniła rolę translatorki i tłumaczyła zebranym odpowiedzi „Amerykanina". Należy powiedzieć, że podczas rozmów z niemieckimi żołnierzami

oskarżone Deroyer starały się podniecać w nich świadomość, że wojna jest męcząca i kobiety, jak również oskarżony Georges, wyrażali zdanie, że wszystkich Niemców trzeba by wykończyć. Jedna z Deroyer ofiarowała rzekomemu Amerykaninowi order zwycięstwa, który musiał sobie przypiąć. Jak mówiły, była to odznaka rozpowszechniona w Belgii w tysiącach egzemplarzy i należało ją nosić, gdyż według przewidywań aliantów za trzy lub cztery miesiące wojna się zakończy amerykańską inwazją.

Domniemany Amerykanin oświadczył tłumaczce Godenne, że był w służbie Royal Air Force, *że został zestrzelony nad belgijskim terytorium, w okolicach Namur. Opowiedział historię swojego życia, mówił o rodzinie w Ameryce i oznajmił między innymi, że przez wdzięczność za pomoc, jaką otrzymał od oskarżonych, będzie walczył na nowo przeciwko Niemcom, aby dopomóc Belgii odzyskać wolność. Wszystko to Godenne przetłumaczyła zebranym, którzy jednogłośnie wznosili okrzyki na cześć Amerykanina.*

Po posiłku Georges odprowadził do siebie „lotnika", który się tam przespał do dziewiętnastej godziny. Kolacja także się odbyła u Deroyer, a oskarżona Godenne znowu była tam obecna. Rozmowa potoczyła się podobnie jak przy obiedzie i wśród tych samych osób. „Amerykanina" hojnie ugoszczono, podając whisky. Przed kolacją Godenne dała „Amerykaninowi" białą cywilną koszulę, o którą prosił podczas obiadu, aby go nie rozpoznano podczas ucieczki. Godenne przyniosła koszulę ze swego domu.

Zebranie towarzyskie ciągnęło się jeszcze jakiś czas po kolacji, potem Georges zabrał do siebie „Amerykanina". Obudził go nazajutrz rano, podał śniadanie i zwrócił wysokie buty, które poprzednio zabrał do podzelowania. Drugi „Amerykanin" nadszedł z Mélotem.

Poprzedniego wieczoru był przyjaźnie przyjmowany u rodziny Guigon, która porozumiewała się z nim za pomocą słownika, przyklaskiwała bombardowaniom Ruhry, mówiąc, że najważniejszą rzeczą jest zniszczyć Niemcy. Oskarżony Guigon oznajmił, że zaopatrzył swoje radio w specjalne urządzenie, żeby lepiej słyszeć angielskie propagandowe audycje nadawane w języku francuskim. Uruchamiając aparat, włączył przypadkowo stację nadawczą niemiecką, a wtedy córka Guigona zawołała: „Przymknij gębę temu wstrętnemu Boszowi".

Kiedy Mélot przyszedł po „Amerykanina" następnego dnia rano, oskarżona Guigon chciała mu dać kilka kanapek, ale Mélot powiedział, że to niepotrzebne.

Oskarżony Guigon musiał się przyznać, że już kiedyś przedtem kwaterował i żywił innego nieprzyjacielskiego lotnika, którego mu

przyprowadził niejaki Frières ósmego października 1942 roku. W rozmowie prowadzonej z wielką trudnością Guigon zeznał, że chodziło o sowieckiego lotnika zestrzelonego nad Berlinem, któremu udało się uciec z obozu jeńców. Rosjanin poinformował Guigona, że zawiozą go do Brukseli, a stamtąd do Anglii. Frières działał z polecenia Mélota.

Po zbiciu argumentów używanych przez oskarżonych dla usprawiedliwienia swojego postępowania exposé motywów wnioskowało następująco:

Nie ma potrzeby szukać głębszego usprawiedliwienia dla faktu, że działalność oskarżonych polegała głównie na udzielaniu pomocy wrogim siłom. We wszystkich krajach zaangażowanych w wojnę ekipy lotnicze składają się z najlepszego materiału ludzkiego, uformowanego przez długie szkolenie. Jest kwestią największej wagi dla każdej walczącej potęgi możność skierowania ponownie na front załóg, które wylądowały na spadochronach po zestrzeleniu, zamiast formować nowe ekipy. Oskarżeni o tym wiedzieli i swoim postępowaniem starali się dopomóc wrogiej potędze. Jeżeli tej pomocy nie mogli udzielić, jak to się stało w przypadku fałszywych Amerykanów, nie było to zależne od ich intencji i nie można tego brać pod uwagę. Oskarżeni muszą być skazani za to, że ukrywali mniemanych nieprzyjacielskich obywateli na mocy artykułu 91-b, który skazuje za każde usiłowanie udzielenia pomocy wrogowi. Decydującą jest ich intencja, polegająca na przywróceniu na front bojowy domniemanych „prawdziwych Amerykanów" w celu walki przeciw Niemcom.

BIDASSOA

W swoim przymusowym odosobnieniu Jacques Cartier powziął projekt stworzenia nowej sieci etapowych przerzutów, która byłaby zarezerwowana dla ściganych przez wroga. Ten pomysł bardzo odpowiadał Jeanowi Serment. Liczba uratowanych lotników stawała się tak poważna, że nie można już było obciążać konwojentów dołączaniem obcych elementów do *Royal Air Force* czy *U.S.A. Force*, jak to się już zdarzało niejednokrotnie.

Obaj pojechali do Paryża, gdzie Jacques Cartier przedstawił swoje zamiary Franco i Jérôme'owi. Po przeprowadzonej dyskusji uchwalono stworzyć Siatkę B. Jérôme miał dopomóc w zorganizo-

waniu przerzutów od belgijskiej granicy do Paryża, a Franco zrobić to samo w sektorze Południe. Do Jeana Serment należało znalezienie nowego agenta, który zająłby się północnym sektorem.

Nocą 30 października 1943 Jacques Cartier przeszedł do Hiszpanii prowadzony przez Franco, tam zapoznał się z „Timothym". Po wysłuchaniu go przedstawiciel Anglii uznał, że pomysł jest dobry, ale jego realizacja wymaga aprobaty Londynu. Zaproponował, żeby Jacques Cartier bezzwłocznie odleciał do Anglii. Ale on chciał wcześniej załatwić różne sprawy w Belgii, a więc uzgodnili z Franco, że wróci do Hiszpanii za dwa miesiące.

— Ani przez chwilę mój brat nie traktował tego inaczej, jak tylko jako podróż tam i z powrotem — powiedziała mi Pawłowa d'Oultremont. — Palił się do wznowienia swojej działalności w Ruchu Oporu i jeżeli nie wyrzekł się wcześniej gościnności naszych przyjaciół de Pret, to tylko dlatego, że cierpiał na zapalenie oskrzeli połączone z silnym kaszlem, który mógłby na niego ściągnąć uwagę. Spodziewał się przy okazji pobytu w Londynie uściskać syna Serge'a i dowiedzieć się jakichś szczegółów o losie naszego młodszego brata Jacques'a, pilota *R.A.F.*, który zaginął w sierpniu 1942 podczas nalotu na Duisburg [1]...

Jacques Cartier pojechał więc do Belgii po umówieniu się z Franco na spotkanie w dniu 23 grudnia.

— To ja odwiozłem go do Paryża, oznajmił mi Jean-Jacques. — O ile sobie przypominam, przeprowadziłem go przez Sivry. Był całkiem odprężony, z ufnością patrzył w przyszłość i przypominam sobie, jak Jérôme zabrał nas obu na obiad do Fouqueta przy Champs-Elysées, wiedząc, że w czasach przedwojennych była to jego ulubiona restauracja. Jérôme chciał mu tym zrobić przyjemność, gdyż mimo pozornej szorstkości był to człowiek czuły i delikatny w stosunku do przyjaciół.

— Ja się wystrzegałem chodzenia do Fouqueta, a także i do Maxima podczas całej okupacji z dwóch powodów — nadmieniłem: te dwie restauracje miały opinię zapchanych oficerami niemieckimi i kosztowały mnóstwo pieniędzy.

— Wie pan, ja robiłem tak samo, Jérôme zalecał żyć normalnie, bez luksusu i na przeciętnym poziomie, aby nie ściągnąć na siebie uwagi. Obowiązywał oczywiście zakaz uczęszczania do lokali noc-

---

[1] Duisburg — miasto w Niemczech zachodnich w zagłębiu Ruhry. Wielki port rzeczny i ośrodek ciężkiego przemysłu metalurgicznego i chemicznego

nych, zresztą nie mieliśmy na to czasu. Ale przy jakiejś specjalnej okazji obaj z Jérôme'em robiliśmy sobie przyjemność dobrym posiłkiem. I tak pewnego wieczoru jedliśmy obiad w „La Marée", restauracji w sąsiedztwie Odeonu, tuż obok wyższego oficera niemieckiego, który nawiązał z nami rozmowę w sposób jak najbardziej serdeczny, podczas gdy kierownik restauracji obierał nasze pomarańcze ze zręcznością, jakiej nigdy dotąd nie widziałem.

Otrzymaliśmy poważne ostrzeżenie. Poszedłem odwiedzić Jérôme'a w jednym z licznych mieszkań, którymi dysponował; zastałem go śpieszącego się przy pakowaniu różnych dokumentów i pieczęci. „Trzeba natychmiast wyjechać" — powiedział mi bez bliższych wyjaśnień. Zeszliśmy po schodach. Kiedy schodziliśmy, rozminęła się z nami winda jadącą do góry, na ulicy przeszliśmy obok kierowcy w niemieckim mundurze, który przechadzał się na odległość stu kroków po chodniku. Za pierwszym zakrętem Jérôme powiedział: „Powiadomiono mnie, że grunt się pali pod nogami i że powinienem oczekiwać przykrej wizyty". Otóż dowiedzieliśmy się potem, że niepożądani goście byli w windzie jadącej w górę wtedy, kiedy my schodziliśmy po schodach, ale ponieważ nasze wyjście wypadło prawie równocześnie, tylko o minutę później niż ich wejście do kamienicy, kierowca ani przez sekundę nie myślał, że jesteśmy tymi, których trzeba zatrzymać. Krótko mówiąc, wracając do tego obiadu u Fouqueta — często sobie potem myślałem, że to była ostatnia przyjemność, którą się rozkoszował Jacques Cartier.

*

— Znalezienie nowych agentów okazało się trudne — powiedział mi z kolei Jérôme — i dopiero w grudniu przysłano do mnie z Belgii młodzieńca, któremu mieliśmy powierzyć kierowanie południowym sektorem Siatki B. Jego prawdziwe nazwisko brzmiało Albert Ancia, a nazywano go „Daniel Mouton". W kilka dni później odwiedziła mnie pewna „Beatrice" przysłana z Brukseli, by objąć kierownictwo północnego sektora. Wydawała mi się za mało przygotowana do podołania tak wielkiej odpowiedzialności, tym bardziej że nie znała Paryża. Ale trzeba było zaczynać, więc wystarałem się dla niej o mieszkanie u szefa zakwaterowania konwojowanych mężczyzn, w osobie pani Gacuin zwanej „Georgette", oraz — na wypadek potrzeby szukania pomocy — adres kuzynki Antonine'a d'Ursel, panny de Sercey, która mieszkała przy ulicy Saint-Dominique. Ponadto dodałem jej do towarzystwa panią Chabrier, która tym samym otwierała przed nią drzwi czarnego rynku

i dawała do jej dyspozycji sumę 200 000 franków belgijskich. Jean-Jacques wskazał jej punkt przejścia przez granicę belgijską, mający służyć tej nowej organizacji, obdarowano ją całą serią fałszywych dokumentów wraz z wszystkimi wskazówkami, jak je należy wypełniać, oraz obiecałem jej dostarczyć ludzi do pomocy w miarę, jak zajdzie potrzeba.

*

22 grudnia 1943 roku obfity deszcz padał przez cały dzień na baskijskie wybrzeże i góry. Florentino miał grypę i wysoką gorączkę, musiał więc zrezygnować z kierowania wyprawą przewidzianą na dzień następny i postanowił dodać do pomocy Manuelowi swojego przyjaciela Martina Erasquin. Franco przyprowadził Jacques'a Cartier do Katalin Aguirre, gdzie było już zgromadzonych czterech poruczników *U.S. Air Force*: bohaterski Robert Grimes, Kenneth Stanford, Arthur Hornine i John Burch. Był tam również jeden Belg, amator podróży, i Daniel Mouton, któremu Franco musiał powierzyć dokonanie pierwszej próby przekroczenia granicy hiszpańskiej. Razem z dwoma przewodnikami było to w sumie dziesięć osób, dużo ludzi, za dużo — powiedział Franco.

— Oczywiście — potwierdza panna Grace Ladouce. — Ale ani to nie mogło odstraszyć Franco, ani zła pogoda. Szedł na czele, ja trzymałam za ramię tego, którego zwano Jacques Cartier, a Fifine prowadziła któregoś innego. Kiedy doszliśmy do fermy, czekali tam na nas Manuel i Martin. W chwili rozstania ze mną i Fifine Franco powiedział: „Będziemy na pasterce w Hiszpanii".

— Po wypiciu tradycyjnego kubka gorącego mleka pogrążyliśmy się w noc — opowiada dalej Franco. — Jak zwykle podchodziliśmy w górę, schodziliśmy w dół, znowu do góry i znowu w dół. Poprzednio nie tak bardzo padało, więc przypuszczałem, że bez większych trudności przebrniemy przez rzekę Bidassoa. Ale gdy już doszliśmy do niej, spostrzegłem, że woda jest naprawdę duża. Była pierwsza godzina po północy i zimno. Nasi dwaj przewodnicy zaczęli przeprawiać lotników, potem zajęli się Danielem i Belgiem stosując sposób, który pan zna: każdy mocno trzyma kij macając nim skałę, od której nie wolno oddalić się pod groźbą wpadnięcia w głębię, a spodnie ma zawiązane wokoło szyi tak, aby ten, który idzie z tyłu, trzymał się nogawek.

Manuel, bardzo zacny chłop, powiedział: „Przyjdę po ciebie". I tak zrobił, co było godne pochwały, bo woda okazała się lodowata. Czy sprawiło to znużenie, które zauważyłem u Jacques'a po jego powrocie z Belgii, że się potknął? Nagle zniknął pod wodą, pocią-

gając Manuela i mnie za sobą. Podnieśliśmy się obaj na nogi bez trudności, dobrnęliśmy do brzegu hiszpańskiego, ale Jacques'a tam nie było. Zwróciłem się do Manuela: „Zmykajcie, zabezpiecz tamtych, a ja pójdę z powrotem po przyjaciela."

W tej samej sekundzie usłyszałem po stronie hiszpańskiej dwa strzały, których huk odbijał się echem w dolinie, i doświadczyłem przykrego uczucia, myśląc: „Stało się, *carabineros* są na drodze, spostrzegli pierwszą grupę i do niej strzelali.

Szedłem w całkowitej ciemności wzdłuż hiszpańskiego brzegu rzeki i kiedy znowu wszędzie było cicho, leciutko zagwizdałem. Odpowiedział gwizd z przeciwnego brzegu, przynosząc mi wielką ulgę. Wszedłem więc do wody, przeszedłem do Francji i znalazłem Jacques'a w ataku febry, całkiem przemokniętego, szczękającego zębami, bez spodni, które zgubił w rzece.

„Słuchaj — zapytałem — czy chcesz, żebym cię odprowadził do Ciboure? Tam będziesz mógł wypocząć i wrócisz tu jutro."

Nie chciał o tym słyszeć.

„Nie, nie, przechodzimy teraz."

Zrozumiałem, że próżno było nalegać i nakazałem mu, żeby się dobrze trzymał nogawek moich spodni.

Weszliśmy do wody i nie byliśmy jeszcze w połowie rzeki, kiedy on znowu utracił grunt pod nogami i pociągnął mnie za sobą. Znaleźliśmy się w głównym nurcie prądu. Słyszę trzeci strzał i w tej samej chwili czuję, że Jacques już się mnie nie trzyma. Pomyślałem, że dostał zawału i utonął. Na próżno go szukałem wzdłuż stromego brzegu. Pomyślałem: „Pozostaje tylko jedno, pójść po Florentina. Tylko on jeden potrafi go odnaleźć."

Wyruszyłem w powrotną drogę do Ciboure, przemoczony od stóp do głowy, przyszedłem do Katalin, spotkałem Florentina i wyjaśniłem mu, co się zdarzyło. Nigdy jeszcze nie byłem świadkiem takiej rozpaczy. Robił sobie wyrzuty mówiąc, że nic by się nie stało, gdyby on tam był, i ja tak samo myślę. W wodzie Florentino był jak drzewo. Przypominam sobie, jak pewnego razu przechodziliśmy przez rzekę całkiem nago, taka woda była głęboka: sprawiał wrażenie dębu, którego nic nie mogło złamać.

Chociaż, był w gorączce, objawił chęć, by natychmiast ze mną wyruszyć. Ale Jacques'a nie znaleźliśmy. Kiedy nadszedł wieczór, przeszedłem na hiszpańską stronę i spotkałem „Timothy'ego" w San Sebastián. Angielski wywiad wiedział już, że dwóch ludzi utopiło się poprzedniej nocy: byli to Jacques Cartier i jeden z Amerykanów, który przestraszony strzałami uciekał przed siebie. Nie orientując się w nieprzeniknionych ciemnościach, wpadł w głęboki dół rzeczny tej samej Bidassoa, którą dopiero co przebył.

Wszyscy nasi mężczyźni zostali zatrzymani przez hiszpańską policję. Udało się uciec tylko Manuelowi i Martinowi, których odnalazłem w barze w Saint-Jean-de Luz, gdzie się skryli.

Gaissoak! Gaissoak! — powtarzała bez przerwy Katalin. Po baskijsku to znaczy: biedni! biedni! Nasze święta Bożego Narodzenia były bardzo smutne w 1943 roku.

*

W piątek 24 grudnia patrol niemiecki znalazł ciało Antoine'a d'Ursel (Jacques'a Cartier) wyrwane prądowi przez krzaki nadbrzeżne. Trochę dalej podobnie zatrzymał się trup porucznika Johna Burch z *U.S. Air Force*. Ku przestrodze ludności oba ciała wystawiono na widok publiczny przez okres dwudziestu czterech godzin przed wejściem do kościoła w Behobia, ale ten fakt wywarł skutek wręcz przeciwny zamierzonemu przez *Feldkommandantur* z Biarritz, gdyż zwłoki tych dwóch biedaków okoliczni wieśniacy obsypali tak obficie kwiatami, że Niemcy pośpieszyli się z pochowaniem ich po kryjomu.

Po przyjeździe do Brukseli Jérôme odwiedził siostrę Antoine'a d'Ursel.

„Mam wiadomość o bracie pani" — powiedział. Z tonu tych słów pani d'Hennezel natychmiast pojęła, co się stało.

„Mój Boże — wyszeptała — niech się dzieje wola Twoja."

— W kilka dni później przyjechała do Moisnil zawiadomić, że mój mąż nie żyje — powiedziała do mnie wdowa po Jacques'u Cartier. — Dawać siebie ojczyźnie w ofierze było zawsze tradycją naszej rodziny: podczas mojego pobytu w Saint-Gilles było nas tam pięcioro noszących nazwisko d'Ursel.

TELEFON Z VANVES

Pobłogosławiony przez Franco, pod pseudonimem Jérôme zostałem szefem sektora paryskiego — powiedział hrabia Jacques Le Grelle. Nigdy w swoim życiu tak wiele nie pracowałem; przez dwanaście, szesnaście, niekiedy dwadzieścia godzin na dobę. Ciągle trzeba było biegać to tu, to tam, spotykać się, odwiedzać różnych ludzi, organizować przyjazdy i odjazdy i wszystko, co się z tym łączy. Gdyby Niemcy nie położyli kresu mojej działalności, to myślę, że wyzionąłbym ducha.

Zachowałem kopię raportu, którego ode mnie żądano, kiedy powróciłem z Niemiec, on mi w tej chwili pomoże.

Na początek kwestia mieszkania. Ze względu na bezpieczeństwo miałem cztery do dyspozycji, a na dodatek lokal ojca Dédée przy ulicy Vaneau, który miałem w rezerwie...

— Jak to? Zachował go pan, mimo że znali go Niemcy?

— Właśnie dlatego. Od chwili, kiedy go opuścili, można było się spodziewać, że już do niego nie wrócą.

Przejdźmy do mieszkań zarezerwowanych dla personelu. Zacznijmy więc według godności, od naszego głównego konwojenta, Alberta Mattensa, zwanego „Jean-Jacques". Dysponował umeblowanym pokojem u szewca Lorient, przy avenue Philippe-Auguste, tam go żywiono podczas pobytu w Paryżu i świadczono wszelkie możliwe przysługi.

Konwojentki, zmuszone do spędzania nocy w Paryżu, miały do wyboru pięć pokoi sublokatorskich u różnych osób. Szósty, przy ulicy Lamblardie, metro Daumesnil był zarezerwowany dla jednej z konwojentek na linii Paryż—Bordeaux.

Dodajmy jeszcze do tego serię pomieszczeń zarówno w Paryżu, jak i na przedmieściach i przejdźmy do kwater lotników. Stworzyłem trzy ośrodki kierowane przez trzech odpowiedzialnych ludzi, którzy nie znali się nawzajem. Każdy z nich dysponował pewną ilością osób udzielających schronienia.

Jeżeli chodzi o pierwszego, to podam tylko jego pseudonim, później pan zrozumie dlaczego. Nazywaliśmy go „Henri". Był to mały człeczyna, jasny szatyn, patrzył prosto w oczy, o ile dobrze pamiętam, polecił go ojciec Riquet. Później mi opowiadano, że rok wcześniej aresztowało go gestapo, potem go wypuścili, więc ojciec Riquet chciał mu dać okazję do zrehabilitowania się. Ale powtarzam, nie jestem tego pewny i nie przyjmuję za to odpowiedzialności, a tylko po to mówię, aby wyjaśnić dalszy ciąg. Dodajmy, że ten Henri w swoim czasie wykazywał bardzo wiele gorliwości i wyświadczył mi wiele niezaprzeczonych przysług. Zresztą poznałem jego żonę, bardzo sympatyczną, i dobrze wychowane dzieci. Krótko mówiąc, wszystko w tym domu wzbudzało zaufanie. Musiałem często wyjeżdżać, na przykład do Brukseli, wtedy zawsze telefonowałem do ich mieszkania w Vanves po powrocie do Paryża. Żona Henri'ego odbierała telefon i jeżeli mi powiedziała: „Mój mąż pana oczekuje", to znaczyło, że wszystko było w porządku i że mogłem jechać prosto jak strzała na ulicę Longchamp, do jednego z moich mieszkań. Szefem drugiego ośrodka była pani Fernande Onimus, którą zwano Rosa. Kierowniczką trzeciego pani Germaine Bajpai, ochrzczono ją „Hautfoin". Obie były pierwszorzędne. Rosa zapewniła kwatery dla

przeszło stu lotników, a Hautfoin dorównała jej swoim poświęceniem, jeżeli nie liczbą. Obie zginęły w Ravensbrück.

Chodziło nie tylko o to, żeby zakwaterować lotników, ale także dostarczyć im żywności, odzieży, obuwia, papierosów. Ten ostatni artykuł był zwłaszcza ważny dla lotników, których nazywano.: „dziećmi", „chłopakami", *boys*, „przesyłkami", „paczkami" lub „szafami z lustrem". Nieraz się wściekali z powodu przymusowego zamknięcia, a papieros był czynnikiem rozpraszającym czarne myśli i nudę.

Jean-Jacques miał pod swoimi rozkazami cztery konwojentki, wszystkie młode i ładne, o prostolinijnym charakterze, były to zalety absolutnie niezbędne przy tego rodzaju działalności. Jean-Jacques osobiście prowadził ważniejsze transporty z Paryża do Brukseli i zapewniał łączność między Jeanem Serment a mną. Układaliśmy harmonogram przyjazdów lotników do Paryża prawie na każdy tydzień osobno. Kiedy na skutek bombardowania kolei żelaznych pociągi z północy miały znaczne spóźnienia, lotników prowadzono do Amanda Stassarta 8 bis przy ulicy Marguerite w siedemnastym okręgu, gdzie im zadawano różne pytania, a potem powierzano kwatermistrzowi.

Stworzyłem małą organizację kontrwywiadu, który mi pozwolił zidentyfikować część personelu z *Geheime Feldpolizei*, wyspecjalizowanego w polowaniu na kolejne etapy przerzutów i werbowaniu agentów-prowokatorów, Belgów lub Francuzów, którzy byli na usługach Niemców, takich jak Desitter, który kazał się nazywać Capitain Jackson, i tak zwany „Roger". Dowiedziałem się od ojca Riquet, który miał liczne kontakty z różnymi siatkami, że szefem tych ludzi był oficer niemiecki mieszkający w „Hôtel Montyon", w dziewiątym okręgu, pod nazwiskiem Hermann Kemsen. Jego pomocnikiem był tak zwany „Jean Masson", już odpowiedzialny za aresztowanie ojca Dédée i wielu innych naszych kolegów. Mieszkał on pod dziewiętnastym przy ulicy Douai, również w dziewiątym okręgu, i chełpił się, że wkrótce położy rękę na Franco, na mnie i na wszystkich agentach Siatki. To nasunęło mi myśl, że trzeba usunąć i jego, i Kemsena przy tej samej okazji. Jeden z moich agentów nawiązał łączność z grupą Ruchu Oporu Vengeance [1], która dysponowała pono sekcją upoważnioną do unieszkodliwiania ludzi tego rodzaju. Vengeance obiecała zająć się tą sprawą, ale zamach się nie udał, gdyż agent wyznaczony do zlikwidowania Massona sam wpadł w jego ręce. Masson go aresztował. Jeżeli chodzi o mnie, wkrótce potem zauważyłem, że mała kobietka, okrągła jak kulka, mająca nie więcej jak dwadzieścia

[1] vengeance (fr.) — zemsta

pięć do trzydziestu lat, która nosiła buciki z błyskawicznym zamkiem, okazywała pewną skłonność chodzenia krok w krok za mną, kiedy tylko wytknąłem nos na ulicę. Zdarzało mi się wiele razy chodzić za ładnymi kobietami z czystego umiłowania sztuki, ale żeby za mną chodziła osoba przeciwnej płci, to wydawało mi się dziwne, i z tego wywnioskowałem, że jakiś agent gestapo wślizgnął się do Siatki. Przed moim wyjazdem z Londynu Anglicy uprzedzili mnie litościwie, że na ogół agent wysyłany na okupowane terytoria bywa spalony do sześciu miesięcy. Byłem niedaleki tego terminu i doszedłem nagle do wniosku, że rozsądek wymagał, abym w interesie wszystkich, w tym oczywiście i własnym, przeszedł na drugą stronę granicy nie zwlekając.

*

— Od początku jesieni — opowiada pani de Greef — lotnicy przybywali w takim przyspieszonym rytmie, że z trudem można było nadążyć ze sporządzaniem ich rysopisów: czterech — dwudziestego drugiego września, dwóch — dwudziestego czwartego, sześciu — dwudziestego siódmego, wśród nich Georges Duffee, pięciu — trzeciego października, trzech — szóstego, czterech — trzynastego, czterech — siedemnastego, czterech — dwudziestego czwartego, czterech — dwudziestego siódmego, czterech — trzydziestego, potem trzydziestu trzech od trzeciego do dwudziestego siódmego listopada, a między trzecim a trzydziestym grudnia czterdziestu jeden, wśród nich był biedny John Burch.

Zrozpaczony po tragicznej śmierci Jacques'a Cartier Franco pojechał do Paryża w celu naradzenia się z Jérôme'em. W dwa tygodnie później przyjechała Michou, którą Franco uważał za zbyt zagrożoną w Belgii, i chciał ją odesłać do Anglii. Ale ona wzbraniała się, chciała pracować w naszej grupie. Przyjęłam ją u siebie w domu i wtedy dowiedziałam się prawdy: pomimo moich przestróg i obietnicy, jaką mi złożył, Franco pojechał do Brukseli, tak samo jak i Jérôme. Michou opowiedziała mi ponure dzieje aresztowań i zdrad.

*

— Po powrocie z południa, po śmierci Jacques'a Cartier i amerykańskiego lotnika, Franco nic mi o tym nie powiedział — kontynuuje Jean-Jacques. — Jedliśmy kolację razem z nim, Jérôme, Diane i ja w małej restauracji przy placu Ternes. Przypominam sobie, że podano nam jajecznicę. Widziałem, że coś nie jest w porządku. Franco jadł od niechcenia. Dopiero po obiedzie podzielił się smutną wia-

domością z Jérôme'em kiedy został z nim sam, a mnie powiedzieli o tym dopiero nazajutrz.

Rola matki Diane, pani Stassart, stała się bardzo ważna. Ze względu na częste alarmy lotnicze i zwiększenie kontroli na ulicach lotników nie prowadziliśmy do kościołów po wyjściu z Gare du Nord, ale przewoziliśmy ich od razu pod numer 8 bis przy ulicy Margueritte w siedemnastym okręgu. Od stacji Barbès-Rochechouart, tuż przy dworcu, aż do Courcelles jechało się metrem bez przesiadek, co pozwalało unikać zatarasowanego przejścia, jak to się często zdarzało w punktach przesiadania. Pani Cassart dawała coś przegryźć i do niej przychodzli agenci po lotników, by ich odprowadzić do różnych punktów zakwaterowania.

W końcu listopada Jérôme przedstawił mi „Henri'ego", który wydał mi się nadzwyczaj sympatyczny. Jérôme czuł, że grunt pali mu się pod nogami, i myślał poważnie o przekazaniu obowiązków ze względu na interes Linii. Myślę, że od tej właśnie chwili był zdania, że „Henri" może go zastąpić i stanąć na czele sektora paryskiego.

3 stycznia 1944 roku Odile de Vasselot pojechała ku granicy zabrać lotników i zna pan dalszy ciąg tej sprawy. Czwartego stycznia wieczorem nie udało się skontaktować z Odile, czyli „Jeanne". Następnego dnia rano miałem wyruszyć do Hertain i nagle, przypadkiem, spotkałem ją przy okienku kasy biletowej. Opowiedziała mi, co się stało. Poradziłem, by pojechała razem ze mną do Hertain, razem przeszliśmy granicę, poszliśmy do doktora Druarti, odbyliśmy naradę wojenną, która trwała prawie całą noc. Dałem rozkaz Odile, by wróciła do Paryża, a sam postanowiłem udać się do Brukseli w celu natychmiastowego skontaktowania się z Yvonem Michielsem lub Jules'em Dricotem i nakazać przerwanie akcji na jakiś czas. Wsiadłem w pierwszy pociąg do Brukseli, bardzo zatłoczony. Byłem zmęczony, usiadłem w przedziale pierwszej klasy i zasnąłem. Jadąc do Belgii zabierałem ze sobą prawdziwy dowód osobisty.

Ktoś mnie uderzył po ramieniu i ujrzałem w asyście dwóch feldżandarmów młodego cywila, który zażądał dokumentów. Przez nieuwagę, podałem mu fałszywy dowód, nie zdając sobie z tego sprawy. Zapytał o nazwisko. Podałem prawdziwe: Albert Mattens.

Jérôme powierzył mi kopertę zawierającą 300 000 belgijskich franków oraz opłatę stemplową w znaczkach na dowody osobiste i inne dokumenty. Dość gruba koperta spoczywała w mojej kieszeni.

Naturalnie, że cywil mnie zatrzymał. Potem dowiedziałem się, że był to Belg nazwiskiem Jean Fernand. Przy wysiadaniu z pociągu na dworcu, którego nazwy już nie pamiętam, było to za Tournai, skorzystałem z tego, że zrobił się wielki tłum na peronie i wło-

żyłem kopertę w rękę przechodzącej obok kobiety. Szepnąłem: „Proszę wszystko zachować dla siebie". Kobieta zatrzymała się z rozdziawionymi ustami, popatrzyła, co jest w kopercie, i widząc taką ilość pieniędzy, rzuciła ją na peron. Francuskie banknoty poniewierały się pod nogami mojego Jeana Fernanda.

Zatrzymano w pociągu piętnaście innych osób w związku z przymusową pracą i drobnymi formalnościami. Całą naszą grupę zabrano z dworca, a mnie wieczorem odprowadzono do więzienia w Tournai, ciągle był u mojego boku Jean Fernand, nie wypuszczając ani na krok. Przesłuchanie było dość gwałtowne, lecz miałem dobry pretekst, który mi przyszedł do głowy w związku z pieniędzmi. Powiedziałem, że handluję na czarnym rynku dewizami. Czy uwierzyli? — nie wiem. Jakkolwiek było, wsadzono mnie do izolatki, do lochu w więzieniu, gdzie pozostałem przez sześć tygodni. Loch był kompletnie ciemny i zanieczyszczony robactwem.

Tam zaszedł fakt, którego nigdy nie wyświetliłem całkowicie. Nie wiem, czy był to dzień, czy noc, gdyż żyłem w absolutnej ciemności. Usłyszałem pukanie do drzwi piwnicy i jakiś głos zapytał:

„Czy to ty, Jean-Jacques?"

Zawahałem się z odpowiedzią, bo mógł to być szpicel i powiedziałem:

„Nie".

„Ależ tak, tak — powiedział głos. Jesteś Jean-Jacques, nie niepokój się, miej do mnie zaufanie, wyciągnę cię stąd."

W trzy lub cztery dni później, nie potrafię panu tego ściśle określić, zapukano znowu i głos powiedział:

„Czekaj cierpliwie, sprawa w toku".

Otóż okazało się, że moje wyjaśnienia zostały przyjęte i postawiono mnie przed sądem w Mons pod zarzutem nielegalnego handlu dewizami.

— Przypuszczam, że złożono wizytę w Brukseli pod adresem figurującym w pana dowodzie?

— Gestapowcy tam poszli, ale nie niepokoili moich rodziców. Wyszedłem z ciemnicy, adwokat z Mons, magister Delporte, odwiedził mnie w ufortyfikowanej rezydencji informując, że podejmie się obrony, a moje akta personalne pójdą zwykłym trybem. Szesnastego kwietnia 1944 roku, w dniu moich urodzin, niemiecki strażnik otworzył drzwi celi:

„Entlassen".

Dobrze znam niemiecki i zrozumiałem, że jestem wolny. Lecz nie znałem subtelności słownictwa nazistów: *Entlassen* znaczyło, że zwolniono mnie z więzienia w Mons po to, by przewieźć do innego.

Widziałem siebie już wchłaniającego z rozkoszą świeże powietrze, lecz niestety, zastałem w kancelarii więziennej typki w skórzanych płaszczach i kapeluszach na głowie, którzy wyjęli rewolwery i powiedzieli:

— Jest pan aresztowany. Proszę zabrać swoje rzeczy i iść za nami.

Wskazano miejsce w samochodzie, pojechaliśmy w kierunku Brukseli. Zapytałem swoją straż przyboczną, dokąd mnie zabierają.

— Saint-Gilles.

Saint- Gilles, to nic dobrego dla mnie nie wróżyło. Zamknięto mnie w celi, gdzie było już kilku więźniów i nazajutrz rano zawieziono do gestapo przy avenue Louise, z kajdankami na rękach. Wprowadzono do biura, kazano siadać i jakaś ordynarna cywilna gęba zaczęła mi zadawać pytania, ale bez natarczywości. Potem przyszedł drugi, o szczupłej twarzy, w okularach, mówiący doskonale po francusku.

— Z jakiego powodu pana aresztowano?

Od razu nadzieja ożyła w moim sercu:

— Warunki życiowe są trudne, chciałem zarobić trochę pieniędzy, starałem się przemycić dewizy, ale mi się nie udało.

Uśmiechnął się:

— To bardzo ładna bajeczka, panie Mattens, ale to nie jest prawda.

Zaprotestowałem:

— Ależ tak, przeprowadzono śledztwo, byłem w Mons, czekając, aż stanę przed sądem... Przypuszczam, że może pan to sprawdzi?

— Tak, panie Mattens, sprawdziliśmy. To nie jest prawda. Pan jest Jean-Jacques.

Tak się czułem, jakbym się dostał niespodziewanie pod zimny prysznic, szkocki bicz wodny. Nie znalazłem na to odpowiedzi, kiedy gestapowiec odezwał się:

— Niech pan sobie nie zadaje trudu zaprzeczać. Wszystkich aresztowano. Pan jest ostatni. Szukano pana wszędzie, a pan był obok nas, w więzieniu.

— Czy nie myśli pan, drogi Jean-Jacques, że ten tajemniczy głos słyszany przez drzwi lochu w Tournai znaczył, że już wtedy gestapo pana zidentyfikowało?

— Nie, gdyż w takim przypadku nie przywieźliby mnie do Mons, by stawić przed sądem. Zresztą odpowiedziałem tylko jeden raz, dając przeczącą odpowiedź.

Krótko mówiąc, po ciosie otrzymanym w gestapo zacząłem odzyskiwać zimną krew i chciałem wymyślić jakieś opowiadanie, kiedy Niemiec w okularach z góry już odciął kupony:

„Panie Mattens, niech pan się nie zastanawia wierzyć czy nie wierzyć, chcę panu dowieść, że to, co mówię, jest prawdą".

Wydał rozkaz i jakiś gestapowiec ułożył na stole trzy stosy dokumentów. Niemiec-okularnik wziął jedną teczkę:

„Oto akta Jérôme'a, a tutaj dokumenty Franco... i tak dalej". Nazwiska kolegów przesuwały się przed moimi oczami, ale stwierdziłem, że brakowało Odile de Vasselot i za chwilę zrozumiałem, że Niemcy jej szukali nie wiedząc dobrze, kto to jest.

Wtedy między okularnikiem a mną rozpoczęła się gra w kotka i myszkę. Zależnie od pytań, jakie mi zadawał, starałem się zgadnąć, co wie. Kiedy widziałem, że nie ma po co ukrywać, mówiłem: „Niestety tak jest".

Kiedy miałem wrażenie, że są luki w aktach, wywijałem się od odpowiedzi. Jeżeli chodzi o mnie, wyciągnięto na światło dzienne całą moją działalność, lecz zauważyłem, że nie znają szczegółów. Czego dowodem jest to, że nie aresztowano nikogo z moich punktów przerzutowych.

— Czy pana maltretowano podczas przesłuchania?

— Przeszedłem tylko jedno przesłuchanie, bez użycia brutalnej siły, i jeden raz mnie dowieziono do gestapo, abym podpisał zeznanie. Potem zostawiono mnie w spokoju w Saint-Gilles aż do 26 lipca 1944.

*

Zwróciłem się do Jérôme'a:

— Zaledwie dowiedział się pan o tragicznym zgonie Jacques'a Cartier zabrano panu szefa-konwojenta między granicą a Paryżem. A poza tym czuł się pan najwyraźniej zagrożony. Co potem nastąpiło?

— Trzeba było odłożyć smutek na bok, starać się wszelkimi sposobami, żeby Siatka mogła przetrwać. Powiedziałem do Franco, że ze wszystkich moich pomocników Henri wydawał mi się najbardziej odpowiedni do przejęcia sukcesji po mnie i on ze mną się zgodził. A zatem wprowadziłem Henri'ego w bieżącą pracę, podając mu okoliczności towarzyszące załatwianiu spraw w Paryżu. Trzeba było zapewnić jeszcze zastępstwo za Jean-Jacques'a i uregulować wiele spraw z Jeanem Serment, które wypłynęły na skutek napiętej sytuacji, w jakiej znaleźliśmy się nagle. Dlatego właśnie Franco i ja zdecydowaliśmy się wyruszyć do Brukseli, każdy na swoją rękę, aby dzielić ryzyko na pół. Umówiliśmy się przedtem, że mnie przeprowadzi do Hiszpanii 22 stycznia, bym powrócił do Anglii.

*

Jérôme przyjechał pierwszy do Brukseli — opowiadał Jean Serment. — Poszedł do pani de Bruyn, pod sto trzydziesty piąty przy ulicy Confédérés, której adres był mu znany jako skrzynka na listy. Nazajutrz spotkałem się z Franco u „Cioci Bim", zwanej także „ciotką Urszulą", to znaczy u Cécile Deckers.

W sobotę piętnastego stycznia odbyło się zebranie u pani de Bruyn. Byli tam: ona, jej syn, Jérôme, Franco, Jean Deltour i ja. Franco mówił o tak zwanym „Henri" jako o typie przeciętnego pracownika, lecz sumiennego, który obejmie funkcje Jérôme'a. Zapytaliśmy, czy Jacques de Bruyn zechce zastąpić Jean-Jacques'a jako szef-przewodnik między Paryżem a granicą hiszpańską.

— Oczywiście, zgadzam się — oświadczył Jacques de Bruyn. Postanowiliśmy obaj z Jérôme'em wyjechać nazajutrz w niedzielę po południu.

— Franco, Jérôme i Deltour widzieli się jeszcze w niedzielę rano u „cioci Bim" — mówi dalej Jean Serment. Potem Jérôme odszedł po Jacques'a de Bruyn.

Przeszliśmy do Francji przez Sivry i Sars-Poteries — podaje szczegóły Jacques de Bruyn. — Wsiedliśmy do paryskiego pociągu w Aulnoye i przyjechaliśmy około szóstej wieczór na Gare du Nord. Był to 17 stycznia 1944 roku. Przed wyjściem z dworca Jérôme zatelefonował.

— Tak właśnie było — potwierdza Jérôme. — Połączyłem się z Vanves i zgłosiła się żona Henri'ego.

„Wszystko w porządku — powiedziała. — Mój mąż czeka w pańskim domu." Dano mi zielone światło, a że apetyt ma swoje prawa, zaprowadziłem Jacques'a de Bruyn na kolację do małej knajpki na Montmartre. Około dziesiątej wieczór pojechaliśmy razem do mojego mieszkania przy ulicy Longchamp. Tylko pięć dni dzieliło mnie od przekroczenia granic Hiszpanii i wiedziałem, że mam jeszcze wiele do zrobienia.

WANNA I KRAWAT

Obaj z Jacques'em de Bruyn weszliśmy na piąte piętro domu przy ulicy Longchamp — mówił Jacques de Grelle. — Byłem całkiem spokojny. Wyjmuję klucz, wkładam do zamka, zanim zdążyłem go obrócić — trrach! drzwi się otwierają. Dokładnie tak, jak to nieraz widziałem w kinie, jakiś typ w cywilu, bardzo korpulentny, przyciska lufę rewolweru do mojej piersi i wrzeszczy: *„Hände hoch!"*

Podnoszę ręce do góry, jego towarzysz podbiega, obu nas wciągają do mieszkania, grubas mnie obszukuje, aby stwierdzić, czy nie mam ukrytej broni w jakiejś kieszeni — tak, jakbym mógł się bawić we włóczenie się po mieście z bronią przy tym, co robiłem, stale narażony na możliwość przyłapania. Potem wpychają nas obu do salonu, pozwalają usiąść Jacques'owi w jednym rogu, mnie w drugim, ale z rękami przez cały czas uniesionymi do góry, z głową zwróconą ku ścianie. Jeden z typów telefonuje i po pewnym czasie, może po upływie pół godziny, kątem oka widzę, jak przychodzi jakaś gruba ryba z gestapo, także w cywilu, bardzo elegancki. Siada i każe mi się odwrócić ku sobie:

„Dzień dobry, Jérôme! Bardzo się cieszę z poznania pana! Od dawna pragnąłem pana spotkać, ale brakowało po temu okazji".

Doskonale się wyrażał po francusku, chociaż z lekkim akcentem niemieckim. Ton jego był grzeczny, lecz sarkastyczny.

Po założeniu kajdanków kazano nam zejść z piątego piętra na dół. Auto czekało na ulicy, musieliśmy wsiąść. Udało mi się wcisnąć pod poduszki siedzenia klucze od innych moich mieszkań. Przy sobie nie miałem nic kompromitującego, lecz gestapowcy oczywiście odnaleźli przy ulicy Longchamp walizkę, którą trzymałem zawsze przygotowaną na konieczność nagłego wyjazdu; stanowiła coś w rodzaju wędrownego archiwum. Na spodzie walizki były sfałszowane pieczęcie, fałszywe dowody osobiste, fałszywe zaświadczenia, cały ten kram. Były tam także, na moje nieszczęście, nazwiska i adresy szefa sekcji *GFP* [1], do którego mieliśmy sprawę, słynnego Hermanna Kemsena, i tak zwanego „Jeana Massona" oraz adresy kochanek tych panów, wszystko to obok ampułek z trucizną, tak że ci ludzie mieli powody mówić, że żywiłem względem nich zbrodnicze zamiary i mogłem przypuszczać, że uwzięli się na mnie także ze względów osobistych. Trudno mi było nie przyznać im słuszności, ale kiedy historie tego rodzaju zaistnieją w szczególnej sytuacji, to bywa bardzo głupio, jak sobie wkrótce zdałem z tego sprawę. Wysadzono nas z auta przy ulicy Saussaies, gdzie Jacques'a de Bruyn i mnie rozdzielono. O ile mi wiadomo, mój towarzysz został zamknięty w czymś w rodzaju maleńkiego schronu, gdzie pozwolono mu się męczyć do południa następnego dnia. Dla mnie sprawy potoczyły się inaczej. Zaprowadzono mnie do pokoju, gdzie zastałem sześciu osobników nieszczególnie dobrze do mnie usposobionych.

Natychmiast zażądali, żebym im podał, jak była zorganizowana Linia od A do Z twierdząc, że wiedzą wszystko, że bezcelowe jest zaprzeczanie, na dowód czego pokazali mi fotografię Franco.

[1] *GFP — Geheime Feldpolizei* — Tajna Żandarmeria

Podsunęli mi ją pod sam nos, wymieniając nazwisko majora Neave, z którym Franco poprzednio się spotkał w Gibraltarze. Byłem bardzo zdziwiony, że znali faktycznie we wszystkich szczegółach strukturę sektora paryskiego, ale zorientowałem się, że nic nie wiedzieli o ośrodkach regionalnych i sektorze południowym z wyjątkiem tego że istnieją. Zachęcali mnie zatem do udzielenia wyjaśnień dla nich niezbędnych. Uważając niewątpliwie, że jestem zbyt milczący, kazali mi wejść do łazienki i tam się rozebrać do naga. Rzecz sama w sobie już nieprzyjemna, kiedy się jest wśród ludzi w marynarkach. Ale to była dopiero mała przystawka do dalszej uczty.

Z nagła wyłamano mi ręce do tyłu i założono kajdanki na nadgarstki. Potem skrępowano nogi sznurem aż ponad kolana, tak iż trudno mi było utrzymać równowagę. Potem zaczęto mnie przesłuchiwać. Byłem już psychicznie umarły. Mówiłem sobie, że nie mam żadnego sposobu na ocalenie własnej skóry, wobec czego nie otworzę ust. To się nie spodobało tym panom. Zaczęli mnie huśtać zwieszonego głową na dół ku wannie, a brzuchem opartego na jej brzegu i zanurzali mi głowę w wodzie, lodowatej wodzie. Zacząłem się dusić, zachłystywać, szamotać, ale siła łapska, które mi wpychało głowę pod wodę, była potężna, w końcu straciłem przytomność, mając nadzieję w chwili omdlenia, że to już koniec. Bynajmniej! Ci panowie przywrócili mnie do życia *manu militari*[1] i na nowo stawiali mi te same pytania wtedy, kiedy byłem jeszcze całkiem oszołomiony, ale miałem jednak na tyle jasności umysłu, aby zachować milczenie. Od nowa zanurzyli mi głowę w wannie. Nie wiem, w jaki sposób urządzali się, aby mnie wyciągać właśnie w momencie, kiedy zaczynałem się dusić, ale ich technika była na bardzo wysokim poziomie. W decydującym momencie rzucali mnie na płyty posadzki i usuwali wodę z płuc silnymi kopnięciami w żebra, przez cały czas zadając te same pytania. A że niezmiennie trwałem w upartym milczeniu, wpadali w złość i siup! od nowa do wanny. Naliczyłem tego siedemnaście razy. Przy pięciu proces został posunięty aż do całkowitego utopienia, prawdopodobnie chcieli się przekonać, co im to da, i wtedy wracałem do przytomności z głową zwieszoną w dół, nogami zawieszony na haku wbitym w ścianę. To była druga metoda usuwania wody z płuc, która jest przykra dla pacjenta, ale daje tę korzyść, że pozostawiają mu żebra w spokoju.

Ta tortura zwana w a n n a jest ohydną historią. W pewnych momentach słyszysz dzwonienie odległych dzwonów i mówisz wtedy z ulgą: „A więc stało się! koniec! zaraz umrę". Gdyż śmierć wydaje ci się czymś bardzo łagodnym i pożądanym. Ale gdzież tam!

[1] *manu militari* (łac.) — uzbrojoną ręką

Właśnie w momencie, kiedy się przygotowujesz do zaśnięcia w jej pomocnych ramionach, zakrzywione palce łapią cię za włosy, ciągną do tyłu i trach! następują kopniaki w żebra. Wyrzucasz po trochu wodę, którą płuca są napełnione, plujesz, kaszlesz, gdy tymczasem te same pytania, nieustannie powtarzane rozdzierają ci uszy. Nie odpowiadasz? buch! Jeszcze raz głowa do wody, wtedy kiedy właśnie zacząłeś odzyskiwać przytomność. „Tym razem — mówisz sobie — nie będzie pomyłki, to już koniec i zwracasz się do Boga: «Boże mój, bywałem rozpustnikiem w ciągu swojego życia, ale oto teraz mam umrzeć i proszę cię o przebaczenie»". Kiedy powiedziałeś to, już jesteś spokojny, umierasz, tak, umierasz naprawdę, a potem nagle budzisz się w tej łazience pośród furiatów, którzy wyją, wymierzając ci kopniaki w żebra; chyba że ich widzisz do góry nogami zawieszony na haku za związane stopy, z głową na dół, twoją biedną głową, która w końcu już nic nie rozumie, co się dzieje. Woda płynie ci z ust, robi kałużę przy oczach, a tu... już cię zdejmują z haka i chlup! zanurzają na nowo w wannie. Ciężko to znieść, bardzo ciężko.

Kiedy ten system nic im nie dał, jeden z przesłuchujących chwycił coś w rodzaju nahajki z dwóch splecionych rzemieni i zaczął smagać mnie po plecach aż do krwi. Kiedy i ten wariant nie przyniósł rezultatów, wbijano mi ostre przedmioty pod paznokcie. Aby położyć temu kres, pomyślałem sobie: jest coś, co im możesz dać, co jest wyłączną twoją własnością, o czym nie wie nikt z twoich towarzyszy, nawet Franco — to wiadomość, kim jesteś. Wywołałem tym piękny efekt — zdziwienie — gdyż wyobraźcie sobie, że ci ludzie uważali mnie za Antoine'a d'Ursel. Nie wiedzieli, kim był trup wyłowiony z rzeki Bidassoa wraz z ciałem Amerykanina! Kiedy usłyszeli Jacques Le Grelle — wybałuszyli oczy. To im nic nie mówiło. Mężczyzna, którego złapali przy ulicy Longchamp, to według ich mniemania Jacques Cartier (pseudonim Antoine'a d'Ursel), przez tak długi czas poszukiwany w całej Belgii przez ich gestapo, ich *Geheime Feldpolizei* i ich abwehrę. Wbili sobie w głowę, że to on przejął po Frédériku de Jongh kierownictwo nad sektorem paryskim! Kiedy im powiedziałem: „Antoine d'Ursel utopił się w rzece Bidassoa na granicy hiszpańskiej w wigilię Bożego Narodzenia" — to pozwoliło im odetchnąć z ulgą, wcześniej nie wpadli na tę myśl, a teraz odczuli potrzebę zastanowienia się. Zabawa sportowa ze mną na tym się urwała, umieszczono mnie w małym pokoiku, gdzie usnąłem. Miałem nadzieję, że wypadki nie posuną się dalej, ponieważ Franco miał mnie odwiedzić w mieszkaniu przy bulwarze Berthier, a nie przy ulicy Longchamp, w tamtą środę 18 stycznia o ósmej godzinie rano, właśnie o tej godzinie, kiedy skończyła się za-

bawa tych panów ze mną. Odesłano mnie do Fresnes[1] z siedmioma złamanymi żebrami, miałem przy tym przyjemność poznać tak zwanego „Jeana Masson", któremu tak zależało, by wziąć czynny udział w przesłuchaniu mnie.

*

Po powrocie do Francji przez inny punkt graniczny Franco wiózł na ramie swojego roweru młodego, siedemnastoletniego chłopca nazwiskiem Renald de Pret, syna adiutanta księcia Karola, który udzielał tak odważnie schronienia Jacques'owi Cartier, aby go uchronić przed ściganiem gestapo. Komendant de Pret poprosił Franco o przesłanie Renalda do Anglii.

— Mój towarzysz, który znał dobrze moją rodzinę, nie wiedział, kim jestem — przypomniał sobie Franco. Chłopiec mówił: „Opowiadają, że Jean-François Nothomb[2] pracuje w Siatce?" Ponieważ właśnie niedawno dowiedziałem się, że zostałem skazany na śmierć zaocznie na skutek śledztwa *GFP*, które mnie poszukiwało w związku z posiadaniem broni, wolałem, by pozostawał w nieświadomości.

Przyjechaliśmy bez przeszkód do Paryża. Kiedy nie zastałem Jérôme'a w mieszkaniu przy bulwarze Berthier, zabrałem Renalda ze sobą na ulicę Longchamp. Wchodzimy na piętro, on idzie za mną, dzwonię, drzwi się otwierają i oto znajduję się twarzą w twarz z gestapo. Wiem, w podobnych chwilach człowiek czuje się idiotą! Moja pierwsza reakcja: skaczę na schody, zbiegam pędem i mam szanse z tego wybrnąć. Druga reakcja: mam za sobą chłopaka. Jeżeli skoczę do tyłu, przewrócę go, zatrzymają go, chociaż nie ma nic wspólnego ze sprawą, i zakatrupią. Trzecia reakcja: „Czy to mieszkanie pani X?..." — zapytałem, podając nazwisko lokatorki z niższego piętra. — „Tak, proszę pana" — odpowiedział grzecznie Szwab. Ciągle tak samo niemądry, i z moim wiernie za mną podążającym Renaldem, wchodzę do mieszkania. W głębi korytarza był drugi gestapowiec z rewolwerem. To już klapa.

Miałem na sobie gruby płaszcz zimowy, a jego wewnętrzna lewa kieszeń była wypchana dokumentami. Dwaj Niemcy każą mi podnieść ręce do góry w obecności biednego Renalda, całkiem osłupiałego, oni mnie obszukują, wypróżniają kieszenie z wyjątkiem tej jednej. Przy ulicy Saussaies (siedziba gestapo) sumiennie zżułem

[1] Fresnes — obóz dla więźniów politycznych w okresie II wojny światowej, gmina w Val-de-Marne na południe od Paryża.

[2] pseudonim: „Franco"

wszystkie dokumenty, za dużo ich było, by je połknąć, więc zrobiłem z nich papkę, którą rozgniotłem nogami. Ale znaleźli fałszywy dowód osobisty, z prawdziwą moją fotografią. „To on!" — powiedziały Szwaby, zakładając mi kajdanki z rozkazem odwrócenia się twarzą do ściany. Poczułem przez chwilę zamęt w głowie, który przez konieczność ograniczenia wsypy do minimum — musiałem opanować. Jeden z tych typów zatelefonował. Około pół godziny później wszedł jakiś pan o wyglądzie dość brytyjskim, ubrany z wyszukaną elegancją, w miękkim filcowym kapeluszu. „Dzień dobry, Franco!" — powiedział bardzo uprzejmie. Potem od razu zaczął rozmawiać o mieszkaniu przy ulicy Vaneau. Nie utrudniając mu sprawy przyznałem się, że tam powróciłem pomimo nałożonych pieczęci.

— Ach! a ta wspaniała szynka?

— Szynka? Bardzo żałowałem, że nie miałem dość miejsca w walizkach, aby ją zabrać.

— No tak, a my myśleliśmy, że pan ją zostawił naumyślnie, ponieważ była zatruta!

— Jak to zatruta?

— Tak myśleliśmy, nie skosztowaliśmy jej wcześniej, dopóki ktoś inny nie zjadł dwóch lub trzech plasterków. Była bardzo dobra. Myślę, że była z Bayonne?

Od kilku minut patrzyłem na krawat, jaki miał ten Niemiec. Piękny granatowy krawat w delikatne czerwone prążki. Przyznaję, że zabrakło mi tupetu. Powinienem był krzyknąć: „Ale przecież to ten krawat, którego szukałem wszędzie, kiedy powróciłem do mieszkania Paula! Ten krawat, który mi ofiarowała ciotka z Brukseli, całkiem nowy krawat! Pan mi go ukradł, kiedy przyszedł nakładać pieczęcie! I ma pan śmiałość nosić go w mojej obecności!" — ale niestety, nie ośmieliłem się nic powiedzieć.

Złodziej kazał nam, Renaldowi i mnie, zejść po schodach i wsiedliśmy do wozu. Krążyła mi tylko jedna myśl po głowie: jak ocalić tego biednego chłopaka, który się wplątał w straszną przygodę. Przez cały czas jazdy pokazywałem mu Paryż: Widzisz, jedziemy w kierunku placu Etoile. Popatrz to Łuk Triumfalny z grobem Nieznanego Żołnierza.

„Kim jest ten chłopiec?" — zapytał Niemiec w moim krawacie.

„Muszę panu powiedzieć i to natychmiast, że on nic nie wie, absolutnie nic. Miałem go odesłać do Anglii, to wszystko. On nawet nie wie, kim ja jestem."

„Ach, tak?"

„Proszę posłuchać, czy nie można by pojechać przez Champs-Elysées? Tak bym się cieszył, gdybym mógł mu je pokazać..."

No i odczułem nieco szacunku dla mojego złodzieja, gdyż dał polecenie kierowcy przejechać alejami, żeby zrobić przyjemność chłopcu. Jedyną karą dla Renalda de Pret było to, że odesłano go z powrotem do Belgii i umieszczono w obozie. Dzisiaj jest on żonaty.

Przy ulicy Saussaies zaprowadzono mnie do biura, gdzie znalazłem się w obecności osobnika, który przywitał mnie słowami:

— Dzień dobry, Franco! Jestem Jean Masson. Niech pan przyzna, odwaliliśmy kawał dobrej roboty!

Człowiek ten miał minę naprawdę zadowolonego z siebie. Satysfakcja buchała wszystkimi porami jego twarzy napiętnowanej złośliwością. Zadowoliłem się odpowiedzią:

— Musi pan uznać, że to, czego myśmy dokonali, także nie było źle zrobione!

CZĘŚĆ TRZECIA

18 stycznia 1944 — wiosna 1944

JACQUES DE BRUYN I JEGO MATKA

Jacques'a de Bruyn aresztowano razem z Jérôme'em przy ulicy Longchamp i odwieziono do gestapo.

— Tam — opowiada Jacques — zamknięto mnie w małej ciupce do następnego dnia w południe, do godziny przesłuchania. Ponieważ urodziłem się we Francji, sfałszowany dowód osobisty zawierał prawdziwe moje nazwisko, imię i datę urodzenia 31 grudnia 1915 roku. Tylko adres był zmyślony. Kierownictwo Komety uważało, że lepiej, by figurowały prawdziwe dane, wtedy łatwiej stawię czoło ewentualnym kontrolom.

Gestapowiec, przed którym stanąłem, rzucił tylko okiem na dowód i podarł go w moich oczach. „Nazywa się pan Jacques de Bruyn — powiedział — ale pochodzi pan z Brukseli." Pomyślałem, że może lepiej będzie zaangażować się w tę grę i odpowiedziałem: „Skoro pan wie wszystko, nie będę zaprzeczał. Pochodzę z Brukseli i chciałem dostać się do Anglii".

Jak pan wie, to nie było prawdą, moja rola miała polegać tylko na zastępowaniu Jean-Jacques'a, naczelnego konwojenta na trasie od granicy belgijskiej do Paryża, którego niedawno aresztowano.

Niemiec zaczął się śmiać: „Tak tak, zgadza się, znamy pana". Odprowadzono mnie do celi, a w dwie czy trzy godziny później wpuszczono ojca Riquet aresztowanego tego ranka. Razem przebywaliśmy tam we dwóch do wieczora, a potem przewieziono nas do Fresnes. W furgonie więziennym podzielonym na cele odnalazłem Jérôme'a, bardzo zmaltretowanego torturami, lecz nie skarżył się, i Franco, który dał się złapać razem z młodym chłopcem, którego miał przesłać do Anglii i który nie miał nic wspólnego z Kometą.

Wyprowadzono mnie z Fresnes 31 stycznia równocześnie z Jérôme'em i zawieziono nas na ulicę Saussaies. W drodze Jérôme miał sposobność mi powiedzieć: „Aresztowano twoją matkę. Bardzo zła sytuacja w Brukseli". Ta nowina była dla mnie ciosem, ale ułatwiło mi to odpowiadanie na pytania w czasie przesłuchania. Nazajutrz w środę pierwszego lutego Jérôme'a, Franco i mnie przewieziono do więzienia Saint-Gilles. W pięć lub sześć dni później zaczęła się seria czterech przesłuchań, podczas których musiałem

lawirować, zdając sobie sprawę z tego, co Niemcy wiedzieli i czego nie wiedzieli. Kiedy wiedzieli, uważałem za bezużyteczne dawać sobą poniewierać. Jeżeli nie — zaprzeczałem i ponosiłem tego konsekwencję, bo te typki nie były czułe.

Od wtorku 18 stycznia nasz dom w Brukseli był pod nadzorem i podlegał obserwacji, jak dowiedzieliśmy się później. Siedząc w położonym niedaleko bistro, gestapowcy obserwowali kto wchodzi i przychodzi, i w taki sposób dotarli do domu Raoula Thibaut, który miał u siebie wtedy lotnika. W piątek dwudziestego pierwszego gestapowiec z Paryża zjawił się u nas w towarzystwie nauczyciela z Vanves, zwanego przez nas „Henri", oraz tak zwanego „Jeana Masson". Oddaję głos mojej matce.

Pani de Bruyn, słuchająca dotąd bez słowa opowiadania syna, zwróciła się do mnie:

— Tak, to było w piątek dwudziestego pierwszego stycznia. Przyszli do mnie ci ludzie mówiąc bez ogródek:

„Aresztowaliśmy pani syna w Paryżu".

„W Paryżu? — pytam. — To nieprawda, co mi opowiadacie."

„Dlaczego pani mówi, że to nie jest prawda?"

„Dlaczego? Całkiem po prostu dlatego, że mój syn przebywa w Ardenach, jest tam na inspekcji z ramienia Ministerstwa Aprowizacji. Cóż by miał robić w Paryżu? Opowiadacie mi głupstwa."

„Proszę nam dać adres Michielsa."

„Kto to jest Michiels? Nie znam takiego pana."

„Ależ tak, zna go pani. W Siatce nazywają go «Jean Serment»."

„Jaka siatka? Jaki Serment? Może pan sobie wymieniać jakie chce nazwiska, nie znam tych ludzi".

„Wrócimy jutro".

„Proszę bardzo, jeżeli się panu podoba. Ale nic więcej nie będę wiedziała do jutra".

Tymczasem przychodzi kuzynka po kartki żywnościowe, żeby kupić mi ryby. Obawiałam się, żeby się z czymś niepotrzebnym nie wygadała, więc nie dopuściłam jej do słowa: „Czy wiesz, co ci panowie mi opowiadają? Jacques jakoby był w Paryżu. Przecie wiesz dobrze, że pojechał na inspekcję w Ardeny i że nie ma zwyczaju odjeżdżać nie mówiąc mi, dokąd się wybiera".

Kuzynka zrozumiała, trzy typki nic nie pojęły i odchodzą. Wieczorem dzwonię do Bucheta, żeby mu wyjaśnić, co się dzieje, i mówię: „Nie przychodź do mnie jutro i ostrzeż Julota". Pan wie, że chodziło o Julota Dricot, który mieszkał w Bierghes i nie miał telefonu. Przed wyjazdem Jacques'a do Paryża pani Dricot mnie uprzedziła, że jej mąż przyjdzie do mnie potwierdzić, że spotkał go przy granicy.

W nocy zastanawiałam się, co powinnam zrobić. Mogłabym wyjść z domu i ukryć się, ale nie można było spraw pozostawić w takim stanie. Postanowiłam nie ruszać się.

Na drugi dzień przyszła moja kuzynka i mówi: „Czy wiesz, jakiś grubas stoi na ulicy i obserwuje twój dom?"

„W każdym razie to nie jest mój adorator — odpowiedziałam. — Nie znam go".

W tej chwili schodzi z góry mój lokator i prosi: „Czy by pani nie sprawiło trudności wziąć chleb dla mnie? Pracuję dzisiaj rano i chciałbym go mieć, kiedy wrócą dzieci".

Wtem słychać dzwonek u drzwi. Otwieram i stoję naprzeciwko typów z rewolwerami w ręce.

„O — powiedziałam — schowajcie rewolwery do kieszeni. Jesteście z gestapo, tak? I chcecie zobaczyć, czy tu nie ma Anglików czy Amerykanów? Proszę wejść. Możemy zacząć od drugiego piętra."

Wchodzą po schodach, ja za nimi. W jednym pokoju miałam zboże w rezerwie dla ludzi uchylających się od służby wojskowej i przymusowej pracy na rzecz Niemców, rozdawałam je na prawo i na lewo. Drzwi były zamknięte na klucz.

„Co tam jest?" — pytali Bosze.

„Tego nie wiem — mówię. — Wynajęłam ten dom od właścicielki pod warunkiem, że ten pokój pozostawię dla niej. Ona ma klucz i trzeba by pójść po nią." „W porządku." — Nie nastawali, lecz jeden gestapowiec zobaczył schody wiodące na strych.

„Może tam jest mnóstwo Amerykanów?" — spytał.

„A więc niech pan tam idzie zaglądnąć. Ale uwaga na schody. Nie są solidne i grozi niebezpieczeństwo" — ostrzegłam.

W tej samej chwili dzwonek do drzwi. Była sobota, dzień, kiedy nasi przyjaciele przychodzili zapytać, co jest do roboty.

Gestapowcy kazali mi iść otworzyć, zeszli za mną na wysokość pierwszego piętra, tam zatrzymali się z rewolwerami w rękach, przygotowanymi do strzału. Otwieram drzwi i kogo widzę? Naszego znajomego Emile'a Roiseaux, którego nazywaliśmy „Plombier"[1]. Nie pozostawiam mu czasu na otwarcie ust i napadam na niego z wymówkami: „Wie pan, co o panu myślę jako o monterze? Kiedy to prosiłam, żeby pan przyszedł?"

Z miejsca, gdzie stał, nie widział Niemców i patrzył na mnie jak na wariatkę, ale ja kontynuowałam łajanie: „Od dwóch tygodni pan mówi, że przyjdzie jutro i nie przychodzi. Pan ma taką minę, jakby nie wiedział, że muszę zrobić pranie".

---

[1] *plombier* (fr.) — monter instalacji sanitarnych

Wreszcie zrozumiał, że coś niedobrego wisi w powietrzu, wprowadziłam go i zapytałam gestapowców: „Panowie pozwolą?"

Widząc ich Roiseaux natychmiast zrozumiał, poszedł oglądać rury, a ja pokazując mu je po cichu mówiłam: „Niech pan idzie uprzedzić tego i tamtego.... i tak dalej".

Kiedy mu już wydałam wszystkie polecenia, odszedł i dowiedziałam się potem, że siedem razy przesiadał się, zanim tramwajem dojechał do domu. Niepotrzebnie zadawał sobie tyle trudu, bo nikt go nie śledził i proszę sobie wyobrazić, że ci głupcy gestapowcy nawet nie sprawdzili jego tożsamości. Pozwolili mu odejść, o nic nie pytając. Dopiero po dwóch tygodniach zaczęli go szukać. Wykopali nawet skądś jego adres, ale oczywiście, że na nich w domu nie czekał. Zastali jego żonę, która powiedziała: „Mój mąż? Chciałabym, żebyście mi powiedzieli, gdzie on jest od tego czasu, kiedy mnie porzucił".

DOM PRZY AVENUE DU DIAMANT

— W tamtym czasie, to znaczy na początku 1944 roku, mieszkałem w domu położonym przy avenue du Diamant 134, w Schaerbeek, niedaleko avenue Emile Verhaeren, gdzie w dalszym ciągu przebywała pani de Jongh. — opowiadał Raoul Thibaut. — Pokój, znajdujący się przy końcu wejściowego hallu, na parterze, zajmował nasz kolega „Deltour" czyli Jules Dricot, zwany także „Julot". Jak pan wie, był on architektem, a ja inżynierem i tam on założył swoją Centralę. Przechowywał wielką liczbę dokumentów, które co wieczór zamykał w dwóch walizkach. Pierwsze piętro zajmowałem ja wraz z żoną Marie-Rose i małą osiemnastomiesięczną Inez. Naszą służącą była Marguerite Mertens, dziewczyna bardzo oddana, traktowaliśmy ją jak członka rodziny.

Już mieliśmy na kwaterze angielskich i amerykańskich lotników. Między innymi był u nas Frank Cleytor, porucznik pilot „Forteresse Volante" [1] i jego rodak Raymond Needle, którzy przebywali przez jeden miesiąc, inni byli naszymi gośćmi osiem dni lub nawet mniej. Wszystkich dostarczał mi Jacques de Bruyn, który mówił po prostu: „Mam dla pana paczkę".

Niektórych z nich konwojowałem do Erquennes na francuskiej

[1] „Forteresse Volante" (fr.) — Latająca Forteca

granicy. Od kilku dni gościem naszym był pewien amerykański oficer nawigator nazwiskiem Robert Hooke.

Jadł razem z nami południowy posiłek, przy którym asystowała Inez w swoim dziecięcym wysokim krzesełku, kiedy tej soboty 22 stycznia 1944 roku, między pierwszą a pół do drugiej, usłyszeliśmy dzwonek. Marguerite pobiegła pędem do loggi wychodzącej na aleję, gdyż od pewnego czasu patrzyliśmy, kto idzie. Powróciła biegiem: „Proszę pana, gestapo".

Natychmiast przystąpiłem do wykonania planu, który przedtem obmyśliłem.

Odkąd Hitler rozpoczął wojnę przeciwko Związkowi Radzieckiemu, wydał rozkaz, żeby oficerowie rezerwy rejestrowali się w niemieckich biurach kontroli. Ukończyłem służbę wojskową przed studiami; nie przydzielono mnie do inżynierii wojskowej podczas wojny, ale do piechoty, w której służyłem w stopniu majora. Zlekceważyłem zarządzenie i nie zgłaszałem się co miesiąc do biura, któremu podlegałem według niemieckich przepisów. Czekałem więc na jakąś reakcję wroga i już od 1941 roku przewidziałem przejście na emeryturę.

W jaki sposób nawiązałem kontakt z Jacques'em de Bruyn? Nieraz starałem się sobie to przypomnieć, lecz nie jestem zdolny podać panu szczegółów. Pewnego pięknego dnia przyszedł do mnie i zapytał: „Czy chce pan z nami pracować? Mam nadzieję, że zapukałem do właściwych drzwi i że pan wyrazi zgodę". „Oczywiście" — odpowiedziałem — i wkrótce potem przyjąłem pierwszego lotnika. Tymczasem mój kolega Jules Dricot zainstalował u mnie centralę. Bardziej niż kiedykolwiek pieściłem swój plan ucieczki w razie, gdyby gestapowcy odczuli potrzebę złożenia mi wizyty. Sprawa komplikowała się o tyle, że musiałem zabezpieczyć Roberta Hooke'a przed wpadnięciem w ręce nieprzyjaciela, nie mówiąc już o walizkach Julota, które mieściły w sobie między innymi dokumentami wykazy nazwisk, fałszywe dowody osobiste gotowe do użycia i pieniądze. Wszystko ułożyłem w walizkach tego dnia, gdyż Julot nie przyszedł. Nie wiedziałem, że dał się złapać tego samego ranka.

Nie mając niestety czasu na uściskanie żony i córeczki, pociągnąłem Roberta Hooke'a za sobą, zbiegliśmy po schodach aż na parter i umknęliśmy do ogrodu, biegnąc ku drabinie stale opartej o mur, który nas oddzielał od ogrodu naszych przyjaciół, państwa Raoul Doms, których wtajemniczyłem w naszą działalność. Ten mur graniczny miał ponad trzy metry wysokości, co uniemożliwiało wdrapanie się nań od naszej strony, natomiast poziom ogrodu państwa Doms umożliwiał łatwy zeskok. W tym samym czasie moja żona i Marguerite pobiegły szybko do gabinetu kolegi Dricot, chwy-

ciły obie walizy i, korzystając z drabiny pozostawionej przez nas, przerzuciły je przez mur. W głębi ogrodu państwa Doms stała ławka, o której istnieniu wiedziałem, ona nam pozwoliła wspiąć się na mur i przejść do ogrodu słynnego tenora Fernanda Anseau, już siedemdziesięcioletniego, który niedawno zszedł ze sceny. Wylądowaliśmy na płaskim dachu małego budynku, przybudówki do rezydencji państwa Anseau, zsunęliśmy się do ogrodu i przebiegliśmy do drzwi. Przypadkiem pan Anseau stał przy oknie wychodzącym na ogród. Powiedział: „Cóż to za dwóch zuchów wtargnęło do mnie!" — i podszedł do nas. Nim miał czas zapytać, co tu robimy, powiedziałem: „Proszę otworzyć wejściowe drzwi domu. Gestapo jest u mnie". Te drzwi wychodziły na aleję Emile Max. Natychmiast otworzył. Wszystko odbyło się w krótszym czasie, niż potrzebowałem na opowiedzenie tych perypetii.

Avenue Emile Max wraz z avenue du Diamant, gdzie mieszkałem, avenue d'Opale i boulevard Reyers tworzy rodzaj trapezu, który śpieszyłem opuścić. Wychodząc od pana Anseau rzuciłem się ku oficynie aptekarza, który miał aptekę naprzeciwko. Dobrze się składało, ponieważ, przechodząc z ogrodu znajomych Doms do ogrodu pana Anseau, skaleczyłem sobie głęboko lewą rękę, była zalana krwią. Uciekłem ubrany w chałat-prochowiec, w którym w domu zazwyczaj chodziłem, a Robert Hooke — w rannych pantoflach.

Kiedy już znaleźliśmy się u aptekarza, musiałem się opanować, gdyż serce biło mi gwałtownie i zadawałem sobie pytanie, co robić dalej. Przede wszystkim zdjąłem chałat, pod spodem miałem garnitur, spodnie z marynarką, i postanowiłem pójść razem z Robertem Hooke do znajomego nazwiskiem Amsteen, zarządzającego wielkim sklepem spożywczym, który się znajdował w odległości około dwu kilometrów od apteki. Musiałem wyjaśnić Robertowi, żeby szedł za mną w pewnej odległości. Robert nie rozumiał po francusku, więc byłem zmuszony wyjaśnić mu to po angielsku. Zacny aptekarz bandażując mi rękę nadstawiał uszu; nie przypuszczam, żeby zrozumiał to, co powiedziałem do Anglika. Raczej wziął nas za dwóch Anglików ściganych przez Niemców. Naraz spostrzegłem, że ten biedak wywraca białkami oczu, popada w omdlenie i wali się z nóg za ladę, na której robił mi opatrunek. Nie czekałem dłużej. Potem po wyzwoleniu powróciłem do tego aptekarza, jeszcze młodego człowieka, który mi wyjaśnił, że choruje na serce. Był tak uprzejmy, że nie zechciał nic wziąć za udzieloną wtedy pomoc.

Wyszedłem z apteki postanawiając, że nie będę biegł, lecz okazało się to silniejsze ode mnie. Galopowałem przez avenue Eugène Plasky, a Robert gonił mi po piętach. Wskoczyliśmy do pierwszego

tramwaju, który nadjechał, przejechaliśmy trzy czy cztery przystanki i udaliśmy się do przyjaciela Amsteena, którego patriotycznych uczuć byłem pewny. Spodziewałem się, że nam udzieli schronienia i nie pomyliłem się.

— Drogi panie Thibaut, pozwolę sobie panu przerwać. Przeżyłem przed chwilą razem z panem i Amerykaninem waszą ucieczkę. Ale chciałbym wiedzieć, jaka była reakcja waszych przyjaciół Doms wobec dwóch walizek wypchanych niebezpiecznymi dokumentami, które pani Thibaut przerzuciła do ich ogrodu?

— Raoul Doms i jego żona zobaczyli nas przebiegających przez ich ogród, wspinających się z ławki na mur do sławnego Anseau. Za chwilę ujrzeli dwie walizki lądujące na ziemi. Natychmiast zrozumieli, że Niemcy nas gonią. Pobiegli do ogrodu, chwycili walizki, zanieśli je na strych, a potem na dach, stawiając za rynną tak, aby gestapowcy w razie rewizji ich nie ujrzeli.

— A więc wykazali wybitną przytomność umysłu. Wróćmy do chwili, kiedy przyszliście do Amsteena.

— Obaj z Robertem weszliśmy do sklepu i w podnieceniu powiedziałem: „To jest Amerykanin, musimy się schować". O nic nie pytali i natychmiast to załatwili. Zaraz zatelefonowałem do domu.

— Przepraszam, ale popełnił pan wielką nieostrożność.

— Dlaczego?

— Można było się spodziewać, że telefon odbierze gestapo, a że nie dzwonił pan z publicznej kabiny, ale od przyjaciela, więc Niemcy łatwo mogli wpaść na pański ślad.

— Oczywiście, ale bardzo się martwiłem o żonę. Usłyszałem jej głos i powiedziałem: „To ja, wszystko w porządku". Odłożyłem słuchawkę nie podając, skąd telefonuję.

— Fakt, że żona odpowiedziała, potwierdza przypuszczenia, że gestapowcy zastosowali klasyczną metodę, licząc że wpadnie w kocioł każdy, kto połączy się z pańskim numerem....

— Na mnie mogli sobie czekać. Martwiłem się o los żony, ale przynajmniej ją uspokoiłem co do mojego.

Przez kilka dni pozostałem razem z Robertem Hooke u rodziny Amsteen, przez niego starałem się nawiązać kontakt z panem Michiels, gdyż przedmiotem mojej troski było, aby ktoś inny jak najszybciej zajął się Amerykaninem. I tak się stało.

— Nawiązanie kontaktu wymagało ośmiu dni — podaje szczegóły Yvon Michiels — który był obecny przy naszej rozmowie. — W czterdzieści osiem godzin później poszedłem po Roberta Hooke do Amsteenów.

— Co się stało z panią Thibaut?

— Gestapowcy tkwili u nas w domu i dotrzymywali żonie towarzystwa do następnego dnia po południu. Potem zabrali ją wraz z córeczką na avenue Louise, a dom obrabowali. Na szczęście naszą wierną Marguerite pozostawili w spokoju, tak że wróciła do rodzinnego domu, zabierając naszego małego pieska.

Opowiadano mi, że Niemcy nie aresztowali matek, które miały niemowlęta, więc nie niepokoiłem się zbytnio o los żony, nie przypuszczając, że spędziła noc z niedzieli na poniedziałek w gestapo. W poniedziałek rano zapytano ją o adres krewnych, gdzie by dziecko można było odnieść. Żona podała nazwisko ciotki mieszkającej w Jette-St-Pierre. Niemcy wzięli dziewczynkę i zawieźli do tej pani, a żonę zamknęli w Saint-Gilles, w celi 453. Wyszła stamtąd 8 sierpnia, aby stanąć przed trybunałem *Luftwaffe*, który miał swoją siedzibę w „Hôtel Palace". Skazano żonę na cztery lata ciężkich robót. 1 września 1944 roku na dworcu Scheerbeek weszła pod eskortą gestapowców do pociągu 1247 odjeżdżając w nieznane. Kiedy pociąg ruszył ze stacji, udało jej się wyrzucić przez okno toalety chusteczkę a w niej kartkę z naszym adresem i numerem celi w Saint-Gilles. To wszystko do mnie dotarło, gdyż byliśmy już prawie w przededniu wolności: Bruksela została wyzwolona 3 września.

Ten pociąg 1247 jechał do Holandii i był ostatnim pociągiem deportowanych, który mógł dotrzeć do Niemiec, ponieważ belgijscy kolejarze stosowali sabotaż przy odjeździe następnych. Kiedy pociąg wyruszył z Scheerbeek, żona dowiedziała się, że Tournai już jest wolne.

— Przypominam to sobie — powiedziała pani Pawłowa d'Outremont, która przysłuchiwała się temu, co opowiadał Raoul Thibaut. — Mnie także trzymano w Saint-Gilles i trzy lub cztery razy w ciągu nocy słyszeliśmy jak wywołują nazwiska tych, które miały odjechać. Załadowano mnie do następnego pociągu, który nazwano „pociąg-widmo", nie dotarł on dalej niż do Malines. Przez dwa dni ten pociąg nie przestawał jeździć tam i z powrotem. Najpierw do Liège, potem Niemcy dowiedzieli się, że na tej trasie jest sabotaż. Po godzinach postoju cofaliśmy się bardzo wolno. My więźniarki, ścieśnione po dziewięćdziesiąt osób w bydlęcym wagonie, nie wiedziałyśmy, co się dzieje. Byłyśmy jeszcze w Belgii, kiedy dusiłyśmy się z braku powietrza, a belgijscy kolejarze na własną rękę pootwierali okienka wagonu.

— Czy Niemcy nie wzięli pod uwagę faktu, że była pani wdową z pięciorgiem dzieci, z których najstarszy nie miał jeszcze dziesięciu lat?

— Myślę, że gestapowcy nie troszczyli się zupełnie o takie sprawy. Ale jak panu przed chwilą powiedziałam, miałam szczę-

ście, gdyż dzięki naszym kolejarzom pociąg wiozący mnie do Niemiec nie mógł odjechać.

W prostocie tej odpowiedzi, jaką mi dała Madeleine d'Oultremont, odnalazłem ten sam cudowny spokój, jaki zachowała pani d'Ursel, matka Jacques'a Cartier, wobec Niemców, którzy w wysokich butach, z rewolwerami w garści przyszli zakłócić zebranie trzydziestu pań. Powiedziała wtedy: „Księże proboszczu, proszę dalej prowadzić zebranie".

Przypomniałem sobie także, co opowiadał mi syn Jacques'a Cartier. Kiedy gestapowcy zjawili się po raz drugi u Ciotki Magdaleny po pierwszej bezowocnej wizycie, oficer, który przeprowadzał rewizję, znalazł kawałek papieru, na którym były zapisane krótkie zdania umówionym szyfrem, takie jakie nadawało radio angielskie. Świstek ten uszedł uwadze pani domu. Niemiec chwycił z triumfem ten skrawek papieru wołając: „Tym razem pani nie potrafi zaprzeczyć, że uprawia pani akcję szpiegowską i otrzymuje hasła z Londynu".

Ciotka Magdalena, nie ruszając się z fotela odpaliła: „Nigdy bym nie przypuszczała, że oficer wielkiego wehrmachtu może się zainteresować zadaniem szkolnym sześcioletniego chłopca". Oficer poczuł się tym tak dotknięty, że nie upierał się.

A czy pan wie, dlaczego ciotka nie ruszyła się z fotela? Schowała pod poduszką złoto, które służyło jako moneta wymienna na potrzeby Siatki.

— Potem już nic nie wiedziałem o żonie — powrócił do opowiadania Raoul Thibaut — i już jej więcej nie zobaczyłem. Znacznie później dowiedziałem się, że wywieziono ją do Ravensbrück, gdzie ponosiła karę dyscyplinarną — jak podawało SS — za kradzież pożywienia. Była młoda i głodna... Zaklasyfikowana do *Nacht und Nebel* i skazana na eksterminację, zginęła w marcu 1945.

Po zwycięstwie wyjechałem do Afryki, tam spędziłem trzy lata. Po powrocie dowiedziałem się, że w Ravensbrück ma być wzniesiony pomnik. Sprawę zorganizował rząd Berlina Wschodniego, dawny obóz znalazł się w strefie radzieckiej. Dołączyła się do nas francuska delegacja i przez trzy dni przyglądaliśmy się defiladom i różnym manifestacjom. Tam poznałem Jenny Roehrig, która także była deportowana do Ravensbrück za przynależność do *Front de l'Indépendance,* lecz odesłana do *Kommando,* przeżyła. Oto ona, obecnie moja żona.

— Po raz pierwszy aresztowano mnie w 1942, ale udało mi się wyskoczyć z auta gestapo i uciec — opowiada pani Jenny Thibaut. — Po raz drugi mnie złapali w czerwcu 1943 roku i przebywałam w więzieniu Charleroi, aż do czasu wylądowania aliantów

w czerwcu 1944, wtedy wysłano mnie do Ravensbrück. Tam przydzielono do Komendantury w Neu-Brandenburg. Pewnego pięknego dnia dowiedziałam się, że Czerwony Krzyż przyjedzie po Francuzki i Belgijki. Nikt jednak nie przyjeżdżał, więc wieczorem postanowiłyśmy wyjść z obozu. Wyruszyłyśmy nocą tworząc żałosny pochód, wlokący się po drodze z szybkością najwyżej trzech kilometrów na godzinę, pod jakim takim nadzorem Niemców, i wreszcie zatrzymałyśmy się w cegielni w nadziei, że znajdzie się tam coś do jedzenia. W tej cegielni pracowali francuscy jeńcy wojenni. Któraś z moich towarzyszek powiedziała: „Rozmawiałam z jednym Francuzem, teraz jest odpowiedni moment, by zwiać. Nie pójdziemy dalej w kolumnie".

I tak zrobiłyśmy, było nas pięć czy sześć, schowałyśmy się, kiedy strażnicy formowali kolumnę do marszu. W taki to sposób uwolniłyśmy się od esesmanek i esesmanów, pozostałyśmy w grupie francuskich jeńców wojennych pod nadzorem poczciwego strażnika, który czując, że nadchodzi kres, niczym się nie zajmował. Było to w ostatnich dniach maja 1945 roku. Nazajutrz nie było już strażnika, byliśmy wolni.

— Drogi panie Thibaut, proszę wybaczyć, że powracam do bolesnych dla pana wspomnień. Czy odnalazł pan swoją córeczkę po wojnie?

— Nigdy więcej już jej nie ujrzałem. Siedząc na tym strychu u przyjaciela Amsteen, gdzie się ukrywałem do maja 1944 roku, chciałem kilkakrotnie ulec pokusie i oddać się w ręce Niemców, bo wiedziałem, że gestapowcy zabrali żonę i dziecko. Miałem obsesję, że to się stało z mojej winy i roztrząsałem te sprawy z Gastonem Matthys, który przez cały ten czas okazywał mi nadzwyczajne zrozumienie. „Ależ jeżeli tak postąpisz — rzekł — będziemy zmuszeni ciebie zabić. Nie myśl, że uwolnisz swoją żonę, jeżeli pozwolisz się uwięzić. I kto nas może zapewnić, że nie znajdą środka, by cię zmusić do mówienia? A więc siedź cicho."

Czułem w głębi duszy, że Gaston ma rację, ale kiedy się żyje samotnie, dzień i noc przeżuwając własne myśli, i nie wyścibia się nosa z kryjówki, można wtedy zwariować.

— W ogóle pan nie wychodził?

— Nie, ani razu. Bo wiedziałem, że jestem „spalony". Niemcy nie okupowali mojego domu aż do końca, tylko nadzorowali go z zewnątrz. Do dwóch synków państwa Doms, kiedy szli do szkoły, podchodził często pewien typ i pytał: „Czy macie jakieś wiadomości o Panu Thibaut? Czy nie wiecie, gdzie jest?"

— Uważam to za bardzo pochlebne dla pana. Uwaga, jaką ob-

darzyło paną gestapo, odciągała z frontu wschodniego mężczyzn, którzy byliby tam bardzo pożyteczni...

— Możliwe, ale obszedłbym się bez ich zainteresowania. Mój drogi przyjaciel Amsteen nic nie mówił, ale czułem, że moja obecność zaczyna mu ciążyć. Domyślałem się, że oddawał się akcjom antyniemieckim. Nie domyślałem się, do jakiej organizacji należał....

— Do *Front de l'Indépendance* — odezwał się jeden z obecnych.

— Dopiero od pana dowiedziałem się teraz. Uważałem wtedy, że nie było u niego bezpiecznie; zresztą w końcu go aresztowali i tak bili, że całymi latami leżał w gipsie. Trochę wcześniej powiedziałem do niego: „Nie wiem, jak stoją twoje sprawy, których nie znam, ale wiem, że jestem spalony i stanowię dodatkowe niebezpieczeństwo dla ciebie. Trzeba by znaleźć dla mnie inne schronienie".

Takie też było i jego zdanie. W maju 1944 roku wyjechałem do rodziców pani Amsteen, którzy udzielili mi azylu w swoim domu w Sirault, wiosce położonej w Hainaut, tam wkrótce potem dowiedziałem się o wylądowaniu aliantów w dniu 6 czerwca. Dom ten znajdował się przy dużym lesie, który Bosze przeczesywali, gdyż było w nim sporo uchylających się od pracy w Niemczech, którzy wybrali *maquis*. Tam także czuć było spalenizną i na początku lipca znowu wziąłem małe zawiniątko i pieszo powędrowałem do wioski Hion-Ciply, znajdującej się między Mons a Maubeuge, do starej służącej naszej rodziny, która od niedawna tam mieszkała. Ta zacna kobieta, w bardzo zaawansowanym wieku, również jak i jej mąż, przyjęła mnie z otwartymi ramionami. Dom leżał o sto pięćdziesiąt metrów od szosy Mons-Maubeuge i na niej zobaczyłem pierwszego czy drugiego września pierwsze auta amerykańskie, nadjeżdżające od strony Laon z Aisne.

W NIEPEWNOŚCI

— Urwałem opowiadanie na tym, jak w pierwszych dniach lipca 1943 roku Jacques Cartier poprosił, żebym wziął w swoje ręce belgijski sektor Komety, to znaczy to, co z niego pozostało po tylu ciosach. Było tego niewiele. Już pan wie, z jaką odwagą Micheline Dumon, czyli „Michou", zastępowała swą siostrę Nadine po jej aresztowaniu w sierpniu 1942 roku. Oboje państwo Dumon również wpadli w ręce wroga. Wyraziłem zgodę Jacques'owi Cartier pod

warunkiem, że będzie mi pomagał Jules Dricot, który ze mną współpracował w *Service Zéro*, gdzie dalej chciałem pełnić służbę — mówi Jean Serment.

Wdowa po nim powiedziała już panu, że dał się złapać w *Centre des Guides* (w Ośrodku Przewodników) 22 stycznia 1944 roku. Chodziło o dom Jacques'a de Bruyn przy rue des Confédérés, położony niedaleko naszego kolegi Raoula Thibaut, który mieszkał przy avenue du Diamant, gdzie Dricot i ja chowaliśmy swoje materiały: dowody osobiste, pieniądze belgijskie i obcą walutę, kwestionariusze z pytaniami dla pilotów. Jacques de Bruyn wyjechał do Paryża z Jérôme'em, czyli Jacques'em de Grelle, aby zastąpić Alberta Mattensa, zwanego „Jean-Jacques", szefa konwojentów między francuską granicą a Paryżem, który dopiero co został aresztowany. Dał się złapać w okolicznościach, które już panu podano. Jego dom w Brukseli był pod nadzorem i Jules Dricot wpadł w kocioł.

Powracając z Ardenów, powinienem był zaraz po przyjeździe zjawić się u państwa de Bruyn. Przyjechałem późno, więc odłożyłem odwiedziny do następnego dnia rano i poszedłem spokojnie do Ośrodka Przewodników. Zadzwoniłem, otworzyła ciotka i powiedziała mi szybko: „Wszyscy wyjechali, niech pan tutaj nie sterczy, z pewnością dom jest pod obserwacją". Nie trzeba było mi tego dwa razy powtarzać i długo krążyłem po Brukseli, żeby uniknąć ewentualnego pościgu, zanim poszedłem na avenue du Diamant, którą przeciąłem na skos, idąc do Raoula Thibaut. Kiedy podniosłem oczy ku pierwszemu piętru, zauważyłem, że firanka lekko się porusza. W szparze między firankami pojawił się palec, który dał mi znak. Miałem się na baczności i ten mały znak mi wystarczył, żebym wiedział, że u Thibaut dzieje się coś nienormalnego. Okazało się potem, że było tam gestapo. Miałem szczęście, że pani Thibaut, która stała przy oknie, zauważyła mnie wtedy, kiedy miałem zamiar zadzwonić do drzwi. Jej ostrzeżenie prawdopodobnie ocaliło mi życie.

Raoul Thibaut, opowiadając panu o swojej nadzwyczajnej ucieczce nie dodał, że w biurze, w kufrze, który oddał do naszej dyspozycji, znajdowały się zamknięte, a o tym nie wiedzieliśmy, numery podziemnego pisma „La Libre Belgique" i Niemcy je znaleźli. To stanowiło wystarczający powód do aresztowania pani Thibaut. Były też i inne motywy, zwłaszcza nakrycia, które pozostały na stole w jadalni, wskazywały, że był jakiś gość w domu. Według opinii Niemców mógł to być tylko lotnik.

Kiedy zobaczyłem poruszający się palec pani Thibaut, zwiałem po przekątnej, nie wiedząc, co się dzieje: czy to tylko sygnał na wszelki wypadek, czy miałem z niego wywnioskować, że gestapo

jest w domu. Chcąc się upewnić, postanowiłem zaryzykować i zatelefonowałem. Zgłosił się ktoś, kogo nie znałem.

„Czy jest w domu pan Thibaut?" — zapytałem.

„Tak".

„Chciałbym z nim rozmawiać".

„Zaraz nadejdzie, ale może mi pan przekazać wiadomość".

„Chciałbym wiedzieć, czy pójdzie ze mną dzisiaj po południu na mecz piłki nożnej".

„Pan Thibaut za chwilę powróci, proszę przyjść i zobaczy się pan z nim".

Podziękowałem, odwiesiłem słuchawkę, mówiąc w duchu do Niemca, z którym rozmawiałem: „O, możesz czekać do sądnego dnia!"

Nie znając losu dwóch walizek, zawierających materiały złożone u Thibaut, myślałem, jak je odzyskać. Przez dziesięć dni pozostawałem w niepewności nie wiedząc, co się stało z moimi przyjaciółmi. Wypytując mieszkańców avenue du Diamant dowiedzieliśmy się, że pani Thibaut została aresztowana wraz z małą córeczką i służącą, ale nie mogliśmy zdobyć najmniejszej wiadomości o losie Raoula Thibaut i jego Amerykanina. Po dziesięciu dniach otrzymaliśmy wieść za pośrednictwem Grupy Eva: pochodziła ona od kierownika magazynu Delhaize, który zaopatrywał w produkty z czarnego rynku uchylających się od pracy dla Niemiec, pozostających pod opieką Grupy Eva. Ów zarządzający sklepem był bardzo zakłopotany obecnością u niego Belga i Amerykanina, poszukiwanych przez niemiecką policję. W magazynie jest ciągły ruch, ktoś może okazać się niedyskretny, kierownik prosi, byśmy coś zdziałali w tej sprawie. Poszedłem na avenue Latinis i u pana Amsteen znalazłem swojego Thibaut z Amerykaninem u boku. Opowiedziawszy swoje przygody Thibaut dodał: „Pójdź do państwa Doms dowiedzieć się, czy wszystko przebiegało tak, jak przewidziałem. U nich powinny być walizki".

Państwo Doms przyjęli mnie oczywiście z wielką nieufnością. Na próżno im mówiłem, że przysyła mnie Raoul Thibaut, nie chcieli słuchać, udając, że nie wiedzą o niczym. Powróciłem do Thibaut, napisał do nich kilka słów i wtedy dopiero mi uwierzyli. Powiedzieli, że spalili w piecu centralnego ogrzewania wszystkie papiery znajdujące się w walizkach, przechowali tylko pieniądze i maszynę do pisania.

Poprosiłem Thibaut i Amerykanina, by poczekali spokojnie u pana Amsteen dzień czy dwa, zanim im znajdę schronienie. Wtedy powiedział mi Gaston Matthys, że istnieje w Antwerpii inna linia

ewakuacyjna, zwana *KLM* [1], kierowana przez tak zwanego „Donalda", który dysponował okrętami, co mu pozwalało przerzucać mężczyzn bezpośrednio do Hiszpanii.

— Dowiedziałem się o tym przez „Huberta" z Grupy Eva — oznajmił Gaston Matthys.

— Bardzo mnie to zdziwiło, ale dla spokoju sumienia poszedłem się dowiedzieć i dzięki kolegom z wywiadu, jak również kolegom ze zbrojnego Ruchu Oporu działającego w rejonie Antwerpii, zdobyłem pewność, że owa linia to podstęp obmyślony przez wroga. Po powrocie do Brukseli oświadczyłem Gastonowi: „Przekaż wiadomość do Grupy Eva, żeby nie ruszali się z miejsca i nie kierowali żadnego lotnika do Antwerpii".

Ale członkowie Grupy Eva niecierpliwili się, Kometa uległa rozbiciu, Bruksela była „spalona" w dziewięćdziesięciu procentach i Paryż tak samo. To znaczyło, że jeżeli lotnicy pozostaną zablokowani na miejscu, sytuacja stanie się wyjątkowo niebezpieczna dla kwaterujących. Bez naszej wiedzy członkowie Grupy Eva udali się do Amsteena i powiedzieli Raoulowi Thibaut: „Jako Belg potrafi pan sam dać radę. Amerykanina wyślemy do Antwerpii".

Zaprowadzili Roberta Hooke do drogerzysty, który miał sklep o 500 metrów dalej, zapowiadając, że odbiorą „pakunek" następnego dnia rano. Nazajutrz rano zgłosiło się gestapo. Drogerzysta zdążył ukryć Amerykanina pod starą ladą ze spuszczonymi na ruchomych szynach ściankami, potem dopiero otworzył Niemcom. Natychmiast aresztowali drogerzystę wraz z całą jego rodziną i opieczętowali dom.

Gaston Matthys przyszedł mi o tym zdarzeniu opowiedzieć i o fakcie, że Amerykanin pozostał w swojej kryjówce. „Co teraz zrobimy?" — zapytał.

„Trzeba go stamtąd wydobyć" — powiedziałem.

„A pieczęcie?"

„Jeżeli zajdzie potrzeba, zerwiemy je pod pozorem napadu rabunkowego."

Ludzie z Grupy Eva rozbili jedną szybę i weszli do domu. Zabrali Amerykanina i zadowoleni z udanej akcji trwali dalej w przekonaniu, że Linia *KLM* istnieje i działa. Biednego Roberta Hooke zawieźli do Antwerpii. Doczekał końca wojny w obozie jeńców.

Żyliśmy jak w gęstej mgle do czasu, kiedy Max Roger powrócił z Południa i nawiązał ze mną ponownie kontakt. „Pani de Greef przebywa stale w Anglet — rzekł. — Skoro jesteś tutaj, spróbujmy odbudować Kometę. Jeżeli mnie zapewnisz, że istnieje możliwość

---

[1] *Koninklijke Landmacht* (hol.) — Królewskie Siły Lądowe

funkcjonowania Siatki w Belgii, pojadę do Londynu po pomoc.

Ta wizyta Maxa Roger przypadła na koniec kwietnia 1944 roku. Tymczasem nawiązałem w Paryżu łączność z „Rutlandem" czyli Jeanem de Blommaert, szefem Akcji Maraton, którego zrzucono na spadochronie do Francji podobnie jak jego kolegę Alberta Ancia. Porozumiałem się z Jeanem Blommaertem dzięki doktorowi Rouffart, u którego Michou pozostawiła dla mnie wiadomość, wędrując w lutym z Południa do Belgii.

Akcję Maraton trzeba było zapoczątkować na skutek dezorganizacji Komety i faktu, że bombardowanie linii kolejowych przez lotnictwo angielskie i amerykańskie uczyniło bardzo ryzykownym podróżowanie lotników do Hiszpanii. Maraton miał za zadanie zbierać i gromadzić lotników w wędrownych tajnych obozach, które wychodząc z Ardenów docierałyby, etap po etapie, do lasu położonego we Francji, nie opodal Chateaudun. Ukryci w tych lasach, nasi lotnicy mieli tam czekać na nadejście wojsk alianckich. To mi się wydawało nieco utopijne, ale instrukcje wydane Jeanowi de Blommaert były wyraźne, więc powierzyłem zakładanie ardeńskich obozów oraz odpowiedzialność za nie Gastonowi Matthys.

Sprawa nastręczała trudności. Wiele osób udzielających schronienia lotnikom pojęło to w ten sposób, że ich goście mają odejść do obozów uciekinierów, wobec czego nie chcieli ich powierzyć przewodnikom. Wymknęło nam się przez to około pięćdziesięciu lotników.

Nadszedł maj 1944 rok. Gestapo już przychodziło do mnie do domu, bruk Brukseli palił mi się pod nogami. Miałem także dwie inne przyczyny zmuszające do wyjazdu.

Londyn kazał nam zorganizować obozy dla lotników i kierować ich małymi nocnymi przerzutami ku lasom wyznaczonym pod Chateaudun — ja chciałem, by dostali broń, i o tym miałem zamiar przekonać Anglików. Dopiero znacznie później stwierdziłem, że było to całkowicie sprzeczne z ich planami. Jedną z przyczyn zakładania obozów była troska Londynu, by uchronić przed represjami ze strony Niemców ludność miast, chciano osłonić tak lotników, jak i Belgów ich goszczących. Wydano rozkaz, żeby lotnicy zachowali całkowity spokój aż do chwili wyzwolenia.

Drugim motywem wyjazdu do Anglii była misja powierzona mi przez *Armée Secrète*. Zreorganizowaliśmy sekcję wywiadu, wprowadzając decentralizację przez założenie posterunków na prowincji w taki sposób, żeby w miarę wyzwalania terenów nasza Siatka dalej mogła funkcjonować, wchodząc bezpośrednio i niezależnie jedna agencja od drugiej w kontakt z alianckimi wojskami w miarę, jak się będą posuwały w głąb kraju.

Zaopatrzony w fałszywy dowód osobisty, wyjechałem do Pary-

ża w towarzystwie dyplomowanego pułkownika, oficera sztabowego Damin. W Paryżu odnowiłem kontakty z Jeanem de Blommaert i Albertem Ancia, którym podałem sposób nawiązania porozumienia z Gastonem Matthys. Dostarczyli nam nowych dowodów osobistych, ważnych na południu, a od przyjaciół z Ministerstwa Spraw Zagranicznych otrzymaliśmy fałszywe paszporty. Potem pułkownik Damin i ja wsiedliśmy do pociągu w kierunku Bayonne, gdyż naszym zamiarem było zgłosić się u Ciotki Go, czyli pani de Greef.

Niedaleko przed Bordeaux pociąg zatrzymał się, wagon, w którym byliśmy, i dwa inne zostały odczepione od składu i przyłączono je na końcu innego pociągu. Ani Damin, ani ja nie przywiązywaliśmy do tego wagi, paliliśmy papierosy w korytarzu. Pułkownik czuł się szczęśliwy, że jak dotąd wszystko idzie pomyślnie. Nagle dostrzegliśmy zbliżających się do pociągu trzech mężczyzn, od razu ich zidentyfikowaliśmy po wyglądzie. Damin trącił mnie łokciem, szepcząc: „No i zaczyna się przyjemność".

Zdecydowałem się podróżować do Bayonne z fałszywym belgijskim paszportem, a Damin oświadczył: „Wchodzę w nową skórę, w nową osobistość, pokażę dowód osobisty otrzymany w Paryżu".

Trzech tajniaków weszło do naszego wagonu i jeden z nich zażądał w języku francuskim, ale z mocno alzackim akcentem, żebyśmy pokazali dokumenty. Na widok dowodu Damina wyczułem ich nieprzychylną reakcję. Potem oglądali mój paszport i zapytali, dokąd jadę.

„Do Bordeaux, w interesach" — odpowiedziałem, gotów potwierdzić swoje słowa pokazaniem powrotnego biletu Paryż—Bordeaux.

„A pan?" — skierowali pytanie do mojego towarzysza podróży.

„Jadę z północy do rodziny" — powiedział Damin.

„Gdzie jest pana bagaż?" — indagowali.

Mój płaszcz gabardynowy leżał obok walizki pułkownika, a w jego kieszeni miałem film. Tajniacy weszli razem z Daminem do przedziału, zostawiając mnie na korytarzu. Wtedy zwróciłem się do typa z alzackim akcentem: „Czy mogę zabrać? To jest moje" — i zdjąłem płaszcz.

Wyprowadzili pułkownika. Był wielki ścisk w wagonach i policjanci musieli prześlizgiwać się między podróżnymi razem z więźniem, żeby dostać się na czoło pociągu. To pozwoliło pułkownikowi oderwać od koszuli przypięty do niej film i list i wyrzucić je niespostrzeżenie z pociągu podczas jazdy.

Wiedziałem, że nie mam chwili do stracenia: musiałem się pozbyć wszystkich kompromitujących dowodów. Licząc sekundy, wyjąłem film z kieszeni płaszcza razem z chusteczką do nosa, możli-

wie jak najspokojniej poszedłem do toalety i zamknąłem się. Spaliłem film i wyrzuciłem do muszli, spaliłem fałszywy dowód osobisty i jeszcze kilka dokumentów, potem wyszedłem. Dwaj policjanci oczekiwali mnie na korytarzu: „Pan rozmawiał z tamtym panem. Czy pan go zna?"

„Znam go o tyle, że wypaliłem z nim papierosa na korytarzu, i to wszystko."

„Co on panu mówił? Gdzie pan go spotkał?"

„Wchodząc do pociągu. Powiedział, że powraca do rodziny, że jest zadowolony, że jego podróż na północ dobiega końca."

„Nic więcej?"

„Ach, rozmawialiśmy o pogodzie.... Kiedy panowie nadeszli, dopiero zaczynaliśmy rozmowę."

„Gdzie są pana rzeczy?"

Wziąłem ze sobą tylko teczkę, jaką wozi człowiek interesu. Włożyłem do niej przybory toaletowe, piżamę i książki. Miałem na sobie granatowe ubranie, gdyż mnie ostrzeżono: „Nie obciążaj się dużą walizką i nie ubieraj się jak góral mający przechodzić przez Pireneje".

Tajniacy szybko uporali się z zawartością teczki, po czym przeprowadzili rewizję osobistą od stóp do głowy, wywracając kieszenie i szukając pod podszewką. Potem powiedzieli: „Przepraszamy, to pomyłka".

Wspaniałomyślnie odpowiedziałem: „Nie ma za co". Ale przyznaję się, że byłem w wielkim strachu.

Pociąg wjechał na dworzec w Bordeaux, starałem się wypatrzyć pułkownika w wagonach, które mijałem idąc peronem, ale źle widziałem pod światło i nie dostrzegłem go. On mnie widział i wiedział, że mam swobodę ruchów. Znajdował się w pierwszym wagonie z niemieckimi policjantami.

Dotąd byłem wolny, ale mój belgijski paszport miał ważność jeszcze tylko dwa dni i w żaden sposób nie upoważniał mnie do wkroczenia w strefę wojskową. Łamałem sobie głowę, co robić, i przez chwilę doświadczałem pokusy, żeby pójść do pałacu biskupiego prosić o pomoc w dostaniu się do Bayonne, ale w końcu wybrałem się do najnędzniejszej dzielnicy Bordeaux, gdzie wypatrzyłem na jakiejś podejrzanej kawiarni ogłoszenie o pokojach dla podróżnych. Kazałem sobie podać jedzenie na ladzie i rozpocząłem rozmowę z barmanem, przedstawiając się jako ten, który chce upłynnić po cichu sacharynę, która była wtedy prawie tak samo poszukiwana jak cukier. Po nitce do kłębka dowiedziałem się, że czekał na nadejście rzekomego komisarza policji, który miał możność pomagać w nielegalnym przekraczaniu granicy, ale wyczułem taki

klimat, że postanowiłem błyskawicznie stamtąd prysnąć, bo mi to pachniało czymś niedobrym.

W sekcji Wywiadu Zero poznałem kiedyś Belgijkę, której nazwiska nie pamiętam, ale przypomniałem sobie, że przerzucona do Agen, miała znajomości z maszynistami kolejowymi, obsługującymi pociągi między Tuluzą a Bayonne. Wjechałem do Agen. W merostwie zapytałem, czy znają panią belgijskiego pochodzenia, która wraz z falą uciekinierów w 1940 roku zamieszkała w rejonie miasta. Odpowiedziano mi, że trudno prowadzić tego rodzaju poszukiwania, ale że mają tu Belga ewakuowanego mniej więcej w tym samym czasie, który pracuje w merostwie i będzie tu po południu.

O wyznaczonej godzinie zapoznałem się z siwym panem, któremu zwierzyłem się z kłopotów. „Chciałbym panu dopomóc, jako rodakowi — powiedział. Proszę na mnie zaczekać na ulicy i potem iść w ślad za mną, kiedy stąd wyjdę."

Zaprowadził mnie do pani Souka, która mieszkała w fermie niedaleko Agen. Rozpoznałem w niej osobę poznaną w Belgii dzięki pani Masson, która pracowała w naszej sekcji wywiadu. Wtedy jeszcze wyrażała gotowość ułatwienia nam przerzutów do Hiszpanii, lecz nie korzystałem z jej propozycji, gdyż w tamtym okresie łączność przez Kometę funkcjonowała bardzo sprawnie. Od razu mnie poznała, kiedy jej przypomniałem naszą rozmowę. „Teraz chodzi o mnie, żebym jak najprędzej znalazł się po drugiej stronie" wyjaśniłem. „Akurat teraz nie mam żadnych wieści od swojego przewodnika, który powinien był nadejść z Mauléon."

Odpowiedziała mi, że tym przewodnikiem był nie kto inny jak mer z Licq, którego siostra była modystką w Mauléon. Zaproponowała, żebyśmy razem pojechali do Pau, a stamtąd pójdziemy dowiedzieć się, co się dzieje z tym przewodnikiem.

Wyjazd do Pau nastąpił dopiero na trzeci dzień. Do tego czasu starałem się być użytecznym i pasłem krowy pani Souka. W Pau zaprowadziła mnie do kawiarni, gdzie otrzymaliśmy informację, że mer z Licq od kilku dni nie pokazuje się. Pani Souka, naglona pilnymi sprawami, powróciła do Agen, radząc mi pozostać na miejscu i dowiadywać się o przewodnika. Wtedy sobie przypomniałem, że szwagier jednego z moich kolegów szkolnych mieszka w tym mieście. Odszukałem jego adres i poszedłem. Wspominaliśmy czasy szkolne, on zaprosił mnie na kolację, a córkę posłał po znajomą, która ma możność mi dopomóc.

Przyszła owa dama, wysłuchała mnie. „Dobrze — powiedziała. — Pójdzie pan jutro o tej a tej godzinie do tej a tej kawiarni,

trzymając gazetę w ręce. Moja córka panem się zajmie. Będzie pan musiał zapłacić dziesięć tysięcy franków do kasy Ruchu Oporu."

Nazajutrz znalazłem się na fermie, niedaleko Mauléon, tam spędziłem noc. O czwartej nad ranem obudzili mnie chłopcy uzbrojeni w pistolety maszynowe: „Bosze są w tej okolicy, niech pan zmyka".

Chciałem się dowiedzieć, gdzie są ci Bosze, ale otrzymywałem tylko wymijające odpowiedzi: „Tutaj są góry, łatwo się ukryć".

Ciągle z teczką handlowca odszedłem z tymi uzbrojonymi chłopakami, bynajmniej nie uspokojony, i zadawałem sobie pytanie, czy mnie nie prowadzą na stracenie. Pozostawili mnie w górach obiecując wrócić wieczorem. Tak też zrobili, oświadczając, że Bosze odeszli. Znowu znalazłem się w stodole, było tam chyba czterdzieści osób, większość Żydów. Wygląd tej grupy obudził we mnie poważną obawę i wtedy zwróciłem się do szefa chłopców pod bronią: „Drogi przyjacielu, proszę mi zwrócić moje dziesięć tysięcy franków, będę ich potrzebował, bo odchodzę stąd." Dowódca odczuł potrzebę dyskutowania ze mną na ten temat, a tymczasem podeszła do mnie jakaś stara pani:

„Proszę pana — powiedziała — muszę połączyć się ze swoimi dziećmi, które są w Algierii. Chętnie będę niosła pana bagaż, ale chcę stąd odejść, bo nie czuję się bezpieczna".

„Ale proszę pani, nie wiem, czy pani za mną nadąży..."

„Pójdę za panem wszystko jedno którędy."

„Ale nie mogę pani niczego zagwarantować, sam dopiero szukam sposobu przedostania się."

„Błagam pana."

Wydawała mi się tak zagubiona i nieszczęśliwa, że już nie protestowałem. Mój bagaż mieścił się w teczce, a ona miała walizkę; niosłem ją do fermy, która była etapem mojej wyprawy podczas poprzedniej nocy. „Proszę tutaj na mnie zaczekać — powiedziałem. — Jeżeli otrzymam pomyślne wieści, przyjdę tutaj po panią."

Miałem zamiar odnaleźć tę modystkę, o której wspomniała pani Souka. Miałem szczęście, spotkałem ją w Mauléon. Przyjęła mnie bardzo miło: „Licq leży w strefie wojskowej, ale mam ausweis i postaram się przyprowadzić brata. Tak czy inaczej zapytam, w jaki sposób można by przekroczyć granicę. Ale nie przejdzie pan przez góry w tych podkutych butach, które ma pan na nogach.

Zabrała moje obuwie i odjechała na rowerze. Powróciła z wiadomością, że nazajutrz o świcie przewodnik przyjdzie po mnie. Opowiedziałem jej wtedy historię o starej pani, co ją bardzo wzruszyło. „Niech ją pan zabierze ze sobą, jeżeli pan myśli, że wyprawa może się powiedzie."

Nazajutrz razem z przewodnikiem udałem się po staruszkę. Przewodnik przyjechał na rowerze, a na drugim jego młody syn. Wyruszyliśmy, przewodnik wiózł na ramie starę damę, a ja chłopaka na bagażniku. Chłopiec miał zabrać z powrotem rowery. Pedałowaliśmy po drodze równoległej do łańcucha górskiego Pirenejów, potem przyjechaliśmy na fermę, gdzie ukryliśmy rowery w sianie, w stodole, nie mówiąc o tym gospodarzom. Chłopak tam pozostał czekając na powrót ojca, który szybko przeprowadził nas przez drogę i skierował na górską ścieżkę. Aż trzy dni marszu wymagało przejście na drugą stronę szczytów, gdzie znaleźliśmy się wśród hiszpańskich republikanów, tak zwanych *los Rojos*, „Czerwonych", którzy tam się ukrywali. Przewodnik rozstał się z nami, a Hiszpanie doprowadzili do strumienia. Towarzyszył nam inny amator przejścia do Hiszpanii, który miał ze sobą mapę. Dowiedzieliśmy się z niej, że strumyk płynął w kierunku Bilbao.

Stara pani dzielnie znosiła długi marsz. Młodzi Hiszpanie jej poradzili, aby dalej szła drogą, a nawet jeżeli ją zatrzymają *carabineros*, nie ma się czego obawiać. Odnalazłem ją później w hiszpańskiej wiosce Leiza, była zachwycona swoją przygodą.

Przez modystkę z Mauléon przesłałem poprzednio do pani de Greef wiadomość. Ten list mieścił się na małej kartce. Zachowałem ją. Jest tej treści: „Jean Serment, następca Jacques'a Cartier z Biriatou, przeszedł w poniedziałek, jedenastego maja, do Hiszpanii. Żałuje, że nie mógł widzieć się z panią, prosi o powiadomienie, jeżeli to możliwe, Jeana Thomas lub Daniela i pani Paul Antoine. Mój przyjaciel i towarzysz podróży opuścił mnie w drodze. Wyjaśni to bliżej oddawca tego listu".

— Co stało się z pułkownikiem Damin? — zapytałem.

— Tajniacy po aresztowaniu kazali mu spacerować po Biarritz licząc na to, że podchwycą jakiś gest czy spojrzenie, które pozwoli im zidentyfikować osobę, z którą miał wejść w kontakt, aby przeprawić się do Hiszpanii. Jeden gestapowiec towarzyszył mu w pewnej odległości wszędzie, pieszo, w aucie i w tramwaju. Pewnego dnia pułkownik wyskoczył z tramwaju i zaczął uciekać, lecz nie powiodło mu się. Strażnik Niemiec oddał strzał i zranił go w udo. Biedny Damin zwalił się z nóg, złapali go i bardzo surowo się z nim obeszli. Skończyło się na obozie koncentracyjnym w Dachau, tam go znalazłem po wyzwoleniu.

Ósmego stycznia 1944 roku Michou wraz z kolegą René, kurierem z *Service Marc*, odjechała ku granicy z zamiarem odwiedzenia Ciotki Go w Bayonne. Następnego dnia jej matka zgłosiła się do *Geheime Feldpolizei*, przy ulicy Traversière w Brukseli, tam gdzie ją zawieźli Niemcy 11 sierpnia 1942 roku wraz z mężem i córką Nadine.

— Od chwili, kiedy Niemcy zidentyfikowali Michou — powiedziała pani Dumon — myślałam, że mnie ponownie aresztują. Z powodu najmłodszej córeczki-kaleki nie mogłam myśleć o ucieczce. Zdecydowałam się postawić wszystko na jedną kartę. Wiedząc, że Michou jest w drodze do Anglii, oświadczyłam Niemcom zdziwionym, że do nich się zgłaszam: „Przychodzę prosić o wiadomość o mojej córce Micheline".

„Jak to? Dlaczego pani pyta o to?"

„Bo jej nie widziałam od czasu, kiedy mnie wsadziliście do więzienia." Gdyby pan widział ich miny.

— Gratuluję pomysłowości i odwagi, taki krok był bardzo zuchwały.

— Właśnie na to liczyłam, że ich zaskoczę. Pozwolili mi spokojnie odejść.

— Kiedy mama poszła odwiedzić *GFP*, czekałam na próżno w Anglet u Ciotki Go na Franco — opowiada Michou. — Obiecał wrócić za tydzień, termin minął, a Franco ani śladu. Nie wiedziałyśmy o jego aresztowaniu. Było mi tylko wiadomo, że Raymond Itterbeek dał się ująć w pociągu niedaleko Hal, z dwoma lotnikami, których konwojował. Było to tuż przed moim odjazdem z Brukseli. Orientowałam się, że sytuacja nie jest najlepsza, ale gdybym znała prawdę!

W końcu stycznia Max Roger postanowił pojechać po wiadomości. Dałam mu adres Diane w Paryżu i dwa w Brukseli — naszych skrzynek listowych. Powrócił z bardzo posępną miną: pani de Bruyn aresztowana, Jérôme i Jacques de Bruyn dali się złapać w Paryżu. Max Roger natychmiast, poszedł do Hiszpanii, żeby poinformować „Thimothy'ego" o wydarzeniach. Wkrótce do Ciotki Go nadeszła wiadomość od Maxa z Madrytu: rozkaz Anglików, by zaprzestać wszelkiej akcji na dwa miesiące wraz z prośbą, by przeprowadzić do Hiszpanii paryskich kolegów Franco, którzy uniknęli aresztowania. Gdyby pan zobaczył wtedy Ciotkę Go: „Co to za historia? Anglicy nie mają prawa wydawać nam rozkazów!"

Byłam całkowicie tego samego zdania: zadano nam ciężki cios, bardzo ciężki, ale nie mogło być mowy o opuszczeniu naszych przyjaciół naszych *boys*, jak Ciotka Go nazywała nasze „paczki", „dzieci", „chłopaków", czyli lotników.

Wyjechałam z Paryża, żeby dalej prowadzić ewakuację na Południe. Przekazałam Diane pieniądze dla sektora północnego, prosząc ją, by przywiozła „chłopaków", którymi się zaopiekuję, gdy już będę w Paryżu. Potem poszłam do Madeleine Noël, dentystki, której adres dali mi Anglicy. Nazywaliśmy ją Martine, skontaktowała mnie z kolegami Franco w Paryżu i poprosiła, żebym konwojowała Francuza, jakąś ważną osobistość.

W przeddzień mojego odjazdu zgłosił się chłopak, skierowany przez księdza Beauvais, wikarego od Św. Tomasza z Akwinu. Nazywał się Pierre Boulain. Tego samego wieczoru ten Pierre jadł kolację ze mną, z Martine i innymi koleżankami. Siedziałam naprzeciwko niego i zapamiętałam, że miał bordowy krawat w groszki. Coś było w tym Pierre, co mi się nie podobało, i powiedziałam porywczo: „Ma pan szczęście, że przedstawił pana ksiądz Beauvais i że jest pan znajomym Martine."

„O, a dlaczego?"

„Gdyby nie to — nie miałabym do pana żadnego zaufania."

Zaczął się śmiać: „Masz dobre koleżanki, Martine".

Jak mogłam nie rozpoznać w nim natychmiast tego zdrajcy, który się przedstawił Frédéricowi de Jongh jako Jean Masson i chwalił się, że ma możność ewakuowania całych grup z Belgii do Francji? Pan de Jongh posłał go do Brukseli szóstego czy siódmego czerwca 1943 roku i spotkałam go u Hélène Pilatte razem z Jacques'em Cartier i Fernandem Radelet. Zadawał mi pytania na temat grupy Jeana de Gand, co obudziło moją czujność i wyszłam trzasnąwszy drzwiami. W jaki sposób na tej kolacji w towarzystwie Martine nie poznałam tego niskiego mężczyzny, z włosami ściętymi na szczotkę, niebieskimi oczami, o wyrazie twarzy stanowczym i inteligentnym? Po wyzwoleniu, kiedy rozkładano przede mną fotografie, bym podała nazwiska, dzieliłam te zdjęcia na dwie grupy: „To jest Jean Masson, a to jest Pierre." Dostrzegłam dwie różne osoby w tym samym zdrajcy!

Ta kolacja odbyła się 16 lutego 1944 roku. Nazajutrz, to był czwartek, wyjechałam z Paryża w licznym gronie: towarzyszyli mi Jean de Blommaert, radiotelegrafista, Charles Lafleur, Albert Lemaitre, którego nazywaliśmy Louis London i ten Francuz, o którym Martine mówiła, że to ważna figura. Nie dowiedziałam się, jak się nazywa, ale pamiętam go w wielkiej pelerynie pastucha. W Bayonne śnieg padał gęstymi płatkami. *Tante* Go, która umiała stawić

czoło wszystkim trudnym sytuacjom, znalazła sposób na umieszczenie moich towarzyszy, wyżywienie ich i zapewnienie nam nowego przejścia granicznego przez Sare. Po dziesięciu dniach wyruszyliśmy do Hiszpanii.

Przejście przez góry było bardzo uciążliwe, zwłaszcza dla biednego Francuza, starszego już człowieka, który ciężko to odczuwał. Musieliśmy maszerować przez całe dwie noce i trudno mi było posuwać się naprzód, taka gruba była warstwa śniegu. Między tymi dwiema nocami odpoczywaliśmy przez cały dzień w małej, zagubionej w górach kawiarni, gdzie panował lodowaty chłód. Dano mi pokój, ale było tak zimno, że nie potrafiłam zasnąć. Jean de Blommaert przyszedł po mnie, wcisnęłam się w kąt między towarzyszy, starając się rozgrzać.

Na drugi dzień rano dobrnęliśmy do zamarzniętego potoku. Kiedy zeszliśmy do podnóża góry, Jean de Blommaert i ja pozostawiliśmy swoich towarzyszy w chlewie i wyruszyliśmy razem do San Sebastián. Wszystko dobrze się ułożyło: „London", Lafleur i Francuz zamieszkali w klasztorze, dokąd ja nie mogłam wejść, nawet aby się umyć, gdyż zakonnicy widzieli w kobiecie wcielenie diabła.

Tyle problemów wymagało jak najszybszego rozwiązania, że Jean de Blommaert zabrał mnie do Madrytu, na spotkanie z „Timothym", któremu wygarnęłam to, co Ciotka Go i ja miałyśmy mu do powiedzenia. Twierdził, że nie rozumie, czemu Max Roger napisał ten list, który nas tak rozdrażnił. Wprost przeciwnie, jego najgorętszym pragnieniem jest, żebyśmy przerzucali jak największą liczbę lotników do Hiszpanii. Pokrzepiona tymi dobrymi słowami powróciłam do Francji. Uszczęśliwiona Ciotka Go przekazała mi pieniądze dla północy i wyruszyłam do Paryża 13 marca, pełna wiary, że wszystko pójdzie dobrze dzięki nowej komórce, składającej się z Diane, Henriette Hanotte, mieszkającej w Rumes, przy granicy, i z Martine, która miała nawiązać łączność z dwoma Alzatczykami i mnie z nimi zapoznać.

Mój pociąg wjechał na dworzec Austerlitz z opóźnieniem. Zadzwoniłam do mieszkania Martine, żeby nie czekała na mnie z kolacją. Męski głos odezwał się w telefonie: „Przyjdź mimo wszystko. Wiemy, że było bombardowanie i że pociąg nie przyszedł punktualnie. Martine czeka na ciebie".

Poznałam ten głos: to był ten typ od księdza Beauvais, ten Pierre Boulain. Bardzo przynaglał, obudził tym moją nieufność. Zamiast na ulicę Champfleury poszłam do pani Greuze, ale jej nie zastałam, wtedy postanowiłam zasięgnąć informacji u konsjerżki przy ulicy Saint-Mandé, gdzie Martine miała swój gabinet. Dozorczyni była po naszej stronie, ostrzegła mnie: „Niech tylko pani nie idzie

do mieszkania dentystki. Pod innym adresem otrzyma pani informacje". Podała mi adres Diane. W mieszkaniu Diane przyjęła mnie jej koleżanka Irma: „Aresztowano nas obie, mnie wypuszczono, Diane jest dalej w więzieniu".

Nie wiedziała nic więcej, ale pomyślałam, że pani Thomas, technik dentystyczny, robiąca protezy dla pacjentów Martine, potrafi mi coś więcej powiedzieć. Irma poszła ze mną do niej. Okazało się, że Diane i Martine były obie we Fresnes. Nie wiedziałam, gdzie się znajduje to więzienie, pani Thomas zaproponowała, że pójdzie razem z nami.

Stanęłyśmy przy uliczce, nad którą wznosił się wysoki mur. Pani Thomas wskazała, w którym skrzydle znajduje się Martine. Zawołałam: „Martine! Martine!"

Żadnej odpowiedzi. Zawołałam znowu: „Martine! Martine!"

Natychmiast odezwał się głos Martine: „To ja".

Krzyknęłam: „Kto doniósł?"

„Pierre".

W tej chwili inne więźniarki zaczęły krzyczeć: „Uciekajcie, uciekajcie!"

Pani Thomas odeszła tak szybko, jak mogła. Zapytałam Irmę: „Zostajesz? bo ja uciekam".

Ogarnięta paniką Irma nie mogła ruszyć nogą, stała jak sparaliżowana. Nie chciałam jej pozostawić samej, no i dałam się złapać razem z nią, kiedy Niemcy nadjechali autem. Pani Thomas udało się uciec.

Była godzina pół do czwartej po południu. Wprowadzili nas obie do wnętrza więzienia Fresnes i stawili przed komendantem Niemcem. Okazał się uprzejmy, ale jego sekretarz znacznie mniej przyjemny.

Freddy sfabrykował mi dobry dowód osobisty, w którym mi dał trzynaście lat i miałam ładną kokardkę we włosach. Opowiedziałam naczelnikowi więzienia rzewną historię, że straciłam całą rodzinę, że jedyną osobą, którą znam, jest dentystka, przyjaciółka moich zmarłych rodziców, że powiedziano mi o jej aresztowaniu, że chciałam się dowiedzieć, czy nie mogę coś dla niej zrobić, że nie wiem dokąd iść... Komendant miał taką minę, jakby się nade mną litował...

— Jakby słyszał bajkę o Dwóch Sierotkach! — mówię do Michou.

— Tak by należało, ale Irma wyglądała na dobre dwadzieścia dwa czy dwadzieścia trzy lata. Twierdziła, że chciała zobaczyć się ze swoją przyjaciółką Madeleine Noël i że mnie spotkała tutaj przypadkowo. Wsadzono nas obie do tej samej celi, sekretarz przy-

chodził kilka razy na przesłuchanie, a potem nas wypuścili. Komendant powiedział: „Teraz będziesz zupełnie sama, ale jeżeli spotkałaś tutaj tę panienkę, to może ona będzie się mogła tobą zaopiekować?"

— To był pewnie dobry ojciec. Co pani zrobiła po wyjściu z Fresnes?

— Pojechałam do Brukseli razem z René, tym chłopcem z *Service Marc,* który mnie przeprowadził do Francji w styczniu. W Brukseli zamieszkałam u doktora Rouffart, ten lekarz operował poprzednio lotnika Roberta Grimes. Pozostałam u niego przez osiem dni.

Zaraz po przyjeździe poszłam do skrzynki listowej Jeana Serment, żeby go zawiadomić, gdzie będzie mógł ze mną się zetknąć. Spotkaliśmy się, przekazałam mu pieniądze i wiadomości z Londynu: Rutland i Daniel Mouton powrócą z Anglii w celu założenia obozów, w nich trzeba będzie zgromadzić lotników. Do tego czasu co osiem dni będę zabierała „paczki" z Paryża.

Byłam rozczarowana, że Simone Gazet przywiozła mi tylko jednego lotnika. Wtedy zwróciłam się do mamy, która mi przysłała innych przez „Léa", czyli Louise Knops. Niestety bombardowania torów kolejowych spowodowały, że „Léa" spóźniła się na spotkanie.

Zdziwiony zwróciłem się do pani Dumon:

— Czy gestapo nie naciskało pani zbyt mocno?

— Pokazywałam się jak najmniej — odpowiedziała. — Pani Minet była łączniczką między panią Brusselmans, Henrim Maca i mną. Ze wszystkich stron nadchodziły wieści o zestrzelonych lotnikach, nie można było ich pozostawić bez pomocy. Nie mając sposobu wysłać ich do Hiszpanii, opróżniliśmy częściowo Brukselę, kierując pewną ich liczbę na prowincję. Pan Piérart zapewnił mi nowe kwatery, a Yvonne Heyn zaprowadziła kilku naszych chłopców do ojca Materne, który ich porozmieszczał. Ale już nie mieliśmy z czego pokrywać kosztów utrzymania lotników. Posłałam więc wiadomość do Michou, która w marcu przyjechała do Brukseli, przedstawiła mi Jeana Serment i zadecydowała, że lotnicy znowu będą odjeżdżali z Paryża. 8 kwietnia 1944 roku powierzyłam Jeanowi Serment Amerykanina Williama Mattson i Australijczyka, Leslie Morrisona. W piętnaście dni później jeden i drugi znaleźli się cali i zdrowi w Hiszpanii, lecz Michou błagała mnie za pośrednictwem Jeana Serment, żebym zaprzestała wszelkiej działalnosci. Serment obiecał mi zwrot kosztów wyżywienia dla osób udzielających kwater — za pośrednictwem ojca Van Dostayen i „Marca" czyli José Grisara.

— Tak właśnie było — potwierdziła Michou. — Rutland i Moutor powrócili z Anglii na Wielkanoc 1944 roku, w tym okresie były już ustalone dyrektywy dotyczące organizowania obozów dla lotników. Przekazałam Jeanowi Serment tekst wiadomości nadanej przez *B.B.C.*, która zapowiadała zrzucenie na spadochronach naszych dwóch kolegów, i umówiliśmy się, że spotkamy się wszyscy w Paryżu. Postanowiliśmy również, że Monique, czyli Henriette Hanotte, przyjedzie do mnie na Południe, żeby zastąpić „spalonego" Charles'a Escrinier, który zajmował się „dziećmi" od sierpnia 1943 do marca 1944 roku. Dwaj lotnicy przywiezieni przez pana Nys odbyli z nami podróż i wszystko poszło szczęśliwie. Widziałam się z „Timothym" po przyjeździe do Hiszpanii, potem znowu powróciłam do Francji, po nową grupę „chłopców". Tym razem Daniel Mouton pojechał razem ze mną na Południe, każde z nas wiozło dwóch lotników. Na peronie dworca Austerlitz, tuż przed odjazdem pociągu, zwróciłam się do Daniela: „Popatrz na tamtego drągala... Jestem pewna, że będzie kontrolował dokumenty. Gdybym była sama, nie jechałabym tym pociągiem. „Zawracasz głowę — powiedział Daniel. — Gdyby tak każdy myślał..."

Wsiedliśmy do pociągu, Daniel do wagonu na przedzie z dwoma lotnikami. I nie poszło: jeden z nich dał się zatrzymać. Zobaczyłam, że drągal idzie do tyłu. Powiedziałam do swoich lotników: „Korzystajcie, póki Niemiec jest zajęty w przedziale, zmykajcie do przodu".

Ale korytarz był zapchany pasażerami, jeden z moich chłopców nie chciał ryzykować i dał się złapać. Jednak udało nam się z Danielem przewieźć po jednym. Byłam niepocieszona po stracie tamtych dwóch.

Tante Go życzyła sobie, bym już u niej pozostała, ale jeszcze raz powróciłam do Paryża, aby pokazać, jak Monique ma podróżować z lotnikami. Rutland i Mouton mieli nam przywieźć dwóch z Brukseli i umówiliśmy się na spotkanie przed statuą króla Alberta, przy wejściu na Cours-la-Reine. Przychodzę wcześniej, siadam na ławce z książką, wkrótce nadchodzą koledzy, omawiamy sprawę przerzutu lotników na Południe.

W pewnym momencie Daniel się odwraca, patrzę w kierunku, który mi wskazuje, i kogo widzę? To Pierre Boulain razem z panią Alice. Odczułam, że blednę: dopiero co Rutland i Mouton przylecieli z Anglii, a już ten Pierre, czyli Jean Masson znalazł sposób nawiązania z nimi kontaktu. To on chciał mnie wciągnąć do Martine, do kotła... Dlaczego nie aresztował mnie natychmiast? Może dlatego, że był sam z panią Alice, a ja miałam przy boku dwóch chłopców, którzy nie pozwoliliby mu łatwo działać... Naj-

lepsze było, że Daniel nie chciał mi uwierzyć, że rzekomy Pierre pracuje dla Niemców. Rutland był rozsądniejszy i urwał kontakt. Nazajutrz przyszedł do mnie Daniel: „Wiesz co Michou, miałaś jednak rację. Pierre przyszedł spotkać się ze mną na Gare du Nord w towarzystwie «mężczyzny bez palca». Spostrzegłem go wcześniej niż on mnie".

Wie już pan, że chodziło o Desittera, drugiego zdrajcę, znanego już Komecie.

Wobec tych faktów Monique i ja nie mogłyśmy zaopiekować się lotnikami przywiezionymi z Brukseli i same odjechałyśmy na Południe z pewną ładną Amerykanką, podobno narzeczoną jakiegoś ważnego agenta francuskiego Ruchu Oporu. Z Anglet pojechałyśmy wszystkie do Saint-Jean-de-Luz i tam wpadłyśmy na drągala kontrolującego dokumenty. Udało się nam szczęśliwie wywinąć i 12 maja przeszłyśmy na hiszpańską stronę. Jeszcze raz wyjaśniłam sytuację „Timothy'emu". Ku mojej wściekłości absolutnie mi zabronił powracać do Francji. Widzi pan, że to już absolutnie nie było interesujące.

— Nie wszyscy, droga Michou, byliśmy tego zdania co pani, uważaliśmy, że jego decyzja jest rozsądna. Ale przez ten wyjazd pani matka była pozbawiona jedynej więzi z Ciotką Go.

— W tym samym okresie, na początku maja, wezwał mnie ojciec Van Oostayen — kontynuuje opowieść pani Dumon. — Nie miał znikąd wieści ani od Marca ani od Jeana Serment, a kwaterujący lotników byli bez środków do życia. Wezwałam Henri'ego Maca do siebie na następny wieczór, przekazałam niezbędne pieniądze i powierzyłam jego opiece lotnika o nazwisku Freddie Brown, którego panna Biard nie mogła dłużej mieć u siebie.

Maca nie przyszedł na spotkanie, jego narzeczona obawiała się, czy go nie aresztowano.

Natychmiast ostrzegłam panią Brusselmans, z którą Maca utrzymywał bezpośredni kontakt, i zaprowadziłam Freddie'ego Browna do pani Jonckheer. Zabrałyśmy od ojca Van Oostayen zaklejoną kopertę z adresami kwater i według tej listy tylko kilka ich odszukałyśmy. Pani Brusselmans musiała się ukrywać, Léa nie przyszła na umówione spotkanie, a Simone Schreyen, której brat pracował pod imieniem Victor, nie chciała ze mną się porozumieć.

Przy końcu maja Daniel Mouton przekazał mi pieniądze, które przesłała Michou, i wtedy zwróciłam pani Brusselmans kwotę 40 000 franków, jakie wydatkowała ona z własnych na koszty utrzymania lotników. Zapoznałam Daniela Mouton z ojcem Van Oostayen i Nelly Vandermeulen, „skrzynką na listy". Daniel przed-

stawił mi Pierre'a Struman, agenta-łącznika z obozami, którego umieściłam u pani Minet. Ten mnie zapoznał z Henri Nysem, który był wcześniej przewodnikiem Siatki *ABC*, a później Komety, i z Gastonem Matthys i jego pomocnicą Yvonne Bienfait, zwaliśmy ją Monique. Skontaktowałam ją z Yvonne Heyn, a panią Minet z Jeanem Vanderelst i Jacques'em Delay. Przyprowadzono do mnie lotników, których należało odtransportować do obozu. I tak doczekaliśmy do wyzwolenia...

— Myślę, że trzeba dodać jeszcze coś — powiedziała pani de Greef. — Przypomina pan sobie, że w przeddzień aresztowania na fermie Urrugne, u Franchii Usandizaga, Dédée przyjechała do Bayonne razem z ojcem, którego chciała odesłać przez Hiszpanię do Anglii. Wie pan również, że kiedy Frédéric de Jongh dowiedział się o aresztowaniu córki, nie zechciał przekroczyć granicy, pragnąc prowadzić dalej dzieło rozpoczęte przez Dédée. Prosił nas o interwencję u „Timothy'ego", żeby wymienić ją na jeńców niemieckich, lecz Londyn odpowiedział, że tego rodzaju propozycja zasygnalizowałaby, jaką wagę przywiązują alianci do tej więźniarki i mogłaby znacznie pogorszyć jej sytuację. Anglicy sugerowali raczej zapłacenie okupu. Wtedy pan de Jongh nawiązał porozumienie z owym Jeanem Masson, któremu ufał, i w ten sposób wpadł w paszczę wilka. „Będę usiłował wydobyć Dédée z więzienia, ale to będzie drogo kosztowało, bo trzeba będzie opłacić strażników... Będzie trzeba więcej niż milion franków..." — powiedział Jean.

Pan de Jongh odpowiedział, że zrobi wszystko, co będzie mógł. To utwierdziło zdrajcę w przekonaniu, że Londynowi bardzo zależy na osobie Dédée. W dwa tygodnie po przewiezieniu Dédée do Fresnes Janine wyjechała do Paryża w swą szóstą podróż. Zabrała ze sobą zapieczętowaną kopertę, która zawierała sumę, jakiej żądał Jean Masson. Można przypuszczać, że schował ją do własnej kieszeni, bo ten typek żył na szerokiej stopie.

JOHN RUTLAND

Miałem dwadzieścia pięć lat w dniu kapitulacji Belgii 28 maja 1940 roku — powiedział Jean de Blommaert, zwany w Komecie Johnem Rutland. — Służyłem w drugim pułku strzelców konnych w stopniu podchorążego plutonowego. Na szczęście raniono mnie 26 maja.

— Na szczęście? Co chce pan przez to wyrazić?

— Jako rannego odesłano mnie do szpitala, po jego zbombardowaniu przeniesiono do innego, więc Niemcy trochę o mnie zapomnieli. Z drugiego szpitala dostałem się do trzeciego, w Loppem pod Bruges, gdzie dawniej mieszkałem jako uczeń. W administracji szpitala spotkałem znajomego. Poprosiłem go, by mnie skreślił z listy rannych. Do tego była potrzebna zgoda pułkownika Glorieux, który jako gorliwy wojskowy zwrócił mi uwagę, że po skreśleniu nie dostanę galonu za ranę. Chodziło o to, że według regulaminu przysługiwała mi na mundurze rezerwisty odpowiednia naszywka. Odpowiedziałem, że galon już wrósł mi w skórę na taką głębokość, że nie obawiam się go utracić.

Tak więc nazwisko moje zniknęło z wykazu rannych i ulotniłem się sprzed nosa Niemców. Szczęście nadal mi dopisywało, bo jeden z wujów mieszkał o trzy kilometry od szpitala. Gdy przyjechał mnie odwiedzić, niby niechcący zapomniał zabrać swój rower pozostawiony obok wyjścia, którym wynoszono trupy do kostnicy. Stan mojej nogi nie pozwalał na chodzenie pieszo, ale nie przeszkadzał w jeździe na rowerze, posługiwałem się jednym pedałem. Teren był płaski, jazda nie nastręczała trudności. Całkiem zwyczajnie powróciłem do domu.

Większa część ludności uciekła do Francji, gdzie młodzi Belgowie grupowali się w na wpół wojskowych obozach. Ta młodzież poszła wcześniej, zanim wyruszyli ich rodzice, i przymierała głodem, bez żadnych środków do życia. Niemcy pośpieszyli się z oferowaniem jej pracy, na co ja i moi przyjaciele patrzyliśmy złym okiem. W celu ochrony tej młodzieży przed zaborczością Niemców stworzyliśmy małą organizację pod nazwą *Volontaires du Travail* [1]. Taka nazwa mogła tylko schlebiać uszom władz okupacyjnych, a organizacja zachowała narodowy charakter. Pyta pan o wynagrodzenie? Zniszczone urzędy komunalne dostarczały nam pieniędzy, a my ofiarowywaliśmy im swoje usługi po umiarkowanych cenach. Odbudowywaliśmy wszystko, nawet mosty, pod kierunkiem tych kolegów, którzy służyli w saperach.

Oczywiście od samego początku przeczuwaliśmy, że Niemcy będą wtykali nos w nasze sprawy, jeden z założycieli organizacji przepowiedział, że nie wytrzymamy dłużej niż osiemnaście miesięcy. Był dobrym prorokiem, ale to rexiści, a nie Niemcy, pierwsi nami się zainteresowali.

Niechcący wyrządzili nam przysługę przypuszczając, że potrafią przepoić swoją doktryną naszych młodych, których wróg kie-

[1] Ochotnicy pracy

rował do obozów pracy. Kiedy władze niemieckie położyły łapę na tych obozach — cudem się opróżniły: według oficjalnych wykazów gromadziły około osiemnastu tysięcy chłopców, a naprawdę było ich tylko kilka setek, kiedy przyszło wysyłać do Niemiec. Reszta się ulotniła; w dwa lub trzy dni po rejestracji odchodzili, nikt nie odnotowywał ich nieobecności.

Było nas ośmiu twórców tego zgrupowania. Król o wiele lepiej o nim poinformowany, niż przypuszczaliśmy, zaniepokoił się o los naszej ósemki. Wpadł na pomysł założenia prowizorycznego szpitala w swoim brukselskim pałacu. Pierre Leboeuf objął jego administrację w porozumieniu z Czerwonym Krzyżem i zaangażował nas ośmiu do pracy.

Pierre Leboeuf pochodził z Kongo, był to znakomity organizator i technik, a poza tym zacny chłop. Pod jego kierunkiem przygotowaliśmy ten szpital na wypadek bombardowania Brukseli, do czego na szczęście nie doszło. Jeden po drugim podaliśmy się później do dymisji uważając, że nie jest to zbyt uczciwe figurować jednocześnie w Czerwonym Krzyżu i w Ruchu Oporu, gdyż ta nasza druga działalność mogła skompromitować instytucję, która nas osłaniała. Zacząłem pracować jako jeden z personelu przedsiębiorstwa Solvay: nie był to tylko „parawan", pracowałem tam naprawdę, co dawało tę korzyść, że chroniło przed wywiezieniem do Niemiec.

Moim *alter ego* był przyjaciel dzieciństwa Georges d'Oultremont, który podobnie jak ja odszedł z obozu pracy *Volontaires du Travail*. Obdarzaliśmy się nawzajem zaufaniem, nie mieliśmy przed sobą sekretów. Pewnego ranka o piątej godzinie Georges potrząsnął mną w łóżku, gwałtownie budząc, co mi się nie spodobało, bo chciało mi się bardzo spać. Wygłosiłem zatem kazanie o jego nocnym życiu, bowiem od pewnego czasu całe noce spędzał poza domem — tańcząc — tak mówił. Wykazałem, że moment nie był odpowiedni na takie zabawy. Wtedy zrobił tajemniczą minę. „Słuchaj — powiedział. — Teraz jesteś zmęczony. Pomówimy później. Obudź mnie o ósmej. Koniecznie musisz mnie obudzić o ósmej!"

To mnie zaintrygowało i zrobiłem tak, jak prosił. Teraz role odwróciły się: ja byłem wyspany, a on z trudem rozwierał oczy. Widzę go jeszcze jak stoi — wysoki, chudy, w pasiastej piżamie, słuchając bez drgnienia mojej perory, którą go beształem w najlepsze. Kiedy skończyłem, zapytał: „To już wszystko? A teraz milcz i słuchaj. Czy wiesz skąd wracam? Z Paryża. Odwiozłem tam trzech lotników. Będę potrzebował twojej pomocy i dlatego o tym mówię. Od trzech miesięcy, odkąd razem mieszkamy, tym się zajmuję,

a ty nic nie wiesz. Myślałem od początku że powiem ci dopiero wtedy, kiedy stanie się to niezbędne, nie wcześniej, żeby cię niepotrzebnie nie narażać".

Georges opowiedział, co robi, a ja poszedłem zaofiarować swoje usługi Jeanowi Greindlowi. Wie pan, że go nazywano „Kas". Skąd pochodzi to przezwisko? W Kongo, gdzie Jean Greindl stworzył wspaniałą plantację, lampart nazywa się „kasongo", a kiedy tubylcy czują, że mają do czynienia z godną szacunku osobistością, nazywają ją imieniem płowej bestii. Jean Greindl w zupełności zasłużył na ten zaszczyt.

„Czy mogę panu na coś się przydać?" — zapytałem.

„Tak, jako powiernik" — odparł.

Wyjaśnił mi, że potrzeba mu kogoś, kogo by wtajemniczył we wszystkie sprawy, lecz ten ktoś nie może uprawiać żadnej tajnej działalności, żeby mógł go zastąpić w razie nieprzewidzianego ciosu. Przyszłość wykazała, że miał rację, ale ja zaprotestowałem uważając, że mógłbym pełnić jakąś czynną rolę już teraz. „Nie — powiedział. — W przyszłości, w razie potrzeby, a nie w tej chwili. Ze względu na swoją pracę nie masz dostatecznej swobody ruchów i łatwo odkryto by twą podziemną działalność. Ale jeżeli kiedyś będziesz gotów opuścić zakład pracy, to będzie inna sprawa."

Naturalnie powiedziałem, że jestem zdolny zrobić to natychmiast, lecz Kas wolał, bym pozostał przy swoim zajęciu. Kiedy nadszedł twardy cios, który on przeczuł, Teddy d'Oultremont, brat Georges'a, odwołał się do mojej pomocy w przenoszeniu dokumentów i utrzymywaniu kontaktów z tymi, którzy uniknęli aresztowań. Było to wtedy, kiedy Eric de Menten dał się ująć. Miałem stałą łączność z Teddym, który schronił się w Ardeny. Georges już wyjechał do Anglii.

Moje wyjazdy i powroty nie przeszły nie zauważone, Teddy uznał mnie za „spalonego" i zaproponował, bym wyjechał razem z nim. Miał słuszność: w czterdzieści osiem godzin po moim wyjeździe Niemcy przyszli do domu w Renissart, gdzie mam przyjemność dzisiaj pana gościć. Mieszkałem wtedy w Charleroi, bo tam mnie wysłało przedsiębiorstwo Solvay. Pracowałem jak zwykle w sobotę do południa, potem przyjechałem tutaj do ojca uprzedzić go, że jestem o krok od krat więziennych i że będę usiłował dostać się do Anglii.

Tak więc Niemcy zgłosili się do Renissart na trzeci dzień po moim wyjeździe. Naumyślnie pozostawiłem list spreparowany w tym sensie, że skoro rodzice są przeciwni mojemu małżeństwu

z pewną „Nelly", więcej już o mnie nie usłyszą. Całość napisałem w tonie pełnym szacunku, ale stanowczym, wypowiadając się pozornie z wielką szczerością. Oczywiście że nie znałem żadnej „Nelly", której miłość miała mnie skłonić do zerwania z rodziną.

Zbiry, które przyszły mnie ująć, musiały być nowicjuszami: złapały się na ten wybieg i nie nastawały, przynajmniej do czasu. Później ojciec — który dopomagał lotnikom w kłopotach — poszedł do więzienia wraz z moim bratem w marcu 1944 roku.

Wyjazd mój odbył się całkiem zwyczajnie. Jean-François Nothomb, czyli „Franco" przyjechał po mnie i Teddy'ego do opactwa Orval w Luksemburgu. Stamtąd wyruszyliśmy do Paryża, gdzie przebywaliśmy niedługo, czekając na pociąg do Bayonne. Ciotka Go nas gościła przez dobę w swoim domu w Anglet, potem Florentino przeprowadził do Hiszpanii razem z dwoma lotnikami. Z San Sebastián auto przysłane przez „Timothy'ego" zabrało nas do Madrytu.

Teddy nabił sobie głowę projektem powrotu do Belgii dla reorganizacji Siatki. Jego żona i siostra błagały mnie, bym pokrzyżował te plany, więc stałem się wyrazicielem ich życzenia wobec „Timothy'ego". Teddy podczas ukrywania się w Ardenach poważnie zapadł na zdrowiu, co pociągnęło za sobą konieczność operacji w jakiś czas po jego przyjeździe do Londynu. Anglik był całkowicie tego samego zdania co rodzina Teddy'ego, że ze względu na zdrowie należy go oszczędzać. Wyposażył nas w taki stos dokumentów, że najłatwiej w świecie przekroczyliśmy w taksówce granicę między Hiszpanią a Gibraltarem. Bardzo komfortowo spędziliśmy osiem dni w „Grand Hôtel", ciągle dzięki „Timothy'emu". Od pierwszego dnia pobytu obserwowaliśmy z cypla Roc przejeżdżającą flotę, która wypłynęła na morze i wypełniała cały horyzont. Całymi godzinami płynęły statki! Wtedy wybuchnęliśmy śmiechem, bo nagle zdaliśmy sobie sprawę, że nieświadomie podlegaliśmy dotąd propagandzie niemieckiej: nie mogliśmy sobie wyobrazić, że alianci dysponowali jeszcze taką liczbą okrętów wojennych i handlowych.

W „Grand Hôtel" odnieśliśmy dziwne wrażenie: mieszkali tam brytyjscy wojskowi w mundurach, ale żaden z tych wojskowych nie wyglądał na to, że bierze udział w wojnie, tak wojna wydawała się od nas daleka. Było to tylko złudzenie, gdyż Roc, czyli Skała zaczęła się pokrywać samolotami, których liczba nas oszołomiła. Na pokładzie jednego z nich odlecieliśmy do Anglii, gdzie przyjął nas po wylądowaniu pułkownik Airey Neave mówiąc: „Musicie przejść zwykłą kolej rzeczy, ale jeżeli za bardzo was tam

będą zanudzać, to poproście o wezwanie *MI9*, będę umiał im odpowiedzieć".

Zwykła kolej rzeczy, to była *Patriotic School*, gdzie nas Anglicy maglowali bezskutecznie. Ze względu na to, że Franco nam zakazał mówić, w jaki sposób przedostaliśmy się za granicę, odmówiliśmy odpowiedzi. To pociągnęło za sobą groźbę, że będziemy internowani na wyspie Wight. Oficer podniósł słuchawkę telefonu. Z rozmowy wywnioskowałem, że połączył się z pułkownikiem Neave. Powiedział: „A więc dobrze, będziemy się opierali na dokumentach".

Poprosiłem o zezwolenie na skorzystanie z aparatu, nie poznałem głosu pułkownika i zadałem tylko pytanie: „Czy może nam pan powiedzieć, jakiego koloru miałem kurtkę w chwili lądowania samolotu?"

Coś tam wymamrotał, a ja wtedy powiedziałem: „Mój stary, kiedy się ma do czynienia z ludźmi z Ruchu Oporu, trzeba trochę dokładniej zasięgać informacji o nich".

Potem odwiesiłem słuchawkę i zwróciłem się do indagującego: „Myślę, że to wystarczy".

W dwie godziny później przyjechał Neave: „Spędziliście tutaj trzy dni raczej pro forma, sądzę, że nadszedł odpowiedni moment, żebyście stąd wyszli".

Myślałem tylko o jednym: nałożyć hełm i walczyć w mundurze jako potomek szanującej się rodziny wojskowych. Lecz Anglicy przekonali mnie, że będę bardziej użyteczny, przechodząc szkolenie przed powrotem na okupowane terytorium. Miałem pomagać siatkom ewakuacyjnym, dostarczając im na spadochronie sprzęt, zwłaszcza nadajniki radiowe, cywilną odzież, w którą trzeba było przebierać lotników, także zrzuty żywności były niezbędne dla osób kwaterujących zestrzelonych. Mówiono mi o obsłudze Siatki Kometa za pomocą samolotu i w swojej naiwności wyobraziłem to sobie jako codzienną zwykłą funkcję. Dopiero doświadczenie nauczyło mnie, że lądowanie mogło się odbywać tylko w świetle księżyca i że jest bardzo trudno pilotowi lądować na przypadkowym terenie. Były także zadania wykonywane na statku, te dawały lepsze rezultaty. To wszystko sprawiło, że musiałem pójść śladami Alberta Greindla i Georges'a d'Oultremont. Przeszedłem różne treningi, w pierwszym rzędzie skok ze spadochronem, szczęśliwiej mi to poszło niż Albertowi, który złamał sobie kręgosłup. Były również ćwiczenia w zaokrętowaniu, wysiadaniu na brzeg i wszelkiego rodzaju teoretyczne kursy, niektóre z nich o zagadnieniach bezpieczeństwa znanych nam dotąd tylko od strony prak-

tycznej. Dzięki szkoleniu uporządkowałem wiadomości w głowie i bardzo mi się to przydało w przyszłości.

Wyjechałem do Darmuth razem z Teddym i Georges'em d'Oultremont, aby tam odbyć staż przy załadowywaniu i wyładowywaniu okrętów. Bardzo przyjemnie nas przyjęli oficerowie *Navy* na pokład starego holownika wycofanego z użycia, zakotwiczonego na środku zatoki. Rozmawiali z nami *sabirem* [1] z przewagą gestykulacji, gdyż bardzo słabo mówiliśmy po angielsku. Staż trwał dwanaście dni, na zakończenie oficerowie zaprosili nas na wspaniały obiad, podczas którego stwierdziliśmy, że czterej z nich mówili doskonale po francusku, a ośmiu pozostałych znało nasz język o wiele lepiej niż my angielski. Wyraziliśmy swoje zdziwienie, oni wtedy bardzo uprzejmie odpowiedzieli: „Chyba przyznacie nam rację, że przed odesłaniem was na okupowane tereny musieliśmy się dowiedzieć, z kim mamy do czynienia".

Odegrali wobec nas małą komedię, żebyśmy swobodnie rozmawiali po francusku między sobą, a oni słuchali!

Trochę później w Londynie kazali nam się bawić w kotka i myszkę, każdy z nas był myszą z policjantem na swoim tropie. Wynik okazał się zabawny.

Podziemie nas nauczyło, jak trzeba postępować, aby zgubić kogoś, kto jest zbyt gorliwy w ściganiu, i że dobry sposób wprowadzania na fałszywy ślad polega na wejściu do instytucji, o której wiadomo, że wstęp do niej jest wzbroniony. Trzeba wejść z pewną miną, zadrzeć nos do góry, iść bez pośpiechu, oczywiście być odpowiednio ubranym. Tak zrobiłem wchodząc do szpitala o godzinie, kiedy wizyty są niedozwolone, a nikt nie dziwił się mojej obecności. Na wszelki wypadek miałem pretekst, gdyż jeden z moich kolegów leczył się w tym szpitalu. Przede wszystkim poszedłem go odwiedzić, on wskazał mi służbowe wyjście prowadzące do pralni, tamtędy spokojnie wyszedłem. Glina węszący moje ślady pozostał w dużej poczekalni przy wejściu, czekając cierpliwie na mój powrót, gdyż był przekonany, że nie ma innego wyjścia. W końcu zauważono jego obecność i zażądano wyjaśnień, co tu robi. Ze względu na wykonywane zadanie nie mógł odpowiadać w wystarczający sposób, tym bardziej że on też odbywał ćwiczenia jako kandydat na policjanta. Skutek był taki, że prawdziwi *policemen* wsadzili go do ciupy, a ja przyszedłem o dwie godziny wcześniej na miejsce spotkania. Używając takiego samego systemu Georges d'Oultremont z zimną krwią wszedł do ministerstwa: jak-

[1] *Sabir* — mieszanina języka arabskiego, francuskiego, włoskiego, hiszpańskiego, używana w portach śródziemnomorskich.

żeby lojalni poddani Jej Królewskiej Mości Brytyjskiej mogli przypuszczać, że cudzoziemiec będzie miał tupet tak się zachować?

— Jaki punkt francuskiego wybrzeża był przewidziany na morskie operacje?

— Bretania, ale moje wyszkolenie na nic się nie przydało, bo nie mogłem działać na statku. 20 grudnia 1943 roku odleciałem samolotem pod rozkazami Martina, czyli Edgarda Pottier, majora belgijskiego lotnictwa. Był to człowiek o niesłychanej odwadze, który po odbyciu wielu nalotów na Niemcy poprosił o możność służby w Belgii. Chciał tam przygotować tereny do lądowania dla małych samolotów „Lysander", przewidzianych jako łączność z krajem. Biedny Pottier! Wpadł w ręce Niemców, wsadzono go do więzienia w Reims i bardzo męczono podczas przesłuchań, stosowano torturę wanny. Na skutek zanurzania w lodowatej wodzie złapał zapalenie płuc, co go bardzo osłabiło. Obawiając się, że potrafią go zmusić do mówienia, rzucił się z podestu trzeciego piętra na dół do hallu więzienia. Zmarł w dwie godziny później. Wspaniały chłopak!

Odleciałem więc pod jego komendą i skoczyłem ze spadochronem, tak samo on i mój radiooperator, w okolicy Fismes. Georges d'Oultremont, który odleciał wcześniej do Francji, miał nas przyjąć. Wiedziałem, że tam będzie, ale on nie wiedział o mojej obecności w tym samolocie. Hasło było następujące: Georges miał powiedzieć: „Napoléon", a ja miałem odpowiedzieć: „Marie-Louise".

Akcja była odkładana z nocy na noc z rozmaitych powodów, tak że Georges czekał na próżno od kilku dni, przychodząc co noc na równinę, co spowodowało plotki wśród ludzi z okolic. Poza tym byliśmy spóźnieni co do umówionej godziny i już świtało, kiedy wyskoczyliśmy. Wylądowałem między stertami nawozu rozsypanego po polu, zwinąłem spadochron, przytuliłem się do najbliższego płotu, a tu nagle usłyszałem głos Georges'a, krzyczał ze wszystkich sił: „Napoléon! Napoléon!" Wysunąwszy głowę poznałem jego długą, chudą sylwetkę odcinającą się na tle jasnego nieba, otoczoną zuchami uzbrojonymi w pistolety maszynowe. Zamiast odpowiedzieć „Marie-Louise" jak było przewidziane krzyknąłem: „Bądźże cicho, Georges! Za bardzo cię słychać!"

Georges zaprowadził mnie do wieśniaków nazwiskiem Genet. Spędziłem noc w ich domu, zostawiłem tam część sprzętu, a sam rano ruszyłem dalej, zabierając pieniądze i fałszywe dokumenty, sporządzone dla mnie w Anglii. Trochę je wygniotłem, aby im nadać solidniejszy wygląd, bo były zbyt nowe. Pojechaliśmy do Paryża, Georges znalazł dla nas mieszkanie. Mój radiowiec wyru-

szył w ślad za nami, dla niego także Georges poszukał schronienia.

Moim gospodarzem był oficer, który obawiał się, że ja lub Georges, lub obaj razem zechcemy uwieść jego córkę...

— Czy była chociaż ładna?

— Straszliwie szpetna, co chroniło ją przed próbami tego rodzaju. Sprawy byłyby się ułożyły, gdyby ojciec dziewczyny w końcu nie zrozumiał, że nasza działalność nie była bardzo legalna z punktu widzenia nazistów, a więc zaczął nas prosić w sposób dość rozkazujący, żebyśmy opuścili wynajęty pokój. Stamtąd przeniosłem się do młodej kobiety, należącej do Siatki Kometa, zwano ją „Martine", była dentystką. Georges odjechał, by wypełnić swoje zadanie. Przedtem jeszcze skontaktował mnie z Philippe'em i Virginie d'Albert Lake, którzy wystarali się o mieszkanie dla mnie w swojej kamienicy.

Przed odjazdem Georges zapoznał mnie z Lydie du Chayla.

Moje zadanie polegało na pomaganiu Edgardowi Pottier i nawiązaniu łączności z Kometą. Georges i ja mieliśmy się spotkać z Franco, kiedy dowiedzieliśmy się o aresztowaniu jego i Jérôme'a. Niedługo potem przyszła kolej na Pottiera. Jego radiooperator, Kanadyjczyk Lafleur, potrafił uciec wyskakując przez okno po zabiciu dwóch gestapowców.

— A pana radiotelegrafista?

— Biedny chłopak! Sprzęt pozostawiony w Fismes został skonfiskowany po aresztowaniu Pottiera, a więc w ogóle nie mógł pracować. Załamał się zupełnie, nie będę dłużej się nad nim rozwodził.

Jeżeli chodzi o mnie, to sytuacja nie była bynajmniej wspaniała: Pottier aresztowany, mój radiowiec bezużyteczny, Lafleur ukrywający się na łonie natury i pozbawiony sprzętu... Nie pozostawało nic innego, jak nawiązać nowe kontakty i angażować personel. Pierwsza więź, która się liczyła — jedyna nie przerwana — to z Ciotką Go. Dotarłem do niej dzięki Michou. Obok Ciotki Go tylko ta dziewczyna przetrwała z całej Komety.

Szukałem także terenów do lądowania, co mnie zaprowadziło w okolice Issoudun, gdzie za pośrednictwem Lydie Chayla zapoznałem się z chłopcem dość niepozornym, szczupłym i wątłym, pałającym uwielbieniem dla własnego brata, znakomitego oficera, który uciekł z Niemiec i dostał się do Algierii, żeby tam dalej walczyć. W tym regionie Issoudun każdy właściciel zamku wydawał się bardzo neutralny. Nie mówię „marszalista", gdyż wśród wiernych marszałkowi Pétain spotkałem autentycznych członków Ruchu Oporu.

Jean-Louis des Forêts — tak się nazywał ten chłopiec z tzw. wyższych sfer — bez najmniejszego wahania oznajmił, że należy do szeregów *La France Libre*.

Ujawniane przez niego uczucia źle były widziane przez innych arystokratów, ale on pokładał zaufanie w okolicznej ludności. Dzięki niemu znalazłem tereny odpowiednie dla potajemnych lądowań, doskonałe miejsce dla spadochroniarzy. Po powrocie do Paryża 28 lutego 1944 roku zastałem tam Michou, która mnie zawiadomiła, że poprzez Hiszpanię otrzymałem rozkaz powrotu do Anglii. Miałem wykonać zadanie poprzednio wyznaczone dla Martina. Podjąłem się na własną rękę ewakuowania radiowca Lafleur, który był bardzo zagrożony, a ponadto stanowił niebezpieczeństwo dla innych, oraz mojego radiotelegrafisty, niewątpliwie dobrego chłopca, ale orientowałem się, że nie będę miał z niego korzyści. 9 marca byłem z powrotem w Londynie.

— Nie pędźmy tak szybko! Jeżeli nawet przylecieli po pana samolotem, to podróż nie była taka prosta...

— Po trudnych przeprawach pozostawiłem Michou w Madrycie i wyjechałem do Gibraltaru wraz z dwoma radiowcami i Francuzem. Dopiero wtedy, kiedy się znalazłem pod ochroną Roc, ujawniłem, że jestem Belgiem, co Francuza trochę zaskoczyło i zbiło z tropu, gdyż od początku uważał mnie za rodaka i podawał mnóstwo szczegółów, których nie powinienem był słyszeć. Moje ujawnienie się miało na celu dać młodemu chłopakowi do zrozumienia, że za dużo mówił.

Wyposażono mnie w dokument *A one priority* [1], co sprawiło, że wysadzono z samolotu jakiegoś pułkownika, a mnie umieszczono na jego fotelu, i wyjechałem do Londynu po spędzeniu tylko jednej nocy w Gibraltarze. Akurat był *fog* [2] nad Londynem, więc musieliśmy zboczyć do Bristolu, gdzie wylądowaliśmy o godzinie czwartej rano. Źle mnie przyjął jakiś świszczypała, więc mu powiedziałem: „Proszę mnie gdziekolwiek umieścić, żebym się przespał. Nie mogę panu ujawnić kim jestem. Proszę zatelefonować pod ten oto numer zgłaszając, że John Rutland jest tutaj, wtedy zrobi pan to, co każą".

— Moje słowa nie miały szczęścia spodobać się podrzędnemu oficerzynie i zaczął rozróbę, której hałas sprowadził majora. Powtórzyłem tę samą śpiewkę. On podobnie jak jego podwładny nie docenił moich słów i przeszedł do gróźb. Żeby z tym skończyć, powiedziałem: „Sprawa jest bardzo prosta. Jeden z nas będzie miał

---

[1] *A one priority* (ang.) — zapewniający pierwszeństwo

[2] *fog* (ang.) — mgła

przykrości, ale to nie ja. Proszę zatelefonować pod numer, który podałem, i to bezzwłocznie. Ja już do was nie odezwę się ani jednym słowem".

— Jeżeli uciekłem się do takiego tonu, to tylko dlatego, że major mówił zbyt głośno. Wreszcie zdobył się na zatelefonowanie i natychmiast wszystko było w porządku. Major poinformował mnie jak najuprzejmiej, że mgła nie pozwala na przysłanie po mnie samolotu, więc będę musiał zadowolić się kuszetką w pociągu. Wsiadłem więc wieczorem do pociągu, przyjechałem do Londynu i złożyłem raport z tego, co się zdarzyło podczas mojego pobytu we Francji. Potem zacząłem swoją istotną pracę, to znaczy Akcję Maraton. Ale to już inna historia.

„BROCHET" [1]

— Przedstawiam się: Jean-Marie Moortgat, pięćdziesiąt trzy lata, żonaty, jedno dziecko.

W 1939 roku pełniłem funkcję oficera w mundurze policji komunalnej w dzielnicy Saint-Gilles w Brukseli. Zostałem zmobilizowany na początku *drôle de guerre* [2], potem podobnie jak i innych kolegów odesłano mnie do służby porządkowej.

Po klęsce moje pierwsze kontakty z Niemcami miały charakter zawodowy. Żandarmi niemieccy, zawodowi policjanci w cywilu, kierujący ruchem i przeprowadzający różne kontrole kazali sobie towarzyszyć jednemu belgijskiemu policjantowi. Ze względu na to, że dobrze sobie radziłem z niemieckim językiem wyznaczono mnie jako asystę tamtych funkcjonariuszy. Muszę zaznaczyć, że stosunki między nami były doskonałe, gdyż żandarmi nie mieli nic wspólnego z gestapem: wymagający w sprawach służbowych, poza tym potrafili być ludzcy.

— Jeżeli wychodzi pan z takiego założenia — to kiedy zaczął się rozdźwięk, kiedy zaczął pan stawiać opór wrogom, do których należeli żandarmi?

— Od września 1940.

— Tak rychło? Czy to nie było w sprzeczności z pana funkcjami?

---

[1] „Brochet" (fr.) — „Szczupak"

[2] *drôle de guerre* (fr.) — „śmieszna wojna"; trwająca osiemnaście dni obrona Belgii przed Hitlerem, zakończona klęską i okupacją

— Ani trochę. Byłem w służbie pod komendą Niemców, co mi pozwalało ochraniać rodaków. Bez przeszkód mogłem pracować dla kraju. Ktoś przyszedł mi powiedzieć, że w kamieniołomach Namur znalazł TNT czyli trynitrotoluen czy tolit, to znaczy materiały wybuchowe z lontami i zapalnikami. Wiedziałem, że tego towaru nie wolno utracić, i pojechałem tam z walizami. Dla pewności, żeby mi nikt nie przeszkodził, paradowałem w mundurze, dzięki czemu przy wyjściu z dworca żandarmi niemieccy z respektem mi salutowali. Ukryłem swój ładunek w szkole, pod deskami na strychu u pani Bouillon, której mąż przebywał w Niemczech jako jeniec wojenny. Ta pani była wspaniałą patriotką, ale nie wtajemniczałem jej w szczegóły. Nie chciałem straszyć, że może wylecieć w powietrze.

— Czy ten ładunek na coś się przydał?

— Tak, a mianowicie na wymianę. W jakiś czas później członek *Armée Secrète,* który potem został rozstrzelany czy zmarł w obozie koncentracyjnym — zdaje mi się, że się nazywał Meeuwys — przyszedł do mnie chwaląc się, że w czasie klęski pozbierał rewolwery porzucone przez Belgów i Francuzów. Nie chciał, by wpadły w ręce Niemców. Miał rewolwery GP, te słynne GP produkcji Herstal, była to broń szczególnie poszukiwana.

— Kaliber dziewięć milimetrów, wielostrzałowy, seryjny — wyrecytowała Michou swym łagodnym głosem.

— Zgadza się. A więc ten Meeuwys miał ich większą ilość, a szukał środków wybuchowych dla kogoś trzeciego, nazwiska wolał nie wymieniać. Przystąpiliśmy do transakcji: Meeuwys przyszedł do szkoły po walizy, a ja otrzymałem GP i dwa parabella niemieckie co było dla mnie bardzo korzystną zamianą. Schowałem to wszystko pod deskami na strychu, tym razem z wiedzą i z aprobatą pani Bouillon, która potem stała się znakomitą agentką. Ją także w końcu aresztowano.

De Fonseca, oficer policji, którego byłem pomocnikiem, zdawał sobie widocznie sprawę, że mam predyspozycje na dobrego patriotę, gdyż pewnego dnia zadał mi pytanie: „Powiedz, czy chciałbyś coś zdziałać dla Ruchu Oporu?"

Był to człowiek prawy, lojalny, prostolinijny, taki jak należy, nigdy nie słyszałem o nim nic podejrzanego. Więc odpowiedziałem: „Zgoda. Ale na czym polega ten opór?" — Jak pan wie, w tamtych czasach słowo to nie było jeszcze popularne.

Wyjaśnił mi, że chodzi o działanie na niekorzyść Niemców. W obecnej chwili nie można jeszcze przejść do bezpośredniej akcji, ale tworzą się grupy, zaopatrują w broń i środki wybuchowe, chodzi też o tropienie zdrajców i tak dalej. „To mi odpowiada. Broń już mam" — powiedziałem.

Ta rozmowa odbyła się przy końcu 1941 roku. Zostałem mianowany sekretarzem de Fonseca w obrębie organizacji i zajmowałem się wszystkim, czym było trzeba. Nasza komórka nosiła nazwę *MNB* [1] i była całkowicie apolityczna. W 1942 roku mianowano mnie generalnym sekretarzem, a de Fonseca został naczelnikiem w miejsce aresztowanego pułkownika Camille'a Joset, zwanego „le Vieux" [2].

— Miałem zaszczyt poznać pułkownika Joset po wyzwoleniu. Poruszał się na wózku inwalidzkim...

— Tak. Kalectwo było skutkiem wywiezienia do Niemiec. A więc de Fonseca został pułkownikiem, był to najwyższy stopień w belgijskim Ruchu Oporu, a kiedy operowano go po pęknięciu wrzodu w 1943 roku, ja objąłem po nim funkcję szefa.

Moim konikiem był wywiad. W *MNB* był on tylko małą komórką służby wywiadowczej, zbierał drobne informacje. Powiedziałem sobie, że to musi się zmienić i nawiązałem kontakt z Erwé Close, specjalistą od emisji i transmisji informacji w *Service Mill*. *Service Mill* była bardzo ważną siatką, rozciągającą się szczególnie na wszelki ruch rzeczny. Zresztą poznałem nazwisko Erwé Close'a znacznie później, gdyż w owych czasach czym mniej się wiedziało, tym było lepiej. Dla mnie był on *M-23*, co oznaczało, że był agentem numer 23 *Service Mill*, a ja dla niego byłem N-1, naczelnik siatki wywiadu *MNB*.

— Nie mieliście innych pseudonimów, ani on, ani pan?

— Żadnych.

— Niech pan pozwoli sobie powiedzieć, że ta metoda nie wydaje mi się dobra. Jeżeli pan musiał mówić o swoim koledze posługując się jego numerem rejestracyjnym, mogło to zwrócić uwagę kogoś niedyskretnego. Jakiekolwiek imię czy przybrane nazwisko przeszłoby nie dostrzeżone.

— Całkiem z panem się zgadzam, ale tak właśnie było wśród nas nowicjuszy. Dla *M-23* byłem cennym nabytkiem, gdyż dysponowałem grupami w całym kraju, grupami przewidzianymi do akcji, które na razie mogły doskonale pracować dla wywiadu. Przygotowałem agentów szczególnie do kontroli ruchu na rzekach i zacząłem otrzymywać notatki dotyczące przejeżdżających galarów, ich tonażu i załadunku. Miałem sporo kontaktów przy śluzach w Beez, w Grands-Malades, w Visé, tak że nic nie mogło ujść mojej uwadze, miałem wszystkie informacje. Przepisywałem je na czysto i podawałem *M-23*, który przesyłał je na filmie do Londynu.

---

[1] *Mouvement National Belge* (fr.) — Narodowy Ruch Belgijski

[2] „Le Vieux" (fr.) — „Stary"

Począwszy od czerwca 1943 roku, nasi agenci zaczęli mnie się pytać, co mają robić z lotnikami zbieranymi po całym kraju. Powiedziałem do de Fonseca: „Tych lotników nie można zostawić na wieczność u zacnych ludzi, którzy ich u siebie trzymają ponosząc wielkie ryzyko. Tak być nie powinno".

Dochodziły do mnie pogłoski o jakiejś linii ewakuacyjnej działającej w Belgii, ale nie miałem sposobu nawiązania z nią łączności. Poszedłem więc do *M-23*:

„Słuchaj, czy nie mógłbyś tej sprawy załatwić z Londynem?"

„Skontaktuję cię z agentem, który zajmuje się tą linią — odpowiedział. — Pójdziesz pod numer 160 przy ulicy Marie-Christine, do panny Camusel, powiesz hasło i poprosisz o rozmowę z Micheline. Tak zrobiłem, zadzwoniłem do drzwi panny Camusel, otworzyła Micheline, inaczej Michou, tu obecna. Podałem hasło, a ona na to: „Nie rozumiem. Nie wiem o czym pan mówi".

Zrozumiałem, że to śliski teren, i nie nastawałem. Uważała mnie za podejrzanego. A więc wycofałem się, jak mogłem najzręczniej. Spotkałem się ponownie z *M-23* i zapytałem: „Co to za heca?"

„Mój stary, przepraszam cię, zapomniałem ci powiedzieć, że oprócz podania hasła trzeba było pokazać pół kartki pocztowej. Oto ona. Możesz wracać."

Poszedłem jeszcze raz, wszystko poszło dobrze i dla Siatki Kometa stałem się „Brochet".

Miałem wtedy na karku pułkownika amerykańskiego lotnictwa nazwiskiem Clifford Cole, był to inżynier biorący udział w lotach jako obserwator sprawdzający funkcjonowanie najnowszych urządzeń. Samolot, którym leciał, zabłąkał się nad Limburgiem i uległ zestrzeleniu. Tego Amerykanina ze stanu Illinois, przystojnego mężczyznę, pierwszego skierowałem do Siatki, sam go zaprowadziłem na ulicę Marie-Christine. Chociaż był pułkownikiem, miał zaledwie czterdzieści lat. Trzeba było rozpatrzyć inny aspekt tego problemu — pomoc materialną dla Belgów goszczących u siebie lotników. Dostawałem z Londynu pieniądze na dwa cele: na pracę wywiadowczą i utrzymanie ludzi ukrywających się przed wywiezieniem do Niemiec. Nie mogłem dowolnie dysponować funduszem. Michou jednak załatwiła tę sprawę, wobec czego rozesłałem służbowy rozkaz po wszystkich prowincjach, żeby zatrzymano lotników do naszej dyspozycji do czasu, aż ktoś po nich się zgłosi, wypowiadając hasło. Agent, którego wysłałem w tym celu, nazywał się Hardenne. Dla nas był to „Jules". Zmarł pięć czy sześć lat temu. Pochodził z komórki policyjnej, którą założyliśmy w Saint-Gilles, słynnej komórki. Cały swój czas wypełniał szukaniem lotników po wszystkich zakątkach kraju.

Funkcja sprawowana w komunalnej administracji zrobiła ze mnie fałszerza dla dobra Ruchu Oporu. Dostarczałem dowodów osobistych i legitymacji dzięki agentom, których miałem wszędzie rozsianych po trochu. Najpierw kazałem sobie przesłać zdjęcie lotnika w dwóch egzemplarzach, z wszystkimi niezbędnymi danymi, i fabrykowałem fałszywe dokumenty, które zabierał ze sobą Hardenne, by je przekazać lotnikom.

Przy końcu 1943 roku mój dzielny „Jules" pojechał do belgijskiego Luksemburga, w okolice Marche-en-Famenne, po niejakiego Raymonda de Pape, Kanadyjczyka pochodzenia flamandzkiego, który umiał jeszcze mówić po flamandzku. Jules podał mu dokumenty, a tamten zapytał:

„Czy jesteś pewny, że są dobre?"

„Nic się nie bój, stary, z takimi papierami wszędzie możesz się przedostać."

Na dworcu, przy przesiadce, kontrola żandarmerii niemieckiej. De Pape pokazuje dokumenty bez najmniejszego drgnienia. Niemiec patrzy na niego: „*Gut*".

Kiedy przyszła kolej na Jules'a, który miał swoje prawdziwe dowody, może mi pan nie uwierzy, ale zahaczyli go i odesłali do biura kontroli na dworcu. „Co to jest? Dowód wyblakły i to nie jest pan na zdjęciu!"

Zacny Jules przed wojną ważył dziewięćdziesiąt pięć kilo, a potem, z powodu ograniczenia przydziałów żywności... Ale Niemcy o tym nie chcieli słyszeć. Po godzinie zaczął się złościć. Martwił się o Raymonda pozostawionego na peronie: „Zatelefonujcie do Saint-Gilles!"

Na szczęście dla niego zrobili tak i sprawa była załatwiona. Kiedy wreszcie spotkał się z lotnikiem, ten mu powiedział po flamandzku: „Następnym razem postaraj się o takie papiery, jak moje, to nie będziesz miał kłopotów!"

Mieliśmy pewność, że tajne agencje niemieckie zrzucały z samolotów swoich ludzi w angielskich czy amerykańskich mundurach, żeby uchodzili za alianckich zestrzelonych lotników i mogli wkręcić się do siatek ewakuacyjnych. Ułatwiał to fakt, że lotnicy spadali nieraz dość daleko jeden od drugiego i rozchodzili się w różne strony. Przypominam sobie załogę spotkaną w Limburgu: brakowało dwóch osób, w końcu odnalazły się w Antwerpii. Trzeba było zachowywać wielką ostrożność, żeby nie wpaść w potrzask prowokatorów, dlatego przede wszystkim żądaliśmy od lotnika, żeby podał nazwiska wszystkich swoich kolegów, co pozwalało na szukanie ich w różnych miejscowościach.

17 stycznia 1944 roku dałem się złapać. Bynajmniej nie z po-

wodu Komety. Przyczyną był Belg, agent abwehry, należący do niemieckiej siatki szpiegowskiej od 1939 roku, który wślizgnął się do naszej organizacji. Ten człowiek wzbudzał zaufanie, wprowadzili go bardzo porządni ludzie, znał różne osobistości, w tamtych czasach trudno było zbierać dane personalne. A więc przyjęliśmy go do podziemia, a kiedy dostatecznie poznał akcję, zadenuncjował nas. Aresztowano mnie wprost na ulicy. Niewiele na tym skorzystał. Los się zemścił: zginął na ulicy 3 września 1944 roku podczas walk o wyzwolenie Brukseli.

Nie mieszkałem w swoim domu, ale od czasu do czasu zachodziłem tam na chwilę odwiedzić żonę i małego synka. To była oczywiście nieroztropność z mojej strony, ale wie pan, jak to jest... W każdym razie później dowiedziałem się, że ów zdrajca znał miejsce zamieszkania mojej rodziny.

Przez całą poprzednią noc pracowałem nad wykazem dotyczącym ruchu galarów przewożących piasek i cement na Wał Atlantycki. Poszedłem więc zanieść te informacje do „skrzynki listowej" u Pięknej Blondyny, jak zwano panią prowadzącą sklep papierniczy na rogu ulicy de Lycée i chaussée de Waterloo. Na rue de Lausanne, tuż obok domu, gdzie mieszkałem, otoczyło mnie sześciu czy siedmiu cywilów z *Geheime Feldpolizei*. Nie mogłem się opierać, było ich zbyt wielu. Zaprowadzili mię prosto do koszar de la Drève Sainte-Anne, tajnego więzienia, którym się posługiwali, odkąd zorientowali się, że więźniowie w Saint-Gilles porozumiewają się między sobą: nic dziwnego, przecież strażnikami byli tam Belgowie, nie mówiąc już o rurach centralnego ogrzewania i całej reszcie. Natomiast w tych koszarach było to niemożliwe, podobnie jak w koszarach Etterbeek, które pełniły tę samą rolę do czasu bombardowania, w którym zginął Jean Greindl. Przebywałem więc tam w całkowitym odosobnieniu, razem z siedmioma czy ośmioma szefami siatek wywiadowczych, wśród nich był „Rouleau" czyli adwokat Mathieu De Jonge, który po Williamie Ugeux stanął na czele *Service Zéro*. Kilku z nich znałem, gdyż na krótko przed moim aresztowaniem mieliśmy — jak to się dzisiaj mówi — naradę na szczycie. De Fonseca aresztowany tego samego dnia co ja, także był w tym samym więzieniu.

Dałem się złapać około godziny trzynastej. Przez cztery godziny odbywało się pierwsze przesłuchanie. Brutalne, lecz nie wyrafinowane, to znaczy bez tortur. Razy wymierzali czymś w rodzaju szpicruty, co nazywali *gummi*. Byłem bity, lecz nie torturowany. Dwa razy zemdlałem. Przywrócili mnie do przytomności i poczęstowali papierosem. Nie podobało się im, że nie palę. Wtedy znowu zaczęli mnie okładać. De Fonseca pierwszego dnia przeszedł przez wannę.

Ja dopiero w trzy dni później. Kiedy już byłem bliski utraty przytomności, wyciągali mnie z wody, wycierali, sadowili przy piecu, żebym obsechł, dawali kieliszek koniaku i zadawali pytania. Kiedy nie odpowiadałem, wkładali znowu do lodowatej wody. Było to trudne do zniesienia. Gorsze od bicia.

Podczas mojej pierwszej nocy w więzieniu zjawili się dwaj osobnicy z Berlina, obaj z abwehry. Jednym z nich był Weiss. Interesował się moim kodem. Obmyśliłem go w bardzo prosty sposób, kod funkcjonował dzięki szyfrowi, z którego trzeba usunąć pewne litery. Od agentów chciałem dzięki niemu uzyskać techniczne informacje dotyczące czołgów niemieckich, co pozwoliłoby określić ich typ. Jeżeli chodzi o samoloty, mieli podać cyfry i litery występujące przed swastyką i po niej. To wszystko interesowało wspomnianego Weissa, który poza tym zachowywał się całkiem przyzwoicie. Ci z abwehry nie bili.

Po aresztowaniu nękały mnie wrzody czy raczej krosty. Niemcy myśleli, że mam chorobę weneryczną. Skutek był taki, że dali spokój przez dwa dni. Podawali mi jedzenie za pomocą kija, którym przesuwali po podłodze kromkę chleba i kawę, a raczej to, co nazywali kawą. Bali się mnie dotykać i zmuszali do przebywania w głębi celi.

Pozostałem w niej do 2 sierpnia 1944 roku. Między żandarmami z *Feldpolizei* był Belg z kantonów Eupen i Malmédy, zaanektowanych przez Niemców, prowadził on kontrolę tajnych więzień w Belgii. Przychodził zarówno w dzień, jak i w nocy. Pewnego razu. kiedy przyszedł do celi, powiedziałem: „W tej bibliotece — mogła mieć trzydzieści książek, nie więcej — nie wszystko mnie interesuje. Czy mógłbym dostać od czasu do czasu gazety?"

Ten frant pewnie czuł, że wiatr się zmienia, gdyż odpowiedział: „Jutro panu przyniosę, będzie pan miał niespodziankę".

Nazajutrz był 8 czerwca i dzięki gazecie dowiedziałem się, że alianci wylądowali w Normandii. Tak więc ten przeklęty Belg przewidywał klęskę Niemiec i starał się pozyskać sobie przyjaciół. To mu się udało, potem wybielił się przed trybunałem po wyzwoleniu.

2 sierpnia przeniesiono mnie do Saint-Gilles. Znalazłem się w celi wśród siedmiu lub ośmiu więźniów, między nimi był rozprawacz kas ogniotrwałych, który okazał się niezawodnym przyjacielem. Co mu nie przeszkodziło zacząć na nowo uprawiania fachu już w grudniu 1944, po wyzwoleniu. Ukłułem go pytaniem: „Jak to? Jeszcze się nie oduczyłeś?"

Dostał trzy lata więzienia, a potem stałem się jego bożyszczem. Przynosił mi regularnie jabłka ze swojego ogrodu, nie mogłem odmówić ich przyjęcia, gdyż czułby się urażony. Nic mu już nie moż-

na było zarzucić. Trochę nieokrzesany, ale poczciwy. W mojej celi siedział także pewien sutener, którego aresztowano za uchylanie się od obowiązkowej pracy. Robił to nie tyle dlatego, że nie chciał jechać do Niemiec, ile z powodu swojego leniwego usposobienia.

W ostatnich dniach sierpnia, wystraszeni przez małe grupy partyzantów, którzy do nich strzelali z niedalekiego Braine-le-Château, Niemcy oczyścili niektóre wioski. Zobaczyłem siedemnastolatka, którego zabrano razem z dojrzałymi mężczyznami i przywieziono do Saint-Gilles. Ten biedny chłopak nawet nie wiedział, za co tu się znalazł, załadowano go do przedostatniego transportu do Niemiec i tam zginął.

My wyruszyliśmy ostatnim. Niemcy wręczyli klucze naczelnikowi więzienia ze słowami: „Nic nie znaczących, pospolitych przestępców może pan zwolnić".

I dzięki temu sutener mógł powrócić do swoich zajęć. Widziałem go później niejeden raz wykonującego swój zawód, ale już nie wtrącałem się, nie moja to sprawa. Prawdopodobnie będzie kontynuował aż do emerytury!

Nas załadowano do aut i pod strażą SS zawieziono na dworzec. Tam wtłoczono do bydlęcych wagonów, po stu do stu dziesięciu w jednym. Nasz pociąg nazwano potem „pociąg-widmo". Na początku próbował przejechać przez Louvain. Na torach widoczne były skutki sabotażu, musiał więc powrócić do Brukseli. Potem obrali kierunek na Vught w Holandii. Tam był tranzytowy obóz dla deportowanych, gdzie wiele osób poddano egzekucji. Ale nie było sposobu przedostać się, więc Niemcy jeszcze raz pociąg wycofali. Wyruszyliśmy w kierunku na Malines i znowu nie dojechaliśmy dalej niż do małej stacyjki Muizen, tuż przed Malines, gdzie tory były zerwane. Wszystko to trwało bez przerwy dzień i noc, odjazdy, powroty, postój, ponowny odjazd. Przed drogą każdy z nas otrzymał paczkę z Czerwonego Krzyża, zawierającą kilogram fig. Rzuciliśmy się na nie zgłodniali, ale po tych owocach bardzo nam się chciało pić i były jeszcze gorsze skutki. W wagonie zrobiło się obrzydliwie, ludzie umierali, dostawali ataków bólu, tarzali się w nieczystościach.

Znowu powróciliśmy do Brukseli, na mały dworzec de la Petite-Ile, na tor okrężny, który wtedy jeszcze istniał, potem połączono Dworzec Południowy z Północnym. Na tym dworcu stał pociąg z rannymi Niemcami, który nadjechał z frontu, był już bez parowozu, bez maszynisty, bez palacza: Niemcy nie mogli nic uzyskać od kolejarzy.

Wtedy ktoś interweniował. Nie wiem, kto to był. Powiedział do esesmanów: „Zostawcie tutaj ten pociąg z więźniami, odczepcie lokomotywę, przyłączcie do pociągu z rannymi, a my wam obiecu-

jemy dostarczyć maszynistę i palacza, którzy ich dowiozą do Niemiec".

Esesman zgodził się i nagle otwarto wagony. Niemcy wołali: „W porządku, jesteście wolni".

A sami odjechali z rannymi.

Szczyt wszystkiego, że o mało mnie nie zabili na sąsiedniej ulicy. Każdy z nas uwolnionych miał na plecach koc i zawiniątko. W tym czasie rozpoczęły się rabunki i żandarmi niemieccy strzelali do złodziei wychodzących z fabryki przy ulicy Bara. Wyprawiano tam skórki królicze do mundurów żołnierzy mających wyruszyć na front wschodni. Nadeszła nasza grupa składająca się z czterech czy pięciu osób, a żandarmi zaczęli do nas strzelać. Krzyczeliśmy: *„Halt! Halt! Wir — entlassen!"* [1]

Naturalnie, że nie przyznaliśmy się kim jesteśmy. Opowiadaliśmy, że jesteśmy *Kriegsgefangenen* [2], pokazując tłumoczki. Pozwolili nam przejść. Był to 3 września, dzień wyzwolenia Brukseli. Ci żandarmi wykonywali swoją funkcję dosłownie do ostatniej minuty.

Wsiedliśmy do tramwaju. Proszę sobie wyobrazić, że konduktor chciał nas wysadzić, bo nie mieliśmy czym zapłacić za bilet. Gdybyśmy go nie zasłonili, pasażerowie zlinczowaliby tego formalistę. Przeszedłem pod dom i spostrzegłem sąsiada na drugim piętrze w oknie. Zagwizdałem, popatrzył na mnie.

Nie wiedziałem, co się dzieje w domu. Moja żona była „skrzynką listową" przy okazji swojej pracy u doktora Blois, który leczył kilku naszych lotników, gabinet lekarski usprawiedliwiał przychodzenie i odchodzenie. Okazało się, że żona spędziła trzy miesiące w Saint-Gilles.

A więc pytam sąsiada: „Jakie nowiny?"

Pobladł i zniknął. Zbiegł po schodach uprzedzić moją żonę. Ale muszę panu powiedzieć, że pierwszy powitał mnie ogromny kot angorski, wołałem na niego Bouboule. Przybiegł pędem, wdrapał mi się na szyję i zaczął lizać.

WSPOMNIENIA SAPERA

— Jako technik budowlany w 1939 roku zaciągnąłem się do saperów i pracowałem przy fortyfikacjach przeciwczołgowych linii zwanej „KW", w rejonie Malines-sur-Meuse w Bilsen, w belgijskim

[1] *Halt! Halt!...* (niem.) — Wstrzymać się! My — zwolnieni!

[2] *Kriegsgefangenen* (niem.) — jeńcy wojenni.

Limburgu, tuż przy holenderskiej granicy. Podczas osiemnastodniowej kampanii dostałem się do niewoli, uciekłem z niej w Alost, leżącym we wschodniej Flandrii. Po powrocie do domu odwiedziłem komisarza policji w swojej dzielnicy w Brukseli i poprosiłem, by nie ujawniał Niemcom, że byłem zmobilizowany. Liczyłem na to, że zostawią mnie w spokoju. Byłem młodym żonkosiem, miałem małego synka. — Antoine Malfaire mówi cichym, równym głosem spokojnego człowieka, którego wygląd nie powinien był budzić podejrzeń okupantów. — Razem z tym właśnie komisarzem zacząłem zbierać broń i fałszować dowody osobiste w 1940 roku. We wrześniu nawiązałem kontakt z majorem Delmelle, później pracowałem dla *Service Marc* i *Service Beaver*. Przy końcu 1941 roku inspektor policji Clément, z trzeciego obwodu, przyszedł do mnie po radę: „Powiedz, co mam robić, mam u siebie pięciu Żydów z Polski, nie wiem, dokąd ich odesłać".

Zająłem się tą sprawą i zabrał ich pan Pottiez, handlujący kwiatami w Brukseli. Wśród tych pięciu był jeden pilot i jeden strzelec pokładowy.

W marcu 1943 roku francuski kapitan-lotnik, poszukiwany przez paryskie gestapo, przyjechał do Ixelles, by się ukryć u swego teścia Van de Casteel. Zapoznał mnie z nim architekt Georges Maillé. Zaprowadziłem go do zastępcy komisarza policji nazwiskiem Van Beneden, który był zarazem oficerem Siatki Kastor i Polluks, utrzymywanej przez *Service Zéro*; z wywiadem tym pozostawałem w kontakcie, jak również z *OCM* [1]. Znałem także Natalisa Dumez, jednego z założycieli gazety „La Voix du Nord" [2] nie mówiąc już o pani Brel, której mąż zmarł w obozie w Niemczech, a ona sama została wywieziona do Ravensbrück, a potem do Mauthausen za przewożenie do Francji zestrzelonych angielskich lotników, znałem też pana Dechaumont z *Résistance-Fer* [3]. Jak pan widzi, miałem rozległe znajomości. 21 kwietnia 1942 roku aresztowało mnie gestapo pod zarzutem rozprowadzania podziemnej prasy i komunistycznej propagandy, równocześnie z Prosperem Boelaert i Cardinaelsem. Ponieważ figurowałem na listach wyborczych chrześcijańskiej demokracji, gestapowcy bili Boelaerta i Cardinaelsa, by mnie zadenuncjowali, ale oni mnie nie zdradzili i uwolniono mnie w czerwcu tego samego roku. Tak więc ten francuski kapitan-lotnik schronił się do pana Van de Casteel i miał zamiar zaanga-

[1] *Organisation Civile et Militaire* — francuski Ruch Oporu w Belgii (przyp. autora).

[2] „La Voix du Nord" — „Głos Północy"

[3] *Résistance-Fer* — Ruch Oporu Kolejarzy

żować się do *Royal Air Force*. Inspektor Clément dał mi dla niego legitymację partii rexistowskiej, ja sfabrykowałem niezbędne dokumenty i wysłaliśmy go w drogę. Potem dowiedziałem się , że dojechał do Anglii, został pilotem *R.A.F.* i zginął podczas walki powietrznej.

Dopiero w 1944 roku wszedłem w kontakt z Kometą. Posłano mnie do Charleroi, żebym zasięgnął informacji o trzech lotnikach, którzy podawali się za Amerykanów. Znalazłem ich u pewnej pani. Mogła być dziesiąta godzina rano, dopiero wszedłem, kiedy nagle rozpoczęło się potężne bombardowanie wielkich zakładów przemysłu chemicznego. Moi trzej Amerykanie szaleli: *„Bombing! Bombing!"* i chcieli biec na ulicę do schronu. Stanąłem przed drzwiami, zatarasowałem im drogę. Wiedziałem, że Niemcy podszywali się pod amerykańskich lotników po to, aby denuncjonować, i że ich zwyczajem było wychodzić z domu po gestapo. Zamiast do schronu zeszliśmy do piwnicy i lotnicy uspokoili się. Kiedy bombardowanie się skończyło, zasięgnąłem o nich informacji i powróciłem do Brukseli. Znacznie później dowiedziałem się, że nie było możliwości ewakuowania tych Amerykanów, pozostali u owej pani aż do wyzwolenia Charleroi.

Wszedłem w kontakt z belgijskim oficerem, który wylądował na spadochronie w celu zreorganizowania przerzutów. Nazywał się Jacques Allaert. Pewnego dnia powiedział: „Znam jedną młodą dziewczynę, czy nie można by jej przyjąć do grupy?"

Odpowiedziałem: „Zawsze nam ich potrzeba, ale czy już gdzieś pracowała?" Allaert twierdził, że tak i zapoznał mnie z nią w biurze naszej tajnej organizacji, które mieściło się niedaleko od mojego mieszkania. Adres biura znali oprócz niego tylko moi przyjaciele policjanci. W cztery lub pięć dni później dziewczyna przyszła do mnie: „Znam byłego sierżanta belgijskiej armii, nazywa się Félicien Mathy i chciałby z nami współpracować". To, że był podoficerem, wzbudziło moje zaufanie i odpowiedziałem, że warto się nad tym zastanowić.

W sobotę 13 maja 1944 roku pracowałem właśnie w swoim biurze nad planem terenów lądowania we Florennes, był to plan pod każdym względem kompletny, gdyż miałem na nim nawet rozmieszczenie zbiorników z benzyną, które Niemcy porzucali wśród pól, kiedy usłyszałem czyjeś kroki na schodach. Szybko wrzuciłem plan do szuflady i rozłożyłem na stole plany placówek handlowych w mieście. Zobaczyłem, że wchodzi owa dziewczyna ze swoim byłym sierżantem. Rzuciłem jej spojrzenie mówiące: „Jak na kogoś, kto już pracował w podziemiu, to wielka nieostrożność!"

Sierżant zabrał się natychmiast do oglądania tego, co miałem

na stole, i zaraz powiedział: „Czy wiesz, że to ja zabiłem tę Rosa, która pracowała dla gestapo. Możesz zapytać o to komisarza Jespersa z siódmego obwodu."

Zgoda. Telefonuję do Jespersa i opowiadam, o kogo chodzi.

„Dobrze, on jest z tej branży, możesz się zgodzić" — potwierdza.

„A więc dobrze, Mathy — mówię — skoro już tutaj jesteś, to jedź do Liège po sto pięćdziesiąt karabinów."

Nazajutrz rano, kiedy wstałem, żona przywołała mnie do okna: „Popatrz na parapet!"

Spostrzegłem kruka. Och! pomyślałem, to zła wróżba!

Po południu tego dnia, 15 maja, miałem umówione spotkanie z Mathym przed Pałacem Sprawiedliwości na godzinę siedemnastą. Zanim wyszedłem, powiedziałem do żony: „Jeżeli nie powrócę do siedemnastej i pół, spal wszystkie papiery, które tu się znajdują".

Przyszedłem na róg ulicy de la Régence i placu Poelaert. Był tam Mathy, podał mi rękę i już byłem aresztowany. Gestapowcy w cywilu zaprowadzili mnie do nieczynnej stacji benzynowej, mieli od niej klucz. Zobaczyłem, że wchodzi mój przyjaciel Palmers, były starszy sierżant z Konga, który ukrywał się pod pozorem, że jest kancelistą w sądzie. Należał do *Armée Secrète* i właśnie jemu miałem wydać broń otrzymaną z Liège. Bez najmniejszych podejrzeń podał mi rękę i zaraz nałożono kajdanki i jemu, i mnie. Gestapowcy stali na zewnątrz patrząc, czy nie pokaże się jeszcze jakiś nasz kolega, a przy nas pozostał z nich tylko jeden na straży. Wtedy nadszedł Mathy. Popatrzył śmiejąc się na nas obu i usłyszałem, jak Niemiec powiedział przez zaciśnięte zęby: *„Sicherheitspolizei!"*

Stąd dowiedziałem się, że Mathy współpracował z gestapem. Popatrzyłem na zdrajcę i zagroziłem: „Dostanę ciebie w swoje ręce, Mathy!"

Na to gestapowiec dał mi dwa razy w twarz. Potem nas wyprowadzono, wtedy odezwałem się do Palmersa: „Znamy się z *Cofrac*". *Cofrac* była to organizacja skupiająca byłych wojskowych, którzy brali udział w osiemnastodniowej kampanii.

Gestapo przy avenue Louise zamknęło mnie na dwa dni w małej murowanej niszy za ciasnej, by w niej usiąść; tam stałem przez dwa dni bez jedzenia i picia. Potem usłyszałem kroki po schodach. W otwartych drzwiach swojej celki ujrzałem tę Rosa, którą rzekomo zamordował Mathy!

Przyjrzała mi się i powiedziała do towarzyszących jej Niemców: „To on jest szefem!"

Spadły na mnie razy, a potem musiałem wejść o siedem pięter wyżej. Na każdym podeście rozpoczynało się na nowo bicie kolbami i bykowcami, kopanie. Bili gdzie popadło, w nogi, brzuch, gło-

wę. Później — przesłuchanie. „Szpieg z Londynu? Gdzie jest szpieg z Londynu?"

Szpiegiem z Londynu nazywali porucznika Jacques'a Allaert. Tylko od dziewczyny, z którą mnie zapoznał Mathy, mógł wiedzieć, że został zrzucony na spadochronie. Biedna dziewczyna! Nie czułem do niej żalu, bo ją także bili i odesłali do Ravensbrück. Jej winą był nadmiar zaufania.

„Szpieg z Londynu? — powiedziałem. — Nie wiem o kim pan mówi, a Mathy pewnie wziął pieniądze za tę wydumaną bajeczkę. Jedno tylko zrobiłem: wystawiłem dowód osobisty dla kogoś, kto nie chciał pojechać do Niemiec, gdyż bał się zginąć podczas bombardowania. Chciał dla was pracować tutaj, w Belgii!"

Kiedy sobie uświadomili, że nic ze mnie nie potrafią wyciągnąć, odesłali do Saint-Gilles, skrzydło A, tam byli więźniowie skazani na śmierć. Wieczorem wszystko mi zabierali, pozostawałem całkiem nagi w celi na noc! 6 czerwca 1944 roku rano wyprowadzili mnie, wsadzili do auta w podwójnych kajdanach, które mi krępowały ramiona. Przy avenue Louise stanąłem przed rudzielcem, który miał dwa metry wzrostu. Wyciągnął z mojej teczki personalnej cały plik kartek, uderzył pięścią w biurko tak silnie, że papiery rozleciały się wokoło niego i zaczął krzyczeć: „Ty nie sądzony! Ty nie skazany! Ty nie rozstrzelany! Ty zdechnąć w obozie koncentracyjnym! *Raus!*"

Dał mi butem kopniaka w lędźwie, zatoczyłem się i oparłem o drzwi. Potem odwieźli mnie do Saint-Gilles.

W sąsiedniej celi był ksiądz także skazany na śmierć. Zaczęliśmy się porozumiewać. Pytał, jak jest ze mną. „Nic nie rozumiem — odpowiedziałem. — Zapowiedzieli, że nie będą mnie sądzić ani rozstrzeliwać, ale odeślą do obozu koncentracyjnego. Tam przy avenue Louise wszyscy byli w hełmach i uzbrojeni, a nie w cywilu, jak za pierwszym razem."

„Widocznie coś się dzieje nowego. Myślę o czymś, w co nie śmiem wierzyć" — rzekł tamten.

Wieczorem, w godzinie rozdawania zupy, gruby Niemiec, który miał nadzór przy posiłku, wszedł do celi księdza i oznajmił: „Amerykanie wylądowali!"

W krótkim czasie nowina rozniosła się po całym więzieniu. Jaki gwar! Francuzi śpiewali *Marsyliankę*, Belgowie — *Brabançonne*. Gdyby w tamtej chwili zaprowadzili mnie na rozstrzelanie, umierałbym z lekkim sercem. Od jakże dawna oczekiwaliśmy tego lądowania!

W poniedziałek po Zielonych Świętach o północy słychać było wszędzie: *„Raus! Raus!"*

Drzwi cel otwierały się, więźniowie zbiegali na dół, tam czekał Czerwony Krzyż rozdający pierniki i papierosy w paczuszkach po dziesięć sztuk. Dostaliśmy też po filiżance kawy i dowiedzieliśmy się, że jedziemy do Niemiec.

Pomyślałem wtedy: „Lepsze to niż rozstrzelanie, może w drodze zdarzy się szansa ucieczki!"

Ciężarówki czekały na podwórzu, a główny szef gestapo na całą Belgię stał tam w mundurze z rękami założonymi na plecy: „Trzoda świń! — powiedział — Zasługujecie na powieszenie! Ale pojedziecie oddać ostatnią kroplę krwi w obozach koncentracyjnych! *Raus!*"

Ruszyliśmy naprzód między dwoma szeregami esesmanów, którzy wymierzali nam razy pistoletami maszynowymi. Nie było po czym wspiąć się do ciężarówki, trzeba było podskoczyć i wdrapać się do środka. Przede mną wskakiwał jakiś Francuz. Przynaglałem go: „Prędzej, prędzej!" Ale skok mu się nie udał, wtedy otrzymał cios w tył głowy kolbą pistoletu, aż pękła mu czaszka. Upadł. Kolej na mnie. Wykonałem taki skok, że wylądowałem na więźniach znajdujących się we wnętrzu ciężarówki, a esesmani zaczęli się śmiać.

Kiedy wszyscy już weszli, musieliśmy uklęknąć w rzędach na podłodze auta i tak dojechaliśmy do dworca Schaerbeek. Na peronie Niemcy ćwiczyli nas bykowcami w taki sposób, że wszystko wyleciało z kieszeni, i pierniki, i papierosy. Już nic nie mieliśmy przy sobie wsiadając do bydlęcych wagonów. W moim było nas stu czterech. W budkach strażniczych siedzieli Flamandczycy z SS, którzy zabawiali się strzelaniem poprzez ściany wagonów. W naszym — czterech mężczyzn padło martwych. Trzy dni i noce trwała podróż do Buchenwaldu. Po kwarantannie odesłali mnie do tunelu w Dora, gdzie produkowano V-1 i V-2, a potem odjechałem razem z *Kommando*, żeby założyć nowy obóz Ellrich, gdzie nic jeszcze nie było, spaliśmy tam wśród sitowia. 5 kwietnia 1945 roku, kiedy zbliżali się Amerykanie, Niemcy skierowali nas do Sachsenhausen. Całe jedenaście dni jechaliśmy na platformach. Tory kolejowe były zerwane na skutek bombardowania, pociąg stał, cofał się, jechał naprzód, znowu napotykał zerwane szyny, jeszcze raz się cofał, wszystko to działo się wśród zimna i wiatru, nie dostaliśmy nic do jedzenia. Kiedy przyjechałem do Sachsenhausen, miałem bezwładne nogi. Pułkownik Lenz z *Armée Secrète* sporządził mi dwa małe szczudła i na nich przeszedłem siedem etapów po trzydzieści kilometrów bez pożywienia i picia: ten, kto widząc wodę, zatrzymywał się, by się napić, padał martwy pod strzałami esesmanów. Tak samo pozbywali się tych, którzy nie mogli nadążyć w marszu:

skoro tylko ktoś zachwiał się — słychać było „klak": dostawał kulę w kark. Proszę nie myśleć, że esesmani mieli przy tym zły wyraz twarzy. Wprost przeciwnie, uśmiechali się, z pistoletem w dłoni, z lufą w nas wycelowaną zdawali się mówić: „Musicie maszerować, bo inaczej będziemy zobowiązani was zabić!"

Gdyby nie książę Bernadotte, który nas spotkał na drodze, wszyscy zginęlibyśmy. Pertraktował z komendantem SS, a ten zgodził się, by każdy więzień otrzymał jedną piątą racji wyżywieniowej armii kanadyjskiej pod warunkiem, że każdy esesman dostanie całą porcję. Dzięki koledze Alzatczykowi, który rozumiał po niemiecku, dowiedziałem się, co książę Bernadotte mówił do majora SS: „To niemożliwe! Nie możecie skazać tych nieszczęśliwców na śmierć głodową!"

Wtedy komendant — widzę go jeszcze z monoklem w oku — odpowiedział: „Dobrze, dobrze. Kiedy może im pan dostarczyć pożywienia?" — Książę Bernadotte obiecał powrócić nazajutrz wieczór.

„Dobrze, dobrze. Zaczekamy." — obiecał major.

O trzeciej rano usłyszeliśmy wycie: „*Aufstehen! Los! Schnell*"![1]

Musieliśmy maszerować do Schwerina, nad morzem Bałtyckim. Mieliśmy szczęście, że Schwerin leżał w *no man's land*, w bezpańskim rejonie. Rosjanie byli z jednej strony, a Anglicy z drugiej. Maszerowaliśmy dalej aż do Lubeki, gdzie nas załadowano na statki. Gdybyśmy tam przyszli o jeden dzień wcześniej, byłby to już dla nas kres wszystkiego![2]

O LINII *KLM*

— Mój mąż, który zmarł na skutek deportacji do Buchenwaldu, kontaktował się z „Rio", czyli Elie Miroir, na początku czerwca 1943 roku przez swojego kuzyna Raymonda Vignoble. Był komi-

[1] *Aufstehen...* (niem.) — Wstać! Naprzód! Szybko!

[2] Około sześć tysięcy więźniów, po większej części z obozu w Neuengamme, między nimi brat autora, Philippe Renault, zostało stłoczonych na trzech statkach: „Cap Arcona" „Thielbeck" i „Athen". Rosjanie i Polacy z obozu w Stutthofie zostali w podobny sposób załadowani na „Deutschland", który przeciwnie niż „Athen" odmówił wejścia do portu Lubeka. Tylko nieznaczna liczba tych więźniów przetrwała cała i zdrowa (przypis autora).

sarzem policji i należał do kilku organizacji Ruchu Oporu. Za zgodą naszych władz stałam się jego bezpośrednim zastępcą. Miałam dobrą krew w żyłach, gdyż mój ojciec był aresztowany przez Niemców w 1915 roku pod zarzutem szpiegostwa. Lecz kuzyn Raymond nic nie wiedział o naszej tajnej działalności. Pan Miroir zgodził się, byśmy przyjmowali u siebie lotników na kwaterę. — Wzruszająca prostota wypowiedzi jaką sformułowała Jeanne Vantuykom, przypomniała mi sytuację przeżytą w Paryżu w październiku 1942 roku. Kiedy powróciłem z Anglii, musiałem na nowo odbudować swoją siatkę wywiadu zniszczoną miesiąc wcześniej przez zdradę. Aby wykonać to zadanie, musiałem dysponować przede wszystkim bezpiecznym mieszkaniem, gdzie bym mógł umieścić centralę. Jeden z przyjaciół zaprowadził mnie do pułkownika Lévy, właściciela pięknej nieruchomości przy ulicy Dufrénoy w szesnastym okręgu. Poczuwałem się do obowiązku wyjawienia pułkownikowi i jego żonie, na jakie ryzyko ich narażam. „Od dwóch lat na pana czekaliśmy!" — brzmiała odpowiedź.

Podobnie jak pani Jeanne Vantuykom mój gospodarz odwracał role, uważał się za zobowiązanego wobec mnie wtedy, kiedy moja obecność u niego mogła stać się przyczyną deportacji lub śmierci ich obojga.

— Mój mąż znał już pana Miroir, który należał do pracowników administracji miejskiej Etterbeek — kontynuowała opowiadanie pani Vantuykom. — Kiedy wrócił do domu, powiedział do mnie: „Musimy znaleźć kwatery dla zestrzelonych lotników, chcemy ich odsyłać z powrotem do Anglii".

Proszę sobie wyobrazić, że już wcześniej zajmowaliśmy się czymś podobnym, kiedy powróciliśmy z wędrówki podczas działań wojennych. Mieszkaliśmy wtedy w dzielnicy Woluwe-Saint-Pierre, nie była ona tak gęsto zaludniona jak teraz. Naszą sąsiadką była pani Art, niezamężna, około czterdziestki, zamieszkująca samotnie willę. Przyjaźniła się z panią pracującą w firmie handlowej, która miała przedstawicielstwo na rozprowadzanie angielskiej herbaty, przy placu Brouckère.

Pewnego dnia rozmawiając z panną Art powiedziałam: „Posiada pani dom bardzo nadający się do uprawiania akcji antyniemieckiej!"

Zrobiła przerażoną minę: „Cicho, sza! Proszę nic nie mówić!"

Ale w krótki czas później, kiedy pomagałam mężowi ładować koks do pieca centralnego ogrzewania, usłyszałam pukanie do drzwi, a potem bębnienie w okiennice. Była jedenasta wieczór, po godzinie policyjnej. Poszłam do drzwi myśląc: „No i stało się! Pewnie źle zasłoniłam okna, to patrol niemiecki!"

Zdziwiłam się widząc przed drzwiami pannę Art. Weszła, zamknęła drzwi za sobą mówiąc: „Proszę mi dać zaraz wszystko, co potrzebne do przebrania mężczyzny, od skarpetek i bielizny do garnituru, oczywiście także buty, koszulę, spinki do mankietów i krawat."

Na to mój mąż nadszedł z piwnicy. Nie pytając o wyjaśnienia odpowiedziałam: „Chciałabym znać rozmiary tego mężczyzny, którego musi pani ubrać".

„Prawie tego samego wzrostu co pani mąż" — wyjaśniła.

Dałam jej potrzebną odzież, nie zapomniałam o spinkach. Przewidując, że wojna potrwa może jeszcze długo, wybrałam czarne ubranie, które mąż miał na sobie w dniu ślubu, a później nakładał je rzadko. Mąż nie pozwolił odejść pannie Art samej z powodu patroli, odprowadził ją do domu, ale nie mógł mi powiedzieć, czy byli tam Anglicy czy nie, gdyż nie wszedł do środka. Mówię w liczbie mnogiej „Anglicy", dlatego, że dowiedziałam się później, o co chodziło. Panna Art przyszła do nas prosić o ubranie dla jednego lotnika z załogi angielskiego samolotu, który spadł w płomieniach. Drugi z nich miał już wszystko potrzebne do przebrania się za cywila. Dowiedziałam się również od panny Art, że obaj zamieszkali w „Résidence-Palace". Był to wielki kompleks apartamentów przy ulicy de la Loi, zajęty obecnie przez Ministerstwo Oświaty. Było to zabawne, że zestrzeleni lotnicy zamieszkali w „Résidence", a jeszcze śmieszniejsze, że przebywali tam jako niemieccy oficerowie!

— Przypuszczam, że chodziło nie o lotników, ale o agentów brytyjskiego wywiadu. Nie po raz pierwszy słyszę, że agenci specjalnych służb brytyjskich potrafili się wślizgnąć do wehrmachtu jako oficerowie.

— Możliwe, chyba nawet panna Art mi powiedziała, że po wylądowaniu podpalili samolot. To było tak dawno, że nie przypominam sobie dokładnie. W każdym razie gestapo aresztowało jednego z nich na wiosnę 1941 roku. Drugiego ostrzegł na czas niemiecki ordynans, tak że zdążył się ukryć. Gdzie? Nie wiem, ale panna Art wiedziała.

Zresztą ta pani miała bliskich przyjaciół często podróżujących z Ostendy do Douvres przed wojną i myślę, że może już od tamtych czasów była wciągnięta w pracę dla wywiadu. Pewnego dnia przyniosła do mnie nowiuteńką maszynę do pisania prosząc: „Czy nie mogłaby pani jej uruchomić? Klawisze się kleją, wszędzie pełno smaru".

Jako sekretarka dyrekcji znałam się dobrze na maszynach do pisania, ale nigdy w życiu nie widziałam do tego stopnia natłuszczonej. Musiałam ją oczyścić naftą, aby zaczęła funkcjonować. Wte-

dy pomyślałam, że pewnie ta maszyna była schowana do skrzynki i zakopana w ziemi.

Kiedy panna Art nas powiadomiła, że jednemu Anglikowi udało się wymknąć, zaproponowała: „Możemy wyjechać do Anglii w przyszłym tygodniu, a może wcześniej, za dwa, trzy dni. Trzeba tylko wziąć ciepłą odzież".

„Świetnie by było wyjechać do Anglii" — odpowiedział mąż. — Ale próbowałem już w maju ubiegłego roku, złapali nas, dojechaliśmy tylko do Berck [1] i tam trzeba było korzystać z pomocy Opieki Społecznej. Nigdy więcej nie będę próbował w takich warunkach. Pozbywam się jednego domu, akt sprzedaży będę miał za tydzień i pieniądze, dopiero wtedy moglibyśmy spróbować wyjechać."

„Dlaczego trzeba wziąć ciepłą odzież?" — spytałam.

„Trzeba przejść przez Pireneje" — padła odpowiedź.

Było to w kwietniu 1941 roku. Gdy mąż otrzymał pieniądze, było już za późno, Anglik odjechał. Panna Art została. Nie chciała jechać bez nas.

— Gdyby pani wtedy wyruszyła do Hiszpanii, byłaby pani prekursorką Siatki Kometa! Jak pani zareagowała na rozmowę z panem Miroir?

— Kiedy mówił o konieczności szukania kwater dla zestrzelonych lotników, zaofiarowaliśmy jeden własny wolny pokój, dostatecznie duży, by służył dla dwóch osób. Chcieliśmy zacząć od siebie. W dwa lub trzy dni później pan Miroir przyszedł obejrzeć pokój, który przypadł mu do gustu, i zaraz do nas przyprowadził młodego, dwudziestodwuletniego lotnika, bardzo sympatycznego i inteligentnego, był to sierżant William Gordon Bailey. Przebywał u nas przeszło dwa tygodnie, potem odprowadziłam go w umówione miejsce, gdzie oczekiwał Miroir z przewodnikiem. Zapytałam go: *Do you speak French?*" [2]

„*Not a word!*" [3] — odpowiedział.

Musiałam wyciągnąć z pamięci znajomość angielskiego z czasów szkolnych.

Wśród organizacji, do których należeliśmy, była *Service Marc* wyspecjalizowana w wywiadzie wojskowym. Będąc komisarzem policji, mój mąż mógł chodzić po godzinie zaciemnienia, co było wielkim ułatwieniem dla naszych spraw. Mieszkaliśmy pod numerem 2 przy ulicy Martin Lindekens w bungalowie położonym w głębi ogro-

---

[1] Berck — miasto portowe we Francji, nad kanałem La Manche, na wybrzeżu między Boulogne-sur-Mer a Dieppe.

[2] *Do you speak French...* (ang.) — Czy mówi pan po francusku?

[3] *Not a word!* — Ani słowa!

du, co nam ułatwiało przejście od tyłu do nieruchomości przy avenue du Val d'Or. Na pierwszym piętrze tego budynku było mieszkanie rodzeństwa Henri i Marii Maca, dwojga dwudziestolatków, których rodzice przebywali w rodzinnym domu w Falais, w Ardenach. Znając ich patriotyzm, zwerbowaliśmy oboje do Siatki *Service Marc*, nic im nie mówiąc o współpracy naszej z Elie Miroir.

Pewnego dnia usłyszałam pukanie do drzwi. Wszedł Henri Maca i spotkał się twarzą w twarz z Williamem Bailey. Zdobywając się na odwagę, przedstawiłam ich sobie.

„To Henri. A to William Bailey z *Royal Air Force*." Henri po raz pierwszy zobaczył zestrzelonego lotnika. Był tym zachwycony. Postanawiając kuć żelazo póki gorące, zwierzyłam się, że brak nam kwater: „Pan ma duże mieszkanie, czy nie mógłby pan..."

Henri przerwał mi mówiąc: „Pomówię o tym z siostrą. Zdaje mi się, że to już załatwione".

Nie omylił się i dzięki rodzeństwu mogliśmy bez zwracania uwagi sąsiadów kwaterować nawet ośmiu lotników na raz zakładając, że goście wchodzili przez ulicę Martin Lindekens, a wychodzili przez avenue du Val d'Or.

Nasi sąsiedzi widząc tych wszystkich wchodzących przypuszczali, że to Belgowie, którzy uchylają się od obowiązkowej pracy. Chociaż dobrze wiedzieliśmy, że to zacni patrioci, nie wyprowadziliśmy ich z błędu, i dopiero po wojnie dowiedzieli się, że kwaterowaliśmy lotników alianckich.

Mieszkający u rodzeństwa Maca tam również się żywili, ale resztę czasu spędzali przeważnie u nas, bo mieliśmy odbiornik radiowy krótkofalowy, na który łapaliśmy *B.B.C* i u nas byli ich koledzy. Na Boże Narodzenie w 1943 roku zorganizowaliśmy wspólnie z Maca wieczór wigilijny, brało w nim udział dziewięciu lotników. Od czasu do czasu przychodziła Michou na inspekcję. Trudności wynikały z potrzeby prowadzenia naszych Anglików i Amerykanów do fotografa przy avenue de la Chasse, konieczne były zdjęcia do sporządzenia fałszywych dokumentów. Mój mąż miał kuzyna, amatora fotografika, poprosił go o pomoc i w ten sposób Raymond Vignoble stał się członkiem Komety, robił zdjęcia dla *boys*. Istniał też problem zaopatrzenia w lekarstwa. Nasza grupa Ruchu Oporu skontaktowała się z aptekarzem Van Crombrugge w Stockel; dostarczał leków bezpłatnie i na każde żądanie.

Pewnej niedzieli w grudniu 1943 roku przyprowadzono do nas sierżanta, lotnika *R.A.F.*, nazwiskiem Kenneth Garvey, który miał poważne oparzenie ręki. Apteka pana Van Crombrugge była zamknięta, mąż miał adres laboratorium pana Vereyren, do którego poszłam z prośbą o środki niezbędne przy oparzeniu, nie przedsta-

wiając mu się, ale okazało się, że stan chorego wymaga interwencji lekarza. Cierpiący lotnik musiał przejechać ze mną przez całe miasto tramwajem, gdyż znany mi od dzieciństwa doktor Van Durme mieszkał daleko, aż w Anderlecht. Tramwaj był przepełniony i umierałam ze strachu, że ktoś potrąci rękę lotnika, a on zawyje z bólu. Na prowizoryczny opatrunek nałożyłam mu żółtą rękawiczkę. Doktor skutecznie wyleczył Kennetha i odtąd był zawsze do dyspozycji Siatki, pod warunkiem że to ja będę przyprowadzała osobiście do niego pacjentów.

Sprzątanie domu także nastręczało trudności. Moja pomocnica miała męża, aktywnego członka flamandzkiej partii, która odnosiła się przychylnie do nazistów. W te dni, kiedy sprzątaczka do nas przychodziła, musiałam usuwać swoich gości z domu, szli do rodzeństwa Maca. Czasem nie było to możliwe z różnych przyczyn i wtedy mieliśmy poważny problem. Nie pozostawało nic innego jak zamknąć ich w pokoju z nakazem, by zachowywali się bez najmniejszego szmeru. Nasi lotnicy mieli na ogół dobry apetyt, a więc w godzinie południowego posiłku wysyłałam pomocnicę domową do ogrodu, by tam trzepała dywany. Pewnego dnia padał ulewny deszcz, więc musieliśmy znaleźć coś innego. Mąż poszedł do piwnicy, przewrócił worek ziemniaków, które rozsypały się. Klnąc i piorunując zawołał na pomoc kobietę. Dzięki temu lotnicy zjedli swój lunch, prosiłam męża, by nie śpieszył się ze zbieraniem ziemniaków.

— Przypuszczam, że bungalow państwa był piętrowy, czy nie można było tam umieścić gości chroniąc ich przed zetknięciem się ze sprzątaczką?

— Nie. Dom był parterowy. Nasi lotnicy mieszkali w ostatnim pokoju, i kiedy przychodziła pomocnica, ten pokój był zawsze zamknięty na klucz. Wcale się temu nie dziwiła, była dość ciężko myśląca. Kiedy się po wojnie dowiedziała o tym, spytała: „Gdzie oni byli, ci lotnicy?"

— Mogli obudzić podejrzenia poruszaniem się...

— W dniu sprzątania leżeli w łóżkach od rana do wieczora i nie wymieniali między sobą ani słowa.

— To nadzwyczajne!

— Przecież trzeba było zachować ostrożność! Chodziło o bezpieczeństwo Komety!

— Również o zagrożenie państwa, jeżeli wolno mi zauważyć...

— Oczywiście, ale mój mąż był bardzo dobrze poinformowany. Zastępował wtedy komisarza Van Hooricka, z Woluwe-Saint-Lambert, którego aresztowali Niemcy. Skorzystał z tego, wciągając do szeregów policji naszą grupę Ruchu Oporu. Jeden z jego ludzi zawiadomił go, że pod numerem 369 przy avenue Slegers grupa kilku

mężczyzn nie zechciała się wylegitymować na żądanie. Mąż posłał ponownie tego agenta pod wskazany adres z rozkazem, by przyniósł dowody osobiste tamtych ludzi. Agenta wyproszono za drzwi. Śledztwo przeprowadzone wśród sąsiadów wykazało, że jeden z tych ludzi zawsze nosił jedną rękawiczkę, a grupy młodych mówiących po angielsku często przychodziły do tego mieszkania, gdzie bardzo głośno funkcjonowało radio, przez cały dzień rozbrzmiewały audycje *B.B.C.* nadawane w języku angielskim. Mąż poinformował o tym Miroira i złożył raport do *Service Marc.* Stamtąd mu odpowiedziano: „Dobry agent wywiadu zajmuje się tylko wywiadem, niczym innym." — Na to aż podskoczyliśmy, bo przecież chodziło o życie naszych *boys,* o los całej Siatki Kometa. Na domiar wszystkiego mąż odebrał telefon z *GFP* z ulicy Traversière: *Geheime Feldpolizei* nakazywała mu pozostawić w spokoju mieszkańców domu nr 369 przy avenue Slegers pod groźbą odpowiedzialności służbowej. Było to dla nas wystarczającym ostrzeżeniem: Miroir uprzedził Léopolda Prist funkcjonariusza policji z Woluwe-Saint-Pierre i zarazem szefa wywiadu *Front de l'Indépendance,* z którym my również byliśmy związani. Razem z nim zastanawiał się nad sposobem usunięcia Desittera, „człowieka bez palca", który w rękawiczce ukrywał swoje kalectwo. Michou także brała udział w naradzie. Ale już pan wie, że nie powiodło się. [1]

Po wyzwoleniu na podstawie fotografii, którą przekazałam Van Hoorickowi, Desitter został aresztowany w Niemczech. Biedny Prist, zamordowano go wcześniej w lasach Soignes.

Z końcem 1943 roku jedno aresztowanie sprawiło, że niektórzy lotnicy przebywali u nas nawet trzy miesiące. Po aferze z Desitterem mąż nabrał zwyczaju przeszukiwania dyskretnie odzieży lotników, obawiając się wśród nich nowego prowokatora. Pewnego dnia zastałam go całkiem bladego. Wywracając kieszenie rzekomego Nowozelandczyka, który przyjechał poprzedniego dnia, znalazł swastykę z literami *SD* [2]. Przyznaję się, że mieliśmy niewyraźne miny.

„Czy jesteś pewna, że nikt cię nie śledził?" — spytał mąż. Skąd można to wiedzieć! To zawsze ja chodziłam do miasta po lotników, czasem razem z Marią Maca, ja ich odprowadzałam na dworzec lub na miejsce spotkania. Przede wszystkim zawiadomiliśmy o tym Elie Miroir. Mogło być jedno z dwojga: ten Nowozelandczyk mógł być łasy na pamiątki nazistowskie, podobnie jak wielu jego

---

[1] Patrz rozdział: *Porachunki*

[2] *Sicherheitsdients,* czyli Służba Bezpieczeństwa, której podlegało gestapo (przyp. autora).

kolegów. Druga alternatywa — że pracował dla wroga. W tym ostatnim przypadku gotowi byliśmy posłużyć się bronią i wrzucić trupa do pozorowanej studni w ogrodzie. Miroir postanowił spytać o wyjaśnienie pilota „Spitfire'a", który mieszkał w Etterbeek i przyjechał z Holandii razem z tym Nowozelandczykiem. Pilot wyciągnął z kieszeni taki sam znaczek ze swastyką mówiąc, że obaj z kolegą otrzymali je w prezencie w domu, który ich gościł na holenderskiej granicy. Ja i mąż także nie pozostaliśmy bierni: po wtajemniczeniu w sprawę Kennetha Garvey prosiliśmy go, by pociągnął za język Nowozelandczyka, zadając mu pytania na temat Anglii. Kenneth, którego ochrzciliśmy „Old England" powrócił speszony: „To niemożliwe! Jestem tylko sierżantem i nawigatorem, a on jest *first lieutenant* [1] i nie tylko pilotem, ale także *pathfinder!* [2] Posiada wyższe kwalifikacje niż ja."

Nadszedł Miroir niosąc drugą odznakę, którą zabrał pilotowi „Spitfire'a". W celu wypróbowania reakcji Nowozelandczyka przypiął znaczek do klapy marynarki i wszedł do pokoju lotników. Widząc znaczek Nowozelandczyk zawołał z dumą: *I have just same!* [3]

Odetchnęliśmy swobodnie.

Wykazywaliśmy intensywną aktywność, bo dalej pracowaliśmy dla *Service Marc*, a mój mąż był ponadto szefem sektora zbrojnego oporu pod pseudonimem „Theo". Środa i czwartek to były dla nas dni najbardziej wytężonej pracy, bo trzeba było przepisać na maszynie informacje zbierane przez tydzień, potem narysować na czysto plany, które otrzymywaliśmy najczęściej w postaci zwykłych szkiców. W tym pomagali nam *boys*. Oczywiście, że nie odbywało się bez przygód. Najpierw przybrałam pseudonim „pani Albert", używając jednego z imion męża, ale to zbyt rzucało się w oczy, więc stałam się „Georges". Pewnego dnia musiałam się spotkać z którymś z naszych współpracowników na skwerze Saint-Michel. Znak rozpoznawczy miała stanowić określona gazeta pod pachą, a hasłem były słowa: „Czy tramwaj do Vilvorde tędy przejeżdża?"

Ja miałam odpowiedzieć: „Nie, dopiero około piątej godziny". Przyszłam na spotkanie o oznaczonej godzinie, zauważyłam natychmiast kolegę, ale on się nie ruszył z miejsca. Czas mijał, wreszcie zdecydowałam się. Podeszłam do niego pytając:

„Przepraszam, czy tramwaj do Vilvorde tędy przejeżdża?" Zdzi-

---

[1] *First lieutenant* (ang.) — Porucznik. Po angielsku podporucznik brzmi: *second lieutenant.*

[2] *pathfinder* (ang.) — Zwiadowca wyznaczający za pomocą magnesu cele bombardowania podczas nocnych lotów (przyp. autora)

[3] *I have...* (ang.) — Mam taki sam!

wiony popatrzył na mnie i odpowiadając słowami, które ja miałam wypowiedzieć, dodał: „Pani jest Georges?"

„Tak, to ja — potwierdziłam. Spodziewałem się mężczyzny!" Wszystko tym razem było w porządku, ale wolałam wybrać pseudonim kobiecy, aby uniknąć nieporozumień. Zamieniłam „Georges" na „Jacqueline".

Innym razem, kiedy poszłam po trzech lotników, byłam z nimi sama na przystanku tramwajowym.

„Are you American?" — spytałam pierwszego.

„Sure" — odpowiedział.

Drugi był jego rodakiem. Trzeci odpowiedział: *„No". „Are you English?" „No". „Canadian?" „No". „Australian?" „No". „New Zealander?" „No". „What are you, then?" „Scot".*

Styczeń 1944 roku to był czarny miesiąc dla Siatki. W niedzielę, dwudziestego trzeciego, aresztowali Elie'ego Miroir. Henri Maca musiał ukryć się w podziemiu, wśród partyzantów, a jego ojciec zbierający informacje dotyczące wojsk w Ardenach, wpadł w ręce nieprzyjaciela. Jego siostra Maria, której się nie udało przedostać do Anglii, schroniła się w Szwajcarii. Na wszelki wypadek opuściliśmy nasz bungalow, lecz powróciliśmy do niego po dwóch tygodniach, bo panował spokój.

Przez *Milices Patriotiques* byliśmy w stałym kontakcie z Charles'em Hoste, który zajmował się Siatką Eva, lotnicy znali go pod imieniem Jacques. Przez niego nawiązaliśmy łączność z Jean Portzenheimem, który przybierał kolejno pseudonimy: „Hubert", „Maurice", „Guy", wreszcie „Victor". Przez styczniowe aresztowania utraciliśmy kontakt z Marcelem Daelemansem, naszym łącznikiem z Kometą w Antwerpii, on sam nawiązał ponownie z nami więź.

W tamtym okresie ukrywaliśmy wszystkich lotników bez żadnej możliwości ich ewakuowania. Na początku marca otrzymałam wiadomość od Daelemansa, który chciał mnie widzieć. Oznajmił, że odkrył w Antwerpii trasę przerzutów za pomocą Linii *KLM*. Zawiadomiłam o tym Jacques'a i Huberta i postanowiliśmy zbadać sprawę. Łącznikiem ze strony Daelemansa był tak zwany „Donald", który powiedział, że zrzucili go ze spadochronem Anglicy w celu nawiązania kontaktu z belgijskim Ruchem Oporu i okazał dokumenty: dopiero po katastrofie dowiedzieliśmy się, że to były dokumenty agenta naprawdę zrzuconego przez angielski samolot, ale złapało go w Antwerpii gestapo. Ów rzekomy „Donald", który zwał się potem „Robert", był w istocie Belgiem i nazywał się René Van Muylen. Z przekonania nazista, odbył w Niemczech przed wojną półroczny staż w służbie kontrwywiadu i należał do *GFP*. Daelemans — który zginął w Neuengamme — w dobrej wierze po-

ręczył za Donalda, gdyż razem z nim dokonał zbrojnego zamachu w Antwerpii. Na nieszczęście dla nas wszystkich ów zdrajca wywarł dobre wrażenie.

Pracowaliśmy dalej. Pewnego dnia żaliłam się wobec Daelemansa, że nie możemy nabyć zielonego kartonu, zwanego „legalna masa", niezbędnego do wydrukowania fałszywych dowodów osobistych. „Wiem, gdzie tego szukać w Antwerpii. Przywiozę ci w przyszłym tygodniu przy okazji konwojowania *boys*" — powiedział.

Wyznaczył mi spotkanie za pośrednictwem mojej „skrzynki listowej", ale na skutek niespodziewanej nieobecności tej pani, która była skrzynką, wiadomość dotarła do mnie zbyt późno. Biedny „Victor" musiał odwieźć z powrotem dwóch lotników do Antwerpii, gdyż w Brukseli nie zastał mnie w miejscu spotkania. Kiedy potem z nim się widziałam, opowiedział mi, co się zdarzyło na dworcu centralnym w Antwerpii. Miał wsiąść do pociągu z dwoma „pakunkami", kiedy rozległy się alarmowe syreny i esesmani skierowali tłum pasażerów do schronów. Paczka z formularzami na fałszywe dowody, o które wystarał się dla mnie „Victor", była związana papierowym sznurkiem, który pękł, mokry od deszczu. Dowody osobiste rozsypały się po ziemi! Z wielką uprzejmością esesmani pomagali „Victorowi" je zbierać ponaglając: *„Schnell! Schnell!"*

Trzymając naręcza fałszywych dowodów „Victor" i dwaj *boys* zbiegli po schodach do schronu. „Tym razem nie musisz się męczyć nad zabrudzeniem fałszywych dowodów osobistych, żeby wydawały się stare!" — śmiał się Victor.

Jeszcze dwudziestu lotników u nas przebywało. Przez naszą grupę Ruchu Oporu mąż zdobył adresy kwater w Uccle, lecz należało je posprawdzać. Oboje z Charles'em Hoste mieliśmy wykonać to zadanie. Biedak Charles miał tego dnia wielki katar i co chwila wycierał nos. Wyciągając chustkę zgubił spis adresów. Na szczęście wystarczył telefon do komisarza Tafnier, który z nami współpracował, abyśmy sporządzili na nowo potrzebny wykaz. Mogliśmy zatem przeprowadzić inspekcję, ale wszędzie przyjmowano nas z nieufnością, bo nie znały nas osoby, które zgłosiły gotowość przyjęcia lotników. W pewnej willi w Crabbegat po wielu zastrzeżeniach pozwolono nam wejść, lecz atmosfera odtajała dopiero po telefonie do szefa i sprawdzeniu naszej tożsamości. W jednej chwili sytuacja się zmieniła, przyjęto nas z otwartymi ramionami i poczęstowano gorącą kawą, która nas bardzo wzmocniła po tym całym popołudniu spędzonym w chłodzie i deszczu. W pełni zadowoleni, zadzwoniliśmy do ostatnich drzwi, figurujących na naszej liście, i tutaj przeżyliśmy emocję całkiem innego rodzaju: za-

ledwie tylko ujawniliśmy, kim jesteśmy, zażądał od nas gospodarz szesnastu „pakunków", szesnastu lotników naraz! Podejrzewając pułapkę śpiesznie umknęliśmy obiecując spełnić życzenie. Zaraz przeprowadziliśmy weryfikację tej osoby. Okazało się, że był to naczelnik partyzantów mający możność zakwaterowania dzięki kolegom szesnastu naszych lotników.

W czasie, kiedy przebywał u nas lotnik kanadyjski Nelson, partyzanci, o których przed chwilą mówiłem, rzucili bomby na zakłady Vandenplas, zmuszone do produkcji na rzecz Niemców, oraz na boczną linię kolejową łączącą Brukselę z Tervueren. Ludność Woluwe-Saint-Pierre ponosiła skutki tego czynu, zwerbowano sporą liczbę mężczyzn zobowiązanych do pełnienia straży w nocy. Policja otrzymała od władz okupacyjnych polecenie sporządzania list dyżurów na każdą noc. Pewnego wieczoru, kiedy mąż wyszedł zanieść instrukcje szefowi brygady *Front de l'Indépendance* mieszkającemu w sąsiedztwie, usłyszałam dzwonek do drzwi. Dałam znak Nelsonowi, by uciekł do kancelarii, zasłoniłam drzwi kotarą i poszłam otworzyć. Zapomniałam, że na kredensie pozostawiłam zwitek egzemplarzy „La Libre Belgique". W tym pokoju stanął przede mną urzędnik z administracji miejskiej z Woluwe-Saint-Pierre, znany z tego, że należy do Czarnej Brygady, czyli milicji rexistów na usługach SS. Osobnik ten, skazany na śmierć po wyzwoleniu, został ułaskawiony po spędzeniu dziesięciu lat w więzieniu.

Przyszedł do mojego męża prosząc, by wymazał z listy straży nocnej jednego z jego przyjaciół. Wtedy wzrok mój padł na tajne gazetki. Rozmawiając wzięłam rulon w rękę, zaniosłam do kancelarii, gdzie czekał Nelson. Położyłam palec na ustach, by zachowywał się idealnie cicho, potem powróciłam do pokoju niby porządkując to i tamto. Mój gość nie chciał zawadzać i odszedł. Dobrze go znałam: wystarczyłby najmniejszy ruch Nelsona, żeby nas zadenuncjował. Ten sam Nelson towarzyszył nam do Etterbeek, kiedy trzeba było zabrać zapasy żywności od moich teściów. Wyszliśmy od nich akurat w czas, żeby złapać tramwaj i powrócić przed zaciemnieniem, przed godziną policyjną ustanowioną wtedy na dziesiątą wieczór. Ale śnieg padał, więc trudno nam było iść tak szybko, jak należało. Weszliśmy do tramwaju, ale nasz mały piesek Spiky, dziesięcioletni foksterier, nie zdążył wskoczyć. Biedny Spiky zaczął biec za tramwajem ku wielkiej radości niemieckiego oficera, który tarasując wejście na platformę nie pozwalał mężowi przyjść z pomocą psinie. W tamtych czasach, żeby zrobić przyjemność naszym gościom, przyzwyczailiśmy się rozmawiać tylko po angielsku, może nie całkiem prawidłowo, ale to sprawiało radość lotnikom. Wściekły, że oficer niemiecki mu prze-

szkadzał, mąż zaczął mu wymyślać, wywiązała się kłótnia i myślę, że gdyby się znajdował w tramwaju niemiecki policjant, nasza sprawa przedstawiałaby się niedobrze. Na szczęście oficer wysiadł pierwszy. Kiedy w domu wyrzucałam mężowi jego nieostrożność, jak gdyby spadł z obłoków: nie zdawał sobie sprawy, że prowadził dyskusję w języku angielskim!

25 kwietnia 1944 roku, pamiętam, że to był wtorek, mąż miał spotkanie z panem Demeyere alias „Lebon", wojskowym z okolic Brabantu. Tego samego dnia miałam się widzieć z „Victorem", czyli Marcelem Daelemansem w sprawie lotników. Spotkanie męża było wyznaczone przy pomniku du Cinquantenaire, a moje na rogu placu Rogier.

Mąż otrzymał zadanie podziału milicji na brygady stosownie do ich formacji wojskowych z myślą o wyzwoleniu i miał pokazać agentowi „Lebon" schemat, który zrobił na arkuszu papieru. Nie był jednak zadowolony z wyniku swojej pracy i w ostatniej minucie postanowił go nie zabierać, bo schemat wydał mu się nie dość dobrze opracowany.

Wyszliśmy, ja na spotkanie z Victorem, a mąż razem ze studentem *Université Libre*[1] w Brukseli, *ULB*, jak mówiliśmy, który miał z nami współpracować jako łącznik. Wracając ze spotkania z Victorem natknąłem się na studenta.

„Pan Vantuykom nie zechciał zabrać mnie pod pomnik, kazał czekać przy kinie i tam miał po mnie przyjść, by mnie przedstawić panu Lebon jako łącznika. Czekałem długo, w końcu poszedłem zobaczyć, co się dzieje. Przyszedłem w chwili, gdy pani mąż otoczony czterema gestapowcami wsiadał do auta z napisem POL.

Spojrzałem na niego, ale udawał, że mnie nie zna" — powiedział.

Chodziło o mego męża, niewątpliwie, ale byłam tak przejęta swoją pracą, że przede wszystkim zaczęłam besztać chłopaka, który popełnił błąd w służbie: „Jak to może być! Widzi pan gestapo, widzi pan auto z tabliczką POL, tuż przed sobą, stoi pan i patrzy na aresztowanego! Przecież to szczęście, że pana nie zabrali razem! Czy pan jest pewny, że mąż pana nie zauważył?" „Nie chciał mnie widzieć" — odpowiedział.

Wróciłam do domu i na stole znalazłam schemat, który mąż pozostawił. Spaliłam wszystko i usunęłam popiół. Co za szczęście, że mąż nie zabrał tego schematu! Były tam same liczby, bez nazwisk, ale gdyby znalazło to gestapo, jaka katastrofa! Nic z męża nie wyciągnęli podczas śledztwa, nikogo później nie aresztowano.

---

[1] *Université Libre* (fr.) — Wolny Uniwersytet

Nie wiedzieliśmy, że zabrali Lebona kilka dni wcześniej. Miał chyba listę nazwisk w kieszeni, bo jego aresztowanie pociągnęło za sobą aresztowanie stu dwudziestu osób, które odesłano do Breendonk, a potem do Buchenwaldu. Jego wywieziono do Neuengamme i tam zginął. Cały *Front de l'Indépendance* został podcięty w swojej bazie w Brabancji.

Poza schematem zniszczyłam wszystkie kompromitujące dokumenty i fałszywe pieczęcie. Mieliśmy także broń, którą mieszkańcy oddawali w pierwszych dniach okupacji na rozkaz władz niemieckich, mąż ją gromadził, w miarę jak napływała. Pod okienkiem, przez które zrzucano węgiel do piwnicy, wykopał wgłębienie i tam umieścił skrzynkę z bronią, zamaskował ją zamurowując otwór cegłami. Obawiałam się, że Niemcy zaraz go rozstrzelają, kiedy znajdą tę broń. Ale pomyślałam, że jako komisarz policji był w posiadaniu waffenscheinu [1], który mu zezwalał na noszenie służbowego rewolweru. Postanowiłam użyć tego waffenscheinu jako przynęty, ułożyłam rewolwer w pudełku razem ze wszystkim, co służyło do jego czyszczenia, w pobliżu umywalni.

Sprawy toczyły się bardzo szybko. Gdy powróciłam do domu razem ze studentem, była siódma wieczór. Po uprzątnięciu mieszkania poszłam uprzedzić szefów brygady, żeby nie zbliżali się do naszego domu, bo komendant został aresztowany. Gestapo zjawiło się u mnie między ósmą a dziewiątą podczas mojej nieobecności, otwierając mieszkanie kluczami męża. Kiedy powróciłam, nikogo już nie było. Zniknął rewolwer służbowy, moja maszyna do pisania i biżuteria.

W tym czasie męża poddano pierwszemu przesłuchaniu. Trwało ono siedem i pół godziny, przy tak silnym smaganiu bykowcem, że stół, na którym go położono, rozleciał się. Na próżno udawał dwukrotnie omdlenie, symulował dobrze trzecie, w końcu przyznał się, że należy do *Front de l'Indépendance,* ale ograniczył swoją rolę tylko do pomagania uchylającym się od pracy. W ogóle nie było mowy ani o wywiadzie wojskowym, ani o lotnikach. Mąż wymyślił fikcyjną postać, z którą pono był w kontakcie, dzięki temu nie spowodował żadnych aresztowań. Wrzucony do lochu gestapo przy avenue Louise, zemdlał na dobre. Stamtąd odesłali go Niemcy do Breendonk, skąd powrócił z żółtaczką i wodną puchliną, nie mogąc utrzymać się na nogach. Był jednym z dwóch zatrzymanych, których nie mogli rozebrać przed wsunięciem pod prysznic, do tego stopnia ich odzież była przyklejona krwią do ciała. Ten drugi zmarł. Mój mąż wszedł w skład konwoju skierowanego

[1] *Waffenschein* (niem.) — zezwolenie na broń

z Breendonk do Buchenwaldu w końcu maja 1944 roku. W Buchenwaldzie stał się numerem 43 648.

Gestapo dwukrotnie powróciło do naszego domu w czasie mojej nieobecności. Po trzeciej wizycie znalazłam na kuchennym stole kartkę tej treści: „Proszę przyjść na avenue Louise numer 347 dla odebrania kluczy męża".

Co robić? Jeśli pójdę na avenue Louise, mogą mnie aresztować. Jeżeli nie pójdę, trzeba będzie się ukrywać, mieszkać w sublokatorskim pokoju. legitymować się fałszywymi dokumentami, żyć w ciągłym niepokoju. A może uda mi się wyjść cało z gestapo... Zważywszy, że już upłynęło piętnaście dni od aresztowania męża, a nie pociągnęło to za sobą dla nikogo złych konsekwencji, wybrałam się na avenue Louise. Uprzedziłam swoją skrzynkę listową: „Jeżeli nie powrócę do w pół do siódmej — proszę zatelefonować pod ten oto numer mówiąc, że jestem ciężko chora".

Potem ubrałam się jak na proszone przyjęcie.

Moje przybycie do gestapo odbyło się w oziębłej atmosferze. Funkcjonariusz przy drzwiach zażądał dowodu osobistego i nie zechciał go zwrócić: „*Nein!* Jeżeli pani stąd wyjdzie, to otrzyma z powrotem!"

Weszłam na piętro do biura. Przede wszystkim zauważyłam swoją maszynę do pisania. Rozgniewana zawołałam: „Ależ to moja maszyna!"

Kobieta pisząca na niej odpowiedziała: „*Nein.*" — „Ależ tak! — krzyczałam coraz głośniej. — To moja maszyna!" „*Nein!*" — zawołała kobieta. — „Właśnie że tak!" — „*Nein!*"

Ton tych „Tak" i „*Nein*" stawał się coraz ostrzejszy. Kiedy wszedł gestapowiec, zupełnie sobie z tego nie zdawałam sprawy, tak bardzo byłam zacietrzewiona. Wreszcie policjant zabrał głos: „Pani mąż jest aresztowany za przynależność do *Front de l'Indépendance*".

Jeszcze pełna złości odpaliłam: „A cóż to takiego *Front de l'Indépendance?*"

Najuprzejmiej w świecie Niemiec mi wyjaśnił, że chodzi o organizację grupującą wielką liczbę belgijskich funkcjonariuszy, którzy przyjęli jako dewizę: Precz z kraju, okupancie! i pomagają ukrywać młodzież wyznaczoną do przymusowej pracy.

„Chyba pan się myli. Mój mąż jest spokojnym człowiekiem, nie zajmuje się niczym innym poza pracą" — odpaliłam. — „Chyba pani wie, że przeważnie żony nie wiedzą, co robią ich mężowie. Proszę popatrzeć na tę kartkę: pani mąż przyznał się i podpisał zeznanie."

„Po pierwsze — nie rozumiem po niemiecku. A po drugie — to nie jest podpis mojego męża."

„Ależ tak!"

„Nie, proszę pana. Zresztą to wszystko mnie nie interesuje. Zażądaliście, żebym przyszła po klucze męża. Proszę mi je zwrócić! Jeżeli zechcecie wejść do domu, zadzwońcie, otworzę, nie mam nic do ukrywania. Ale życzę sobie otrzymać klucze, bo nie chcę widzieć u siebie mężczyzn w nocy."

„Ale dlaczego ani razu pani nie zastaliśmy w domu?"

„Bardzo prosta przyczyna! Przez cały czas szukałam męża po wszystkich szpitalach i więzieniach!"

Na to gestapowiec poszedł po klucze i wyszłam z dumnie podniesioną głową. To przesłuchanie przydało mi się na przyszłość, zorientowałam się, że kłamał po to, aby wyciągnąć ze mnie prawdę. Nabrałam przekonania, że nic nie wiedzą o naszej pracy. Pierwszą moją troską było zawiadomić szefów, radośnie mnie powitali, ale odtąd nie było już mowy o kwaterowaniu lotników.

— Muszę pani powinszować. A także zadać jedno pytanie: czy razem z kluczami zwrócili pani maszynę do pisania?

— Nie, zatrzymali ją.

— Przypuszczam, że po tym wielkim alarmie poszła pani na zieloną trawkę, jak to się mówi?

— Nie. Pracowałam jak poprzednio, z wyjątkiem kwaterowania. Musiałam teraz wykonywać sama to wszystko, co przedtem robiliśmy z mężem. Aresztowanie jego wzbudziło we mnie silną nienawiść do okupanta, a praca stała się jedyną pociechą.

Pewnego dnia „Victor" przyniósł plany statku „Prinz Hendrik", który Niemcy uzbrajali w Antwerpii, by zrobić z niego „Bateau-flak" [1]. Zawinęłam je w gazetę i wsiadłam do tramwaju. Nagle tramwaj stanął. Żandarmii niemieccy kazali wysiąść wszystkim pasażerom każąc podnieść ręce do góry. Usłuchałam i zostałam obszukana tak jak wszyscy. Żandarmii nie zwrócili uwagi na gazetę, którą trzymałam w podniesionej ręce. Potem spokojnie powróciłam do tramwaju.

Innym razem „Victor" spytał mnie, czy nie znam szybkiego sposobu na przesłanie do Anglii mikrofilmów pochodzących z *Vrye Nederland* [2], umieszczono na nich punkty obrony wybrzeża holenderskiego. Zaczęłam szukać i znalazłam drogę przez pannę Sacre. Ta sprawa wiąże się z moim aresztowaniem, gdyż Niemcy zwęszyli

---

[1] *Bateau-flak* — statek na użytek artylerii przeciwlotniczej.

[2] *Vrye Nederland* (hol.) — Wolna Holandia, holenderski Ruch Oporu (przyp. autora)

istnienie mikrofilmów przez owego „Donalda", który teraz kazał się nazywać „Robert", czyli za przyczyną zdrajcy René Van Muylen, i już zatrzymali dwie „Jacqueline" zamiast mnie.

„Victor" zawiadomił, że „Robert" koniecznie chce mnie widzieć. Spotkanie odbyło się w „Cap Nord", wielkiej kawiarni przy place Rogier, byli tam „Victor", Charles Hoste zwany wówczas „Lebien" i komisarz Daniel Witdouck, noszący pseudonim „Leplat". Rozmawialiśmy na różne tematy, potem Witdouck dodał; „Będziemy teraz wiedzieli co się dzieje w *Geheime Feldpolizei* przy ulicy Traversière!"

Wyjaśnił, że pewien Niemiec z *GFP*, dostarczający informacji do *Service Zéro,* poprosił Ruch Oporu o azyl w razie, gdyby go zdemaskowano, a potem opowiadał o sprawach *GFP.* Ten Niemiec, który nosił służbowy numer 132, ukrywał się w pewnym domu w Schaerbeek. Naturalnie że ów „Robert" zaraz się pośpieszył i złożył raport w *GFP* w Antwerpii.

Bardzo byłam ostrożna w stosunku do Van Muylen, gdyż kiedyś powiedział: „Niech się pani nie przestraszy, kiedy mnie spotka w mundurze niemieckiego oficera! Czasem ośmielam się to robić ze względu na swoją pracę". To mnie zaskoczyło i nic nie odpowiedziałam. Pomyślałam, że albo naprawdę ma dużo tupetu, albo to coś innego, co mi się zupełnie nie podoba. Rozmawiałam o swoich podejrzeniach z Daelemansem.

„Ja także nad tym się zastanawiałem, ale to nie jest możliwe by grał podwójną rolę" — odpowiedział.

To mnie bynajmniej nie przekonało i w głębi duszy czułam, że nie można ufać temu „Robertowi"

Nieufność wzrosła, kiedy on bardzo nastając, by się ze mną spotkać, poprosił o listę osób udzielających kwater lotnikom. „Bardzo mi przykro, ale nie mogę jej panu dać. Zresztą na nic by się panu nie przydała, gdyż te osoby nie przekazałyby panu lotników, przecież pana nie znają."

Przypuszczam, że ta odpowiedź spowodowała decyzję Niemców by mnie aresztować. Dzięki pomocy Van Muylena zidentyfikowali mnie jako „Jacqueline", której szukali, a jeżeli pozostawili mnie jeszcze na wolności to po to, by wyciągnąć ze mnie, co się da. Od chwili, kiedy odmówiłam wykazu kwater, nie nadawałam się już do niczego. To spotkanie w „Cap Nord" odbyło się o tydzień wcześniej niż moje aresztowanie.

Kiedy mieliśmy już wyjść, dalej rozmawiałam z „Victorem" i „Robertem", nie zauważyłam, że Charles Hoste i Daniel Witdouck żartem zabrali moją torebkę. Czekali na moją reakcję przy drzwiach, w końcu Hoste stracił cierpliwość i powrócił mówiąc:

„Nie zdaje pani sobie nawet sprawy, że ukradziono pani torebkę, proszę, oto ona!"
Na nieszczęście odpowiedziałam w obecności „Roberta": „To, co pan zrobił nie jest godne policjanta!"

Gorzko później tego żałowałam, gdyż potem całymi dniami siedziałam jak na rozżarzonych węglach z powodu słowa „policjant": Van Muylen dotąd nie wiedział, co się kryło za pseudonimami „Lebien" i „Leplat".

W poniedziałek 31 lipca 1944 roku spotkałam się w tej samej kawiarni z „Victorem", bo ja teraz byłam łącznikiem między Brukselą a Antwerpią. Poznałam po jego twarzy, że coś się dzieje niedobrego.

„Jacqueline — powiedział — wszyscy w Antwerpii są aresztowani." Radziłam, by pojechał do Virton, w Luksemburgu, tam mógł znaleźć schronienie. „Ciebie nie znają w Antwerpii, czy mogłabyś pojechać z listem do mojej żony?"

Zgodziłam się, napisał list, schowałam go do kieszeni kostiumu. Oprócz tego powinnam była nawiązać kontakt z pewnym inżynierem z *PTT* [1] w Antwerpii, który w chwili wycofywania się Niemców powinien sprytnie stosować sabotaż sieci łączności w ten sposób, by była zdatna do użytku zaraz po wkroczeniu aliantów. Inżynier miał poprzednio osobiście przyjechać do Brukseli w tej sprawie. Lecz w umówionym dniu zostały zbombardowane tory między Antwerpią a Brukselą. Miał z nim rozmawiać Charles Hoste alias „Lebien", ale na skutek aresztowania Blanche Escrinier z Siatki Eva nikt go o tym nie zawiadomił. Wiedziałam, jak się z nim skomunikować za pomocą skrzynki listowej, napisałam parę słów zagadkowych i schowałam je do drugiej kieszeni. Potem pożegnałam Daelemansa, radząc mu ukrywać się aż do czasu wyzwolenia. Wyszliśmy z kawiarni każde innymi drzwiami.

W jednej chwili po obu moich bokach znaleźli się dwaj mężczyźni z *Geheime Feldpolizei*, to samo spotkało Marcela Daelemansa. Pani Domms z Antwerpii, łącznik „Victora", która przywiozła dla mnie plany i mikrofilmy, właśnie nadeszła i nie dostrzegła Niemców przy „Victorze". Zawołała do niego: „Hu, hu!"

Tajniacy odwrócili się, i natychmiast ją chwycili: *„Kommen Sie mit uns, Hu-Hu!"* [2]

Zaprowadzili nas na plac Rogier, gdzie stały zaparkowane małe auta z napisem POL. Usłyszałam, że jeden z moich stróżów pyta drugiego: „Czy to jest Jacqueline?" „Tak" — odpowiedziałam.

---

[1] *PTT — Poste-Télégraphe-Téléphone* (fr.) (przyp. tł.)

[2] *Kommen Sie...* (niem.) — Proszę iść razem z nami, Hu-Hu!

Z tonu pojęłam, że wścieka się z powodu wymknięcia się Charles'a Hoste i inżyniera, których się spodziewał. Zawieźli nas do koszar Saint-Anne w Laeken, gdzie *GFP* dysponowała pojedynczymi celami. Myśląc o dwóch listach w kieszeniach, nie miałam czym się pysznić! Treści listu otrzymanego od „Victora" nie znałam. W liście napisanym do Charles'a Hoste wspominałam o trzystu parach pończoch na czarnym rynku: chodziło o zgrupowanie zestrzelonych lotników, odkryłam je w Brabancji, okazało się zbyt liczne. Na szczęście powstrzymałam się przed napisaniem nazwiska na kopercie.

Kiedy wiozące mnie auto zatrzymało się na podwórzu koszar, wsadziłam oba listy pod siedzenie wozu. Kryjówka widocznie była klasyczna, gdyż zaledwie wprowadzili mnie na przesłuchanie — oba moje listy znalazły się na widoku. Może zresztą szpiegowali nas wcześniej, kiedy rozmawiałam z „Victorem" w „Cap Nord" i Niemcy prawdopodobnie wiedzieli, że mam listy w obu kieszeniach.

To pierwsze przesłuchanie rozpoczęte o szóstej wieczór trwało do szóstej rano. Nie przyznawałam się do niczego nie wiedząc, z jakiej przyczyny mnie aresztowali: za przynależność do *Front de l'Indépendance*, do *Milices Patriotiques*, do *Service Marc* czy do Komety. Za ciągłe wypieranie się zapłaciłam serią policzków wymierzanych w twarz przy harmonijnym akompaniamencie klaśnięć — od których dostawałam zawrotów głowy — kopniakami i ciosami pięści. Wkrótce dowiedziałam się, że stoję pod zarzutem trzech przewinień, najwięcej jednak Niemców interesował ów ich kolega-zdrajca z *GFP*, dostarczający nam informacji. Cały ich sztab był obecny, ośmiu oficerów, wyrzucali z siebie pytania: „Kto to jest Lebien? Kim jest Leplat? Kim jest Maurice?" Udawałam, że nie wiem.

„W jaki sposób pani się z nimi kontaktowała?"

„Telegramem do mojej skrzynki listowej" — odpowiedziałam, bo już wiedzieli, kto jest tą skrzynką.

„Kto przychodził po telegram?"

„Goniec."

„Wyśle pani telegram, podyktujemy treść."

„Nie."

Rozległ się nowy muzyczny akompaniament. Uważali, że kpiny trwały zbyt długo i dali to odczuć. Usłyszałam nadjeżdżające auto: powrócili oficerowie, którzy wyruszyli do Antwerpii po obciążające dowody. Jeden z nich wywijał jakimś papierem: „A to, Jacqueline? To nie pani podpis?"

Skoro dotąd do niczego się nie przyznałam poza kontaktami ze

skrzynką listową — powiedziałam, że to nie mój podpis. Chodziło o pokwitowanie, które kazał mi podpisać Van Muylen — co uważałam za bardzo niewłaściwe — chodziło o trzydzieści czy czterdzieści tysięcy franków przeznaczonych na wypłatę za kwatery, bo Van Muylen płacił, żeby nas wprowadzić w błąd! Przekazałam tę sumę Charles'owi Hoste, lecz Van Muylen żądał pokwitowania.

„Wie pan, nigdy nie podpisywałam kwitów! Mamy zaufanie do siebie!" — powiedziałam. „Linia *KLM* wymaga, by rachunki były w porządku. Zresztą pani podpisze tylko swoje przybrane imię, na kwicie nie ma żadnych szczegółów, nie ma się pani czego obawiać."

W końcu miałam tego dość i podpisałam „Jacqueline". Teraz podsunęli mi pod nos to pokwitowanie. Może pan sobie wyobrazić dalszy ciąg.

Wszyscy nasi lotnicy byli wyposażeni w „pastylki energii", otrzymywali je w Anglii przed lotem. Jeden z nich powiedział do mnie: „Oczywiście że nas pobudzają, ale jeżeli się ich zażyje za dużo, wtedy koniec!"

Zrozumiałam to w ten sposób, że zażyte w nadmiarze pastylki te spowodują niebezpieczne nadmierne podniecenie, a nawet śmierć. W przewidywaniu aresztowania zrobiłam sobie ich zapas, nosiłam je w podwiązkach. Ponieważ w koszarach Sainte-Anne nie było żadnej kobiety, która by przeprowadzała rewizję osobistą, miałam je przy sobie i postanowiłam zażyć w momencie, kiedy będę czuła, że dłużej już nie wytrzymam. Dysponowałam środkiem, który mnie chronił przed rozwiązaniem języka.

Przebywałam w tych koszarach przez trzy tygodnie, codziennie przesłuchania. Niemcy każdego dnia napierali, żebym nadała telegram do swojej skrzynki listowej. Na czwarty dzień uległam, wiedząc z doświadczenia, że trzy dni nieprzychodzenia na spotkania wystarczą, by wszyscy zrozumieli, że mnie aresztowano. Z drugiej strony nigdy dotąd nie wysyłałam telegramów do skrzynki listowej z dwóch przyczyn: po pierwsze taki sposób porozumiewania się mógłby obudzić podejrzenie w niemieckiej policji, a po drugie — miałam pięć minut drogi pieszo ze swojego domu do skrzynki listowej, a trzeba by pół godziny czasu na dojazd tramwajem do poczty przy la Bourse — jedynej, którą Niemcy upoważnili do przyjmowania telegramów. Ta cała historia z telegramami była tak naciągnięta, że zadawałam sobie pytanie, czemu Niemcy nie mogą zrozumieć, że zastawiałam na nich pułapkę. Nie pojęli i w nią wpadli. Kiedy otrzymała telegram moja skrzynka listowa, natychmiast zrozumiała i chociaż była nadzorowana, znalazła sposób na przekazanie wiadomości na numer telefonu, który jej powierzy-

łam. Zaraz nasi przerwali wszelką akcję. Wszyscy zresztą już byli zaalarmowani moim zniknięciem.

„Gdzie pani się spotykała ze swoimi szefami?" — pytali Niemcy.

„Na ulicy."

„W jakiej dzielnicy?"

„La Bourse."

W tej dzielnicy właśnie nigdy się nie spotykałam z kolegami. Wsadzili mnie do małego auta i pod nadzorem dwunastu ludzi z *GFP*, którzy podzielili się na małe grupki, spacerowałam po chodniku przez pół godziny. Byłam pewna, że nikt z Ruchu Oporu się nie zjawi, lecz obawiałam się, żeby się nie nawinął ktoś ze znajomych, z którymi pozostawałam w towarzyskich stosunkach. Zwykłe „dzień dobry" z ich strony drogo by kosztowało!

Moim kozłem ofiarnym stał się nasz przyjaciel Léopold Prist, którego wcześniej zamordowano w lasach de Soignes. Jemu już nic nie mogło zaszkodzić, nieżyjącemu biedakowi. Obciążyłam go winą za wszystko, dzięki temu nikogo Niemcy nie aresztowali. Powracali bez przerwy do sprawy dezertera z *GFP*, chcieliby go złapać, ale ja niezmiennie odpowiadałam, że nie znam tej sprawy.

„A więc dobrze, nie chce pani mówić, to skonfrontujemy panią z jej przyjacielem Victorem, z Daelemansem. On wszystko powiedział!" Nalegania Niemców wystarczająco wskazywały na to, że nic nie potrafili wydusić z „Victora". Przyprowadzili go. Mieli tupet powiedzieć, że brałam pieniądze od Anglików za odsyłanie z powrotem lotników! Uznałam to za okazję dać do zrozumienia „Victorowi" w przesadnej formie, że nic nie powiedziałam. Zwróciłam się do niego z obrażoną miną: „Możliwe, że żyliśmy ze sobą, ale nigdy mi za to nie płaciłeś! Zaskoczony „Victor" otworzył usta ze zdziwienia, potem zrozumiał. Wzruszył ramionami jakby mówiąc: „Za późno!" Niemcy uwzięli się, abyśmy wspólnie opisali wygląd kolegów: Lebiena, Maurice'a, „Leplat". Zrobiłam to w sposób najbardziej fantastyczny, na przykład twierdziłam, że „Leplat" był rudy, gdy tymczasem włosy jego były krucze. Wszystko, co mówiłam, „Victor" potwierdzał: *„Das stimmt!"* [1]

Wpadłam w wielką konsternację, kiedy po wyzwoleniu zobaczyłam „Leplat", który stał się na nowo komisarzem Witdouck. Zdjął czapkę i pokazał czuprynę w najpiękniejszym rudym kolorze mówiąc: „Widzisz, co musiałem z siebie zrobić po twoim aresztowaniu, żeby zmienić swój wygląd!"

Mikrofilmy zawierały plany obrony Niemców, przyjechał jeden

[1] *Das stimmt* (niem.) — Zgadza się.

z *GFP* z Amsterdamu, by o tym rozmawiać ze mną. Ciągle powtarzał o „małych paczuszkach", więc wreszcie rozdrażniona zapytałam: „Co tam było w tych małych paczuszkach?"

Popatrzył na mnie i oświadczył: „Z pewnością nie *Mickey Mouse*!"

Nie mogąc ze mnie nic wyciągnąć, dali mi oficerskie słowo honoru, że mnie wypuszczą na wolność, jeżeli odpowiem na ich pytania.

Nie mając już nic do stracenia, odpowiedziałam: „Wszystkim wiadomo, że posyłacie do koszar Sainte-Anne skazanych na śmierć. Jeżeli stąd wyjdę, koledzy pomyślą, że ich zdradziłam i mnie zabiją. Wolę, żebyście to wy zrobili, będzie to bardziej zaszczytne dla mojej rodziny".

Warunki, w jakich szłam z celi na przesłuchanie, były bardzo deprymujące. Nakładano mi przez głowę worek z dwoma otworami, spełniał rolę mnisiego habitu, prowadzono mnie do pokoju z łóżkiem, a czasem do pokoju z wanną. Tam mówili: „Wyrwiemy ci paznokcie, żebyś była bardziej rozmowna!" Powtarzana kilkakrotnie groźba nie wywierała skutku, ale załamałam się, kiedy mi zagrozili, że sprowadzą męża z Buchenwaldu i skonfrontują ze mną.

Gestapo aresztowało męża za sprawą zbrojnego Ruchu Oporu, nie pociągnęło to za sobą aresztowań ani w wywiadzie, ani w Komecie. Jeżeli *GFP* zajmie się jego teczką personalną, można się wszystkiego obawiać. Po wyjściu z tego przesłuchania połknęłam cały posiadany zapas „pastylek energii", spodziewając się, że umrę, a tym samym mąż uniknie tej konfrontacji, która mogła zburzyć cały mój system obrony. Nie umarłam, jak pan widzi, ale rezultat był tragiczny dla moich nerwów, które dotąd były odporne.

Była jedenasta wieczór. Zaczęłam bębnić w drzwi swojego lochu. W koszarach Saint-Anne cele były oddzielone jedna od drugiej korytarzem, a sufit w nich stanowiła metalowa krata, co pozwalało żołnierzom wehrmachtu tam skoszarowanym i pełniącym rolę strażników słyszeć nas bez potrzeby chodzenia po korytarzu. Wkrótce przez judasza w moich drzwiach rozległo się zapytanie: „*Wer da?*" [1]

Zaskoczona, odpowiedziałam pierwszym słowem, które mi przyszło do głowy: „*Papiere!*"

Żołnierz odszedł, powrócił i podał mi przez judasza kawałek cukru. Odszedł i znowu przyszedł podając zapalony papieros.

„*Nein!* — powiedziałam. — *Papiere!*"

Zniknął z mojego pola widzenia, za chwilę przyszedł z niemiecką gazetą, rozłożył ją tak, żebym poprzez judasza mogła czy-

[1] *Wer da?* (niem.) — Kto tam?

tać. Nie mówiłam po niemiecku, ale rozumiałam język bardzo dobrze i zobaczyłam artykuł o wylądowaniu aliantów na francuskim wybrzeżu Morza Śródziemnego. Żołnierz uśmiechnął się i powiedział cicho: *„Krieg fertig!"* [1] Od razu wzmocniłam się na duchu.

Zapomniałam panu powiedzieć, że pewnego wieczora wrzucono do mojej celi młodą dziewczynę z rękami skutymi na plecach. Z początku uważałam ją za szpicla i pozwoliłam jej przez całą noc gotować się we własnym sosie. Rano spostrzegłam, że ma twarz wzbudzającą zaufanie, i spytałam, za co tutaj się znalazła. Odpowiedziała, że przybyła z Anglii zrzucona na spadochronie razem z młodym chłopcem, była jego radiooperatorem. Oboje zostali przyłapani przy nadawaniu, na strychu fermy w okolicy Gembloux i przywieziono ich do koszar Sainte-Anne. Jej towarzysza zamknięto w jedynej wolnej celi, a ją umieszczono w mojej. Dowiedziałam się, że jej, podobnie jak i mnie, z tej samej przyczyny nie zrobiono rewizji osobistej. Miała przy sobie notes zawierający kod, jej ręce były w kajdankach założonych na plecach. Wyjęłam notes, podarłam jego kartki na malutkie kawałeczki.

„Mój kolega jest tutaj naprzeciwko" — powiedziała. — Niebawem ją zabrano.

Udało mi się go zobaczyć w momencie, kiedy wracał z przesłuchania. Nieszczęsny chłopak był nagi, leżał na noszach. Kiedy go podniesiono — spostrzegłam na plecach jedną krwawą ranę.

Chciałam go pocieszyć nowiną o wylądowaniu aliantów w Provence, postawiłam na stole taboret, wdrapałam się na to wszystko, odłupywałam ze ściany kawałki muru i rzucałam w kratę dla ściągnięcia uwagi sąsiada. Zrozumiał i zaczął robić to samo. Wtedy całkiem cicho, bardzo powoli i wyraźnie zaczęłam skandować:

— Wy-lą-do-wa-nie na wy-brze-żu Mo-rza Śród-ziem-ne-go! Robiłam to kilkakrotnie, by dobrze zrozumiał, wreszcie odpowiedział: „Wol-ność dla Pa-ni! Nie dla mnie!"

Nie pomylił się. Nie zobaczyłam go już po wyzwoleniu. Przypuszczam, że był Francuzem. Znam tylko pseudonim dziewczyny: Arlette. Miała osiemnaście lat, była studentką uniwersytetu w Liège. Jej winę uważali za lżejszą niż moja, wyszła z Sainte-Anne wcześniej ode mnie, wywieziono ją do Ravensbrück, powróciła stamtąd. Pojechała do Konga belgijskiego, przez pewien czas otrzymywałam od niej wiadomości, potem kontakt się urwał.

Trzytygodniowy pobyt w Sainte-Anne uchronił mnie od wywiezienia. Pewnego rana feldfebel przyszedł po mnie z „habitem" Westchnęłam: „Znowu!" „Tym razem to nie będzie długo! Obiecuję!"

---

[1] *Krieg fertig!* (niem.) — Wojna skończona!

I naprawdę tego dnia nie było przesłuchania. W sali czekali na mnie szef *GFP* i niemiecki lekarz wojskowy, który badał mi puls. Potem długo się naradzali po cichu, nic z tego nie słyszałam. Nie przypuszczam, by dyskutowali nad stanem mojego zdrowia! Byliśmy na dwa tygodnie przed uwolnieniem Brukseli, sprawy dla Niemców źle się układały i jestem przekonana, że to rzekome badanie lekarskie było tylko pretekstem do ich swobodnej rozmowy bez świadka poza mną. Nazajutrz przewieźli mnie do więzienia Saint-Gilles i umieścili w celi pięciu więźniarek. Cztery z nich zaraz mnie ostrzegły, że piąta jest wtyczką, więc uważałam na słowa. Po ośmiu dniach wysłali mnie do Antwerpii, gdzie znowu przyznano mi prawo do odosobnionej celi w więzieniu przy ulicy Béguines. W kilka dni później zawiadomili, że mam się przygotować do podróży do Niemiec, zabrać ze sobą menażkę i koc. Dzień wlókł się bez końca. Około piątej po południu niemiecka strażniczka otworzyła drzwi mówiąc: „Jest pani wolna. Proszę stanąć w ogonku po swoje rzeczy".

Nie wierzyłam ani jednemu słowu przekonana, że to nowa pułapka, spodziewałam się, że ciężarówka czeka na nas przy wejściu. Ale to była prawda. Pociąg, który miał nas zabrać do Niemiec, to był ów „pociąg-widmo" nie mogący wyjechać poza Malines. Sami Niemcy nie mieli czym się ewakuować. Mieszkańcy Antwerpii zgromadzili się na ulicy patrząc, jak wychodzimy z więzienia. Jeden z nich zaofiarował kwaterę dla mnie i dla brukselskiej pielęgniarki, a nazajutrz wsiadłyśmy do pociągu, który nas dowiózł aż do Boom, gdzie trwała zacięta walka. Tam zobaczyłyśmy pierwszych żołnierzy angielskich. Ciężarówka-śmieciarka z gminy Boom zabrała mnie i takim środkiem lokomocji powracałam do Brukseli, gdzie czekał na mnie pusty dom. Mąż mój powrócił dopiero 25 maja 1945 roku, podobny do strzępu człowieka...

Już miałem się pożegnać z panią Vantuykom, kiedy przypomniałem sobie, że nie zapytałem, co się stało ze zdrajcą „Donaldem", czyli „Robertem".

— Proszę sobie wyobrazić, że w tydzień po powrocie męża z Buchenwaldu usłyszałam dzwonek do drzwi. W lotniku noszącym mundur *U.S. Air Force* rozpoznałam natychmiast Roberta Hooke, który był u nas na kwaterze. Nie zawsze to było łatwe, gdyż nie mógłby pan uwierzyć, do jakiego stopnia mundur zmienia wygląd tych chłopców, których poznaliśmy mizernie odzianych.

„Czy pani wie, kto mnie zaaresztował?" — spytał. — „Przypuszczam, że ten sam, który i mnie wydał! Mam tutaj jego fotografię i pokażę panu."

Skoro tylko powróciłam do wyswobodzonej Brukseli, dowiedzia-

łam się, że „Donald" mnie kazał aresztować. Nie byłam tym bynajmniej zdziwiona, chociaż przy żadnym przesłuchaniu nie robili Niemcy żadnej aluzji do jego osoby. Koledzy dali mi jego zdjęcie, teraz je wyjęłam z szuflady.

„To on! — powiedział Robert Hooke. — Oczywiście, że to on!"

Kiedy przyjechał do Paryża z konwojem jeńców wojennych zwolnionych z obozów w Niemczech, zgłosił się do punktu przyjęć angielskiego Czerwonego Krzyża. Natknął się na owego René Van Muylen, który znalazł tam sobie zatrudnienie. Robert Hooke rozpoznał go i zaalarmował swoich zwierzchników. „Bardzo nam przykro — powiedzieli — on jest Belgiem i nie możemy nic mu zrobić."

Robert Hooke zamiast wsiąść na statek w Boulogne poprosił o rozkaz wyjazdu do Brukseli i złożył mi wizytę. Mój mąż poszedł razem z Robertem Hooke do Pałacu Sprawiedliwości. „Nic nie możemy zrobić — odpowiedzieli. — Ta sprawa należy do okręgu Antwerpii."

Jak panu powiedziałam, mój mąż ledwie trzymał się na nogach, pojechał jednak do Antwerpii wraz Robertem i wreszcie nadano bieg sprawie. Audytor wojskowy przepytywał mnie, nie wiem już ile razy, złożyłam kilometrowe zeznania na piśmie, potem agent sądowy pojechał do Paryża i przywiózł Van Muylena. Nastąpiła konfrontacja wobec wojskowego audytora. „Donald" miał tupet mi powiedzieć: „Jacqueline, pracowałem dla idei niemieckiej podobnie jak pani pracowała dla idei belgijskiej!"

Zapomniał o jednym, że postępując w ten sposób zdradził kraj rodzinny. Osądzono go i skazano na śmierć. Nie zmienił postawy wobec plutonu egzekucyjnego: „Pośpieszcie się z rozstrzelaniem, bo nigdy nie wyprę się swoich poglądów!"

W odróżnieniu od Desittera, „mężczyzny bez palca", którego trzeba było siłą wlec do słupa egzekucyjnego, muszę przyznać, że ten Van Muylen, który tyle złego nam wyrządził, zginął odważnie.

MINOUCHAT

Jeżeli chodzi o mnie — powiedziała pani Marie-Eugénie Jadoulto — zaczęłam się zajmować lotnikami za pośrednictwem Eva. Już pan opisał historię Grupy Eva, więc zna pan nazwisko Renégo Ponty, agenta *Service Zéro* współpracującego razem z Gastonem Matthys i ze mną od lutego 1941, jeżeli dokładnie pamiętam; naszym specjalnym zadaniem był nadzór nad terenami lotniska Beau-

vechain. W czerwcu 1942 roku odbył się wielki nocny lot tysiąca samolotów na Kolonię. Jeden bombowiec przeleciał w płomieniach nad wioską Gottechain, gdzie mieliśmy małą fermę. Natychmiast cała nasza grupa — René Ponty, ja, Jean Lambeau, nasz sąsiad Van Orsmael i stróż polowy Josué — popędziła na rowerach szukać lotników, którzy powinni byli wyskoczyć ze spadochronem.

Było to między drugą a trzecią rano. Przeczesywaliśmy okolicę i znaleźliśmy lotnika leżącego na polu, zdawało się, że śpi. Biedny chłopiec zginął w gwałtownym ogniu strzałów, podle zamordowany przez niemieckiego myśliwca z Beauchevain, kiedy ratował się skokiem na spadochronie. W powrotnej drodze natknęliśmy się na cyklistę jadącego w kierunku wielkiej wsi Grez-Doiceau.

„Dokąd tak gonisz?" — zapytała żona farmera Van Orsmael.

„Po lekarza." Zrozumieliśmy, że chodzi o rannego lotnika.

„Nie ma mowy! Czy nie wiesz, że tamtejszy lekarz to rexista?"

Lotnik znajdował się u siostry Van Orsmaela, na drugim końcu wioski. Zabraliśmy ze sobą podręczną apteczkę i poszliśmy do tego domu zapełnionego ludźmi, co najmniej dwadzieścia osób przybiegło zobaczyć, co się dzieje. Lotnik był bardziej zamroczony niż ranny. Miał trudności z wyskoczeniem, spadochron zaczepił się o samolot, lotnik zderzył się z płonącą kabiną, starał się uwolnić, zgubił przy tym buty, odczepił się dopiero w momencie, kiedy odpadł jeden z silników, wtedy samolot zachybotał i wyrzucił lotnika w górę. Ta niebezpieczna sytuacja wywołała w nim szok. A zatem René Ponty i Jean Lambeau wzięli go na ręce i nieśli okrążając wieś, żeby uniknąć ciekawskich. Nagle usłyszeliśmy warkot motorów. Była przepiękna noc księżycowa, o wiele za jasna dla nas. Zboczyliśmy w cień rowu za płotem, Niemcy przejechali nie widząc nas.

Cali i zdrowi wróciliśmy do domu. Mama i ja zajęłyśmy się lotnikiem. Ten dwudziestoparoletni chłopiec patrzył na nas ze zdziwieniem. Tymczasem Van Orsmael i jego żona trzymali straż na zewnątrz, a René i Jean weszli na piętro, otworzyli starą szafę, której górna część była zdjęta, co pozwalało wdrapać się na strych po podniesieniu klapy. Była tam ukryta broń. Nagle fermerka przybiegła zadyszana: „Patrol idzie do nas!" i uciekła przez ogród za domem.

Chwyciłam lotnika, jeszcze niezdolnego do poruszania się, przewiesiłam przez poręcz i popychałam go wchodząc na piętro. Zdążyłam krzyknąć do mężczyzn: „Bosze idą!" i powróciłam na parter akurat w chwili, kiedy Niemcy wkraczali na podwórze. Tam stały nasze rowery, co w połączeniu z oświetlonym domem mo-

gło wzbudzić ich podejrzenia. „*Engländer hier! Engländer hier!*[1]" — wołali.

— *Was?* — odpowiedziałam — *Nein! Kein Engländer!*[2]

Mówiąc to zauważyłam w oddali jakąś białą plamę, która we mgle podobna była do spadochronu. Tak mnie to zaskoczyło, że patrzyłam jak urzeczona, Niemcy odwrócili się, poszli za moim wzrokiem, dostrzegli biały kształt i wrzasnęli: „*Da! Da!*"[3]

Ruszyli z pośpiechem ku temu, co było tylko dużą kupą sztucznego nawozu. Aby tam dojść, musieli iść na przełaj przez pola i przeskakiwać płoty. Mieliśmy dość czasu, żeby położyć na strychu materac, a na nim naszego zamroczonego lotnika, wywindowanego przez klapę. Tymczasem pani Van Orsmael przygotowywała kanapki z jajkami i słoniną, garnuszki mleka i kawy, co razem z butelkami wody mineralnej ze Spa i kubłem powędrowało na strych w ciągu kilku minut.

Lotnik odzyskiwał przytomność. Powiedzieliśmy do niego: „*Now, be quiet! Sleep all the day!*"[4] Potem zamknęliśmy klapę, pogasiliśmy światła. Pani Van Orsmael czuwała w ogrodzie udając, że sieje. Mama, ja i René Ponty pojechaliśmy do Hamme-Mille, by tam wsiąść do tramwaju parowego, poczciwej starej ciuchci. Według czasu niemieckiego było około szóstej, a według słońca około czwartej, lecz było już całkiem jasno, gdyż dni stawały się najdłuższe w tym okresie. Jedni z ostatnich wyjechaliśmy z Gottechain, Niemcy już zaciskali wokół niego koło. Łaskawie pozwolili nam przejechać i spokojnie przybyliśmy do Brukseli.

Po dwóch dniach powróciliśmy na wieś. Na szczęście Niemcy rozpoczęli przeszukiwanie domów z przeciwnej strony. A nasi zacni wieśniacy dla uniknięcia rekwizycji poukrywali, co kto miał: ziarno, świnię, cielaka czy krowę. Przyszli żołnierze, aż tu nagle poruszyła się słoma w stogu: gwizdki, krzyki, pistolety maszynowe wycelowane w stóg, skąd Niemcy zamiast spodziewanego lotnika wyciągnęli ładną tłustą świnię, która protestowała na swój sposób górując nad ich wrzaskami przeraźliwym kwiczeniem. Gdzie indziej znaleźli cielę ukryte wśród tyk do fasoli. Pewien żołnierz powrócił biegiem z piwnicy z wiadomością, że odkrył duże białe płótno pod wiązką chrustu. Otoczyli dom, wsunęli lufę pistoletu maszynowego przez okienko do piwnicy i ledwie żywi ze strachu trzej *Feldgrau*

---

[1] *Engländer hier!* (niem.) — Anglicy tutaj!

[2] Was... (niem.) — Co? Nie! Nie ma żadnych Anglików!

[3] *Da...* (niem.) — Tam, tam!

[4] Now... (ang.) — Teraz zachowuj się spokojnie! Śpij cały dzień!

zeszli na dół, za nimi posuwało się pięciu zalęknionych kolegów. Zdjęli gałązki, ostrożnie podnieśli białe płótno i znaleźli beczkę, w której marynowała się szynka i boczki!

U stróża polowego Josué sprawa przybrała obrót trywialny. Po wejściu do sypialni Bosze stwierdzili, że pościel jest poplamiona krwią. Ich podniecenie zamieniło się w atak furii, nie pozwalając pani Josué wtrącić ani słowa. Nagle oniemiała: spostrzegła na komodzie rewolwer męża. Przyszło natchnienie: chwyciła swoje majtki przygotowane do prania i podsunęła je pod nos Niemcom. Odskoczyli do tyłu, skonsternowani, uświadamiając sobie, że krew w łóżku pochodzi z menstruacji fermerki. Wychodząc w pośpiechu, nie zwrócili uwagi na rewolwer, kiedy weszli do nas, byli tak pełni obrzydzenia, że tylko pobieżnie rzucili okiem na dom.

Nasz lotnik na strychu już odzyskał siły, sprowadziliśmy go na parter i zaczęliśmy wypytywać. Teraz poważnie nas zaniepokoił, gdyż za każdym razem, kiedy nie rozumieliśmy, co mówi po angielsku, przechodził na język niemiecki. Na drugi dzień sprowadziliśmy do niego przyjaciela Renégo, który doskonale znał angielski, i dzięki temu znaleźliśmy klucz do zagadki: William Norfolk przed wojną często przebywał w niemieckiej części Szwajcarii.

Nie mógł pozostawać w nieskończoność na naszej małej fermie, ciuchcią odwieźliśmy go do Brukseli, umieszczając w kącie wagonu z zakazem otwierania ust.

René Ponty zabrał naszego „Billa", jak nazywaliśmy Williama Norfolk, do swojego mieszkania przy rue du Cadran, potem przeszedł lotnik do mojego wuja, Antoine'a Yans, byłego oficera, którego żona była pielęgniarką podczas wielkiej wojny. W tym nowym schronieniu pozostał dziesięć dni, tuczony jak gęś, a tymczasem René nawiązał kontakt z Gastonem Matthys. Komu potem powierzono Billa?

Zdaje mi się, że zajęła się nim Michou, gdyż chyba po dwóch tygodniach dopiero nawiązaliśmy łączność z Anne Brusselmans.[1]

Ponty kwaterował w sumie dwudziestu dwóch lotników, każdego z nich pomagałam mu konwojować. Jego zasługa była tym większa, że Niemcy mogliby go uważać za Polaka, ponieważ urodził się w Częstochowie, gdzie ludność całej Polski czci czarną Matkę Boską. Gdyby go przyłapali, poddaliby natychmiast egzekucji. Ze względu na to nie pozwalałam mu robić osobiście rekonesansów na terenach lotniczych w Beauvechain. Pożyczałam od pani Van Orsmael ausweis i jechałam tam na rowerze, przebywając na uprawnych ziemiach włączonych do lotniska. Pozwoliło mi to określ-

[1] William Norfolk przeszedł do Hiszpanii 18 lipca 1942 roku.

lić położenie dział przeciwlotniczych *D.C.A.* zamaskowanych gałęziami. Pewnego dnia zobaczyłam na widocznym miejscu samolot-atrapę z drewna. Zawiadomiłam o tym Londyn za pośrednictwem *Service Zéro*. W niecały tydzień później Anglicy zrzucili wokoło tego samolotu bomby także drewniane. Widzę w tym rys specyficznego brytyjskiego humoru.

— Niejeden raz tak zrobili we Francji, czego nie pochwalałem: *R.A.F.* wykazując Niemcom, że nie da się nabrać na kawał, tym samym ich zawiadamiał, że miał doskonały wywiad, co nie pozostawało bez przykrych konsekwencji dla naszych siatek.

— Oczywiście, ale odrobina fantazji nie była tak bardzo szkodliwa. Wywołało to wśród nas tyle śmiechu, a w tamtych czasach tak nam śmiechu brakowało! Nieraz nocą powracał znad Niemiec bombowiec ścigany przez myśliwce, to znaczyło, że miał ołów w skrzydle, i kiedy warczał na lotnisku niemiecki myśliwiec, serce nam się ściskało z bólu. Myśliwiec atakował i zaraz potem dochodził do nas odgłos serii strzałów wymierzonych w uszkodzony bombowiec.

Jeden z lotników w Beauvechain wyspecjalizował się w tym zawodzie mordercy. Ale pewnej pięknej nocy zestrzelili go alianci i rozbił się z samolotem w miejscu zwanym „Les Lois" [1]. Na szczątkach aparatu Niemcy wymalowali krzyż. Pozostałam w pobliżu przez dwie godziny czekając, aż zabiorą trupa. Nadjechał *tilbury* [2] zaprzężony w czystej krwi araba, jednego ze zrabowanych u mojego wuja. Powoził porucznik *Luftwaffe*. Wysiadł, pochylił się nad zwłokami martwego pilota. Kiedy podniósł głowę, widziałam, że płacze.

Włoska eskadra wylądowała na terenie Beauvechain. Włosi i Niemcy nie znosili się wzajemnie, a zły humor Niemców okazywany sprzymierzeńcom podsycał fakt, że w pobliskich barach Włosi odnosili pewne sukcesy wśród dziewcząt odwracających się tyłem do wojskowych z *Luftwaffe*. Miałam przyjemność przyglądać się bójce za pomocą buraków, jaka wywiązała się między Niemcami a Włochami. Był to okres wykopków i mogłam stwierdzić, że burak cukrowy rzucony z rozmachem staje się straszliwym pociskiem. Na obu polach przeciwnicy padali jak kręgle.

Niemcy mieli niekiedy więcej szczęścia niż z naszym przyjacielem Billem. Dwaj lotnicy lądujący na spadochronach, złapani przez wroga, szli pod strażą żołnierza. Kiedy wymijali handlarza biletami na loterię, ten podał Anglikowi los. Myśląc, że to jakaś reklama, lotnik schował go do kieszeni, co spowodowało gwałtowne protesty

---

[1] Les Lois (fr.) — Prawo. Sprawiedliwość

[2] *tilbury* (ang.) — lekki powóz o dwóch kołach

handlarza. Dla świętego spokoju żołnierz niemiecki zapłacił za los i rozeszli się obaj zadowoleni.

Niekiedy zachodziły perypetie przenoszące nas w klimat *Far West*[1]. Pewien Amerykanin nazwiskiem Marshall Crought miał kwaterę u młynarza w Ecaussinnes. Przyszło gestapo. Marshall Crought wyskoczył przez okno, dosiadł na oklep konia młynarza, puścił się galopem biorąc w locie przeszkody, płoty i bariery. Zniknął bez śladu. W jakiś czas później pani Van Vyve, żona majora lotnika, którego Andrée de Jongh przeprowadziła do Hiszpanii w styczniu 1942 roku, zawiadomiła, że w *Home Prince Baudouin*, którym zarządza, przechowuje amerykańskiego lotnika. Oboje z René Pontym pojechaliśmy do niego do Ninove: był to Marshall Crought. Elektryczną ciuchcią zawieźliśmy go bez przeszkód do Brukseli. Ustaliliśmy, że Ponty pójdzie naprzód, a ja z lotnikiem pięćdziesiąt metrów za nim i jeżeli Ponty upuści rękawiczki, będzie to znaczyło, że musimy zboczyć z drogi. Po krótkim czasie rękawiczki lecą na chodnik. Był to dzień pierwszego maja, więc wojsko strzegło mostów w przewidywaniu manifestacji. Jeżeli zrobimy w tył zwrot, ściągniemy podejrzenia Niemców... Nadeszła handlarka z konwaliami. Kupiłam u niej bukiecik i czule obejmując Marshalla uśmiechnęłam się do Fritzów tak rozczulonych tą sceną, że pozwolili nam przejść o nic nie pytając. Przez ciche uliczki zaprowadziłam lotnika do Anne Brusselmans, która nim się zajęła. Skierowany przez Kometę do Paryża, a potem ku granicy hiszpańskiej, nie wiem w jakich okolicznościach zgubił swojego konwojenta. Sprytny jak Siuks prześlizgnął się w Pireneje. Na widok francuskiego żandarma zaufał mu i spytał o drogę. Ten nikczemnik pośpieszył się go wydać gestapo. Widząc jego dokumenty bardzo dobrze sfałszowane, gestapowcy zdali sobie sprawę, że korzystał z usług dobrze zorganizowanej siatki i prowadzili srogie przesłuchanie z wyrywaniem paznokci włącznie. Marschall Crought zachował milczenie, za co zapłacił obozem w Buchenwaldzie zamiast czekać na koniec wojny w obozie jeńców wojennych, do czego miał prawo. Przeżył obóz, powrócił do Paryża, kazał sobie wypisać rozkaz wyjazdu plus jeep, wyruszył nim na granicę hiszpańską, odnalazł żandarma, który go wydał i jak dobry rancher wziął go na lasso. Przymocował do jeepa i wyruszył z powrotem wolnym biegiem, zmuszając żandarma-zdrajcę do szybkiego dreptania za autem, dopóki go nie oddał w ręce policji.

— Ależ to wspaniała historia! Jej echo rozeszło się w okolicy Bayonne, tam pamiętają ten epizod z lassem. Bardzo żałuję, że

[1] *Far West* (ang.) — Daleki Zachód

Marshall Crought miał nieszczęście natrafić na francuskiego żandarma tego pokroju, czarną owcę wśród elity, w której Ruch Oporu znalazł tylu ofiarnych pomocników, a nawet odważnych członków. Ale nie powiedziała mi pani, jaki los spotkał młynarza, który kwaterował lotnika?

— Niemcy zemścili się za ucieczkę Marshalla Crought, aresztując młynarza i jego żonę. Spotkałam się z młynarką w Saint-Gilles i pocieszyłam ją, że odzyskaliśmy Marshalla.

— W jaki sposób mogła pani ją o tym poinformować?

— Bardzo zwyczajnie, bo mnie także wkrótce potem aresztowano. Ale mówmy raczej o lotnikach, to o wiele bardziej interesujące. Przypominam sobie pewnego Irlandczyka zestrzelonego w Holandii latem 1943 roku. Było bardzo gorąco, więc pozostał tylko w koszuli i kalesonach, które celowo zabrudził tarzając się w pyle, potem zabrał krowę z łąki i popędził ją przed sobą, bo nie miał uzdy ani powroza. Dowód osobisty odbity na jedwabiu bielizny pozwolił mu unikać ruchliwych dróg i tak szedł przed siebie razem z krową.

— Ależ to scenariusz filmu z Fernandelem *La Vache et le Prisonnier!* [1]

— Nie wiem, czy film powstał na podstawie tego zdarzenia, które panu opowiedziałam, ale jest ono prawdziwe. Jeżeli z tego zrobiono film, to powinien się raczej nazywać: *La Vache et l'Aviateur!* [2]

Nasz Irlandczyk zresztą wkrótce porzucił tę krowę, która okazała się krnąbrna i zastąpił ją inną: w Holandii krów nie brakuje! Maszerując w nocy spał we dnie, kiedy gorliwie chrapał, znalazł go rolnik z Lembeek, wioski leżącej na szlaku z Brukseli do Mons. Wieśniak zabrał się do koszenia łąki i natrafił na niespodziankę. Ten lotnik znalazł schronienie u Renégo Ponty. Bardzo lubił ziemniaki, sam je obierał i potrafił zjeść ich nieraz dwa kilo. Ochrzciłam go imieniem „Paddy" [3]. On też skorzystał z przerzutu za Pireneje dzięki tajnej siatce.

Zbliżało się Boże Narodzenie 1943 roku. Anne Brusselmans i ja postanowiłyśmy je uczcić dwiema gęsiami tuczonymi dla nas na fermie w Gottechain. Kiedy były już dostatecznie tłuste, przewiozłyśmy je ciuchcią do Brukseli, każda z nas miała jedną zamkniętą w koszyku. W czasie podróży właśnie w tym momencie, kiedy przechodzili kontrolerzy żywności, moja gęś wywierciła sobie dziurę

---

[1] *La Vache et...* (fr.) — Krowa i jeniec

[2] *La Vache et l'Aviateur* (fr.) — Krowa i lotnik

[3] Paddy — zdrobnienie imienia Patrick, patrona Irlandii (przyp. aut.)

w pokrywce kosza, wysadziła przez nią głowę i rzuciła wiązankę obraźliwego gęgania w kierunku kontrolerów ku wielkiej radości wszystkich *smokkeelers'ów* czyli przemytników-handlarzy, licznych w tej ciuchci. Ubawiliśmy się dobrze.

— Chyba nałożono na panią grzywnę?

— Ależ nie! Transport żywych zwierząt był dozwolony. Nasze zmartwienia na tym się nie skończyły. Był dopiero dziesiąty grudnia. Jedną gęś daliśmy pod opiekę Anne Brusselmans, która umieściła ją na wielkim tarasie swojego siódmego piętra po uprzednim przycięciu jej skrzydeł. Nie przeszkodziło to jej wyfrunąć i wpaść do mieszkania w domu naprzeciwko przez otwarte okno. Oszalała ze strachu biedna gęś, zachowała się tam jak słoń w składzie porcelany. Ta, którą mieliśmy u siebie, tak się oswoiła, że nikt nie chciał jej pozbawić życia. Wreszcie wyznaczyliśmy pluton egzekucyjny w osobach René Ponty, pilota Reginalda Hebdicha z R.A.F. i Amerykanina Roberta Werners Back. Ale gęś nie chciała się na to zgodzić i trzeba było ścigać ją aż na strych, by jej łeb ukręcić. Po oskubaniu jej trzeba było wymiatać puch na całej klatce schodowej od góry aż do piwnicy, gdzie nieszczęśliwa przedstawicielka płetwonogich mieszkała w ostatnich dniach. Nie przeszkodziło to nam spędzić wesoło świąt, ale obyły się one bez choinki: Reginald jeszcze był pod wrażeniem swojego wypadku, kiedy skacząc z uszkodzonego samolotu wylądował ze spadochronem na szczytach jodeł pokrytych śniegiem i soplami lodu. Miał tyle kłopotu ze zdjęciem z drzew spadochronu, że za nic nie chciał słyszeć o tradycyjnej choince, obsypanej choćby sztucznym szronem.

Tymczasem Ponty przyprowadził dwóch Amerykanów, przypominam sobie, że jeden z nich nazywał się Lepkauwski. Po wyskoczeniu z płonącego bombowca mieli szczęście wpaść do Kanału Alberta. Poparzeni zachowali na twarzach i rękach bardzo widoczne ślady. Patrioci ich wyłowili, a lotnicy byli wyjątkowo niecierpliwi, tak im było śpieszno powrócić do Anglii i dalej walczyć. René Ponty przekazał ich Michou czy może Anne Brusselmans — trudno to pamiętać — i dowiedzieliśmy się, że odkryli krótszą trasę ewakuacji niż nasza. W miesiąc później odnaleźli się w Brukseli — nie wiem, co przeżyli w ciągu tych czterech tygodni — spóźnili się z odjazdem do Hiszpanii i jeszcze więcej się rzucali z tego powodu niż przedtem.

Mieliśmy także Australijczyka Reginalda Giddeya, którego obaj z René odprowadziliśmy do Gottechain. Trzeba się było przesiadać w Vossen, w chwili wysiadania wskazałam Reginaldowi tramwaj, do którego trzeba się pośpieszyć. Szepnęłam mu do ucha: *„Quickly this tram!"*

A on odpowiedział swoim chropowatym głosem: „*OK Minouchat!*"

W pracy podziemnej nazywano mnie Minouchat. Dwaj Niemcy stali obok, popatrzyli na nas i wybuchnęli śmiechem.

Różne rzeczy się działy pod nosem Niemców, nawet bez *dessous* pani Josué! „Latająca Forteca" została zestrzelona w biały dzień nad Gottechain. Jeden z załogi spadł na spadochronie do ogrodu naszego przyjaciela Jeana Lambeau, który wtedy był zamknięty w Saint-Gilles tak samo jak Ponty i ja. W tym właśnie momencie matka Jeana robiła pranie na podwórzu w pobliżu dużego pieca chlebowego. Kiedy Niemcy spostrzegli obniżający się spadochron, podbiegli w tym kierunku. Pani Lambeau słysząc ich krzyki i tupot butów, w jednym mgnieniu oka wsadziła spadochron i lotnika do paleniska pieca i z najwyższym wysiłkiem zamaskowała otwór swoją balią pełną bielizny. Gdy dwudziestu Niemców wpadło na podwórze, zobaczyli tylko starą kobietę przy praniu.

Odeszli bez pytania o nic. Mówiłam już panu, że nadszedł czas płacenia za dobry humor.

— Ja również, podobnie jak pani, w tamtych czasach doceniałem znaczenie śmiechu i konieczności śmiania się, ale pani powiedziała, że dostała się do więzienia...

— Tak. Aresztowano „Erica", był to pseudonim adwokata, który stał na czele *Service Zéro*. — Wstyd mi, że nie mogę panu podać jego prawdziwego nazwiska, ale szwankuje moja pamięć...

— Tak samo jest i ze mną, proszę pani. Przeświadczony, że wcześniej czy później mnie złapią i bojąc się, by nie załamały mnie tortury, starałem się nie pamiętać nazwisk, i tak się w tym zapominaniu wprawiłem, że i w tej chwili słyszane nazwiska zacierają się natychmiast w mojej pamięci, co nie jest przyjemne.

— Ja tak bardzo się nie wysilałam. Krótko mówiąc Gaston Matthys zawiadomił nas o aresztowaniu Erica, dodając, że prawdopodobnie miał przy sobie informacje nie szyfrowane. Jedna wiadomość mówiła o dwóch „pianistach", czyli radiooperatorach, którzy mieli być zrzuceni dla obsługi *Service Zéro*. Informacja podawała nieostrożnie, że dwaj pianiści pójdą do sekretarza gminy Gottechain, Jeana Lambeau, który powinien ich zaprowadzić do willi — mojej czy Renégo — już nie pamiętam.

„Zmykajcie! — powiedział Gaston. — Nie wracajcie do domu, to katastrofa!"

Pierwszą moją myślą było ocalenie Jeana Lambeau. W piątek 7 lipca 1944 roku pojechałam na rowerze do Gottechain. Oczywiście, że nie poszłam bezpośrednio do niego, bo dom mógł być strzeżony, skierowałam się do fermy, gdzie kupowałam żywność.

„Tak, wszystko przygotowaliśmy, masło, jaja"... — powiedzieli. Wszyscy mieszkańcy Gottechain lubili sensację podczas okupacji.

— Pozwoli pani, że przerwę, żeby zadać pytanie, które mi przyszło na myśl. Mówiła pani, że znalazła lotnika Williama Norfolk u siostry fermera Van Orsmaela i że dom ten był pełen wieśniaków ciekawych nowin, co mogło wzbudzać obawy, że podczas przetrząsania wsi ktoś z nich mógł się wygadać... Ale widzę, że pytanie moje jest bezpodstawne, bo przecież najmniejsza niedyskrecja z ich strony wystarczyłaby do spowodowania bardzo ścisłej rewizji waszej fermy, a Niemcy tylko rzucili na nią pobieżnie okiem.

— Żaden z wieśniaków nie puścił pary z ust, a przecież mieli prawo wykrzyknąć z uzasadnioną goryczą: Żegnaj cielątko, krowo, świnio, drobiu! gdyż obecność lotnika sprowadziła na nich tę rewizję i rekwizycję inwentarza hodowanego tak pieczołowicie jako rezerwę na własne potrzeby.

I to jeszcze nie wszystko! Powiedziałam panu, że znaleźliśmy w rogu ornego pola trupa z tej samej załogi, do której należał Bill. Zastrzelił go morderca z *Luftwaffe*, a potem na niego samego przyszła kolej zginąć w walce powietrznej. Otóż zamówiliśmy mszę za spokój duszy tego biedaka i złożyliśmy duży wieniec z czerwonych maków w miejscu, gdzie spadł. Cała wieś przyszła na mszę, a potem za nami aż do zakątka owego pola. Przed odejściem ściskali nam ręce, jakby składając kondolencje po stracie bliskiego krewnego.

Oczy pani Jadoul, takiej uśmiechniętej na początku naszej rozmowy, napełniły się łzami. — Cała wieś Gottechain podczas wojny była godna podziwu! — powtórzyła głosem łamiącym się od wzruszenia, pomimo że tyle lat już upłynęło. Jednak dzielnie opanowała swoje przejęcie się, uśmiechnęła się do mnie i powróciła do tematu.

— Na czym skończyliśmy? Ach tak, na tej fermerce do której pojechałam tego ranka, kiedy nas powiadomiono o aresztowaniu Erica. Pod pretekstem kupna masła i jaj spytałam: „Czy nie ma zbyt wielu Niemców we wsi?"

„Och — powiedziała — było bombardowanie... Później przyjechali autokarem i zabrali dwóch mężczyzn."

„Dwóch mężczyzn? Kogo?"

„Grickxa i jeszcze jednego."

Chodziło o dwóch chłopów, którzy nie mieli z nami nic wspólnego. „Nie zrobili nic więcej?"

„Poszli także do Hanquet..."

Teraz zadrżałam. Hanquet, to była wiejska kawiarnia, jak głosił szyld. A naprawdę, właścicielem był Hanquet-Lambeau. Rodzice jego także zwali się Lambeau.

„Proszę zapakować żywność do torb na moim rowerze. Zostawiam go."

Poszłam do Hanquet. Otwieram drzwi i widzę w przedsionku bardzo eleganckiego pana. Zrozumiałam natychmiast i, żeby wyjść cało, pytam:

„Czy są jaja?"

„Niech pani wejdzie!" — odpowiedział.

„Och, nie mam czasu!"

Miałam nadzieję, że jakoś się wywinę, bo żeby upodobnić się do *smokkeelers'*ów z ciuchci nałożyłam na suknię stary skórzany płaszcz, całkiem wyszarzały. Ale ten mężczyzna nie pozwolił mi wyjść i wtedy okazało się, że dom jest pełen wieśniaków. Każdy mógł wchodzić, ale wydostać się z niego nikomu nie było wolno. Poza owym elegantem było tam jeszcze kilku niemieckich policjantów w cywilu. W kwadrans później nadjechał autokar gestapo ze swoim szefem Brozan. Właśnie w tej chwili, kiedy Niemiec miał mi pozwolić odejść po oglądnięciu dowodu, przybył Brozan i zapytał, jak stoją sprawy. Ten pierwszy wzruszył ramionami:

„Sami chłopi i jedna paskarka!" — powiedział po niemiecku.

„*Ach, so!* — Brozan spojrzał na mnie. — Proszę mi pokazać jej dowód osobisty."

Tamten podał mu dokument. Brozan popatrzył i wydał radosny okrzyk: „*Ach! Madame, kommen Sie mit uns!*" [1]

Przyłapali mnie po prostu dlatego, że Brozan wiedział, jak się nazywam. Kiedy sobie pomyślę, że miałam dwa fałszywe dowody, jeden na nazwisko Fontenoy, drugi na Bertrand, a zabrałam prawdziwy i wpadłam w paszczę wilka! Naturalnie, że protestowałam, podawałam się za uczciwą handlarkę. Przyłożyli mi lufę pistoletu maszynowego do pleców i kazali iść po rower obładowany żywnością.

W autokarze zastałam Jeana Lambeau w kajdankach, jego twarz nosiła ślady uderzeń. Crickxa i jego towarzysza zabrali tylko po to, by wskazywali drogę do gminy mieszczącej się w Bossut, odległym około pięciu kilometrów od wioski Gottechain. Autokar tam pojechał, a ja tymczasem weszłam do kawiarni Hanquet. Kiedy powrócił, pojechaliśmy do Brukseli.

— A pani przyjaciel René Ponty?

— Przez ostrożność nie powrócił do domu wieczorem, ale że nie miał przy sobie pieniędzy, wstąpił po nie rano o ósmej. Chciał też zobaczyć, czy wszystko w porządku. Poszedł na ulicę du Cardan. Nie otworzył drzwi, a przez przezorność zaglądnął przez par-

[1] *Ach! Madame...* (niem.) — Ach! prosimy panią razem z nami!

terowe okno do biura. Siedziała tam przybladła maszynistka i dała mu znak, który w powszechnym języku znaczy: „Uciekaj!"

Nie dając sobie tego dwukrotnie powtarzać, wziął nogi za pas. Ale jeden z piętnastu obecnych tam mężczyzn zauważył gest maszynistki. Gestapowcy i funkcjonariusze *Geheime Feldpolizei* przetrząsali wszystko bez rezultatu, gdyż René Ponty był specjalistą od nieznanych skrytek. Z kaloryferów pospuszczał wodę, a potem w ich elementach poukrywał dokumenty, które można było wyjąć tylko w sposób skomplikowany po odkręceniu śruby zaworu. Kominki przystosował na kryjówki dla ludzi, nie mówiąc już o piwnicy. W Brukseli mówimy na nią „podpiwnica", ponieważ znajduje się pod kuchnią położoną w suterenie. Z podpiwnicy Renégo można było przejść, po podniesieniu klapy, do kanału prowadzącego na inną ulicę... Ale o czym to mówiłam? A więc gest maszynistki zauważył Niemiec, gestapowcy i policjanci rzucili się w pogoń za René po ulicy, strzelając do niego. Chybili, Ponty skręcił za róg ulicy, wszedł do sklepu ze starociami, otworzył pierwszy mebel, jaki się nawinął, i ukrył się w środku. Wywinąłby się cało, gdyby nie sklepikarz, który uważał za stosowne wyjść na ulicę i krzyczeć: „On jest tutaj! On jest tutaj!"

I w taki sposób aresztowano Renégo Ponty. Jean Lambeau i ja spotkaliśmy go w Saint-Gilles.

Ale nasza dobra gwiazda sprawiła, że był to już 7 lipca 1944 roku, okres, kiedy gmach nazistowski zaczynał już poważnie rozpadać się.

Drugiego września o piątej rano kazali nam wyjść z cel i załadować się do bydlęcych wagonów, gdzie byłyśmy ściśnięte jak sardynki w pudełku. Był to ów sławetny „pociąg-widmo", którego odjazd poddali takiemu sabotażowi nasi dzielni kolejarze belgijscy, że trzeba mu było dziewiętnastu godzin na przebycie dwudziestu pięciu kilometrów dzielących Brukselę od Malines. Przyjechaliśmy tam w nocy ku wielkiemu zdziwieniu trzech esesmanów, którzy z rewolwerem w garści stali na platformie lokomotywy, pilnując maszynisty i palacza. Zarówno oni, jak i gestapowcy jadący komfortowym wagonem doczepionym do bydlęcych myśleli, że są już w Liège. Muszę wyjaśnić, że w Schaerbeek, skąd odchodzi odgałęzienie do Liège, pociąg bił rekordy szybkości. Zakorkował się dosłownie na dworcu de la Petite Ile, gdzie znajduje się wielka kabina zwrotnic. Wszyscy zwrotniczowie odeszli, nikt nie umiał manipulować dźwigniami, co pozwoliło maszyniście skierować się na tory do Antwerpii zamiast do Louvain i Liège. Nie rozumiejąc się na tym, esesmani byli zachwyceni zapałem, z jakim palacz ładował bez przerwy węgiel do paleniska, a maszynista wypuszczał całe

kłęby pary. Rezultat był taki, że po przybyciu do Malines parowóz był kompletnie pozbawiony i wody, i węgla. Inżynier kolejowy odpowiedzialny za funkcjonowanie dworca w Malines niby przypadkiem unieruchomił pompę bezpieczeństwa, a zwykła pompa była nieczynna na skutek bombardowania, które uszkodziło rury doprowadzające wodę z miasta. Maszynista i palacz rozkoszowali się widokiem Niemców, pompujących wodę ręcznie, napełniających kubełki higieniczne, zabrane z Saint-Gilles w podróż. Podawali je sobie z ręki do ręki, a wreszcie temu, który zawieszony na lokomotywie wlewał ich zawartość do zbiornika. Po pewnym czasie zdali sobie sprawę, że napełnienie zbiornika wymagałoby co najmniej tygodnia, nie wiedzieli, co począć. Wtedy jakiś współczujący kolejarz w obawie, by Niemcy nie wykończyli na miejscu więźniów, poradził im, by skierowali pociąg na trasę do Louvain twierdząc, że na najbliższej stacji w Muizen znajdą pompę w doskonałym stanie. Gestapowcy i esesmani skwapliwie przyjęli tę sugestię, tym chętniej że przejeżdżając przez Liège dostaliby się do Aachen. Dziękowali wielokrotnym *danke schön*, zacnemu kolejarzowi, który nie uważał za stosowne im powiedzieć, że poprzednio zatelefonował na dworzec w Muizen.

„Odsyłam ich do was, zwiewajcie wszyscy, oni są zbyt głupi, by potrafili sobie sami poradzić z pompą elektryczną!"

Jadąc bardzo powoli przybyliśmy do Muizen, gdzie rozbrzmiewała głośna strzelanina. Wtedy Niemcy zrozumieli, że dalej tory są zerwane, więc muszą skierować się ku Holandii. Ale sprawy toczyły się bardzo szybko. Zainterweniował Czerwony Krzyż, ocalając nam prawdopodobnie życie, a Bosze pojechali w dalszą podróż sami, co nam jak najbardziej odpowiadało. Tak więc po ośmiu tygodniach spędzonych w więzieniu, żebyśmy się nie wyróżniali od innych, byliśmy wolni.

WYDOBYCIE SIĘ Z PIEKŁA

— Za każdym razem, kiedy jadę do Paryża, przypominam sobie ten świt w marcu 1943 roku, kiedy po raz pierwszy ujrzałam stolicę tak piękną w swej nagości. Nikogo na ulicy, żadnego auta, żadnego przechodnia, Paryż należał do nas! Byłam olśniona przestronną perspektywą Champs-Elysées, różową w świetle jutrzenki, od tego poranka czułam tęsknotę za stolicą, a przecież byłam więźniarką... — mówi Lucienne Dassié.

Z dworca Austerlitz na ulicę Saussaies jechaliśmy autokarem, wszyscy skuci kajdankami, tylko mój ojciec był jako kaleka spętany za jeden nadgarstek. Strażnicy kazali nam wysiąść, trzem lotnikom również, którzy mieli bardzo zmieszane miny, tylko jeden z nich, Anglik, brunet o niebieskich oczach, z niczym się nie wygadał. Siedział w autokarze za Dédée, miał z tyłu za sobą dwóch kolegów skutych razem kajdankami. Jeden z tych biedaków poprosił strażnika, by go odłączył, bo musi pójść za małą potrzebą, lecz strażnik odmówił. Biedny chłopak bardzo nalegał, strażnik wreszcie powiedział: „Pójdziecie obaj razem".

Towarzysz tego lotnika, złączony z nim jak brat syjamski, poczerwieniał jak piwonia. Widok był tak zabawny, że Dédée dosłownie pokładała się ze śmiechu, wszystkich nas opanowała wesołość, nawet Niemców. To groteskowe intermedium dobrze nam zrobiło.

Wkrótce potem wydano rozkaz, żebyśmy znowu wsiedli do wozu, który nas odtransportował do Fresnes. Tam zamknęli mnie samą w celi podobnej do szafy, której góra była z żelaznych krat. Na ścianach czytałam napisy umieszczone nieznaną ręką: „Za chwilę umrę po to, by żyła Francja!" „Żegnajcie rodzice, żegnaj życie, mam dwadzieścia lat, nie żałuję niczego." Zrozumiałam, że tu zamykają skazanych na śmierć, zanim ci trafią pod słup egzekucyjny, i rozmyślałam o swoim losie, wtem usłyszałam „Dassi!" i drzwi szafy otworzyły się. Strażnik mnie zaprowadził do zwyczajnej celi. Wychodząc z tej szafy przestałam być dzieckiem, którym dotąd byłam i kobietą, którą mogłabym się stać, ale nie będę nią nigdy.

— Dzieckiem — to rozumiem panią. Ale kobietą? Wyszła pani za mąż za człowieka kochanego, który panią kocha...

— Tak. Ale przypuszczam, że gdybym nie przeszła przez to piekło, stałabym się całkiem inną kobietą. Kobietą nie uświadomioną zbyt wcześnie, nie rozczarowaną z góry, co jest nieuniknione w życiu, dochodziłabym do tego stanu powoli, po trochu. Chciałabym usunąć ze swoich wspomnień przykre doświadczenia, ale to niemożliwe.

Mojego ojca umieszczono w izolatce. Matka była w celi nade mną, ja dzieliłam swoją z dwiema innymi kobietami, które już tam zastałam, jedna z nich była komunistką. Druga, zatrzymana za przemycanie listów na drugą stronę linii demarkacyjnej, wkrótce potem została uwolniona. Pozostałam sama z bojowniczką Partii, która była już po trzydziestce i kazała się nazywać „Marcelle". Bardzo sympatyczna i koleżeńska.

Wielokrotnie w telewizji była mowa o księdzu Stocku, nie-

mieckim kapelanie z więzienia we Fresnes. Był to wspaniały ksiądz. Narażając się na największe ryzyko, przynosił mi karteczki od ojca, którego gestapo ciągle przesłuchiwało. Esesmani nienawidzili księdza i szpiegowali, starając się go przyłapać na przestępstwie. Dając mi sposobność porozumiewania się z ojcem i matką, naprawdę narażał się na poważne niebezpieczeństwo.

Po południu drugiego czy trzeciego czerwca odwieźli nas do Romainville, gdzie matka i ja pozostałyśmy do końca sierpnia, a ojciec był już wcześniej przewieziony do Compiègne, po krótkim pobycie w kazamatach fortu. Otrzymałyśmy od niego wiadomość, zanim wysłano go do Niemiec. Po powrocie z deportacji na wiosnę 1945 roku zmarł w Paryżu.

22 sierpnia 1943 roku mama i ja wyjechałyśmy do Niemiec, było nas osiemdziesiąt w osobowym wagonie, z którego usunięto ławki, a okna zakratowano lub zabito deskami. Włączyli nas do konwoju Francuzów, ochotników do pracy w fabrykach niemieckich, dlatego pociąg był obwieszony transparentami zachwalającymi Trzecią Rzeszę. Podróż nasza trwała dwa dni i trzy noce. Nagle pociąg zatrzymał się w całkowitej ciemności. Potem rozbłysły reflektory i w ich blasku ukazał się szereg esesmanów uzbrojonych w pistolety maszynowe i kobiet SS ubranych w długie czarne peleryny, trzymających na smyczy psy policyjne. Wszyscy stali nieruchomo w całkowitym milczeniu. Było to tak nieoczekiwane, że patrzyłyśmy z zapartym tchem. Przypomniałam sobie wtedy pewną więźniarkę Czeszkę, którą spotkałam w Romainville. Udało jej się uciec z Czechosłowacji, ale złapali ją Niemcy we Francji w związku z Ruchem Oporu. Powiedziała do nas: „Nigdy nie wyjadę do Niemiec, za nic! Obozy koncentracyjne są obozami śmierci, dzieją się tam rzeczy przerażające! Wolę popełnić samobójstwo niż tam jechać".

Miała jechać naszym transportem, ale rano w dniu odjazdu nie stanęła do apelu. Znaleźli ją z otwartymi żyłami w odosobnionym zakątku fortu. Mam w oczach widok jej rąk, zwisających z noszy, na których krew już krzepła. Podobno lekarze niemieccy ją odratowali i odjechała następnym konwojem do Niemiec.

Kiedy minął pierwszy moment osłupienia, zaczęłyśmy się śmiać, szydząc z tych SS, mężczyzn i kobiet, którzy bawili się w jakieś scenerie. Ale kiedy otworzyli drzwi wagonu i weszli z psami, zrozumiałyśmy, że to nie teatr. Spadły na nas razy wymierzane szpicrutą, a ich psy wilki szczekały i gryzły, kogo dopadły. Za chwilę wypchnęli nas z wagonów razem z naszymi łachami i zaczęłyśmy maszerować w ciemności, z trudem poruszając się po piasku, który przedostawał się do obuwia. Starsze padały, wtedy skupiały się na

nich ciosy nahajek. W ciemności rozlegały się jęki i krzyki, ale trzeba było maszerować, ciągle iść naprzód, nie było możliwości udzielić pomocy wołającym o ratunek. Nagle oślepiły nas reflektory, a potem potrafiłyśmy odróżnić ogromną bramę, która powoli się otwierała. Był nad nią napis niemiecki, który przetłumaczyła Alzatka stojąca obok mnie. „Wiadomo, kiedy tu się wchodzi, ale nie wiadomo, kiedy się stąd wyjdzie." Takie było powitanie ze strony Ravensbrück.

Weszłyśmy na teren obozu i ujrzałam przez okna sali, która potem okazała się izbą chorych, jakieś szkielety o wygolonych czaszkach patrzące na nas. Myślałam, że śnię, że to jakiś koszmar senny, ale już nas popchnięto pod prysznic. Przy wejściu odnalazłam matkę i razem wbiegłyśmy do środka. Podeszła do nas Niemka: „Francuzki? — powiedziała. — Wchodzicie do piekła. Ostrzegam was, porzućcie wszelką nadzieję, nadzieję na przetrwanie. Zjedzcie natychmiast, co macie ze sobą, bo wszystko wam odbiorą, nawet złote zęby. Wyjdziecie stąd sponiewierane, nagie, ogolone jak większość. Czeka was okropne życie".

Mówiła to obojętnym tonem, a mnie ciągle się zdawało, że to nadmiar teatralności. Potem dowiedziałam się, że ta kobieta, więźniarka tak samo jak my, miała męża komunistę również przebywającego w obozie koncentracyjnym. Nie omieszkałam stwierdzić wkrótce, że wszystko, co mówiła, było prawdą z wyjątkiem tego, że przeżyłam.

Cały obozowy sztab SS znajdował się w sąsiedniej sali. Po rozebraniu się musiałyśmy defiladować całkiem nago przed tymi Niemcami. Kpili ze starszych kobiet, obrażając je w rodzimym ich języku, a młode musiały znosić ich słowa i gesty, podkreślające wulgarność wyrażeń. To było pierwsze zapowiedziane poniżenie.

Drugie — to rewizja osobista, bardzo intymna, każda z nas musiała przez to przejść, pod pretekstem, że coś może przemycamy. Było nas kilka młodych dziewcząt... Przeżyłam straszny wstrząs.

Potem przystąpili do oglądania włosów. Miałam takie same włosy jak matka moja, i podobnie jak ona zostałam ogolona do łysej czaszki. Potem rzucili mi w twarz suknię pokrytą ciemnymi plamami, następnie wypchnęli mnie w ciemność i zaprowadzili do bloku pozostającego pod nadzorem eteromanki. Krzyknęła, żebyśmy się położyły na siennikach. Po upływie pół godziny usłyszałyśmy syreny i trzeba było wstawać: była czwarta rano, godzina apelu.

Poszłyśmy na plac apelu razem z małymi dziećmi żydowskimi, które także musiały w nim brać udział tak samo jak dorośli. Szpic-

ruty spadły obficie i na nie, i na nas. Nad wszystkimi moimi wrażeniami dominowało osłupienie. Nagle usłyszałam bardzo cichy głos, rozpoznałam go, to był głos mojej matki: „Czy myślisz, że kiedyś wrócimy?"

Następnie... Jak bez powtarzania się mogę opowiedzieć życie więźniarki? W swojej ohydzie i niedoli każdy dzień był podobny do poprzedniego, a najgorsza chyba była ta monotonia. Tak powinno wyglądać piekło.

Na końcu pracowałam razem z matką w podziemnej fabryce ukrytej pod lasem, z dala od zamieszkanych ośrodków. Zbliżali się Rosjanie. Obecności wielu cywilnych robotników niemieckich zawdzięczamy, że esesmani nas nie wykończyli na miejscu. Pod ich strażą wyruszyłyśmy w kolumnie, pieszo, uciekając przed Czerwoną Armią. Maszerowałyśmy całą noc i ranek, potem esesmani wprowadzili nas do nieczynnej cegielni na nocleg. Widocznie po to, żeby się wzmocnić na duchu, pili alkohol wielkimi szklankami, tak że padali pijani jak martwi.

Wtedy rosyjskie więźniarki przyszły po matkę i po mnie mówiąc: „W kuchni jest dowództwo francuskich więźniów, pytali, czy Francuzki są w konwoju. Powiedziałyśmy, że tak i że wśród nich jest bardzo chora młoda dziewczyna z matką. Chcą pomóc wam w ucieczce, chodźcie z nami".

Obie z mamą poszłyśmy za Rosjankami, które nam kazały wyciągnąć się na ziemi przed ogromnym piecem cegielni, od dawna już wygasłym. Z głębi pieca usłyszałam głos: „Kiedy esesmani odwrócą głowy" — wejdźcie tutaj. Miałyśmy obiekcje: „Kiedy esesmani zauważą nasze zniknięcie mogą zastosować represje w stosunku do naszych koleżanek!"

Głos nastawał. Jeszcze wahałyśmy się. Nagle rozpoczęła się gwałtowna strzelanina artyleryjska, od której trzęsła się ziemia i ściany cegielni. Niebo stało się czerwone. Esesmani wykrzykiwali rozkazy w ciemności, nawoływali do zbiórki. Chwyciły mnie i matkę czyjeś ramiona i wciągnęły nas w głąb pieca. Czułam, że mnie niosą do podziemia, potem dotarło do mnie orzeźwiające powietrze nocy i kanonada ustała. Otoczyli nas jeńcy wojenni Francuzi, niektórzy z nich weszli na szczyt wzgórza, potem powrócili ze słowami: „To już koniec, nie ma nikogo, są panie wolne".

Nie sposób opisać, co odczuwałam w tamtej chwili. Byłam głęboko przekonana od dawna, że nigdy już nie zaznam wolności. Ogarnęło mnie osłupienie. W ślad za nami poszły cztery Francuzki. Jedna z nich była śpiewaczką z opery. Wstała i zaczęła śpiewać pełną piersią, wyrażając radość z odzyskanej wolności.

Francuscy jeńcy wojenni poprowadzili nas z powrotem przez

przejście podziemne. Spędziłyśmy noc w piecach leżąc na słomie, a rano dostałyśmy na śniadanie doskonałą czekoladę. Potem nasi nowi przyjaciele zrobili nam podarunek z mydełka... Najśmieszniejsze było to, że przez cały czas byli pod strażą pięćdziesięcioletniego Niemca, na którego wołali „Fritz" i wydawali mu rozkazy: „Fritz, chodź tutaj! Fritz, idź tam!"

Z karabinem na plecach Fritz przynosił gorącą wodę, spełniał posługi. Ten Fritz myślał tylko o jednym: powrócić jak najprędzej do domu i zapomnieć o wojnie. Ale obawiał się powrotu esesmanów i wskazywał z niepokojem na nasze pasiaki. Jeńcy przypomnieli sobie, że w cegielni był zapas odzieży dla lotników *Luftwaffe*, a więc przystroiłyśmy się w spodnie i wiatrówki podbite skórą baranią. Poradzili nam odejść, uważając, że lepiej będzie, jeżeli się od nich oddzielimy. Pożegnaliśmy się. Było nas sześć kobiet, wmieszałyśmy się w tłum Niemców uciekających przed nadchodzącymi Rosjanami. Nagle ktoś zawołał: „Hej, Francuzki!"

Udawałyśmy, że nie słyszymy, ale wołający w naszym języku powtórzył: „Hej, Francuzki! Możecie odpowiedzieć, jesteśmy Belgami!"

Było to na małej stacyjce kolejowej. „Skąd wiecie, że jesteśmy Francuzkami?" — spytałyśmy.

„To od razu widać! Nie jesteście podobne ani do Rosjanek, ani do Polek! Co więcej, byłyście wywiezione."

„Dlaczego pan tak mówi?"

„Bo na to wyglądacie. Taki strój widzieliśmy już na innych kobietach, na Rosjankach. Uwierzcie nam, że w waszym interesie leży tutaj się zatrzymać. Esesmani zauważyli, że zgubili kilka kobiet. Posłali po nie patrol, a ten natychmiast je zastrzelił. Zostańcie z nami, kupimy bilety na pociąg, który ma nadjechać. Bez względu na to, skąd i dokąd jedziecie, będziecie w nim bezpieczne."

Pociąg w ogóle nie nadjechał. Eskadra rosyjskich samolotów ukazała się na tle nieba i tory kolejowe uległy całkowitemu zniszczeniu. Wyruszyłyśmy dalej pieszo, a ja myślałam: „Już koniec, jestem wykończona, jeszcze parę godzin życia i będzie po wszystkim".

Dobrze czułam, że jestem bliska śmierci, ogarnęła mnie rezygnacja. Wtedy spotkałyśmy dwóch innych jeńców wojennych, którzy również od razu nas zidentyfikowali. Byli to dwaj Marsylczycy, dwaj czarujący chłopcy... Zbliżyli się do mnie i powiedzieli z tym swoim pięknym rodzimym akcentem: „Ja się nazywam Ange [1]".

---

[1] *Ange* (fr.) — Anioł

„A ja Gabriel. — Pod taką opieką na pewno wróci pani do Francji". Następnie spletli z dłoni krzesełko, kazali mi na nim usiąść i nieśli mnie tak około dziesięciu kilometrów, aż do miasta, gdzie wśród ogólnego tłoku zauważyliśmy około dwudziestu jeńców francuskich. Ciągnęli wózek z bagażami, a na nich siedział jakiś Ukrainiec straszliwie wychudzony, wyglądał na starego, ale przypuszczaliśmy, że nie przekroczył czterdziestki. Ange i Gabriel do nich podeszli: „Bardzo pięknie z waszej strony, że wozicie Ukraińców, ale z nami idzie sześć Francuzek! A jedna z nich jest w nie najlepszym stanie!"

Szybko załatwili sprawę i cała nasza szóstka wsiadła na ten wózek. Ale wkrótce droga była już tak zatłoczona, że musieliśmy zostawić wózek i iść dalej pieszo. Następnej nocy byłam bliska śmierci nad brzegiem jeziora pokrytego lodem. W niewielkiej odległości od nas zatrzymała się grupa Niemców. Moi towarzysze ukradli im przyczepę, położyli mnie do środka i ciągnęli po kolei, Ange, Gabriel i nowi ich koledzy.

W końcu zatrzymaliśmy się w folwarku należącym do posiadłości szlacheckiej, opuszczonej przez właściciela — hitlerowca, który uciekał przed inwazją rosyjską, zabierając ze sobą tylko pieniądze i biżuterię. Dowództwo francuskich żołnierzy pracujących w folwarku tam pozostało. Jeden z nich miał tam młodą Ukrainkę, którą chciał zabrać ze sobą do Tarbes i z nią się ożenić. Mieszkaliśmy po książęcemu w tym majątku, czekając na nadejście Rosjan. W dwie doby później ukazał się oddział składający się z długowłosych Mongołów i wtedy zrozumiałam, dlaczego Niemcy z takim pośpiechem uciekali na zachód.

Po dwóch dniach pobytu oficer dowodzący tym oddziałem zgromadził francuskich jeńców i przemówił do nich po niemiecku, gdyż większość z nich znała ten język po pięciu latach w obozie: „Jesteśmy strażą przednią — powiedział Rosjanin — wkrótce rozsypią się po tym kraju główne siły armii. Nie będę mógł odpowiadać za bezpieczeństwo kobiet, które są z wami, a także i za wasze. Odjeżdżajcie póki czas!"

Dzięki naszym francuskim towarzyszom, którzy umieli po niemiecku, skorzystaliśmy z takiej postawy oficera.

Oficer oddał do naszej dyspozycji wózek-wywrotkę wraz z dwoma końmi. Odjechałyśmy razem z mieszkańcem Tarbes i jego Ukrainką oraz z paryżaninem, który nosił nazwisko godne siebie — Gaston Courtois[1]. Był z nami jeszcze jeden francuski jeniec, zapo-

---

[1] *courtois* (fr.) — grzeczny, pełen kurtuazji

mniałam już, jak się nazywał. Inni, między nimi Ange i Gabriel, woleli sami sobie radzić. Czerwona Armia reprezentowana przez swój posterunek zagrodziła nam drogę, kiedy przejeżdżaliśmy przez las. Rosjanie zarekwirowali nam konie, ciężki wózek-wywrotka stał się nam już niepotrzebny.

Szliśmy ciągle przez ten sam las, gdzie toczyły się prawdopodobnie zacięte walki. Wszędzie leżały konie z rozdartymi brzuchami, trupy Niemców, a w fosach po obu stronach dróg całe szeregi więźniów, przeważnie Belgów i Ukraińców, na zimno mordowanych jeden po drugim serią z pistoletów maszynowych w tył głowy. Robili to strażnicy SS w chwili, gdy przybliżali się Rosjanie. Wkrótce spotkaliśmy rosyjskiego oficera. Ostrzegł nas: „Nie zapuszczajcie się w głąb lasów. Tam są Niemcy, mordercy tych więźniów. My ich otoczyliśmy, ale jeżeli was zobaczą, spotka was taki sam los". Dowiedziałam się później z ust osób przechodzących po nas przez ten las, że wszyscy esesmani zginęli, pomordowani metodycznie, a niekiedy z niebywałym okrucieństwem. Zasłużyli na to.

Po wyjściu z lasu natknęliśmy się na żołnierza w mundurze khaki, w hełmie, który prowadził dziwne, całkiem kwadratowe auto. Był to Amerykanin za kierownicą jeepa. Jeden z mężczyzn znający kilka słów po angielsku wyjaśnił, że byłyśmy wywiezione do obozu. Spędziliśmy noc w kwaterach jeńców wojennych. Nazajutrz powozem zaprzężonym w konie przejechałam przez Schwerin, śliczne miasto z różowej cegły położone nad jeziorem, które zupełnie nie ucierpiało przez wojnę. Znalazłam się w koszarach zwanych „Adolf Hitler", gdzie zgromadzono tysiące deportowanych. Matkę moją i mnie zaprowadzono zaraz do budynku, który niedawno służył jako szpital, ale brakowało tam mebli. W środku zastałyśmy kilku francuskich lekarzy, byłych więźniów, rozmawiających z amerykańskim majorem: „Ma pan tutaj tysiące ludzi ze strasznymi przeżyciami, od wielu miesięcy niedożywionych do ostatecznych granic. Bardzo prosimy nie podawać im żadnej żywności, ale zaopatrzyć nas w kuchnie polowe i pozwolić na zarekwirowanie w sąsiednich gospodarstwach zapasu mąki, żebyśmy mogli odżywiać ich stopniowo i racjonalnie". „Bardzo żałuję — odpowiedział major — ale toczą się walki, jedyne, co mogę zrobić, to wydać wam racje wojskowe, a wy sami dokonacie wyboru."

Nazajutrz nadjechały ciężarówki wyładowane konserwami. Mężczyźni, zwłaszcza najmłodsi, których waga spadła poniżej czterdziestu kilogramów — rzucili się na nie. Setkami umierali w następnych godzinach na perforację jelit po zbyt obfitym jedzeniu. Trzeba było zrekrutować mieszkańców sąsiednich okolic do oczy-

szczania kałuż ekskrementów w całym budynku, w którym mieszkałam. W nieczystościach leżały trupy-szkielety. Potem kopano głębokie rowy, w nich ciasno układano tych nieszczęśliwców.

Trzy dni przebywałam w tym nowym piekle, niesłychanie przerażającym. Potem przewieźli mnie do szpitala w Schwerinie, jeszcze pod zarządem niemieckiego personelu. Razem ze mną była matka i młoda Alzatka, która przyłączyła się do nas w ciągu podróży. Opuściłyśmy resztę towarzyszek niedoli, które nie były takie chore. Alzatka pojechała na przymusowe roboty do Niemiec, a jej mąż, zmobilizowany przemocą, wyjechał na front wschodni. Nie wiedziała, co się z nim dzieje.

W tym szpitalu w Schwerinie nie było nic więcej do jedzenia poza brukwią gotowaną w wodzie. W trzy dni później przyjechała po nas sanitarka francuskiego Czerwonego Krzyża. W pielęgniarce rozpoznałam ze zdziwieniem młodą Baskijkę, pannę de Labórde-Noguez. Zabrała nas trzy do strefy angielskiej, przyjechałyśmy tam już o zmierzchu. W wielkim namiocie polowego szpitala przyjął nas angielski lekarz w mundurze: „Przykro mi, że przyjmuję panie w męskim szpitalu. Na tę noc proszę zająć mój własny apartament".

Ustawiono dla nas trzy łóżka i następnego dnia rano zapoznałyśmy się z angielskim oficerem, który przez piętnaście lat mieszkał w Bayonne, w dzielnicy Arènes, a nigdy nie spotkaliśmy się. W ciągu popołudnia przewieźli nas do strefy belgijskiej i spędziłyśmy noc w obozie skupiającym ochotników pracy w Niemczech. Pozostawiła przykre wspomnienie, bo ich towarzystwo było dla mnie bardzo niemiłe. Rano wezwano nas na badanie lekarskie, lecz odmówiłam, i dobrze zrobiłam: kiedy matka była na prześwietleniu, zgłosił się belgijski oficer z zapytaniem, czy są tutaj deportowane. Zgłosiłam siebie i matkę.

„Za godzinę odleci samolot do Belgii. Czy chce pani jechać? Za cztery godziny będziecie w Brukseli." — usłyszałam.

Wyskoczyłam z łóżka, wpadłam do pracowni radiologicznej nie zważając na Niemca-lekarza, który przystępował do badania, chwyciłam matkę za rękę, wyciągnęłam ją spoza ekranu: „Chodź, mamo, natychmiast odjeżdżamy!"

W godzinę później byłyśmy już na lotnisku, obok nas inni deportowani na noszach. Wojskowy samolot przewiózł wszystkich do Brukseli, gdzie czekało na nas niezapomniane przyjęcie. Powiedziałam do Ciotki Go, że to był najważniejszy moment w moim życiu, który w pierwszej chwili mnie przestraszył.

Delegacja angielskich oficerów czekała na lotnisku. Ci oficerowie okazali nam mnóstwo względów i obsypywali grzecznościa-

mi. Odprowadzili nas aż do wyjścia, gdzie cisnął się tłum ludzi. Rzucili się ku nam, chwycili na ręce i nieśli triumfalnie, prosząc, byśmy pozostały tutaj tak długo, jak chcemy, miesiąc, dwa, trzy. Protestowałyśmy, że chcemy wracać do siebie. Kordon policji musiał otoczyć ośrodek, w którym nas przyjmowano, by nasi belgijscy przyjaciele nie porwali nas siłą. W nocy odjechałyśmy pociągiem do Lille, byłyśmy tam na drugą rano. Wreszcie byłyśmy we Francji!

Czy nie uważa pan, że to dziwne? Zanim wróciłyśmy do ojczyzny, byłyśmy w Brukseli, gdzie kilka lat wcześniej powstała siatka przerzutów, w której moi rodzice stanowili jedno ogniwo, a zwała się ona Kometa.

LIST

Przez drzwi celi w więzieniu Saint-Gilles żona Frédérica de Jongh usłyszała głos swej córki Andrée: „Do widzenia, mamo! Jadę do Niemiec!"

Było to 1 sierpnia 1943 roku. Piętnastego tego samego miesiąca głos córki Suzanne przesłał jej w taki sam sposób wiadomość tej samej treści.

— Czy nie myśli pani, że strażnicy może by pozwolili pani uścisnąć jedną i drugą?

— Nie trzeba zbyt wiele wymagać, kiedy się jest w więzieniu. To i tak było uprzejme ze strony Niemców, że pozwolili córkom do mnie przemówić...

Uwolnili mnie w październiku, wtedy powróciłam do domu w Schaerbeek, gdzie pana dzisiaj przyjmuję. Zastałam tam szwagierkę i dwoje dzieci Suzanne, dziewczynkę i chłopca. Wszyscy troje nie mieli o nas dosłownie żadnych wiadomości. W chwili mojego aresztowania Niemcy oznajmili, że aresztowali męża w Paryżu. Od tego czasu nic o nim nie wiedziałam aż do kwietnia, kiedy znalazłam w skrzynce kopertę adresowaną jego ręką. Szybko wbiegłam do mieszkania mówiąc do szwagierki: „Jest wiadomość od Frédérica! Można będzie mu posyłać paczki!"

Rozdarłam kopertę i przeczytałam: „Umrę za trzy godziny".

Zdarzają się chwile, kiedy każde słowo zadaje ranę. Milczałem, a pani de Jongh lekko się uśmiechnęła.

— Miałam niesłychane szczęście, że otrzymałam ten list w trzy tygodnie po egzekucji męża! Niech pan pomyśli, że pani Aylé nic nie dostała, o niczym nie wiedziała. A pan Aylé pisał do niej dziewięć razy! Ale była wywieziona do Niemiec...

SĄD W „PALACE HOTEL"

Środa 26 lipca 1944 roku, w Brukseli.

Od wczesnego ranka szara furgonetka *Luftwaffe* stała na podworcu więzienia Saint-Gilles. Franco, Jérôme, Jacques de Bruyn i jego matka, Raymond Itterbeek i Jean-Jacques zostali nią przewiezieni do śródmieścia, do „Palace Hôtel", który od ogrodu botanicznego oddzielała ulica Gineste. Bariery strzeżone przez uzbrojonych żołnierzy bronią dostępu do tej ulicy. Do metalowych prętów cisną się rodziny więźniów czekających na wyrok.

Dla oskarżonych brutalnym szokiem jest przejście z monotonnej szarzyzny Saint-Gilles do luksusowego hallu „Palace", po którym spacerują szamerowani niemieccy oficerowie w towarzystwie ładnych roześmianych kobiet. Trybunał wojskowy czekał na sześcioro więźniów w przestronnym salonie pierwszego piętra o złoconym i bogato ornamentowanym stropie, zwisały z niego trzy wielkie kryształowe żyrandole, a nad drzwiami górowały motywy dekoracyjne w stylu Boucher [1].

W głębi rozpięta na ścianie chorągiew ze swastyką, za długim stołem pokrytym zielonym suknem. Przy nim siedział pośrodku przewodniczący, wertując papiery krótkimi, serdelkowatymi palcami. Wyżsi oficerowie z *Luftwaffe* o twarzach noszących blizny, jakich wymaga studencka etyka w Heidelbergu, wchodzili w skład *Feldgericht des Kommandierenden Generals und Befehlshabers im Luftgau Belgien und Nordfrankreich* [2], który miał sądzić oskarżonych. Jak tego wymaga regulamin niemieckiej armii, za każdym z oficerów stał prosty żołnierz.

*

[1] François Boucher — malarz francuski z XVIII wieku, w swojej sztuce dekoratorskiej przedstawia sceny pasterskie lub mitologiczne.

[2] Polowy Trybunał Generalnego Dowództwa i Wojskowego Zarządu Terenami Lotniczymi w Belgii i północnej Francji. Północna Francja podlegała władzy niemieckiego gubernatora z siedzibą w Brukseli, a nie w Paryżu (przyp. autora).

Zginął na Mont-Valérian 28 marca 1944 roku. Frédéric de Jongh padł pod kulami plutonu egzekucyjnego. Z nim razem ponieśli śmierć z rąk Niemców; Robert Aylé i Amable Fouquerel, którego promienna życzliwość sprawiła, że wszyscy koledzy z Komety zwali go Aimable, czyli Miły.

Nieczuli, zastygli w srogiej postawie, ze stalową plakietką pod szyją, z pistoletem maszynowym Schmeisser pod prawym ramieniem, żandarmi utkwili wzrok w pięciu mężczyznach i jednej kobiecie oskarżonych o niesienie pomocy zestrzelonym lotnikom i o ułatwianie im powrotu do Wielkiej Brytanii. Zbrodnia niewybaczalna w pojęciu dowództwa *Luftwaffe* goniącego ostatkami, uświadamiającego sobie, że wyszkolenie załogi wymaga o wiele więcej czasu niż skonstruowanie bombowca. Scena rozegra się za chwilę tylko dla zachowania pozorów: dokumenty, które przerzuca przewodniczący, są tak samo sfingowane, jak wyrok z góry już przesądzony.

Fragment po fragmencie odtworzyli rozmaite formy działalności oskarżonych: Jean-François Nothomb, zwany „Franco" kontynuował pracę Andrée de Jongh, aresztowanej 15 stycznia 1943 roku; Jacques Le Grelle pseudonim „Jérôme" kierował paryskim sektorem Siatki; Jacques de Bruyn i jego matka w Brukseli pełnili rolę wyjątkowo aktywną, rozdzielając kwatery, żywność, sfałszowane dokumenty; Albert Mattens czyli „Jean-Jacques" konwojował lotników od granicy Belgii do Paryża; Raymond Itterbeek, najmłodszy, zajmował się kwaterami i odwoził lotników z Brukseli do Lille.

*

Proces ciągnął się przez cały dzień, ale po pewnym czasie szóstka oskarżonych przestała się nim interesować, tak bardzo czuli się szczęśliwi, że są wreszcie razem. Mimo nadzoru żandarmów udało się im wymienić między sobą kilka zdań, nie słuchając, co mówi prokurator, żądający kary śmierci dla każdego z nich. Po wypełnieniu swojego obowiązku oficer ten usiadł całkiem przy końcu stołu i pogrążył się w lekturze gazety rozłożonej na całą szerokość, nie interesując się z góry przesądzoną sprawą, gdy tymczasem przewodniczący pro forma udawał, że naradza się z asesorami. Potem przewodniczący wstał i wszyscy poszli za jego przykładem. Z oczami utkwionymi w kartkę trzymaną grubymi krótkimi palcami, wygłosił powoli tekst, a tłumacz go przełożył: „Wyrok w sprawie: 1 — Jean-François Nothomb; 2 — Jacques Le Grelle; 3 — Jacques de Bruyn; 4 — Octavie de Bruyn; 5 — Albert Mattens; 6 — Raymond Itterbeek

Za pomaganie wrogowi

generalne dowództwo i wojskowy zarząd terenami lotniczymi w Belgii i północnej Francji

dzisiaj dnia 26 lipca 1944 roku na mocy prawa cywilnego poza oskarżeniem wyżej wymienionych o pomoc nieprzyjacielowi, oskarża się Jacques'a de Bruyn i Raymonda Itterbeek o szpiegostwo, a Itterbeeka ponadto o zamach zbrojny na politycznego sojusznika Wielkich Niemiec. Oskarżeni są skazani na karę śmierci".

Tłumacz podał również słowa, które dorzucił na końcu przewodniczący trybunału: „Wyrok nie został jeszcze wykonany", nieco dziwna ścisłość!

Następnie przewodniczący spytał każdego skazanego, czy ma jeszcze coś do dodania. Nastąpiło po sobie sześć „nie" wypowiedziane suchym i pogardliwym tonem. Posiedzenie było skończone. Otoczeni niemiecką strażą, więźniowie wyszli z sali, której trzy ogromne okna były szeroko otwarte na ogród botaniczny. O tej porze dnia powietrze było świeże i czyste.

Przechodząc przed Weberem, w gestapo, noszącym tytuł *Kriminalinspektor,* był on świadkiem w procesie, Jérôme wymierzył w niego swój wskazujący palec ze słowami: „Pan źle wygląda!"

Po czym oddalił się, nie racząc się odwrócić ku policjantowi, który zaskoczony poderwał się z fotela.

WOJNA BEZ NIENAWIŚCI

Jean-Pierre Mallet był oficerem rezerwy w lotnictwie, podczas kampanii francuskiej służył jako pilot. W prostej linii pochodzi od grawera z Bawarii, Christophe'a Philippe'a Oberkampfa, który przybył do Mulhouse, potem pracował w manufakturach na dworze lotaryńskim, był kolorystą w warsztatach rękodzielniczych Arsenału, zanim założono pierwszą manufakturę drukowanych jedwabi zwanych wtedy „indyjskimi". Swoją sztuką szybko zdobył pierwsze miejsce w Europie, wtedy Ludwik XVI nadał mu szlachectwo na dwa lata wcześniej, nim wybuchła rewolucja. Napoleon, kiedy przyszedł osobiście zwiedzać jego pracownie, tak był nimi zachwycony, że odpiął swój Krzyż Legii Honorowej i udekorował nim pierś gospodarza.

— Przy końcu 1942 roku nawiązałem kontakt z Ruchem Oporu — powiedział Jean-Pierre Mallet. Zna pan generała Blanc z czasów, kiedy był dyrektorem Muzeum Wojskowego. Za okupacji sta-

rał się zaliczyć jako bankowców oficerów „armii po zawieszeniu bronii", którą Niemcy rozwiązali zajmując wolną strefę. Generał chciał ukryć ich „za parawanem", który by maskował ich właściwą działalność w *ORA* [1]. Na dyrektora banku Mallet polecił pułkownika Cano, który urzędował w biurach *Comité Permanent d'Organisation Bancaire* [2] przy avenue Opera. Po objęciu dowództwa sztabu *ORA* pułkownik Cano nas opuścił, poświęcając się całkowicie podziemnej robocie. Podobnie jak jego poprzednicy zmarł na deportacji.

Moje zadanie polegało przede wszystkim na zbieraniu informacji wojskowych, szczególnie dotyczących lotnictwa, gdyż utrzymywałem nadal kontakt z byłymi pilotami oraz inżynierami aeronautyki. Byłem także agentem-łącznikiem i starałem się gromadzić fundusze potrzebne pułkownikowi Cano do utrzymania różnych służb *ORA*. Od początku 1943 roku otrzymałem misję zapewniania pośrednich połączeń na okoliczność lądowania na południu Francji, co uważano za rzecz pierwszej wagi, i dostarczania pieniędzy na to wielkie przedsięwzięcie oraz na utrzymywanie partyzantki wcielonej do *ORA*. Przyjmowałem u siebie kilkakrotnie szefa eskadry de La Vasselais, który potajemnie przyjeżdżał łodzią podwodną z Północnej Afryki, skierowany do mnie przez generała Blanca. Przekazałem mu sumę około miliona niegdysiejszych franków pochodzących z różnych darowizn.

Jesienią 1943 roku nawiązałem kontakt z wysokim chłopcem dopiero co zrzuconym z Anglii, który przedstawił się jako „Laporte". Chodziło o Georges'a d'Oultremont, który panu opowiadał, że go przyjęliśmy podejrzliwie. Od przed wojny znałem jego brata Théodore'a i w taki to sposób związałem się z siatką ewakuacyjną, znaną później Kometa. Nic nie wiedziałem o tym, że jeden z moich kuzynów brytyjskiej narodowości stanowił w Madrycie przedostatnie oczko, zapewniające lotnikom podróż przez Hiszpanię od francuskiej granicy aż do Gibraltaru: chodzi o tego, kogo pan przezwał „Timothy".

Wkrótce potem spadły aresztowania w grudniu 1943 i w styczniu 1944 roku. Nasi przyjaciele: Georges d'Oultremont i jego radiotelegrafista, wierny „Daniel" z francuskiej Kanady, byli zmuszeni opuścić Francję w celu odbudowania Linii, jak wtedy nazywano ten łańcuch ewakuacyjny. Skontaktowałem Georges'a z *Délé-*

---

[1] Skrót: *Organisation de Résistance de l'Armée.* — Organizacja Ruchu Oporu Armii — założona przez generała Frère, po jego aresztowaniu kierowana przez generała Verneau, jego z kolei po aresztowaniu zastąpił generał Revers. Wszyscy zginęli w obozach (przyp. autora).

[2] *Comité Permanent...* (fr.) — Stały Komitet Organizacji Bankowej

gation militaire nationale, która ułatwiła mu przejście przez Pireneje. Później zapoznałem się z Jeanem de Blommaert, zwanym „Rutland" lub „Kazan", lub zwyczajnie „Jean", którego zrzucił także angielski samolot dla organizowania na nowych zasadach schronień dla alianckich zestrzelonych lotników. W lasach Fréteval pod Châteaudun założył obóz, pomagałem mu w opiece nad 137 lotnikami z *Royal Air Force i U.S. Air Force*.

Tak pracując utrzymywałem łączność z innymi organizacjami Ruchu Oporu takimi, jak *Vengeance i Ecole des cadres d'Uriage* [1], która od 1942 roku prowadziła czynną walkę z okupantem, tam stykałem się często z jej założycielem Dunoyer de Segonzac i z jego zastępcą — adiutantem Pierre'em Hoepffner. Z końcem 1943 roku miałem okazję nawiązać całkiem inną znajomość.

Mój przyjaciel Lorrain Cruse przedstawił mi młodego mężczyznę, który podał, że nazywa się Pierre Boulain i pracuje dla Linii. Potrzebował pieniędzy na wykonanie powierzonych mu zadań i dlatego mój znajomy z nim przyszedł, ponieważ rozporządzałem częścią funduszy Komety. Po przedyskutowaniu sprawy z Georges'em d'Oultremont i Jeanem de Blommaert postanowiliśmy mu wręczyć na początek sumę dwudziestu tysięcy franków. Później kilkakrotnie dostawał duże kwoty, dochodzące do pięćdziesięciu tysięcy franków.

Po trochu nabraliśmy przekonania, że ten Pierre Boulain prowadzi podwójną grę, gdyż mnożyły się wokoło nas aresztowania, i wtedy, kiedy nam starał się wmówić, że ma trudności finansowe, widywano go w drogich restauracjach. I jeszcze odbierałem jakieś podejrzane telefony. W końcu jeden z naszych kolegów idąc na spotkanie z owym Pierre'em w sprawie przekazania lotników, dostrzegł go w towarzystwie osobnika, znanego Linii pod przezwiskiem „człowiek bez palca": chodziło o Belga, który nazywał się Desitter i był w Brukseli na usługach gestapo. Ten fakt spowodował naszą decyzję zerwania wszelkich stosunków z Pierre'em Boulain, a nawet zlikwidowania go. Doszło do nas, że przebywa w towarzystwie jakiejś bandy, do której należy Jean Masson. Nie przyszło nam do głowy, że Jean Masson i Pierre Boulain to jedna i ta sama osoba, dopiero po wojnie dowiedziałem się jego prawdziwego nazwiska. Nieślubny syn belgijskiego lekarza, figurował w rejestrach stanu cywilnego pod nazwiskiem Jacques Desoubrie.

Bez względu na to, kim był, odczułem wielką ulgę pewnego dnia, kiedy otrzymałem wiadomość, że usunięto go z grona żyjących. Na drugi dzień ktoś zgłosił się do portiera chcąc mnie

[1] Uriage koło Grenoble, uzdrowisko

widzieć. Portier, wyposażony w bardzo ścisłe instrukcje z mojej strony, kazał mu zaczekać, gdzie mogłem go widzieć nie będąc widzianym. Ze zdumieniem spostrzegłem, że to „Pierre Boulain", którego uważałem za zmarłego. Kiedy usłyszał, że mnie nie ma — odszedł, ale przez cały dzień wejście do banku było strzeżone, tak że musiałem tam spędzić noc, nie wracając do domu. Towarzysze Pierre'a Boulain ustawili się na rogu bulwaru Malesherbes i ulicy des Mathurins. Od czasu do czasu jeden z nich oddzielał się od grupy i szedł pod górę ulicą Anjou stojąc na posterunku przed bankiem.

Lorrain Cruse był równie gorliwie poszukiwany co ja. Pewnemu Niemcowi belgijskiego pochodzenia zawdzięczamy, że uniknęliśmy aresztowania: udało mu się wejść do gestapo i zręcznie wykraść nasze *dossiers*. Nasza sprawa ucichła. Ale jeszcze zdarzyło mi się dwa razy zobaczyć Pierre'a Boulain w czerwcu 1944 roku. Raz na place de l'Etoile na motocyklu poprzedzającym odkryte auto gestapowców z literami POL, wiozące czterech Niemców w zielonych mundurach o specjalnym odcieniu noszonych przez *Sicherheitsdienst*. Jadąc w stronę place de la Concorde, auto skręciło w Champs-Elysées i znikło. W kilka dni później znowu spostrzegłem rzekomego „Pierre'a Boulain" na tym samym motocyklu — jeżeli sobie przypominam dobrze, był to „Gnôme" z tłumikiem wydechowym niklowanym na wysokości tylnego koła — zdążającego ku la Madeleine. Wyminął mnie nie widząc na boulevard Malesherbes przy rogu rue des Marthurins.

*

— Z ust Georges'a d'Oultremont usłyszałem po raz pierwszy o Pierre Boulain. — powiedział Jean de Blommaert. — Georges zawarł z nim znajomość za pośrednictwem Jean-Pierre'a Malleta podawał się za Belga ukrywającego alianckich lotników. Nasza znajoma Madeleine Noël opowiadała w tym samym czasie o niejakim „Pierre," łączniku Ruchu Oporu między Paryżem a Reims. Ten „Pierre" zaproponował naszej koleżance, że odwiezie do Paryża alianckich lotników, którzy, jak mówił, ukrywają się w rejonie Reims, ale trzeba mu było na to pieniędzy. On również podawał się za Belga, ale nie uświadomiłem sobie od razu związku między nim a Pierre'em Boulain, o którym opowiadał wcześniej Georges d'Oultremont. Kazałem mu wręczyć za pośrednictwem Jean-Pierre'a Mallet 20 000 franków w styczniu 1944 roku.

W kwietniu wróciłem z Anglii. Madeleine Noël została aresztowana podczas mojej nieobecności. Michou idąc wzdłuż murów

więzienia Fresnes potrafiła skomunikować się z nią i dowiedziała się, że wydał ją Pierre. Ten sam Pierre zjawił się jako świadek obciążający w procesie Madeleine Noël.

W następnym miesiącu Lorrain Cruse i Jean-Pierre Mallet zapoznali mnie z niejaką „Madame Alice"; stawiła się na spotkanie nie sama, jak było umówione, ale w towarzystwie jakiegoś nieznajomego. Szczęśliwemu zbiegowi okoliczności zawdzięczam, że Michou tamtędy przechodziła i rozpoznała w nim Pierre'a Boulain. Przeprowadziłem badanie i okazało się, że miała rację. Postanowiłem zgładzić tego typka, wszystko bowiem wskazywało na to, że pozostaje na niemieckim żołdzie.

Pierwszą moją troską było zawiadomić agentów ruchu *Résistance*, że ich łącznik jest zdrajcą. Łącznik na trasie Paryż—Reims. Podziękowali i w trzy dni później zawiadomili, że ten osobnik złożył wyczerpujące zeznania, ale był on łącznikiem Paryż-Mézières, a nie Paryż—Reims. Opisali jego wygląd, który nie odpowiadał osobie „Pierre'a Boulain" spotkanego z „Madame Alice". Ten ostatni zresztą starał się ze mną zetknąć nalegając, żeby „Daniel Mouton", czyli przybyły ze mną z Londynu kolega Albert Ancia, był razem ze mną na umówionym spotkaniu. Zdawało mi się, że ten typ zamierzał zadać podwójny cios.

Albert Ancia zaproponował mi, żebyśmy tam poszli w asyście agenta grupy *Epuration* [1], który na poczekaniu zlikwiduje zdrajcę, przy zachowaniu wszelkich środków ostrożności zapewniających możliwość ucieczki. Ale Pierre Boulain zaopatrzył się w tęgich aniołów stróżów, których obecność udaremniła takie rozwiązanie. „Daniel" wyznaczył mu nowe spotkanie zawiadamiając, że przyjdę wręczyć mu osobiście pięćset tysięcy franków z przeznaczeniem dla belgijskiego sektora w Brukseli. Typek chwycił przynętę, tak jak przewidywaliśmy.

Grupa *Epuration* znając już z wyglądu Boulaina sama chciała się z nim rozprawić. W dniu kiedy Boulain miał spotkać się ze mną i Albertem Ancia, ten ostatni otrzymał krótki bilecik, ale znamienny! „Zrobione, ale jest gorąco!" Przedtem dowiedziałem się, że widziano Boulaina na Gare du Nord w towarzystwie „mężczyzny bez palca", czyli Prospera Desitter. W tym samym dniu powiedziano mu, że w pobliżu Boulaina przejechało auto *Epuration* i agenci tej grupy otworzyli na niego ogień. Boulain padł, za autem wyruszył pościg, z wielkim trudem umknęli ścigającym. Nazajutrz na dworcu Austerlitz Albert Ancia wywinął się z rąk policjantów w cywilu. Po tygodniu Jean-Pierre Mallet przypadkiem rozminął

[1] *Epuration* (fr.) — czystka

się z Pierre'em Boulain w Paryżu. Siedział na motorze, zdrajca, i wyglądało na to, że czuje się wyśmienicie. Kogo więc zabili zamiast niego agenci grupy *Epuration?*

Po wyswobodzeniu widziałem się z „Madame Alice". Opowiedziała mi, że 12 sierpnia 1944 roku miała zabić Pierre'a Boulain, kiedy do niej przyjdzie do domu, ale ktoś trzeci jej wyperswadował, że nie powinna popełniać morderstwa. Na podstawie tego, co mi opowiadała, byłem skłonny przypuszczać, że było powiązanie między nim a pewnym „Jean-Jacques'em" który pracował w Chartres na rzecz Niemców i szczególnie interesował się pewnym „Jeanem", który działał w okolicy Châteaudun. Tym „Jeanem" byłem ja, opowiem panu szczegółowo, o jaki rodzaj działalności chodziło.

Moi przyjaciele Jean-Pierre Mallet i Lorrain Cruse bardzo wychwalali „Madame Alice", że odznaczała się w Komecie sprawnością, poświęceniem i wielu bohaterskimi czynami. Dodali, że dzięki niej uniknęli kilku zamachów. Już pan wie, że tak zwany Pierre Boulain alias Jean Masson nazywał się naprawdę Jacques Desoubrie.

*

Jacques Desoubrie urodzony w Luignes, w prowincji Hainaut, miał zaledwie osiemnaście lat w chwili wybuchu wojny. Pracował wtedy jako elektryk w Tourcoing. Należał do parti rexistów, był przesiąknięty ideologią hitlerowską, całkowicie oddany gestapo, starał się wprowadzać agentów prowokatorów do siatek Ruchu Oporu. Zaczął od działalności przeciwko grupie *Musée de l'Homme,* potem przeciwko Siatce *Brandy, Liberté* i *OCM.* Osiągane smutne rezultaty ściągnęły na niego uwagę Niemca Hermanna Genzella, który przy rue des Saussaies kierował służbą mającą za zadanie wykrywanie linii przerzutów alianckich lotników. Wtedy Jacques Desoubrie pod pseudonimem Jean Masson potrafił zetknąć się z Frédérikiem de Jongh; wiemy, co z tego wynikło.

Aresztowany po wyzwoleniu kraju, dostał się do więzienia w Douai. Pan Dhamelincourt, sporządzający jego *dossier* obliczył, że zdrajca miał na swoim koncie około 1500 aresztowań i 500 śmierci. Jego proces rozpoczął się dopiero 7 lipca 1949 roku, toczył się przed trybunałem sprawiedliwości, któremu przewodniczył sędzia Ledoux. Obok głównego oskarżonego i jego kochanki figurował osobnik oznaczony imieniem „Henri". „Jestem narodowym socjalistą — oświadczył Jacques Desoubrie. — Sąd nigdy nie potrafi mnie zrozumieć. Nigdy nie uważałem siebie za donosiciela. Pracowałem jako policjant i nie działałem dla pieniędzy." Podczas całego procesu zachowywał postawę z dystansem, jakby

roztargnioną, od czasu do czasu spoglądał obojętnie lub wzgardliwie na swoje ofiary świadczące przeciwko niemu przed sądem. Ustalono, że kazał się nazywać także „Jacques Verger" lub „Lebon", że w listopadzie 1941 roku udało mu się wślizgnąć do Siatki w regionie Compiègne, której dowódca Tony-Ricou w kilka tygodni później został ujęty, skazany na śmierć i ścięty w ponurym więzieniu Klingelpütz w Kolonii. „Działałem służąc swojej idei" — sucho oświadczył.

Wyszło na jaw, że pod pseudonimem „Pierre'a Boulain" pozyskał takie zaufanie wśród członków Ruchu Oporu, że polecili mu zlikwidować tak zwanego „Jeana Masson", czym bardzo się ubawili jego przyjaciele z gestapo. Przy wskrzeszaniu tego wesołego wspomnienia Desoubrie nawet nie mrugnął. Według siebie samego zachowywał zawsze „wzorową poprawność" podczas przesłuchiwań ludzi, których kazał aresztować. Louis Terrenoire, był jednym z nich i miał całkiem odmienne zdanie:

„Przywieziony na ulicę Saussaies znalazłem się przed oskarżonym, który mi oznajmił: «Poznaje mnie pan? Niech pan wie, że jestem niemieckim oficerem!» Potem znęcał się nade mną, stosując dwukrotnie torturę wanny i zadając ciosy pięściami, by wydobyć ze mnie nazwisko pana Catrice, dzisiaj posła departamentu du Nord. Rozwścieczony moim milczeniem, rzucił mi w twarz: «Świnie, katolicy, jesteście gorsi od komunistów!» Był najokrutniejszym z katów".

Lektura aktu oskarżenia zajęła dwie pełne godziny, wobec czego w drodze wyjątku przewodniczący pozwolił sekretarzowi sądu czytać w pozycji siedzącej. Sąd wydał wyrok w dniu 20 lipca: mężczyzna, który zgłosił się do Frédérica de Jongh pod nazwiskiem „Jean Masson", a potem na nowo zjawił się w Siatce pod mianem „Pierre Boulain" został skazany na ścięcie. „Henri" otrzymał pięć lat przymusowych robót. Zwykła statystka, kochanka Jacques'a Desoubrie wymigała się pięcioma latami więzienia.

„Wojowałem bez nienawiści" — oświadczył jej kochanek, zanim wyprowadziły go straże.

CIOTKA GO

Pani de Greef czekała na przybycie Franco i Jérôme'a, którzy mieli przejść do Hiszpanii. Był to ów fatalny styczeń 1944 roku, nie wiedziała nic o wydarzeniach w Paryżu, ale ciążyły jej na sercu złe przeczucia.

Mówiłem już o tych małych notesach, w których Ciotka Go prowadziła skrupulatnie rachunki, zapisując wpływające kwoty i wydatki, a także ruch przerzutowy lotników. Wystarczyło je przeglądnąć, by odnaleźć dokładne daty.

— Max Roger przebywał z nami, niekiedy pełnił rolę konwojenta między Paryżem, Bordeaux a Bayonne. 13 stycznia 1944 roku poprowadził na drugą stronę granicy Amerykanów Georges'a Lloyda i Jacoba Dalinsky'ego, potem powrócił, czekając ze mną na Franco i Jérôme'a, których mieliśmy spotkać na dworcu w Dax. Ale ani jeden, ani drugi nie wysiadł z pociągu, przeczuwałam nieszczęście. Franco był umówiony z „Timothym" na sobotę 22 stycznia, a ja znałam jego punktualność.

Oczekiwaliśmy więc jego przybycia u mnie w domu, bo nic innego nie pozostawało do zrobienia, a w miarę jak dni mijały, upewniałam się w przekonaniu, że nowa klęska spadła na Siatkę. Tyle już ich było! W końcu Max pojechał do Paryża, żeby się dowiedzieć, co się stało.

Jeżeli Ciotka Go słusznie obawiała się klęski, to należało unikać ulicy Longchamps, gdzie zazwyczaj Max spotykał się z Jérôme'em. Przez ostrożność Max poszedł do księdza Beauvais, który go uświadomił, jak sprawy stoją. Z grupy paryskiej pozostał tylko on, Diane i jej matka oraz Madeleine Noël, zwana „Martine". Nie wiedział, co się stało z „Jeanne", czyli Odile de Vasselot po aresztowaniu „Jean-Jacques'a". Ważną sprawą było dowiedzieć się, czy Niemcy ugodzili też w Brukselę, więc pomimo ryzyka Max postanowił tam pojechać. Razem z Diane wyruszyli do Rumes, rodzina Hanotte ich u siebie przyjęła, potem dotarli do Ath, gdzie Jean Serment poinformował go o rozmiarach katastrofy, która spadła na belgijski sektor. Max pozostawił mu adres księdza Beauvais, aby za jego pośrednictwem mogli utrzymać kontakt, i powrócił na Południe, a potem złożył raport z sytuacji „Timothy'emu".

W całkiem podobnych okolicznościach problem, co robić dalej, zarysował się przede mną w odniesieniu do mojej Siatki. Zrodził on poczucie niepokoju i niemocy, do których dołączyła się podświadoma obawa wyrosła na tle skrytych wątpliwości. Wydawało się, że każdy może być podejrzany, że wszystko jest zgangrenowane zdradą. W końcu człowiek sam we własnych oczach wydaje się podejrzany; zaznałem takiego nieznośnego uczucia w czerwcu 1942 roku w dniu, kiedy wróg wszystko wiedział o mnie, doszedłem do przekonania, że opóźnia aresztowanie tylko po to, by śledząc moje kroki zniszczyć siatkę wywiadu, którą stworzyłem. Miałem tak przykre samopoczucie, że musiałem walczyć z pokusą, która mnie

pchała do oddania się w ręce niemieckiej policji, by był już wreszcie koniec.

Rozsądek kazał Ciotce Go i jej przyjaciołom z Siatki ustatkować się i spokojnie przeczekać, bez uprawiania żadnej działalności. Ale ten sam rozsądek, gdyby nimi rządził trzy lata wstecz, nie pozwoliłby na stworzenie Komety, a rok wcześniej, po aresztowaniu Andrée de Jongh, rzuciłby w ręce Niemców zestrzelonych lotników. Pod wiatr i pod prąd rozbitki z Linii postanowili prowadzić dalej akcję, która na początku 1944 roku spowodowała klęskę. W notesach Ciotki Go znalazłem zapiski, z których wynika, że przerzuty do Hiszpanii, przerwane z dniem 13 stycznia w oczekiwaniu na przyjazd Franco i Jérôme'a, zostały wznowione 26 lutego przez Michou, Jeana de Blommaert i trzech agentów którzy, powrócili po wykonaniu zadania. 7 kwietnia Florentino przeprowadził przez granicę sierżanta Williama Eddy z *Royal Air Force*. 22 tego samego miesiąca przyszła kolej na Williama Mattsona, z *U.S. Air Force* i Leslie Morrisona z *Australian Air Force*. Wielki przerzut odbył się w środę dnia 3 maja, chodziło o pięciu Amerykanów: byli to: Albert Brewer, Henri Dzwonkowski, Robert Werners Back, William Wolff i Benjamin Martin. Czterej ich rodacy przeszli do Hiszpanii w trzy dni później: Abraham Tertel, R. Reeves, Gleen Camp i Jarvis Cooper. 26 maja powędrowali tą samą trasą William Jacks z *Royal Air Force* i czterech lotników z *U.S. Air Force:* Julius Miller, Leslie Claude, Nelson Campbell i Meyles Sheppard. Ostatnie przejście odbyło się 4 czerwca — dotyczyło Amerykanów Thomasa Hubbard, Donalda Willis, Jacka Cornett i Anglików: Leonarda Barnes i Ronalda Emeny. Aby właściwie ocenić wartość tego wyczynu, dokonanego w czasie, gdy abwehra, *Geheime Feldpolizei* i gestapo tropili ostatnich członków Komety ciągle im wymykających się, trzeba znać warunki życia w podziemiu. Uważam, że dokonał się tu cud zimnej determinacji i niesłychanej odwagi.

Lista przerzutów do Hiszpanii zatrzymuje się na dniu 4 czerwca 1944 roku dlatego, że Ciotka Go po przejściu do Hiszpanii z Freddym i Janine dowiedziała się w nocy 6 czerwca, że siły alianckie wylądowały w Normandii. Temu od dawna oczekiwanemu wydarzeniu towarzyszyło przerwanie komunikacji kolejowej. Max Roger namówiony przez „Timothy'ego", by pojechał do Londynu i przedstawił sytuację Komety, wrócił do Ciotki Go „niezadowolony z Anglików". Ten, kto z nagła wyszedł z walki w cieniu, miał skłonność denerwować się brakiem zrozumienia ze strony Anglików, nie mogąc pojąć, że racje bezpieczeństwa nie pozwalały im wszystkiego ujawnić. Jeszcze jedna masakra pustosząca szeregi Komety przyśpieszyła od dawna powziętą decyzję. Ludzie odpowie-

działni za *Escape Service* [1] przewidzieli konsekwencje operacji *Overlord* [2] na odzyskiwanie lotników zestrzelonych nad terytoriami okupowanymi przez wroga. Było jasne, że wylądowanie aliantów pociągnie za sobą niszczenie mostów, torów kolejowych, dzieł sztuki. Było to nieuniknione, bombowce *R.A.F.* i *U.S. Air Force* musiały zapobiegać nadejściu posiłków niemieckich, z czego wynikało, że znacznie wzrosło ryzyko ewakuacji lotników do Hiszpanii, jeżeli nawet ta ewakuacja była jeszcze finansowo możliwa. Tego właśnie dowódcy *MI9* nie mogli wyjaśnić Maxowi. Niedomówienia z ich strony przypisywał nieudolności urzędów, a oni nie mieli prawa mu ujawnić całkiem nowych okoliczności, które Kometa miała poznać w najbliższym czasie.

W tym samym okresie całkiem przypadkowo dowiedziałem się w Londynie rano 6 czerwca 1944 roku, że tak długo oczekiwane lądowanie odbyło się w nocy, a przecież ja kierowałem z ramienia *France Combattante* [3] wykonaniem planu, który bezpośrednio dotyczył tej operacji. Tajemnica była dobrze strzeżona [4].

MI9 opracował plan pod nazwą Maraton — był on bardzo pomysłowy: lotnicy odejdą z niepewnych prywatnych kwater, gdzie narażali swoich gospodarzy na najgorsze represje, i zgromadzą się w obozie założonym w lesie, tam będą czekali na nadejście grup alianckich. Rozpocznie się od formowania w lasach ardeńskich małych obozów w odległości dwudziestu kilometrów jeden od drugiego, które potem ulegną przesunięciu nocą na południowy kraniec, gdzie zajmą się nimi agenci Komety działający na południu Francji: poprowadzą w nocy z etapu na etap lotników aż do głównego zbiorczego obozu w lasach Fréteval, między Cloyes a Vendôme. Dlatego wybrali Fréteval, ponieważ Ryszard Lwie Serce odniósł tam niegdyś zwycięstwo. Kto zna poszanowanie tradycji celebrowane za kanałem La Manche, dopuściłby taką hipotezę. Jean de Blommaert twierdzi, że wybór miejsca miał prostszą przyczynę. Bez względu na to, czym się kierowano przy wyborze miejsca, zrzuty broni i żywności miały zapewnić lotnikom przetrwanie i obronę w razie potrzeby.

— Co się stało z Maxem Roger? — zadałem pytanie pani de Greef.

---

[1] *Escape Service* (ang.) — Służba Ewakuacyjna

[2] *Overlord* (ang.) — nazwa szyfru oznaczającego lądowanie na normandzkim wybrzeżu (przyp. autora).

[3] *France Combattante* (fr.) — Francja Walcząca

[4] Nawet generał de Gaulle nie wiedział do samego końca, kiedy odbędzie się lądowanie (przyp. autora).

— Rozstał się z nami 13 lipca i wyruszył do Anglii. My tymczasem przeprowadziliśmy do Hiszpanii czterech Francuzów i dzieci Charles'a Morelle, które osierociła matka... Kiedy Max dowiedział się, że jego przyjaciel Charles Morelle, wywieziony do Niemiec, zmarł w Dachau na krótko przed uwolnieniem więźniów, zaciągnął się do wojska walczącego w Indochinach. Tam zginął w bitwie dnia 13 listopada 1946 roku. Oto jedna z ostatnich fotografii naszego Maxa, którego tak bardzo lubiliśmy.

— Cień przemknął po twarzy Ciotki Go, lecz nie na długo. Jej wrodzona energia szybko przełamała smutek.

— Droga pani, mówiła pani o nowej próbie sondowania was przez gestapo...

— Niemcy przyszli do Villa „Voisin" po raz pierwszy na samym początku, jak już panu opowiadałam. Na skutek doniesienia o tajnej działalności mojego męża wiązali ją z obecnością u nas rzekomego siostrzeńca „B", Johnsona. Niemieccy policjanci zjawili się razem z tłumaczem narodowości szwajcarskiej, noszącym nazwisko Zustrasser, który przed wojną był zatrudniony w hotelu w Biarritz.

Donos oskarżał również naszego syna Freddy'ego, który mówił po niemiecku tak samo jak ojciec i pracował razem z nim w merostwie Anglet. Po maturze Freddy zapisał się do korespondencyjnej technicznej szkoły w Paryżu, pracował wieczorami w swoim pokoju. Podobnie jak mojego męża wróg miał go na oku z powodu podejrzanych spacerów. Niemcy znaleźli w jego pokoju zeszyty, w których robił stylem telegraficznym notatki dotyczące kursu. Wytargaliśmy go potem za uszy po odejściu policjantów, którzy na odchodnym powiedzieli: „Jesteście cudzoziemcami! Uważajcie, żebyście nie robili nic przeciwko władzom okupacyjnym, bo drogo by to was kosztowało!"

W krótki czas później mąż spotkał Zustrassera, który zwrócił zeszyty Freddy'ego ze słowami: „Niech pan poradzi swojemu synowi, żeby nie pisał pamiętników!"

Drugie najście gestapowców było poważniejsze. Chyba opisałam już panu, jak wyglądała Villa „Voisin": prostokątny dom z ogrodem. Wejście było w prawym rogu od strony drogi jezdnej zamkniętej, co wymagało od aut jadących pod górę wykonania manewru dla zatrzymania się. Trzy pokoje na piętrze były ze sobą połączone, Freddy przechodził przez pokój „B" idąc do swojego. Nasz pokój był po drugiej stronie korytarza. Drzwi tych pokoi pozostawały otwarte przez cały dzień, tak że przechodząc widać było, co się dzieje w każdym z nich. Nasz „B" odbył już kilka podróży do Hiszpanii. Pewnej nocy powrócił późno, pesety i bilety

tramwajowe hiszpańskie wyjęte z kieszeni położył na kominku w swoim pokoju. Niemcy przyszli bardzo wcześnie rano, jakby wiedzieli, że powrócił do Francji.

Pokój mojej matki i Janine znajdował się na parterze, one pierwsze zauważyły przybycie tych gości. Mówiąc tak głośno, by było ją słychać na pierwszym piętrze, matka powiedziała do nich przez okno: „Proszę wejść, ale wszyscy jeszcze śpią".

Mąż obudził się i zszedł w pidżamie otworzyć drzwi.

„Gestapo! Pewnie pan na nas czekał?"

„Ależ nie! Nie ma powodu!"

„A jednak nie ma pan zdziwionej miny?"

„Bo pana rozpoznałem — odpowiedział mąż — był już pan tu u nas. Chciałbym wiedzieć, po co zadaje pan sobie trud jeszcze raz! Wie pan, jakie są moje funkcje i jak je wykonuję! Nie widzę powodu, by władze niemieckie mną się zajmowały!

„Chcemy widzieć pana siostrzeńca, tego który jest trochę głuchy i głupawy za każdym razem, kiedy się stawia na kontrolę cudzoziemców. Co on robi u pana?" „Wykonuje prace fizyczne, zajmuje się ogrodem..."

W tym czasie, kiedy wymieniali te uprzejme słowa, Janine weszła do jadalni i zobaczyła przez okno, że „B" ukrył się w ogrodzie. Udając zrozumiałe w takiej sytuacji zdenerwowanie, poprosiła o pozwolenie pójścia w pewne miejsce na piętrze, Niemcy przepuścili ją, wtedy przybiegła mnie obudzić: „Mamo, to gestapo!"

Wyskoczyłam z łóżka, wpadłam do pokoju „B" i chwyciłam z kominka to, co tam leżało. Ukryłam pod bluzką pidżamy i akurat miałam czas na nowo wsunąć się do łóżka, kiedy Niemcy wkroczyli do pokoju. *„Raus!"* — powiedział jeden z nich. — „Jestem chora i czekam na lekarza" — oświadczyłam.

Gestapowcy zostawili mnie w spokoju, poszli do ogrodu, znaleźli „B" i trzymając go w odosobnieniu od reszty rodziny przesłuchiwali w pokoju na parterze. Świetnie grając rolę idioty i głuchego, „B" udawał, że nic nie rozumie, wybełkotał jakieś odpowiedzi bez związku z pytaniami, jakie z uporem mu zadawali.

Był też Zustrasser. Odchodząc z policjantami, powiedział do męża: „Panie de Greef, powinien pan przyjmować mniej gości. Otacza pana atmosfera niechęci".

Słysząc te słowa mąż odwrócił się do Niemców: „Przyjmuję tę uwagę jako formę przeprosin. Proszę na przyszłość przychodzić po wyjaśnienia do mojego biura w merostwie Anglet zamiast składać mi wizyty w domu. Nie pochwalam takiego sposobu postępowania i złożę skargę do władz okupacyjnych!"

Jakby chcąc go do tego zachęcić, Zustrasser mrugnął do męża okiem i lekko się uśmiechnął.

„Nie ma dymu bez ognia — powiedział mąż. — Chciałbym ostatecznie wiedzieć, co mi macie do zarzucenia!"

„Proszę pana — powiedział policjant — dostajemy tyle anonimów, że jesteśmy zmuszeni działać."

Po wyjściu Niemców mąż przypomniał stare francuskie przysłowie: „Do trzech razy sztuka", i sprawdziło się ono, bo złożyli nam trzecią wizytę, która przypadła na krótko przed wylądowaniem aliantów 6 czerwca 1944 roku. W przerwie między tymi odwiedzinami nie mieliśmy żadnych kłopotów.

Było to w maju. Matka odpoczywała w swoim pokoju, ja siedziałam w ogrodzie obok Janine, która uczyła się lekcji leżąc na brzuchu na trawniku. Mąż i Freddy byli w merostwie.

Usłyszałyśmy, że nadjeżdża auto, warkot nie rokujący nic dobrego, wtedy tylko Niemcy mieli dostęp do benzyny. Córka skoczyła na równe nogi, ja wstałam i w chwilę później weszło dwóch mężczyzn, znowu z Zustrasserem u boku. Wydawał się przerażony.

„Tym razem do pani mamy sprawę — powiedział policjant. — Pojedzie pani z nami, musimy zrobić przesłuchanie."

„Czy mam zabrać walizkę?"

„Nie. Nie jest to potrzebne."

„Jeżeli panowie pozwolą, to jednak zabiorę sweter."

Osobnik, do którego zwróciłam się, nie oponował, więc weszłam do domu, a za mną Janine. Szybko jej powiedziałam, co ma zrobić i przywołałam matkę, mówiąc bardzo głośno: „Już widziałaś tych panów. Chcą mi zadać pytania, ale zapewniają, że zaraz potem mnie zwolnią. Mówię zatem do widzenia dzisiaj wieczorem".

Potem wsiadłam do auta gestapowców, zawieźli mnie prosto do „Maison Blanche" w Biarritz. W kancelarii więzienia musiałam zostawić zegarek i biżuterię, co ujęto w rejestr. Pomyślałam, że nie wrócę do domu zbyt prędko. Potem bez żadnego przesłuchania zamknęli mnie.

Tymczasem Janine pozbierała wszystko, co trzeba było usunąć z domu, i pojechała z tym do panny Danglade, naszej drogiej „Léontine" — kupcowej o wielkim sercu, która przyjęła to wszystko w depozyt; uprzedzona o niebezpieczeństwie, schowała starannie i to, co już wcześniej miała u siebie. Stamtąd Janine udała się do merostwa, gdzie dowiedziała się, że jej ojciec pojechał z niemieckimi oficerami pokazać im wille, a Freddy został aresztowany przez gestapo. Powiedział to jej jeden z urzędników mojego męża, a był to syn pani Mendiburu, która z poświęceniem z nami współpracowała, udzielając kwater lotnikom. Jules Mendiburu pomagał

Freddy'emu w willach zajętych przez Niemców podkradać wszystko, co mogło się przydać „Timothy'emu".

„Postaram się odszukać ojca — powiedziała do niego Janine. — Jeśli tu powróci, zanim się z nim zobaczę, proszę go ostrzec, by nie szedł do domu, bo mogą go tam aresztować."

Potem odwiedziła pana Houget, który — jak pan wie — miał prawo wchodzenia do więzienia, żeby się dowiedzieć, gdzie jesteśmy — Freddy i ja. Potem udało się jej spotkać ojca i uprzedzić, by nie wpadł w kocioł w naszym domu. Mąż — zgodnie ze swoim temperamentem — zaczął działać z tupetem: „Panie majorze — powiedział do oficera, którego obwoził po willach — niemiecka policja znowu wdarła się do mnie, aresztowała moją żonę i syna! Proszę o wszczęcie postępowania, żeby jedno i drugie zostało uwolnione!"

Oficer, o którym mowa, okazywał mojemu mężowi pewną sympatię, i możliwe, że w maju 1944 roku czuł już powiew klęski.

„Szef gestapo w Bayonne jest moim dawnym kolegą z gimnazjum, pojadę do niego dowiedzieć się, o co chodzi — powiedział. — Ale proszę nie wychodzić z Komendantury".

To ostatnie polecenie znaczyło, że dopóki pozostawał pod dachem Komendantury, korzystał z opieki niemieckiej armii, która, jak każdy wiedział, nie była w najlepszych stosunkach z gestapem.

Dotrzymując obietnicy, major pojechał do Bayonne. Zwrócił się do szefa gestapo ze słowami: „Gdybym uważał, że ci ludzie są winni, to sam poprosiłbym ciebie, żebyś przedsięwziął konieczne środki. Ale mogę ci z góry powiedzieć: jestem przekonany o ich niewinności. Dostarczają mi hiszpańskiej czekolady i innych słodyczy. Czuję się szczęśliwy, że mogę je wysyłać rodzinie. Nie wiodło im się w Belgii, ich dom został zburzony i dlatego tutaj zamieszkali".

Tak zdawał relację mojemu mężowi, przyprowadzając mu Freddy'ego, który już był w Bayonne. Dodał, że spodziewa się pomyślnie załatwić sprawę.

Zna pan moją córkę Janine, której niezmącony spokój kryje naturę bardzo energiczną. Dając dowód zadziwiająco zimnej krwi jak na dziecko w jej wieku, wróciła do domu tłumacząc babce, że zaszła pomyłka. „Mama i Freddy zaraz powrócą" — zapewniła, chociaż obawiała się najgorszego dla mnie i brata.

Ja tymczasem przebywałam w „Maison Blanche", zamknięta w jednym pokoiku razem z kilkoma kobietami zatrzymanymi za czarny handel lub za stawianie trudności niemieckim oficerom w ich zalotach. Był to dzień odwiedzin, przyniesiono im paczki, którymi uprzejmie dzieliły się ze mną, starały się mnie pocieszać i dowiedzieć się, za co tutaj się dostałam. Na ich nieustanne i nie-

pożądane pytania miałam tylko jedną odpowiedź: „Może wy mi to powiecie. Ja nie wiem nic i czekam na przesłuchanie, żeby się dowiedzieć, o co mnie oskarżają".

Aby mieć święty spokój, wdrapałam się na najwyższe łóżko i szukałam ucieczki we śnie.

Około północy obudziło mnie walenie w drzwi. Usłyszałam: „Frau de Greef! Frau de Greef!"

To wprawiło mnie w zakłopotanie. Ale inne więźniarki zaczęły protestować: „Niech pani idzie! Złaź z góry, niech raz z tym będzie koniec! Chcemy spać!"

Strażnik otworzył drzwi: „Frau de Greef?"

Zaprowadził mnie do oficera, w którym rozpoznałam tego, który często przebywał w towarzystwie mojego męża. Działo się to w kancelarii, oddano mi zegarek i biżuterię, potem oficer wziął mnie za ramię delikatnie poklepując, jakbym była psem, z którym chce się bawić. Wcale mnie to nie pokrzepiło na duchu.

Wielkie torpedo ze spuszczoną budą czekało przed bramą, szofer w mundurze siedział za kierownicą, a żołnierz obok niego. Oficer poprosił, bym zajęła miejsce z tyłu, sam usiadł obok, objął mnie za szyję, przytulił i zaczął nucić. Po chwil przerwał i zapytał na ucho: „Zadowolona?"

Nie wiedząc, czego się trzymać, odpowiedziałam wymijająco: „Może".

Wtedy zaczął mówić po niemiecku, nic nie mogłam z tego zrozumieć, prócz tego, że odgrywał jakąś komedię, nie wiedziałam, jak ona się skończy. Auto zatrzymało się w połowie drogi między Biarritz a Anglet. Szofer i jego towarzysz wysiedli i załadowali do auta napoje wszelkiego rodzaju.

„*Gross* święto dzisiaj wieczór!" — wyjaśnił oficer.

Coraz bardziej zaniepokojona, obawiając się, że będę musiała zapłacić koszty tej fety, zobaczyłam jak auto zatrzymuje się przed dużą willą i dostrzegłam na podjeździe dwie sylwetki: to był mąż i syn. Jak wielkiej doznałam ulgi.

„Dzięki Janine mogłem załatwić to, co konieczne — powiedział ostentacyjnie mąż. — Major zechciał mi uwierzyć, że jeździłaś do Hiszpanii po te rzeczy, które wysyła swojej rodzinie. Wiele mu zawdzięczamy. Wydobył Freddy'ego z więzienia..."

W taki sposób dowiedziałam się, że syn był także aresztowany. Mąż mówił dalej: „Jesteśmy zaproszeni na kolację, zaraz zasiądziemy do stołu".

Stół przygotowany dla dwudziestu osób był wspaniale zastawiony. Kazano mi usiąść naprzeciwko „zbawcy", chcę powiedzieć majora, który za nas poręczył wobec szefa gestapo z Bayonne. Mój

mąż i syn siedzieli po jego obu bokach. Na krześle przy stole siedział także mały bretoński spaniel w dumnej postawie. Powiedziałam sobie: „Oto mój atut!" [1]

Illico, ten mały piesek odniósł się do mnie łaskawie, a więc prawiąc mu czułości i podając małe kęski z własnego talerza, trafiłam prosto do serca majora.

Oficerowie dużo jedli i zdrowo pili. Major podnosił swój kieliszek za zdrowie po kolei każdego z biesiadników w mundurze, potem przyszła kolej na nas i zmienił ton. Zaczął mówić po francusku językiem chropowatym, ale zrozumiałym: „Zanim wzniosę następny toast, muszę was uprzedzić, że wziąłem na swoją głowę odpowiedzialność za wypuszczenie was z więzienia stawiając własną osobę jako gwarancję dla mojego przyjaciela z niemieckiej policji, który zgodził się zapomnieć o swojej funkcji, aby mi zaufać jako niemieckiemu oficerowi. Obiecałem, że jeżeli przeprowadzone przeze mnie śledztwo wykaże waszą winę, sam zażądam, by wam ścięto głowy. Niemiecka policja uważa was za bardzo niebezpiecznych szpiegów, których nie można przyłapać na gorącym uczynku... A teraz *prosit! Heil Hitler!*

Oczywiście, że siedziałam, kiedy wszyscy Niemcy wstali. Major popatrzył mi prosto w oczy i powtórzył: *„Heil Hitler!"*

Zrobiłam przeczący ruch głową. Wtedy uniósł się gniewem: „*Warum*?" Dlaczego?

„Panowie — powiedziałam — mój syn jest zbyt młody, by wam odpowiedział, ale spytajcie mojego męża. On i ja przeżyliśmy dwie wojny. Za każdym razem Niemcy, Anglicy i Francuzi spotykali się u nas w Belgii pod pretekstem ochrony przed agresją. Skutek taki, że podczas wielkiej wojny wszystko zostało zniszczone, a teraz na nowo zrujnowane. I chce pan, żebyśmy powiedzieli *prosit*? Nie! Nie będzie *prosit* ani dla Anglików, ani dla Niemców, ani dla Francuzów! Dla nikogo nie będzie *prosit*, ale niech żyje wolność!

Major popatrzył na mnie i w końcu powiedział: „No dobrze, ale mimo wszystko proszę wypić!"

Powiedział o dwa słowa za wiele, i wtedy domyśliłam się, że jego przebiegłość zmierzała do spojenia nas trojga, by nam rozwiązać języki, a ci co nas otaczali, mieli notować w pamięci, co powiemy. Ta cała reszta doskonale mówiła po francusku! Ale przeliczy-

[1] Pani de Greef wybrała sobie pseudonim „Tante Go" ze względu na psa, którego bardzo lubiła. Jej miłość do zwierząt jest bez granic: w domu, gdzie przyjmowała autora książki, było około dwudziestu kotów, zajmujących cały parter. Nieoswojone koty, które wolały swobodę, dożywiała w ogrodzie (przyp. autora).

li się, sami tak wiele pili, z majorem na czele, że jeden po drugim musieli odchodzić od stołu i już nie wracali. Jeden tylko major, przyzwyczajony widocznie do używania mocnych napojów, twardo siedział na krześle, tak że w końcu zostaliśmy z nim sami. Zaczął śpiewać, czuliśmy, że chciał ukryć swój niepokój.

Wszystko to trwało bardzo długo, aż zaczęło świtać, i po pieśniach majora nastąpił śpiew ptaków. Po wyszukaniu najmniej pijanego szofera — gdyż wszyscy w tej willi poszli w ślad za oficerami — major upierał się, że nas odwiezie do Villa „Voisin". Zażądał, bym usiadła między nim a mężem, a Freddy'ego umieścił z przodu. Dojechaliśmy bez kraksy do willi, w której matka i Janine nie zmrużyły oka. Wobec Janine, która stała w oknie, major odegrał rolę Romea. „Zwracam pani mamę!" — deklamował trzymając rękę na sercu. Potem wsiadł w auto, odjechał i wreszcie mogliśmy spokojnie odetchnąć.

— Czy mógłbym się dowiedzieć, co się działo dalej z tym romantycznym oficerem?

— Bynajmniej nie był romantyczny! Zaczął żądać zwiększenia porcji słodyczy, które sprowadzaliśmy z Hiszpanii dla niego, trzeba było prowadzić tę grę przez kilka tygodni, potem dostał rozkaz wyjazdu do Włoch, gdzie dostał się do niewoli angielskiej i wysłano go do Wielkiej Brytanii. Tam zaraz się pochwalił, że dopomógł w Bayonne „ważnym figurom z belgijskiego Ruchu Oporu" i podał nasze nazwisko. Zażądano od nas potwierdzenia i przyznaję się, że bez żadnych zastrzeżeń świadczyliśmy na jego korzyść.

— Słusznie pani postąpiła. Wszystko zdaje się wskazywać na to, że nie dał się wystrychnąć na dudka. Bardzo wiele ryzykował gwarantując za panią w gestapo i zaciągnęła pani wobec niego dług wdzięczności. Co pani robiła później po tym groźnym alarmie?

— Zaczęliśmy od małej narady familijnej. Tak się złożyło, że Freddy otrzymał wezwanie ze sławetnego *STO* [1] do odbycia przymusowej pracy w Belgii. To nam stwarzało okazję do wytłumaczenia jego wyjazdu z Anglet. Zaszła jednak taka różnica, że odjechał przez Hiszpanię via Gibraltar do Anglii. Towarzyszyła mu Janine; mogliśmy powiedzieć, że przy okazji podróży brata wybrała się w odwiedziny do krewnych w Brukseli. Wysłałam do „Timothy'ego" wiadomość, wyjaśniając mu sytuację, i ustaliliśmy, że sama odwiozę dzieci do San Sebastián, gdzie przebywały jeszcze Michou i Henriette Hanotte.

Nie chcąc narażać punktów granicznych rezerwowanych dla lotników, poszukałam innych. Zawarłam znajomość z pewną ro-

[1] *Service du Travail Obligatoire* (fr.) — Urząd Przymusowej Pracy.

dziną w Sare, jeden z jej członków dopiero co zginął w wypadku w górach. Dom leżał bardzo na uboczu, lecz był przyjemny, gospodyni miała nie więcej niż dwadzieścia parę lat. Niedawno wyszła za mąż za najprzystojniejszego chłopaka w całej okolicy. Uważała, że jak na jej gust jest zbyt lękliwy. Młody żonkoś postanowił dowieść, że jest bardzo męski. No i zabił się przy wspinaczce. Spróbowaliśmy zupy ugotowanej w wielkim kotle zawieszonym nad ogniskiem.

Przejście przez Sare było dłuższe i może nawet trudniejsze niż tamto, z którego nie chciałam skorzystać, ale dawało więcej możliwości ukrycia się w razie jakichś komplikacji. Trasy tej używali przemytnicy na mułach, ścieżka wznosiła się i opadała i znowu szła w górę, krzyżowała się z innymi, nie potrafilibyśmy jej odnaleźć sami. Freddy i Janine, młodzi i wysportowani, dzielnie znosili zmęczenie, ani chwili nie odpoczywaliśmy podczas tej nocy z piątego na szóstego czerwca: wyruszyliśmy między siódmą a ósmą wieczór, w Hiszpanii byliśmy rano, ale jeszcze daleko od San Sebastián. Spędziliśmy dzień w domu, gdzie znano przemytników, mieliśmy dość czasu, aby uprzedzić o naszym przybyciu Michou i Henriette Hanotte, które przebywały u naszej znajomej Dolores. Pojechaliśmy dalej wąskotorową kolejką. Dolores przyjęła nas wspaniale, tam dowiedziałam się, że alianci wylądowali w Normandii. Potem poznałam „Timothy'ego" który przyjechał po nas autem z Madrytu. „Chcę z panem pojechać do Madrytu, ale pod jednym warunkiem: powrócę do Francji" — oznajmiłam. — Urodzony dyplomata uśmiechnął się tylko. Otrzymał z Londynu ścisłe rozkazy co do mojej osoby i przypuszczał, że potrafi mnie nakłonić do wyjazdu. Ale zdarzają się takie chwile, kiedy dyplomacja na nic się nie przydaje nawet takiemu czarującemu mężczyźnie, jakim był „Timothy". Po odegraniu swojej roli komiwojażera, która polegała na przekazaniu dzieci w dobre ręce, uważałam, że posiadam swobodę dysponowania sobą i wyraźnie to powiedziałam „Timothy'emu".

„Niech będzie pół na pół — zaproponował. — Zatrzymam w Madrycie połowę pani, to znaczy syna i córkę, pani wróci razem z Dolores do San Sebastián i tam zaczeka, aż dam zezwolenie na powrót do Francji."

To mnie rozgniewało. „Mr So-and-so" [1] — odpowiedziałam — nigdy się nie zaciągałam u pana do służby! Proszę jedynie, by dał mi pan pracować dalej, bo tę pracę pan cenił i jeszcze nadal panu się przyda. Chyba oboje z mężem daliśmy dowody, że nie jesteśmy dziećmi. Dysponujemy możliwościami, których nie ma pan ani

[1] *Mr So-and-so* (ang.) — Panie Taki-a-taki.

agenci przeszkoleni w Londynie. Gdyby pan posłał do Francji jednego z takich agentów, żeby nas zastąpił, zaraz go złapią, a my jesteśmy kryci zarówno przez Niemców, jak i przez Francuzów. Cokolwiek pan sobie o tym myśli, jeszcze nie jesteśmy wykończeni i chcemy dalej pracować. A więc Mr So-and-so składam ukłon i dziękuję za miłe przyjęcie.

Ucałowałam dzieci i odjechałam z powrotem do San Sebastián w towarzystwie Dolores. Domyślałam się, że „Timothy" jej wydał po cichu instrukcje, bo nie odstępowała mnie ani na krok.

„I tak nie może pani wyruszyć z powrotem. Anglicy porwali Florentina."

„Jak to porwali?"

„Tak się martwił o panią, że stracił apetyt. Wtedy Anglicy poili go od rana do nocy i jeszcze nie wytrzeźwiał."

„Dolores — powiedziałam — nie potrzeba mi nikogo, mogę sama wracać przez Sare lub przez Bidarray, albo trasą lotników. Chociaż wolałabym odejść razem z Florentinem, bo jest nam potrzebny."

Tymczasem nadszedł mąż Dolores. Przyznał mi rację i nazajutrz przyprowadził Florentina. Zna go pan, nie można powiedzieć, że jest rozmowny... Wlali w niego tyle alkoholu, że nie można było wyciągnąć z niego ani słowa. Wiele razy mu powtarzałam:

„Florentino, *manana! Mañana*, Florentino!"

W końcu wyszeptał:

„*Si, si, si.*" Potem, jakby sobie zdając sprawę, jakim zaufaniem go obdarzam, dodał całkiem pijany:

„Ja nie pić więcej. Skończone".

Poszliśmy. Florentino nogi miał jak z waty, szedł na nich jak biedne wycieńczone zwierzę, które czuje stajnię, chciał bardzo nieść mój plecak; były w nim zapasy przeznaczone dla niemieckiego majora, notatki z moich rozmów z „Timothym" i odzież, w jaką miałam się przebrać po przekroczeniu granicy. Była ona inna niż tamta, którą nosiłam w Hiszpanii, ponieważ Niemcy mieli swoich szpicli w San Sebastián. Jak zazwyczaj, w połowie drogi zrobiliśmy sobie postój w ubogiej fermie, gdzie mieliśmy się spotkać ze znajomymi przemytnikami.

Nie mogłam zabronić, by Florentino nie zaglądał kilkakrotnie do swojej *chahakoa*, czyli manierki, którą mimo przysięgi napełnił przed drogą hiszpańskim koniakiem. Podczas odpoczynku na fermie jeden z przewodników zauważył: „Czy pani nie widzi, że Florentino jest w opłakanym stanie? Poczekajmy, aż wyparuje z niego alkohol, pójdziemy razem trochę później". Odmówiłam, bo miałam zasadę nie ustawać, kiedy się już rozpędziłam i wiedziałam,

że tak jest najlepiej, pamiętam, w jakich warunkach aresztowano Dédée. Przebrałam się w męskie granatowe robocze spodnie, na nogach miałam sandały, a dla ukrycia włosów beret. Tak się ubierały wszystkie kobiety, które szły przez góry. Swój plecak zostawiłam mówiąc przewodnikowi, że odbiorę go później przez Florentina.

Florentino zebrał się do drogi razem ze mną, przyszliśmy bardzo wcześnie nad Bidassoa. Wie pan o tym, że idąc od strony hiszpańskiej trzeba przejść przez drogę usianą posterunkami granicznymi i przez tor kolejowy. *Carabineros* z tych strażnic chodzili bez przerwy spotykając się jeden z drugim, trzeba było więc czekać, aż po spotkaniu rozejdą się i wtedy przebiec tych dwieście do trzystu metrów, żeby znaleźć się nad rzeką o stromym wale. Wdrapywaliśmy się po nim na czworakach idąc w kierunku przeciwnym, a zjeżdżaliśmy z niego na plecach w drodze do Francji. Wszystko poszło dobrze, tylko Florentino miał tak wielkie pragnienie, że po przebrnięciu rzeki rzucił się na brzuch i chłeptał wodę jak pies, a podnosząc się z ziemi potrącił kamienie. Rozzłoszczony, jakbym to ja ponosiła winę za spowodowanie hałasu, odwrócił się do mnie szepcząc:

„Sza!"

Zrozumiałam, że potrzeba mu chwili wypoczynku i pociągnęłam za pasek, zachęcając, by usiadł: „Ja zmęczona".

Wyciągnął się na plecach opierając stopy o pnie młodych drzew i zaraz zaczął chrapać. *Carabineros* spostrzegli nas z drugiego brzegu i nawoływali głośno krzycząc, ale się tym nie przejmowałam zupełnie. Byliśmy już po naszej stronie granicy. Florentino w końcu się obudził, wstał i poszliśmy dalej. Około siódmej rano dotarliśmy do drugiej fermy-gospody. Tam zwalił się z nóg od razu.

„Boże mój! — wykrzyknęła fermerka — Co mu pani zrobiła!"

„Proszę się liczyć ze słowami! — odpowiedziałam. — To nie ja. To wina tych, którzy chcieli mi przeszkodzić w powrocie do Francji!"

Odzież, w którą miałam się przebrać w drodze do Anglet, pozostała w plecaku na hiszpańskiej fermie. Co robić! Postanowiłam wracać do domu w męskim stroju. Wypiłam kubek mleka, pożyczyłam męski rower i zjechałam z góry szybkim pędem, żeby myślano, że to jakiś chłopak, do domu Katalin. U niej przebrałam się, zostawiłam rower i granatowe drelichowe ubranie, potem spokojnie wróciłam do Villa „Voisin", gdzie stwierdziłam, że mąż miał niemało roboty podczas mojej nieobecności.

Ustaliliśmy z „Timothym", że będziemy gromadzili na miejscu lotników napływających na południe. Użyliśmy dwukrotnie czy

trzykrotnie Florentina w celu dostarczenia tajnej poczty do Dolores, która wręczała ją „Timothy'emu" i w taki sam sposób za pośrednictwem Dolores i Florentina otrzymywaliśmy pocztę od „Timothy'ego". W ostatnich dniach czerwca Florentino powracał z Hiszpanii niosąc korespondencję przez jedno z używanych zwykle przejść granicznych. Od czasu wylądowania aliantów w Normandii Niemcy zarejestrowali u siebie sporą liczbę dezerterów, przeto ustawili swój posterunek niedaleko Bidassoa. Nadzór był tak gęsty, że przemytnicy nie ośmielili się pójść na spotkanie Florentina w góry, by go ostrzec.

Florentino przyłapany przez patrol spotkał się z serią strzałów z pistoletu maszynowego, dwie kule utkwiły w prawej nodze, jedna wyżej w udzie i jedna w łopatce. Ciężko ranny upadł, mimo to myśląc o tajnych pismach, które przenosił, zdobył się na wysiłek i wsunął je pod kamień. Ale zastanowił się, że kiedy Niemcy będą go podnosić, mogą poruszyć ten kamień... Żeby temu zapobiec, z szaleńczą odwagą zaczął się staczać w dół, aż wpadł w wąwóz głęboki na dwadzieścia metrów. Tocząc się od skały do skały runął na sam dół i tam znaleźli go Niemcy. Przewieziony do Hendaye miał przesłuchanie, odpowiadał niezrozumiałymi monosylabami, podał fałszywe nazwisko, oczywiście baskijskie. W nadziei, że z niego coś wyciągną, Niemcy umieścili go w szpitalu w Bayonne. Kiedy o tym dowiedzieliśmy się, postanowiliśmy go stamtąd wydobyć.

Trzeba było zachowywać wielką ostrożność, gdyż przy najmniejszym podejrzeniu Niemcy przewieźliby go gdzie indziej. Szukałam kogoś mającego prawo wstępu do szpitala i znalazłam go w osobie pani Lamarque, siostry naszej drogiej Léontine Danglade. Pani Lamarque jako działaczka charytatywna odwiedzająca chorych poszła do dyrektora szpitala i powróciła mówiąc:

„Nie można go wtajemniczyć! Gestapo przyprowadzając więźnia zaznaczyło, że dyrektor odpowiada za niego swoją własną głową. Wręczyli mu urzędowe pismo".

„A więc dobrze — powiedziałam — niech pani mu także napędzi stracha! Proszę się postarać o to pismo, jest mi potrzebne do podrobienia pieczęci, jakie tam są. Proszę obiecać dyrektorowi, że dostanie je z powrotem tego samego dnia, będziemy go kryli i nie ma powodu obawiać się niczego, jeżeli okaże nam zrozumienie."

Pani Lamarque otrzymała pismo, noszące fałszywe nazwisko Florentina, z datą przyjęcia do szpitala w Bayonne i pieczęcią gestapo. Mój syn „Freddy fałszerz" przeszkolił wcześniej swego przyjaciela Jules'a Mendiburu „w zawodzie". Ten chłopak był potem komisarzem policji w Biarritz, niech to służy za dowód, że sztuka

fałszerska prowadzi do wszystkiego! Mąż mój zgromadził pieczęcie „świśnięte" po trochu wszędzie w niemieckich biurach, które podobnie jak pieczęć gestapo miały jako godło orła ze swastyką. Używaliśmy maszyny do pisania o czcionkach podobnych do zastosowanych w piśmie gestapo, sporządziliśmy nowe, pozostawiając datę in blanco, a pani Lamarque odniosła oryginał dokumentu do dyrektora szpitala. Teraz już chodziło tylko o znalezienie niezawodnego sposobu na wydobycie Florentina.

Poszłam znowu do Hiszpanii, spotkałam się z „Timothym". Poinformował mnie, że wręczył przemytnikom pieniądze na zorganizowanie ucieczki Florentina.

„Ależ nie! — powiedziałam — Niech pan pozostawi tych ludzi na boku! Przecież z powodu ich tchórzostwa złapano Florentino i wiem, że już zrabowali to, co pozostawił w Hiszpanii. Będziemy działali własnymi środkami."

Po powrocie do Anglet rozmawiałam z panią Lamarque.

„Znam osobiście lekarza, który zajmuje się Florentinem — powiedziała. — Chora noga leży na gumowym kole, żeby nie dotykała się prześcieradła, nie jest jeszcze w gipsie, żeby Niemcy go nie wywieźli z Bayonne. Ale znalazł się w rozterce ten lekarz, ponieważ noga będzie krótsza, jeśli tak będzie leżał dłużej."

Uprzedziliśmy *FFI*[1] miejscowe zwyczajnie zawiadamiając, że trzeba będzie przewieźć w bezpieczne miejsce człowieka postrzelonego w górach.

Lecz partyzanci robili zbyt wiele ruchu, mogło to zwrócić uwagę Niemców, wobec czego mój mąż poprosił ich dowódcę, majora Passicot, by nakazał im spokój. Razem z panią Lamarque poszłam do ogólnej sali, gdzie leżał Florentino udając, że go nie znam, siedziałam razem z panią Lamarque przy łóżku młodego wieśniaka, który miał być poddany operacji, a potem u wezgłowia innych chorych. Mogłam więc rzucić okiem na Florentina, który mnie natychmiast rozpoznał, ale nie pokazał tego po sobie, leżał bezwładnie, z oczyma wbitymi w sufit. Pani Lamarque wtedy zapytała jego sąsiadów:

„Kto to jest ten pan, który nie rozmawia? Czy można by coś dla niego zrobić?"

„Trzeba by umieć do niego przemówić! — odpowiedzieli. — Kiedy się ktoś do niego zwraca, ma taką minę jakby nie rozumiał, co do niego mówią, nawet po baskijsku! Biedaczysko chyba uderzył się o coś głową!"

---

[1] *Forces Françaises de l'Intérieur* (fr.) — Wewnętrzne Siły Francuskie

Podczas drugich odwiedzin w szpitalu, zawsze razem z panią Lamarque, zwróciłyśmy się paru słowami do niego tak jak i do innych. Przyniosłam mu winogrona i inne smakołyki, które lubił. Podając je mrugnęłam okiem i zrobiłam gest ręką znaczący: „Miej cierpliwość, pamiętamy o tobie!"

Powtórzyłam ten manewr pięć czy sześć razy. Tymczasem mąż robił przygotowania razem z panem Pouyade, sekretarzem merostwa w Anglet, który był odpowiedzialny za tabor miejski i dysponował ambulansem w doskonałym stanie wraz z noszami, a nie zgłosił go Niemcom. Pouyade dostarczył mężowi paliwa i zapowiedział: „Umawiamy się, że tutaj niby nikt nie wie o niczym. Merostwo jest pogrążone we śnie od południa do pół do trzeciej. Starajcie się wyruszyć w południe, a powrócić przed wpół do trzeciej, to wszystko".

Na szczęście odwiedziny w szpitalu były dozwolone w porze obiadowej. W przeddzień wyznaczonego terminu wyszeptałam do Florentina przed odejściem: *„Mañana"*.

Mrugnął okiem i wsunął mi w dłoń pieniądze, które udało mu się ukryć. Nazajutrz przyszłam około pierwszej po południu, szepnęłam mu: *„Cinco minutos"*.

Odeszły zakonnice, pielęgniarki poszły jeść, chorzy drzemali. Odchodząc, gestem dłoni starałam się wlać w niego ufność i wyszłam na podwórze. W tej samej chwili wszedł mój mąż, bardzo głośno krzycząc po niemiecku i nagląc do pośpiechu, za nim dwaj mężczyźni z grupy Passicota wnieśli nosze i ustawili je obok Florentina. Jeden z naszych ludzi wziął naszego przyjaciela za ramiona, drugi za nogi, przykryli go kołdrą z łóżka, a mąż mój nie przestawał krzyczeć: *„Schnell! Los! Raus!"*

Zaalarmowane hałasem pielęgniarki i zakonnice, przybiegły i zaczęły krzyczeć, a za nimi krzyki podnieśli gwałtownie przebudzeni chorzy.

„Panowie, cóż to za sposób! — zawołała pielęgniarka. — Co to za historia?"

„Niemiecka policja — odpowiedział mój mąż, wyciągając sporządzone przez nas pismo. — Ten człowiek tak się nazywa, no nie? A więc? Oddaliśmy więźnia pod waszą opiekę, a teraz go zabieramy, nie macie nic do gadania!"

Partyzanci Passicota, dla których to wszystko za długo trwało, pośpieszyli się z noszami na podwórze, wepchnęli je do karetki z takim pośpiechem, że Florentino wyciągając szyję i szukając mnie wzrokiem uderzył się głową o dach. Poczciwe siostry nadbiegły krzycząc: „Banda dzikusów! Brutale! Kto widział coś podobnego!"

Nadszedł mąż, wsiadł, karetka ruszyła, wyjechała poza obręb

szpitala, ja zrobiłam to samo pieszo zataczając wielkie półkole, zanim doszłam do domu. Mówiłam sobie, że lepiej by było, gdyby nikt nie mógł powiedzieć, że brała udział w porwaniu jakaś kobieta, bo wtedy zbyt łatwo mogliby Niemcy nas rozszyfrować. Bez oddania żadnego strzału ambulans dojechał do Biarritz. Tam był garaż zarekwirowany przez Niemców, a za nim domek z osobnym wejściem. Szyldwacha sprzed garażu zaprosił na szklaneczkę jeden z ludzi Passicota, weszli do baru, tymczasem nadjechała karetka. Przenieśli Florentina do domku, zamknęli bramę garażu, a żołnierz powrócił na wartę.

Potem poszliśmy po lekarza, który leczył Florentina w szpitalu, żeby założył mu wreszcie gips. Poinformowałam panią Lamarque, która zawołała:

„Udało się wam to zrobić!"

„Tak — odpowiedziałam — a pani nam bardzo dopomogła! Będziemy o tym pamiętali."

„Co mam robić?"

„Nic. Proszę dalej odwiedzać chorych w szpitalu i robić zdziwioną minę, kiedy pani usłyszy o porwaniu."

Dyrektor spytał pani Lamarque:

„Pani pewnie brała w tym udział?"

„Ja? Ależ bynajmniej!"

„Ale..."

„Czy jest pan w porządku wobec władz niemieckich?"

„Oczywiście, że tak."

„A więc o co chodzi?"

„To już trochę za dużo, poprosiła mnie pani o kartkę przyjęcia do szpitala, a potem dostarczono mi kartkę wyjścia ze szpitala całkiem formalną! Zaczynam..." „Dam panu dobrą radę, panie dyrektorze! Niech pan zapomni o tym, że wypożyczył mi pan kartę przyjęcia, a gdyby stawiano panu jakieś pytania, proszę twierdzić, że nigdy nie wydostała się ona poza pańską kancelarię. Taki jest dla pana najpewniejszy sposób obrony."

Lekarz, powracający od Florentina z Biarritz, poinformował gestapo w Bayonne, że chory jest w stanie znieść transport i wkrótce niemieccy policjanci zajechali pod szpital. Dyrektor pokazał im kartę wypisu ze szpitala, zaopatrzoną w pieczęć gestapo z Hendaye. Odeszli nie żądając wyjaśnień.

— Przecież wystarczyło, by zatelefonowali do Hendaye, a dowiedzieliby się, że ich nabrano na kawał!

— Proszę nie zapominać, że byliśmy w drugiej połowie lipca 1944 roku. W naszym przygranicznym regionie gestapowcy starali się wtedy zdobyć jak najwięcej pieniędzy handlując dewizami, za-

nim umkną na północ. Ich czujność osłabła, co bardzo ułatwiało sprawę. Dywizja *Das Reich* wyjechała na przyczółki mostowe Normandii, a ci Niemcy, którzy pozostali, starali się, by o nich zapomniano, prawdopodobnie myśląc tylko o przejściu do Hiszpanii przy pierwszej okazji.

*

Jules Mendiburu, pracujący przy boku Fernanda de Greef w merostwie Anglet, podał mi uzupełniające szczegóły:

— Wykradzenie Florentina przygotowali państwo de Greef przy współudziale merostwa Anglet i grupy *Libération-Nord*. Zadanie wykonał ambulans merostwa z jego woźnym, panem Raymond, przy kierownicy. Sprzyjało nam powodzenie dlatego, że było to na krótki czas przed wyzwoleniem kraju i że obok Florentina leżał w szpitalu młody pastuch z fermy w pobliżu Parme, zraniony podczas bombardowania Biarritz. Znaleźliśmy tego chłopca, pani de Greef miała więc wystarczający pretekst, by chodzić do szpitala w odwiedziny. Jeden raz byłem razem z nią.

Florentino leżał w sali na parterze, pielęgnowała go siostra miłosierdzia czy służebniczka Marii, dokładnie nie wiem, dość że go rozpieszczała jak małe dziecko. Rozmawialiśmy z młodym pasterzem, a Florentino niczym nie okazywał, że nas zna. Starałem się powiedzieć do niego kilka słów po baskijsku, ale ani drgnął.

W wyznaczonym dniu pozostałem w merostwie w godzinach południowych, aby w razie potrzeby odebrać telefon. Pan de Greef, grający rolę zbira z gestapo, przyjechał w asyście Antoine'a Lopez, który jest dzisiaj naczelnym komisarzem Narodowego Bezpieczeństwa w Północnej Afryce na zasadzie współpracy z tubylcami, i brygadiera policji z Biarritz, Jules'a Artola. Bardzo mi się dłużyło do tej trzeciej godziny! Wreszcie karetka powróciła i dowiedziałem się, że wszystko dobrze poszło.

Florentina przewieziono do Biarritz do elektryka nazwiskiem Caumond, którego sklep wychodził na ulicę, a mieszkanie na podwórze. Ulokowano go na pierwszym piętrze, ale go nie widziałem. Przypominam sobie, że Caumond skarżył się, że jego lokator ma bardzo wielki apetyt. To zmusiło moją matkę i mnie do wędrówek na wieś w poszukiwaniu jaj, szynki itp., zakupiony prowiant odnosiłem w koszyku do pana Caumond. To sprawiło, że nasi sąsiedzi zaczęli nas uważać za handlarzy czarnego rynku.

— To ja zawiadomiłam panią de Greef o aresztowaniu Florentina przez Niemców i przewiezieniu go do szpitala w Bayonne —

powiedziała panna Gracy Ladouce. — Nowina nadeszła do naszej fermy Jatxu-Baita i natychmiast pojechałam na starym rowerze do Anglet. Ciotka Go postanowiła bezzwłocznie przygotować ucieczkę. W przeddzień wyznaczonego terminu poszłam razem z Ciotką Go do szpitala pod pretekstem odwiedzenia w szpitalu młodego, szesnastoletniego rannego chłopca. Florentino zajmujący łóżko obok zachowywał się tak, jakby nas widział pierwszy raz w życiu. Ciotka Go poprosiła, żebym mu powiedziała po baskijsku, że nazajutrz odbędzie się porwanie. Więc powiedziałam do niego bardzo cicho: Florentino, *biyar ettoriko dire zure billat azaldean,* co znaczy: Florentino, jutro po południu przyjdę ciebie zabrać.

Gdybym nie dostrzegła błysku w jego oczach, myślałabym, że nie usłyszał, bo ani jeden muskuł jego twarzy nie drgnął na tę nowinę.

*

— Bliskość niemieckiej klęski zachęciła pewnego francuskiego oficera z naszych okolic do przybrania się w mundur — opowiadała pani de Greef. — Zgrupował wokoło siebie Senegalczyków, uzbroił ich w karabiny, nie wiem gdzie znalezione, i kazał wznosić barykady. 23 sierpnia niemieckie auto wracające z granicznego posterunku w Hendaye wpadło na jedną z nich, bronioną przez naszego znajomego Pouyade i kilku innych mężczyzn. Czterej gestapowcy z tego auta użyli muru cmentarza w Anglet jako osłony i szańca. Nastąpiła strzelanina, dwaj Niemcy padli zabici, a dwaj ranni. Jeden z nich został przewieziony do Biarritz, widzieliśmy go w obecności Pouyade'a i proboszcza.

„Dlaczego mnie nie zabiliście? — pytał. — Co ze mną zrobicie?"

„Jest pan jeńcem wojennym — odpowiedział mój mąż. — Niech się pan nie obawia tortur. Nie mamy zamiaru mścić się za to, co z nami wyczyniało gestapo!"

„Chcę swoich dokumentów!" — domagał się jeniec.

Wtedy nadstawiłam ucha i zrobiłam przegląd kuferka, o który upominał się Niemiec. Był wypchany dowodami osobistymi agentów gestapo, którzy przeszli do Hiszpanii. Powiedziałam do Pouyade'a:

„Proszę sobie zabrać całą resztę, a dać mi to".

„Co pani z tym zrobi?"

„Natychmiast przemknę się do Hiszpanii z tymi dokumentami. Trzeba schwytać za kołnierz tych ludzi!"

Niemcy trzymali ciągle straż na granicy, wobec czego poszłam

do fermy pod Sare, gdzie już raz mnie przyjmowano razem z Freddym i Janine. Ruszyłam dalej w towarzystwie bardzo ładnej młodej kobiety Lucie Dufaux, której mąż służył nam poprzednio za przewodnika.

Głośno było o partyzantach z „maquis", obie obawiałyśmy się wpaść w ich ręce tak samo jak w łapy Niemców. Doszłyśmy do drugiej fermy, gdzie postanowiłyśmy chwilę odpocząć. Zapewniono nas, że ten rejon gór jest spokojny, aż tu nadbiegł duży pies, a za nim dwaj mężczyźni w cywilu, ale uzbrojeni.

„Ach, damulki! — wykrzyknęli. — Co tu robicie? Czarny handel? Chodźcie się z nami czegoś napić."

Wyglądali na francuskich policjantów, więc pomyślałam, że sprawa przybierze zły obrót, jeżeli odmówimy. Weszłyśmy zatem do sąsiedniej kawiarni, a jeden z mężczyzn zwrócił się do mojej towarzyszki ze słowami:

„Ach to ty! Znam ciebie! Chodź tu bliżej, malutka!"

„Panowie — powiedziałam — nie znacie mnie, ale was proszę, żebyście nas zostawili w spokoju. W powrotnej drodze przyniesiemy to, co was interesuje."

Miało to taki skutek, że zaczęli się srożyć:

„Co? Co to ma znaczyć?"

Wtedy okazałam swoją opaskę *FFI:*

„Czy to znacie? Mam drugą dla mojej koleżanki."

„Ach, należycie do organizacji?"

„Naturalnie. A teraz pozwólcie nam odejść."

Ale to nie odpowiadało mężczyźnie mającemu ochotę poswawolić z moją ładną towarzyszką.

„Słuchajcie — powiedziałam — zapłacę wam już teraz ile chcecie, to będzie dopiero zaliczka na to, co otrzymacie, kiedy powrócimy. Pozwólcie nam odejść."

W końcu pozostawili nas w spokoju. Obawiałam się tylko jednego: żeby nie zechcieli otworzyć kuferka, w którym znajdowały się niemieckie dowody osobiste. Przyznaję się, że ogarniało mnie przerażenie.

Przeszłyśmy hiszpańską granicę, byłyśmy u Dolores, która zawiadomiła *„Timothy'ego"*. Zjawił się szybko. Gdy zobaczył co przywiozłam, spytał:

„Czemu nie poznałem wcześniej pani i jej męża?"

„To pana wina — odpowiedziałam. — Kontaktowałam się z panem za pośrednictwem Dédée, przesyłałam plany i tajne informacje, a nawet latające ryby... Przypomina pan sobie te torpedy ze skrzydełkami, prosiłam, żeby za nie wziął pan pod opiekę dzieci Charlie'ego?"

Moja piękna towarzyszka już odjechała wcześniej i sama powróciła do Francji. Gracy Ladouce spotkała mnie z dwoma rowerami. Przyjechałyśmy do Saint-Jean-de-Luz po godzinie policyjnej i zaraz wpadłyśmy na niemiecki patrol. Szybko zeskoczyłam, wypuściłam powietrze z tylnej opony i popychałam rower. Na bagażniku była paczka pełna czekolady i papierosów, co załatwiło sprawę.

„Ach! — powiedzieli Niemcy — niedobrze dla *Damen*, późno, wieczór!"

Noc już zapadała i Katalin spała twardo kiedy do niej dojechałyśmy.

— Czy nie było żadnego śledztwa w sprawie Florentina?

— Nic nie wiemy na ten temat. Przypuszczam, że gestapo z Hendaye i gestapo z Bayonne obwiniały się wzajemnie. Florentino wyszedł z tego z jedną nogą krótszą, ponieważ zbyt długo czekał na gips. A my dalej pracowaliśmy.

POWRÓT

Na zakończenie podaję wywiad przeprowadzony z inicjatorką Akcji Kometa, Andrée de Jongh.

— Po wysłaniu do Niemiec wsadzono mnie do więzienia w Essen. Stamtąd przewieziono do Zweibrücken w pobliżu Sarrebruck, tam odnalazłam Suzanne. Jak się nazywa więzienie w Westfalii, dokąd nas wysłano razem — Mesum? Nie mogłabym twierdzić. Samą wywieźli mnie do Essen jako świadka w procesie jednej z koleżanek z Ruchu Oporu, niestety zmarła na gruźlicę, zanim stanęła przed sądem. Osobowym pociągiem, ale pod strażą, wraz z kilku innymi więźniarkami, pojechałam w nieznane. Podróż ciągnęła się w nieskończoność, nadeszła noc, potem dzień i znowu noc zapadła, a pociąg sunął bez przerwy. Orientowałam się według słońca, że wędrujemy na północ. Dziwiłyśmy się: „Gdzie nas wysadzą? Jeżeli tak dłużej potrwa, to znajdziemy się w Polsce!"

Wreszcie pociąg stanął, byłyśmy niedaleko polskiej granicy w Kreutzburg[1] na Śląsku. Miałam nadzieję, że odnajdę siostrę, lecz Suzanne tu nie było.

Pozostałyśmy w celach aż do wiosny, potem Niemcy z dwu-

[1] Kluczbork nad Stobrawą

dziestu nas najmłodszych zorganizowali komando i dołączyli do nas drugie komando składające się z takiej samej liczby Polek zobowiązanych do przymusowej pracy. Skierowano nas do rozległej posiadłości, która zaopatrywała w jarzyny okolicznych mieszkańców. Gospodarstwem zarządzał członek partii hitlerowskiej, wstrętny osobnik o rękach jak łopaty, trzymał zawsze jedno oko przymknięte, jakby chciał nas tym lepiej nadzorować drugim. Ciągle krążył po polu, na którym pracowałyśmy, zaciskając swe duże ręce gestem, jakby dusił czyjąś szyję, albo chwytając jedną dłonią szpicrutę zawieszoną u pasa, by smagać plecy jakiejś nieszczęśliwej Polki. Ten orangutan miał córkę imieniem Inge, wołał na nią „Ingelein", była jeszcze okrutniejsza od ojca, a umiała także bardzo dobrze posługiwać się szpicrutą: niejedna Polka gorzko jej na sobie doświadczyła. Nie udało nam się objąć sabotażem tysięcy sadzonek kapusty, obcinałyśmy korzonki kołeczkiem do flancowania przed ich zasadzeniem, od czego bardzo nas bolały przeguby dłoni. Ku naszemu wielkiemu rozczarowaniu większość tych kapust uparła się rosnąć mimo wszystko. Żeby się pocieszyć, mówiłyśmy: „Nic dziwnego, to są niemieckie kapusty, zdyscyplinowane!"

Tak minęła wiosna, potem lato 1944 roku. W listopadzie odesłano nas do Ravensbrück, gdzie z radością uściskałam Suzanne. Razem odjechałyśmy do Mauthausen w Austrii na początku marca 1945 roku, stłoczono nas po przeszło osiemdziesiąt w bydlęcych wagonach. Pociąg toczył się po szynach przez cztery dni, zatrzymał się wśród nocy. Esesmani przyjęli nas szorstko, ustawili po pięć w szeregu i wyruszyłyśmy do obozu oczywiście pieszo. Było bardzo zimno, miałyśmy przejść pięć kilometrów. Dużo kobiet było wyczerpanych, esesmani odsuwali je na bok drogi, żeby nie opóźniać marszu kolumny, a odgłos strzału za naszymi plecami dawał znać, że opieszała już zginęła. Podczas tego marszu nasza koleżanka Nadine nagle osłabła. Znałyśmy ją jako niestrudzoną, a tu w jednej chwili nie była zdolna wysunąć jednej nogi przed drugą, po prostu jakby postradała umiejętność chodzenia. Aby uchronić ją przed zastrzeleniem, zgrupowałyśmy się w siedem wokoło niej ścieśniając się jak tylko można i dosłownie pchałyśmy ją i niosłyśmy aż do obozu. Był to 8 marca.

Tylko czołowa grupa znalazła dość miejsca, żeby usiąść przed drzwiami pomieszczenia do natrysków. Stałyśmy, cała reszta, na mrozie więcej niż cały dzień, padał na nas śnieg bez przerwy, tajał na naszych ciałach. Zdrzemnęłam się stojąc, jak to robią stare konie. W końcu wpuszczono nas pod prysznice, ale kiedy wyszłyśmy, okazało się, że Cyganki ukradły nam odzież. Musiałyśmy, nagie, wydzierać im siłą swoje pasiaki, potem, na wpół ubrane, bieg-

łyśmy w tym mrozie i śniegu do wyznaczonego bloku: nie wiem, czy pan uwierzy, ale żadna z nas nie złapała nawet kataru!

W jakiś czas później Niemcy postanowili wysłać na front rosyjski niemieckich i austriackich więźniów, przeważnie komunistów, przebywających w obozie od ośmiu lat. Zaproponowano im amnestię, jeżeli włożą na nowo mundur, lecz większość odmówiła.

„Jeżeli nie zgodzicie się, pójdziecie pod pistolet maszynowy!" — grozili esesmani. Stanęli zdecydowanie w szeregach po pięciu, usłyszałyśmy pierwszą serię tuż w pobliżu naszego bloku. Rzuciłyśmy się do okien, ale niemieccy strażnicy nas odpędzili. Pistolet długo strzelał. Tego dnia zginęła bardzo wielka liczba niemieckich i austriackich komunistów. Ponieważ przebywali tam najdłużej ze wszystkich więźniów, wielu z nich było zatrudnionych w wewnętrznych dowództwach obozu. Na skutek tej masowej egzekucji, pozbawieni naraz pomocników już wyspecjalizowanych, esesmani chcieli powierzyć tę pracę kobietom i szukali między nami umiejących po niemiecku. Przedtem stale twierdziłam, że nie znam tego języka, przez co łatwiej mi było odpowiadać na przesłuchaniach, ale zdarzyło się mi grać rolę tłumacza od czasu przybycia do Mauthausen.

Tory kolejowe łączące Linz z Wiedniem, który był dla Niemców ważnym punktem strategicznym, zostały zbombardowane przez *Royal Air Force*, a wtedy wysłano mężczyzn i kobiety ze wszystkich okolicznych obozów do naprawiania torów: osiem godzin marszu wymagało dojście do miejsca pracy, potem następowało dwanaście godzin wyczerpującej harówki, wreszcie znowu ośmiogodzinny marsz — powrót do obozu. Przez ten cały czas nie dostawaliśmy prawie nic do jedzenia.

Pierwsza grupa przybyła do pracy nazajutrz po bombardowaniu.

„Jeżeli samoloty powrócą, ukryjecie się w lesie" — powiedzieli esesmani.

W tej okolicy tor kolejowy wił się przez niewielkie lasy oddzielone jedne od drugich drogami-przecinkami, mającymi chronić przed pożarem. Samoloty powróciły w samo południe przy wspaniałej pogodzie i każdy śpiesznie wykonywał rozkaz, z esesmanami włącznie. W celu czuwania nad więźniami i zapobieżenia wszelkiej próbie ucieczki esesmani przechodzili z lasu do lasu, ich pistolety maszynowe błyszczały w słońcu, ściągając na siebie uwagę lotników. Ci nie wiedzieli, że kryli się tam również więźniowie, i zrzucali bomby nad lasem. Bardzo wielka liczba jeńców zginęła,

wiedziałyśmy o stratach jeszcze przed powrotem tych, co przeżyli, gdyż długo przebywający w obozie zbudowali sobie radioodbiorniki, dzięki czemu często mieli informacje o wydarzeniach wcześniej niż esesmani. Niebawem podawaliśmy sobie w koło rozkaz strajku, każdy się z nim zgadzał. Jeżeli już się miało zginąć, to lepiej było od kuli esesmanów niż od alianckiej bomby. Kiedy około północy nasza blokowa krzyknęła *Aufstehen!*, odpowiedziało jednogłośne „*Nein!*" Blokowa nie wyobrażała sobie, że usłyszy sprzeciw: mieniąc się na twarzy stała jakiś czas oniemiała, potem wybiegła jak strzała z baraku. Powróciła z komendantem obozu, którego okrągła i przekrwiona twarz dobrze odżywionego mężczyzny przybrała odcień cegły. Szczeknął do nas:

„Co to ma znaczyć?"

„Nie chcemy pracować na torach" — odpowiedziały kobiety stojące przed nim w pierwszym szeregu.

„Przetłumaczcie!" — rozkazał komendant.

Blokowa, na którą wcześniej złożyły więźniarki skargę za sprzeniewierzenie żywności, czuła silną urazę do jednej z naszych, która w tamtej sytuacji służyła za tłumaczkę. Natychmiast wskazała na nią:

„Ona przetłumaczy! To jest przywódczyni!" — powiedziała po niemiecku.

„Bynajmniej nie jestem przywódczynią w tej sprawie" — zaprotestowała ta młoda kobieta używając niemieckiego języka. — „Wszystkie tutaj są jednego zdania."

„Co do czego?" — wrzasnął komendant.

„Nie chcemy pracować na torach."

Wydawało się, że komendant dostanie ataku apopleksji:

„Te, które nie pójdą pracować, zostaną rozstrzelane! I zaczniemy od pani!"

Wywijając swoją *gummi* wymierzył kilka ciosów młodej kobiecie, potem chwycił ją za kark i cisnął jak paczkę do pokoju obok. Znajdowałam się w głębi sali. Kończąc ubieranie się, przesunęłam się do pierwszego szeregu i zapominając, że udawałam nieznajomość języka niemieckiego, powiedziałam do komendanta:

„To nie uchodzi. Ta kobieta tylko przetłumaczyła to, co mówimy wszystkie".

„Co? — zawył komendant. — Co pani opowiada! Czego chcecie?"

„Żadna z nas nie chce iść pracować przy torach."

„Rozstrzelamy te, które nie zechcą pracować!"

„A więc wszystkie chcemy być rozstrzelane!"

„Dobrze! Zaczniemy od pani!"

Teraz mnie z kolei złapał za kark i wepchnął do pokoju, gdzie już była kobieta, którą wzięłam w obronę. Blokowa weszła za mną podparta pod boki:

„Czy pani nie wstyd?" — odczuwała potrzebę mi to powiedzieć.

„Nie, a dlaczego?" — odpowiedziałam.

Wymierzyła mi z całym rozmachem policzek, który o mało mnie nie przewrócił na ziemię, ale nastąpił po nim drugi, który mi przywrócił równowagę. Byłam tak zdziwiona, że chyba nic nie czułam. Już komendant wydał rozkaz odprowadzenia nas do bunkra, który był obozowym więzieniem.

Tam przyjął nas oficer, Prusak w czystym stylu, wsadził nas obie do jednej celi, raczej dziury, która miała tylko jeden metr szerokości. W naszym bloku było nas czterysta, na pięć więźniarek przypadało osiemdziesiąt centymetrów. Tutaj miejsce wydało nam się jak w idylli, tym bardziej że był siennik, a cela leżała ponad piecem krematoryjnym, panowało w niej przyjemne ciepło. Leżąc we dwie na sienniku, natychmiast usnęłyśmy, co się nam nie zdarzyło od wielu tygodni i nie w takich komfortowych warunkach. Oficer powrócił, żeby nas zabrać na przesłuchanie i musiał potrząsnąć każdą, żeby obudzić.

„Jak to? — zdziwił się. — Wy śpicie?"

„Tak — odpowiedziałyśmy jednogłośnie. Nawet wygodnie!"

Dał mi znak, bym szła za nim i zapytał:

„Za co tutaj jesteście?"

Opowiedziałam mu, co się działo w naszym bloku. Odprowadził mnie do celi, wyprowadził moją towarzyszkę i przyprowadził z powrotem, kiedy dała taką samą odpowiedź. Wtedy już spałam.

„Jak to jest możliwe, że wy wciąż śpicie?" — zapytał tamtej.

„Bo mamy wielkie zaległości w spaniu."

„Dlaczego?"

„W bloku nie ma miejsca."

„Ach! — powiedział esesman. — Ale to ma być kara dla was!"

„Tak, ale to nam nie powinno przeszkadzać w spaniu."

„Otóż nie, wy nie macie prawa do siennika, powinnyście stać!"

Mówiąc to obudził mnie, a potem zaprowadził do ciemnej celi. Nie było tam siennika, ale cement był ciepły, bo ciemnica także znajdowała się nad krematorium. To nam całkowicie wystarczało. Na nowo pogrążyłyśmy się w rozkosze snu, ale z nadstawionym uchem, abyśmy przybrały stojącą postawę, jak tego wymagał regulamin, kiedy usłyszymy brzęk kluczy. Jako całodzienny posiłek dostawałyśmy tylko kawałeczek chleba i trochę wody. To nam wy-

starczało, bo byłyśmy spragnione snu. Kiedy po trzech dniach takiego trybu życia odprowadzono nas do bloku, wcale nie byłyśmy zadowolone z tej zmiany.

Jak już panu powiedziałam, esesmani zdecydowali się zastąpić wymordowanych komunistów kobietami, by pełniły ich funkcje w wewnętrznych dowództwach. Wyboru dokonywał ów oficer, który nas przesłuchiwał. Rozpoznał mnie:

„Ty mówisz po niemiecku!" — zawołał.

A więc przydzielono mi obowiązki służbowe. Suzanne, która o wiele lepiej ode mnie mówiła po niemiecku, sama się zgłosiła na ochotnika, żeby się ze mną nie rozstawać. Obie zostałyśmy przydzielone do komando naprawiania i rozdziału bielizny, naszym szefem był stary Austriak przebywający w obozie od ośmiu lat. Znałyśmy tylko jego imię — Heinrich — był specjalistą w swoim rodzaju: wycinając dziurę w oknach wystawowych jubilerów rabował wszystko, co było na wystawie w zasięgu jego ręki. Źle mówił po niemiecku, a po angielsku znał tylko jedno nazwisko, byłego ministra spraw zagranicznych. Kiedy się dowiedział, że mówię po angielsku, przezwał mnie „Lady Halifax", a Suzanne stała się „Suzy".

Obóz był otoczony dwoma ogrodzeniami. Między zewnętrznym a wewnętrznym pierścieniem znajdowały się budynki, w których pracowałyśmy, oddzielone od obozu w ścisłym tego słowa znaczeniu, gdzie mieściły się bloki. Dzięki więźniom pełniącym funkcje i poruszającym się w zewnętrznym pierścieniu dowiadywałyśmy się rozmaitych nowin. W taki właśnie sposób dotarła do nas wiadomość, że Rosjanie nadchodzą z jednej strony, a Amerykanie z drugiej.

„Jutro kobiety zostaną zwolnione" — mówiono.

„Co za bzdura! — odpowiedziałyśmy. — Opowiadacie kłamstwa."

„Nie, nie! Są tutaj reprezentanci szwajcarskiego Czerwonego Krzyża, omawiają sprawę z esesmanami."

„Mówię wam, że to nie jest prawda! Czy nie słyszeliście o instrukcjach Himmlera? Skoro tylko alianci znajdą się w odległości osiemdziesięciu kilometrów od obozu z jednej lub drugiej strony, wymordują nas wszystkie. Jeżeli są niedaleko, to odbędzie się to jutro."

„Ależ nie! Szwajcarzy są tutaj!"

Nic dobrego wierzyć w więzieniach i obozach plotkom, zwłaszcza kiedy przynoszą dobre nowiny. A jednak wieczorem, kiedy blokowe przyszły po nas jak zwykle, by nas odprowadzić do bloków, powiedziały:

„Zabierzcie swoje rzeczy. Nie powrócicie tu jutro".

Co nas czeka? Uwolnią nas czy wykończą? Zdania były podzielone, kiedy ruszyłyśmy do wewnętrznego ogrodzenia. Noc zapadła, ale w świetle padającym z otwartych drzwi zobaczyłyśmy cywilów nie wyglądających na Niemców. Komendant SS, jak zwykle na koniu, był przy nich, patrzył, jak wracałyśmy. Jeżeli byli jacyś ukarani podczas dnia, musiałyśmy zwrócić w ich kierunku głowy, nieraz ludzie wisieli powieszeni za nadgarstki. Ale tego wieczora nie było nikogo poza komendantem tkwiącym nieruchomo na koniu, a naprzeciwko niego panowie w cywilu niepodobni do Niemców. Żaden z nich nie poruszył się, z tego wywnioskowałyśmy: „To na pewno nie są Szwajcarzy, daliby nam przecież jakiś znak".

Wracałyśmy do naszego bloku, a w drodze coś innego nas zaintrygowało. Trochę na uboczu był obóz chorych, do którego esesmani odsyłali uznanych za niezdolnych do pracy. Nie dawano im nic do jedzenia, bo nie pracowali, i zabierano im odzież. Przebywali tam całkiem nadzy, bez wyżywienia, ale kiedy zmrok zapadał, podchodzili do bloków w nadziei znalezienia czegoś do jedzenia, w swej nagości wyglądali jak widma. Tego wieczora przyszli jak zwykle w poszukiwaniu okruchów chleba, ale ubrani. Nic nie rozumiałyśmy. Wtedy usłyszałyśmy rozkaz:

„Zbiórka na *Appelplatz*! [1] Odjeżdżacie jutro rano!"

Jeszcze nie wierzyłyśmy, bardzo nas zdziwiło, że wołają nas wymieniając nazwiska, dotąd wykrzykiwano tylko nasze numery rozpoznawcze. Przez całą noc rozprawiałyśmy. Te które uwierzyły w nowinę rozpowszechnianą po południu były górą, a kiedy przechodzili esesmani niektóre ośmieliły się ich o to pytać.

— Och! marsz na śmierć! — powiedzieli.

Byłyśmy tak zmęczone, że nawet tę groźbę, której spodziewałyśmy się, przyjęłyśmy obojętnie.

Nazajutrz jeszcze przed świtem, kiedy było ciemno, usłyszałyśmy rozkaz stawienia się na placu apelowym. Spotkała nas niespodzianka: były tylko strażniczki, i ani jednego esesmana. Dano rozkaz ustawienia się w piątki i wyszłyśmy z wewnętrznego ogrodzenia. Skierowano nas na szeroką otwartą przestrzeń, której nie znałyśmy, tuż obok obozu chorych, wysoko nad drogą.

„Tu czekajcie!" — zawołano.

Było bardzo zimno i zaczęłyśmy szemrać: „Zobaczycie! Wiemy co nas spotka, tak już zrobiono w którymś obozie, zbombardują nas razem z chorymi!"

---

[1] W każdym koncentracyjnym obozie był plac apelowy. Nawet umierających i zmarłych trzeba było przynieść na apel (przyp. autora).

Co robić? Trzeba było czekać drżąc z zimna. Nagle dobiegł nas warkot motoru, potem ukazała się całkiem biała sanitarka z czerwonym krzyżem wymalowanym na dachu i po bokach. Za nią druga, trzecia. Naliczyliśmy ich trzynaście, ustawiły się porządnie na nasypie, wysiedli z nich kierowcy w wojskowych angielskich dresach. Wojna jeszcze nie była skończona, nie rozumiałyśmy, co ci Anglicy tutaj robią? Podeszli do nas w całkowitym milczeniu. Byłyśmy tak przejęte, że wszystkie płakałyśmy bez słowa.

Jak się okazało, nie byli oni Anglikami, lecz Kanadyjczykami: „Prowadzimy auta Czerwonego Krzyża" — dodali.

Nadeszli cywile, których widziałyśmy poprzedniego dnia wieczorem. Jeden z nich zabrał głos:

„Wyjedziecie do Szwajcarii na zasadzie ugody zawartej między hrabią Bernadotte a Reichsführerem Himmlerem. Obecni tutaj żołnierze kanadyjscy odwiozą was do granicy, a tam usiądą za kierownicą Szwajcarzy. Kanadyjczycy są jeńcami wojennymi i dali Niemcom słowo honoru, że nie pojadą dalej niż do granicy".

Byłyśmy tak zdumione, że nie mogłyśmy odpowiedzieć. Szwajcar dodał:

„Wyjechało znacznie więcej aut, ale armia francuska maszerująca na Konstanzę przecięła nasz konwój na dwoje. Pozwólcie wejść najbardziej chorym. Reszta zaczeka na następne auta".

Tak zrobiłyśmy. Było nas około ośmiuset razem. Najsłabsze załadowały się do trzynastu sanitarek i odjechały, a my pozostałyśmy na nasypie czekając. Chłód był przejmujący, a sanitarki nie nadjeżdżały. Wtedy Szwajcarzy przywołali Niemców:

„Te kobiety powinny pójść do ciepłego pomieszczenia".

Zaprotestowałyśmy:

„Nie, nie chcemy powracać do obozu, wolimy tutaj zostać na zimnie!"

Ale esesmani nie chcieli o tym słyszeć i kazali nam wejść do wewnętrznego ogrodzenia ku naszej wielkiej rozpaczy. Wprowadzili nas do budynku z prysznicami, jedynego miejsca wraz z krematorium, gdzie było ciepło. Pogrążone w smutku, posnęłyśmy w przekonaniu, że przyszedł koniec.

Obudziły nas blokowe, przynosząc brązowy napój z żołędzi zwany „kawą": po raz pierwszy zdarzyło się, że blokowa rozdawała coś innego niż ciosy, i nadzieja zaczęła odżywać. Kiedy nadzorujące kazały nam się ustawić trójkami, nadzieja wzrosła, gdyż Niemcy zawsze ustawiali piątkami. Jedna ze strażniczek dodała: „Szwajcarzy tak sobie życzą".

Wyszłyśmy i przekroczyłyśmy pierwsze druty. Komendant, siedząc na koniu bez ruchu, patrzył, jak przechodziłyśmy przed nim.

Wtedy widziałam go po raz ostatni. Mówiono potem, że powiesił swoje dzieci i wpakował sobie kulę w głowę, kiedy alianci zbliżyli się do Mauthausen.

Trzydzieści białych sanitarek z czerwonym krzyżem jako godło czekało na nas, wspaniały to był widok. Zrozumiałyśmy, dlaczego szłyśmy szeregami po trzy: stwierdziłyśmy, że każda sanitarka mogła zabrać dwadzieścia siedem kobiet, łatwiej było Szwajcarom nas liczyć, woleli się upewnić, czy liczba wyrwanych z obozu kobiet nie jest sfałszowana. Każda z nas starała się jechać ze swoimi koleżankami, lecz Szwajcarzy, którzy obawiali się jakiejś zmiany postawy esesmanów, zaoponowali: „Wchodźcie po kolei i to natychmiast! Później przesiądziecie się!"

W autach przekroczyłyśmy następne druty zewnętrznego ogrodzenia obozu Mauthauzen. Wyrwałyśmy się na wolność! Nadszedł wieczór, a my jechałyśmy bez przerwy. W tej górskiej okolicy między Linzem a Wiedniem widok był wspaniały. Długi sznur świateł na serpentynach dróg, światła reflektorów aut i mały reflektor rzucający blask na czerwony krzyż wymalowany na dachach sanitarek. Nadszedł dzień, zbliżając się do szwajcarskiej granicy wyminęliśmy olbrzymią grupę uciekinierów niemieckich, cywile pomieszani z żołnierzami wehrmachtu. Aby uciec przed zbliżającymi się aliantami, starali się schronić w Szwajcarii, lecz Szwajcarzy ich przepędzili. Na widok naszych aut myśleli, że wiozą one niemieckich jeńców i zaczęli wołać:

„Dokąd jedziecie?"

„Do Szwajcarii."

„Próżny trud! Szwajcarska granica jest zamknięta!"

„Dla was, ale nie dla nas!"

Jaki odwet... Dwadzieścia cztery godziny wcześniej byłby możliwy tylko w marzeniach! Dojechałyśmy do granicy: wierni danemu słowu Kanadyjczycy ustąpili miejsca kierowcom szwajcarskim. Ze wszystkich stron nadbiegali ludzie przynosząc nam biszkopty, czekoladę, różne smakołyki. Szwajcar, który otworzył drzwiczki naszego auta powiedział: „Moje Panie, prezentuję wam nowy mundur!"

Na to wszystkie wybuchnęłyśmy śmiechem, gdyż szwajcarscy żołnierze, których nam pokazywał, byli ubrani dokładnie tak samo, jak żołnierze niemieccy. Nawet jeżeli była jakaś różnica w kroju, to nie zwracała uwagi.

Sanitarki ruszyły w dalszą drogę i zatrzymały się przed dworcem. Przybiegły pielęgniarki i opiekunki społeczne. Jedna z nich wyciągnęła rękę chcąc nam dopomóc w wysiadaniu, a my długo wahałyśmy się, bo przyzwyczaiłyśmy się do sposobu recepcji sto-

sowanego przez esesmanów, smagania pasem, kopniaków w goleń, uderzeń kolbą w krzyże, ciosów szpicrutą w plecy, wszystko to odbywało się wśród zniewag i grubiaństwa. Pytałyśmy tej pielęgniarki: „Czego pani sobie życzy?" Nie zrozumiałyśmy jej gestu.

Pociąg zabrał nas do Sankt Gallen, gdzie nas zakwaterowano w szkole śpiesznie opróżnionej z uczniów. Pozostawili na tablicach napisy w kilku językach starannie kredą namalowane: „Witamy!" Naszym gospodarzom zabrakło czasu na ustawienie łóżek, bardzo jednak chwaliłyśmy świeżą słomę rozesłaną na podłodze. Mieszkańcy miasta wkrótce się zjawili przynosząc odzież, bieliznę i żywność. Byłybyśmy się czuły jak w raju, gdyby nie badania lekarskie, które ciągnęły się przez dziewięć dni, że aż wściekałyśmy się ze zniecierpliwienia. Wiele kobiet zatrzymano w Sankt Gallen z obawy rozszerzenia infekcji i sporo ich tam zmarło, nie doznając ostatniej radości powrotu do kraju. Moja siostra Suzanne, która ważyła tylko trzydzieści trzy kilogramy stała się podobna do Gandhiego. Groziło jej także pozostanie w Szwajcarii, gdyż lekarze stwierdzili, że może roznosić świerzb. Dzięki Bogu potrafiłam ich przekonać, że się mylą, gdyż jej choroba była tylko skutkiem zaburzeń przewodu pokarmowego.

Z Sankt Gallen pojechałyśmy koleją do Annemasse, stamtąd do Annecy, gdzie nas zawiadomiono, że rozdział na Francuzki i Belgijki nastąpi dopiero w Paryżu. W Annecy Elvire Morelle mnie poinformowała, że mój ojciec został rozstrzelany. Wszystkie nasze koleżanki, które o tym wiedziały, dały sobie słowo, że powiedzą nam o śmierci ojca dopiero wtedy, kiedy wrócimy. Jeżeli nie, lepiej, abyśmy obie z Suzanne umarły łudząc się, że ojciec żyje.

„Czy Suzanne wie o tym?" — spytałam Elvire.

„Nie. Jeszcze nie."

„Nic jej nie mówcie. Jest jeszcze zbyt słaba. Ja ją przygotuję."

Z hotelu „Lutecia", w którym nas przyjmowano, wyjechałyśmy autokarem wypożyczonym przez Czerwony Krzyż w środku nocy. Podróż trwała dobre pół godziny, zanim stanęliśmy. Nie pamiętam nazwy hotelu, w którym mieszkałyśmy po trzy w jednym pokoju, wiem tylko, że był bardzo duży. Z powodu późnej godziny nie podawałyśmy swoich nazwisk portierowi. Jak zazwyczaj przede wszystkim zabrałam się do mycia. Przerwano mi tę czynność, nad którą nie ma dla mnie większej przyjemności w życiu, i to jak zwykle wtedy, kiedy myłam lewą nogę. Było kwadrans po północy, kiedy zapukano do drzwi i głos kobiecy zawołał: „Dédée!"

Poszłam otworzyć. Była to jedna z dawnych paryskich koleża-

nek: „Dédée, Anglicy szukają tych, które pomagały lotnikom. Są w hotelu „Palais Royal". Chodź, zaprowadzę cię!"

Ubrałam się i poszłyśmy. Miałam na sobie brązową pelerynę więźniarki, z wielkim krzyżem wymalowanym na plecach. W „Palais Royal" — nikogo. Nasi przyjaciele poszli na jakieś przyjęcie. Czekałyśmy na nich. Nadeszła Ciotka Go razem z „B" Johnsonem i Donald Darling, podczas wojny korespondent naszego „Timothy'ego" w Gibraltarze, który mnie znał tylko z nazwiska. Oczywiście trzeba było spotkanie oblać szampanem, a Ciotka Go zatelefonowała do Brukseli. Wróciłam do swojego hotelu dopiero o trzeciej rano.

Nazajutrz przez nieuwagę Ciotka Go powiedziała coś o moim ojcu w czasie przeszłym: Suzanne dowiedziała się, że on nie żyje.

Odjechałyśmy autem ku belgijskiej granicy, podróż trwała długo, gdyż drogi były uszkodzone przejazdem niezliczonych czołgów i dużo mostów było jeszcze nie naprawionych. Ciotka Go bez przerwy mówiła, opowiadając szczegółowo, co się działo w Linii od czasu mojego aresztowania. Naprawdę złożyła mi raport wyczerpujący! W końcu przyjechaliśmy do Aulnoye, gdzie czekała na nas mama.

— Major Brinsley Ford zatelefonował do mnie o pierwszej w nocy — opowiada pani de Jongh. — Co za niespodzianka! Nie wiedziałam nic o losie Suzanne ani Dédée, a on mi powiedział, że są w Paryżu, że nazajutrz wyjadą, i zaproponował, że mnie zawiezie autem na ich spotkanie. Zobaczyłam je razem z Ciotką Go, majorem Darling i „B" po czterech godzinach oczekiwania. Ale wreszcie zjawiły się! Blade, wychudzone, lecz żywe!

*

Taśma magnetofonu obracała się dalej. Od kilku minut zamknąłem oczy, aby lepiej przeżywać straszne godziny, które wskrzesiła Andrée. Słyszałem już wcześniej o białych sanitarkach Czerwonego Krzyża przed bramą obozu Mauthausen, które nie tylko przyjechały wyrwać od śmierci więźniarki, ale również najcięższej chorych mężczyzn. Wśród nich był mój przyjaciel Robert Jude, jeden z pierwszych współpracowników, wstąpił do mojej Siatki w listopadzie 1940 roku. Nosił pseudonim „Lavocat". Wtedy miał dopiero dwadzieścia lat.

Kamieniołom w Mauthausen pozostawił straszne wspomnienie w pamięci tych, którzy z nim się zapoznali. Żłobiony przez pierwszych więźniów wydobywających głazy przeznaczone na budowę domów mieszkalnych dla esesmanów, bez przerwy pogłębiał się. Schody liczące około dwustu stopni, o ile sobie przypominam, nierównej wysokości i szerokości, na specjalny rozkaz strażników w mundurach z czarną trupią główką po to, by wchodzenie po nich

było utrudnione — prowadziły w głąb. Po tych schodach wstępowali niosący kamienie skazańcy. Jeżeli warta stojąca stale u góry uważała, że wspinanie się z ciężarem jest zbyt powolne albo że kamień nie jest dostatecznie wielki, uderzeniem kolby pistoletu maszynowego strącali na dół winowajcę.

Robert Jude otrzymał cios kolbą w głowę, ale padł na miejscu, tymczasem uwaga brutala skierowała się na kogoś innego. Koledzy skorzystali z roztargnienia wartownika i przenieśli rannego do „obozu chorych". Był jednym z tych, których zabrała biała sanitarka.

Ruch pojazdu powodował takie bóle, że trzeba było go wynieść na skraj drogi, zanim jeszcze przekroczyli szwajcarską granicę. Kolega Roberta usiadł na skarpie porośniętego trawą rowu i z niesłychaną ostrożnością podtrzymywał rękami kark chorego, który zmarł w kilka minut później. Długo rozmyślałem nad tym, jak wielki smutek musiał przeżywać: on, jeden z pierwszych ochotników, umierał nie zaznawszy radości, że uczestniczy w zwycięstwie, na które tak dobrze pracował. I nawet nie zaznał słodyczy umierania na przyjaznej ziemi. Pomyliłem się. Opowiedział mi potem jego kolega, że kiedy Robert zrozumiał, że nadchodzi koniec, popatrzył na niego, uśmiechnął się i wyszeptał: „Umieram za nieskazitelną, wielką, piękną, odrodzoną Francję".

Zatopiony w myślach, usłyszałem ciche słowa: „On śpi... Wygląda na zmęczonego... może zrobimy mu filiżankę herbaty?"

Aż się zawstydziłem taką troskliwością po tym wszystkim, co przed chwilą usłyszałem. Wiedziałem skądinąd, że Andrée de Jongh po powrocie z Kamerunu, gdzie pielęgnowała trędowatych, czeka niecierpliwie na wizę do Etiopii, by tam pełnić takie same obowiązki. Przecież jeszcze jako podlotek oświadczyła: „Jeżeli wybuchnie wojna, będę pielęgnowała rannych, jak to robiła Edith Cavell. Jeżeli Belgia dozna nowej inwazji, będę walczyła z wrogiem tak jak Gabrielle Petit. A jeżeli wyjdę cało, pojadę opiekować się trędowatymi, jak to zrobił ojciec Damien".

To pozornie szalone potrójne ślubowanie wypełniła wspaniale, nie ustając w służbie w najwyższym tego słowa znaczeniu. Otworzyłem oczy. Ujrzałem jej twarz obok oblicza matki, po niej ma oczy mocno niebieskie. Poczułem, że moje napełniły się łzami.

SPIS ILUSTRACJI

1. Katalin Aguirre w r. 1965
2. Albert Johnson (t) („B") po przybyciu do Anglii
3. Arnold Deppé po wyzwoleniu
4. Elvira de Greef z Freddym, Janine i „Gogo" po wojnie
5. Andrée de Jongh w r. 1941
6. Fryderyk de Jongh rozstrzelany w Mont-Valérien 28 marca 1944 r.
7. Suzanne Wittek, starsza siostra Andrée de Jongh
8. Nadine (obecnie pani Antoine) po powrocie z Niemiec
9. Michou ze swoją matką podczas wojny
10. Charles Morelle („Charlie") zmarły w obozie w Dachau 18 maja 1945 r.
11. Jean Ingels („Jean de Gand") rozstrzelany na Strzelnicy Narodowej Tir National") w Brukseli 20 października 1943 r.
12. Henri Michelli
13. Kas czyli Nemo (baron Jean Greindl) zabity podczas bombardowania koszarów w Etterbeek 7 września 1943 r.
14. Louis (Victor Michiels) zastrzelony na ulicy w Brukseli 19 listopada 1942 r.
15. Komendant Gaston Bidoul zastrzelony na Strzelnicy Narodowej („Tir National") w Brukseli 20 października 1943 r.
16. Pierre (Eric de Menten de Hornes) zastrzelony na Strzelnicy Narodowej („Tir National") w Brukseli 20 października 1943 r.
17. Franco (Jean-François Nothomb)
18. Georges d'Oultremont w r. 1942
19. Françoise Usandiraga zwana Franchią
20. Bidegain-Berri. Dom, w którym nocowali lotnicy przeprawiający się do Hiszpanii. Na parterze widoczne okna pomieszczenia, w którym zostali aresztowani Andrée de Jongh i towarzyszący jej lotnicy.
21. Jacques Cartier (hr. Antoine d'Ursel)
22. Egzemplarz podrobionej gazety „Le Soir", rozprowadzonej w Brukseli 9 listopada 1943 r. Oprócz fotografii „Latającej Fortecy" amerykańskiej zamieszczono w niej teksty zredagowane przez członków tamtejszego Ruchu Oporu.
23. Jérôme (Jacques de Grelle)

24. Jean Serment (Yvon Michiels)
25. Strzelnica Narodowa („Tir National") w Brukseli
26. Posterunek graniczny na hiszpańskim brzegu rzeki Bidassoa
27. Pani de Greef, Max Roger i dwaj „boys" w chwili odjazdu do Hiszpanii
28. Jacques-Henri Schloesing, lotnik, uczestnik walk o wyzwolenie Francji
29. Florentino
30. Ciotka Go, Michou i Andrée de Jongh zaproszone do Anglii, na lotnisku londyńskim w 1966 r.
31. Rémy (Gilbert Renault)

SPIS TREŚCI

CZĘŚĆ PIERWSZA

Od Autora 5
Mały domek w Ciboure 9
Wizyta u Ciotki Go 13
Dédée i jej najbliżsi 16
Pierwszy cios 22
Konsulat angielski 27
Charlie 35
Tom i jego rodzina 39
Szkoła przy placu Gaucheret 42
Komora celna w Quiévrain 46
Dom Nénette 50
Bufet na dworcu w Bayonne 54
Florentino 58
Sekcja MI9 63
W górach 67
Zima 1941/42 72
GFP 75
Nadine 78
Niedostrzegalna więź 86
Nemo vel Kas 88
Fotografia Dédée 90
Przyjaciele Kasa 93
Willa Saint-Maur 97
Ostatni gryps 99
Sektor Południe 106
Militärbefehlshaber 109
Franco i Dédée 114
Michou działa 123
Zielona koperta 126
Koniec alei Voltaire'a 132
W domu Victora Michielsa 135
Kwit 138
Peggy jedzie za granicę 140

Musimy działać dalej 143
Trybunał wojskowy 144
Ferma Urrugne 154

CZĘŚĆ DRUGA
Château-Neuf 163
Przesłuchanie 165
Villa „Chagrin" 171
List z Saint-Gilles 174
Recydywista 175
Słowo „Kantyna" w grypsie 184
Fort du Ha i Maison Blanche 187
Rękawiczki 189
Albert Greindl włącza się w akcję 191
Gubernator Gibraltaru 195
Jacques Cartier 196
Kłopotliwi Amerykanie 197
Razem z bohaterem Wolnej Francji 199
Ruch Oporu w Holandii 203
Mieszkanie przy ulicy Vaneau 206
Judasz 208
Siostra i żona Jacques'a Cartier 213
Losy dwóch rodzin 218
Jérôme 225
Jean Deltour 230
Jack i jego matka 233
Michou 235
Wzorowy szef 237
Porachunki 240
Hotel w Rumes 245
Eva 251
Między Abwehrą a Gestapem 261
Sektor belgijski 264
Koszary w Etterbeek 265
Na hiszpańskiej granicy 267
Środa dwudziestego października 1943 roku 270
Czasy były ciężkie 272
Sznurek i ziemniaki 275
Kwestionariusz 286
Prowokatorzy 288
Bidassoa 291
Telefon z Vanves 296
Wanna i krawat 304

CZĘŚĆ TRZECIA

Jacques de Bruyn i jego matka 313
Dom przy avenue du Diamant 316
W niepewności 323
Michou i Pierre 333
John Rutland 340
Brochet 350
Wspomnienia sapera 358
O Linii *KLM* 364
Minouchat 387
Wydobycie się z piekła 399
List 408
Sąd w „Palace Hôtel" 409
Wojna bez nienawiści 411
Ciotka Go 417
Powrót 438

Obwolutę projektował
ANDRZEJ DAROWSKI

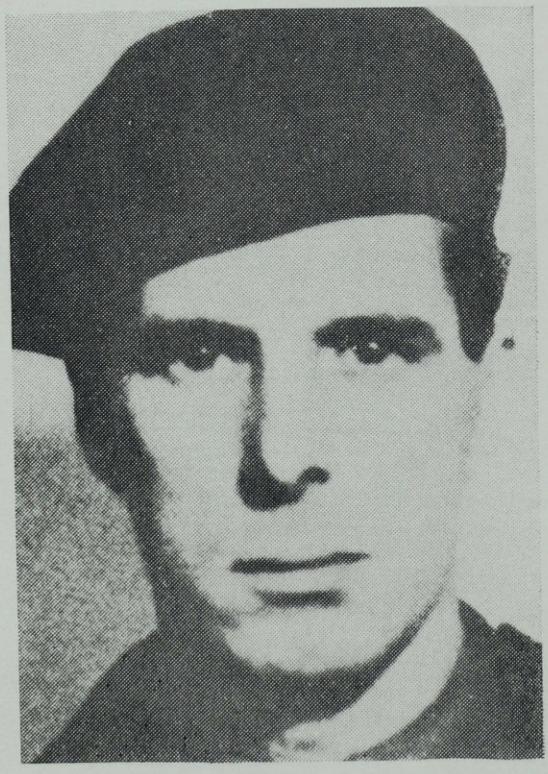
Redaktor
APOLONIA BEJSKA

Redaktor techniczny
HANNA NAWROT

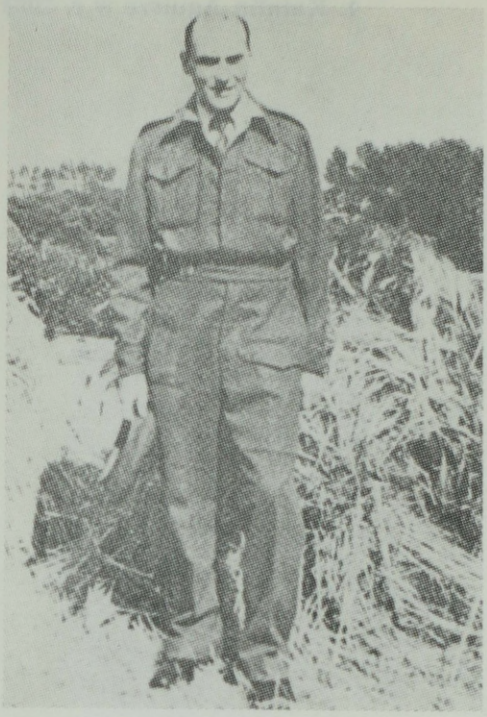
Printed in Poland
Wydawnictwo Literackie, Kraków 1976
Wydanie I. Nakład 20 000+283 egz.
Ark. wyd. 30,5 Ark. druk. 28,5+1 ark. ilustr.
Papier druk. m./gł., kl. III, 61 × 86 cm, 70 g.
Oddano do składania 15 I 1975
Podpisano do druku 18 XI 1975
Druk ukończono w styczniu 1976
Zam. 674/75 Z-18-107
Cena zł 95.—
Drukarnia Wydawnicza, Kraków, ul. Wadowicka 8



1. Katalin Aguirre w r. 1965



2. Albert Johnson (t) („B") po przybyciu do Anglii



3. Arnold Deppé po wyzwoleniu



4. Elvira de Greef z Freddym, Janine i „Gogo" po wojnie



5. Andrée de Jongh w r. 1941



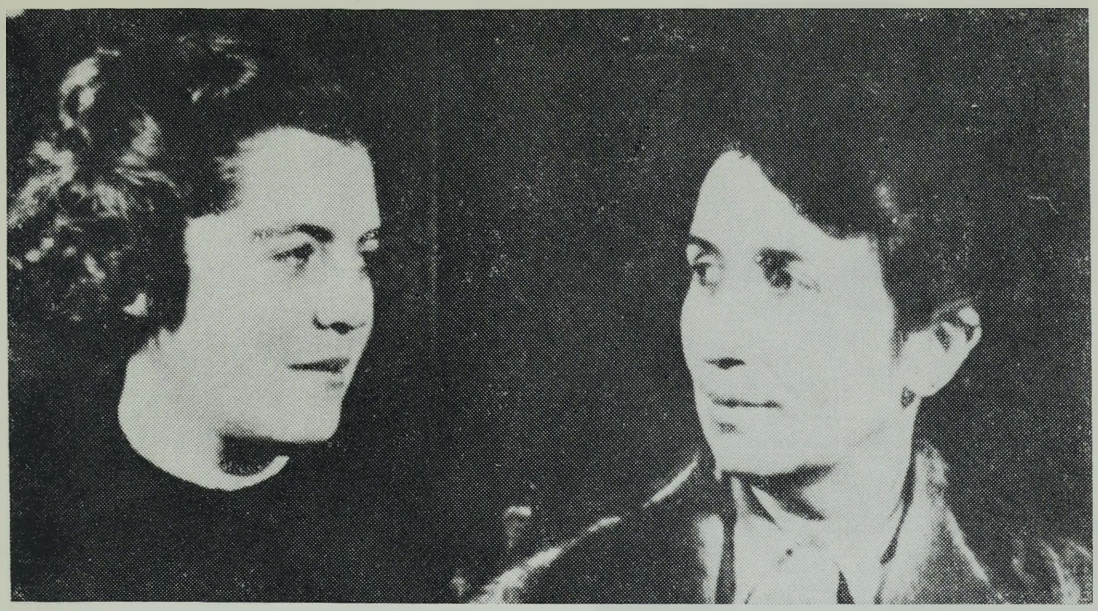
6. Fryderyk de Jongh rozstrzelany w Mont-Valérien 28 marca 1944 r.



7. Suzanne Wittek, starsza siostra Andrée de Jongh

8. Nadine (obecnie pani Antoine) po powrocie z Niemiec





9. Michou ze swoją matką podczas wojny



10. Charles Morelle („Charlie") zmarły w obozie w Dachau 18 maja 1945 r.



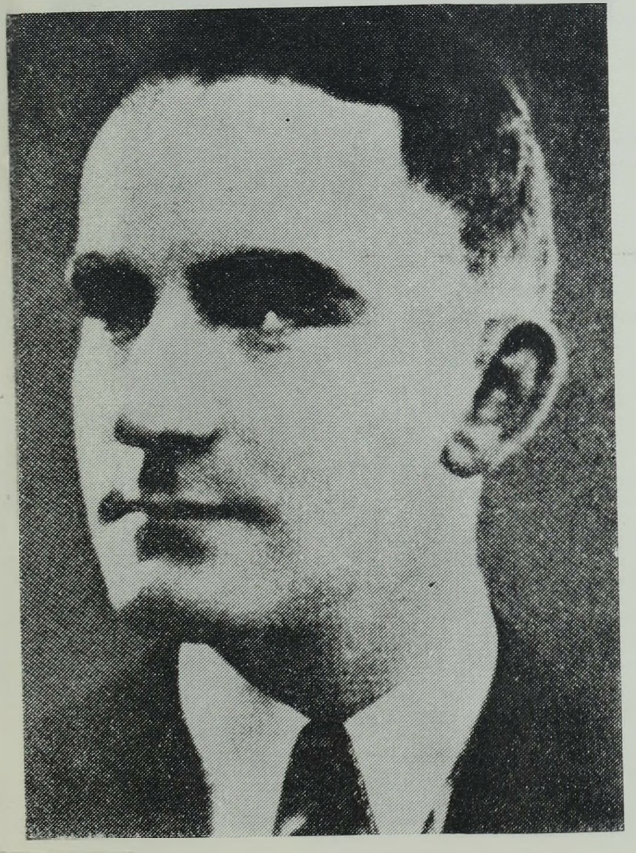
11. Jean Ingels („Jean de Gand") rozstrzelany na Strzelnicy Narodowej („Tir National") w Brukseli 20 października 1943 r.



12. Henri Michelli

13. Kas czyli Nemo (baron Jean Greindl), zabity podczas bombardowania koszarów w Etterbeek 7 września 1943 r.





14. Louis (Victor Michiels) zastrzelony na ulicy w Brukseli 19 listopada 1942 r.

15. Komendant Gaston Bidoul zastrzelony na Strzelnicy Narodowej („Tir National") w Brukseli 20 października 1943 r.





16. Pierre (Eric de Menten de Hornes) zastrzelony na Strzelnicy Narodowej („Tir National") w Brukseli, 20 października 1943 r.



17. Franco (Jean-François Nothomb)

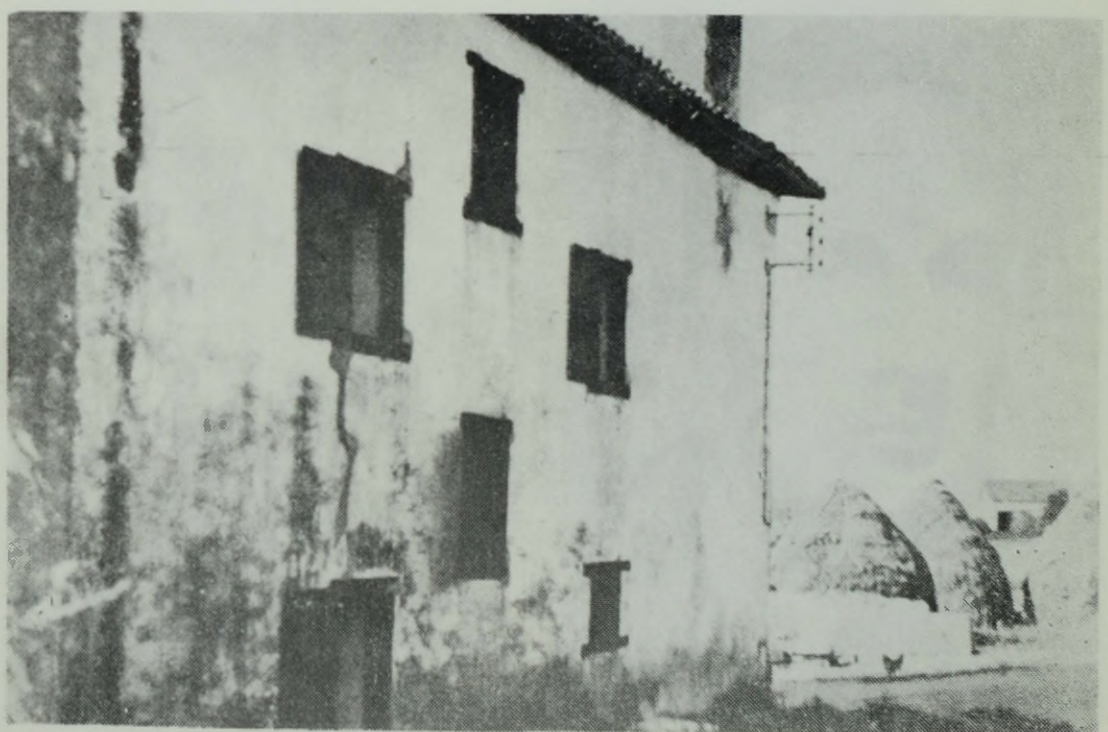


18. Georges d'Oultremont w r. 1942



19. Françoise Usandiraga zwana Franchią

20. Bidegain-Berri. Dom, w którym nocowali lotnicy przeprawiający się do Hiszpanii. Na parterze widoczne okna pomieszczenia, w którym zostali aresztowani Andrée de Jongh i towarzyszący jej lotnicy.





21. Jacques Cartier (hr. Antoine d'Ursel)



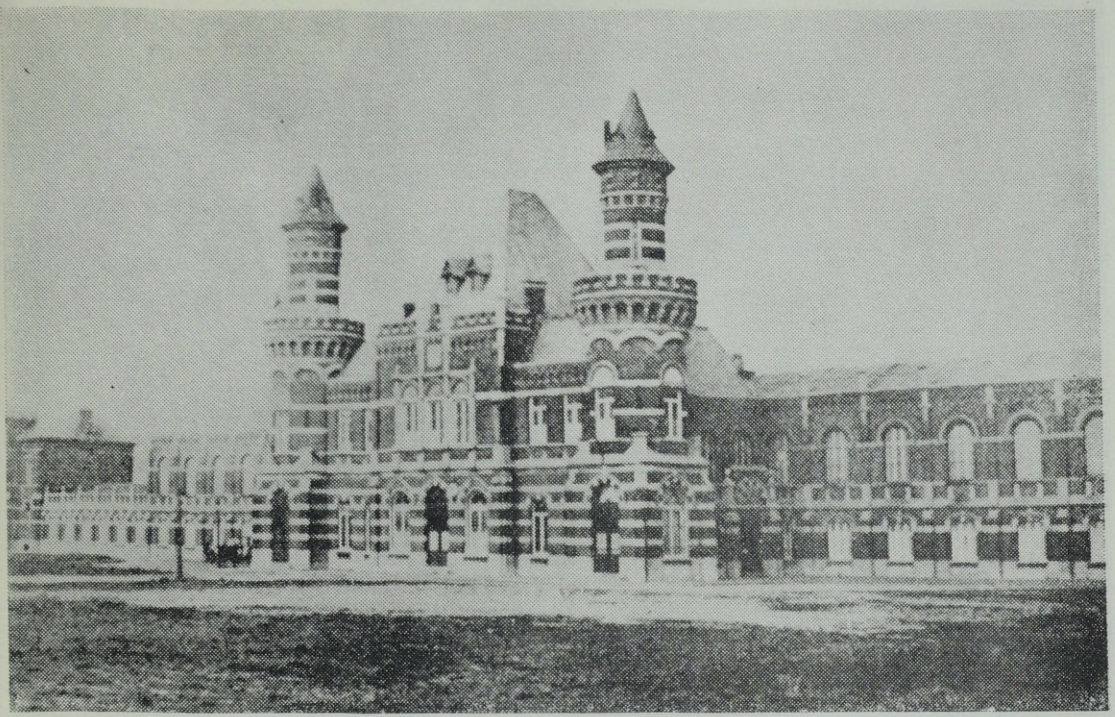
22. Egzemplarz podrobionej gazety „Le Soir", rozprowadzonej w Brukseli 9 listopada 1943 r. Oprócz fotografii „Latającej Fortecy" amerykańskiej zamieszczono w niej teksty zredagowane przez członków tamtejszego Ruchu Oporu.



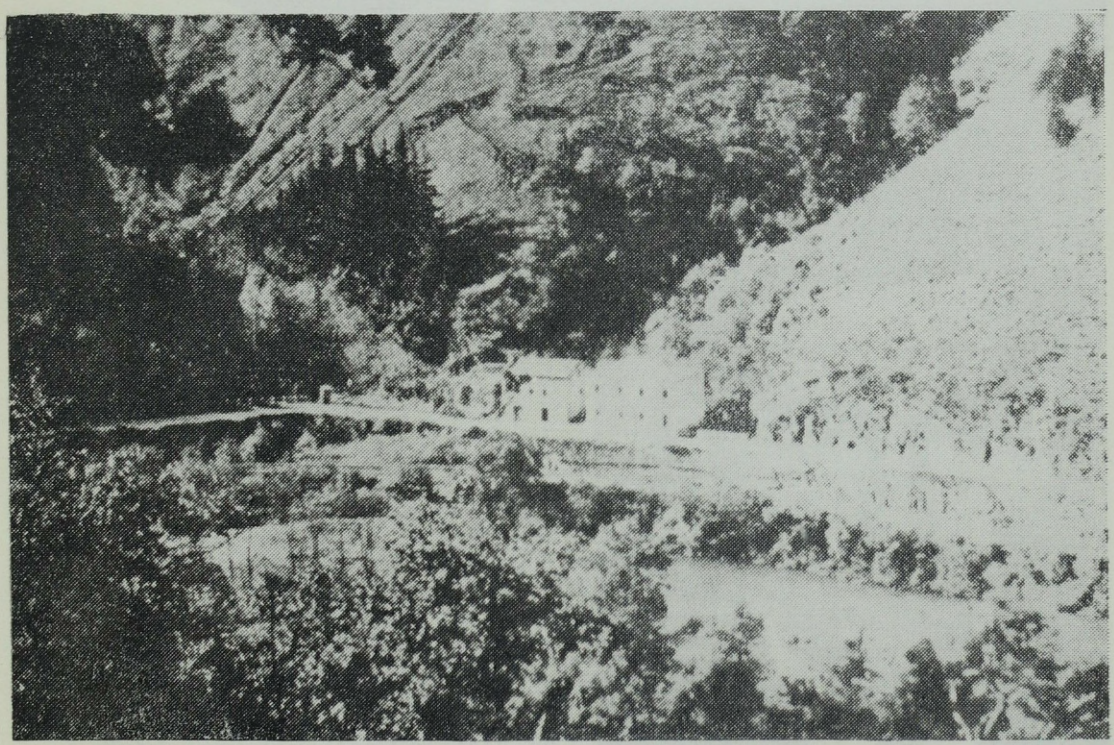
23. Jérôme (Jacques de Grelle)



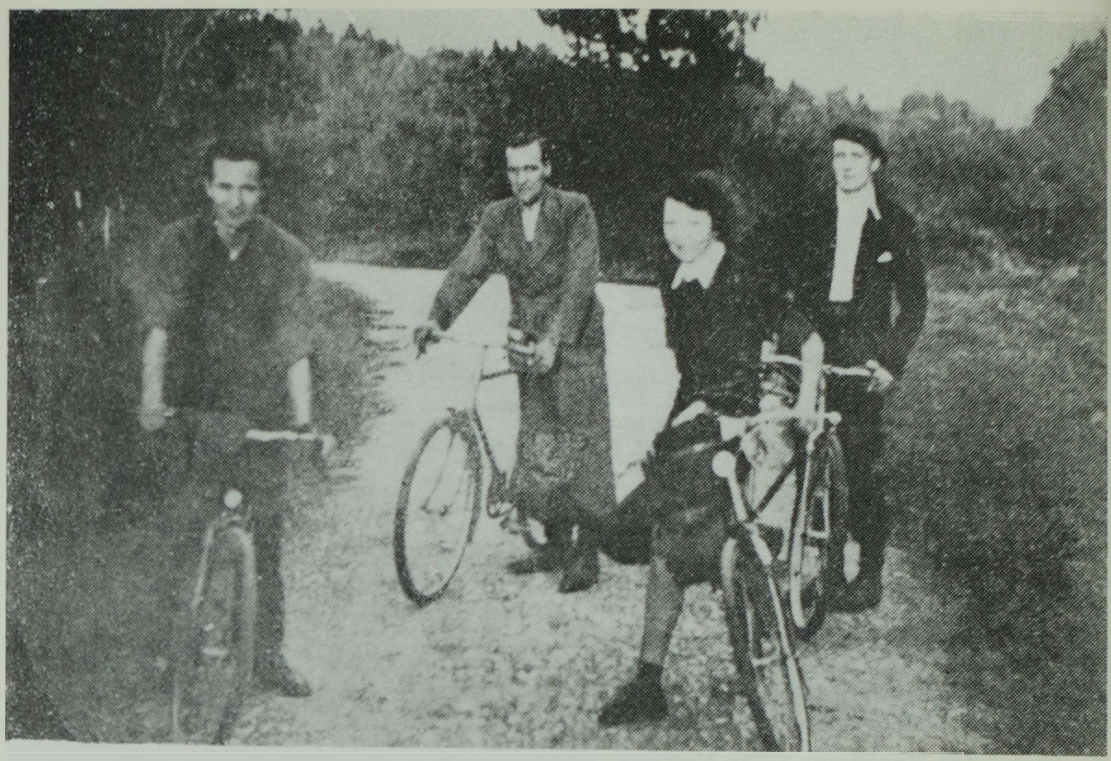
24. Jean Serment (Yvon Michiels)



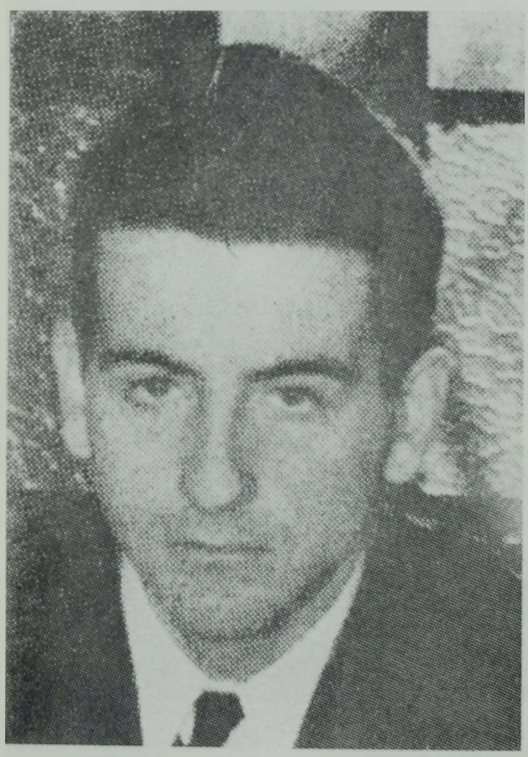
25. Strzelnica Narodowa („Tir National") w Brukseli



26. Posterunek graniczny na hiszpańskim brzegu rzeki Bidassoa



27. Pani de Greef, Max Roger i dwaj „boys" w chwili odjazdu do Hiszpanii



28. Jacques-Henri Schloesing, lotnik, uczestnik walk o wyzwolenie Francji

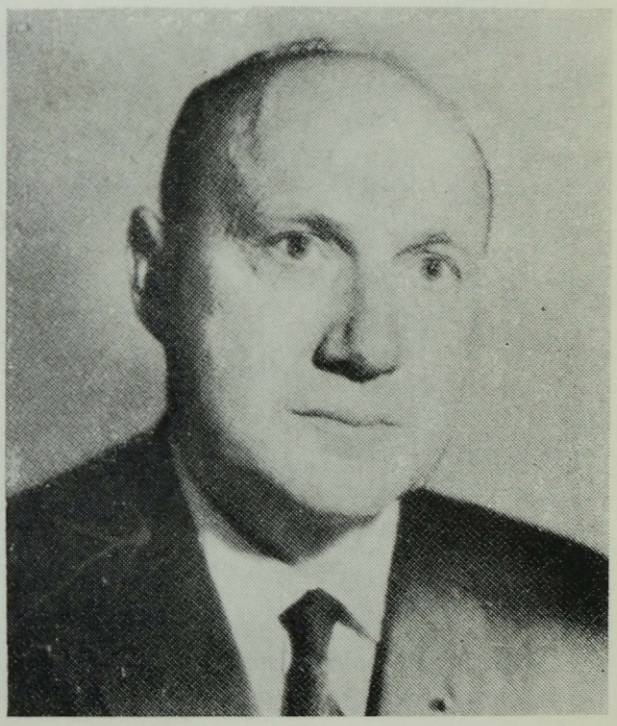


29. Florentino



30. Ciotka Go, Michou i Andrée de Jongh zaproszone do Anglii, na lotnisku londyńskim w 1966 r.

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit. im. F. Dzierżyńskiego



31. Rémy (Gilbert Renault)

Akcja Kometa obejmowała 3 sektory: belgijski, francuski i sektor Południe. Na czele sektora stał szef, któremu podlegali konwojenci. We wszystkich sektorach sporządzano fałszywe dokumenty i zaopatrywano w nie zarówno lotników, jak i konwojentów.

Ta forma Ruchu Oporu nie byłaby możliwa bez współudziału całego prawie społeczeństwa belgijskiego, jego patriotyzmu i solidarności w walce z okupantem.

Akcja Kometa pociągnęła za sobą mnóstwo ofiar. Tropieni zawzięcie przez wywiad niemiecki i rodzimych faszystów na usługach gestapo, patrioci belgijscy padali ofiarą straszliwych represji ze strony wroga; aresztowani, więzieni, torturowani, deportowani do obozów koncentracyjnych w Niemczech i rozstrzeliwani, dawali przykład nieustraszonej odwagi, solidarności, wytrwania i męstwa w chwili śmierci.

W dwadzieścia lat po wojnie autor, pragnąc ocalić od zapomnienia historię Komety, przeprowadził wywiady z pozostałymi przy życiu członkami tej Siatki i utrwalił je na taśmie magnetofonowej. Uzyskany w ten sposób materiał spisał i uzupełnił dokumentami, mapami i fotografiami. Tak powstała książka *Akcja Kometa*, którą prezentujemy naszym Czytelnikom.

Cena zł 95.—

BIBLIOTEKA NAUKOWA WAP
69321/2